

Popularyzacja

CATHY KELLY



CZEGO ONA CHCE?

Wydawnictwo WYBICKI

Kelly Cathy

Czego ona chce

Wiesz, co będziesz robiła za rok? Hope, Samanta, Nicole i Virginia wiedzą. A przynajmniej wydaje im się, że wiedzą. Hope będzie dalej nudzić się w pracy i uważać, żeby nie przypalić obiadu dla Dana. Samantha podskoczy w firmie jeszcze wyżej, aż na fotel szefa. Nicole będzie marzyć o scenie i kombinować, jak nie dać się przyłapać na gadaniu z koleżanką przez telefon służbowy. Virginia będzie wychowywać wnuki i pilnować, aby mąż nie przesadzał z golfem. Ale nagle życie każdej z nich staje na głowie. I pokazuje czterem kobietom, czego naprawdę chcą...

Prolog

Na moście warczał i krztusił się kolejny autokar pełen turystów, gdy Mary-Kate Donlan zamykała aptekę na klucz. Trudno, w przerwie na lunch mieszkańcy Redlion będą się musieli obejść bez lekarstw i kosmetyków. Odkąd jej pomocnik wyjechał na urlop, nie miała czasu na nic więcej niż kanapkę przegryzaną w biegu między klientami. Ale dość tego. Dziś umówiła się na porządny lunch ze swoją siostrzenicą Delphine. -

Ciaśniej otuliła się płaszczem i poszła do Wdowy Maguire, przytulnego pubu, gdzie dwa razy w tygodniu grano muzykę na żywo i codziennie podawano najlepsze jedzenie w promieniu wielu kilometrów. Przebiegła główną ulicę miasteczka; szczupła kobieta w średnim wieku, z prostą fryzurką na pazia i bez śladu makijażu. Minęła sklep Lucille -Moda na Każdą Okazję i odruchowo zerknęła na wystawę. Wbrew nazwie Lucille lansowała modę raczej dość ekscentryczną. W tym tygodniu z wystawy kusily włóczkowe swetry we wściekłych kolorach i kuse szorty odpowiednie na południu Francji, ale zdecydowanie nie w Kerry w październiku.

Zwolniła na widok Emmeta ze sklepu spożywczego. Szedł kilka kroków przed nią. Miał słabość do portera, a co gorsza, piwo potęgowało u niego wrodzone gadulstwo. Lepiej było nie narażać się na jego towarzystwo. Potrafił zanudzić na śmierć, wspominając stare dobre czasy. Dopiero kiedy wszedł do pubu, Mary-Kate przyspieszyła kroku. Zanim tam dojdzie, Emmet na pewno znajdzie sobie jakąś ofiarę.

- Cześć, Lara - powitała wysoką rudowłosą kobietę, która właśnie wysiadła ze srebrzystego mercedesa.

- Witaj. - Lara uśmiechnęła się ciepło. - Jak interesy?

- Aż za dobrze. W tym mieście roi się od hipochondryków. Szkoda, że nie mam udziałów w firmie farmaceutycznej.

Parsknęły śmiechem.

- A co u ciebie? - zainteresowała się Mary-Kate.

- Wspaniale. Właśnie sprzedawałam dom O'Brienów.

- Zamek Shanrock? - Mary-Kate była pod wrażeniem. Ktoś, kto kupił tę olbrzymią posiadłość - rozsypujące się zameczysko na dwudziestu hektarach zachwaszczonego parku - musiał być nieprawdopodobnie bogaty. - Kolejna gwiazda rocka?

W okolicy mieszkało już czterech muzyków rockowych, co najmniej pół tuzina pisarzy i ekscentryczny kompozytor. Gwiazdy rocka prowadziły spokojny i przykładowy tryb życia, szalone imprezy odbywały się u kompozytora. Producenci z Hollywood przylatywali prywatnymi helikopterami i błagali, żeby raczył skomponować muzykę do filmu.

- Nie, aktorka. Nie mogę jeszcze zdradzać nazwiska, ale jedno ci powiem: dostała tyle Oscarów, że już nie wie, gdzie je trzymać.

Mary-Kate uśmiechnęła się złośliwie.

- Wszystkie tak narzekają. Umówiłam się z Delphine. Dołączysz do nas?

Lara zgodziła się dokładnie w tej chwili, gdy przed pubem zatrzymał się sfatygowany garbus, z którego wysiadła zgrabna rudowłosa kobieta w fioletowym aksamitnym płaszczu.

- Cześć, dziewczyny! - Delphine Ryan uściskała ciotkę i pomachała Larze, koleżance ze szkoły. - Strasznie długo się nie widziałyśmy. Co nowego? Rozsiadły się w zacisznym pubie i gadały o wszystkim, poczynając od cen nieruchomości, na fatalnym stanie dróg kończąc.

- Na Blackglen Road jest dziura jak mały basen, marnuję mnóstwo czasu, żeby ją ominąć - narzekała Lara. - Jeśli pójdą mi resory w mercedesie, pozwę zarząd gminy do sądu. - A ja uwielbiam Blackglen Road - westchnęła Delphine. - Jest tam taki piękny stary dom, chcielibyśmy go kupić z Eugene'em, ale to nie na naszą kieszeń. Jest cudowny, ma takie wielkie staroświeckie kominki i ogromny ogród z małym zagajnikiem.

- A, Kilnagoshell House, dawny pensjonat - domyśliła się Lara. - Sprzedałam go pół roku temu. Kupiła go ta kobieta z Dublina, wdowa. Nazywa się Virginia Connell i jest bardzo miła. I bardzo samotna, tak mi się wydaje. Odwiedź ją, Mary-Kate.

- Jeśli nie chce zawierać nowych znajomości, jej sprawa - zauważyła spokojnie Mary-Kate. - Nie będziemy się narzucać. Kiedy zapragnie towarzystwa, znajdzie nas.

Lara dokończyła kanapkę.

- Na mnie już czas, dziewczyny. Wyceniam dziś ten uroczy domek przy Killarney Road.

- Chyba nie dom Gearóida? - zdziwiła się Mary-Kate. - Chcą go sprzedać czy co?

- Czy co! - zaśmiała się Lara. - Dostał go siostrzeniec Gearóida z Anglii. Współczuję mu - dodała po chwili namysłu. - Gearóid zostawił dom w opłakanym stanie. A później mam wpaść do Richardsonów. Szkoda, że się wyprowadzają, to mili ludzie.

- Ja też muszę lecieć. - Delphine wstała. - Dzisiaj po południu mam masaż twarzy, dwa razy manikiur i wosk bikini. Cześć, Mary-Kate. - Cmoknęła ciotkę w policzek.

- W takim razie w spokoju dopiję kawę. - Mary-Kate uśmiechnęła się ciepło szarymi oczami. - Poważny wiek ma swoje zalety. Trzymajcie się, dziewczęta.

Młode kobiety wyszły na dwór.

- Piękny dzień, co? - Lara uniosła twarz do bladego październikowego słońca. - W pogodne dni Redlion jest magiczne. Richardsonowie chyba zwariowali, że się wyprowadzają. Nie rozumiem, jak można stąd wyjechać z własnej woli.

- Masz rację. - Delphine rozmarzonym wzrokiem przyglądała się sennej ulicy, przy której pastelowe domki zdawały się drzemać w promieniach słońca. - W naszej wiosce jest jakaś uzdrowicielska moc. Plotę bzdury?

- Skądże. W Dublinie żyłam na kawie, prozacu i winie. Kiedy wróciłam do domu, odkryłam, co to spokój.

- Lara Stanley spokojna! - zażartowała Delphine. - Tego jeszcze nie było.

Lara uśmiechnęła się lekko.

- No dobrze, spokojniejsza. Dzięki tej wiosce; tu jest naprawdę wyjątkowo. Wiesz, kiedy wyjeżdżałam z Dublina, wszyscy znajomi stukali się w głowę. Mówili, że się zanudzę na śmierć. A w Redlion wcale nie jest nudno.

- Właściwie trochę nudy by się nam przydało - zauważyła Delphine. - Ostatnio za dużo się dzieje. W przyszłym tygodniu w hotelu znowu będzie zjazd polityków, na pewno przyjadą dziennikarzy. A wczoraj robiłam manikiur tej piosenkarce, która się niedawno sprowadziła;

szykuje wielką imprezę w związku z promocją nowej płyty w listopadzie.

-No właśnie tak wygląda spokojne życie na wsi - westchnęła Lara. -Ale nie opowiadam o tym mieszczuchom, bo zaraz zwałiby się nam tutaj pół Dublina.

Delphine parsknęła śmiechem.

- A Redlion to nasza tajemnica, prawda?

Rozdział 1

Hope Parker postawiła torby z zakupami i podeszła do półki z książkami kucharskimi. Nie zainteresowały jej ani *Pyszne ciasta*, ani *Wielka księga kuchni chińskiej*, *Przyjęcia doskonale* czy *Proste posiłki*. Nie szukała książki z przepisami na proste posiłki. Akurat proste posiłki ma doskonale opanowane. Nie, potrzebna jej obszerna książka kucharska, w której przystępnie tłumaczą wszystkie terminy i z której w końcu mogłaby się dowiedzieć, co to takiego szybkowar, do czego służą drożdże i czy gotowanie na parze bardzo się różni od zwykłego. Tego właśnie szukała: książki, dzięki której nauczy się gotować coś bardziej skomplikowanego niż kurczak w sosie z puszkii.

Ominęła wzrokiem opasłe tomiszcze poświęcone kuchni francuskiej. Podeszła bliżej do regału. W księgarni robił się tłok, jak zwykle w porze lunchu. I wtedy ją zobaczyła: grubą, z tytułem złotymi literami: *Gotowanie dla tchórzliwych. Zostań królową kuchni*.

Królowa kuchni? Właśnie o to chodzi. Nigdy więcej mrożonej lazanii i sosów ze słoika. Witajcie, smakowite domowe obiady, przy których Matt będzie się uśmiechał od ucha do ucha. I wreszcie przestanie żartować, że nigdy nie przytyje, bo nie ma mu kto gotować.

Zdjęła znalezione z półki i dokładnie obejrzała w nadziei, że nie dostrzeże zniechęcającego zwrotu „dla zaawansowanych”. Nie dostrzegła. Na okładce widniało zdjęcie uśmiechniętej kobiety przy stole uginającym się dosłownie od smakowicie wyglądających dań.

Hope otworzyła książkę i przebiegła wzrokiem wstęp - był dowcipny, napisany prostym, przejrzystym językiem, a co najważniejsze, autorzy nie namawiali do kupowania drogiego, skomplikowanego sprzętu,

zanim w ogóle zabierzesz się do gotowania. Nie stać jej było na specjalne krajalnice do ziół i takie tam cuda.

„Gotowanie jest naprawdę łatwe - kusiała książka. - Jeśli wydaje ci się, że nigdy się tego nie nauczysz, zaufaj mi, a zobaczysz jakie to proste”.

Autorka nie sugerowała, że to książka dla dwudziestoparoletnich świeżo upieczonych mężatek ani że kobieta trzydziestosiedmioletnia powinna wiedzieć wszystko o gotowaniu.

Hope nigdy nie chodziła do rzeźnika. Nie wiedziałyby, o co poprosić, zresztą nawet gdyby sprzedano jej comber jagnięcy, nie miałyby pojęcia, jak go przyrządzić. Kupowała mięso w supermarkecie, gdzie nikogo nie obchodziło, czy wie, jaka jest różnica między rostbefem a antrykotem.

„Niepotrzebnie obawiamy się kupowania mięsa”, czytała i miała wrażenie, że autorka książki zna jej myśli. „Kiedy poznamy podstawy, wszystko stanie się jasne”.

Kupione. Hope zapłaciła, zabrała paczki z innymi zakupami i poszła dalej, do domu towarowego Jolly, pogrążona w marzeniach, jaką to będzie wspaniałą kucharką. Wyobrażała sobie uroczyste kolacje: Matt nie będzie już zapraszał ważnych klientów do najlepszych restauracji w Bath. O nie, zacznie ich przyprowadzać do domu, a ona, ubrana elegancko, ale seksownie, będzie krążyła między salonem a kuchnią, spowita, jak perfumami, zapachem domowego kremu waniliowego. Będzie się wdzięcznie uśmiechała, słuchając komplementów zachwyconych biznesmenów, którzy pochłaniając z apetytem jej smakołyki, będą się dziwili, czemu, na Boga, nie otworzyła do tej pory własnej restauracji.

Toby i Millie będą zachwyceni. To znaczy, kiedy trochę podrosną. Domowy majonez i keczup będą dla nich czymś oczywistym, a kiedy już pójdą do szkoły... Hope wyobraziła sobie, jak jej dzieci chwalą się przed kolegami: „Moja mama gotuje najlepiej na świecie, koniec, kropka!” Doskonale pamiętała takie przechwałki ze szkolnych lat. Tylko że ona i Sam, jej siostra, nigdy nie zabierały wtedy głosu. O ciotce Ruth wiele można by powiedzieć, ale z pewnością nie to, że dobrze gotowała. Hope po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy jej matka umiała gotować. Ciotka Ruth nigdy nic o tym nie mówiła. Może mama świetnie gotowała. Ba, może to sprawa genetyczna: wystarczy, że Hope zdobędzie się na odwagę, a odkryje drzemiący w niej talent.

W Jolly oderwała się od rozważań kuchennych. Jej uwagę przykuła śliczna spódnica w delikatne różyczki. Tęsknie musnęła palcami miękką bawełnę. Wśród posepnych jesiennych ubrań stojak z letnimi rzeczami wyróżniał się jak ukwiecona łąka między burymi zaoranymi polami.

Torba boleśnie wpijała się jej w nadgarstek, więc postawiła ją na ziemi i ponownie skupiła się na spódnicy. Na bladobłękitnym tle mieszały się drobne kwiatuszki lila i malinowe różyczki. Hope westchnęła tęsknie. To nie ciuch, to styl życia. Kobieta w takiej spódnicy mieszka w ślicznym wiejskim domku, ma ładne, dobrze wychowane dzieci, koty, króliki i męża, który świata poza nią nie widzi. Kobieta w takiej spódnicy pięknie naftuje, robi pyszne przetwory z owoców i warzyw, które sama wyhodowała w ogródku, i suszy kwiaty lawendy. Nie spina spódnicy agrafką i nie krzyczy na dzieci, jeśli wczesnym rankiem wyleją na siebie karton mleka i trzeba je błyskawicznie przebierać. W ogóle nigdy nie krzyczy, chodzi powoli i spokojnie, używa kwiatowych perfum w staromodnych flakonach. Na jej widok ludzie szepcą:

- Ta Hope jest niesamowita, prawda? Cudowna matka, a jak gotuje, jadłaś jej szarlotkę? I do tego jeszcze pracuje...

Akurat. A świnię latają. Hope po raz ostatni pogładziła bawełniany materiał i podniosła torbę z zakupami. Nie jest taką kobietą i nigdy nie będzie. Nie dla niej kwieciste sukienki. Do niej pasują spodnie od dresu. Jej dzieci przywykły już, że w kółko wrzeszczy: „Przestańcie natychmiast, bo was zabiję!” Nigdy przy chodzeniu nie kręci biodrami - niełatwo o to, kiedy się ma oponkę na brzuchu i krótkie nogi. I nigdy nie rozmawiała z sąsiadami na tyle długo, by zdążyli sobie wyrobić jakieś zdanie na jej temat. Nie licząc tej okropnej baby, która mieszka dwa domy dalej i pozwala swojemu psu załatwiać się w ogródku Hope. Parę dni temu okropnie się pokłóciły. A jeśli chodzi o szycie i haftowanie, do tej pory nie przyszyła guzika do służbowej spódnicy i od kilku miesięcy zapina ją na agrafkę. Co prawda, ma to swoje dobre strony - teraz dzięki dużej agrafce spódnica jest w sam raz, a za czasów guzika była nieprzyjemnie ciasna. No właśnie, praca. Musi się pospieszyć, bo inaczej się spóźni.

Potrząsnęła głową, jakby chcąc się pozbyć resztek marzeń o kwiecistej sukience, wzięła torby i poszła do działu męskiego, do stoiska z krawatami. Długo szukała, ale wreszcie znalazła taki, który na pewno przypadnie Mattowi do gustu: z grubego, mięsistego jedwabiu w kolorze karmelowym, w dyskretny wzorek. Przykładała go do każdej koszuli na manekinach; pasował do niebieskich, ale przy granatowej w prążki wyglądał po prostu świetnie. Westchnęła niezdecydowana.

Matt nie lubił niebieskiego. Ten szary krawat byłby bardziej użyteczny i, co ważne, znacznie tańszy, ale Matt przepada za drogimi drobiazgami. Podniosła oba krawaty i jak zwykle niezdecydowana, głowiła się, który wybrać.

Dobrze, niech będzie karmelowy. Kosztuje więcej niż mój płaszcz, pomyślała, ale co tam.

Sprzedawczyni włożyła krawat do pudełka. Miała starannie zrobioną fryzurę, zadbane paznokcie i nieskazitelny makijaż, jakby dopiero co wyszła z łazienki. Hope poczuła się nieswojo; wiedziała, że na jej ustach po szmince nie został nawet ślad, a włosy co rano w pośpiechu ściągała gumką w koński ogon.

W porównaniu z elegancką ekspedientką pewnie wygląda jak zapuszczona flądra. Przypomniała sobie czasy, gdy i ona była zadbana i wymuskana, dawne czasy, zanim urodziły się dzieci. Wtedy co niedziela robiła sobie manikiur. Dzisiaj co niedziela ocierała pot z czoła nad deską do prasowania, a później biedziła się nad łączeniem w pary niezliczonych skarpetek.

- Czy to na prezent? - Ekspedientka zapytała takim tonem, jakby z góry wykluczała, że Hope mogłaby kupować taki drogi krawat w innym celu.

- Tak. - Hope z trudem stłumiła ochotę, by odpowiedzieć, że wcale nie, to dla niej, w weekendy przebiera się w męskie ubrania, a tak przy okazji, to jeszcze nie ma partnerki na coroczny piknik lesbijek-harleyówek.

Nie zrobiła tego jednak, tylko uśmiechnęła się uprzejmie. Rzeczywiście nie kupowałyby takiego drogiego krawata ot tak sobie. Nawet jak na prezent na czterdzieste urodziny był szaleńczo drogi. Jedyna pociecha, że Matt będzie zachwycony. Krawat pasuje doskonale do jego nowego garnituru, bardzo eleganckiego i wyrafinowanego, i do image'u Matta, także wyrafinowanego. Jedynym prostym elementem w życiu Matta Parkera jest ona, Hope. No właśnie, może to jest przyczyna? Zastanowiła się, nagle zaniepokojona.

Bo ostatnio Matt nie był sobą. Zazwyczaj promieniał optymizmem, a od kilku miesięcy snuje się po domu ponury i zły. Nie bawią go długie wieczory przy stole, gdy dzieci już śpią. Zrobił się nerwowy i rozdrażniony. W chwilach zwątpienia Hope nabierała pewności, że to ma coś wspólnego z ich małżeństwem. Albo z nią.

- Zapakować na prezent?

- Nie, sama to zrobię - odparła. Już dawno doszła do wniosku, że nie ma sensu pakować prezentu już w sklepie, bo w domu i tak zawsze otwierała paczuszkę, żeby jeszcze raz obejrzyć, co kupiła. Wrzuciła krawat do reklamówki i szybko wyszła ze sklepu.

Ledwie skrzyła za róg, wpadła na grupę turystów, którzy zachwycali się głośno georgiańską architekturą Bath. Owszem, to piękne miasto, ale po pięciu latach Hope przyznawała ze wstydem, że jego urok już nie robił na niej wrażenia. Przez pierwsze pół roku chłonęła wszystko szeroko otwartymi oczami, teraz przemykała szybko jak inni mieszkańcy, nieczu-

ła na urodę miasta i przyzwyczajona do wszechobecnych turystów. Pchnęła szklane drzwi prowadzące do siedziby Towarzystwa Budowlanego Witherspoon, do bólu świadoma, że jest za dwadzieścia trzecia, a miała wrócić z przerwy dziesięć minut temu.

Wiedział o tym także pan Campbell, jej przełożony, skrupulatnie przestrzegający godzin pracy.

- Spóźniła się pani dziesięć minut, pani Parker - poinformował ją spokojnie.

Hope spieszyła się i zarumieniła - nic dziwnego po długim biegu.

- Bardzo przepraszam, panie Campbell - wymamrotała. - Ale widzi pan, mój mąż kończy czterdzieści lat i chciałam mu kupić prezent...

- Ależ nic nie szkodzi - zapewnił serdecznie. - Jednak na przyszłość proszę się nie spóźniać.

Poszła do szatni dla pracowników, upchnęła zakupy w szafce, zdjęła płaszcz i szybko wróciła do swojego stanowiska.

- Jakim cudem ten tyran nie pożera cię żywcem za spóźnienia? - zainteresowała się Yvonne. Pracowała w Witherspoon od pięciu lat, podobnie jak Hope, ale narzekała, że pan Campbell nadal traktuje ją jak byłego skazańca na okresie próbnym.

- Bo mam niewinną twarz. - Hope uśmiechnęła się do przełożonego. - A ty wyglądasz na wampa.

Yvonne ucieszyła się, uznając to za komplement, bo tak właśnie chciała wyglądać. Zresztą była zbyt dobroduszną, żeby się obrazić, w przeciwieństwie do Betsey, drugiej przyjaciółki Hope. Betsey obrażała się o wszystko i zaraz wypytywałyby, co Hope miała na myśli.

Hope zdawała sobie sprawę, że ona za żadne skarby świata wampa nie przypomina. Wampy nie mają brązowych kręconych włosów, z którymi nic, ale to absolutnie nic się nie da zrobić. Ani okrągłej buzi z dużymi, jakby wiecznie zdziwionymi orzechowymi oczami, i drobnych ust jak z XVI II-wiecznych francuskich obrazów.

Matt kiedyś wyznał, że zakochał się w niej, „bo jest nie z tego świata”. „Jakbyś pojawiła się w XX wieku prosto z historycznego serialu”, powiedział. Często wygadywał takie rzeczy, trochę szalone, trochę romantyczne. Marnuje się w reklamie, pomyślała z czułością.

Przez najbliższe pół godziny przy wszystkich pięciu stanowiskach był tłok; zdenerwowani turyści wymieniali czeki podróżne na gotówkę, żeby jeszcze kupić pamiątki, nim zabierze ich autokar.

W końcu ostatni turysta wyszedł na poszukiwanie malowanych kubków, serwetek i innych drobiazków. Hope poprawiła się na krześle i zastanawiała, jak doczeka do przerwy o szesnastej.

- Co kupiłaś Mattowi? - Yvonne podsunęła jej ukradkiem paczkę cukierków. Co prawda jedzenie w pracy było surowo zabronione, ale Hope uznała, że musi sobie podnieść poziom cukru we krwi.

- Krawat, wodę kolońską i wino - odparła, dyskretnie rozwijając cukierek.

- Nieźle - wybełkotała Yvonne z pełnymi ustami.

Żuły w milczeniu, Hope w myślach planowała uroczysty wieczór urodzinowy. Najważniejszym punktem programu będzie specjalna kolacja. We dwoje, jeśli się uda położyć Millie spać. Miała dopiero cztery latka, ale już rządziła rodziną Parkerów małą żelazną rączką. Dwuletni Toby był całkowitym przeciwieństwem siostry. Hope martwiła się o synka, ilekroć prowadziła go do przedszkola. Millie poradzi sobie z każdym, ale czy stanie w obronie braciszka? Tyle się słyszy o agresji wśród dzieci... Hope zabiłaby każdego bachora, który chciałby skrzywdzić Toby'ego. Błady, cichy i nieśmiały przypominał ją samą z dzieciństwa. Codziennie modliła się, żeby z czasem nabrał siły i zdecydowania.

- Prezenty dla mężczyzn to niełatwa rzecz - westchnęła Yvonne. -Imponują mi kobiety, które mówią coś w stylu: „Kochany, twój prezent mam na sobie”. I wiesz, pokazują pas do pończoch, stanik... Może wypróbuję to na Freddie.

- Super - mruknęła Hope odruchowo. Yvonne miała dwadzieścia dziewięć lat i bez skrepowania rozmawiała na każdy temat, zdradzając intymne szczegóły swego życia, czym zawsze wprawiała Hope w zakłopotanie. Hope wolała zachować swoje życie dla siebie. Nie było to łatwe przy Yvonne, która nie miała oporów, żeby pytać, czy Matt miał kiedyś romans albo czy Hope kiedykolwiek używała kapturka.

- Ee, nie - odparła Hope na to ostatnie pytanie, czerwona ze wstydu. W domu ciotki Ruth nie rozmawiało się o seksie i takich sprawach. Kiedy zaczęła miesiączkować, ciotka Ruth nic nie powiedziała, tylko dała jej książkę o dojrzewaniu dziewcząt. Nie tyle dała, ile wepchnęła w ręce i wyszła na partyjkę brydża. Nigdy więcej nie było mowy na ten temat. Hope fascynowały artykuły typu „odrobina szaleństwa w małżeństwie”, chociaż nawet jej do głowy nie przyszło, by próbować takich rzeczy z Mattem.

- Powinnaś dać Mattowi taki prezent. - Yvonne trąciła ją w żebro.

- Jaki prezent?

Yvonne przezornie zniżyła głos - pan Campbell wyszedł ze swojego gabinetu i stanął przy fotokopiarce.

- Załóż coś sexy i powiedz, że to część prezentu urodzinowego.

- No wiesz, Yvonne, tobie tylko jedno w głowie - szepnęła Hope.

Yvonne odrzuciła do tyłu proste czarne włosy. - Żebyś wiedziała!

Weszło troje klientów i Hope udało się nie myśleć o propozycji Yvonne. Nawet nie chodziło o to, że w ogóle nie brała pod uwagę występu w seksownej bieliźnie. Po prostu miała wrażenie, że Mattowi większą przyjemność sprawi nowy krawat i dobre wino.

Dwie godziny później zżymała się na korki, wyjeżdżając z miasta w kierunku Bristolu. Wkrótce skręciła w Maltings Lane. Była to jedna z młodszych dzielnic Bath; niewielkie domki o ścianach koloru miodu powstały w latach pięćdziesiątych. Były małe i stosunkowo tanie, dlatego większość mieszkańców stanowiły zapracowane młode małżeństwa z małymi dziećmi.

Pięć lat temu, kiedy się tu sprowadzili, Hope miała ambitne plany; nabyła encyklopedię ogrodnictwa i liczne poradniki, jak wyczarować zieloną oazę w małym ogródku na przedmieściach. Teraz książki stały na półce, zakurzone i zapomniane, podobnie jak poradniki o urządzaniu wnętrz. Hope coraz częściej omijała wzrokiem mały ogródek, zarośnięty trawnik i cztery żalośnie niskie tuje, które uparcie odmawiały dalszego wzrostu. Dzisiaj też nawet nie spojrzała na trawnik; tak się spieszyła, że nie miała czasu ani na wyrzuty sumienia, które ją zwykle opadały, ani na solenne obietnice, że w ten weekend już na pewno zajmie się ogrodem.

Marta dostawała szału, kiedy przychodziło się po dzieci później niż kwadrans po szóstej. Marta prowadziła Kochane Pociechy, prywatne przedszkole, do którego chodzili Millie i Toby. Przedszkole cieszyło się doskonałą opinią, zatrudniało świetnie wyszkolony personel, więc Hope wołała nie wyrażać na głos opinii, że wobec rodziców dyrektorka zachowuje się jak wredna suka. Na miejsce tutaj czekało wiele dzieci, lepiej dyplomatycznie milczeć. Jeśli zabierze dzieci z przedszkola, o ich miejsca będzie się ubiegać co najmniej trzydzieścioro innych. Ale nierzadko wracała do domu ze łzami w oczach, zwymyślana przez Martę za spóźnienie. Matt żartował sobie z niej, zupełnie nie rozumiał, jak można się przejmować czymś takim.

Przedszkole zamykano o szóstej piętnaście i jeśli jakiś rodzic śmiał pojawić się sekundę po czasie, czekał go wykład typu „Jeśli się państwu wydaje, że pozwolę się wykorzystywać, są państwo w błędzie”.

Hope za żadne skarby świata nie była w stanie wyobrazić sobie kogoś, kto potrafiłby i chciał wykorzystać Martę.

Wypakowała zakupy z bagażnika. Kot sąsiadów siedział żałośnie na progu, smagany lodowatym wrześnieowym wiatrem, i sprawiał wrażenie kandydata do schroniska, choć był tak gruby, że nie mieścił się w drzwiczki dla kotów i trzeba go było wpuszczać przez okno. Postawiła zakupy przy drzwiach. Mleko stało kilka godzin w szafce, ale chyba nie skwaśniało.

- Nie możesz wejść, grubasie - poinformowała kota, starając się wślizgnąć do domu. Udało się. Byle jak postawiła torby w kuchni i zerknęła na zegarek.

Szósta. Nie spóźni się, pomyślała z ulgą. Wstawiła mleko do lodówki i wybiegła.

Przedszkole mieściło się za zakrętem; jak zwykle przed bramą aż się roiło od nieprawidłowo zaparkowanych samochodów, zmęczonych rodziców i rozmarudzonych dzieci. Hope już dawno doszła do wniosku, że woli iść na piechotę niż przez piętnaście minut szukać miejsca do parkowania.

- Dzień dobry - powitała Martę z fałszywie radosnym uśmiechem. Właścicielka stała przy drzwiach jak rottweiler i z posępną miną rozważała, komu skoczyć do gardła, a do kogo się łąsić. - Zimno dziś, prawda?

- Jak to w październiku - warknęła Marta w odpowiedzi. Okrągłe kolczyki zadźwięczały groźnie.

Hope uśmiechnęła się głupekowato, wściekła na siebie za ten grymas. Nie po raz pierwszy oddała się marzeniom na jawie. Ona i Matt wygrywają w totolotka. Hope rezygnuje z pracy i poświęca cały swój czas dzieciom. Oczami wyobraźni widziała się w towarzystwie pani do sprzątnięcia, prasowania i robienia zakupów. I najważniejsze - kiedy wygrają, powie Marcie, co o niej sądzi, bo przedszkole nie będzie im już potrzebne. Sama zaopiekuje się dziećmi, bez łaski. Będą razem całymi dniami, będą malować, wymyślać historyjki, piec ciasteczka. A Hope nie będzie się wściekała, że później musi sprzątać całą kuchnię. Będzie gotowała przepyszne domowe posiłki, nie sosy z puszki, nauczy się haftować, a ogród będzie zachwycał pięknymi roślinami. Sielanka.

Toby i Millie czekali w największej sali, przytulnym pokoju pełnym zabawek i dziecinnych mebelków.. W ciepłych kurtkach wyglądali jak mali Eskimosi. Ciemnowłosa Millie, niecierpliwa jak ojciec, przytupywała ze złości. Brązowe oczka błyskały wściekle. Wstrętni dorośli każą jej tu czekać w niewygodnym ubraniu, a przecież w tym czasie mogłaby się bawić! Toby, blady jak mama, stał spokojnie z czapką w dłoni. Na widok Hope rozpromienił się.

- Mamo, dostałem gwiazdkę - poinformował ją radośnie.

- Nieprawda - oburzyła się Millie. Miała dopiero cztery latka, ale mówiła bardzo ładnie. - Nie ty, tylko ja.

Toby spochmurniał.

- Millie - skarciła ją Hope - bądź miła dla Toby'ego.

- To dzieciak. - Millie zmarszczyła zadarty noseć.

- To twój braciszek - poprawiła Hope. - Masz się nim opiekować, a nie dokuczać.

Millie wzięła go za pulchną łapkę i podniosła na matkę pytający wzrok: czy teraz zasłużyła na pochwałę?

Hope uśmiechnęła się wbrew sobie. Córeczka jest bardzo bystra.

Marta kręciła się po pokoju, pobrzękując kluczami jak więzienny strażnik.

Pożegnali się i wyszli.

Szli do domu, trzymając się za ręce: Millie paplała jak katarynka, Toby milczał. Zawsze tak samo. Toby nie odzywał się mniej więcej przez pół godziny, dopiero kiedy odtajał we własnym bezpiecznym domu, zaczynał rozmawiać, śmiać się, wyciągać ulubione zabawki; ostatnio był to wściekle fioletowy pociąg o niezliczonych wagonach, które wiecznie gubiły się pod meblami. Hope martwiła się o synka. Najwyraźniej nie bardzo lubił przedszkole, ale bała się zapytać wprost, bo jeśli Toby rozplacze się i poprosi, żeby go tam więcej nie wysyłała?

Koleżanka z pracy niedawno przeżyła taki horror: jej córeczka przez dwa miesiące szlochała co rano i zaklinała matkę, żeby nie szła do pracy.

Wszystkie młode matki spuszczały wzrok z poczuciem winy, gdy umęczona kobieta opowiadała o tym w przerwie na lunch.

- Nie znoszę rozstawać się z synkiem - wyznała samotna matka z księgowości.

- Mężczyźni tego nie rozumieją - zawtórowała asystentka dyrektora, matka trojga dzieci.

Wszystkie kiwały głowami, zmartwione i smutne.

Hope co rano uważnie przyglądała się Toby'emu, szukając na jego buzi oznak rozpaczu. Wiedziała, że gdyby kiedyś zalał się łzami, z miejsca rzuci pracę i powie Mattowi, że muszą wymyślić inny sposób na spłacenie hipoteki, bo ona nie zniesie rozpaczu synka. Ale Toby nie płakał. Posłusznie wędrował do przedszkola każdego ranka i tylko patrzył na Hope wielkimi oczami, gdy się z nim żegnała pod czujnym wzrokiem Marty.

- Jest po prostu spokojny i cichy - zapewniła Claire, przedszkolanka, gdy Hope zwierzyła się jej ze swoich obaw. - Ale naprawdę mu tu dobrze, Hope. Najchętniej bawi się plasteliną. I uwielbia słuchać bajek. Wiemy, że jest nieśmiały, i mamy na niego oko. Millie to co innego, prawda?

O tak, zgodziła się, Millie to zupełnie co innego. Była przebojowa i pewna siebie w porównaniu z braciszkiem. Zupełnie jak Hope i jej siostra Sam w dzieciństwie: Hope cicha i łagodna, a Sam, starsza o trzy lata, silna i pewna siebie.

Dzisiaj, ledwie weszli do domu, Millie nakrzyczała na swoje lalki. Kazała im wypić mleko i siedzieć prosto, bo inaczej popamiętają! Zachowywała się zupełnie jak Marta w rozmowie z rodzicami. Hope uklękła i rozpięła kurtkę synka.

- Jak było w przedszkolu? Dobrze? - zagadnęła miękko. Pomogła mu wyjąć rączki z rękawów i uściskała serdecznie. Toby

skinął głową. Hope pocałowała jasną główkę. Z rozkoszą Wdychała zapach dziecka - mieszankę dziecięcego szamponu, płynu do płukania i przedszkola.

- Mamusia cię kocha, Toby, wiesz o tym, prawda? Bardzo, bardzo mocno.

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po policzku pulchną łapką.

- Mamusia musi przygotować specjalną urodzinową kolację dla tatusia, ale najpierw chyba się pobawimy, co?

Toby znowu skinął głową.

- Poczytamy bajkę? Wybieraj, którą chcesz.

We trójkę usadowili się na wielkiej beżowej kanapie, gdy Hope czytała ulubioną książeczkę Toby'ego o misiu Borysie. Millie jak zwykle zaczęła narzekać, że to dla maluchów, a nie takich dużych dzieci jak ona, ale oczywiście pod koniec siedziała zasłuchana i żądała, żeby pokazać jej obrazki. Po niedźwiadku przyszła kolej na *Małą Syrenkę* - ulubioną bajkę Millie. Spała w pościeli w syrenki, w piżamce w syrenki i miała chyba wszystkie gadżety związane z disneyowską syrenką.

Dwadzieścia minut później Hope dopiero zabierała się za kolację dla dzieci, choć powinna już szykować powitanie Matta. Co prawda maluchy dostają w przedszkolu podwieczorek koło czwartej, ale jej zdaniem to za mało. Dzieci muszają się gorące posiłki, było tak napisane we wszystkich podręcznikach. Kiedy maluchy się bawiły, Hope szykowała filety z piersi kurczaka i warzywa. Gdyby była kobietą w kwiecistej spódnicy, podałyby im puree z marchewki z własnego ogródka i domową lazanie.

Tylko że Millie nie znosi domowych potraw, za to przepada za paluszkami rybnymi i makaronem w kształcie dinozaurów. Więc i tak nie zjadłaby niczego z ogródka.

Hope z dumą pomyślała o nowej książce kucharskiej, na razie porzuconej w torbie w przedpokoju. Wkrótce będzie wyśmienitą kucharką i wszyscy zaczną się zachwycać jej daniami. Zdjęła folię ze steków. Przepis

wydawał się prosty, ale steki bywają podstępne, łatwo je wysmażyć na wiór. Wolałaby iść do restauracji, ale Dan, współpracownik i najlepszy przyjaciel Matta, urządził za trzy dni uroczystą kolację. Agencja podpisała zyskowny kontrakt i będą świętować podwójnie - urodziny Matta i korzystne zlecenie. Hope nie wypadało marudzić, że wolałaby urodzinowy obiad we dwoje. Matt jest taki towarzyski, już się cieszy na to spotkanie. Jak zwykle będzie brylować i czarować swoim urokiem osobistym. Hope zawsze czuła się trochę nie na miejscu na uroczystych kolacjach z ludźmi ze świata reklamy. Chociaż jako matka dwojga dzieci była obiektem zainteresowania twórców reklam, o wiele bardziej interesowała ich jako element statystyk niż kobieta z krwi i kości.

Musi sobie kupić suknię na tę kolację, pomyślała. Adam, szef Matta, ma nową żonę Jasmine. Matt opisał ją w chwili słabości jako „lepszą laskę niż wszystkie aktorki ze *Słonecznego patrolu*”, więc Hope musi naprawdę zrobić się na bóstwo.

Wciąż myśląc o przyjęciu, podała dzieciom kolację i zrobiła sobie herbatę.
-Toby! Millie! Kolacja! - zawołała.

Usiedli jak zwykle naprzeciwko siebie, żeby Millie nie wylewała mleka braciszкови. Hope siedziała pośrodku i uspokajała. Millie rzeczywiście grzebała widelcem w talerzu i domagała się paluszków rybnych, dla rozrywki rozrzucając marchewkę po całym stole. Toby jadł szybko i z apetytem, plastikowy widelec z Kubusiem Puchatkiem migał w małej pulchnej rączce. Wypił mleko i zjadł wszystko, podczas gdy Millie bawiła się lalką Barbie, rozrzucała marchewkę i śpiewała coś pod nosem.

- Millie! - Hope straciła cierpliwość, gdy Barbie bezczelnie kopnęła kurczaka na podłogę.

Wyrwała lalkę, na co Millie zaniósł się szlochem. Kolejne kawałki kurczaka wylądowały pod stołem.

- Millie! Tak nie wolno! - Hope starała się opanować złość i nie okazać irytacji i zmęczenia. Oto uroczne godziny z dziećmi.

Millie zsunęła się z krzesła, kopnęła stół, rozlała herbatę i uciekła z kuchni. Gorąca herbata wylądowała na spódnicy od kostiumu „do pracy”. Hope oczywiście znowu się nie przebrała po powrocie do domu.

- Ilekroć od drzwi słyszę wrzaski, wiem, że trafiłem do właściwego domu - zauważył Matt sarkastycznie. Wyglądał jak zwykle idealnie i nie pasował do małej ciasnej kuchni, w której panował wieczny bałagan.

Hope zacisnęła zęby. Nie tak sobie wyobrażała jego powrót do domu w urodzinowy wieczór. Myślała, że powitają go smakowite zapachy z kuchni, blask świec i ona, spowita w zapach perfum i śliwkowy aksamit.

A tymczasem zastał chaos w kuchni i Hope potarganą, zmęczoną i śmierdzącą potem, a nie perfumami. Dzieci i romantyczne kolacje najwidoczniej wykluczają się wzajemnie.

Millie natychmiast przestała szlochać i podbiegła do ojca, otoczyła jego kolana ramionami i przytuliła buzię do szarych wełnianych spodni.

- Tatusiu! - zawołała radośnie, trudno byłoby uwierzyć, że przed chwilą była na granicy hysterii.

Wzięła rękę i przytulił; dwie ciemne głowy zbliżyły się do siebie; niesforne loki córeczki i krótka czupryna Matta, przysypana siwizną na skroniach. Był wysoki i szczupły, ciemne, głęboko osadzone oczy przyprawiały kobiety o szybsze bicie serca, silnie zarysowany podbródek zdradzał upór. Siwizna na skroniach dodawała mu dojrzałości i uroku. Nawet teraz, po siedmiu latach, serce Hope biło szybciej na jego widok. Najgorsze, że on chyba nie reagował w ten sposób na nią.

- Kłopoty z mamusią? - zwrócił się do Millie. Millie udało się wydusić łezkę. - Tak-chlipnęła.

- Nie chciała jeść, rozrzucała jedzenie po całej kuchni i oblała mnie herbatą - wtrąciła Hope, zdając sobie sprawę, że w jej głosie słychać rozgoryczenie. Ale nie mogła się opanować.

- Nie przejmuj się. - Nawet na nią nie spojrział. - To tylko herbata, spierze się.

Nie wypuszczał Millie z objęć, zwichrzył Toby'emu czuprynę i poszli do saloniku. Toby zsunął się z krzesła i pobiegł za nim. Zza drzwi dobiegły ją śmiechy.

Ponuro zerknęła na kremową bluzkę, też zalaną herbatą. Bluzka wysunęła się ze spódnicy i zwisała niechlujnie. Super. Szczyt elegancji. Zrezygnowana poszła na górę się przebrać. Później musi zaprać spódnicę, bo ma tylko dwie do pracy, a w drugiej oderwał się brzeg. Wyjęła z szafy jasnozielony komplet, przebrała się, wpięła w uszy perłowe kolczyki, spryskała perfumami. Ani razu nie spojrzała przy tym w lustro. Dopiero kiedy chciała się umalować, zerknęła do małego owalnego lusterka na toaletce.

Jest staromodna, wiedziała o tym. Ale nie przypominała piękności z romansów historycznych; była raczej w typie cichej, rozsądnej bohaterki Jane Austen o dużych, wyrazistych oczach. Suknie w stylu empire byłyby dla niej idealne; eksponowałyby ładny biust i dekolt, a ukrywały nieco za grubą talię i nogi. Najbardziej do twarzy było jej w pastelowych, zgaszonych odcieniach, które podkreślały kolor jej oczu. Zielony kostium był doskonały, w przeciwieństwie do brązowych i granatowych mundurków do pracy, w których wyglądała brzydko i staro.

Umalaowała usta i upięła włosy. Kiedy skończyła, dotknęła małego puderka. Na szczęście. Należało kiedyś do jej mamy i dotykanie go na szczęście było dla Hope rzeczą równie oczywistą jak mycie zębów. Nie pamiętała matki, tym większą wartość miało srebrne pudrko z orchideą na wieczku. Jej siostra Sam miała podobne, tylko że z bratkiem.

Pudrka to właściwie jedyne, co im zostało po matce. Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy dziewczynki były jeszcze bardzo małe. Wracali do domu z przyjęcia i zderzył się z nimi pijany kierowca. Ojciec zginął na miejscu, matkę zabrano do szpitala, lecz nie udało się jej uratować. Sam i Hope nic z tego nie pamiętały, a ciotka Ruth, która się nimi zajęła, nie lubiła „babrać się w przeszłości” i szybko pozbyła się właściwie wszystkiego, co należało do Camille i Sandy'ego Smithów. Millie dostała imię po babce. Kochana niesforna Millie.

Hope uśmiechnęła się, myśląc, jak zapamiętałyby ją dzieci, gdyby teraz umarła: pewnie ze ścierką do naczyń albo koszem bielizny do prasowania.

Matt oglądał CNN. Dzieci siedziały grzecznie obok. Hope podeszła od tyłu i czule pocałowała go w czoło.

- Przepraszam, że warczałam, kiedy przyszedłeś - zaczęła cicho. - Położymy maluchy do łóżka i zabieramy się do twojej urodzinowej kolacji.

- Tatusiu, poczytasz mi bajkę? - Millie wiedziała, że w ich planach nie ma dla niej miejsca i w jej głosie pojawiły się kłótlive nutki.

- Tak, skarbie. - Matt nie odrywał wzroku od telewizora.

- Bardzo długą. I straszną, o trollach i wrózkach... - Wzdrygnęła się ze strachu.

- Żadnych trolli - powiedziała Hope. - Będiesz miała koszmary.

- Nie będę - zapewniła Millie.

- Żadnych trolli - powtórzyła matka.

Matt odbębnił obowiązkową lekturę. Gdy wracał na dół, steki smażyły się na grillu, a Hope zmagala się z masłem ziołowo-czosnkowym. Znalazła przepis w jakimś piśmie, ale czy oni zwariowali? Świeże zioła, dobre sobie. Kto by sobie zawracał głowę świeżymi ziołami, które po dwóch dniach więdną i tracą aromat? I na dodatek kosztują.

- Smakowicie pachnie - zauważył i wrócił na kanapę w salonie. Nerwowo pstrykał pilotem, aż znalazł kanał sportowy. Przez otwarte drzwi kuchni widziała, jak położył nogi na stoliku. Przebrał się. Zamiast garnituru miał na sobie stare sprane dżinsy i bluzę, którą, dałaby sobie rękę uciąć, już dawno wyrzuciła.

Wzruszyła ramionami. Niech się ubiera, jak chce.

Zaniosła butelkę specjalnego urodzinowego wina. Chciała, żeby ją pochwalił.

- Otworzysz wino? - podała mu upiornie drogi korkociąg. Zobaczył kiedyś podobny w restauracji i uparł się, że muszą taki mieć.

- Dobrze. - Nie odrywał oczu od telewizora. Otworzył butelkę i podał jej. Hope nalala wina do kieliszków i zajrzała do kuchni, by upewnić się, że ze stekami wszystko w porządku. Potem usadowiła się na kanapie koło męża.

- Jak minął dzień? - zapytała. Mruknął coś niezrozumiale.

Nie dawała za wygraną. Uparła się, że urządzą sobie cudowny romantyczny wieczór. Uwielbiała takie spokojne wieczory. Ona i Matt prowadzą przy stole interesującą rozmowę, ukochane dzieci śpią smacznie na górze - tak powinna wyglądać szczęśliwa rodzina.

Ale Matt najwyraźniej był innego zdania. Uparcie gapił się w telewizor.

Hope co chwila usiłowała wciągnąć go w rozmowę. W końcu westchnął i zapytał, za ile kolacja.

- Już, zaraz. - Zerwała się i pobiegła do kuchni.

Zapaliła świece na stole, poprawiła lniane serwetki, które dostali w prezencie ślubnym, i po raz drugi tego dnia podała kolację.

Matt pojawił się przy stole dokładnie w tym momencie, gdy postawiła jego talerz na lnianej serwetce. Z apetytem zabrał się do jedzenia.

- Smaczne? - dopytywała się Hope.

- Mhm - mruknął. Kątem oka nadal zerkał w telewizor. Po wiadomościach przyszła kolej na monotonne wycie motocykli.

Pokroił sobie stek na małe kawałeczki, żeby bez przeszkód oglądać wyścigi.

- Wszystko w porządku? - nie wytrzymała.

- Tak, pyszne. Wyśmienity stek - zauważył. -Nie miałam na myśli kolacji.

Westchnął i na chwilę oderwał się od telewizora.

- Hope, czy naprawdę musimy dzisiaj odbyć kolejną rozmowę z serii „Czy wszystko w porządku”? Jestem zmęczony, mam za sobą ciężki dzień i chciałbym odpocząć. Chyba nie proszę o zbyt wiele?

Poczuła łzy pod powiekami.

- Skądże.

Komentator relacjonował coś z zapalem, Hope jadła machinalnie, nie czując smaku.

Coś jest nie tak, wiedziała. Wiedziała od wielu tygodni. Matt nie jest szczęśliwy i to nie ma nic wspólnego z pracą. Chodzi o sprawy osobiste, o nich, o coś strasznego.

Wpadł w depresję dwa miesiące temu, gdy otrzymali z Irlandii wiadomość o śmierci jego ukochanego wuja. Początkowo myślała, że gryzą go wyrzuty sumienia, bo od lat nie odwiedzał Gearóida. Rodzina Matta nie należała do zbyt wylewnych. Zaraz po ślubie Hope spodziewała się, że czeka ją ciepłe powitanie na łonie rodziny, a tymczasem okazało się, że Parkerowie żywią wyjątkową niechęć do rodzinnych zjazdów. Byli bardzo niezależni. Późno zostali rodzicami i niechętnie zrezygnowali z wolności i swobody na rzecz nużącej opieki nad dzieckiem. Teraz Matt był dorosły, miał żonę i jego rodzice chyba uznali, że spełnili swój obowiązek. Hope nie mogła tego zrozumieć, ale dziękowała Bogu, że mimo wzorców z domu tak gorąco kochają i dzieci.

Sam tłumaczyła, że Matt za wszelką cenę chce żyć inaczej niż oschli, surowi rodzice.

-Nie jest pewien, czy ktoś naprawdę go kocha, i bardzo cię potrzebuje. Dlatego jest taki zaborczy - dodała szorstko.

Ale Hope nie była już taka pewna, czy mąż jej potrzebuje. Gdyby była pewna, nie pytałaby tak nerwowo, czy wszystko w porządku. Czy chodzi o śmierć Gearóida? Matt bardzo lubił wuja ekscentryka, u którego spędzał wakacje w dzieciństwie.

Kiedy jednak chciała go pocieszyć, zachnął się tylko, więc może to nie to. Tylko co?

Powinna trzymać język za zębami, o nic nie pytać, bo w końcu naprawdę jej odpowie. Wtedy już nie będzie mogła schować głowy w piasek i udawać, że wszystko jest w porządku.

- Nie mów mi, że wszystko w porządku - powiedziała szybko. - Widzę, że nie jesteś szczęśliwy.

- No dobrze, masz rację - warknął, odkładając widelec. - Nie jestem szczęśliwy. Cóż za spostrzegawczość!

- Chciałabym ci pomóc - zapewniła cichutko.

- Ja po prostu... O Jezu - machnął ręką. - Sam nie wiem, jestem w depresji. Wściekły, niespełniony, zmęczony, nie wiem, jak to określić.

Patrzyła na niego w milczeniu. Bała się, co jeszcze powie.

- Tylko mi nie mów, że to kryzys wieku średniego - dodał szorstko. - Już to słyszałem od Dana. Stwierdził, że niedługo ucieknę z jakąś siedemnastką.

Hope aż się skuliła.

- Żartował - dodał, widząc jej minę. - Kto by mnie chciał? - dorzucił z goryczą. - Mam czterdzieści lat i co? Nic. Pracuję od wielu lat i co z tego mam? Niezły samochód i perspektywę wysokiej emerytury? Niczego nie osiągnąłem, niczego nie dokonałem.

- Masz Millie i Toby'ego - powiedziała cicho. Nie śmiała dodać „i mnie” na wypadek, gdyby nie uważał jej za wartościowy nabytek.

- Wiem, wiem, chodzi o... męską dumę. - Chyba po raz pierwszy w życiu nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Nie wiedział, co chce powiedzieć. A może wręcz przeciwnie, może wiedział doskonale, ale chciał, żeby sama się tego domyśliła. Odchodzi od niej, na pewno.

Czekała przerażona. Więc to tak: Matt ją zostawia. Mogła się spodziewać, zawsze tak było. Rodzice odeszli, zanim zdążyła ich poznać, chociaż tak bardzo ich potrzebowała. No dobrze, oni zginęli, a to co innego. Ale Matt... spodziewała się, że ją kiedyś rzuci, niemal od początku, odkąd się w nim zakochała. Los nie zna litości. Za miłość takiego przystojnego mężczyzny trzeba płacić - nigdy nie była go pewna. Wiedziała, że nie zatrzyma go przy sobie na zawsze. Wszystkie obawy, które dosyć skutecznie tłumiała przez ostatnie lata, zaatakowały z nową siłą.

Matt obserwował ją ze swojego miejsca po przeciwnej stronie stołu. Znał jej historię, wiedział, jak się boi porzucenia.

- Nie martw się - zapewnił chłodno, oschle. - Nie odejdę.

Łzy, które Hope do tej pory powstrzymywała, popłynęły obficie. Kłamał, widziała to, na pewno kłamał. Ma kogoś, odejdzie wcześniej czy później, to tylko kwestia czasu. Po prostu w urodziny postawił sprawę jasno.

- Przechodzę ciężki okres i staram się jakoś z tym uporać - powiedział. - Będzie mi łatwiej, jeśli dasz mi spokój.

-Nie potrafię - szepnęła. - Bardzo cię kocham i nie chcę patrzeć, jak cierpisz. Ja... - odsunęła od siebie talerz. - Zrobię co w mojej mocy, żeby wszystko naprawić.

-Nie możesz — powiedział brutalnie. — To ja przechodzę kryzys wieku średniego, nie ty. Nic na to nie poradzisz. Też bym chciał, żebyśmy mogli nadal udawać szczęśliwą rodzinę. Ale życie nie jest takie proste. Możemy już jeść? Proszę - dodał łagodniej. -Nie chcę o tym rozmawiać.

Hope skinęła głową. Grzebała widelcem w talerzu, udawała, że je. Matt zajął się jedzeniem i oglądaniem telewizji.

Obserwowała go ukradkiem. Była na siebie zła. Tak rozpaczliwie pragnęła miłości, że gotowa była przyjąć każdą wymówkę. Ale nie, nie uwierzyła w ani jedno słowo. Kłamał. Gdyby była odważniejsza, zażądałaby całej prawdy. Sam cisnęłaby w niego talerzem i zażądała wyjaśnień. Wrzasnęłaby, że nie wstanie od stołu, póki się nie dowie, o co mu tak naprawdę chodzi. Hope wiedziała doskonale, jak zareagowałyby na jej miejscu siostra, bo znała ją lepiej niż siebie samą. Dorastały przecież jak papużki nierozłączki. Niestety, nie umiała się zachować jak ona.

Hope nie znosiła konfrontacji i kochała Matta. Trudno, jeśli Matt nie chce, nie będzie pytała. Skończył jeść i uśmiechnął się do niej. - Było pyszne - powiedział ciepło. - A teraz zapomnijmy o zmartwieniach i obejrzyjmy film. Byłem w wypożyczalni. - Dam ci prezenty. - Hope zerwała się z krzesła, gotowa na wszystko, f byle dłużej nie myśleć. Jeśli spędzą miły wieczór, to znaczy, że jednak są udanym małżeństwem.

Następnego dnia wstał wcześniej niż zwykle.

- Ważne spotkanie - mruknął, odrzucając kołdrę o szóstej trzydzieści zamiast jak zwykle o siódmej.

Hope, półprzytomna po bezsennej nocy pełnej bolesnych myśli, nie była w stanie się ruszyć. Była zmęczona, bolała ją głowa, szczypały zapuchnięte oczy. Wiedziała, że powinna wstać i z nim porozmawiać. Upewnić się, że wszystko jest w porządku, albo przynajmniej wyjaśnić sytuację. Ale nie miała siły.

Błyskawicznie był gotów do wyjścia - wziął prysznic, ogolił się i ubrał w dwadzieścia minut. Wszedł do sypialni w czarnym garniturze od Armaniego. W białej koszuli i nowym krawacie wyglądał jak włoska wersja Jamesa Bonda. Pochylił się nad stolikiem, szukając zegarka. Hope uniosła się na łokciu i potarła oczy.

- Pa, kochanie - zaczęła. - Kocham cię. - Miała nadzieję, że ją pocałuje na pożegnanie, ale tylko się uśmiechnął.

- Pa, do wieczora - powiedział, i już go nie było.

Hope wspominała, jak było dawniej; kochali się tak bardzo, że czasami rano gorączkowo ściągał garnitur i wracał do niej do łóżka. Nie obchodziło go, że się spóźni do pracy. Zagryzła usta. Więc to prawda: siódmy rok małżeństwa jest najgorszy.

Zdała sobie sprawę, że Matt wyglądał na zmęczonego - pewnie on też źle spał. Może zastanawiał się, jak wszystko naprawić. A może rozważał, jak jej powiedzieć, że wszystko skończone.

Millie wyczuła, że Hope ma zły dzień; zawsze to wyczuwała i zawsze reagowała tak samo - rozrabiała bardziej niż zwykle. Może wygląda jak aniołek z reklamy, ale ma w sobie diabelską żyłkę. Hope wiedziała już z doświadczenia, że im niewinniejszą minkę ma córeczka, tym gorszą psotę sobie wymyśliła. Ostatnio zatkała umywalkę na piętrze i odkręciła oba kurki, aż woda lała się po schodach. Dywan był do wyrzucenia.

Tego ranka zabrała się za śniadanie. Kiedy Hope ubierała Toby'ego na górze, Millie przygotowała w kuchni ciasteczka. Składały się głównie z keczupu, majonezu, biszkoptów i płatków śniadaniowych.

- Millie! - Tylko tyle wykrztusiła Hope, gdy zeszła do kuchni z Tobym. Keczup był wszędzie: na podłodze, na stole i, co najgorsze, na zielonym sweterku Millie. Sweterek nie nadawał się do prania w pralce i zazwyczaj czekał w koszu z brudną bielizną na rzadkie okazje, kiedy Hope robiła ręczne pranie.

- Jesteś bardzo, bardzo niegrzeczna. Muszę tu posprzątać. Idź na górę się przebrać. Pospiesz się, bo się spóźnimy.

- Kurwa - mruknęła Millie buntowniczo.

Hope niemal słyszała, jak szczeka opada jej z trzaskiem.

- Co? - wysapała zdumiona.

Millie doskonale wiedziała, że to bardzo, ale to bardzo brzydkie słowo. Ciekawe, gdzie je usłyszała.

Pobiegła na górę, jakby jątko gonił. Hope ominęła keczupowe placki i nastawiła wodę. Musi się napić mocnej kawy. Mąż chce od niej odejść, córka wyrasta na małego chuligana, a w przedszkolu, na które Hope wydaje lwią część swojej pensji, dzieci uczą się przeklinać. Świetnie, po prostu świetnie.

Cześć, Sam, jak tam w nowej pracy? Mili ludzie?

Głupie pytanie, oceniła Hope i skasowała je szybko. Ludzie są mili dla nowych pracowników, nie dla nowych szefów.

U nas wszystko w porządku, nie możemy się już doczekać urodzinowego przyjęcia Matta. Chciałam sobie kupić nową kreację, ale się rozmyśliłam. Szkoda, że nie mieszczę się w twoje ciuchy. Kiedy następnym razem będziesz robiła czystkę w szafie, wyślij mi, co ci się znudziło, może w końcu przejdę na dietę! Na razie Hope

W czwartek wieczorem, tuż przed uroczystą kolacją na cześć Matta, okazało się, że Hope schudła kilogram. Pewnie ze zdenerwowania. W innych okolicznościach byłaby zachwycona, ale ponieważ utrata wagi była ściśle związana z faktem, że Matt się do niej prawie nie odzywał, nie było powodów do radości.

Od dnia swoich urodzin był milczący, pracował do późna. Tłumaczył się, że w poniedziałek muszą przedstawić plan ważnej kampanii reklamowej.

Hope dałaby sobie rękę uciąć, że jeździ do kochanki, i ostatek sił powstrzymała się, by go nie śledzić. Ale z dwójką małych dzieci nie sposób bawić się w detektywa. Już sobie wyobrażała, jak następnego dnia Millie pyta przy śniadaniu:

- Tatusiu, co to za pani, z którą cię widzieliśmy? Mamusia bardzo brzydko na nią powiedziała, a potem płakała.

Co gorsza, przyłapała go, jak przeglądał jakieś dokumenty, a gdy ją zobaczył, nerwowo wepchnął je do teczki. Na pewno papiery rozwodowe, cóż innego by przed nią ukrywał?

Chciałaby się komuś zwierzyć, ale komu? Sam nigdy nie akceptowała Matta i pewnie zaraz przyjechałaby z Londynu z najlepszym prawnikiem od spraw rozwodowych, żeby Hope wyciągnęła z Matta, ile się da. Betsey, jej najlepsza przyjaciółka, jest zarazem żoną Dana, przyjaciela Matta, więc też odpada. Poza tym bała się, że Betsey weźmie ją za rękę i powie ze współczuciem, że tak, wiedziała o tym od dawna i już się nawet zastanawiała, czy jej powiedzieć, że Matt kogoś ma.

I tak Hope robiła to samo od lat - tłumiła wszystkie emocje w sobie i nocami gapiała się w sufit, wsłuchiwała w oddech Matta i zastanawiała się, jak sobie poradzi bez niego.

W restauracji było sporo ludzi, ale wszyscy podnieśli na nich wzrok. Uwagę przykuwała zwłaszcza Jasmine Judd, nowa żona szefa, promienna, atrakcyjna blondynka w niewiarygodnie obcisłej sukni z cekinami. Na jej widok Hope uznała, że dżersejowy komplecik, elegancki w domowym zaciszu, tu wydaje się niemodny i brzydki. Nigdy nie umiała się ubrać. Zresztą czy ona w ogóle cokolwiek umie?

Mężczyźni nie odrywali wzroku od Jasmine, kobiety natomiast przyglądały się Mattowi. W beżowym garniturze wyglądał fantastycznie; krótkie włosy dodawały mu męskości, podkreślały zdecydowaną linię szczęki i ostre spojrzenie głęboko osadzonych oczu. Nic dziwnego, że sąsiadki z Maltings Lane machają mu tak energicznie, gdy kosi trawnik w szortach i koszulce.

Dbął o siebie, to fakt. Trzy razy w tygodniu musiał być na siłowni, choćby się waliło i paliło.

- George Clooney byłby zazdrosny - zażartowała Yvonne, kiedy poznała Matta na corocznym balu urządzanym przez towarzystwo budowlane.

Hope doceniła komplement, ale nie powtórzyła go mężowi; uważał, że boski George jest pospolity, jego ideałem był raczej Cary Grant. Gdyby nie posiwił na skroniach, niewykluczone, że rozjaśniłby je, żeby zyskać dystyngowaną siwiznę.

Wielekroć zastanawiała się, jakim cudem udało jej się zostać żoną Matta. Miała wrażenie, że to samo pytanie zadaje sobie wiele kobiet, sądząc po krytycznych spojrzeniach, którymi ją obrzucały. Hope nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że ktoś mógłby jej Mattowi zazdrościć. Czuła się brzydka, zaniedbana i w ogóle nie zdawała sobie sprawy z własnej atrakcyjności. Jasmine tak, Jasmine jest piękna, taka szczupła i wyrafinowana. Ale ona? Nikt nie uzna za piękną delikatnej buzi z wielkimi przerażonymi oczami i słodkimi ustami jak z naiwnego obrazka.

Nie wiedziała, że choć Mattowi zdarzało się zerkać z podziwem na piękne kobiety, które chętnie z nim flirtowały, u swego boku pragnął uległej, łagodnej żony. Silne, śmiałe kobiety za bardzo przypominały mu matkę. Zakochał się w Hope między innymi dlatego, że była przeciwieństwem jego matki.

Hope i Matt podeszli do stolika. Biedna Hope rozważała, czy nie ogłosić publicznie, że jej mąż jest znowu do wzięcia. Stratują ją w biegu, to pewne. W skali urody od jednego do dziesięciu Matt to silna dziewiątka; sobie dałby najwyżej piątkę, i to w czasach przed ślubem. Teraz, w czarnej sukience, z niesfornymi włosami, z okropnym piyszczem na brodzie, którego nie zakryły nawet dwie warstwy podkładu, czuła się jak marna dwójka. A przy Jasmine lądowała grubo poniżej zera.

Przyglądała się jej zazdrośnie. Czy to ta trzecia? Nie, zdecydowała po chwili. Matt przedkłada karierę ponad wszystko. A romans z żoną szefa to samobójstwo zawodowe.

Zarezerwowano dla ich dziesięcioosobowej grupy długi stół pod ścianą. Dan, główny organizator, usadzał gości. Wszyscy posłusznie szli na wyznaczone miejsca, także Hope, która niemal czuła, jak rozwiewają się jej nadzieje na wieczór z czerwonym winem, w którym utopi troski. Dan wyznaczył jej miejsce pośrodku,, pod ścianą, w otoczeniu ludzi, których nie lubiła.

Z Matta to prawdziwy szczęściarz, trafiła mu się Betsey, żywiołowa dziennikarka, żona Dana i najlepsza przyjaciółka Hope. Po drugiej stronie Matta siedziała Jasmine. Obie radośnie gawędziły z jubilatem. Hope natomiast tkwiła obok męża głównej graficzki, nudnego faceta z kozią bródką i brudem za paznokciami. Facet chyba chciał się dostać do Księgi Guinnessa w kategorii „największy nudziarz”. Ze szczególnym zapamiętaniem rozprawiał na temat zmieniającego się oblicza architektury indu-

strialnej. Hope architektura industrialna guzik obchodziła i miała w nosie wiktoriańskie hale.

Po jej drugiej stronie siedział szef agencji, Adam, mąż Jasmine. Jak zwykle nie miał Hope nic do powiedzenia, tylko zachłannym wzrokiem obserwował żonę.

Po przeciwnej stronie stołu siedział Dan. Uśmiechnął się do Hope.

Odpowiedziała tym samym, a w myślach obrzuciła go stekiem wyzwisk - on ją w to wpakował, usadził między najgorszymi nudziarzami. Sam na jej miejscu z pewnością powiedziała by coś złośliwego.

Dan zaraz zwrócił się do swojej sąsiadki, Elizabeth z działu finansowego.

Po chwili i ona się śmiała.

Hope westchnęła i upiła wielki łyk wina. Zazwyczaj nie piła dużo, ale przemknęło jej przez głowę, żeby dzisiaj się zalać i po pijanemu zmusić Matta do szczerzej rozmowy. Bez alkoholu nigdy nie zdobędzie się na odwagę... ^ Nie ma mowy, Matt wpadnie w szal, jeśli ona upije się przy jego

znajomych i wyjdzie na idiotkę. Trzeba robić dobre wrażenie, choć to nie takie łatwe. Dręczyły ją myśli o niewierności Matta. Jak jastrząb obserwowała wszystkie kobiety przy stole - może ta trzecia jest wśród nich? Cisza po jej stronie stołu była bardzo wymowna, zwłaszcza w porównaniu z paplaniną po przeciwnej. Adam jadł, jakby głodował od roku, a odzywał się tylko, żeby poprosić o masło, pieprz, wędzonego łososia czy wino. Hope po raz trzeci podjęła próbę nawiązania rozmowy:

- Wybieracie się z Jasmine w podróż poślubną?

- Nie - odburknął.

Miał przy tym ponurą, zdesperowaną minę. Może właśnie postanowił, że za żadne skarby świata nie pozwoli żonie paradować po plaży w bikini.

Peter, wieczny student, zaczynał rozmowę o swojej pracy magisterskiej, ilekroć Hope spojrzała w jego stronę.

- Rozważam, czy nie napisać całej książki na ten temat - oznajmił z dumą, kiedy skończył sałatkę. - Nie rozumiem, dlaczego żaden wydawca się tym nie interesuje.

Hope zdążyła się wyłączyć, ale skinęła głową i zauważyła:

- Doprawdy? Jakie to ciekawe. - Znowu żałowała, że nie jest taka jak Sam, która potrafi powiedzieć: „Jakie to ciekawe” tak, że zamroziłaby Pacyfik, nie wspominając już o nieszczęsnym rozmówcy.

- Najtrudniejsze jest zdobycie funduszy. - Peter w zadumie gładził się po nosie. - Na naprawdę interesujące projekty, takie jak mój, nie ma pieniędzy - dodał nieskromnie.

- To skandal, że mają pieniądze na drukowanie szmir, a na wartościowe naukowe pozycje im brakuje - stwierdziła ponuro.

Peter zamrugał szybko, jakby nie był pewien, czy Hope sobie z niego nie kpi. Ale ona była ucieleśnieniem powagi.

- No cóż, rzeczywiście - napuszył się. Przecież żona Matta Parkera, taka cichutka i potulna, nie stroiłaby sobie z niego żartów. - Widzisz, mam taką teorię...

Zdesperowana Hope zwróciła się do Adama, on jednak był pogrążony w rozmowie na tematy zawodowe z Sadie, główną graficzką. Sadie przechwyciła wzrok Hope, ale Adam ciągle mówił i Hope nie mogła mu przerwać. Adam ignorował ją całkowicie. Jak Matt, pomyślała z goryczą. Prawie na nią nie patrzył, skupiał się na innych, bawił całe towarzystwo.

- Widzisz teraz, na czym polega problem - dokończył Peter, gdy ponownie na niego spojrziała.

- Oczywiście - zapewniła, jednocześnie głowiąc się, czemu, do cholery, tak czekała na tę kolację. Okazała się równie ekscytująca jak wyciskanie węgrows. Chyba milczący domowy wieczór byłby przyjemniejszy. Przed telewizorem przynajmniej zapominała o problemach.

- Jeszcze wina, Hope? - odezwał się Matt ze swojego końca stołu; zobaczył, że nikt jej nie dołał.

Ponuro skinęła głową.

Matt wychylił się i ścisnął jej dłoń. Puścił do niej oko i wyszeptał bezgłośnie: „dzięki”. Dzięki za to, że dla mnie nudzisz się jak mops, chyba to chciał powiedzieć, przynajmniej taką miała nadzieję. Kochają, na pewno. Dlatego stara się teraz naprawić sytuację. Dopóki Matt ją kocha, mogłaby znieść wszystko i wszystko wybaczyć. Niechby nawet miał kochankę...

Przecież nie żąda od niej zbyt wiele, ma tylko być miła dla jego kolegów z pracy. Przynajmniej tyle może dla niego zrobić. W końcu musi znosić Petera tylko dwa razy do roku.

Smukłe palce Marta otoczyły nóżkę kieliszka. Obserwował, jak Hope bawi rozmową tego nudziarza, Petera Scotta. Doskonale sobie radzi, pomyślał z uznaniem. Można na niej polegać, zawsze zachowa się jak trzeba. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby Peterowi poruszyć tematu jego pracy magisterskiej, ale Hope była zbyt uprzejma, nie umiała mu przerwać. Na tym polega jej problem; jest zbyt uległa i ludzie chętnie to wykorzystują.

Zastanawiał się, czemu włożyła obcisłą sukienkę. To do niej nie pasuje. Jej stroje powinny być długie, zwiewne, jak nie z tego świata,

niczym ona sama. Nie jest taka jak Jasmine. Trzeba to Adamowi przyznać, wyszukuje je bezbłędnie. Chyba każdy mężczyzna na sali zastanowił się chociaż raz, jak też nowa pani Judd wygląda bez połyskliwej, wyzywającej sukni. Prawdopodobnie droższej niż wszystkie kreacje Hope razem wzięte. W każdym razie Hope nigdy nie włożyłaby czegoś takiego. Nie lubiła być na pierwszym planie, wolała trzymać się w cieniu.

Szkoda, że nie zdaje sobie sprawy, jaka jest piękna. Wciąż jej to powtarzał, ale nie chciała uwierzyć. Od lat obserwował, jak mężczyźni pochłaniają ją wzrokiem, a ona nigdy tego nie zauważa. Kiedy czuła na sobie czyjś wzrok, sprawdzała nerwowo, czy nie poszło jej oczko w rajstopach albo czy nie wyszła z domu w kapciach.

- Udało się, nie? - Dan poklepał go po ramieniu.

- Tak, super - odpowiedział automatycznie.

Rzeczywiście, udany wieczór. Sątu jego koledzy z pracy i szef, który właśnie dziś dał mu podwyżkę. Dwoje udanych dzieci, ładna żona... ma wszystko, czego dusza zapagnie. Tylko że on pragnął więcej.

Zapatrzył się w przestrzeń i rozmyślał, jak to spokojne, mieszczańskie życie dławi go i nuży. Miał szalony, nieziemski pomysł na zmianę, ale jak to powiedzieć Hope? Nie wiedział, od czego zacząć. Dobrze, że porozmawiał z Jasmine, dodała mu otuchy.

I obiecała, że szepnie Adamowi słówko na jego temat, gdyby kiedyś w końcu się zdecydował. Tylko że rozmowa z Adamem to małe piwo w porównaniu z rozmową z Hope.

Kiedy podano likiery, Hope udało się zamienić z kimś miejscami i siedziała między Jasmine a Danem.

Teraz, kiedy nabrała pewności, że Jasmine nie zagraża jej małżeństwu, uznała, że jest bardzo miła. Nic dziwnego, że wszystkie kobiety się jej obawiają: fantastyczna figura, wąska talia, piersi niepodlegające prawu grawitacji, nie mówiąc już o ładnej buzi i wielkich niebieskich oczach. Ale była także dowcipna, naturalna i wcale nie wyglądała na agresywną sukę, jak określiła ją Betsey.

- Masz wspaniałego męża - zachwyciła się Jasmine, popijając sam-buccę. - Opowiadałam mu, że chciałabym napisać książkę, i okazało się, że on też! Wszyscy inni próbowali mi to wybić z głowy, że niby po co męczyć się pisaniem, skoro mogę być na okładce.

- Co? Matt? - Hope była zarazem zaintrygowana i urażona. Dlaczego rozmawiał o tym z Jasmine, a nie z nią?

- To jego marzenie - ożywiła się Jasmine. - Moje też. Ale Matt pisze na co dzień i ma większe szanse niż ja. Wiem, że nie będzie łatwo. To jak sprzedaż płyt. Chodziłam kiedyś z muzykiem, który miał obsesję na punkcie liczby sprzedanych płyt - uśmiechnęła się smutno. - A skoro mowa o muzyce: Matt mówił, że twoja siostra znalazła świetną pracę w koncernie fonograficznym. To mi się podoba. Musi być bardzo przedsiębiorcza i energiczna, prawda?

- O tak, w przeciwieństwie do mnie - odparła Hope. Zresztą to prawda. Sam to żywe srebro, to ogień. Teraz pracuje w Titus Records. Hope nie wiedziała dokładnie, czym siostra się zajmuje, bo pracowała dopiero od tygodnia i zdążyły wymienić tylko kilka krótkich maili. Ale to wymagająca praca, tego była pewna. Sam uwielbiała stres i napięcie. W poprzedniej firmie pracowała ciężko, osiągnęła stanowisko dyrektora marketingu i Hope już myślała, że siostra zwolni, pomyśli o stabilizacji, a tymczasem Sam przeszła do nowej, większej firmy.

Jasmine wróciła do przerwane go wątku:

- Matt mi się zwierzył, jak bardzo chciałby wyjechać na wieś na rok i tam pisać. Wiem, to na razie tylko pomysł, jeszcze nic nie jest postanowione, ale moim zdaniem powinniście to zrobić. Będzie mu łatwiej skupić się na pisaniu. Z drugiej strony będziesz się rzadziej widywać z siostrą. Mówił, że wasi rodzice zginęli, kiedy byliście małe. Pewnie jesteście sobie bardzo bliskie, a jak wyjedziesz z Mattem za granicę...

- O czym ty mówisz? - przerwała Hope. Miała dziwne uczucie, jakby jej żołądek chciał fiknąć salto, i nie miało to nic wspólnego z ilością wypitego wina.

- Cicho, nic się nie bój - powiedziała Jasmine scenicznym szeptem. - Nie udawaj, że o niczym nie wiesz. Nie pisnę Adamowi ani słówka, obiecałam Mattowi. Adam pewnie się wścieknie, kiedy się dowie, że Matt chce wziąć roczny urlop. Ale ja uważam, że trzeba realizować swoje marzenia. Chętnie zamieszkałabym na odludziu, żeby tylko pisać, ale z drugiej strony brakowałoby mi sklepów. A tobie?

Hope powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. Lepiej się nie przyznawać, że nie miała zielonego pojęcia o planach Matta. Starła się zachować spokój.

- Nie wiadomo, jak to będzie - wzruszyła ramionami. - To na razie tylko pomysł. Oboje bardzo lubimy Bath i...

- Jasmine, czas na nas. - Adam zjawił się niespodziewanie, pochylił się nad żoną i władczo położył dłoń na jej złotym ramieniu.

Ich wyjście oznaczało początek końca. Betsey poprosiła Dana, żeby ją zawiózł do domu, bo jest zmęczona.

- My też już pójdziemy. - Elizabeth sięgnęła pod stół po torebkę.

Alkohol czasami rozjaśnia umysł i właśnie w przyływie pijackiej mądrości Hope zrozumiała, że koledzy jej męża wcale nie są mu tak bliscy, jak sądził. Póki był tu szef, bawili się znakomicie. Razem z Adamem odeszła ochota do zabawy. Ale Matt chyba się tym nie przejął. Zegnał się ze wszystkimi serdecznie.

W taksówce Hope siedziała spokojnie i patrzyła w okno. Matt rozsiadł się wygodnie, zamknął oczy. Teraz, kiedy zostali sami, jego twarz była bez wyrazu. W miarę jak zbliżali się do domu, Hope coraz bardziej nerwowo zastanawiała się, co mu powiedzieć. Na pewno nie ma sensu zaczynać kłótni w taksówce, kierowca miałby niezły ubaw.

Kawałki układanki bezbłędnie trafiły na swoje miejsce za sprawą paplaniny Jasmine. Mattowi marzy się zmiana zawodu, dla Hope i dzieci nie ma miejsca w jego nowym życiu. Co zrobić? Zostać w Bath, czy przenieść się do Sam, do Londynu? Przeprowadzi się, to jasne, nie wytrzyma w domu, w którym byli tacy szczęśliwi. Stop, nie oni, ona. Matt najwyraźniej nie był, inaczej nie chciałby tego wszystkiego zostawić.

Dzieci zachowywały się jak aniołki, zapewniła Elaine, opiekunka, gdy wrócili do domu.

- To dobrze - mruknęła Hope machinalnie, wyjmując portfel. Ręce jej drżały. - Matt cię odprowadzi.

- Przecież to niedaleko - zaprotestowała.

- Nie szkodzi. - Hope nie ustępowała. - Jest wpół do pierwszej, najlepszy czas dla zбочeńców.

- Na Maltings Lane? - zdziwiła się Elaine.

Kiedy wrócił, Hope czekała w kuchni. Nadal drżały jej dłonie, więc splótła je na kolanach, jakby się modliła. Może gdyby dawniej się modliła nie doszłoby do tego, przemknęło jej przez głowę.

- Myślałem, że już śpisz - odezwał się Matt. Było to najdłuższe zdanie, jakie Hope usłyszała od niego w tym tygodniu.

- Jasmine powiedziała mi dzisiaj coś bardzo dziwnego - zaczęła spokojnie. - Podobno chcesz wziąć roczny urlop i zamieszkać na wsi, żeby pisać książkę. I to za granicą, o ile dobrze zrozumiałam. Zastawiam się, kiedy planowałeś mi o tym powiedzieć i czy w twoich planach jest jeszcze miejsce dla mnie i dla dzieci.

- Och. - Ciężko usiadł koło niej. - Czerwone wino czasami uderza do głowy.

- Chcesz powiedzieć, że Jasmine źle cię zrozumiała? - Te słowa ledwie przeszły jej przez gardło.

- Nie. Że trochę mnie poniosło i za dużo powiedziałem.

- Więc to prawda. - Zadrzała ze strachu.

- Hope...

Nie wiedział, od czego zacząć, ale trudno, trzeba wreszcie odbyć tę rozmowę. Zwierzył się Jasmine pod wpływem alkoholu, ale też odczuł ulgę, że rozmawia na ten temat z kimś innym, nie tylko z Danem. A teraz czas powiedzieć Hope.

- Marzyłem o tym od lat. Znasz mnie, wiesz, że nie zrobiłbym nic szalonego, nic, co mogłoby zagrozić naszym planom na przyszłość, ale teraz los daje mi szansę i pomyślałem sobie, że mógłbym przez rok nie pracować. Adam przyjmie mnie z powrotem z otwartymi ramionami, nie ma wyjścia. Jestem najlepszy - dodał z dumą.

- A co ze mną i z dziećmi? - dopytywała się. Miała łzy w oczach. Czy Mattowi w ogóle na nich nie zależy?

- Wyjedziemy wszyscy razem. Ty, ja i dzieci. Na rok. Do Irlandii, a dokładnie do Kerry. W poniedziałek dzwonił do mnie prawnik wuja Gearóida w sprawie domu. Wiesz, mam wrażenie, że to jakby odpowiedź na moje modlitwy. Byłem w depresji, Hope, a tu nagle telefon i wiadomość, że dom oficjalnie należy do mnie. Od tygodnia nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Drżała na całym ciele. Nie docierały do niej jego słowa, tak bardzo się denerwowała.

Gearóid był poetą. Ponad czterdzieści lat temu wyjechał z Anglii i osiedlił się w wiosce Redlion w Kerry. Hope nigdy go nie poznała, bo nie chciał się ruszyć z Irlandii nawet na ich ślub, ale zawsze wydawał się jej starym wariatem. Pił na umór i pisał kiepskie wiersze, których nikt nie chciał wydać. Zmienił nawet imię, Gerald, na irlandzkie Gearóid, dziwaczne i trudne do wymówienia.

W dzieciństwie Mart spędzał u wuja wakacje i do dziś z rozmarzeniem opowiadał, jak cudownie jest w Kerry. W miarę upływu czasu Gearóid coraz bardziej dziwaczał, w ogóle nie chciał wyjeżdżać z Irlandii, a Mart nie miał czasu, by go odwiedzać. Kiedy wuj zmarł, okazało się, że wszystko zostawił Mattowi; częściowo dlatego, że nie miał własnych dzieci, a częściowo z przekory, żeby zagrać na nerwach dalekim krewnym, którzy krążyli wokół niego jak sępy, licząc, że tanim kosztem zdobędą kawałek ziemi w uroczym zakątku Irlandii przyciągającym tłumy turystów. „Wszystko” okazało się na wpół rozwalonym domem, który, zdaniem prawnika, nie na wiele się zda. Hope myślała, że go po prostu sprzedadzą. Pieniądze bardzo by się im przydały.

- Wszystko załatwione - opowiadał Matt. - Dom oficjalnie należy do mnie. I do ciebie, oczywiście. Jest tam kawałek ziemi, ale nieduży,

z pół hektara. W dzieciństwie wydawało mi się, że o wiele więcej. W każdym razie - zawahał się - to mój plan. Mówiłem ci już o komunie pisarskiej którą wujek Gearóid założył w latach sześćdziesiątych?

Hope skinęła głową. Nadal była w szoku, ale Matt, pochłonięty swoim wywodem, nic nie zauważył.

- Nie do wiary, fantastyczny zbieg okoliczności - perorował. - Nie dalej jak w zeszłym tygodniu czytałem wywiad ze Stephenem Dane em, wiesz, autorem thrillerów. Właśnie sprzedał książkę do Hollywood. Mówimy tu o grubych milionach, Hope. I wiesz, co powiedział? Ze pierwszą książkę napisał w Redlion, w hrabstwie Kerry, w komunie pisarzy. Nie rozumiesz? To znak! ,

Oboje weźmiemy roczne urlopy i zamieszkamy w domu Gearóida. Ja napiszę powieść. Mam potencjał, czuję to. Wyobraź sobie, Hope - jego oczy rozbłysły entuzjazmem, chciał ją zarazić swoją pasją, nieświadom, co jej chodzi po głowie od jego urodzin - oboje będziemy cały czas z dziećmi. Zatrudnię się gdzieś jako copywriter na pół etatu żebyśmy mieli, ina życie. Wynajmiemy ten dom, żeby mieć z czego spłacać hipotekę. Nie stracimy ani grosza. To nasza wielka szansa.

Matt naprawdę w to wierzył. Pokona dręczące go demony, które drwią, że nigdy niczego nie osiągnie i zostanie zgorzkniałym nieudacznikiem. Oto los daje mu szansę na inne życie, choćby tylko przez krótki czas.

Hope przyglądała mu się z niedowierzaniem; a więc nie wyrok śmierci którego się spodziewała. Matt nie odchodzi; nadal chce mieć przy sobie ją i dzieci. Położyła dłonie na stole i zaraz przykleiła się do plamy po jogurcie Millie.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - zapytała cicho. -Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje.

- Przepraszam Wstydzę się w kółko rozprawiać o moich marzeniach, Hope, ale chcę pisać, a tutaj mi się nigdy nie uda, nie przy mojej pracy, nie w tym domu. Muszę mieć odpowiednią atmosferę. A dom w Redlion załatwia wszystkie problemy. To idealne rozwiązanie

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? - powtórzyła bezradnie. - Wiedziałam, że coś jest nie tak. Pytałam, ale mi nie powiedziałeś! Już myślałam, że masz romans. Tym razem Matta zamurowało.

- Romans? Skąd ci to przyszło do głowy? - Nie wierzył własnym uszom.

- To proste - szepnęła. - Powiedziałeś, że nie jesteś szczęśliwy, aleja nic na to nie poradzę. Nie pocałowałeś mnie, nie dotknąłeś i myślałam...

Urwała. Wziął ją za rękę.

- Hope, kochanie, co za bzdura. Zadręczałem się pytaniami, czy mogę ci to zrobić. Męczyło mnie, że będziesz nieszczęśliwa, że nie zechcesz wyjechać na rok za granicę. Powtarzałem sobie, że to głupi pomysł, ale potem rozmawiałem z Danem i on powiedział...

-Z Danem! - Hope nagle się wściekła. On szaleje z niepokoju i rozpacza, bo nie rozumie, co się dzieje, on tymczasem rozmawia sobie w najlepsze z innymi. A przecież to także jej sprawa. - Czy jest ktoś, z kim na ten temat jeszcze nie rozmawiałeś, poza mną, ma się rozumieć? - Wyjęła chusteczkę z pudełka i gorączkowo wycierała ze stołu plamy z jogurtu.

- Musisz mnie zrozumieć, Hope - zaczął.

Rozumiała go, a jakże! Po raz kolejny samodzielnie podjął decyzję, nawet nie pytając jej o zdanie. Podobnie jak na początku, zaledwie miesiąc po ślubie, gdy przyjął propozycję pracy w agencji reklamowej w Bath, chociaż planowali przez rok podróżować po świecie. (No dobra, podróż dookoła świata to też był jego pomysł, ale zgodziła się, kupiła plecak i zaszczepiła się na tyfus).

Albo kiedy do spółki z Danem i Betsey wynajął na urlop dom we Francji i nawet tego z nią nie omówił. A ona jak się zachowała? Czy wrzasnęła mu w twarz: „To także moje życie, Mart! Nie odpowiadają mi twoje plany, więc musisz je zmienić”? Nie. Strach i potrzeba akceptacji były silniejsze. Za każdym razem tłumiała sprzeciw i mówiła spokojnie: „To świetny pomysł”.

Sam była na nią wściekła.

- Jak on śmie zmieniać wasze plany! I co z tego masz? Zamiast roku podróży jakąś kiepską posadkę! Żeby nawet tego z tobą nie omówić! -złościła się.

- W małżeństwie trzeba dawać i brać - wyjaśniła Hope.

- Tak? A jakie są proporcje? Ty dajesz dziewięćdziesiąt procent, a on tyle bierze? Czy o to chodzi?

- Nie masz pojęcia o małżeństwie - warknęła wtedy, dotknięta do żywego słowami siostry.

Sam umilkła na moment.

- Podobnie jak ty, siostrzyczko - zauważyła smutno.

Obie nie wiedziały, jak wygląda szczęśliwa rodzina. Wychowała je ciotka, surowa, posepna stara panna, hołdująca przekonaniu, że dzieci powinno się widzieć, nie słyszeć. Wzorce rodzinne dziewczynki czerpały przede wszystkim z serialu *Domek na prerii*.

- Oddam wszystko za twoje myśli. - Mart objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego. Umiał otwarcie okazywać uczucia; na początku znajomości bardzo ją to urzekło. Od pierwszej randki brał ją pod rękę, czule

splatał palce. Hope, która nie przywykła, że można się do kogoś przytulić ot tak, bez okazji, bardzo odpowiadała jego czułość i wylewność. Spali wtuleni w siebie i gdy wyjeżdżał służbowo, nie mogła zasnąć. Tak było do niedawna.

Nie zapomniała strachu, że ich małżeństwo należy do przeszłości. Kochała Marta, nie wyobrażała sobie życia bez niego. Teraz kamień spadł jej z serca. Najgorsze koszmary jednak się nie spełnią.

- Wolałabym, żebyś podejmował takie decyzje razem ze mną- szepnęła.

Chyba wyczuł, że najgorsze już za nimi.

- Przecież właśnie o tym rozmawiamy.

- Ale najpierw omówiłeś wszystko z innymi, na przykład z Jasmine. -Nadal ją bolało, że poruszył tak osobisty temat z kobietą, którą dopiero co poznał. Jasmine wiedziała już wszystko, podczas gdy Hope, której to dotyczyło, nie miała o niczym pojęcia. Jeszcze się z tym nie pogodziła. -W naszym małżeństwie chyba coś jest nie tak, skoro nigdy nie rozmawiasz ze mną o ważnych sprawach. Dlaczego od razu nie powiedziałeś? Nawet nie wiesz, jak się gryzłam. - Wolała już nie wspominać swoich obaw na temat romansu. Teraz, kiedy znała prawdę, wydawały się śmieszne.

- Przecież wtedy to był tylko pomysł...

-I wtedy był czas, żeby ze mną o tym rozmawiać. Kim ja dla ciebie jestem, Matt? Żoną czy gosposią? Odsunął się.

- Myślałem, że będziesz zachwycona. Ciągle narzekasz, że tak mało czasu spędzasz z dziećmi. Sama mówiłaś: niedługo stwierdzą, że to przedszkole jest ich domem, a my jesteśmy tylko nocnymi zmiennikami. I nie lubisz swojej pracy.

- Czasami nawet nie znoszę, ale to nie znaczy, że chcę przestać pracować - sprzeciwiła się. - Ja nie dostanę rocznego urlopu. Nie jestem, jak ty, ważnym pracownikiem, bez którego firma się nie obejdzie. Więc prosisz mnie, żebym rzuciła dobrą posadę. Poza tym, mamy tu przyjaciół - dodała - że już nie wspomnę o przyjacielach dzieci. Tobie dopiero co oswoił się z przedszkolem, a ty chcesz, żebyśmy go stamtąd zabrali.

- Tylko na rok, nie na zawsze. Chyba że, oczywiście, podpiszę dobrą umowę... - Matt się rozmarzył, a Hope przeraziła się jeszcze bardziej. Więc może jednak przeprowadzą się na zawsze...

- A jeśli się nie zgodzę? - zapytała.

Matt miał wyrzuty sumienia, że ucieka się do manipulacji, ale użył ostatniej broni:

- Nie złość się, kochanie. Pomyśl, co to dla nas znaczy. Wychowamy dzieci razem, jak prawdziwa rodzina, w małej wiejskiej społeczności. Nie będziemy już pracować od rana do nocy. Chyba chciałabyś mieszkać na wsi i mieć dużo czasu poświęcać dzieciom?

Hope zmięknęła jak zawsze, kiedy zaczynała mówić o dzieciach. Ciotka Ruth była całkowicie pozbawiona uczuć macierzyńskich i Hope marzyło się życie jak z filmów Disneya. Pikniki, spacery nad rzeką, skarpety z prezentami na kominku na Gwiazdkę. Ona i Sam tego nie zaznały, dlatego chciała, żeby jej dzieci miały inne dzieciństwo.

- Sami zajmujemy się dziećmi. - Matt zapalał się coraz bardziej. -Pomyśl tylko, czyste powietrze, żadnych zanieczyszczeń, zdrowa żywność...

- W Bath raczej nie przeszkadza nam smog - zauważyła trzeźwo.

- Wiem, ale to co innego.

- A co z naszymi rodzinami? Będziemy tak daleko.

- Moi i tak rzadko nas odwiedzają, wiesz, że nie jesteśmy zbyt zżyci, a Sam zawsze może do nas przylecieć. To przecież nie koniec świata. Moi rodzice byli u nas ostatnio dwa lata temu, nie będą za nami tęsknić.

Na pewno nie będą, pomyślała Hope. Rodzice Matta byli oschli i zimni, nie zależało im na kontaktach z synem i jego rodziną. Odkąd teść przeszedł na emeryturę, podróżowali, twierdząc, że w młodości nie mieli na to czasu ani pieniędzy.

- Sam lata po całym świecie - ciągnął - a do Irlandii leci się najwyżej półtorej godziny, co to dla niej.

Hope myślała o tym. Wyobrażała sobie, jak sama zajmuje się dziećmi, uczy się haftować, siedzi w ogrodzie wśród kwiatów i motyli, z dala od samochodów i spalin.

Pomyślała o spódnicy w kwiaty, którą zachwycała się w Jolly, i o swoich planach zostania królową kuchni.

Ona i Matt będą sobie jeszcze bliżsi. Po tygodniu rozpaczy, że ich małżeństwo się skończyło, bardzo chciała pewności, że zostaną razem. Głęboko zaczerpnęła tchu.

-No dobrze, przemyślę to. Ale nie podejmuj żadnych decyzji beze mnie, dobrze?

- Obiecuję. - Ukrył twarz na jej szyi, tak samo jak Toby. Poczwała, jak topniejącej opory.

Rozdział 2

W ten sam czwartek Sam Smith z rozkoszą położyła głowę na biurku na jedną cudowną minutkę. Właściwie nie na biurku; klonowy blat zniknął pod stertami dokumentów - raportów marketingowych, danych o sprzedaży i nieprzeczytanych listów. Musi to wszystko przejrzeć do siódmej. Trudne zadanie, bo Lidia, jej asystentka, złapała grypę i poszła na zwolnienie. Sam bolało gardło i piekły oczy. Pewnie jest następna w kolejce, tyle że ona nie może zachorować. Dzisiaj wieczorem musi iść na koncert, który pewnie będzie trwał do późnej nocy. Wpół do dziewiątej rano ma ważne spotkanie, później trzygodzinne posiedzenie, żeby ustalić budżet. Ani zmęczenie, ani choroba nie wchodzi w grę. Nie, jeśli od dwóch tygodni pracujesz na nowym stanowisku, stanowisku, za które niejeden sprzedałby własną matkę.

Potała oczy. Pewnie rozmazała sobie makijaż i teraz wygląda jak panda, ale co tam. Że też Lidia musiała się rozchorować akurat teraz. Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Podobało jej się w Titus Records, podobało jej się stanowisko, ekscytowała świadomość, że za jej sprawą ludzie zrobią światową karierę. Nawet nie ma porównania z poprzednią pracą, w Plutonium Records, gdzie była dyrektorem marketingu. Teraz codziennie pracowała wiele godzin, ale wracała do domu upojona pracą, o którą walczyła od piętnastu lat, dzień w dzień.

Lidia pociągała nosem całą środę i chyba ją zaraziła. Lidia, beztroška dwudziestopięciolatka, mogła sobie pozwolić na kilka dni zwolnienia. Ale Sam była tu nowa, pracowała na kierowniczym stanowisku, a w dodatku zbliżała się do czterdziestki. Na takim stanowisku lepiej nie chorować, zwłaszcza gdy się jest kobietą. Dobrze chociaż, że Sam, bezdzielna z wyboru, nie musi po pracy pędzić do domu ani zwalniać się, kiedy dziecko zachoruje.

Szczęk kłamki otrzeźwił ją błyskawicznie. Wyprostowała się, odrzuciła ciemnoblonde włosy i szeroko otworzyła oczy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Steve Parris. Sam przywołała uprzejmy uśmiech. Kiedy szef fatyguje się do ciebie pięć po piątej, musisz wyglądać czujnie i promieniować entuzjazmem. Nie czas na grypę. Zerwała się na równe nogi.

- Witaj, Steve. Co mogę dla ciebie zrobić? - Miała nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco uprzejmie. Zdążyła już zauważyć, że Steve Parris, pozornie przyjacielski i jowialny, ma obsesję na punkcie władzy i potrzebuje jej tak, jak inni tlenu. Choć niski i chudy, w garniturze od

Prady prezentował się imponująco. Jeśli ktoś nie doceniał Steve'a, sądząc po jego wątlej posturze, popełniał fatalny błąd.

Miał niesforną czuprynę, krzaczaste brwi i nie rozstawał się z cygarem wielkości rakiety atomowej, i to w firmie, gdzie wszędzie obowiązywał zakaz palenia. Bali się go wszyscy, nie wyłączając Sam.

Nie była tchórzem, ale wiedziała, że Steve jej nie lubi. Chciał, żeby na jej stanowisku zatrudniono mężczyznę, ale szef Titus European, przełożony Steve'a, wolał Sam. Steve zaakceptował jego decyzję, lecz nie był zadowolony.

- Tak tylko wpadłem - zaczął, lustrując wzrokiem bałagan na biurku i ciągle nieumeblowany gabinet. Sam wyrzuciła meble poprzednika na znak, że zjawił się nowy szef i nowe porządki.

Uśmiechnęła się najszerszej, jak umiała. Steve nigdy nie wpadał bez powodu.

- Idziesz dzisiaj na koncert Density. - Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie.

A, więc o to chodzi. Density, zespół, z którym Steve podpisał obiecujący kontrakt i który niedawno nagrał pierwszą płytę, występował dzisiaj w małym klubie w Soho. Sam, jako szefowa wytwórni, będzie miała wpływ na ich karierę, więc warto zobaczyć ich na żywo. A jeśli coś nie wypali, Steve i Sam będą w tarapatkach. Przyszedł się upewnić, czy Sam zadba o jego protegowanych, żeby ich album rozszedł się w milionowym nakładzie. Jeśli nie, potoczą się głowy i Sam była pewna, że jej poleci pierwsza.

Po raz pierwszy poczuła, jakim ciężarem jest kierownicze stanowisko. Nagle pożałowała, że odeszła ze swojej pierwszej pracy. Pracowała wówczas w firmie promocyjnej, gdzie największym wyzwaniem była konieczność uspokojenia neurotycznej gwiazdy filmowej, jeśli akurat domagała się earl greya w przydrożnej knajpie, w której do wyboru tak naprawdę był tylko sos do hamburgera. Ale nie, Sam chciała władzy i kariery, i rzuciła przemysł filmowy dla muzycznego. I po piętnastu^ latach harówki wylądowała jako. podwładna Steve'a Parrisa. To ambicja czy masochizm? Grypa, zachnęła się, zła na siebie za takie posępne myśli.

- Nie mogę się doczekać ich koncertu - zapewniła. - To, co słyszałam z płyty, bardzo mi się podoba.

Steve zmarszczył krzaczaste brwi.

- Jak to? Nie słyszałaś jeszcze całości? - warknął.

- Większość, wszystko, co już zmontowali. Producent jutro podeśle mi resztę - odparła z całym spokojem, na jaki było ją stać.

- Jezu, no wiesz, trzeba było tego posłuchać. Płyta wychodzi za miesiąc. Zobaczymy się wieczorem, a jutro porozmawiamy o płycie - powiedział i zatrzasnął za sobą drzwi.

Sam opadła na krzesło i odruchowo zaczęła obgryzać paznokcie. Cholera, cholera, cholera!

Nerwowo przekładała papiery, aż podjęła decyzję. Decyzję godną pracownika wysokiego szczebla. W końcu pracuje na ważnym stanowisku, więc może podejmować decyzje. Źle się czuje, wybiera się na koncert i musi się przebrać, jeśli nie chce wyglądać jak idiotka. Nie pójdzie przecież na koncert w szarym kostiumie od Donny Karan; przy tych maślaczach w bojówkach i kusych koszulkach będzie wyglądała jak stara ciota. Pieprzyć papierkową robotę, pojedzie do domu, naszpikuje się lekami i zmieni ciuchy. Zamknęła gabinet na klucz i ruszyła korytarzem przez otwartą przestrzeń piątego piętra. Na szczęście gabinet Steve'a był na siódmym. Miała nadzieję, że nikt na nią nie patrzy, na pewno z jej twarzy można wyczytać, że urywa się z pracy przed czasem.

Nie wiedziała, że ludzie jednak na nią patrzą; ludzie zawsze patrzyli na Sam Smith. Nie dlatego, że była piękna czy szczupła jak modelka, tylko dlatego, że emanowała energią jak dynamo.

Hope była wyższa, fizycznie silniejsza, a jednak gdy były razem, to Sam zwracała uwagę.

Hope była delikatna i miękka, pastelowa; Sam stanowiła jej całkowite przeciwieństwo; silne rysy i wyraziste kolory. Włosy, dawniej mysie, od dawna farbowała na ciemny blond; opadały na ramiona ciężką, prostą grzywą. Świadomie zdecydowała się na tę klasyczną fryzurę: kiedy ludzie patrzą na takie kobiety, od razu wiedzą, że to ktoś, ważny gracz, którego nie można lekceważyć. Miała owalną twarz z silnie zarysowanym podbródkiem, wąski prosty nos i orzechowe oczy pod lekko ukośnymi brwiami. I ciemniejszą karnację niż Hope; w lecie mogła uchodzić za Włoszkę, bo szybko opalała się na głęboki złoty kolor. W szkole nikt nie wierzył, że są siostrami. Miały tylko podobne usta; Hope wyglądała z nimi niepewnie i niewinnie, a Sam ni to słodko, ni wyzywająco. Dlatego Sam rzadko używała szminki, nie chcąc zwracać na nie uwagi. Usta Hope znamionowały wrażliwość i delikatność, a jednego i drugiego Sam chciała uniknąć. Jej zdaniem wystarczy raz opuścić tarczę, a już po tobie.

Była szczupła, ale zawdzięczała to wiecznej ruchliwości, nie gimnastyce. Wyglądała jak typowa kobieta sukcesu w świetnie skrojonym szarym kostiumie, w eleganckim płaszczu, przeciwdeszczowym, z komórką przy uchu. Jakby zesza ze stron „Cosmopolitan”, tyle że w wieku trzydziestu dziewięciu lat była trochę za stara na dziewczynę z „Cosmo”.

Wysyłała niemal namacalne sygnały: „trzymać się z daleka” i bardzo jej to odpowiadało.

- Jesteś nie do zdarcia - powiedziała kiedyś Jay, jej najlepsza przyjaciółka.

Sam zawsze się z tego śmiała, ale ostatnio bawiło ją to mniej niż dawniej. Jay, smukła, wiotka Amerykanka z Atlanty, z którą zaprzyjaźniła się na studiach, ubierała się elegancko, ale swobodnie, i pracowała w księgarni tylko po to, żeby mieć z czego zapłacić rachunki. Podziwiała upór i determinację Sam, mawiała: „Kariera? O nie, to nie dla mnie”. Dzisiaj Sam miała ochotę powiedzieć to samo.

W zatłoczonym metrze z ulgą opadła na wolne siedzenie. Nie znosiła jeździć w tłoku. Wysiadła przy Holland Park, kupiła w aptece środki przeciwko grypie i kuląc się na deszczu, poszła do domu.

W wielkim białym budynku przy ekskluzywnej ulicy wysadzonej drzewami mieściły się cztery mieszkania.

Mieszkanie wyglądało jak po wizycie włamywaczy, czyli było w takim stanie, w jakim je zostawiła rano. W rogu salonu leżała sterta ciuchów do prasowania, na stole piętrzyły się papiery, na kanapie poniewierała się wczorajsza marynarka. Sam nienawidziła bałaganu, zwłaszcza że w bałaganie nikły sterylne białe linie jej apartamentu.

Odkąd przeszła do nowej firmy, pracowała od rana do nocy i nie miała czasu ani siły na porządki. Poprzednia sprzątaczką odeszła miesiąc temu i Sam jeszcze nie znalazła nikogo na jej miejsce. Mieszkanie nie było specjalnie duże, miało dwa pokoje i było upiornie drogie. Tylko salon połączony z jadalnią miał jakiegoś przyzwoite rozmiary. Kuchnia była tak mała, że z trudem mieścił się w niej dwie osoby, a i to pod warunkiem że się bardzo dobrze znają i nie peszy ich nadmierna bliskość. Łazienka była mikroskopijna, a poza tym bez wanny, co według Sam było ogromną wadą. Nic nie szkodzi. Przy nowej gigantycznej pensji wkrótce będzie ją stać na przeprowadzkę do większego mieszkania, z wielką łazienką i takąż wanną.

Nie miała nawet tyle siły, żeby, odgrzać sobie coś w mikrofalówce, więc posmarowała bułkę serem, popiła red bullem z wódką i zażyła końską dawkę leków przeciwko grypie.

W sypialni siadła przy komputerze i napisała maila do Hope.

Cześć, Hope!

Co u ciebie? Jestem dzisiaj w fatalnym humorze, bo dopadła mnie grypa i mam dosyć pracy. Sorry, że zawracam ci tym wszystkim głowę, ale mu-

sze się komuś pożalić. Chyba wariuję. Pewnie na starość. Coraz trudniej przychodzi mi wciskanie ludziom kitu, a w moim zawodzie to podstawa. W końcu tylko dzięki temu dostałam tę posadę (to żart, che, che). Co gorsza, muszę dziś iść na koncert, a zespół gra mniej więcej taką muzykę, jak Millie i Toby, kiedy ich zostawisz samych w pokoju z gitarą, perkusją i syntezatorem. Dobrze, że się nafaszerowałam paracetamolem. Więcej napiszę w weekend. Całusy Sam

Wzięła szybki prysznic, żeby zmyć złe samopoczucie, i włożyła obcisłe czarne spodnie, kusą pomarańczową koszulkę i długi czarny skórzany płaszcz. Nie chciało jej się prasować ciuchów, które rano przygotowała sobie na koncert. Dopięła drinka i wyszła.

- Mam nadzieję, że nie planuje pani żadnych imprez w ten weekend! - zawołał za nią skrzeczący głos. - Mam gości i już wczoraj nie mogli spać przez hałasy.

Sam ugryzła się w język, żeby nie odpowiedzieć. To i tak bez sensu. Szalony Malcolm, jak nazywali go pozostali mieszkańcy, żył we własnym świecie. Mieszkał na piętrze i w kółko zarzucał wszystkim, że urządzają orgie i przyjęcia, przez które nie może spać. Bzdury, oczywiście Sam hałasowała tylko raz - kiedy upuściła sobie na nogę rondel z gorącym sosem. Wstawała o świcie, siedziała za biurkiem już o wpół do ósmej, i naprawdę nie miała czasu na imprezy. Sąsiedzi z dołu byli równie cisi. Spokój zakłócał jedynie Szalony Malcolm we własnej osobie - miał drewniane skrzypiące podłogi, zły gust muzyczny i pekińczyka, który ciągle czekał bez powodu. Sąsiedzi. Jakby nie miała dosyć na głowie, ma jeszcze wariata za sąsiada.

W klubie było duszno, gorąco i już ciasno. Jej nazwisko figurowało na liście gości, więc szybko przemknęła się za kulisy.

Ekipa ustawiła sprzęt nagłaśniający. Nie zwrócili na nią uwagi. Sam nie miała pojęcia, dokąd iść, ale nie miała też zamiaru nikogo pytać.

Poszła przed siebie długim krętym korytarzem i znalazła otwarty pokój. Stały tam krzesła, dwa stoły i dwie beczki piwa. Dwoje ludzi z firmy siedziało pod ścianą, piło piwo z puszek i rozmawiało z chudym, ogolonym na łyso facetem.

Nie знаła jeszcze wszystkich pracowników Titus Records, ale tych dwoje pamiętała. Darius był wysoki, szczupły i przystojny. Wyglądał na

chłopaka z dobrego domu. Pracował w dziale Artists & Repertoire, zwanym krótko A&R, i zajmował się wyszukiwaniem nowych talentów. On i jego koledzy byli wiecznie w trasie, rzadko kiedy zjawiali się w biurze przed dziesiątą i zawsze taszczyli płyty demo. Słyszała, że Darius jest świetny - podobno ma doskonale wycucie i zna się na muzyce.

Obok siedziała specjalistka od public relations, powszechnie znana jako Cher, bo była do niej podobna i podkreślała to jeszcze, ubierając się jak hipiska. Sam za nic nie mogła sobie przypomnieć, jak naprawdę ma na imię.

- Cześć - zaczęła i przysunęła sobie krzesło. - Rozmawialiście już z naszymi gwiazdami?

- Przed występem nie chcą nikogo widzieć - poinformowała ponuro Cher. - Poza Steve'em - dodała z szacunkiem, jakby Steve Parris był bogiem. Cóż, sam Steve o tym przekonany.

- A Steve już jest? - zapytała, wiedząc, że przez cały koncert będzie musiała stać koło niego.

-Nie, spóźni się - wyjaśnił Darius. - Może papierosa? - zaproponował uprzejmie, wyjmując paczkę.

Sam nagle pożałowała, że rzuciła palenie. Wszyscy oprócz niej zaciągali się głęboko. Przynajmniej mieli co robić.

- Rzuciłam, dzięki.

Dużo by teraz dała za filiżankę gorącej herbaty. Co prawda w rogu stał termos, plastikowe filiżanki, łyżeczki i paczka herbaty, ale uznała, że tu, gdzie wszyscy piją piwo i palą papierosy, wyszłaby na głupią starą babę, gdyby zaparzyła sobie herbatki.

Kwadrans później na scenę wyszedł support i wszyscy poszli za kulisy, żeby ich obejrzeć. Hałas był ogłuszający, jakby dwaj zapaśnicy zmagali się ze sobą w walcowni stali. Sam wytrzymała dwie piosenki, potem uciekła na zaplecze i zaparzyła sobie herbaty. Co tam, nie jest dzieciakiem, nie musi udawać, że jest cool. I tak jest starsza niż większość tych ludzi.

Support wreszcie się skończył, więc wróciła do pozostałych i czekała na Density. Wreszcie, po jakichś dwudziestu minutach wypełnionych histerycznymi wrzaskami fanek, muzycy pojawili się na scenie. Żaden nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia jeden lat. Wszyscy mieli dziwaczne fryzury, dziwaczne ubrania i kolczyki w najróżniejszych częściach ciała. Nie przepadała za tego rodzaju muzyką, ale wyczuwała jej pierwotną siłę i miała nadzieję, że ludzie to kupią.

Steve rozmawiał z menedżerem zespołu, więc Sam tylko skinęła mu głową na powitanie. Później będzie musiała podejść do nich i zachwycać się występem, ale na razie chciała tylko słuchać.

Po półgodzinie zdecydowała, że czas zobaczyć zespół z punktu widzenia publiczności. Lubiła to; reakcja fanów jest jak papierek lakmusowy. Drugi, ważniejszy sprawdzian popularności przyjdzie, gdy płyta ukaże się na rynku.

Uprzedziła ochroniarzy, że zaraz wróci, i wślizgnęła się w tłum fanów. Natychmiast uderzyła ją charakterystyczna mieszanka zapachów: młode spocone ciała, perfumy i marihuana.

Zawsze na koncertach fascynował ją zapach kwiatowych perfum. Modny nowoczesny klub, dziewczyny w czarnej skórce, obcisłych koszulkach, bojówkach, na zabójczo wysokich obcasach... I nagle ten zapach: kwiatowy bukiet perfum podkradzionych z toaletki matki miesza się z dezodorantem; naiwna świeżość i seks. I nagle to nie są już ostre, zadziorne dziewczyny, tylko wrażliwe nastolatki, zdenerwowane wieczornym wyjściem, pełne obaw i kompleksów. Mówią: „Ależ tato, nie wrócę bardzo późno”, i przed wyjściem spryskują się perfumami matki.

Są takie młode, tak bardzo chcą być dorosłe. A ona czuje się taka stara. Zmęczona, potarła skronie. Co się z nią dzieje? Przez cały dzień czuła się stara i zmęczona, za stara, żeby sterczeć na koncercie rockowym. Miała tego dosyć, nie chciała słuchać ogłuszającej muzyki i tupać do taktu, którego zresztą nie wyczuwała.

Chciała być w domu, sączyć czerwone wino, słuchać Niny Simone i odpoczywać.

Zamknęła oczy i skarciła się w myślach. Weź się w garść! - powiedziała sobie. Jesteś kobietą pracującą, więc pracuj. Poszła do Steve'a powiedzieć, że podpisał kontrakt z zespołem stulecia.

Następnego dnia choróbsko dopadło ją na dobre. Obudziła się o w pół do szóstej, zlaną zimnym potem, z gardłem tak obolałym, jakby je potraktowała papierem ściernym. Z jękiem wstała i poszła do kuchni. Może miód z cytryną by pomógł? Bo jeśli chodzi o skuteczność leków przeciw grypie...

Otuliła się granatowym szlafrokiem, usiadła przed telewizorem i skakała po kanałach, sącząc gorącą herbatę z miodem i cytryną.

- Co za bzdury - mruknęła, gdy się okazało, że o tej porze ma do wyboru programy edukacyjne albo wiadomości. Przez pół godziny oglądała program o gorylach górskich i poczuła się trochę lepiej. Co prawda tylko psychicznie, bo fizycznie poczuła się fatalnie. Przed telewizorem uświadomiła sobie, że od dawna nie czytała nic poza prasą fachową, a jej kontakt z kulturą ograniczał się do jogurtów. To straszne - rozmawia

tylko o danych marketingowych, analizach i kontraktach. Trudno uwierzyć, że piętnaście lat temu często bywała w muzeach i galeriach.

Poszła do łazienki, pod prysznic, żeby jakoś doprowadzić się do porządku. Nie może zadzwonić i powiedzieć, że jest chora, wykluczone. Zmęczona toaletą, znowu opadła przed telewizorem. Jeszcze chwileczka i się ubierze. O siódmej dziesiątej zazwyczaj wychodziła do pracy, ale dziś nadal tkwiła przed telewizorem. Głowa jej pękała.

Trudno, pojedzie taksówką. W końcu coś się jej od życia należy.

Taksówkarz zjawił się o wpół do dziewiątej. Był to jeden z tych bezczelnych typów mówiących cokneyem. Turyści za nimi przepadają, londyńczycy ich nienawidzą.

- I wiesz pani, wlepili mu mandat, bo wioził sześć osób, chociaż to była rodzina! Idiotyzm! Nie można rozdzielać rodziny! Co z tego, że według przepisów może wsiąść tylko pięciu pasażerów! Kretyństwo, ot co...

Sam czyniła heroiczne wysiłki, by się umalować. Niestety, podkład to tylko podkład, a nie czarodziejska mikstura, nie ukryje czerwonych plam na rozpalonej skórze. Choćby nie wiem jak się starała, i tak wygląda na czterdziestkę, w dodatku z czterdziestostopniową gorączką. Szczególnie starannie umalowała oczy - może odwrócą uwagę od zmęczonej cery.

- Więć mu mówię, daj spokój, kolego. Ja tylko robię, co do mnie należy - opowiadał kierowca.

Wpadła do biura dziesiątą po dziewiątej.

- Oj, fatalnie wyglądasz! - powiedziała Lidia na dzień dobry.

Sam łypnęła na nią wrogo i zastanowiła się, dlaczego wybrała sobie akurat tę asystentkę. Żaden z jej poprzednich współpracowników nie pozwoliłby sobie na taki komentarz. Chyba mięknie na starość. Jedyne usprawiedliwienie to fakt, że Lidia jest świetna w tym, co robi, mimo pozornej beztroski.

- Dziękuję bardzo, Lidio - warknęła. - I dzięki za gripę.

- Biedactwo - rozczuliła się Lidia. - Ale cię wzięło. Zaparzyć ci herbaty?

Poszukać tabletek?

- Tak, proszę. - Sam ciężko oparła się o drzwi. - Ktoś dzwonił?

- Owszem, asystentka Steve'a Parrisa. Pytał, gdzie się podziewasz, bo nie było cię na spotkaniu o wpół do dziewiątej.

Cholera! Sam za późno przypomniała sobie o ważnym spotkaniu, spóźniła się czterdzieści minut. Niewybaczalne, zwłaszcza jeśli czeka sam Steve Parris. Szukała wiarygodnego wytłumaczenia, bo prawdy nie mogła powiedzieć. Steve panicznie bał się chorób i gdyby powiedziała, że

ma grypę, zarządziliby dezynfekcję całego biura. Oczywiście nie ze względu na pracowników, tylko na siebie.

Zostaje tylko Lidia. Zadzwoiła do asystentki Steve'a i nakłamała-Lidia była chora i źle zapisała godzinę spotkania. Na wszelki wypadek, żeby mieć dowody, nabazgrała w notesie: **9.30 - ważne spotkanie z SP.**

- Spotkanie się skończyło, a Steve jest wściekły - poinformowała jego asystentka.

Steve jest wiecznie wściekły, pomyślała Sam. Chyba się taki urodził. Znała go zaledwie od dwóch tygodni, a już miała serdecznie dosyć.

- Boże, tak mi przykro. Co mam robić, żeby mi wybaczył? - zapytała. Jeżeli ktokolwiek wie, to właśnie ta nieszczęsnica, która pracuje z nim na co dzień.

- Schować się - usłyszała w odpowiedzi.

Nic z tego. Steve wpadł do jej gabinetu tuż przed lunchem. Wyrzucił kilka osób z marketingu, którzy omawiali z Sam nowy projekt. Nie czekał, aż skończą, tylko wpadł jak burza i zaczął na nią krzyczeć. Sam siedziała spokojnie, a kiedy przerwał, grzecznie przeprosiła za pomyłkę.

- Ale nie sądzisz - dodała lodowatym głosem - że wpadanie tu bez uprzedzenia i urządzanie mi awantury jest kiepskim rozwiązaniem? Nie życzę sobie takiego traktowania, Steve. Nie uda ci się mnie zastraszyć. - Jej oczy były twarde jak stal.

Steve niezdarnie próbował się wycofać.

- No tak, czasami rzeczywiście mnie ponosi.

Sam uśmiechnęła się zimno. Czemu mówi z amerykańskim akcentem? Przecież pochodzi z Liverpoolu.

- Cieszę się, że to ustaliliśmy - powiedziała, a potem, żeby mu osłodzić porażkę, dodała z fałszywym entuzjazmem: - Density byli rewelacyjni. Są świetni na scenie, po prostu zwalili mnie z nóg. Miałeś nosa.

Steve uśmiechnął się dumnie.

- Niezły koncert, co?

- Zarobimy na nich majątek - dodała. Dosłownie pęczniał z dumy.

Tak żałośnie łatwo nim manipulować. Czy dlatego, że nie przywykł, by kobiety mu się sprzeciwiały? Większość kobiet zatrudnionych w firmie tak się go bała, że kiedy prosił o kawę, rzucały się niemal biegiem. A wystarczyło odpłacić pięknym za nadobne i już był zbity z tropu. Westchnęła ciężko. Ta praca ją zniszczy, jeśli codziennie będzie musiała się z nim kłócić.

To był burzliwy piątek. Sam z trudem przełknęła pół kanapki, a już musiała biec na cotygodniowe zebranie działu marketingu. Później starała się nadrobić zaległości papierkowe, rozmawiała z ludźmi z produkcji na temat nieudanej okładki płyty, odpowiadała na telefony i e-maile. Lidia wyszła o szóstej, podobnie jak większość pracowników, ale Sam siedziała za biurkiem do wpół do ósmej. Nie wiedziała już, co gorsze, zmęczenie czy ból gardła i głowy. Zanim wyszła, zerknęła w lustro w łazience. Wyglądała jak śmierć, blada i spocona.

Strażnik skinął jej głową na pożegnanie, gdy wychodziła. Na dworze było ciemno i deszczowo, jak zwykle w październiku w Londynie. Trudno uwierzyć, że zaledwie miesiąc temu było piękne babie lato. Zmęczona, ruszyła do metra, po drodze weszła do sklepu po mleko i cytryny do leczniczej herbatki.

W pociągu z ulgą opadła na siedzenie. Pasażerowie dokoła niej byli ożywieni, cieszyli się na nadchodzący weekend. Grupka młodych kobiet, umalowanych i wystrojonych, wyróżniała się jak stadko rajskich ptaków. Nie siadały, żeby nie pognieść sobie sukienek, choć niektóre miały zabójczo wysokie szpilki. Sam obserwowała, jak się śmieją i żartują. Ona też kiedyś taka była, młoda, pełna życia, tryskająca energią. Co się z nią dzieje? To nie tylko grypa, to chyba coś gorszego. Ale co? W domu zaparzyła sobie herbaty i poszła się przebrać. Włączyła komputer - może Hope już odpisała. Owszem, odpisała. Sam uśmiechnęła się. Dziwne, te same słowa „masz wiadomość” w domu cieszą, w pracy irytują.

Cześć, Sam!

Chyba jesteś w kiepskim humorze, biedaczko. Już ja cię znam, tylko pracujesz i pracujesz. I nigdy na nic nie narzekasz, nawet mnie niczego nie mówisz, chociaż od tego są siostry. Matt dziękuje za życzenia. Dan urządził dla niego uroczystą kolację, ale było to raczej spotkanie znajomych z pracy niż szalona impreza.

U mnie... no cóż, dużo się dzieje. Zastanawiamy się z Mattem, czy nie wyprowadzić się na rok na wieś, do Irlandii. To trochę nieoczekiwane, wiem, ale właściwie myśleliśmy od tym od dawna i chyba teraz jest odpowiednia pora.

Matt weźmie roczny urlop, a nic nie wskazuje na to, bym miała szansę na awans w Witherspoon. Na razie to tylko plany, dam ci znać, kiedy podejmiemy decyzję. Do zobaczenia Hope

Sam wpatrywała się w ekran z niedowierzaniem. Wyprowadzić się? Do Irlandii? Matt weźmie urlop, a Hope rzuci pracę? Szaleństwo to mało powiedziane.

Hope zawsze wszystko z nią omawiała, niemożliwie, żeby do tej pory o tym nie wspomniała, chyba że... Sam zmrużyła oczy. Cholerny Matt. To jego idiotyczny pomysł, gotowa się założyć. A Hope jak zwykle się na wszystko zgadza. Sam szybko sprawdziła pociągi do Bath i zadzwoniła do siostry. Grypa nie grypa, musi z nią poważnie porozmawiać, i to w cztery oczy.

Zapakowały niedużą torbę Sam do bagażnika, obok toreb z zakupami. Hope nie mogła się nadziwić, jak siostra to robi, że wozi ze sobą tak mało, a wygląda tak elegancko. Hope zawsze taszczyła potężną torbę, a i tak wiecznie czegoś zapominała. Sam była blada, ale poza tym wyglądała jak z żurnala. Czuła się już lepiej, pewnie tylko dlatego, że wpakowała w siebie ogromne ilości leków.

- Chodźmy gdzieś na kawę - zaproponowała. Hope wyjątkowo przyjechała po nią bez dzieci, i bardzo dobrze. Będą mogły spokojnie porozmawiać o zwariowanym pomysle wyprowadzki. Hope specjalnie nie powiedziała dzieciom, że przyjeżdża ich ukochana ciotka. Gdyby Millie się dowiedziała, zaraz urządziłaby histerię, że ona też musi jechać po ciocię na dworzec.

- Po to, żebyś mogła w spokoju mnie ochrzanić, wiedząc, że Matt ci nie przerwie? - domyśliła się Hope z lekkim uśmiechem. Nie była głupia. Sam nie składała niezapowiedzianych wizyt; nie trzeba wielkiej przenikliwości, żeby się domyślić, po co przyjechała.

- Tak jest, Sherlocku, właśnie taki mam plan - przyznała Sam z uśmiechem. - Jestem przerażona, że tak szybko mnie rozgryłaś. Chyba tracę talent. Pamiętam czasy, gdy robiłaś wszystko, co ci każe.

- Ja też - mruknęła Hope. - Ale od tego czasu trochę się zmieniłam.

- Tylko trochę - podchwyciła Sam. - Teraz słuchasz Matta. Hope zatrzasnęła bagażnik.

- Mam propozycję: zawieszenie broni, dopóki nie napijemy się kawy.

- Dobra.

Było dopiero wpół do jedenastej, pogodny październikowy poranek. Na niebie pojawiło się mdłe słońce. Minęły katedrę, majestatyczną i dostojną.

- Jakie to piękne miasto - westchnęła Sam. - Chyba jeszcze nigdy nie włączyłam się po Bath jak prawdziwa turystka.

Mijały ich tłumy turystów; jedni energicznie wymachiwali aparatami fotograficznymi, inni wlekli się noga za nogą, jakby chcieli już wrócić do autokaru i ruszyć na dalsze zwiedzanie.

Hope i Matt zwiedzili miasto, jak tylko się tu przeprowadzili. Zaliczyli wszystkie atrakcje turystyczne. Napili się leczniczych wód.

- Obrzydlistwo. - Hope rozglądała się, czy nie da się gdzieś dyskretnie wypluć siarkowej wody.

- Smakuje trochę jak tonik - orzekł Matt.

Zwiedzili rzymskie łaźnie, wysłuchali opowieści przewodnika o czasach, gdy Bath nazywało się Aqua Sulis i było rzymską osadą z pięknymi willami z ogrzewaniem pod podłogą. Matt uwielbiał opowieści o Rzymianach, Hope wołała szukać śladów georgiańskiej przeszłości Bath. Jako nastolatka zaczytywała się w powieściach Jane Austen, a jej bohaterki często bywały w Bath. Chętnie zaglądała do Muzeum Strojów i wóczyła się wąskimi krętymi uliczkami. Lubiła sobie wyobrażać, że lada chwila podjedzie powóz i wysiądzie z niego dama w pięknej empirowej sukni.

Siostry minęły grupę ulicznych muzyków. Grali, co Sam od razu rozpoznała, Mozarta. Nie na darmo przez dwa lata kierowała firmą wydającą muzykę klasyczną. Dzięki temu, słysząc uwerturę z *Wilhelma Telia*, nie myślała jedynie o serialu *Lone Ranger*.

- Ładnie tu, prawda? - Hope rozglądała się z zachwytem. Tak rzadko miała czas, żeby po prostu pospacerować po mieście.

Sam uparła się, żeby wstąpić do kawiarni Sälly Lunn, w której, zdaniem Hope, nie postanie noga żadnego prawdziwego mieszkańca Bath.

- Zrozum, to tak jakbyś się wóczyła po Piccadilly Circus z buzią szeroko otwartą z wrażenia albo fotografowała się przed pałacem Buckingham - tłumaczyła, gdy Sam zaciągnęła ją do kawiarenki pełnej turystów. - Zrujnujesz mi reputację! Miejscowi tu nie wchodzą!

- Nie bądź taka. - Sam nagle uświadomiła sobie, że od dwóch dni właściwie nie jadła. Zwariuje, jeśli zaraz nie dostanie kanapki z łososiem. - Kiedy następnym razem przyjedziesz do Londynu, obiecuję ci, że się sfotografuję z krukiem z wieży Tower. Umowa stoi?

-1 w galerii madame Tussaud, i przed Harrodsem?

- Ale jesteś uparta - Sam westchnęła ciężko. - Dobra, to też. I jeszcze kupię ci koszulkę z napisem I LOVE LONDON, w porządku?

Sam błyskawicznie pochłonęła swoją kanapkę i jeszcze pół porcji Hope, która była obecnie na diecie połowicznej, jak to nazywała, czyli jadła połowę tego, na co akurat miała ochotę: połowę kanapki, ciastka i tak dalej.

Sam paplała bez przerwy, opowiadała o pracy, o tym, jak przegapiła ważne spotkanie, o niemal nieistniejącym życiu towarzyskim.

- Nade mną mieszka Szalony Malcolm, ciągle się czepia, że urządzam głośne imprezy. Akurat, ja i imprezy! Szansa na to, że urządzę w domu przyjęcie, jest mniej więcej taka sama jak na to, że pewnego dnia Steve Parris okaże się równym gościem.

- Aż tak źle? - Hope wiedziała, że siostra śmiechem maskuje rozpacz.

Na moment oczy Sam pociemniały.

- Nie mówmy o mnie - ucieła.

- Przepraszam - wycofała się Hope. - Ale skoro przejechałaś taki kawał drogi, żeby na mnie nakrzyczeć, uważam, że ja też mam prawo coś powiedzieć na temat twojego życia.

- Ja nie mam życia, ja mam karierę - poprawiła Sam kwaśno. Hope zachęcająco pochyliła się nad stołem.

- Wszystko przez tę gripę - zapewniła szybko Sam. - Ostatnio marnie się czuję, sama nie wiem dlaczego. Od września już dwa razy chorowałam Ciągle chudnę. Poza tym mam strasznie bolesne miesiączki, na dwa dni wyłączają mnie z obiegu. W dodatku Steve Parris, mój nowy szef to arcydupek, wybacz, że się wyrażam, ale taka jest prawda. Będę musiała mu udowadniać, ile jestem warta, co najmniej do osiemdziesiątki. Zresztą czuję się tak, jakbym już miała tyle.

Hope wzięła ją za rękę.

- Sam, powinnaś iść do lekarza. Często chorujesz i te bolesne miesiączki... Musisz to sprawdzić. Założę się, że masz anemię, obfite miesiączki prowadzą do anemii. Musisz się wzmocnić.

- Dajmy już temu spokój. Ostatnio jestem w kiepskim humorze. Znasz mnie, tak naprawdę jestem silna jak wół. - Uśmiechnęła się z trudem. - Pewnie za dużo seksu, a za mało snu. - Kłamstwo. Zdążyła już zapomnieć, kiedy ostatnio się kochała. Nieprawda, pamiętała bardzo dobrze; w Paryżu, z Karlem. To był ich ostatni, gorzko-słodki raz.

- Spotykasz się z kimś? - ożywiła się Hope. Czas zmienić temat.

- Opowiem ci o tym innym razem - wymigała się Sam. Nie chciała przyznać, że jej ostatni romans zakończył się dwa lata temu. Kobiety sukcesu odstraszaają mężczyzn skuteczniej niż opryszczka. - A teraz ty powiedz, co będziesz robiła w Irlandii? Matt pewnie wszystko sobie zaplanował, ale co z tobą?

- O mnie też pomyślał - sprzeciwiła się Hope. - Od dawna chciałam spędzać z dziećmi więcej czasu. Nawet nie wiesz, jak cierpię, kiedy

odprowadzam je rano do przedszkola. Tobi stawał tam pierwsze kroki, a mnie przy tym nie było. - Do dzisiaj cierpiała na to wspomnienie.

- Fakt - przyznała Sam. - Ale lubisz pracować; to też część twojego życia. Jak sobie poradzisz w obcym kraju, bez znajomych, bez przedszkola w pobliżu, bez przyjaciół, którym tu możesz się wyzalić?

Na to Hope nie miała odpowiedzi.

- A wieczorami? Tam nie ma kin, teatrów, restauracji - naciskała dalej Sam.

- Och, zjedź na ziemię - przerwała jej Hope. - Rozmawiasz ze mną, matką dwojga dzieci, a nie damą z towarzystwa, która całymi dniami głowi się, w jakiej kreacji wystąpić na premierze. Ostatnio byliśmy w teatrze na *Miss Saigon*, u ciebie, w Londynie. A kino? Kiedy dzieci już zasną, jestem zbyt zmęczona, żeby wychodzić. Wolę coś na wideo.

- Ach, zatem wszystko w porządku - zaperzyła się Sam. - Nie ma sprawy, jeśli tylko w wiosce na końcu świata jest wypożyczalnia wideo, tak?

Zabrzmiało brutalnie, ale musiała to powiedzieć. Hope nie jest zbyt wylewna. To znaczy, przy Sam papla i żartuje, ale przy innych siedzi cicho jak myszka. Na przyjęciach chowała się w kąciaku i obserwowała, jak towarzystwo się bawi. Owszem, w nowym kraju czekają nowe wyzwania, nowe przyjaźnie, wiele osób na jej miejscu cieszyłoby się z wyjazdu; ale nie Hope.

-Nigdy nie lubiłaś się angażować - mówiła Sam. - Nie zapiszesz się do kółka teatralnego, nie wstąpisz do chóru, nie będziesz podporą komitetu rodzicielskiego. Wszystko pięknie i ładnie, kiedy masz pracę i mieszkasz na osiedlu z setką innych młodych matek, ale na takim odludziu?

No, wreszcie to powiedziała.

Hope nie od razu zareagowała.

- Przyzwyczaję się - powiedziała w końcu. - Zresztą będę z Mattem i dziećmi i dlatego się na to decyduję.

- Ale co z tobą? - Sam nie dawała za wygraną.

- Przecież tego chcę - powtórzyła Hope. - Czy ty mnie słuchasz, Sam? Robię to dla nich, ale i dla siebie.

Chętnie by się zwierzyła z niedawnych obaw, że Matt ma romans, ale Sam była dzisiaj bardzo drażliwa. Pewnie zaraz by coś odburknęła. Na przykład: I co, z tej wdzięczności, że cię nie zdradza, poszłabyś z nim na koniec świata, tak?

Sam z kolei chętnie by się poskarżyła, że czuje się stara i niespełniona, mimo nowej świetnej pracy. Lecz Hope i bez tego ma dosyć problemów. Od dnia jej ślubu Sam przypuszczała, że z Mattem będą kłopoty

był stanowczo za przystojny, żeby mu zaufać. Choć prawdę mówiąc, Sam nigdy nie ufała żadnemu facetowi.

Ledwie weszły do domu, Millie rzuciła się na ciocię Sam z dzikim entuzjazmem.

- Ciocia Sam, ciocia Sam! - wykrzykiwała, zanim sobie uświadomiła, że mama nie wyszła tylko po zakupy. Jej dolna warga zadrżała podejrzenie.

- Ciocia Sam chciała zrobić wam niespodziankę, skarbie - wytłumaczyła szybko Hope.

- Miłą niespodziankę, mam nadzieję - dodała Sam ponuro. - Nie przywitasz się ze mną? - zwróciła się do Toby'ego.

Uściskał ją szybko i pokazał ukochany pociąg.

- Popatrz, ciociu Ham. - Nie umiał wymówić jej imienia.

- Cześć. - Matt wyjrzał z kuchni. Sam pozdrowiła go chłodno.

Sam i Matt nie mogli się porozumieć, ale nie dlatego, że tak bardzo się od siebie różnili. Raczej dlatego, że byli do siebie bardzo podobni, oboje silni, władczy i zazdrośni. Żadnemu nie podobało się, że jest w życiu Hope jeszcze ktoś równie ważny. Rywalizacja między nimi była wiecznym źródłem zmartwień dla Hope, chociaż ani Sam, ani Matt się tym nie przejmowali.

- Co cię do nas sprowadza? Mam zgadywać? - zaczął Matt złośliwie. Hope spojrzała na niego znacząco.

- Sam jest tylko do jutra, więc postarajmy się, żeby to był miły weekend - powiedziała dokładnie tym tonem, którego używała, namawiając Millie do zjedzenia brokułów.

Ale nie był to udany weekend. Sam wściekała się na Matta za jego, jak to określała, wariacki plan. Matt był wściekły na Sam, że ośmiela się go krytykować, i w sobotę wieczorem powiedział Hope, że jej siostra wtyka nos w nie swoje sprawy i bardzo mu się to nie podoba.

- To straszna baba - warknął. Chodził nerwowo po sypialni w skarpetkach i koszuli, i o dziwo, wcale nie wyglądał śmiesznie.

Ponieważ Sam zaledwie kilka godzin wcześniej powiedziała o nim „despotyczny typ”, Hope tylko zacisnęła zęby i modliła się, żeby weekend dobiegł końca. Zazwyczaj bardzo się cieszyła z wizyt Sam. Rozmawiały godzinami. Ale tym razem Matt towarzyszył im na każdym kroku, jakby nie chciał, żeby Sam wybiła siostrze z głowy wyjazd do Irlandii. Ciągle skarżył się Hope na Sam, a Sam skarżyła się na Matta.

Biedna Hope znalazła się między młotem a kowadłem i z rozpaczki znacznie uszczupliła swój sekretny zapas czekoladowych ciasteczek.

Nie chciała sprawić przykrości ani siostrze, ani mężowi, więc starała się schodzić im z drogi i ilekroć zaczynali się kłócić, ograniczała się do okrzyków:

- Och, spójrzcie, co ta Millie wyprawia! Albo propozycji:
- Może jeszcze herbatki?

Wszyscy byli zadowoleni, gdy w niedzielne popołudnie odwoziła Sam na dworzec.

- Przykro mi, jakoś dziwnie to wszystko wyszło - zaczęła Sam na peronie.
- Ależ skąd, było cudownie - zapewniła Hope, nadrabiając miną.
- Postaraj się wpaść do mnie do Londynu, zanim się przeprowadzicie, dobrze?
- Jasne. - Hope miała łzy w oczach.

Uściskały się serdecznie i Sam wsiadła do pociągu.

Hope na próżno starała się nie płakać. Szkoda, że tak rzadko się widują, szkoda, że Sam i Mart wiecznie się kłócą, szkoda... sama już nie wiedziała, czego jej jeszcze szkoda.

W drodze powrotnej Sam myślała o Karlu. Starała się o nim zapomnieć, a jednak już dźwięk jego imienia budził dreszcz rozkoszy. Poznali się na konferencji w Brukseli i natychmiast coś między nimi zaiskrzyło. Wiele kobiet wzdychało na widok przystojnego, wysokiego Szweda, ale on widział tylko Sam.

Przez cały tydzień krążyli dokoła siebie, rozmawiali o pracy (pracował w koncernie międzynarodowym i dużo podróżował) i siadali razem przy kolacji, ale to wszystko. Dopiero później, kiedy na dwa miesiące przyjechał do Londynu, spotykali się regularnie. Miał służbowe mieszkanie, ale niemal cały czas mieszkał u Sam, w starej kamienicy. Zachowywali się jak zakochani z kliwskiego serialu: śniadanie w łóżku, kolacje przy świecach, wspólne wieczory przed telewizorem - oboje lubili stare filmy. Nawet gazety czytali razem.

Choć z pozoru chłodny i opanowany, w głębi serca był romantykiem. Marzyła mu się wspólna przyszłość i błagał Sam, żeby przeniosła się z mm do Paryża. Miał tam zostać co najmniej dwa lata.

Ale Sam się nie zgodziła.

Zrezygnować z pracy i iść za nim jako jego dziewczyna, kochanka, towarzyszką? Jako dodatek? O nie. Błagał ją, tłumaczył, że z jej doświadczeniem wszędzie znajdzie pracę, może o wiele lepszą. Ale Sam nawet

nie chciała tego słuchać. Nie będzie dodatkiem do nikogo. Zawsze chciała stać na własnych nogach i nic tego nie zmieni.

Zrozumiał, że Sam mówi poważnie, dopiero po tygodniu awantur. To było dwa lata temu. Później się dowiedziała, że ożenił się z jakąś Francuzką, projektantką mody. Ciekawe, jak ona zareaguje na przeprowadzkę.

Naprzeciwno usiadła kobieta z małym dzieckiem. Matka była blada i nieumalowana, dziecko radosne i energiczne, skore do psot.

- Lily, usiądź, proszę - błagała matka. - To tylko pół godziny. Jeśli będziesz niegrzeczna, pan konduktor na nas nakrzyczy.

Wyjęła kilka książeczek z bajkami.

- Soku! - zażądała Lily, na której groźby najwyraźniej nie robiły wrażenia. Żeby pokazać, kto tu rządzi, zrzuciła książki na podłogę i gapiła się na Sam.

Zupełnie jak Millie, pomyślała Sam z rozbawieniem, pewna siebie, władcza, zdecydowana postawić na swoim. Jakim cudem biedna, zastraszona Hope urodziła takiego tyrana?

Kobieta wyjęła kartonik soku z przepastnej torby na ramię, takiej samej jaką nosiła Hope. Wszystkie matki mają powykrzywiane kręgosłupy od taszczenia toreb ze wszystkim, co się może dziecku przydać, poczynając od napoi, na zapasowych ubrankach i kompletnym posiłku kończąc.

Sam wyglądała przez okno i starała się ignorować badawczy wzrok Lily. Im intensywniej Sam patrzyła w dal, tym bardziej Lily się nią interesowała. Wychylała się z kolan matki, aż w końcu prawie leżała na stoliku między nimi.

- Lily! - ostrzegła matka.

Lily cofnęła się odrobinę i przestała pić. Niechcący ścisnęła kartonik; strumień soku wystrzelił w powietrze szerokim łukiem i wylądował na żakiecie Sam.

- Przepraszam - powiedziała znużona matka.

Sam wyobraziła sobie Hope, jak podróżuje z Millie i Tobym i modli się, żeby nie oblali nikogo sokiem i nie pomazali czekoladą. Pokiwała głową.

-Nie ma sprawy - zapewniła. -I tak miałam go oddać do pralni.

Kobieta spojrzała na nią z taką wdzięcznością, że Sam uśmiechnęła się w duchu. Dawniej zachnęłaby się, burknęła, że dzieci trzeba pilnować. Chyba się starzeje.

Czterdzieści lat. Wzdrygnęła się. Brzmi strasznie staro. Teraz Karl by się w niej nie zakochał, pomyślała ze smutkiem. Dziwne, że tyle o nim myśli - wydawało się, że już zapomniała. Nie brakowało jej Karla konkretnie, tylko bliskości drugiego człowieka. Czułości, bliskości...

Tęskniła za bliskością, ale nie za innymi stronami związku. Przypomniła sobie wszystkie porady z kobiecych pism i wieczne troski przyjaciółek, czy on jest zadowolony, czy niczego mu nie brakuje... koszmar. Nie pojmowała, czemu tylko kobiety się martwią. Faceci robią, co im się żywnie podoba i jakoś nie zadreńczają się pytaniami, czy żona jest szczęśliwa, czy nie czuje się samotna i tak dalej. Cholera, to nie w porządku.

Przydałby jej się wirtualny narzeczony: wysokiej klasy robot, który by ją tulił, pieścił i pytał, jak minął dzień, ale którego mogłaby wyłączyć, kiedy jest zła i zmęczona. I który nigdy nie powie:

- Wiesz, długo myślałem nad tą propozycją pracy na Marsie... Uśmiechnęła się pod nosem. Dziwne, że jeszcze nikt nie wpadł na ten pomysł. Wirtualni narzeczeni sprzedawaliby się jak ciepłe bułeczki. Żadnych uczuciowych komplikacji, same zalety.

Lily uśmiechała się promiennie.

Sani odpowiedziała uśmiechem.

- Ależ ona słodka - odezwała się do jej matki.

- O tak, zwłaszcza kiedy śpi.

Po powrocie do Londynu zrobiła zakupy i przygotowała spaghetti z sosem pesto i warzywami. Był to szczyt jej osiągnięć kulinarnych.

Nałożyła sobie dużą porcję, włączyła ulubioną płytę Niny Simone i usadowiła się wygodnie w fotelu. Jednak nie była głodna. Normalnie przepadała za makaronem i sosem pesto, ale dzisiaj nie miała apetytu.

Zrezygnowana, odsunęła od siebie niemal nietknięty talerz. Nie jest głodna.

Właściwie to nic dziwnego; przez dwa dni opychała się smakowitymi bułeczkami.

Tydzień zaczął się fatalnie. W poniedziałek rano zadzwonił menedżer Density i jednym tchem wymieniał, czego zespół nie zamierza zrobić w związku z promocją nowej płyty. Lista obejmowała sesje fotograficzne, wywiady z dziennikarzami, którzy nie byli na koncercie, i występy w telewizji porannej. I absolutnie, ale to absolutnie nie życzą sobie prasy bulwarowej.

Sam starała się delikatnie wytłumaczyć, że to wszystko bardzo utrudni sprzedaż płyty, ale menedżer nie chciał jej słuchać.

- Steve Parris powiedział, że dostaniemy wszystko, czego zechcemy - burknął. - A chcemy właśnie tego. - I odłożył słuchawkę.

Ponieważ uznała, że jeszcze za wcześnie na rozlew krwi, nie oddzwoniła i nie zagroziła mu bardzo bolesną operacją chirurgiczną, chociaż miała na to wielką ochotę.

O jedenastej Steve zwołał nadzwyczajne spotkanie szefów działów. Konieczne są redukcje, oznajmił. Dziesięciu menedżerów wysokiego szczebla siedziało przy stole i referowało sytuację w poszczególnych działach. Wszyscy udawali spokojnych, ale tak naprawdę trzęśli się ze strachu, że stracą posadę. Wszyscy poza Sam. Miała dosyć drżenia przez Steve'a Parrisa. I tak jej nie wywałę, między innymi dlatego, że niedawno podpisała umowę na trzy lata.

Poczuła na sobie wzrok szefowej public relations. Właśnie ta wysoka czarnoskóra Amerykanka, Karen Storin, najcieplej przyjęła Sam w firmie.

- Witaj w elitarnym klubie Steve'a - zażartowała pierwszego dnia.

- Elitarnym klubie? - zdziwiła się Sam.

- Klubie kobiet na kierowniczych stanowiskach - wyjaśniła Karen. - Steve nie przepada za menedżerami w spódnicach.

- Chcesz powiedzieć, że jestem tu, bo jestem kobietą, a ty, bo jesteś czarną kobietą? - zażartowała Sam.

- Nie, jesteśmy tu mimo to. I dlatego, że jesteśmy cholernie dobre. - Sam wiedziała, że jest jeszcze jeden powód jej obecności w firmie - obstawał przy tym przełożony Steve'a.

- Wszystko w porządku? - zapytała teraz z uśmiechem, bo przed zebraniem rozmawiały już na temat Density, wiedząc, że nie słyszy ich wścibski zastępca Steve'a.

- Oczywiście. Wszystko zgodnie z planem - odparła Karen poważnie, choć niezupełnie zgodnie z prawdą.

Jeszcze kilka minut temu wściekała się i mówiła co innego:

- Właśnie rozmawiałam z ich menedżerem. W życiu nie miałam do czynienia z takim kretynem. Gdybym nie wiedziała, że pracuje dla nich, byłabym pewna, że sabotuje całe przedsięwzięcie. Nie zgadzają się na nic, co proponuję. Chcą, żeby płyta się nie sprzedała, czy jak?

Ale teraz uśmiechnęła się i spytała:

- A u ciebie?

- W porządku - zapewniła Sam, choć kilka minut temu narzekała, że menedżer Density doprowadza ją do białej gorączki. Jeśli się pracuje ze Steve'em Parrisem, lepiej udawać, że wszystko gra.

Wielki szef zjawił się w obłoku dymu z cygara. Sam to nie przeszkadzało, kiedyś paliła paczkę papierosów dziennie, ale nie podobało jej się, że Steve ostentacyjnie ignorował wszystkie zakazy. Pozostali pracownicy musieli czekać do przerwy na lunch, żeby wyskoczyć na papierosa.

Szef rozsiadł się na skórzanym fotelu i oparł nogi na biurku.

- Więc jak leci, ludzie? - zapytał.

Sam z trudem stłumiła jęk. Co on sobie myśli, że przyszedł do pubu na piwo? Okropny typ! Nie znosiła go.

- Super, Steve, super - zapewnił Zak, szef działu A&R, który chyba uwierzył, że sąw knajpie. Podobno w latach osiemdziesiątych trochę przesadzał z kokainą. Był osobistym przyjacielem Steve'a i jak wieść niesie, tylko temu zawdzięczał posadę.

- Cięcia, cięcia, cięcia! - Steve przeszedł do rzeczy. - Musimy zredukować dziesięć osób na stanowiskach kierowniczych - oznajmił.

Patrzyli na niego przerażeni. Dziesięć osób. Stanowiska kierownicze, a więc ludzie z tego budynku, z ich działów. Ludzie, których oni będą musieli zwolnić. Sam poczuła znajomy skurcz w żołądku. I do tego jeszcze mdłości. Rano nie zdołała przełknąć grzanki, za to wypila trzy kawy jeszcze przed wyjściem z domu.

- Mamy za dużo ludzi w Europie - ciągnął Steve. - Zarząd twierdzi, że to jedyne wyjście. Odchudzimy kadry.

- Czy wiadomo już, które działy obejmie restrukturyzacja? - Sam zdziwiła się, słysząc własny głos, spokojny i chłodny.

Steve odchrząknął.

- Cóż, między innymi twój. Stracisz cztery osoby. Sam zrobiło się niedobrze.

- W tym kraju zatrudniamy czterysta osób, więc to i tak niedużo - podchwycił główny poplecznik Steve'a.

- Ależ owszem - warknął Curtis, szef departamentu prawnego. - Tu chodzi o naszych współpracowników. Co z moim działem?

Steve najwyraźniej się go obawiał. Pewnie bał się nastąpić na odcisk facetowi, który w mgnieniu oka może przygotować pozew sądowy.

- U ciebie wszyscy zostają - zapewnił szybko.

Zebranie trwało jeszcze dwadzieścia pięć minut. Steve tłumaczył, jak mają przedstawić kwestię redukcji, zarówno na zewnątrz, jak i w firmie. Dział kadr już wybrał osoby do .zwolnienia; później omówi to z szefami poszczególnych działów. Sam miała się stawić o trzeciej.

W milczeniu wyszli z sali konferencyjnej. Nagle doszła do wniosku, że nie wytrzyma w ciasnej windzie. Zapragnęła świeżego powietrza. Zbiegła na dół po schodach. Wyszła na dwór. Curtis głęboko zaciągał się papierosem.

- Poczęstujesz mnie? - zapytała, zła na siebie, że chce zapalić po tylu latach.

- Nie wiedziałem, że palisz - zdziwił się.

- Już nie. Ostro było, prawda? Skinął głową.

-Nie wiem, jak mam zwolnić cztery osoby. O, przepraszam, „zredukować stan zatrudnienia” - poprawiła się z goryczą. - Jeszcze nie znam ich wszystkich, a teraz wyjdę na sukę, która zwalnia dobrych pracowników. Super. A Steve ma to w nosie. Prawie się uśmiechał, kiedy mówił, że u mnie polecą cztery osoby. Chyba mnie nienawidzi.

Curtis uśmiechnął się pod nosem.

- Steve nikogo nie lubi. Zrozum to, a wszystko będzie dobrze. Rzeczywiście nie należysz do jego pupilków, bo wymyślił sobie kogoś innego na twoje stanowisko.

Sam przewróciła oczami.

- Jakbym o tym nie wiedziała.

- Znam go od lat i przez ten czas w ogóle się nie zmienił - ciągnął Curtis. - Ale jest dobry w tym, co robi. Kiedy przejmował firmę, była w fatalnej kondycji.

- Lubi stresować ludzi - westchnęła Sam. - Specjalnie nam powiedział, że rozmawiamy dzisiaj o redukcjach personalnych, ale nie mówił,

o kogo chodzi, żebyśmy wszyscy umierali ze strachu.

Curtis wzruszył ramionami.

- Psychologia. Najpierw siebie strach, a kiedy wreszcie powie ci, że masz wywalić cztery osoby, nie posiadasz się ze szczęścia, że twojego nazwiska nie ma na liście. I zrobisz, jak każe. Steve lubi rządzić, a wydaje mu się, że gdyby okazał ludzkie uczucia, od razu straciłby władzę.

Sam zrobiło się niedobrze po papierosie. Wróciła na górę. Była na siebie zła, że rozmawiała z Curtisem. Co ją opętało? To pewnie skutki grypy. Przecież tylko się domyśla, że Curtis nie lubi szefa, w rzeczywistości mogą być starymi kumplami.

O trzeciej poszła do jaskini lwa. Steve i szef kadr siedzieli nad listą pracowników. Kadrowy wymienił cztery nazwiska, jeszcze zanim usiadła.

Sam słuchała uważnie i starała się ukryć niesmak. Na liście była między innymi kobieta w czwartym miesiącu ciąży. I młody chłopak, który właśnie wziął duży kredyt mieszkaniowy. Pracował w public relations i Sam zdążyła zauważyć, że jest naprawdę dobry.

Ale co może powiedzieć? Nic. Jest szefem, musi podejmować trudne decyzje. Cztery osoby z jej departamentu muszą odejść, trudno. Personalny gadał i gadał, a Sam słuchała.

Kiedy skończył, lodowato zauważyła, że wśród wymienionych jest ciężarna.

- Musimy sprawdzić, czy może nas pozwać, jeśli teraz ją zwolnimy - powiedziała spokojnie, jakby mówiła o musze na szybie, a nie o życiu człowieka.

Steve roześmiał się na całe gardło.

- Mówiłem, że Sam Smith wyrzuci na bruk cały dział i nawet okiem nie mrugnie - zwrócił się triumfalnie do personalnego. - Dobrze zrobiliśmy, że cię zatrudniliśmy, Sam. Potrzebny nam ktoś, kto zna zasady gry, a nie cikliwa krowa, która będzie szlochać, ilekroć trzeba kogoś zwolnić.

Sam zamrugła szybko. Przypomniała sobie ostatnie interview, kiedy Steve delikatnie, jak na niego przynajmniej, wypytywał, czy planuje dzieci. Oczywiście nie zapytał wprost, bo to niezgodne z prawem. Sam zawsze wiedziała, kiedy przyszli pracodawcy krążą dookoła tego tematu, ciekawi, czy nie jest przypadkiem chodzącą bombą biologiczną z opóźnionym zapłonem. Odpowiadała szczerze i zwykle okazywało się, że to skuteczny sposób. Także i tym razem.

Przypomniała sobie, jak spojrzała na Steve'a lodowato i oznajmiła:

-Nie jestem typem mamuśki.

Odetchnęli wtedy z ulgą i Steve spojrzał na nią porozumiewawczo.

- Twarda jak stal - powiedział teraz.

W innych okolicznościach chyba poklepałby ją po ramieniu, ale Sam nie była wylewna. Nie znosiła fałszywych uśmiechów, całusów w policzki i całej tej hipokryzji. Na powitanie zawsze podawała rękę. Czemu miałyby udawać, że lubi ludzi, których prawie nie zna?

- To mi się w tobie podoba, Sam. Nie bierzesz jeńców. Tak słyszałem i to prawda. To mi się podoba. Wywalanie pracowników nie jest łatwe, ale wszyscy musieliśmy przez to przejść.

Steve machnął cygarem, znak, że audyencja zakończona. Wróciła do siebie. Co za ironia losu. Steve'owi coś się w niej podoba. Super.

Zastanawiała się, co inni o niej mówią. Twarda jak stal. Nie bierze jeńców. Boże, zupełnie jakby była starym surowym sierżantem, który nad nikim nie ma litości. Smith jest twarda jak stal, ale nadaje się do tej roboty, i to jeszcze jak. Niebrzydka, ale za twarda... Takie kobiety zawsze są same.

Kiedy miała dwadzieścia, trzydzieści lat, wydawało jej się, że tylko jeśli będzie twarda, przetrwa w bezlitosnej dżungli świata biznesu, ale teraz, na progu czterdziestki, już nie była taka pewna. Twarda, ale elegancka, to jedno. Twarda i pomarszczona jak stare jabłko to co innego. Jaka będzie w wieku sześćdziesięciu pięciu lat?

Przypomniała sobie ciotkę Ruth. Ruth Smith, urzędniczka państwowa, postrach podwładnych, nigdy nie miała uczuć macierzyńskich, a kie-

dy los dał jej pod opiekę dwie małe dziewczynki, nic się nie zmieniło. Żyła tak samo jak przed śmiercią brata i jego żony. Nawet z wyglądu odpowiadała powieściowemu wizerunkowi zdziwaczalej starej panny.

Sam przypomniła sobie, jak chłopcy z sąsiedztwa śmiali się z niej i Hope, że mają ciotkę czarownicę.

W głębi ducha dziewczynki przyznawały im rację - ciotka rzeczywiście przypominała wiedźmę. Upinała włosy w ciasny kok i nosiła małe okrągłe okulary, które tylko wydłużały jej suchą, kościstą twarz.

Sam zrobiło się słabo. Nigdy nie przepadała za ciotką i zawsze sobie przysięgała, że nie będzie taka jak ona. A tu proszę, staje się do niej podobna jak dwie krople wody. Ciotka Ruth prawdopodobnie zrobiłaby z Titus Records najlepszą firmę w branży.

Kiedy wróciła do domu, zobaczyła, że na sąsiedniej posesji kręcą się robotnicy. Groźnie łypnęła na zaniedbany budynek. Mieszkała tu od dwóch lat i wiecznie raził ją odrapany, zniszczony dom. Poprzedniej właścicielce, staruszce, najwyraźniej to nie przeszkadzało, a może nie chciała się użerać z robotnikami. Po jej śmierci dom wystawiono na sprzedaż i wszyscy sąsiedzi obserwowali go pilnie. Umierali z ciekawości, kto i za ile go kupi.

Długo to trwało, ale w końcu zniknęła tablica NA SPRZEDAŻ. Tylko że teraz nowi właściciele będą remontować, przebudowywać i strasznie hałasować, pomyślała Sam z niesmakiem. Młoty pneumatyczne pracujące na pełny regulator, i rusztowania, a na nich robotnicy, beczelnie zaglądający w jej okna. Wściekła, pobiegła na górę.

- Nie hałasuj! - wrzasnął Szalony Malcolm z góry.

Sam ugryzła się w język, żeby mu nie powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoje uwagi.

W mieszkaniu zdjęła płaszcz i z ulgą opadła na wielką beżową kanapę naprzeciwko kominka. Starła się nie zwracać uwagi na bałagan, włączyła telewizor i obejrzała końcówkę wiadomości. Niestety, nie mogła się odprężyć. Karl zawsze sobie żartował z jej obsesji porządku.

Włożyła stare dżinsy, powyciągały sweter i zabrała się za sprzątanie. Zacznie od łazienki, zdecydowała.

Po dwóch i pół godzinie całe mieszkanie lśniło na wysoki połysk. W kuchni nie było ani jednego brudnego talerzyka, a salon wyglądał jak na wystawie, nieskazitelnie czysty i jasny, bez żadnych starych gazet, dokumentów i samoprzylepnych karteczek. Cztery współczesne obrazy olejne spoglądały na wysprzątane płaszczyzny bieli i beżu. Sam wiedziała, że nie wszystkim podobają się takie puste, sterylne wnętrza, ale uwielbiała swoje mieszkanko. Potrzebowała takiego azylu.

Hope go nienawidziła.

- Nie masz... nie masz żadnych drobiazgów - orzekła, gdy po raz pierwszy znalazła się w spartańskim wnętrzu. - Dla mnie tu jest zbyt idealnie - dodała, patrząc na ciężkie kremowe zasłony. Wołała nie myśleć, jak by wyglądały, gdyby dotknęły ich rączki Millie i Toby'ego.

Sam wiedziała, o co chodzi. U Hope wszędzie stały drobiazgi, figurki, pamiątki, a nie tylko lampa czy współczesna rzeźba.

W dzieciństwie miały jeden pokój. W części Hope panował wieczny bałagan; wszędzie poniewierały się maskotki, puste opakowania, których nie wyrzucała, bo były ładne, bransoletki i pierścionki oraz ubrania.

Sam jako jedyna w całej szkole miała garderobę uporządkowaną według kolorów. Patrząc na równy szereg ubrań, posegregowanych od bieli do czerni, Hope nie mogła wyjść z podziwu.

Garderoba musi poczekać, stwierdziła Sam, gdy sprzątnęła sypialnię. Drażniło ją, gdy wśród czarnych spodni wisiały szare spódnice, ale zajmie się tym jutro.

W kuchni zrobiła sobie kanapkę z serem i nalala wina. Nastawiła płytę z muzyką klasyczną, usiadła na kanapie i tym razem udało jej się odprężyć. Starła się nie myśleć o pracy.

Tylko że wtedy zaczęły się hałasy. Początkowo nie wiedziała, skąd dochodzą. Chyba nie z góry? Nawet Szalony Malcolm nie był na tyle szalony, żeby puszczać głośno muzykę rockową po dwudziestej drugiej. I wtedy żaskoczyła. Sąsiedzi z domu obok. Z kieliszkiem wina w dłoni podeszła do okna i zobaczyła, jak dwie młode kobiety taszcą do domu skrzynkę piwa. Kiedy stała przy oknie, muzyka wydawała się jeszcze głośniejsza. Podjechała taksówka i wysypało się z niej więcej gości. Wyraźnie szli na przyjęcie, sądząc po ich strojach i torbach ze sklepu monopolowego. Sam poczuła, jak nabrzmiewają jej żyły na skroni. To nie jest dzielnica szalonych imprez. Tó nieprzyzwoicie droga okolica. Tutaj strumieniami leje się najdroższy szampan, a goście potykają się w pantoflach od Manolo Blahnika, idąc do mercedesów, w których czeka na nich szofer.

Chyba nowi lokatorzy nie zakłócą szlachetnego spokoju Holland Park głośną imprezą? A jeśli im się wydaje, że tak, wyprowadzi ich z błędu, postanowiła.

Muzyka nagle umilkła i Sam trochę się uspokoiła. Widocznie ktoś już zwrócił im uwagę. I całe szczęście, bo w obecnym nastroju urządziłaby potworną awanturę. Wcześniej czy później i tak trzeba by wezwać policję.

Skuliła się na kanapie, sączyła wino i słuchała Mozarta.

Nagle muzyka za oknem rozbrzmiała głośniejsz niż poprzednio. Wydawało się, że Black Sabbath grają na żywo.

Sam wpadła we wściekłość. Wypiła wino jednym haustem, porwała klucze ze stolika i pobiegła na dół.

- O Boże, przyjęcie - jęknęła miła kobieta z dołu. Właśnie wychodziła gdzieś z mężem. - Sam, dzwoniłaś na policję?

-Nie - warknęła. -Ale wezwijcie pogotowie, chyba będzie potrzebne.

Błyskawicznie przemierzyła trawnik i podeszła do drzwi. Otworzyły się łatwo. Hałas przyprawił ją o ból głowy. Stary, pusty dom, bez mebli i dywanów, miał doskonałą akustykę. Dźwięk wibrował w ścianach i drewnianej podłodze. Przeskoczyła zwinięty dywan i skrzynkę piwa. Ale tu bałagan. Bez trudu prześledziła proces myślowy nowego lokatora: najlepiej urządzić parapetówkę teraz, przed remontem, zanim pojawią się tapety i wykładziny.

W przestronnym salonie panował półmrok, rozjaśniany jedynie małymi lampionami. Wszędzie żarzyły się koniuszki papierosów. Goście pili piwo prosto z butelek. W powietrzu unosił się zapach marihuany. Nikt nie zwracał uwagi na Sam. W podartych dżinsach i espadrylach idealnie wtapiała się w tłum gości. Brakuje jej tylko piwa, by całkowicie upodobnić się do uczestników zabawy. Różni ją od nich jeszcze tylko drobny fakt, że nie spała od szóstej rano i pada ze zmęczenia, pomyślała z wściekłością.

Z trudem rozpoznała kuchnię - robotnicy usunęli większość mebli, ale kuchenka została na środku, ledwie widoczna spod licznych skrzynek piwa, butelek coli i pojemników z sałatkami. Sam szła prosto do jadalni, skąd dobiegał hałas.

I tam znalazła to, czego szukała. Za wysokim chudym młodzieńcem w okularach. Wieża stereo.

- Mam coś zagrać? - zaoferował się ochoczo didżej.

- Owszem. Partyjkę w karty - warknęła.

I jednym szybkim ruchem wyciągnęła wtyczkę z kontaktu. Zapadła cisza.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zdziwił się didżej.

Wszyscy gapili się na nią zdumieni. Zastygli z uniesionymi butelkami piwa.

- Mieszkam tu obok i nie życzę sobie hałasów po nocy, jasne?! - wrzasnęła, w najmniejszym stopniu niespeszona faktem, że ma tak liczną publiczność. Przywykła, że czasami trzeba na ludzi nakrzyczeć.

- Przepraszam... - didżej poruszył się niespokojnie. - Myśleliśmy, że nikomu nie przeszkadzamy, przecież jeszcze nikt tu nie mieszka...

- Tutaj nie, ale obok - owszem, osiem osób - zauważyła. - I słyszymy każdy dźwięk.

- Więc uznała pani, że musi tu wtargnąć i wyrwać wtyczkę ze ściany? - odezwał się niski, rozbawiony głos.

Facet miał na sobie dżinsy jeszcze bardziej podarte niż jej, a to już graniczyło z cudem, bardzo obcisłe i sprane, i białą pogniecioną koszulę, rozpiętą na piersi. Sam wstrzymała oddech.

Nie był zabójczo przystojny, ale i ona nie była naiwną dwudziestką. Miał zbyt szczupłą twarz, za wąskie oczy, zbyt garbaty nos, a jednak był to najbardziej pociągający mężczyzna, jakiego w życiu widziała. Mniej więcej w jej wieku, oszacowała. Z całkowitą obojętnością analizowała zdjęcia piosenkarzy, na widok których tysiące kobiet wpadały w histerię. Ale od niego nie mogła oderwać oczu.

Gdyby umiał śpiewać, sprzedałby miliony płyt. Taka twarz na okładce... Zresztą nawet gdyby nie umiał. Szedł w jej stronę, nadal lekko, leniwie uśmiechnięty. Zwichrzone włosy i niedbale zapięta koszula sprawiały wrażenie, jakby ledwo co wstał z łóżka. Taksował ją spod zmrużonych powiek, jakby się zastanawiał, czy zaciągnąć ją tam z powrotem.

Cholera, czego się tak bezczelnie na nią gapi. Nie jest jakąś tam zwykłą laską, tylko menedżerem. Podwładni kulą się ze strachu, gdy wpada w gniew.

Wyprostowała się dumnie i przygotowała do walki.

- Mieszkam tu obok - zaczęła zaczepnie.

- Tak? - wpadł jej w słowo, nadal leniwy i niewzruszony. - I co? Miła okolica?

Zatrzymał się przed nią. Był boso, ale i tak znacznie ją przewyższał. Sam tego nie znosiła. Właśnie dlatego na wszystkie zebrania wkładała pantofle na zabójczo wysokich obcasach - żeby tylko najwyżsi mogli patrzeć na nią z góry.

- Owszem, do niedawna - syknęła.

Podszedł jeszcze bliżej. No ładnie, teraz dzielą ich tylko centymetry. Normalnie przywołałaby go do porządku lodowatym komentarzem, ale tutaj, w obcym domu, była dziwnie bezbronna. Cofnęła się o krok i dotknęła plecami ściany. W interesach cofanie się to błąd. Teraz też, uznała. Dumnie uniosła brodę i zacisnęła dłoń na wtyczce.

- To pana dom? - zapytała ostro. Zignorował pytanie.

- Ma pani coś, co do mnie należy - powiedział przeciągle. Objął ją długimi ramionami i na moment Sam wstrzymała oddech. Nie zrobi tego, o nie. Pociągająca, drwiąca twarz była tak blisko; serce na chwilę jej zamarło. Uśmiechał się, jego usta były coraz bliżej, poczuła bijące od

niego ciepło i świeży cytrusowy zapach. Nie wiedząc dlaczego, zamknęła oczy. I wtedy wyjął jej wtyczkę z dłoni. - To chyba moje - powiedział. Jednym zwinnym ruchem włączył ją do kontaktu i znowu rozbrzmiała muzyka.

- Ty świnió! - Sam była zła i zawstydzona. - Ty podła świnió! - Musiała krzyczeć, żeby ją usłyszał przez ogłuszający hałas. - Jak śmiesz...

- Miałem o to samo zapytać - odparł rozbawiony. - Jeśli chciałaś, żebyśmy ściszyli muzykę, mogłaś poprosić.

Ogarnęła ją bezradna wściekłość i na moment zapomniała, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

Użył swego uroku osobistego, by ją onieśmielić, a ona zareagowała jak naiwna kobietka. Za to teraz kopnęła go z całej siły w piszczel.

- Au! - Tylko ona słyszała jego okrzyk.

Przynajmniej przestał się uśmiechać, zauważyła z satysfakcją. Co prawda ją też bolały palce u nogi, ale teraz nie czas się nad sobą użalać. Dobrze, że chodziła na balet, jest zahartowana.

- Za kogo się uważasz, ty dupku!

Właśnie w tym momencie didżej nieoczekiwanie ściszył muzykę i okrzyk Sam rozbrzmiał w całym pokoju.

A niby dlaczego ściszyli? Zdziwiła się, aż dostrzegła jedyną przyzwoicie ubraną postać w całym domu.

- Otrzymaliśmy skargę na głośną muzykę - oznajmił surowo policjant.

Sam posłała przeciwnikowi triumfalne spojrzenie, ale on, zamiast okazać skruchę, tylko się uśmiechał.

- Rzeczywiście, chyba byliśmy trochę za głośno. Przepraszam - powiedział i zaprowadził policjanta do kuchni.

Sam pociągnęła nosem i z dumnie uniesioną głową opuściła dom i poszła do siebie. Za nią pobiegli sąsiedzi z dołu. Co za kretyn. Jak śmie tak hałasować? Jak śmiał ją tak upokorzyć?

- Wszystko w porządku, Sam? - zaniepokoiła się sąsiadka.

- Pewnie! - zawołała przez poręcz.

W lustrze w przedpokoju zobaczyła swoje odbicie. Wyglądała, jakby ktoś ją spoliczkował, była czerwona jak burak. Na wspomnienie całej sceny zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Dolała sobie wina. Idiotka. Wystarczy, że jakiś neandertalczyk podsunie jej pod nos owłosioną klatę, a już zachowuje się jak słodka idiotka.

No, może nie słodka, poprawiła się w myślach z goryczą. Niedługo stuknie jej czterdziestka. Upiła duży haust wina. Jak mogła sobie na to pozwolić? Powinna była posłać mu lodowate spojrzenie i pouczyć, jakie

przepisy narusza, puszczać głośno muzykę w środku nocy. Zwymyślała się i poszła spać.

Ale sen nie nadchodził. Przeżyła już kiedyś podobny wstyd. Miała piętnaście lat i podkochiwała się skrycie w koledze z klasy. Niestety kolega podsłuchał kiedyś jej rozmowę z koleżanką i o wszystkim się dowiedział. Nawet teraz, dwadzieścia cztery lata później, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Wstała i poszła po tabletki nasenne, trzymała je na wyjątkowe sytuacje, jak na przykład dzisiaj. W końcu zasnęła, ale w snach prześladował ją wysoki, roześmiany mężczyzna w białej koszuli, mężczyzna, który z niej drwił, bo zachowała się jak rozhisteryzowana nastolatka.

Następnego ranka odsłuchiwała pocztę głosową, dopiero kiedy wyszła z domu. Chciała coś zrobić, kiedy będzie mijała jego dom, na wszelki wypadek, żeby na niego nie patrzeć, gdyby go spotkała.

-Nie mam dla ciebie żadnych wiadomości - poinformował głos w słuchawce, zanim doszła do ulicy. Zamiast się rozłączyć, wysłuchiwała starych wiadomości, żeby tylko sprawiać wrażenie osoby bardzo zajętej, której nie obchodzą mężczyźni. Nagle drzwi jego domu się otworzyły. Szybko spojrzała w inną stronę i powiedziała na głos:

- Tak, będę niedługo. Mamy już wszystkie dokumenty z Nowego Jorku? - paplała. Do krawężnika podjechała taksówka i Sam już podnosiła rękę, by ją zatrzymać, gdy za sobą usłyszała kobiecy głos:

- Do zobaczenia.

Odwróciła się odruchowo i zobaczyła piękną ciemnowłosą dziewczynę. Wychodziła z sąsiedniego domu, a mężczyzna opierał się o drzwi. Miał na sobie tylko dżinsy, był boso, zauważyła z nagłym skurczem w sercu. Posłał dziewczynie całusa. Była piękna, miała najwyżej dwadzieścia dwa lata i sądząc po srebrnej wieczorowej sukience, spędziła tu całą noc.

- Trzymaj się - powiedział ciepło, pieszczotliwie, ale patrzył na Sam, która stała w bezruchu, z komórką w dłoni i szeroko otwartymi ustami.

- Wsiadasz czy nie, kochaniutką? - zdenerwował się taksówkarz.

- Ja... tak. - Sam niemal wpadła do samochodu, walcząc przy tym z płaszczem przeciwdeszczowym.

- Zabalowaliśmy, co? - taksówkarz uśmiechnął się znacząco.

- Nie - syknęła. - Do Covent Garden proszę.

Co za dupek, pomyślała. Urządza głośne imprezy i romansuje z dziewczynami o połowę od siebie młodszymi. Bo przecież ona miała koło dwudziestki, a on grubo po trzydziestce. Cholerny playboy. Pewnie kretyn, który żyje z odziedziczonej fortuny i nigdy w życiu nie splamił się pracą.

Sam z ponurą miną gapiała się w okno taksówki. Nienawidziła takich mężczyzn.

Rozdział 3

Nie mieści mi się w głowie, że to już za dwa tygodnie. Wyobrażam sobie - rozmarzyła się Betsey - mała chatka w promieniach słońca, pokryta strzechą, pokoje zalane światłem, ogródek warzywny i miejscowy pub z pysznym wiejskim jedzeniem. Siedzicie sobie na tarasie, zjadacie ostrygi i podziwiacie zachód słońca. Hope łypnęła na nią znad półmiska z rybą.

- Będzie listopad, nie środek lata - warknęła.

- To, zdaje się, wersja hollywoodzka. - Dan roześmiał się i podniósł głowę. Starął się posprzątać po małej Opal - urocza dziecina wycisnęła kilka opakowań keczupu na obrus. Zanim zdążył interweniować, rzuciła jeszcze kilka otwartych saszetek na podłogę.

- Nie - zawtórował Matt - to wersja handlarza nieruchomości, który chce ci opchnąć współwłasność. Tak, Dan, dziewice na łąkach, owce na szosie i mili bezzębni tubylcy z fajką, w tweedowych czapkach.

- Czy my przypadkiem nie robiliśmy takiej reklamy? - zadumał się Dan.

- Jeszcze nie, ale poczekaj tylko. Nie ma to jak oryginalność - zażartował Matt.

Zaśmiali się. Hope dźgnęła rybę widelcem. Bardzo śmieszne, łatwo im żartować. A przecież tu chodzi o jej przyszłość. To ona musi wyjechać za granicę, z dala od koleżanek i Sam, żeby Matt mógł się realizować. Jego marzenia, jej poświęcenie. Matt i Millie cieszyli się na przeprowadzkę, Toby chciał lecieć samolotem. Tylko Hope umierała ze strachu.

- Będzie cudownie, prawda, kochanie? - Matt dostrzegł jej napięcie. - Pokochasz Kerry, zobaczysz. - Pochylił się, żeby ją objąć, ale nagle Millie, która siedziała między nimi, wywróciła cały talerz frytek.

Dzieci zanosły się śmiechem.

Hope z westchnieniem wyjęła chusteczki higieniczne ze swej przepastnej nieodłącznej torby i zabrała się za sprzątanie.

Jak zwykle w niedziele pub pękał w szwach. Schodziły się tu na obiad całe rodziny i sala przypominała raczej pole bitwy; dzieci jak oszalałe biegały między stolikami, niemowlęta płakały, dwulatki próbowały się

wyzwolić z wysokich dzieciennych fotelików, a umęczeni rodzice kroili jedzenie na małe kawałeczki i w rzadkich chwilach względnego spokoju pospiesznie jedli specjalność zakładu.

Hope, Matt, Betsey i Dan od dawna umawiali się na niedzielne obiady, ale odkąd na świat przyszli Millie, Toby, Ruby i Opal, nie spotykali się już w eleganckich restauracjach.

Dzisiaj wybrali się do pubu U Stolarza, który kusił placem zabaw na zewnątrz. Niestety, padało i chmara dzieci biegała po całej restauracji.

Zawsze znajdzie się jedna rodzina, pomyślała Hope ze złością, która nie zwraca uwagi na swoje rozwydrzone bachory, choćby stawały na głowie. Millie i Toby to nie aniołki, broń Boże, ale przecież nie pozwalała żeby zachowywały się jak te małe łobuziaki, które ściągają serwety z pustych stolików. Przedtem przez dobre pół godziny metodycznie darły na strzępy podkładki pod piwo.

- Ale poważnie. - Betsey skinęła na zaganianą kelnerkę, poprosiła o następne wino. - Zawsze marzyłam, żeby zamieszkać na wsi. Ta siel-skość i spokój...

- Betsey, skarbie - roześmiał się serdecznie Dan. - Zwariowałabyś bez miejskiego gwaru, dobrego cappuccino i gabinetu kosmetycznego, przecież co miesiąc chodzisz na woskowanie czy jak to się nazywa.

Nie mówiąc już o fryzjerze, który co sześć tygodni nadaje jej burym włosom kasztanowy połysk, pomyślała Hope z nietypową dla niej złośliwością.

Betsey była droga w utrzymaniu - miała osobistego trenera i masażystę. Hope, która chodziła na depilację bikini tylko przed urlopem, a na masażu była raz w życiu, gdy dostała na urodziny talon do salonu piękności, poczuła się brzydka i zaniedbana.

- Maseczki, nie woskowanie - poprawiła Betsey. - Przecież nie jestem yeti.

Potem rozmawiali o interesach; Matt i Dan rozprawiali o reklamie, a Betsey bawiła ich anegdotami o sławnych ludziach, z którymi przeprowadzała wywiady.

Hope słuchała jednym uchem, bo pilnowała dzieci. Mężczyźni i Betsey uważali chyba, że póki żadne się nie dławi, wszystko jest w porządku.

Toby drzemał w wysokim foteliku, Opal i Millie, o dziwo, bawiły się grzecznie, a czteroletnia Ruby, mały potwór o niewinnym spojrzeniu ojca i beztrójce matki, schowała się pod stołem. Wyjątkowo Hope nie sprawdziła, co tam robi. W końcu to córka Betsey; niech ona jej pilnuje. Hope miała po dziurki w nosie roli opiekunki do dzieci na wspólnych obiadach

Minęły dwa tygodnie od rewelacji Matta; jak na kogoś, kto od roku nie mógł się zabrać za pomalowanie kaloryfera w łazience, zdziałał zadziwiająco dużo. Przekonał Adama Judda, by dał mu roczny urlop. Obiecał tylko, że będzie służył pomocą przy poważniejszych kampaniach, i już był wolny. Sportowe służbowe audi wróciło do firmy.

Ustalił także wszystko z pośrednikiem w agencji nieruchomości; nie, nie ma problemu, bez trudu znajdą najemcę na rok. Załatwił transport ich rzeczy do Irlandii, zadzwonił do prawnika wuja i oznajmił, że niedługo przyjedzie osobiście i przejmie spadek. Mówiąc krótko, Matt był w swoim żywiole; spełniało się jego marzenie. Hope tymczasem czuła się jak po narodzinach Millie: z byle powodu miała zły w oczach. Kiedy napomknęła, że córeczka we wrześniu idzie do szkoły, Matt skinął głową i mruknął, że do września wrócą. Prawdopodobnie.

Prawdopodobnie? - przeraziła się Hope.

Kilka minut po drugiej Dan poszedł zapłacić, a Matt do łazienki. Betsey zwróciła się do Hope:

- Jesteś w kiepskim humorze - zauważyła. - Chodzi o wyjazd? Hope skinęła głową, ale nie odpowiedziała od razu. Lepiej uważać, co się mówi przy dzieciach. Małe dzbanki mają wielkie uszy.

- To taki wielki krok - szepnęła po chwili. - Mam wrażenie, że porwała mnie ogromna fala i nie mam na nic wpływu, rozumiesz? To straszne. Obcy kraj, obcy ludzie... I brak pracy. Matt wie, po co tam jedzie, ja nie. - Urwała. Nie chciała mówić zbyt wiele, ale była pewna, że Betsey zrozumie. Zna Matta i wie, jak Hope go kocha, ale chyba potrafi spojrzeć na wszystko z jej perspektywy i zrozumie, że niełatwo jest iść za cudzym marzeniem. - Wyobrażasz sobie, że rzucasz pracę i jedziesz za Danem? Nie byłoby ci łatwo.

- Ale to co innego. - Betsey wzruszyła ramionami. - Ciężko pracowałam, żeby osiągnąć moją pozycję w gazecie. Och, oczywiście, mogłabym pracować gdziekolwiek, ale tutaj robię karierę.

- No tak, a ja tylko pracuję w banku towarzystwa budowlanego -dokończyła Hope kwaśno. Wciąż jeszcze nie zebrała się na odwagę, żeby złożyć wypowiedzenie. Pan Campbell nie będzie zachwycony.

- Czemu jesteś taka drażliwa? Nie to miałam na myśli, ale przyznasz, że jesteśmy w różnej sytuacji. Nie bądź taka nerwowa, Hope. Płyn z prądem - leniwie machnęła ręką. - Potraktuj to jak przygodę. Będzie ci jak w niebie. Oddałabym wiele za rok nieróbstwa na wsi, z dala od tego wyścigu szczurów.

Hope spojrzała jej prosto w oczy, ale Betsey dopiła wino do końca i szukała swojej torebki. Czy w ogóle jej słuchała? Miała nadzieję, że

przyjaciółka ją wesprze w trudnych chwilach, a tymczasem dowiedziała się, że Betsey nie miałyby nic przeciwko takim wakacjom od życia. I usłyszała jasno, że jej praca urzędnicza to nic w porównaniu z karierą dziennikarską.

- Ruby, co ty tam wyprawiasz? Czy to moja torebka? - warknęła Betsey. Spod stolika wynurzyła się Ruby w zabójczym makijażu: podkład Clarins, uwodzicielskie cienie od Chanel i czerwona szminka Paloma Picasso. Betsey używała najlepszych kosmetyków.

Syknęła głośno i wyrwała torebkę z rączek córki, czerwonych od szminki. Torebka była cała umazana szminką, podkładem i keczupem.

- Zniszczona! - wrzasnęła Betsey. - Torebka za trzysta funtów do wyrzucenia! Hope poklepała ją po ramieniu.

- No cóż - zaczęła słodko - kiedy się ma dzieci, trzeba płynąć z prądem, prawda, Betsey?

Matt śpiewał na całe gardło, gdy w drodze do domu słuchali kasety z piosenkami dla dzieci. Toby i Millie mu wtórowali, tylko Hope siedziała na przednim siedzeniu milcząca i ponura.

- Dan powiedział, że mi zazdrości - zwierzył się Matt, gdy dojechali do domu.

- W takim razie dlaczego nie rzuci pracy na rok? - zainteresowała się Hope. - Powiem ci dlaczego: bo Betsey się nie zgodzi. Dostałaby ataku serca, gdyby Dan zaproponował, żeby na rok zaszyli się na wsi.

- Betsey byłaby zachwycona. Jak to powiedziała? Marzy jej się taka sielskość i spokój.

- Betsey nie ma zielonego pojęcia o życiu na wsi i dostałaby szału już pierwszego dnia - syknęła Hope. - Pewnie sobie wyobraża, że wieś to takie Bath, tyle że pełne owiec i przystojnych farmerów w dżipach.

Matt zdenerwował ją jeszcze bardziej, śmiejąc się na całe gardło.

- Wiesz, kochanie, czasami jesteś taka zabawna - stwierdził. - To ty powinnaś pracować w reklamie, nie ja.

Betsey udowodniła, że ma jednak trochę wrażliwości; zadzwoniła do Hope następnego dnia. I przeprosiła.

- Nie chciałam, żebyś myślała, że nie cenię twojej pracy. I nie uważam, że moja jest ważniejsza od twojej - tłumaczyła, a Hope kulila się pod wzrokiem pana Campbella. Prywatne telefony w godzinach pracy były bardzo źle widziane. Pan Campbell miał własny gabinet, ale nigdy nie pozwalał sobie na prywatne rozmowy. Yvonne i Denise, koleżanki

Hope, doszły do wniosku, że widocznie szef jest gejem i zabronił kochankom dzwonić do siebie do pracy.

Hope uważała, że pan Campbell jest po prostu bardzo sumienny i nie robi tego, na co nie pozwala swoim podwładnym.

- Umówmy się na lunch - zaproponowała Betsey, błogo nieświadoma że Hope nie bardzo może rozmawiać. - Dzisiaj pracuję w domu. Widziałam cudowne pantofelki w tym nowym sklepie przy moście Pulteney Mam ochotę zaszaleć. Umówimy się tam?

- Betsey, nie mogę rozmawiać, jestem w pracy - szepnęła Hope nerwowo.

Betsey kilka razy w tygodniu jeździła do Londynu, do redakcji, gdzie prywatne rozmowy przez telefon były na porządku dziennym. Nie mogła pojąć, że w biurze Hope panują inne zasady.

- O pierwszej? - zaproponowała.

- Dobrze - mruknęła Hope. Zgodziłyby się na wszystko, byle zakończyć tę rozmowę, zanim pan Campbell pęknie ze złości.

Ranek minął szybko, tak że nie miała czasu na rozważania, i dopiero wychodząc, uświadomiła sobie, że nie ma ochoty na zakupy. Am na towarzystwo Betsey, szczerze mówiąc.

Uważała ją za najlepszą przyjaciółkę, naprawdę, ale czasami zastanawiała się, czy nie przyjaźnią się tylko dlatego, że ich mężowie bardzo się lubią. Po pamiętnych wakacjach we Francji, które Matt wymyślił z Da-nem nie pytając jej o zdanie, nawet się polubiły. No tak, ale Betsey nie miała nic przeciwko temu, że jedzie na urlop z prawie obcą osobą. I nic dziwnego, skoro całymi dniami wylegiwała się nad basenem, sączyła burgunda i czytała książki; przy takich planach na wakacje towarzystwo rzeczywiście nie jest zbyt istotne. Hope zawsze miała wrażenie, że Betsey nic nie wyprowadzi z równowagi, no chyba że koleżanka z redakcji dostała lepszy temat. Była zabawna i dowcipna, ale czy gdyby nie Matt i Dan, umawiałyby się na lunch? I czy Betsey naprawdę jest jej przyjaciółką?

Nie uznała godzinę później, gdy biegła do biura na złamanie karku i pochłaniała po drodze batonik czekoladowy, bo nie miały czasu nic zjeść.

- Kupiłaś coś? - zapytała Yvonne, gdy Hope wślizgnęła się na swoje stanowisko za minutę drugą.

Hope pokręciła przecząco głową.

- Betsey odbiło na punkcie butów. Obeszliśmy cztery sklepy, a i tak w końcu wróciliśmy do pierwszego, bo tamte jej się najbardziej podobały. Jasnoniebieska skóra, bardzo kobiece. Nie miałyśmy czasu iść na lunch, zjadłam batonik po drodze - dodała ze skruchą.

- Straszny samolub z tej Betsey - zauważyła Yvonne. - Przecież mogła sama chodźć po sklepach. Chyba wie, że tutaj nie wolno nam jeść.

-Nie pomyślała. - Hope broniła jej jak zwykle, bo Yvonne nie lubiła Betsey. Widziały się tylko raz i była to wzajemna niechęć od pierwszego wejrzenia. Yvonne, o czarnych włosach i roztańczonych zielonych oczach, według Betsey była zbyt wyzywająca. Co więcej, była od niej młodsza. Yvonne też jej nie polubiła - Betsey miała lepszą pracę i bardzo się tym chwaliła. Kolejny dowód na to, że przyjaciele naszych przyjaciół nie są naszymi przyjaciółmi.

-Nic jej nie obchodzi - zachnęła się Yvonne. - Poza jedną osobą, nią samą. Założę się o dychę, że pierwsza wmelduje się wam na darmowy urlop. Poczekaj tylko, ani się obejrzysz, a Betsey przytaszczy się do was z mężulkiem i bachorami i przez tydzień nawet nie kiwnie palcem, chyba że skończy jej się drink.

Hope też już to przyszło do głowy.

- Jeśli tak jej się marzy życie na wsi, może się zamienimy, ja zostanę, ona pojedzie - mruknęła.

Yvonne spojrzała na nią badawczo. -Nie chcesz jechać, prawda?

- Aż tak to widać? - Hope przestała silić się na uśmiech. Yvonne, oburzona, nadeła się jak ropucha.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie jedź - zaklinała. - Nie jedź, jeśli nie chcesz. Zwariujesz tam.

Turyści, którzy dopiero co wysiedli z autokaru, weszli do budynku, zanim Hope zdążyła odpowiedzieć.

Hope, Yvonne i Denise sprawnie wymieniały czeki podróżne na gotówkę i bawiły turystów rozmową. Kiedy wyszli, zjawiła się stała klientka, uroczą starsza pani. Bez względu na pogodę, lato czy zima, nosiła kołnierz z lisa. Chciała się poradzić, ile pieniędzy zabrać na urlop.

- A dokąd się pani wybiera? - zainteresowała się Hope. Oczy pani Pay^n rozbłysły radośnie.

- Na wyspy greckie - oznajmiła, - Z przyjaciółką, ostatnio byłam tam w latach pięćdziesiątych. Na samym początku pojedziemy do wyroczni delfickiej. Już się nie mogę doczekać.

Mój Boże, starzeję się, stwierdziła Hope, sprawdzając stan konta starszej pani. Oto osiemdziesięcioletnia staruszka cieszy się na wyjazd do Grecji, a ona, o ponad połowę młodsza, umiera ze strachu przed podróżą do Irlandii.

Pani Payton wyszła, ale za to zjawiła się grupa nastolatków, potem znów turyści, więc i Hope, i Yvonne miały pełne ręce roboty. Dopiero na

krótko przed zamknięciem udało im się znowu porozmawiać. Denise parzyła herbatę w miniaturowej kuchence na zapleczu - panował taki ruch, że żadna z nich nie miała nawet popołudniowej przerwy.

- Nie jedź - powtórzyła Yvonne.

- To nie jest takie proste. - Hope miała już po dziurki w nosie tego tematu.

- Ależ tak - zapewniła Yvonne. - Pomyśl, jak się poczujesz tam, skoro już teraz jesteś w depresji? Ani się obejrzysz, wylądujesz u psychiatry.

Hope parsknęła śmiechem.

- No nie wiem, może zapiszę się jeszcze przed wyjazdem - zażartowała.

Yvonne się nie śmiała.

- Świetnie. W przyszłym miesiącu podwoi ci dawkę. Pomyśl tylko, będziesz z dala od siostry, od wszystkich i bez pracy. Matt nie ma prawa tego od ciebie wymagać - denerwowała się. - Wiesz, mężczyźni to jednak świnię.

- Przecież jedziemy tylko na rok - łagodziła Hope.

- Hope, ty nie zmuszałabyś nikogo, żeby siedział na nudnym filmie, gdyby nie miał na to ochoty. Nigdy o nic nie prosisz. Matt żąda od ciebie ogromnego poświęcenia. Przecież nie chcesz jechać, dlaczego mu nie powiesz? Jak mawiała moja mama, jest różnica między uległością a niewolnictwem. Co ty tam będziesz robić? Może nie mamy za ciekawej pracy, ale przecież ją lubisz. Zwariujesz tam z nudów. Matt prosi cię o zbyt wiele.

Hope wzięła herbatę od Denise i zastanawiała się, jak zareagowałaby Yvonne, gdyby wiedziała, że Matt właściwie o nic nie prosił - poinformował ją, pokręcił trochę i tyle. A ona zgodziła się szybciej niż prostytutka w deszczową noc, chyba z wdzięczności, że Matt jednak nie ma romansu.

Yvonne nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby poznała prawdę.

„Mój Freddie nie zrobiłby mi czegoś takiego”, zapewniałaby. I rzeczywiście. Freddie musiał się bardzo starać, żeby ją przy sobie utrzymać. Yvonne nie dała sobie w kaszę dmuchać.

- Wszyscy o tym marzą - broniła się Hope. - Pomyśl tylko: koniec wyścigu szczurów, czas dla dzieci, wiejski spokój i lenistwo.

- Akurat, lenistwo! - Yvonne nie dała się nabrać. - Nawet na opiekunkę do dzieci nie będzie was stać.

Aż do zamknięcia banku Hope zastanawiała się, jak to będzie, kiedy odejdzie z pracy. Naprawdę lubiła pracować, Yvonne się nie myli. Nie

chciała robić kariery, jak Sam, ale odpowiadało jej, że ma własne pieniądze, jest niezależna, poznaje nowych ludzi. Owszem, kocha dzieci, ale chyba nie jest złąmatką tylko dlatego, że chce się nimi zajmować i jednocześnie pracować?

Zaczęło lać, kiedy biegła do samochodu. Jak na złość nie wzięła parasolki. Przemokła do suchej nitki.

Włączyła ogrzewanie na pełny regulator, ale i tak dygotała z zimna, jadąc do domu w gorszych niż zwykle korkach. Yvonne nie rozumie. Yvonne jest szczerą, mówi, co myśli. Hope - wręcz przeciwnie. Nie wiedziała, jak powiedzieć Mattowi, że nie chce wyjeżdżać z Bath. Najlepiej byłoby, gdyby to wyczuł intuicyjnie, jak mężczyźni w filmach. Wtedy razem uznaliby, że to szaleństwo i mogliby zostać w domu.

Ale w życiu tak nie ma. Matt niczego się nie domyślał, nic nie wyczuwał.

Zatrzymała się przed przedszkolem kwadrans po szóstej. Nieprzepisowo zaparkowała i pobiegła po dzieci.

Marta stała na straży w małym holu. Dzisiaj nie była tak bardzo podobna do rottweilera- upięła włosy do góry i włożyła koronkową sukienkę. Zupełnie nie w jej stylu. Pewnie wybiera się na randkę.

- Spóźniła się pani - warknęła na widok Hope. Miarka się przebrała.

-I co mi pani robi? - burknęła Hope identycznym tonem. Marta cofnęła się o krok, kompletnie zaskoczona.

- Mam nadzieję, że to się nie powtórzy - mruknęła pod nosem.

Matt nie pamiętał, kiedy coś go tak cieszyło. Nie czuł się tak nawet, gdy wygrali przetarg z wielką londyńską agencją, ani kiedy Hope po raz pierwszy zaszła w ciążę. Nic go tak nie cieszyło jak teraz plany na przyszłość.

Wrócił do domu z butelką różowego wina i bukietem kwiatów. Lubi różowe wino. Trochę się martwiła przeprowadzką, ale to cała Hope. Bardzo ją kochał. Był pewien, że spodoba jej się w Kerry.

Matt nie zapomniał, jak rodzice, dla których jego przyjście na świat oznaczało przykrą przerwę w zabawie i karierach, odesłali go na wakacje do wuja Gearóida, gdy miał dziewięć lat. Początkowo nie chciał jechać do Irlandii, potem już tylko na to czekał.

Redlion miało w sobie jakąś magię. A może tylko to, że Gearóid miał w nosie wszelkie zasady.

Nie zawracał sobie głowy regularnymi posiłkami; jadali, kiedy Gearóid zadał sobie trud i otworzył puszkę fasoli. Miejscowi nawet okiem

nie mrugnęli, kiedy dziewięcioletni Mart pił w pubie swoje pierwsze piwo. Chodzili na ryby, włóczyli się po półwyspie, gdzie wuj dostał kiedyś zapaści po wyjątkowo ostrym pijaństwie z kolegą pisarzem. Matt zachował mgliste wspomnienie ciasnej, przytulnej izby i rozmów: farmerzy rozprawiali o owcach, pisarze odgrążali się, że lada dzień stworzą nieśmiertelną powieść i poemat godny Yeatsa, tylko najpierw muszą się jeszcze napić porządnego bimbrow, a potem niech ktoś skoczy po mocną whisky.

Gearóid o zwichrzonej niesfornej czuprynie, z długą brodą, zawsze w brązowym sztruksowym garniturze, był idolem siostrzeńca. „Żyję poza systemem”, tłumaczył dumnie. Dlatego porzucił dom w Surrey i zamieszkał w Kerry. Przybrał irlandzką wersję swego imienia. Gerry stał się Gearóidem, bardziej irlandzkim niż rodowici Irlandczycy; godzinami śpiewał stare pieśni i znał na pamięć wszystkie legendy. Dorabiał, oprowadzając tłumy turystów, którzy przybywali do Kerry w poszukiwaniu korzeni. W miarę jak coraz chętniej zaglądał do kieliszka, coraz częściej odpędzał ich, krzycząc, że są bandą gamoni i powinni wracać, skąd przyjechali.

Matt wstydził się sam przed sobą, że nie był u niego od czterech lat. Co gorsza, kiedy Gearóid umarł, Matt był w trakcie ważnej kampanii i nie mógł pojechać na pogrzeb. Ale teraz mu to wynagrodzi, obiecywał sobie. Będzie pisarzem. Zostawi Bath i karierę w agencji, żeby zaszyć się na wsi i pisać. To będzie jego hołd dla wuja.

Rozdział 4

Virginia Connell stała w garażu swego nowego domu w Redlion i ze smutnym uśmiechem oglądała kije golfowe Billy'ego. Przez wszystkie lata małżeństwa serdecznie ich nie znosiła. No, może to za mocno powiedziane, ale z pewnością nie lubiła. Bill grał w golfa co weekend, bez względu na pogodę. Zapominał o wszystkich możliwych rocznicach, urodzinach i świętach, choć wpisywała je do kalendarza, za to o partyjce golfa nigdy nie zdarzyło mu się zapomnieć.

Tak naprawdę wcale się o to nie kłócili. Virginia była samodzielna, i niezależna; zresztą trudno inaczej, jak się ma troje dzieci i męża, który pracuje z dala od domu. Ilekroć Bill zapominał o ważnej dacie, groziła mu żartobliwie palcem. Uśmiechał się wtedy, całował ją serdecznie i obiecywał, że zabierze ją na romantyczną kolację do dobrej restauracji.

Oczywiście kończyło się na obietnicach. Zamiast do dobrej restauracji wyskakiwali najwyżej do pobliskiego pubu. Ale Virginia się nie złościła. Kochała Billa i wiedziała, że on ją kocha. Tylko to się liczyło. Cóż znaczą kolacje w eleganckich knajpach? W życiu jest tyle ważniejszych spraw. Wołała spokojne wieczory niż uroczyste kolacje służbowe, gdy wspólnicy Billa zapraszali żony do czterogwiazdkowych restauracji. Virginia nie znosiła takich imprez: sztuczne, wymuszone rozmowy, przyklejone uśmiechy, silenie się na uprzejmości.

Przez wiele lat Bill próbował zarazić ją pasją do golfa. Śmiała się tylko i żartowała, że pewnie by wołał spotykać się z nią na polu golfowym, a nie tylko przelotnie rano, przy kawie.

Zsunęła zamszowy pokrowiec z kija. Gładząc wypolerowaną rączkę, przypomniała sobie, jak Bill się cieszył, gdy go kupił.

- Technologia kosmiczna - zachwycił się półtora roku temu i zaraz wdał się w szczegółowy opis wyższości nowego kija nad poprzednim.

Virginia tylko uśmiechała się pod nosem.

- I po co ja ci to mówię, ty ignorantko - zrezygnowany machnął ręką.

- Wiesz, są na tym świecie kobiety, które podzielają zainteresowania mężów.

- Owszem, i są mężowie, którzy od czasu do czasu Wpadają do domu

- odcięła się żartobliwie. - Jeżeli dzisiaj nie wrócisz na ósmą, wezmę sobie kochanka, jasne?

Bill udał, że się nad tym zastanawia, przechylił siwą głowę na bok, utkwiał w niej spojrzenie piwnych oczu.

- Może zawodowego golfistę? - podsunął. - Wtedy miałbym szansę na tańsze lekcje.

- Nie ma sprawy, kochany - uśmiechnęła się słodko. - Może ciasteczko?

Nie wrócił wtedy na ósmą. W ogóle nie wrócił. Rozbił się w drodze do domu. W nienaruszonym stanie wyszły z wypadku tylko kije golfowe, bezpiecznie schowane w bagażniku.

Z karoserii nie zostało właściwie nic, podobnie jak z jej ukochanego Billa. Na szczęście nie czuł bólu podczas katastrofy - umarł na rozległy zawał, jak się później dowiedziała. I tak było lepiej.

Policjanci uznali, że Virginia chciałaby odzyskać kije. Z wściekłością cisnęła je wtedy do garażu. Najchętniej połamałaby je na kawałki. Cierpiała i chciała zadawać ból wszystkim i wszystkiemu dokoła. Bezценne kije Billa nadawały się do tego doskonale.

Synowie - Dominie, Laurence i Jamie - byli jej prawdziwą podporą. Zorganizowali pogrzeb, ponieważ nie zdołałaby się za to zabrać. Po raz

pierwszy w życiu rozsądna, zorganizowana Virginia Connell nie była w stanie niczego zrobić. Ona, doskonała gospodyni, której wołowina słynęła na całą okolicę. Telefony się rozdzwoniły; ludzie składali kondolencje, a Virginia prawie ich nie słyszała. Kiedyś odłożyła słuchawkę na bok, żeby nie słyszeć słów współczucia, i poszła do kuchni zrobić sobie herbaty. Nawet to jej się nie udało. Najzwyklejsze codzienne czynności wymagały zbyt wiele wysiłku. Co rano z trudem zmuszała się do wstania z łóżka.

Przestała o siebie dbać i wkrótce niechlujne siwe włosy otaczały poszarzałą twarz. Pewnego dnia Laurence uparł się, że zawiezie ją do fryzjera; trzy miesiące po śmierci Billa przeraził się na jej widok.

- Nie wejdę tam - oznajmiła w samochodzie, przed zakładem fryzjerskim w Clontarf. - Po co?

Jakby jedno nieszczęście nie wystarczyło, miesiąc po śmierci Billa Oskar, jej ukochany spaniel, wpadł pod samochód. Kiedy zabrakło nawet psa w nogach łóżka, uznała, że życie nie ma sensu.

Czas leczy rany, mawiała przed laty jej matka. Virginia się z tym nie zgadzała. Nie leczy, tylko przytępia ból, jak dobry środek znieczulający. Ale ból nigdy nie ustaje.

Za życia Billa nie płaciła rachunków, nie załatwiała polisy ubezpieczeniowej na dom czy samochód. To była domena Billa. Kiedy skrzynka na listy zaczęła pękać w szwach od oficjalnych pism, dotarło do niej, jak wiele robił. Często żartowała, że jest szczęściarzem, bo w czystym wysprzątanym domu czeka na niego dobra kolacja, wyprasowane koszule w szafie i pasta do zębów w łazience. Teraz zrozumiała, że Bill troszczył się o nią z równym zaangażowaniem, tyle że w inny sposób. Nigdy w życiu nie płaciła rachunków, nie rozmawiała z doradcą podatkowym. Teraz sama musiała się tym wszystkim zająć, niedoświadczona i pełna goryczy. Goryczy, bo Bill wcale nie musiał jeszcze umierać. Mało brakowało, a pół roku po jego śmierci odcięto by jej telefon; Virginia miała dosyć kondolencji i przestała otwierać listy, bez czytania wpychała je do szuflad.

Podobno ludzie pogrążeni w rozpacz w pewnym momencie odkładają żal na później i załatwiają formalności. To okrutne, okrutne i niepotrzebne. Ona tak nie umiała. Pół roku po śmierci ojca Laurence z przerażeniem odkrył, co się dzieje.

- Mamo - zaczął, gdy znużony usiadł ciężko w ulubionym fotelu Billa. - Tak dalej być nie może.

Virginia wzruszyła ramionami.

- Niby dlaczego? To i tak bez znaczenia. Nic już nie ma znaczenia. Poza tym - w jej oczach błysnęła złość - co mi zrobią? Twój ojciec nie

żyje. To najgorsze, co mogło mnie spotkać. Myślisz, że się boję, że mnie zamkną, bo się spóźnię z podatkami?

Okazało się wtedy, że Virginia jest bogata, dzięki wysokiej polisie ubezpieczeniowej. Bill opiekował się nią nawet po śmierci. Ale pieniądze nie wypełnią pustki po nim.

Po roku odrętwienia Virginia upiekła domowe ciasteczka w pierwszą rocznicę śmierci męża. Odwiedzili ją synowie, a nie miała w domu nic do jedzenia. Chłopcy zajadali ciastka z wdzięcznością, zadowoleni, że matka powoli wraca do życia. Virginia sama nie mogła się nadziwić, jakim sposobem z taką łatwością wślizgnęła się w starą skórę wzorowej gospodyni. Przynajmniej pozornie.

Zastanawiała się, jak dałby sobie radę Bill, gdyby to ona umarła. Czy tak jak ona pograżyłby się w żałobie na rok, głuchy i ślepy na cały świat? Ich pierwsza wnuczka urodziła się osiem miesięcy temu - uroczą Alison, córeczka najstarszego syna, Dominica. Virginia była matką chrzestną. Udało jej się nie płakać przez całą uroczystość, choć serce jej pękało na myśl, że Bill byłby taki dumny z wnuczki...

- On tu jest, mamó - szepnął Laurence, najwrażliwszy z chłopców. - On tu jest, przy tobie.

Nieprawda. I to właśnie było najgorsze. Virginia przez całe życie chodziła do kościoła, a jednak teraz, gdy tego najbardziej potrzebowała, zawiodły ją wiara w Boga i w życie pozagrobowe. Nie czuła przy sobie obecności Billa. Nie było go w domu, nie umiała z nim rozmawiać w kościele. Odszedł. To koniec. I to było najgorsze ze wszystkiego.

Dlatego sprzedała dom w Dublinie i pół roku temu kupiła stare domostwo w Kerry. Chłopcy byli początkowo przeciwni, Laurence przekonywał ją, że nie powinna uciekać. Wytłumaczyła mu, że wcale nie ucieka; chce po prostu zacząć od nowa, właśnie w Kerry, skąd wyjechali przed wielu laty i dokąd zawsze chcieli wrócić.

Oboje pochodzili z rodzin rolników, oboje chcieli się wyrwać ze wsi. Za czasów ich młodości Kerry to był koniec świata. Lecz po pięćdziesiątce oboje zatęsknili za spokojem prowincji, która już nie wydawała im się tak nudna i nieciekawa jak przed laty.

Nigdy nie zdecydowali, czy wrócą w rodzinne okolice Tralee, gdzie mieszkali już tylko nieliczni krewni, czy może osiedlą się gdzie indziej w hrabstwie Kerry.

Po śmierci Billa los zdecydował za nią. Sprzeda dom i wyprowadzi się do Kerry, ale najdalej jak to możliwe od Tralee. Nie mogłaby miesz-

kać tam, gdzie razem dorastali, w miejscach wywołujących bolesne wspomnienia pierwszych randek, pierwszego spotkania na parafialnej potańcówce. Nie, to zbyt bolesne. Kiedy zobaczyła ogłoszenie sprzedaży domu w Redlion, w Kerry, ale daleko od Tralee, od razu się zdecydowała. W maju, czternaście miesięcy po śmierci męża, zaczęła nowe życie w małej wiosce, gdzie nie znała nikogo i gdzie, jak miała nadzieję, nikt nie znał jej

Kilnagoshell House, stare domostwo, było w niezłym stanie, ale przydałoby się inaczej je urządzić - poprzedni właściciele mieli słabość do tapet w kwiaty i psychodelicznych dywanów w abstrakcyjne wzory, od których robiło się niedobrze. Umywalki w pokojach, zainstalowane ku wygodzie gości pensjonatu, nie pasowały do starego domu, ale Virginia nie zrobiła na razie nic, by przywrócić rezydencji dawne piękno. Bardzo się zmęczyła przeprowadzką. Nie miała siły na remont, ba, nie zdjęła nawet tabliczek z numerami z drzwi pokoi. Zresztą ma na to resztę życia, pomyślała ponuro.

Chłopcy jeszcze się nie pogodzili z jej decyzją. Dręczyło ich poczucie winy, jak się domyślała. Wyrzuty sumienia, że mają własne życie w Londynie (Dominie i Sally) i Dublinie (Laurence i Jamie), podczas gdy matka rozpacza sama w domu. Wiedziała, że Laurence i Jamie umówili się, że co kilka dni będą ją odwiedzać i dzwonić. Obawiali się, żeby sobie czegoś nie zrobiła. A teraz zamieszkała kilkaset kilometrów od nich i nie będą mogli jej często odwiedzać. Ale tak jest lepiej, i dla niej, i dla nich.

Planowała rozdać rzeczy Billa przy przeprowadzce, ale okazało się, że nie może się rozstać z jego ubraniami. A na myśl, jak się nimi cieszył, postanowiła zatrzymać i kije golfowe.

Teraz trzymała je w dłoni i próbowała sobie przypomnieć postawę przed uderzeniem. Czy można się nauczyć gry w golfa, mając pięćdziesiąt osiem lat? Bill byłby zachwycony. Może ją teraz widzi i uśmiecha się szeroko, jak to on potrafił. Pewnie go bawi, że fachowo trzyma kij. Spodobała jej się myśl, że Bill się śmieje, bez względu na to, gdzie jest.

Zadzwoił dzwonek. Virginia podniosła oczy do nieba. Pewnie znowu turyści, była gotowa się założyć. Kilnagoshell House był kiedyś znanym pensjonatem, dawni goście co jakiś czas stawali na progu i z uśmiechem pytali, czy dostaną dwójkę z prysznicem na dwie noce i czy nadal podaje taką pyszną kaszanę na śniadanie.

Cztery miesiące temu, gdy tylko się tu sprowadziła, uśmiechała się grzecznie i uprzejmie informowała, że niestety, już nie ma pensjonatu. Teraz, ilekroć turyści z przewodnikiem sprzed pięciu lat stali pod drzwiami,

miała ochotę wrzeszczeć z najwyższego okna, żeby sobie poszli gdzie pieprz rośnie. Swoją drogą ciekawe, dlaczego poprzedni właściciele sprzedali pensjonat. Sądząc po zainteresowaniu turystów nawet teraz, poza sezonem, interes szedł znakomicie.

Starannie schowała kij do pokrowca i podeszła do drzwi. Na progu stały cztery osoby.

Jeden mężczyzna przeciągał się z rozkoszą, drugi wyjmował pokaźne walizy z bagażnika. Drobną śniadą kobietą studiowała przewodnik i odczytywała fragmenty po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem. Wyższa kobieta zaglądała jej przez ramię.

- Słucham państwa? - zaczęła Virginia.

- Przepraszam, że nie dzwoniliśmy - odezwała się drobna kobieta. - Czy możemy tu dzisiaj przenocować?

- Niestety, tu już nie ma pensjonatu - wyjaśniła Virginia uprzejmie. Wszyscy czworo wyraźnie się zmartwili.

- Jedziemy od kilkunastu godzin - jęknął jeden z mężczyzn.

- W wiosce jest pensjonat - pocieszyła go Virginia i opisała, jak dojechać do hoteliku pani Egan. Nie, nie ma go w przewodniku, ale jeśli chcą się zatrzymać w tej okolicy, pani Egan na pewno ma wolne pokoje.

Zrobiło jej się przykro, że ich odsyła z kwitkiem; wyglądali na zmęczonych, a Virginia nie była już taka pewna, czy pani Egan odpowiednio traktuje swoich gości. Poznała ją u rzeźnika i nie spodobało jej się, że zamawiała najtańszy bekon i krzyczała na rzeźnika, przemilego olbrzyma, tylko dlatego, że zapomniał odłożyć dla niej jagnięcy udziec.

Z tego, co dawni goście opowiadali o Kilnagoshell, wywnioskowała, że był to przytulny, gościnny pensjonat, gdzie klientom nie serwowano na śniadanie taniego, tłustego bekonu.

Zrezygnowani Włosi zapakowali się z powrotem do samochodu i pomachali jej na pożegnanie. Widocznie wygląda nie najgorzej, skoro chcieli się u niej zatrzymać. I pomyśleć, że kiedyś była zadbana i elegancka, zawsze świetnie ubrana i uczesana, że pracowała jako wolontariuszka w sklepie z używaną odzieżą Oxfamu. To była dawna Virginia. Nowa Virginia była ponura, smutna, z cieniami pod orzechowymi oczami w pomarszczonej twarzy. Nie chciało jej się układać srebrzystych włosów; ściągała je w ciasny kok. Ale to już koniec. Wystarczająco długo żyła jak odludek i jeśli ma powoli wrócić do świata żywych, musi wyglądać w miarę normalnie.

Zamknęła garaż, w kuchni włożyła buty i nieprzemakalną kurtkę. Ilekroć ją wkładała, myślała o Oskarze, małym bursztynowym spanielu z dłu-

gimi jedwabistymi uszami i rozbrajającym spojrzeniem. Był taki kochany. Codziennie, przez całe jego życie, o wpół do dziewiątej rano zabierała go na spacer. Kiedy padało, wkładała właśnie tę kurtkę. Na sam jej widok Oskar szalał z radości, biegał, skakał i szczekał bez opamiętania. Virginia do dzisiaj dręczyła się wyrzutami sumienia, że gdyby nie zaniedbała swoich obowiązków, gdyby po śmierci Billa nadal chodziła z nim na długie spacer, nie wyrwałby się nagle na ulicę i nie wpadł pod samochód.

To jej wina. To przez nią zginął. Do dziś była wdzięczna weterynarzowi, że zabrał go i pochował na psim cmentarzu; gdyby pogrzebała Oskara w ogrodzie, nowi właściciele mogliby go przypadkiem wykopać i wyrzucić na śmietnik.

- Kup sobie nowego psa, mamu - namawiał Laurence. - Zawsze mieliście z ojcem psy. Będzie ci raźniej. Będziesz miała towarzystwo.

Ale Virginia nie chciała. Psem trzeba się zajmować, a ona obawiała się nowych obowiązków i nie chciała się znowu przywiązać. I tak zamartwiała się, że coś się stanie synom, Sally czy malutkiej Alison. Poczowała łzy na policzkach. Szybko otarła oczy. Nie, nie będzie płakała. Pójdzie na spacer i nie będzie myślała o Oskarze.

Dziarsko maszerowała aleją wśród pięknych buków. Jesień rozgościła się w pełni; drzewa mieniły się złotem. Za miesiąc krajobraz się zmieni, liście będą szeleścić pod nogami, a nagie gałęzie drzew czernić się na zachmurzonym niebie. Ale teraz było tu pięknie. Skręciła w uliczkę wysadzaną kasztanami. Chłopcy tak lubili je zbierać, pomyślała czule, podnosząc lśniąca kulkę.

Doszła do szosy i ruszyła w kierunku Redlion. Jej dom był oddalony o półtora kilometra od wioski i postanowiła chodzić tam codziennie, choćby tylko po gazetę.

Od razu polubiła Redlion; miasteczko było takie staroświeckie i niewinne. Główna ulica, dla wygody nazywana właśnie tak, Main Street, nie zmieniła się zapewne przez ostatnie pół wieku. Po obu jej stronach widniały małe domki, sklepy i puby, Virginia wiedziała z doświadczenia, że cudzoziemców zawsze zastanawia liczba pubów w irlandzkich miasteczkach. Przypomniała sobie, jak się temu dziwił znajomy Billa, londyńczyk. Zabrali go na wycieczkę do Kilkenny i ciągle się głowił, jak to możliwe, że nawet w osadach liczących kilkanaście domów są po dwa puby.

- Jakim cudem oni wychodzą na swoje? - zapytał Billa.

Bill roześmiał się głośno i wyjaśnił, że w Irlandii pewne rzeczy wyglądają trochę inaczej.

- Mamy różne puby dla różnych ludzi - tłumaczył. - Starzy farmerzy chodzą do takiego, który nie zmienił się od czasów ich młodości, młodzi wybierają puby z muzyką i jedzeniem. Widzisz, w tradycyjnym irlandzkim pubie kupisz wyłącznie piwo i papierosy. Niech no tylko pojawi się tam jedzenie, muzyka albo kobiety w mini, a starzy klienci zaraz uciekną.

W RedHon takim prawdziwym pubem jest Madigans, stwierdziła Virginia. Miał czerwono-białą markizę, wypłóviały znak Guinnessa przy wejściu i wyglądał tak jak puby z jej dzieciństwa.

Często widziała mężczyzn w roboczych butach i zniszczonych ubraniach, jak wchodzi na szybkie piwko w południe. Jej ojciec, rolnik, też lubił wypić guinnessa w środku dnia i chyba polubiłby Madigans. Do takiego pubu wchodzisz w spodniach podtrzymywanych sznurem do sno-powiązałki i nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Na uwagę zasługuje tylko jedno - piwo z pieczęcią nalewane przez barmana. Prawdziwi fachowcy napełniali kufel przez dobre dziesięć minut, dlatego stali bywalcy wiedzieli, że kolejny trzeba zamówić kwadrans wcześniej.

U Wdowy Maguire natomiast podawano pyszne jedzenie, grała ludowa muzyka i kusił przytulny wystrój wnętrza. Virginia zajrzała tam kilka razy i nie mogła się nadziwić, jak tradycja łączy się z nowoczesnością.

Nigdy nie była w trzecim pubie - mieścił się na przeciwnym krańcu miasteczka, przy moście. Postanowiła dojść tam dzisiaj. Przejdzie przez całe Redlion.

Minęła tablicę informującą, że Redlion jest bliźniaczym miastem francuskiej wioski, o której w życiu nie słyszała. W deszczu Redlion nie prezentowało się okazale, ale w słoneczny jesienny dzień wioska była ładna i w pewnym sensie bez wieku. Virginia minęła aptekę z bocznym wejściem do działu z artykułami dla zwierząt, szereg białych domków, wśród których wyróżniał się jeden, pomalowany na niebiesko, i Lucille, sklep z ciuchami z co tydzień zmienianą wystawą, zawsze ekstrawagancką. W tym tygodniu Lucille oferowała bluzeczki z głębokim dekoltem i moherowe sweterki w zwierzęce wzory, Uwagę przykuwała kurtka ze sztucznego futra lamparta i dobrana czapka. Virginia obiecała sobie, że w najbliższą niedzielę będzie obserwowała wiernych w kościele ze szczególną uwagą. Nie wiedziała, kto kupuje dziwaczne kreacje Lucille, ale na pewno zdoła wypatrzeć tę osobę nawet w największym tłumie.

Szła dalej, wpatrzona w przestrzeń, na wypadek gdyby ktoś ją mijał. Ludzie byli bardzo uprzejmi, uśmiechali się i pozdrawiali ją, ale nie chciała zawierać żadnych przyjaźni i nie odpowiadała na żadne pytania. Nie chciała z nikim rozmawiać, chciała być sama.

Dzisiaj nie było to trudne. W miasteczku panował spokój. O tej porze roku nie było turystów, lecz już od Wielkanocy zaczęły przyjeżdżać. Wysypią się z autokarów i samochodów, wpadną do Wdowy Maguire na wędzonego łososa i odrobinę muzyki ludowej, zachwyca się pastelowymi domkami i nakupują pamiątek w małym sklepiku ze swetrami ręcznej roboty, koronkami, plakietkami z irlandzkimi nazwiskami i garncarskimi wyrobami hipisów z komuny w górach. Hipisów tolerowano, bo trzymali się z dala od miasteczka, jak wywnioskowała Virginia z podsłuchanych rozmów.

Mimo wszystko właściciele sklepików obawiali się nieco sąsiedztwa współczesnych nomadów, zwłaszcza że hipisi nieraz zjawiali się w miasteczku i sprzedawali podobny towar po konkurencyjnych cenach.

Virginia kiedyś widziała zmęczoną kobietę z żółtymi dreadami i tatuażem na ramieniu, z dwojgiem dzieci na ręku. Kilka kroków dalej młoda kobieta w eleganckim kostiumie wyszła z agencji handlu nieruchomościami, wsiadła do sportowego mercedesa i odjechała, nie patrząc na nic ani na nikogo. Obie nie pasowały do Kerry z czasów młodości Virginii.

Tego dnia miała Redlion dla siebie, jeśli nie liczyć kilku kobiet stojących przed sklepem rzeźnika; zrobiły już zakupy i rozmawiały spokojnie. Zabolało ją biodro. Ciekawe, dlaczego artretyzm atakuje tylko jedno biodro, zastanowiła się, ale choroba nie jest usprawiedliwieniem, będzie dalej spacerowała. Połowę drogi miała już za sobą.

Kiedy wróciła do domu, telefon dzwonił na całą kuchnię. Rzuciła się do aparatu w ubłoconych butach.

- Cześć, mam - usłyszała radosny głos synowej, Sally. - Co u ciebie?

- W porządku - odparła, zadowolona, że zadzwoniła jedyna osoba z rodziny, która rozmawia z nią normalnie. Wszyscy inni, chyba ze strachu, że Virginia lada moment zaleje się łzami, mówili sztucznie łagodnym, kojącym tonem. - A u ciebie? Czy Alison owinęła sobie Dominica dokoła paluszka?

Sally jęknęła głośno.

- Nawet nie pytaj. Jeśli tak dalej pójdzie, dostanie kucyka i własny samochód na pierwsze urodziny.

Rozmawiały jeszcze kilka minut; Jamie był w Londynie i przyprowadził na kolację nową dziewczynę - bardzo ładną i mądrą. Dominie żartował, że stanowczo za mądrą dla Jamiego.

Virginia uśmiechnęła się smutno. Właśnie tego jej brakowało: poczucia, że jest częścią życia synów. Teraz nie przedstawiają jej nowych dziewczyn, nie pytają o zdanie. Laurence, dentysta, opowiadało Barbarze,

swojej nowej asystentce. Zapewniał, że Virginia byłaby nią zachwycona, ale jeszcze jej nie przywiózł. Trudno, nie może się nad sobą rozczulać. Sama dokonała takiego wyboru. Chciała zacząć nowe życie i nie ma sensu użalać się nad przeszłością.

Rozmawiały o bezsenności Alison, o tym, jak ciężko opiekować się dzieckiem i pracować zawodowo, o tym, że wybierają się z Dominikiem na narty do Austrii.

Sally nagle spoważniała.

- Virginio, nie pojedziemy, jeśli chcesz, żebyśmy cię odwiedzili, wiesz o tym. W każdej chwili możemy odwołać Austrię i...

- Nie wygłupiaj się. - Virginia nie dała jej dokończyć. - Nawet nie chcę o tym słyszeć. Macie wyjechać razem, we troje. Ja już postanowiłam, zostaję na święta w Redlion.

Obiecała sobie, że nigdy nie będzie budziła w synach poczucia winy. Nawet w najgorszym czasie, tuż po śmierci Billa, nie chciała prosić ich o pomoc. Laurence mieszkał z nią przez tydzień, potem wypchnęła go do jego mieszkania w Swords.

-Ja jestem matką, a ty synem - pouczyła go stanowczo.-Nie musisz się mną opiekować. Muszę sama dać sobie radę.

Sally i Dominie zasłużyli na rodzinne święta, bez zamartwiania się o nią. Zresztą w obecności dzieci czuła się gorzej - tym bardziej brakowało jej Billa.

Sama lepiej radziła sobie z rozpaczą. Trudno, jeśli czasami płakała całymi dniami w poduszkę, tak musi być. W obecności innych duma nakazywała jej tłumić łzy.

Zmieniła temat.

- Właśnie wróciłam ze spaceru, już się nie mogę doczekać gorącej kąpieli z książką. - To nie była cała prawda. Chciała się wykapać, owszem, ale w nadziei że ciepła woda złagodzi ból. Za to o czytaniu mowy nie ma. Przy ulubionych powieściach płakała, bo powracały wspomnienia. Wystarczały jej gazety. Nawet krzyżówki przypominały Billa; już nie zapyta, co będzie w osiem poziomo.

- To dobrze, że znowu spacerujesz - ucieszyła się Sally. - Jak biodro? Bardzo daje ci się we znaki?

- Prawie wcale - skłamała Virginia. - Bardzo tu pięknie. Musicie kiedyś przyjechać. Latem - dodała pospiesznie, żeby synowa nie wyciągnęła błędnych wniosków.

- Możemy przyjechać... - zaczęła Sally.

- Sally, kochanie, chcę być sama. - Virginia nie dała jej dokończyć. -Naprawdę. Wytłumacz to Dominicowi, wiesz, że ja mu tego nie powiem.

- Wiem. I wiem też, że on chce ci pomóc - powiedziała Sally cicho. - Jak my wszyscy.

Virginia wzruszyła ramionami.

- Tylko ja sama mogę sobie pomóc.

Rozdział 5

Nicole Turner starała się sprawiać wrażenie, że pracuje. Pochyliła ciemną głowę nad biurkiem i miała śmiertelnie poważną minę, nikt nie domyśliłby się, że w najlepsze żartuje z koleżanką z sąsiedniego stanowiska, równie bezczelną Sharon Wilson.

Ze swego miejsca przy oknie pani Sinclair, szefowa działu obsługi klienta, przyglądała się podejrzliwie dwóm podwładnym. Nicole Turner wygląda niewinnie i grzecznie, ale kto wie, może właśnie w tej chwili planuje jakiś szatański kawał, który postawi na głowie filię Towarzystwa Ubezpieczeniowego Copperplate. Jak wtedy, kiedy przestawiła wielki zegar o pół godziny i wszyscy poszli na lunch o dwunastej trzydzieści zamiast o pierwszej.

Oczywiście Nicole zaraz ustawiła zegar na właściwą godzinę i w ten sposób cały dział miał na lunch nie godzinę, ale półtorej. Według pani Sinclair takie zachowanie kwalifikowało do natychmiastowego zwolnienia, ale niestety nie miała żadnych dowodów, że to sprawka Nicole. Co więcej, przełożony zauważył, że Nicole jest wzorową pracownicą więc nie było podstaw, by ją zwalniać.

Trzeba ją obserwować, postanowiła pani Sinclair posepnie. I spełniała to postanowienie z przyjemnością.

W drugim końcu pokoju zadzwonił telefon na biurku. Sharon Wilson szybko podniosła słuchawkę.

- Słucham, departament obsługi klienta - zaszczebotała.

- Czy stara suka nadal się na mnie gapi? - zapytała Nicole. Siedziała niewiele ponad metr dalej, ale według pani Sinclair pracownicy rozmawiający inaczej niż przez telefon popełniali poważne wykroczenie.

Sharon ukradkiem podniosła głowę.

- Owszem. Właśnie świdruje cię wzrokiem.

- Cholera.

Kątem oka Sharon widziała, jak Nicole wstaje i ze zmarszczonym czołem przekłada papiery na biurku, jakby klient zadał jej kłopotliwe

pytanie i szukała odpowiednich aktów, żeby udzielić mu odpowiedzi. Znalazła opasły tom wewnętrznych przepisów Towarzystwa Ubezpieczeniowego Copperplate i westchnęła teatralnie, jakby kamień spadł jej z serca. Otworzyła go, przekartkowała kilka stron i pochyliła głowę.

- Pani Wilson - odezwała się wyuczonym uprzejmym głosem idealnej urzędniczki - niestety nie możemy wypłacić pani odszkodowania za to, że oszalały jeleni wybiegł na szosę i stratował pani auto...

Sharon zachichotała i schowała się za monitorem, żeby nikt jej nie widział.

- Widzi pani, z wiarygodnych źródeł wiemy, że w krytyczną noc była pani w pubie Pod Trzema Koronami, gdzie wypila pani cztery duże piwa, po czym z trudem usiadła za kierownicą i ruszyła do domu. Wiemy również, że towarzyszący pani mężczyzna, siedzący na fotelu pasażera, podczas jazdy zainicjował pieszczoty, co nie wywołało pani sprzeciwu, nawet wtedy gdy usiłował zdjąć pani stanik.

Ponieważ naruszyła pani zasady bezpiecznego poruszania się po drogach publicznych, nie możemy wypłacić dwudziestu siedmiu tysięcy. Do wypadku doszło z pani winy, a więc odszkodowanie się nie należy. Jesteśmy natomiast gotowi pokryć koszty operacji plastycznej poszkodowanego jelenia.

Sharon zachichotała głośniej.

-Teraz poważnie. - Nicole mówiła już normalnie, ale i tak postronny obserwator widziałby tylko jej służbową minę. - Bacardi przysłał mi maila. Jego kumpel się żeni i dzisiaj urządza wieczór kawalerski w Czerwonej Papudze. Jak chcesz, możemy tam pójść.

-Na wieczór kawalerski? W czwartek?- Sharon miała wątpliwości.

Nicole uśmiechnęła się pod nosem.

- Sinclairowej jutro nie ma, więc możemy przyjść skacowane na maksa. Będzie tam mnóstwo kobiet. Wieczór kawalerski tylko dla facetów to już przeszłość.

- No dobra. - Sharon uwielbiała Nicole i miała wrażenie, że odkąd się zaprzyjaźniły, jej życie stało się o wiele ciekawsze.

Nicole odłożyła słuchawkę i odpisała na maila.

Cześć, Bacardi!

Chętnie wpadniemy pod Papugę. Mamy się przebrać? Co prawda kiedy ostatnio przebrałam się na Halloween za mumię (owinęłam się papierem toaletowym w kiblu w pubie), bramkarze omal nie oskarżyli mnie o kradzież, ale cóż... Niektórym brakuje poczucia humoru. Do zobaczenia o ósmej. Nicole

Czwartek to idealny dzień na wieczorne wyjście. Co czwartek przychodzi babcia, więc zostanie z pięcioletnią Pammy.

Punktualnie o szóstej Nicole wstała zza biurka, wyjęła z szafki plecak i na zabójczo wysokich obcasach pomaszerowała do łazienki. Nie zwracała uwagi na morderczy wzrok pani Sinclair.

Sharon obserwowała ją z zazdrością. Nicole gwizdże na to, co inni sobie pomyślą. Nigdy nie wpadała w zakłopotanie, nawet kiedy miała postawić kolejkę i okazywało się, że nie starczy jej pieniędzy. Nie przejęła się nawet wtedy, kiedy biegła do autobusu i wywaliła się prosto w kałużę, na oczach co najmniej trzydziestu osób. Sharon zapadłaby się pod ziemię ze wstydu. A Nicole tylko roześmiała się bez troski, patrząc na mokry przód obcisłych dzinsów.

- Rany, wyglądam, jakbym się zsikała - stwierdziła. - A jeszcze nawet nie piłam!

Pięć po szóstej - celowo, chciała sprawiać wrażenie osoby do tego stopnia pogrążonej w pracy, że nawet nie zauważa upływu czasu - Sharon wstała, ułożyła dokumenty na biurku i poszła do łazienki. Nicole właśnie delektowała się zakazanym papierosem.

Kolejna rzecz, której mogłabym jej zazdrościć, pomyślała Sharon, porównując ich odbicia w lustrze. Nicole jest taka piękna. Jej cera koloru kawy z mlekiem promieniała, choćby Nicole była bardzo zmęczona, tygrysie bursztynowe oczy rozświetlały trójkątną twarz. Za cały makijaż wystarczał błyszczący na usta, odziedziczony po białej matce, nie po hinduskim ojcu, więc raczej małe.

Ale najpiękniejsze były włosy i one stanowiły jej największą dumę. Wydawała majątek na odżywki i płyny nabłyszczające, ale opłacało się - spływały na plecy gęstą, czarną lśniąca zasłoną. Miała idealne ciało. Była wysoka, szczupła i miała fantastycznie długie nogi; zwłaszcza w nieprzyzwoicie krótkiej czarnej spódnicy, którą zdążyła włożyć.

Tylko że Nicole jest najlepszą przyjaciółką na świecie, więc Sharon nie może jej niczego zazdrościć.

- Chcesz fajkę? - zapytała Nicole ochryłym głosem.

Sharon skinęła głową i weszła do kabiny, żeby zapalić. Co prawda palenie w toaletach jest zabronione, ale skoro może Nicole, może i ona.

- Wystąpisz na karaoke? - zapytała Nicole. Ściągnęła przez głowę kremowy sweterek i włożyła obcisłą różową bluzeczkę z naszytymi błyszczącymi gwiazdami.

Sharon jęknęła.

- Wiesz przecież, że nie umiem śpiewać. Nie będę z siebie robiła idiotki przed bandą obcych facetów.

- Błagam! - Nicole nie dawała za wygraną. Chciała, żeby ktoś wystąpił razem z nią, inaczej byłoby jej głupio, że się popisuje. Naprawdę nie lubiła się popisować, za to kochała śpiewać. I śpiewała, odkąd sięgnęła pamięcią. Pisała też własne piosenki, ale tylko dla zabawy. Nie ma nic gorszego niż ktoś, komu się wydaje, że jest nową Patti Smith i zamecza rodzinę, rycząc jak pijana krowa. Nicole tego nie chciała. Ale kiedy miała piętnaście lat, przemyciła się do pubu na zakazane piwo i odkryła karaoke, które od tego czasu stało się jej pasją. Inni goście w pubach uważali karaoke za pewien etap nocnego pijaństwa; dla Nicole był to punkt kulminacyjny. Uwielbiała śpiewać piosenki Tiny Turner i Whitney Houston, upajał ją widok znajomych zapamiętałe bijących brawo. Ale sama za nic nie wyjdzie na estradę. Wyszłaby na głupią szpanerkę.

- Gotowa? - zapytała.

- Jeszcze chwileczkę. - Sharon walczyła z tuszem, który, jeśli wierzyć reklamom, sprawi, że będzie miała rzęsy jak Cindy Crawford.

- No dobra. Zadzwoń do mamy - zdecydowała Nicole. Wróciła do biura. Pani Sinclair nadal tam była, metodycznie układała

dokumenty na swoim biurku. Nicole pochyliła się, na palcach zakradła do swojego biurka, podniosła słuchawkę i ukryła się pod blatem. Sinclair obdarłaby ją żywcem ze skóry za prywatne rozmowy. W godzinach pracy można przynajmniej udawać, że się dzwoni w sprawach służbowych. A swoją drogą, dlaczego ta Sinclairowa jej tak nienawidzi? Przecież to nieprawda, że Nicole źle pracuje; była bardzo dobra. Problem w tym, że robiła wszystko szybciej niż inni i potem się nudziła. Umiała sobie czas, wymyślając różne kawały.

Matka odebrała po pierwszym dzwonku.

- Cześć, kochanie - odezwała się radośnie, gdy Nicole wyszeptała pierwsze słowa. - Nic nie słyszę - stwierdziła miękko, wiecznie zdyszonym głosem. - Mów głośniej.

- Nie mogę - syknęła Nicole. - Jestem w pracy.

- Aha - mruknęła Sandra Turner. I cisza.

W rozmowie z matką zawsze zdarzały się chwile ciszy.

- Wychodzę dzisiaj, mam. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Wiem, grasz dzisiaj w bingo, ale babcia przyjdzie jak zwykle, tak?

- Chyba tak. Nie dzwoniła. I znowu cisza.

- Mam wpaść do domu i na nią poczekać, mam? - ofiarowała się Nicole. - Nie możemy zostawić Pammy samej, a wiesz, że nie znosi bingo- Dobrze, wpadnij. O, ktoś dzwoni do drzwi. Poczekaj.

Matka odłożyła słuchawkę i po chwili Nicole usłyszała donośny głos ze znajomym dziwacznym akcentem - była to mieszanka cockneya i irlandzkiego - którego babka nie straciła nawet po pół wieku mieszkania w Londynie. Minęło kilka minut, zanim matka ponownie podniosła słuchawkę.

- Babcia już jest. Wychodzę. Do zobaczenia.

Rozłączyła się. Nicole nie zdążyła poprosić babci do telefonu. Cichutko odłożyła słuchawkę. Dobrze, że przyszła babcia; przynajmniej nie trzeba się martwić o Pammy. Mała potrzebuje opieki, a matka, Nicole przyznawała to z bólem serca, nie zawsze się do tego nadaje.

Wymknęła się dyskretnie i pobiegła do łazienki. Sharon czekała, umalowana i złana Eternity.

- Chodźmy zaszaleć - powiedziała Nicole.

Pub Pod Czerwoną Papugą w Camden nie był lokalem marzeń Dickiego Vernona. Po pierwsze, był to pub młodzieżowy, z automatami do gier bajecznie kolorowymi prezerwatywami w automatach w toalecie i ogłuszająco głośnym karaoke. Ale jako łowca młodych talentów Dickie przywykł już do takich knajp. Oczywiście nigdy nikomu nie mówił, że jest łowcą młodych talentów, o nie. Przedstawiał się jako menedżer, żeby wywrzeć odpowiednie wrażenie. Szkoda, że jego najlepsze znalezisko, Missy McLoughlin, nie nadawała się na gwiazdę. Z takim głosem... Gdyby jej się udało, byłby ustawiony do końca życia. Piętnaście procent od milionów to nie byle co. Nie musiałyby włączyć się po obskurnych knajpach i szukać nowej Celine Dion. Mała niezależna wytwórnia była naprawdę zainteresowana, ale sam wszystko zepsuł, kiedy zażądał więcej pieniędzy. Drugi raz nie zrobił tego samego błędu. Wytwórnia wycofała się, uznając jego żądania za bezczelne, a Missy straciła zimną krew. Teraz jest dumną żoną i matką, mieszka w bliźniaku w Aberdeen i śpiewa tylko na ślubach i pogrzebach.

Dickie zaś jak dawniej był menedżerem beznadziejnego męskiego kwartetu i żalostnej piosenkarki country. Blond fryzurę miała jak gwiazda, ale nic poza tym. Aż przykro było słuchać. Z drugiej strony odpowiedni wygląd to połowa sukcesu, może nie?

Przyszedł do pubu Pod Czerwoną Papugą na spotkanie z właścicielem małego studia nagraniowego, który chciał mu przedstawić zespół rockowy z miejscowej szkoły średniej. Facet się spóźnił. Dickie zdążył już rozwiązać krzyżówkę w „Daily Star” i teraz nudził się niemiłosiernie. Dla zabicia czasu wychylał kolejną whisky.

Goście w najlepsze bawili się przy karaoke. Dwóch zalanych osiłków wydierało się na całe gardło, śpiewając coś, co w ich mniemaniu było *Purple Haze*. Jimi Hendrix przewraca się w grobie, pomyślał Dickie.

Wieczór kawalerski, stwierdził. Coś koło trzydziestu facetów, wszyscy zalani w trupa, a jeden piastuje na kolanach dmuchaną lalkę. Zapewne pan młody we własnej osobie. Dickie odwrócił wzrok i zamówił kolejną whisky. Wpół do dziesiątej. Jeszcze pół godziny i da sobie spokój.

Goście na cały głos śpiewali kolejne piosenki. Przy sąsiednim stoliku usiadła kształna brunetka w obcisłej czerwonej bluzeczce i džinsach jakby namalowanych na ciele. Dickie z zachwytem pieścił wzrokiem jej wąską talię, dzięki której pośladki wydawały się jeszcze okrągłejsze. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Dickie odpowiedział tym samym; uraczył ją uśmiechem, którym powalał kobiety z nóg, odkąd skończył piętnaście lat. Co prawda było to już ćwierć wieku temu. Brunetka puściła do niego oko.

Hm, może jednak jeszcze trochę zostanie.

W pubie rozległy się pierwsze takty starego przeboju, ale Dickie prawie tego nie słyszał. Rozwagał, czy nie postawić brunetce drinka. I wtedy rozległ się głos. A właściwie dwa: jeden słaby i cichy, drugi ochryply i głęboki. Przenikał całą salę, wibrował w powietrzu.

Dickie błyskawicznie zapomniał o brunetce. Oto na malutkiej scenie stała wysoka ciemnoskóra dziewczyna i śpiewała tym niesamowitym głosem. Była młoda, na oko dwudziestka. Ale ten głos: gardłowy, pełen życia, doświadczenia i seksu. Śpiewała jak rozwódka, która aż za dobrze zna mężczyzn, alkohol i narkotyki. Życie na pełnych obrotach. Gdyby nie widział jej na własne oczy, dałby sobie rękę uciąć, że śpiewa czterdziestoletnia nałogowa palaczka o surowych, zmęczonych oczach. Ten głos wibrował doświadczeniem, seksem, podnieceniem i siłą. Wprost nie do wiary, że wydobywał się z gardła młodzieńczej, szczupłej dziewczyny o skośnych kocich oczach i profilu indyjskiej księżniczki. Kiedy patrzył, jak zmienia się wyraz jej drobnej trójkątnej twarzy, poczuł, jak włosy na karku stanęły mu dęba. Znalazł ją. Znalazł swoją gwiazdę. Swoją przepustkę do lepszego świata.

- Chyba jesteś tu pierwszy raz - zagaiła kokieteryjnie brunetka.

- Zazwyczaj nie bywam w takich spelunach - odparł machinalnie, wpatrzony w Nicole Turner. Brunetka odwróciła się obrażona.

Publiczność głośno biła brawo. Nicole i Sharon ukłoniły się nisko.

- Jeszcze coś! - wrzasnął Bacardi.

-1 to sama - poprosiła Sharon. - Jesteś lepsza ode mnie.

- Nie - uparła się Nicole. - Zostań ze mną.

Power of Love na karaoke brzmiało na ogół jak wycie psów do księżyca. Ale nie dzisiaj. Dickie uśmiechał się rozmarzony, gdy dziewczyna bezbłędnie wyciągała wysokie nuty, śpiewała mocno i czysto, i cicho i miękko w odpowiednich momentach. Obserwował ją zachwycony. Musi z nią porozmawiać.

Jest doskonała, ma zadatki na gwiazdę. Ale on wypił trochę za dużo i chyba nie najlepiej wygląda. Postanowił najpierw pójść do łazienki i doprowadzić się do porządku, a potem z nią porozmawiać. W końcu jako menedżer z prawdziwego zdarzenia nie może być zalany i niechlujny.

Nicole opadła na krzesło i wachlowała się kartą dań. Była szczęśliwa i zmęczona. Najlepsza część wieczoru już za nią, może wracać do domu. Obowiązki wzywają, jak zawsze. Dochodzi wpół do jedenastej, a nie wiadomo, czy mama już wróciła.

Goście wieczoru kawalerskiego pili na umór i opowiadali sobie swoje najbardziej szalone marzenia.

Nicole siedziała koło pana młodego in spe, ustrojonego w piracki kapelusz i przepaskę na oko. Dmuchana lalka siedziała po jego drugiej stronie. Miała na głowie czarne koronkowe majtki. Bohater wieczoru objął Nicole ramieniem i wyszczerzył się w pijackim uśmiechu.

- Czego byś chciała, gdybyś mogła mieć absolutnie wszystko na świecie? - zapytał, przyciągając ją do siebie. Wdychał zapach jej młodego ciała zmieszany z perfumami Sharon.

Nicole uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, o czym myśli; dla pana młodego wieczór się jeszcze nie skończył. Za dwa dni bierze ślub i marzyła mu się jeszcze jedna szalona noc na pożegnanie stanu kawalerskiego. Kretyn, skąd w ogóle przyszło mu do głowy, że ona na to pójdzie? Nie był w jej typie, zwłaszcza zalany w trupa.

- No - zachęcał, przekonany, że podryw mu się udał. - Czego chcesz?

- Własnego mieszkania - oznajmiła nagle. - Do którego mogłabym wracać, kiedy będę chciała, bez względu na innych. Wolności.

- Hurra! - wrzasnął na całe gardło. - Mam mieszkanie. Możemy tam zaraz pojechać, mam alkohol i w ogóle...

-Nie to miałam na myśli, ty dupku. - Nicole spokojnie wylała mu na głowę resztki piwa. Miała już dosyć.

Zapiszczał przerażony, a ona wstała zwinnie, posłała mu całusa i podeszła do Sharon.

- Spadam stąd - szepnęła.

Dickie Vernon wyszedł z toalety w dużo lepszym stanie. Teraz wyglądał jak poważny menedżer wielkiej gwiazdy. Dzięki Bogu, że w toaletach są automaty z jednorazową szczoteczką i pastą do zębów. Zaczesał włosy do tyłu i rozejrzał się w poszukiwaniu szczupłej ciemnoskórej dziewczyny. Ale nigdzie nie było jej widać.

Nicole zamknęła drzwi wejściowe i zaciągnęła zasłony, żeby przeciąg nie trzasnął drzwiami na górze. Przeciągi wyraźnie sobie upodobały domek przy Belton Gardens. Czasami w zimie wiatr hulał po całym parterze. Nicole walczyła z tym na wszystkie możliwe sposoby. Żeby jeszcze matka pamiętała o zaciąganiu zasłony.

Weszła do małego przytulnego saloniku. Matka siedziała na starej kanapie obitej kwiecistym materiałem, otulała się kocem w szkocką kratę, popijała herbatę, pogryzała popcorn i oglądała film w telewizji.

- Cześć, kochanie - odezwała się, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

- Cześć, mamó. - Nicole usiadła w wypłowiałym różowym fotelu przy kominku. Z gzymsu lypała na nią kolekcja porcelanowych świnek matki. Między nimi stały liczne świece zapachowe. Nicole żyła w wiecznym strachu, że któregoś dnia przez nie cały dom spłonie.

Matka wytrwale żuła prażoną kukurydzę. Nicole sięgnęła po program, żeby sprawdzić, jaki to film. Stara komedia z lat siedemdziesiątych z Gol-die Hawn. Matka uwielbiała Goldie Hawn i nawet była do niej trochę podobna: miękkie złote loki, naiwny uśmiech... Cieszyło ją to podobieństwo. Tyle tylko, że infantylność Sandry nie była udawana. Sandra Turner naprawdę była naiwna jak dziecko i absolutnie nie nadawała się do życia w normalnym świecie. Domowe obowiązki i problemy finansowe przerażały ją, była niepraktyczna, nie radziła sobie z przyziemnymi sprawami. Unikała wszelkich konfliktów i garściami lypała ziołowe tabletki uspokajające. Mężczyźni uwielbiali jej pozę bezradnej kobietki, przynajmniej póki nie dotarło do nich, że to wcale nie poza.

Gdyby nie Nicole, która regularnie płaciła rachunki i robiła zakupy, już dawno znalazłyby się na bruku. Ale Nicole nie narzekała. Co prawda są tylko we trzy, lecz i tak są prawdziwą rodziną, niechby ktoś spróbował w to wątpić. Nicole zdawała sobie sprawę, że matce nie było łatwo ją wychowywać, mężczyźni unikali samotnej matki jak ognia. Tylko raz wydawało się, że do Sandry uśmiechnęło się szczęście - gdy poznała ojca Pammy. To był fajny facet, wspominała Nicole. Ale i tak coś poszło nie tak i szybko znowu zostały same.

W przerwie na reklamy Sandra Turner na chwilę wróciła do rzeczywistości.

- Dobrze się bawiłaś, skarbie? - zapytała córkę.

- Świetnie, mamó. A ty? Wygrałaś coś? Sandra uśmiechnęła się promiennie.

- Wyobraź sobie, że tak! Sto funtów! - oznajmiła triumfalnie. - Ufarbuję sobie włosy i kupię nowe buty. Tu niedaleko mają super, takie jak Versace, chociaż to oczywiście podróbka.

- Świetnie, mamó. - Nicole uśmiechnęła się ciepło, a w myślach zastanawiała się, ile godzin nadliczbowych musi wziąć. Opóźniały się z rachunkiem za telefon.

Posiedziała jeszcze trochę z matką, oglądając film, potem poszła spać.

- Ledwie stoję na nogach, mamó - oznajmiła, całując ją na dobranoc. - Babcia pewnie śpi w moim łóżku?

Sandra zagryzła dolną wargę jak skarcona mała dziewczynka.

- Spóźniłam się, a wiesz, że babcia nie lubi jeździć taksówkami po jedenastej. Możesz spać ze mną - zaproponowała ochotczo.

Nicole zajrzała do kuchni, żeby się upewnić, czy wszystko jest wyłączone, i poszła na górę. Minęła swoją sypialnię i zajrzała do Pammy. W pokoju królowała lalka Barbie. Nicole kupiła młodszej siostrzyczce chyba wszystkie dostępne akcesoria dla Barbie. Na palcach podeszła do łóżka i spojrzała na małą. We śnie Pammy wyglądała jak mały aniołek; złote loki rozsypane na poduszce, pulchne dziecięce policzki. Miała dopiero pięć lat. Nicole ją uwielbiała. Poczowała wyrzuty sumienia, gdy przypomniawszy sobie, co powiedziała pijanemu panu młodemu: że chciałyby mieć własne mieszkanie i nikim się nie opiekować. Ale bardzo tęskniłyby za Pammy. I za mamą. Babcia w kółko powtarza, że piąta klepka Sandry trzyma się na ostatnim gwoździu, ale to nieważne. Jest dobrą matką i stara się jak umie. Nicole jest za nią odpowiedzialna, i tyle.

Pammy obudziła ją o wpół do siódmej. Wgramoliła się na podwójne łóżko i zaczęła podskakiwać. Sandra tylko szczerzej otuliła się kołdrą.

- Nicole, obudź się! - wołała Pammy, próbując połaskotać starszą siostrę.

- Chodź no tu, maluchu! - Nicole zaryczała jak najprawdziwszy tygrys, wciągnęła Pammy pod kołdrę i łaskotała bezlitośnie.

- Puść! Puść! - Pammy chichotała jak szalona.

- O nie! Złapał cię tygrys! - ryknęła Nicole. - Wrrr, wrrr... nie ma to jak smakowita mała dziewczynka na śniadanie... wrrr, wrrr...

Jeszcze trochę powarczała, a potem puściła Pammy, wstała energicznie i wzdrygnęła się, czując chłodne powietrze. Włożyła szlafrok matki i zeszła z siostrą do kuchni, żeby przygotować jej śniadanie.

Za kwadrans ósma zdążyły już zjeść i ubrać się. Nicole w biegu zaniósła babci filiżankę herbaty.

- Dziękuję, kochanie. - Reenie Turner usiadła na łóżku wnuczki. -Dobra z ciebie dziewczyna.

- Szkoda, że się wczoraj nie widziałyśmy, babciu - Nicole uśmiechnęła się. - Za to pogadamy w niedzielę. Obudź mamę przed wyjściem. Idzie dziś na dziesiątą.

Puściła mimo uszu chrząknięcie babci, pełne dezaprobaty. Choć matka i córka, Reenie i Sandra Turner różniły się jak ogień i woda. Utrzymywanie między nimi poprawnych stosunków wymagało nie lada wysiłku. Reenie nie podobało się, że Sandra pracuje jako manikiurzystka na zmiany i że Nicole zajmuje się Pammy jak własnym dzieckiem. A Sandra nie znosiła, kiedy Reenie komentowała jej przelotne romanse.

- Raz na sto lat, powtarzam, raz na sto lat umawiam się na drinka z fajnym facetem i tyle. To, że mam dzieci, nie znaczy, że muszę żyć jak zakonnica!

- Do zakonnicy to ci daleko - prychała Reenie.

Nicole bardzo się nie podobało, że babcia krytykuje matkę. Owszem, mama jest rozrzepana i naiwna, ale naprawdę bardzo się stara i dobrze wychowuje. Właściwie zanim poznała ojca Pammy, z nikim się nie spotykała.

Pammy biegła koło siostry, nuciła coś pod nosem. Bardzo szybko polubiła szkołę, co Nicole ogromnie cieszyło. Tylko pierwszego dnia drżała jej dolna warga, gdy Nicole zostawiła ją pod opieką pani Wishnu; później szła do szkoły z radością. Panna Wishnu była młoda i kochana, dzieci za nią przepadały.

Nicole odstawiła do szkoły Pammy i jej plecak w pokemony i dopiero wtedy pobiegła na przystanek. Musi się pospieszyć, jeśli chce zdążyć na autobus za pięć ósma. Po pięciu przystankach w tłoku udało jej się usiąść. Włączyła przenośny odtwarzacz i wbiła wzrok w okno.

Lubiła takie chwile w autobusie, mogła słuchać sobie muzyki, nie odzywając się do nikogo; samotna wśród tłumu.

Towarzystwo Ubezpieczeniowe Copperplate tętniło życiem jak co piątek; w stołówce snuto radosne plany: jeszcze tylko kilka godzin i zacznie się weekend. Dziewczyny umawiały się na wspólne zakupy, rozważały, do jakiego klubu warto pójść wieczorem.

Nicole usiadła w kącie dla palących z filiżanką herbaty. Machinalnie przeglądała gazetę, którą ktoś zostawił na stoliku. Zatrzymała się przy horoskopach. To dobry dzień dla Lwów, wyczytała. Przygotuj się na oszałamiające nowiny. Twoja reakcja okaże się bardzo ważna, ale pamiętaj, nie podejmuj pochopnych decyzji.

Oszałamiające nowiny? Może ją wywałą z pracy, pomyślała i zapaliła następnego papierosa, chociaż wcale nie miała na niego ochoty. Do stołówki wbiegła Sharon, wyraźnie podekscytowana.

- Nie uwierzysz własnym uszom! - wrzasnęła do Nicole.

- Mamy wolny dzień? - podsunęła przyjaciółka. - Sinclairowa wpadła pod ciężarówkę? Zaręczyłaś się z Leonardem di Caprio?

Sharon przycupnęła na sąsiednim krześle i podała jej małą, niechlujną wizytówkę.

- Jeszcze lepiej - zapewniła.

- Dickie Vernon, menedżer. - Nicole przeczytała na głos. - Co to ma znaczyć?

Sharon promieniała.

- Wczoraj wieczorem słyszał, jak śpiewasz Pod Czerwoną Papugą. Jest menedżerem jakiegoś znanego zespołu, nie pamiętam jakiego. W każdym razie chce ciebie! - Sharon nie posiadała się z radości. - Uważa, że masz świetny głos i możesz zostać gwiazdą! Wyobrażasz to sobie?

Nicole parsknęła śmiechem.

- To szaleństwo.

Sharon tylko spojrzała znacząco.

Nicole jeszcze nigdy w życiu nie była równie zdenerwowana. Drżącymi rękami zdarła celofan z paczki papierosów. Musi się wziąć w garść, inaczej będzie sztuczna jak marionetka. Głęboko zaciągnęła się rothmansem i czekała, aż nikotyna zacznie działać. Udało się. Świetnie. Przykucnęła i oparła się o ścianę. Odetchnęła z ulgą, ale błyskawicznie zerwała się na równe nogi; strasznie tu brudno. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio sprząтали. Można się zarazić jakimś paskudztwem od samego opierania się o ścianę.

Dickie tyle opowiadał o małym studiu nagraniowym przyjaciela; Nicole wyobrażała sobie, że wybierają się co najmniej na Abbey Road. Tymczasem znalazła się w Guildford, w starym zniszczonym budynku. Małe studio sprawiało wrażenie, jakby ostatni raz używano go w latach sześćdziesiątych. A wyposażenie wydawało się jeszcze starsze, jak z muzeum.

Dobrze chociaż, że właściciel okazał się w porządku: był to chudy sympatyczny facet. Nie krzyczał na nią, a to już coś. Nicole bardzo się denerwowała, że wybiera się sama z Dickiem.

- A jeśli to gwałciciele, którzy wabią dziewczyny pod byle pretekstem? - denerwowała się Sharon. - Nie, pojedę z tobą, przynajmniej udzielię ci moralnego wsparcia.

Nicole jednak uparła się, że do studia pojedzie sama.

- Jeśli obie udamy we wtorek, że jesteśmy chore, Sinclairowa coś zwęszy. Nie jest głupia - zauważyła. - Nic mi nie będzie. Na wszelki wypadek wezmę scyzoryk.

- O ile pamiętam, ułamało ci się ostrze - zauważyła Sharon.

- Wydlubię im oczy korkociągiem - prychnęła Nicole. Naprawdę miała scyzoryk w torebce, ale chyba nie będzie zmuszona

go użyć. Co prawda Dickie wygląda na oślizgłego typu, ale zdaje się, że naprawdę interesuje go jedynie jej głos.

- Nie powinnaś palić - oburzył się, kiedy po raz pierwszy zobaczył Nicole z papierosem, siódmym z wypalanej codziennie paczki.

- A co cię to obchodzi? Nie jesteś moją matką - warknęła.

- Chodzi o twój głos. Piosenkarze nie palą - wyjaśnił.

A figę, pomyślała Nicole, zgasła niedopałek i zaraz wyjęła następnego papierosa z paczki. Musi palić. Gdyby nie nikotyna, nie mogłaby śpiewać.

Przygotowała sobie słowa i nuty piosenki Whitney Houston; nie umiała wprawdzie czytać nut, ale zawsze to lepiej wygląda.

Dickie wrócił do studia.

- Wszystko gotowe - zapewnił. - Jeszcze tylko jedno. - Nonszalancko podał Nicole arkusik papieru. - Musisz to podpisać, żeby wszystko było zgodnie z prawem. - Podał jej długopis.

Nicole poczuła, że zadrżały jej kąciki ust. Naprawdę ma ją za taką idiotkę? Owszem, ryzykowała, idąc z nim do studia, ale to nie znaczy, że jest kretynką, która w ciemno podpisze jakikolwiek dokument. I to pewnie taki, który po wsze czasy daje mu prawo do decydowania o niej i jej nienarodzonych dzieciach?

Posłała mu spojrzenie jelonka Bambi: szeroko otworzyła oczy i mrugała powoli, jakby nawet to powodowało u niej bolesny wysiłek umysłowy.

- Podpisać? - powtórzyła. Dickie skinął głową.

- Sama nie wiem... - Nicole nadal patrzyła na niego wielkimi zdziwionymi oczami.

- To zgodne z prawem, nie martw się - zachęcał Dickie.

Wzięła arkusz i przebiegła go wzrokiem. Co ten Dickie sobie myśli, że co ona robi w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Copperplate? Parzy herbatkę? Może i nie zajmuje wysokiego stanowiska, ale w kółko rozmawia z klientami i ma jakieś pojęcie o prawie. Co więcej, umie liczyć o wiele lepiej, niż się Dickie spodziewa. Szybko doszła do wniosku, że pięćdziesiąt procent prowizji dla menedżera to jednak trochę za dużo. Jednocześnie zrozumiała, że błędem było przyjście tutaj. Jeśli naprawdę chce śpiewać, musi podejść do tego inaczej. Złożyła arkusik papieru, schowała do torebki. Dickie przyglądał się jej ze zdumieniem.

-Co... - zaczął.

- Nigdy niczego nie podpisuję przed konsultacją z prawnikiem - odparła z niewinnym uśmiechem.

Pomachała chudemu za szybą.

- Dzięki, ale nie skorzystam.

- Nie możesz! - Dickie w końcu zrozumiał, co się dzieje. - Nie możesz tak po prostu odejść! Zainwestowałem w ciebie czas i pieniądze. Odkryłem cię.

Nicole spojrzała na niego z politowaniem i podeszła do drzwi.

- Mówiłem o tobie ważnym ludziom, ty głupia czarna idiotko! - wrzasnął.

Tu miara się przebrała. Jak on śmiał? Była dumna z hinduskiego dziedzictwa, co prawda niewiele wiedziała na ten temat, ale i tak była dumna. Wściekła, odwróciła się na pięcie. Najchętniej uderzyłaby go w twarz, gdyby duma jej na to pozwoliła, ale nie... Niech on się zachowuje jak śmieć z rynsztoka, ona nie zniży się do jego poziomu.

- Wiesz, Dickie, mam nadzieję, że kiedy będę sławna, pomyślisz sobie, że mogłeś brać w tym udział. - Spojrzała na niego z pogardą. - Niestety, jesteś zbyt zachłanny. A ja będę sławna, zobaczysz. - Z tymi słowami odrzuciła do tyłu piękne długie włosy i wyszła.

Będzie sławna, czuła to. Dickie zrobił jedną dobrą rzecz: uświadomił jej, że chce śpiewać. Nigdy się do tego przed sobą nie przyznawała, a dzięki niemu nabrała przekonania, że może śpiewać i że naprawdę tego chce. Tyle jest mu winna. Może jako rekompensatę pošle mu bilet na swój pierwszy koncert.

Sharon zzieleniała ze złości.

- Co za świnia! - wrzeszczała. - Wiedziałam, że nie jest nic wart! Zabiję go. Albo jeszcze lepiej, naślę na niego brata.

- Nie zwracaj sobie głowy - uspokajała Nicole. - Wolałabym, żebyś mi pomogła przy czymś innym. Muszę nagrać płytę demo i chciałabym

się dowiedzieć, gdzie można to zrobić tanio. I dokąd mam ją potem wysłać. Skup się, Shazz. Co dwie głowy, to niejedna.

Kuzynka współlokatorki Sharon znalazła inżyniera dźwięku, który zgodził się na sesję nagraniową. Wiedział, do kogo wysłać płyty demo, ale uprzedził Sharon, że firmy fonograficzne dostają ich całe tony. Nicole wzruszyła ramionami.

- Zaryzykuję.

Najtaniej było wynająć studio w środku nocy, i tak o drugiej nad ranem dwa tygodnie później Nicole, Sharon i Elaine, kuzynka Sharon, tłoczyły się w studiu Si-borg. Inżynier dźwięku załatwił czterech muzyków, którzy mieli jej akompaniować. Żeby ukryć zdenerwowanie, Nicole szepnęła do Sharon, że chyba nie są to zbyt dobrzy muzycy, skoro zgodzili się grać za grosze w środku nocy. Pieniądze na całe przedsięwzięcie pochodziły z oszczędności Nicole na mieszkanie i denerwowała się, ilekroć przypominała sobie, że wydaje je na coś tak ulotnego.

- Cicho tam - syknął Tommy, inżynier dźwięku. - Bo sobie pójdą. Nie są aż tak zdesperowani.

Zakłopotana, Nicole sięgnęła po papierosa. Tutaj nikt na nią krzywo nie patrzył. W Si-borg to niepalący budzili zdziwienie. Muzycy, inżynier, ba, nawet recepcjonista palił jak wariat i w całym pomieszczeniu kłębił się dym. Ściany pokrywał waniliowy nalot - pamiątka po latach nocnych sesji z udziałem marlboro.

Pierwsza godzina okazała się dla Nicole koszmarem. Zawsze śpiewała od razu, z marszu, na karaoke albo w swoim pokoju, i przeszkadzało jej, że muzycy się rozgrzewają, urywają w połowie utworu, klną przy nieudanym riffie i złością się, że grają nieznane piosenki.

- Co jest? - zapytała Tommy'ego szeptem.

- Whitney Houston i Sade to nie ich klimaty - odparł. - Gdybyś zaśpiewała coś ostrzejszego, ożywiliby się w mgnieniu oka.

- No bomba. - Nicole pobiegła do łazienki. Oparła czoło o lustro i znużona zamknęła oczy. Nic nie szło tak, jak sobie wymyśliła. Posłuchała rady Tommy'ego i zdecydowała się na cudze piosenki, a nie własne kompozycje - twierdził, że najważniejszy jest jej głos i przy znanych utworach łatwiej go ocenić.

Tak się cieszyła na myśl o pracy z prawdziwymi muzykami. Wyobrażała sobie, jak czysto wyśpiewuje jedną piosenkę po drugiej, a całe studio słucha z zachwytem.

Tymczasem bolało ją gardło - za dużo papierosów i śpiewania. Żałowała, że założyła obcisłe różowe dżinsy i buty na wysokich obcasach. Napięcie przedmiesiączkowe dawało jej się we znaki, była opuchnięta i rozdrażniona. Po co w ogóle to robi? Chyba zwariowała. To, że nie fałszuje, jeszcze nie znaczy, że jest drugą Mariah Carey. Może najlepiej będzie wysłać wszystkich do domu?

-Nicole! - Sharon wbiegła do obskurnej łazienki. W jednej ręce miała puszkę piwa, w drugiej grubego skręta, który, Nicole mogłaby przysiąc, zawierał nie tylko tytoń. - Wspaniale, co? Słuchaj, oni cię kochają! Słyszałam, jak basista rozmawiał z Tommym! Powiedział, że masz świetny głos, i pytał, czy może szukasz zespołu?

Nicole wyprostowała się i zamrugała szybko. W zaczerwienionych oczach malowało się zmęczenie.

- Co mówili?

- Że jesteś super! Że masz zadatki na gwiazdę - paplała Sharon. -Cóż, ja to wiedziałam od dawna, ale dobrze, że sami się zorientowali, co? - Wdała się w długą opowieść o basiście, który zapewniał, że Nicole będzie megagwiazdą.

Nicole słuchała jednym uchem, wpatrzona w swoje odbicie. Mimo zmęczenia był w jej twarzy jakiś blask. Uśmiechnęła się i nagle znużenie znikło bez śladu. Zadatki na gwiazdę, tak?

- Masz może przy sobie czerwoną szminkę? - zwróciła się do przyjaciółki. - Wyglądam jak żywy trup, a zostawiłam torebkę na dole.

Sharon buszowała przez chwile w przepastnej torbie i triumfalnie wyciągnęła rzeczoną szminkę.

Nicole starannie pomalowała usta, chociaż drżały jej ręce. Przy drobnej ciemnej twarzy, rozświetlonej kocimi oczami, czerwone usta wyglądały rewelacyjnie. Kusząco i tajemniczo. Komicznie wydeła wargi.

- Uważajcie, nadchodzę - zażartowała z szerokim uśmiechem.

Rozdział 6

Zobaczycie, będzie wspaniale - zapewniał Dan na pożegnalnym przyjęciu dla Parkerów, dwa dni przed wyjazdem Matta do Irlandii. -Sądząc po opisach Matta, Irlandia jest fantastyczna.

- Wszyscy wam zazdrościmy - powtarzała Betsey. Z trudem trzymała się na nogach, bo właśnie wróciła z Londynu, z akcji promocyjnej

nowych perfum, i zalała się darmowym szampanem. Oczywiście spowijał ją dławiący obłok nowego zapachu. - Będziecie się świetnie bawić.

Hope miała taką nadzieję, chociaż po ostatnich stresach - musiała spakować cały dom i złożyć wymówienie w pracy - wolałaby tydzień na farmie piękności.

- Odezwiesz się, prawda? - dopytywała się Yvonne. O dziwo, na myśl o rozstaniu z Hope miała łzy w oczach. — Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Hope uściskała ją serdecznie.

- Oczywiście, będę się odzywała. Zresztą ani się obejrzysz, a wrócę. Poza tym odwiedziwasz nas. Matt mówi, że tam jest pięknie.

Z rozmarzeniem opowiadał, jak wygląda Atlantyckie wybrzeże w promieniach słońca, mewy krzyczą miarowo, dostojnie. Podobno Redlion leży w zacisznej dolinie, która osłania wioskę przed gwałtownymi wiatrami. „Sielanka”, powtarzał.

W tej chwili jednak nic nie zapowiadało tej sielanki. Hope powoli dochodziła do wniosku, że Matt miał kiepski pomysł, kiedy zdecydował, że pojedzie jej samochodem, a ona i dzieci dolecą samolotem. Podróżowanie z dziećmi to istny koszmar. Przydałby się teraz ktoś do pomocy, ktoś, kto podtrzymałby ją na duchu i powiedział, że ten deszcz kiedyś wreszcie przestanie padać.

Matt jednak upierał się, że pojedzie pierwszy i doprowadzi domki do porządku - zdaniem prawnika był trochę zaniedbany. Poza tym chciał jak najszybciej poznać innych pisarzy, związanych z centrum pracy twórczej. I jak najszybciej zacząć pisać.

Hope siedziała za kierownicą i próbowała się skoncentrować, ale przy akompaniamencie wrzasku Millie nie było to łatwe. Miała serdecznie dość tej podróży. Odkąd wylądowali, wszystko szło jak po grudzie. Na lotnisku już doszła do rozpaczliwego wniosku, że ich bagaż zaginął, gdy wreszcie pojawiło się wszystkie pięć walizek. Z trudem przedarła się przez małe, ale niewiarygodnie zatłoczone lotnisko i odebrała z wypożyczalni ciężki, masywny wóz z napędem na cztery koła. Bo jakby nie dość było kłopotów, wczoraj zadzwonił Matt, że po nich nie przyjedzie. Zepsuł mu się samochód.

Zdażyła jeszcze spakować walizki do bagażnika, zanim Millie wpadła w histerię. Na nic się zdały wizyta w toalecie, całusy, objęcia i zakup pluszowego misia w wełnianym sweterku. Millie postanowiła być w złym humorze i koniecznie chciała to pokazać wszystkim dokoła, aż grupa starszerek przy autokarze posyłała Hope znaczące spojrzenia, jakby mówiły: „wyrodna matka”.

Millie była w szczytowej formie: szlochała i wrzeszczała przez bitą godzinę, podczas gdy jej biedna matka starała się wyczytać z mapy, dokąd właściwie jedzie i jak się wydostać z Killarney. Jak zauważyła Hope, miejscowi zachowywali się na drodze ze zdumiewającą nonszalancją. Włazili prosto pod koła, nie rozglądając się na boki, jakby nieświadomi, że rozpędzony samochód może być śmiertelnie niebezpieczny. Irlandczycy są szaleni, pomyślała pośpiesznie.

Toby siedział spokojnie z tyłu. Millie, szczęśliwa, że w wynajętym samochodzie nie ma fotelików dla dzieci, wierciła się na swoim siedzeniu, aż Hope zatrzymała się i mocniej przypięła ją pasem bezpieczeństwa. Odpowiedzią była nowa seria wściekłych wrzasków.

W końcu Hope miała tego wszystkiego dosyć. Deszcz wreszcie przestał padać, wszystkim dobrze zrobi odrobina świeżego powietrza. Niedaleko Killarney zatrzymała samochód na poboczu, wysiadła i wypuściła dzieci.

Było chłodno, wilgotne powietrze skraplało się na włosach, ale Millie nie zwracała na to uwagi. Szczęśliwa, że nic jej nie krępuje, podbiegła do drewnianego płotu, za którym spokojnie pasło się stadko biało-czarnych krów.

- Krowy - oznajmiła radośnie, jakby właśnie odkryła nowy, nieznany gatunek.

Toby nerwowo przywarł do matki. Bał się dużych zwierząt; kiedy zabrali go do zoo, na widok słoni wpadł w histerię. Millie natomiast trzeba było siłą odrywać od klatek z szympanсами, wisiała na prętach i kusiła mały lodami waniliowymi.

- Już dobrze, kochanie. - Hope wzięła Toby'ego na ręce. - Nic ci nie robią. Są bardzo miłe.

Krowy chyba pragnęły to udowodnić; podbiegły do płotu żwawym truchtem, zaintrygowane pojawieniem się intruzów.

Millie zapiszczała z radości. Toby mocniej objął Hope za szyję.

- Mamusiu, my też będziemy mieć krowy? - dopytywała się Millie. Hope nie miała zielonego pojęcia. Może Gearóid hodował krowy, ale

Mart o tym nie wspominał. Zapamiętał posiadłość wuja Gearóida jako przytulną zagrodę z krzewami róż i zarośniętym ogrodem od frontu. O innych szczegółach wyrażał się dosyć mgliście, choć prawnik wymienił cztery sypialnie, kuchnię z prawdziwym piecem i łazienkę ze staroświecką wanną na mosiężnych lwich nóżkach. Brzmiało to wspaniale. Cóż, opowieści o średniowieczu też brzmiały wspaniale, dopóki nie wspomina się o braku dentystów i kobietach umierających w połogu. Hope tęsknie pomyślała o nowiutkiej, dopiero co spłaconej zamrażarce i jacuzzi w domu,

w Bath; kiedy się je włączy na pełny regulator, masz wrażenie, że kłują cię miliony cieniutkich igiełek. Nie łudziła się, że w skromnym wiejskim domu czekają ją takie luksusy. Ale z drugiej strony nigdy nic nie wiadomo. Może wuj Gearoid uwielbiał nowinki techniczne, miał nowoczesny sprzęt w kuchni i zafundował sobie ogromne jacuzzi. „Tajemnica pociąga”, tłumaczył Matt przed wyjazdem.

Niestety, przez telefon Matt nie zdradził żadnych szczegółów - ograniczał się do romantycznych opisów; jakby nie obchodziły go takie przyziemne drobiazgi, jak stan łazienki czy wyposażenie kuchni. Chyba tylko mężczyzn pociąga tajemnica, bo kobiet zdecydowanie nie, stwierdziła Hope.

- Jest tu tak dziko - zachwycał się wczoraj wieczorem. - Zobaczysz, będziesz zadowolona.

No tak, ale ten sam Matt kupił jej kiedyś na urodziny czarne koronkowe stringi i też był przekonany, że Hope się zachwyci. Sam zapewniała, że po dwóch tygodniach w stringach nie spojrzy więcej na zwykłe majtki. Hope dała sobie spokój po dwóch dniach.

Dobrze, że mają dom w Bath. Gdyby wiejska idylla okazała się ponad jej siły, zawsze może uciec z powrotem do miasta. Co prawda wynajęli dom na rok, ale dobry prawnik na pewno znajdzie sposób, żeby zerwać umowę. W końcu od czego są prawnicy?

- Chodźcie! - zawołała sztucznie pogodnym głosem. - Wracajmy do samochodu, jeszcze troszeczkę i będziemy w naszym nowym domku!

Dzieci wsiadły. Hope dziękowała Bogu, że dały się nabrać na jej fałszywy entuzjazm. Ruszyli w dalszą drogę. Patrząc przez okno, wmawiała sobie, że krajobraz wcale nie jest ponury. Piękny jest z pewnością; fioletowe góry na horyzoncie, pokryte warstewką wilgotnej mgły jak lukrem. I rzeczywiście, wszędzie tu zielono, ale tak smutno. Zupełnie inaczej niż w jej przewodniku pełnym jasnych, słonecznych zdjęć.

Jak na razie nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek świeciło tu słońce. Owszem, lubi wieś i lasy, ale od święta; pochodzić po lesie, popatrzeć na zachód słońca i wrócić do ciepłego, luksusowego hotelu.

Ale izolacja na stałe? To co innego. Przyroda dokoła wydawała się taka... nieujarzmiona. W okolicach Bath także było zielono, lecz roślinność była tam bardziej cywilizowana, oswojona. A tutaj pola ciągną się jak okiem sięgnąć, dzielają niskie kamienne murki i żywopłoty. Nawet kierowcy zachowują się jak wariaci; mało brakowało, a zepchnąłby ją z drogi śmieszny mały staruszek w półciężarówce, tak niski, że zza deski rozdzielczej wystawał mu tylko czubek głowy. Na wąskiej krętej szosie

wyprzedziło ją z pół tuzina sportowych wozów; kierowcy wyraźnie się złościли, że muszą się ciągnąć w przepisowym tempie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Na małym skrzyżowaniu bez choćby jednego znaku drogowego jeszcze raz zerknęła na mapę. Ma skręcić w prawo i po kilku kilometrach dojedzie do miasteczka. Jechała powoli, aż zobaczyła pierwsze domy.

- Urocze, staroświeckie miasteczko - zapewniał Matt, gdy opowiadał o Redlion.
- Rzeczywiście urocze - zachnęła się teraz Hope.

Musi skręcić, zanim dojedzie do głównej ulicy, więc tym razem nie obejrzy całego miasteczka, ale z tego co widziała, opisy Matta były dalekie od prawdy. Dostrzegła rząd małych domków, odrapany pub, miniaturową pocztę, sklep spożywczy z kratami w oknach i wypożyczalnię przyczep kempingowych z szyldem zwisającym smętnie na jednym gwoździu. Niemożliwe, żeby to było tutaj, Matt się przecież zachwycał miasteczkiem. Dojechała do kamiennego mostu. Przy moście stał wiekowy zielony zbiornik na wodę. Matt wspomniał o moście i o zbiorniku, teraz trzeba skręcić w lewo i krętą szosą dojechać do nowego domu. Wszystko stało się jasne; jej nowy dom jest tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

W coraz gorszym humorze, z narastającym złym przeczuciem, Hope jechała wyboistą polną drogą. Na środku rosła bujna trawa, koła co chwila wpadały w kałuże. Czowała się tak samo jak pierwszego dnia w prawdziwej szkole; troszkę się cieszyła, że już jest duża i chodzi do szkoły, była bardzo dumna z nowego mundurka, a jednocześnie umierała ze strachu na myśl o spotkaniu z dziewczynkami z normalnych rodzin. Bo ona i Sam były jak jakieś dziwadła, nie miały ani mamy, ani taty, tylko starą ciotkę dziwaczkę.

Skręciła, minęła potężne, powykęcane drzewo, i wtedy go zobaczyła. Swoją nowy dom.

Na pierwszy rzut oka wydawał się całkiem w porządku. O ile przedmieścia Redlion wyraźnie naraziły się Stwórcy i zemścił się brzydota, chatka wuja Gearóida uniknęła tego losu. Domek był prześliczny, mały, skromny, przysiadł wśród traw i chwastów, jakby czekał na swoich mieszkańców - siedmiu krasnoludków. Uroczy, poczynając od małych okienek z drewnianymi okiennicami, po masywne drzwi z żelazną zasuwą. Piękne pnące róże, o których Matt rozprawiał do znudzenia, chyba dawno ścięto, zresztą był grudzień, kwiaty jeszcze długo nie zakwitną.

lecz tylko to się nie zgadzało. Oczywiście, domek jest troszkę zaniedbany, ale czego innego się spodziewać, skoro od lat mieszkał tu samotny staruszek?

Oddechnęła z ulgą. Dokładnie w tej chwili niewidoczny kogut ogłosił, że to jego teren i mają się wycofać, jeśli nie chcą mieć kłopotów. Dzieci wrzasnęły jednocześnie: Toby ze strachu, Millie z radości.

- Wypuść mnie, mamusiu - błagała. Wyłaziła ze skóry, chciała wszystko dokładnie obejrzeć, teraz, natychmiast.

Kogut zapiał ponownie.

Bojowy chłopak, pomyślała Hope. Dobrze, że wraca jej poczucie humoru.

Przestało padać, więc wypuściła dzieci z samochodu, ale uprzedziła, że mają się trzymać blisko niej. Toby'emu nie trzeba było tego, dwa razy powtarzać, kurczowo przywarł do jej nogawki, Millie natomiast wystrzeliła jak z procy na poszukiwanie koguta.

- Wracaj natychmiast! - krzyknęła nerwowo Hope, typowa miejska matka. - I to już!

Millie znalazła się na tyle blisko, że zdążyła złapać ją za kaptur. Nie wypuszczała go z garści i tak szli do drzwi wejściowych; Millie szarpała się wściekle, Toby nerwowo ssał palec.

- Gdzie tatuś? - zainteresowała się Millie.

Dobre pytanie, pomyślała Hope. Miała nadzieję, że będzie na nich czekał, że powita ich z otwartymi ramionami, powie, że bardzo tęsknił. Chyba naoglądała się za dużo telewizji. Tylko w cikliwych melodramatach i serialach mężowie się tak zachowują. W życiu raczej rzadko, chyba że umierają z głodu, a żona właśnie wraca z supermarketu.

Zapukała do drzwi. Zero odzewu. Po chwili wahania nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem starych zawiasów. Wejść czy nie? Zastanawiałaby się pewnie dłużej, ale grzmoty i chmury pomogły jej podjąć decyzję. Najwyraźniej niebo uznało, że przerwa w deszczu była wystarczająco długa.

Lunęło jak z cebra.

- Ale fajnie, co, dzieciaki? - zaczęła, wchodząc z dziećmi do środka.

Wnętrze w niczym nie przypominało domku krasnoludków. Pierwsze, co do Hope dotarło, to zimno. W samochodzie było ciepło, więc na dworze początkowo nie odczuwała chłodu. Za to teraz listopadowe zimno dopadło ją jak powiew Arktyki. Kamienne podłogi, kamienne ściany i brak jakiegokolwiek źródła ciepła; nic dziwnego, że w domku było zimno i wilgotno. Spodziewała się przestronnego pokoju z rustykalnymi meblami ręcznej roboty i koronkowymi zasłonkami w oknach, a zastała

zimną, pustą izbę bez zasłon. Całe umeblowanie stanowił mały stolik i dwa wiekowe zaplamione fotele.

Hope mocniej ścisnęła rączki dzieci i rozejrzała się z przerażeniem. Przecież tutaj nie można mieszkać, ostatni remont miał miejsce lata temu, brud był wszędzie. Pajęczyny, malowniczo rozpięte pod sufitem, stanowiły najmniejszy problem. Matt zmusił całą rodzinę do przeprowadzki, ale nowy dom nie okazał się uroczą wiejską chatką, tylko zaniedbaną rudera. Chciało jej się płakać. W tej chwili usłyszała warkot silnika i trzaśnięcie drzwi.

-Millie! Toby! Przepraszam za spóźnienie, kochanie! Zagadałem się!

- Matt jak burza wpadł do środka. Mokra włosy przylegały do czoła, miał na sobie nieznana jej brązową marynarkę, sztruksy poplamione błotem, kalosze i szeroki uśmiech na twarzy.

Cmoknął Hope w policzek i porwał dzieci na ręce.

- Tęskniliście za tatusiem? - dopytywał się.

- Tak - zapewniła Millie ochryple. Ukryła główkę na jego ramieniu.

- Bardzo, bardzo, bardzo - podkreśliła te słowa, szeroko rozstawiając rączki.

Hope nie zakłóciła idylli, choć niewiele brakowało. Już się czuła jak wredna czarownica, która przekonuje Śnieżkę, że nie warto zadawać się z siedmioma małutkimi facetami, bo oni po prostu szukajątaniej gosposi.

- Matt - zaczęła, siląc się na spokój, żeby nie denerwować dzieci. -Musimy porozmawiać o tym domu.

- Jest uroczy, prawda? Taki sielski - rozpromienił się.

- Słucham? - W jej ton wkradły się nuty goryczy.

- No wiesz, taki staroświecki - wyjaśnił radośnie.

-I do tego brudny, zapuszczony i absolutnie nieodpowiedni dla małych dzieci - warknęła. Zmęczenie i irytacja wzięły górę. - Że już nie wspomnę o zimnie. Zamarzniemy tu. To rudera. Chyba tu nie mieszkasz?

- No nie, zatrzymałem się u Finuli. Zdaję sobie sprawę, że czeka nas dużo pracy, przepraszam, jeszcze się za to nie zabrałem, ale pomyślałem, że na kilka dni wystarczą nam przenośne piecyki, a już w poniedziałek...

- Matt, czy to znaczy, że jeszcze nie powiedziałeś Hope, że to miejsce nie nadaje się do zamieszkania? - odezwał się niski kobiecy głos. -Cóż za odwaga. Brawo.

Oboje odwrócili się do drzwi. Kobieta stała w drzwiach. Była wysoka, pulchna, uśmiechała się szeroko. Miała na sobie chyba całą kolekcję Laury Ashley. Hope wydało się, że widzi obszerne spodnie, szeroką spódnicę i ogromną koszulę, wszystko różowo-kwiaciaste. I do tego chusta w szkocką kratę.

-Hope, to Finula Headley-Ryan, dobry duch artystycznej społeczności Redlion, kobieta, która bez wahania przyjęła mnie do wspólnoty pisarskiej.

- Ho-ho! - Finula udawała, że zawstydziły ją jego słowa, ale była wyraźnie zadowolona. - Jestem tylko starą babą.

Podeszła do Hope i wyciągnęła dłoń pokrytą licznymi piegami i ozdobioną równie licznymi złotymi pierścionkami. Odrapany czerwony lakier na długich paznokciach nieco psuł efekt.

- Pewnie nie przypadnie ci do gustu nikt, kogo poznasz w tej stajni Augiasza-zaczęła niskim, gardłowym głosem. -Matt, ale z ciebie tchórz! Jak mogłeś jej nie powiedzieć, że to miejsce nie nadaje się do mieszkania? Biedaczka na pewno się przeraziła, kiedy tu weszła. Jak tak można?

- Bałem się, że w ogóle nie będzie miała ochoty tu przyjeżdżać -wyjaśnił z promiennym uśmiechem. - Wiesz, Hope - zwrócił się do niej pospiesznie - robotnicy wejdą już w poniedziałek.

- Ale do tego czasu dzieci nie mogą tu zostać. - Hope nie lubiła ujawniać uczuć wobec obcych, lecz złość brała górę. - Idziemy do hotelu.

- O, nie ma mowy! - oburzyła się Finula. - Zatrzymacie się u mnie. Jedyne hotel w okolicy to pięciogwiazdkowy pałac, wydalibyście fortunę. Chętnie was przyjmujemy. Za kilka dni ten domek będzie jak nowy. Na razie rzeczywiście nie nadaje się dla dzieci. - Pochyliła się i pogłaskała Millie po policzku.

Zazwyczaj córeczka złościła się, gdy dotykali jej obcy, ale teraz uśmiechnęła się promiennie.

- Uroczą - westchnęła Finula. - Mój Cormac ma już dwanaście lat, jest za stary na pieczyoty, ale w tym wieku dzieci są takie słodkie.

Hope pomyślała o dzikich awanturach, jakie Millie urządzała w drodze z lotniska, i uśmiechnęła się pod nosem. Jasne, słodziutkie.

- A teraz chodźcie - zarządziła Finula.

Po chwili Hope i dzieci siedzieli w sfatygowanym kombi.

- Matt pojedzie twoim samochodem - zdecydowała Finula i nacisnęła pedał gazu. - Droga do nas jest bardzo wyboista, zmęczylabyś się.

Wewnątrz kombi było równie zaniedbane jak z wierzchu, na tylnym siedzeniu poniewierały się stare kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy. Śmierdziało psią sierścią i starą gumą.

Jechały wąską krętą drogą. Hope siedziała w milczeniu. Była zmęczona podróżą i wściekła na Matta. Chyba sobie nie wyobrażał, że zamieszkają w takiej ruderze? Finula natomiast gadała bez przerwy. Na szczęście nie oczekiwała odpowiedzi.

- Jest nas tu siedemnaścioro, to znaczy na stałe. Głównie artyści plastycy, ale mamy trzech pisarzy i dwóch poetów. Na pewno słyszałaś o Maire Nic Chinniede.

Hope nie zdążyła nawet skłamać, że tak, oczywiście, a Finula już mówiła dalej:

- Niewiarygodna poetka, taka liryczna. Jej wiersze o szosie do Killarney sprawiają, że łzy cisną się do oczu. W każdym razie, jak już mówiłam, oprócz tych, którzy mieszkają tu na stałe, jakieś dwieście osób przewija się w ciągu roku i wszyscy świetnie się bawimy. Jestem tu od dziesięciu lat i czuję się już jak stara szafa. Ja i Ciaran - jest pisarzem - pochodzimy z Dublina. Nie wróciłabym tam za żadne skarby świata. Tu, w Redlion, nie ma sklepów całodobowych ani drapaczy chmur.

Hope milczała; nie miałyby nic przeciwko jednym i drugim.

Finula opisała wszystkich artystów, opowiadała, jak się spotykają w centrum pracy twórczej (codziennie, o ile Hope dobrze zrozumiała) i jakie czekają ich tu rozrywki (w sezonie co tydzień uroczyste kolacje i dwa razy do roku warsztaty artystyczne, na które zjeżdżają się do miasta tłumy malarzy i pisarzy). Matt już jej to wszystko mówił, ale wtedy nie odniosła wrażenia, że chodzi o jakąś zwariowaną komunę. Hope denerwowała się coraz bardziej. Ciekawe, czy są tu inne kobiety z małymi dziećmi?

- Tubylcy nie zwracają na nas uwagi, uważają za bandę szalonych artystów - mruknęła Finula.

Hope odnotowała ten fakt z dziwną satysfakcją. Przy niej czuła się jak szara myszka, i tak pewnie wyglądała w swoich spranych dżinsach, granatowym swetrze i starym beżowym żakiecie. Czy będzie musiała nosić powłóczyście szale i dziwaczne stroje, żeby się dopasować?

- Pewnie Matt ci o nas opowiadał - ciągnęła Finula, skręcając w zadbany podjazd.

- Nie wszystko - mruknęła Hope. W duszy przysięgła uroczyście, że nigdy więcej nie wsiądzie z Finulą do samochodu.

Zatrzymały się przed dużym domem ocienionym sosnowym zagajnikiem. W przeciwieństwie do ich chatki był zadbany, czysty i przytulny. Drewniana huśtawka i stare koła od wozu nadawały werandzie styl. Cały dom pasowałby do filmu z Doris Day.

- Chodźmy do środka, niech maluchy coś zjedzą - zarządziła Finula.

Dom był dokładnie taki, jak Hope sobie wyobrażała wiejską siedzibę. Stary, ale przytulny; wszędzie stały miękkie kanapy, na kamiennej podłodze leżały kolorowe chodniczki, obrazki i zdjęcia ożywiały wnętrze. Kuchnia wyglądała jak żywcem wyjęta z telewizji, z jakiegoś *Gotuj*

z nami; złociste drewno i pękate miedziane kociołki na ścianach. Hope zawsze marzyła o takiej staroświeckiej kuchni.

- Zdaję sobie sprawę, że na początku przeprowadzka na wieś to szok - papłała Finula, gdy już usadziła Hope i dzieci przy wielkim drewnianym stole. Postawiła przed nimi jogurt i sok jabłkowy, wszystko domowej roboty, dla dzieci, i czerwone wino dla Hope, na szczęście już z sklepu. - Ale to wspaniałe dla dzieci, wiesz: świeże powietrze, zdrowe jedzenie i życie na łonie przyrody. Tutaj możesz je sama wychowywać, być z nimi przez cały czas. W mieście tak się nie da. Poza tym tu nie ma zboczeńców, złodziei i włamywaczy.

Hope upiła łyk wina i zastanawiała się, w jaki sposób tubylcy odstraszą zboczeńców, złodziei i włamywaczy. Czyżby otoczyli miasteczko drutem kolczastym?

- Ja osobiście uważam, że nie można do końca ufać tym degeneratom, hipisom, którzy mieszkają tam dalej - dodała Finula z goryczą. - Ale do tej pory nie spotkało nas z ich strony nic złego. Matt opowiadał, jak się cieszysz na czas spędzony razem z dziećmi i że masz już po dziurki w nosie wyścigu szczurów.

Zdumiewające, że Matt tak swobodnie o wszystkim opowiada. Finula wiedziała o niej już chyba wszystko. Ciekawe, czy wspomniał także o bolesnych miesiączkach i depresji poporodowej, gdy długo nie miała ochoty na seks. W końcu to istotne elementy ich portretu psychologicznego.

- Poczekaj, aż odkryjesz, jaka to frajda uprawiać własne warzywa - zachwyciła się Finula.

Nie była to odpowiednia chwila, by wyznać, że warzywa Hope lubi prosto z supermarketu, a hodowała ostatnio lilię, którą dostała po urodzeniu Toby'ego. Biedny kwiatek usechł, bo zapomniała go podlewać.

- I kury, pokochasz kury - zapewniła Finula. - Staruszek Gearóid miał ładny kurnik, musisz szybko kupić kury. Pomyśl tylko - jej oczy zaszły mgiełką rozmarzenia. - Własne jajka. Ale uważaj na lisy - ostrzegła i pogroziła palcem niebezpiecznym drapieżnikom. - Matt powinien mieć broń. Na lisy, chociaż nie wiem, czy dostanie zezwolenie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Matt strzelał do jakiegoś stworzenia - wyznała Hope.

- Cóż, z złowieniem ryb radzi sobie doskonale, myślałam, że poluje. Hope gapła się na nią zdumiona.

- Łowienie ryb? Nie wiedziałam.

- Kochanie, przede mną nie musisz udawać skromni! - Finula żartobliwie pogroziła jej palcem. - Matt doskonale łąwi. Początkowo się nie

przyznawał, ale szybko to z niego wyciągnęliśmy. Tu, w Redlion, nie mamy przed sobą tajemnic. Zapewne preferujesz zdrową żywność? Ja nie tknę nic innego. A gotowe dania? Fu! - Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Uwierz mi, moja droga, kupne jedzenie to śmierć.

Hope doszła do wniosku, że będzie się musiała zakradać do sklepu pod osłoną zmroku, jeśli zechce kupić, dajmy na to, paluszki rybne, mrożonki czy spaghetti z puszki, ukochane dania dzieci. A może w tutejszym sklepie nie ma takich paskudztw? Może mają tylko tofu, mleko jawa i kiełki soi? I ani śladu chipsów, nutelli czy czekolady? Nagle zamarzyła jej się paczka żelek nafaszerowanych sztucznymi barwnikami i konserwantami. Pycha.

Finula nadal gadała. Czy ta kobieta kiedykolwiek milczy?

- Odkąd tu mieszkamy, Cormac rozwija się zupełnie inaczej. Spędzamy ze sobą dużo czasu. Kiedy pracujesz poza domem, nie ma ku temu okazji - dodała wyniośle.

Hope miała ochotę bronić kobiet pracujących poza domem. Miliony kobiet muszą pracować, nie mają innego wyjścia, cisnęło jej się na usta. A niektóre chcą pracować, chcą robić karierę. To wcale nie znaczy, że ich dzieci na tym cierpią. Milczała jednak. Matt najwyraźniej przedstawił ją jako troskliwą matkę, która wprost nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie rzuci pracę i zajmie się wyłącznie dziećmi. Nie ma sensu tłumaczyć, jak było naprawdę. Więc Hope tylko uśmiechnęła się uprzejmie i zatęskniła za swoją kuchnią w Bath. Och, jakże chciałyby teraz prasować. Wolałyby wyprasować sto koszul, niż siedzieć tu z tą wariatką.

W tym momencie wszedł Matt i ku wielkiemu zdumieniu Hope, zaczął parzyć herbatę. Czuł się swobodnie jak we własnym domu.

- Zanieśliśmy walizki do pokoi gościnnych - oznajmił. - Finula przygarnęła mnie, jak tylko przyjechałem. Jest kochana, prawda? - Poklepał Hope po ramieniu.

- Tak - wycedziła przez zęby.

Po całym dniu podróży Toby i Millie zasnęli bez grymasów. Hope chętnie poszłaby w ich ślady, ale wiedziała, że musi jeszcze przecierpieć kolację.

Ciaran, niski facet w okularach, przygotował swoją specjalność, wołowinę w piwie.

- Będzie ci smakowało - zapewniała Finula. - Kochanie, a to mój Cormac.

Cormac okazał się dużym, ponurym chłopcem. Pochłonał swoją porcję, zanim dorośli sięgnęli po widelce", i natychmiast wstał od stołu.

- Lekcje - wyjaśnił Ciaran.

Brak dobrych manier, pomyślała Hope.

To był dziwny wieczór. Hope obserwowała, jak jej mąż żartuje, pokpiwa z wyścigu szczurów i pracy w reklamie, i cieszy się, że udało mu się z tego wyrwać. Po dawnym Macie, dla którego praca była całym życiem, a pisma branżowe Biblią, nie został żaden ślad.

Obserwowała także, jak zachłannie Finula wpatruje się w jego przystojną twarz. Matt chyba nie zdawał sobie sprawy z jej zachwyty.

- Podoba mi się tu - oznajmił, biorąc Hope za rękę. - Tutaj czuję, że żyję-

Hope odwzajemniła uścisk. Jak dobrze, że Matt znowu się uśmiecha. Może ich małżeństwo jeszcze nie jest stracone. W końcu to tylko rok.

Zdaniem Finuli i Ciarana, tubylcy to straszni nudziarze. Ponieważ Hope nieraz słyszała, jak podobnie mówiono o niej, ogarnęło ją współczucie dla mieszkańców Redlion.

- Próbowałam, uwierz mi - zapewniała Finula nieco bełkotliwie, po szóstej lampce wina. - Chciałam ich wciągnąć w działalność centrum. W czerwcu urządziliśmy tajski wieczór, zaprosiliśmy wszystkich mieszkańców. Ściągnęłam nawet nauczyciela tai chi, żeby im coś pokazać. Ale przyszło tylko kilka osób, a i oni uciekli gdzie pieprz rośnie, ledwie zaczął się pokaz. Chociaż moje krewetki w sosie słodko-kwaśnym im smakowały. Wiesz, ich obchodzą tylko ceny nieruchomości i praca. A przecież wyprowadziliśmy się na wieś, żeby przed tym uciec. Kobiety bez przerwy paplą o kółku makramy. Makramy, dobre, co? Od dwudziestu lat nikt sobie tym nie zawraca głowy.

- Nie wszyscy lubią tai chi - zaoponowała Hope. - Na przykład ja nie. Za to lubię aerobik. Mam nadzieję, że znajdę tu jakiś klub sportowy, inaczej utyję błyskawicznie.

Podniosła wzrok znad tortu beżowego i napotkała zaszokowane spojrzenie gospodyni.

- Aerobik! - Finula powiedziała to słowo z obrzydzeniem, jakby chodziło co najmniej o syfilis. - To nie to samo co tai chi.

- Wiem, wiem. - Hope wycofała się szybko. - Aleja lubię aerobik. Ludzie mają różne upodobania. Nie przekonasz miejscowych do tai chi, jeśli...

Matt ścisnął jej udo pod stołem.

- Hope, kochanie - wyjaśnił - właśnie to jest głównym celem istnienia naszego ośrodka; chcemy pokazać ludziom, że w życiu liczy się coś więcej niż tylko praca.

Powiedział to tak poważnie, że Hope ogarnęły podejrzenia, czy siedzący obok niej mężczyzna to na pewno jej mąż, a nie jego klon. Nic

dziwnego, że tubylcy nie przepadają za artystami. Nikt nie lubi, kiedy mu się daje do zrozumienia, że jest ignorantem.

- Rozumiem - powiedziała cicho.

Zanim wieczór dobiegł końca, Matt wypił tyle wina, że nie było sensu ponownie poruszać tematu chatki i jej opłakanego stanu.

Następnego ranka Hope wstała o siódmej i udała się do kuchni, żeby przygotować śniadanie dla swego energicznego potomstwa. Nie podobała jej się myśl, że będzie się rządzić w cudzej kuchni, ale nigdzie nie było widać Finuli ani Ciarana. Pewnie odsypiają kaca, domyśliła się. Najwyraźniej artystyczne dusze muszą dużo pić.

Ostatnimi czasy ulubionym daniem Millie były płatki śniadaniowe chocapic. Lecz Finula, zgodnie z wyznawaną filozofią, nie miała w domu gotowych produktów. Nie miała nawet zwykłych płatków kukurydzianych, które Hope uważała za bardzo zdrowe pożywienie. Znalazła tylko wielki słój domowego muesli. Wyglądało... cóż, wyglądało jak mysie bobki.

- Ja chcę chocapic - jęczała uparcie Millie. Toby jak zwykle siedział cichutko i oglądał książkę z obrazkami.

- Nie ma chocapic - oznajmiła Hope. Otworzyła kolejną szafkę. Co za ulga: nie znalazła chocapic, ale za to pyszny domowy chleb.

Zjedli na śniadanie kanapki z dżemem. Dzieci piły mleko, Hope kawę.

Później opatulili je ciepło i cała trójka wyruszyła na zwiedzanie okolicy. Wczoraj było zimno i ponuro, ale dziś czekał ich piękny zimowy dzień, chłodny, rześki i słoneczny. Dzisiaj góry na horyzoncie wyglądały malowniczo, nie groźnie, a zamiast wczorajszej szarości Hope widziała dokoła miliony kolorów; ciepłe brązy, głębokie odcienie bordo, stłumioną żółć. Niskie kamienne mury dzielące pola były szare, ale ożywiała je wszechobecna zieleń: zielona była trawa pod kroplami rosy, zielony mech na starych ścianach. Dla malarza to rzeczywiście cudowne miejsce. Głęboko zaczerpnęła powietrza w płuca. W oddali widziała dwa domy, ale Finula nie miała sąsiadów w promieniu co najmniej dwóch kilometrów. To najprawdziwsza wieś.

- Chodźmy - zachęciła dzieci. - Może spotkamy jakieś zwierzęta? Toby nie był tym zachwycony.

- Mamusia weźmie cię na ręce, jeśli się przestraszysz - zapewniła go. - Ale musimy się przyzwyczaić do krów. Może spotkamy cielaczki?

Nie wiedziała, czy to możliwe. Kiedy krowy się cielą? Zimą? A może na Wielkanoc? Nie, chyba pomyliło jej się z owcami. Któż to wie. Wieś jest pełna tajemnic.

Hope trzymała dzieci za ręce i zachwycała się krajobrazem. Na drodze było pełno kałuż po wczorajszym deszczu, Hope i Toby starali się je omijać, a Millie przeskakiwała.

Obok nich przejechał samochód. Kierowca pomachał. Sytuacja powtórzyła się po kilku minutach i wtedy Hope zrozumiała, że tubylcy są uprzejmi i machająwszystkim. Trzecim pojazdem, który ich wyprzedzał, był sfatygowany traktor.

- Pomachajmy - zaproponowała.

- Halo! - zawołali we trójkę.

Farmer nie odrywał dłoni od kierownicy. Spojrzał na nich jak na wariatów.

Natknęli się na stadko krów, brudnych jak nieboskie stworzenia. Właśnie ten brud szczególnie zainteresował Millie.

- To błoto, skarbie - wyjaśniła Hope.

- O rany, patrzcie! - wrzasnęła Millie, gdy jasnobrazowa krowa podniosła ogon w wiadomym celu. - Krowia kupa, mamó! Krowia kupa! Możemy powąchać?

Kiedy wrócili do domu, Finula działała już na pełnych obrotach.

- P.J. Rice przyjdzie o jedenastej, ustalcie z nim, co trzeba zrobić -oznajmiła władczo.

- To budowlaniec? - zainteresowała się Hope, rozpakowując Millie z wielu warstw ciepłego ubrania. Oby na kaloszach nie było krowiej kupy.

- Złota rączka - odparła Finula.

- Ale nam jest potrzebny hydraulik i zdun - zaczęła Hope.

- Bzdura. Pomożemy wam przy malowaniu, a co do ogrzewania, Ge-aróid miał piec. Dobry, tylko trzeba go oczyścić,

- Widzieliśmy krowią kupę, tatusiu - oznajmiła Millie na widok ojca. Matt popijał lekarstwo na kaca.

Hope miała poważne wątpliwości co do talentów P.J., ale po trzech dniach ciężkiej pracy wszystkich zainteresowanych domek Gearóida wyglądał o wiele lepiej. Co prawda „Dom i ogród” nie proponuje im jeszcze sesji zdjęciowej, ale przynajmniej można już jakoś mieszkać.

P.J. zainstalował prysznic w łazience, a rury w kuchni nie trzeszczały już złowroźnie przy odkręcaniu kurków. Wielki kremowy piec działał. Rzeczywiście, ogrzewał cały domek, ale pochłaniał przy tym niewiarygodne ilości paliwa.

Matt zamówił cykliniarza i teraz podłogi na piętrze były jasne, złociste. Na dole nie dało się nic zrobić, podłoga była z kamiennych płyt, ale

Hope postanowiła jak najszybciej kupić wełniane dywaniki. Pomocnicy P.J., dwóch nastolatków, pomalowali ściany na biało - Matt uznał, że trzeba rozjaśnić ciemne wnętrza. Ledwie jednak zaczęli, Hope zorientowała się, że razem z farbą rozmazują brud i pajęczyny. Przed malowaniem trzeba było wyszorować wszystkie ściany. Łazienka była najgorsza; pod sławetną wanną na lwich nóżkach odkryli siedlisko żuków.

- Przynoszą szczęście - stwierdził lakonicznie P.J.

- Nie w tym domu - odparła Hope stanowczo.

Była zmęczona i brudna. Zażądała, by Matt rozwiązał problem w łazience.

- Nie znoszę owadów - wzdrygnęła się, wręczając mu wiadro z wodą i szmatę do podłogi. - Nawet takich, które przynoszą szczęście.

W czwartek Matt kupił trzy łóżka i starą kanapę, jak również lodówkę i pralkę. W piątek powinny dojechać nieliczne meble, które zabrali z Bath.

- A kuchenka? - Hope nagle zorientowała się, że na liście Marta brakuje jednej, dość istotnej rzeczy.

- Na razie możemy gotować na piecu - zbył ją wzruszeniem ramion. - Nie mam pieniędzy na nic więcej. P.J. i chłopcy drogo nas kosztowali.

Hope ugryzła się w język i nie warknęła, że przyjazd tutaj to jego pomysł i skoro nie było ich na to stać, nie trzeba było przyjeżdżać. Nie on będzie się męczył ze starym piecem, tylko ona.

Wybiegła z pokoju. To tyle, jeśli chodzi o ożywczy wpływ przeprowadzki na ich małżeństwo.

W piątek wieczorem, pięć dni po przyjeździe, wprowadzili się do nowego domu. Komputer Matta stał dumnie w miniaturowym gabinecie i czekał, gotowy do pracy. Pokoje dzieci były, jak na tamtejsze warunki, urocze - pełne zabawek i rysunków.

Nie można tego powiedzieć o sypialni Hope i Matta - za szafę służył im długi pręt, puste kartony były nocnymi stolikami. Jeszcze daleka droga przed nimi, zanim chałupa zacznie przypominać urocze gniazdko z wizji Hope.

- Skromnie tu - mruknęła, rozglądając się po małym saloniku z podniszczonymi meblami i gołymi ścianami.

- Pamiętam, że Gearóid miał mnóstwo obrazów olejnych, dzieła swoich przyjaciół. Pewnie musiał je sprzedać. Pieniądze nigdy się go nie trzymały. Moim zdaniem był świetnym poetą, chociaż nie zdobył sławy.

- Ile tomów poezji wydał?

- Chyba trzy. - Matt wzruszył ramionami. - Biedaczysko. Naprawdę miał talent. No, trudno, nie będę się rozczulał. Będziemy tu bardzo szczęśliwi. - Przytulił Hope. - Dziękuję ci. Wiem, że miałaś ciężki tydzień, ale obiecuję ci, że będziemy tu bardzo szczęśliwi. Potrzebujemy tego, ja tego potrzebuję.

Pocałował ją czule, tak samo jak w dniu ślubu, jakby nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Po raz pierwszy od bardzo dawna Hope przeszył dreszcz. Od tygodnia nie miała najmniejszej ochoty na seks, ale teraz ogarnęło ją podniecenie. Cudownie, że nadal tak na niego reaguje. Kochają się, była tego pewna, i dlatego przetrwają wszystkie burze.

- Chodźmy dziś wcześniej spać - mruknął.

Matt zaszył się w gabinecie, a Hope przechadzała się po małym domku. Wiązała z nim duże plany. Poupina zasłony jak Finula, to efektownie wygląda. Nowoczesne srebrne ramki są tu nie na miejscu. Może nauczy się szydełkować? To chyba nie takie trudne? Zresztą kobiety zawsze szły za swoimi mężczyznami. Szły w ślad za wojskiem, gotowe na wszelkie poświęcenia, byle tylko być z ukochanym. Przynajmniej tak było w czasach Jane Austen, rozważała.

Na kolację usmażyła kielbaski domowej roboty od Finuli i zrobiła jajecznicę. Były to jedyne dania, które odważyła się przyrządzić na wiekowym piecu. Skoro woda na herbatę gotuje się dwadzieścia minut, Bóg jeden wie, ile czasu piekłaby się zapiekanka z kurczakiem.

Po kolacji usiadła przy piecu, sączyła gorące kakao i obserwowała, jak Matt męczy się z telewizorem. Z zewnątrz nie dochodziły żadne hałasy, nie trąbiły klaksony, nikt nie krzyczał. Nic. Tylko wiejska cisza.

Przywykła już do atmosfery domu Finuli i Ciarana, gdzie wiecznie ktoś przychodził, zaglądał, gadał, i czuła się dziwnie, gdy znowu zostali sami.

Finula jest bardzo miła, ale też bardzo zaborcza, jakby chciała zagarnąć nowych mieszkańców na własność. Matt tego nie dostrzegał, dla niego najmniejsze słowo krytyki pod jej adresem było wyrazem niewdzięczności po tym, co dla nich zrobiła. No, ale teraz już rzadziej będą się z nią widywać.

Matt zaklął pod nosem, gdy śnieżycy w telewizorze znów przybrała na sile. Od półgodziny męczył się z tym diabelstwem i na razie udało mu się złapać tylko kanał w języku celtyckim, z którego nie rozumieli ani słowa. Może przynajmniej filmy będą z napisami; na razie nie mogą liczyć na nic innego.

- A jeśli nie, możemy wyciszyć dźwięk i wymyślać własne dialogi - zażartował i odwrócił się do Hope. Spała. Wtulona w róg kanapy, z twardą poduszką pod głową. Przyglądał się jej przez chwilę. Uśmiechnął się, rozczuliły go jasne loki rozsypane wokół twarzy. Pewnie od rana nie miała czasu się uczesać. Nie zawracała sobie głowy makijażem i długie jasne rzęsy rzucały cień na policzki. We śnie była taka bezbronna. Nie wygląda na trzydziestosześcioletnią matkę dwojga dzieci. Raczej jak naiwna dwudziestokilkulatka. Naiwna, to dobre słowo, pomyślał. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia. Choć był święcie przekonany, że przeprowadzka dobrze zrobi im wszystkim, wiedział, że postąpił samolubnie, nalegając na wyjazd. Hope lubiła spokój i rutynę. Bała się zmian i nowych sytuacji, a jednak przyjechała tu, do obcego kraju, gdzie ' nie znała nikogo.

Wiedział, że poszłyby za nim na kraj świata, i wiedział dlaczego: bo go kocha.

A on nalegał na wyjazd z egoistycznych pobudek. Jasne, udało mu się wszystko dobrze załatwić, miejsce w starej pracy będzie na niego czekać, a raty za dom spłaca dzięki sublokatorom, więc nie stracą finansowo na tej eskapadzie. Ale przyjechali tu, żeby realizować jego marzenia, nie jej, nie ich wspólne. Chciał pisać i dlatego ich tu przywiózł.

Hope poświęciłaby wszystkie marzenia, byle zapewnić rodzinie spokój i szczęście. A on poświęcił ich szczęście w imię własnej zachcianki. Szybko odepchnął tę myśl od siebie. Redlion jest piękne, czuł się tak mocno związany z tym miasteczkiem. Tutaj spędził najpiękniejsze wakacje swego dzieciństwa. Hope też pokocha to miejsce. On, Matt, zrobi wszystko, żeby napisać świetną książkę, wtedy będą mieli dosyć pieniędzy do końca życia. Uda mu się, był tego pewien. Na myśl o książce poczuł, jak zwykle, przyływ energii.

Pomysł powoli się krystalizował: mężczyzna na skraju złamania nerwowego wyrusza w podróż dookoła świata, żeby uciec przed problemami, ale koniec końców ląduje w równoległym wszechświecie, tyle że o pół wieku wcześniej. W wyobraźni Matt już czytał pochlebne recenzje swojego dzieła; krytycy nazwają lirycznym, głęboko refleksyjnym, znakomitym debiutem rewelacyjnego młodego pisarza.

Nie będzie łatwo, zdawał sobie z tego sprawę, ale w życiu nic nie jest łatwe, prawda? Napisze świetną powieść dzięki samozaparciu i determinacji, z których jest znany. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie pracował po nocach, ale odniesie sukces. Uśmiechnął się pod nosem. W końcu to dzięki niemu agencja reklamowa Judd's jest najlepsza w okolicy. Skoro

udało mu się tam, uda mu się i tutaj. Zresztą czy kiedykolwiek coś mu nie wyszło?

- Mieszkacie w domu starego Gearóida, tak? - domyślił się starszy mężczyzna za ladą sklepu spożywczego, gdzie Hope robiła pierwsze zakupy.

- Tak. - Zaskoczył ją tym pytaniem. Dopiero co wprowadzili się do domu, dzisiaj po raz pierwszy wybrała się do wioski. Skąd wiedział?

- Śliczny domek, ale mówią, że strasznie zapuszczony w środku. Stary Gearóid miał nierówno pod pułapem. Podobno całym domem rządziły kury.

- Doprawdy? - mruknęła uprzejmie, zastanawiając się nad jajkami. Wolałaby wiejskie, ale może lepiej oszczędzać, póki nie będzie wiedziała, jak wygląda ich sytuacja finansowa. Oddali już wynajęty samochód i mieli do dyspozycji tylko jej metro.

- A pani nie chce kur? - podsunął ochoczo sprzedawca.

- Cóż, sama nie wiem... - wahała się Hope. Sprzedawca miał takie miłe spojrzenie. I Finula sugerowała, żeby sprawić sobie kilka kur. Tylko że na razie nie czuła się na siłach.

- Kury to żaden kłopot. Rzuci im pani trochę ziarna i zaraz się niosą. Może pani nawet sprzedawać jajka i trochę dorabiać. W lecie turyści szaleją za jajkami. W zimie też - dodał spiesznie. - Zaraz pani powiem, do kogo pójść.

Przez całą podróż do Redlion szóstka kurcząt piszczała przeraźliwie. Z kartonu na tylnym siedzeniu dobiegały niepokojące odgłosy, jakby kurczaki próbowały wydostać się z więzienia i co chwila spadały z powrotem. Hope zwolniła i zerknęła do tyłu. Biedactwa piszczały rozpaczliwie, że je zabrała od matki. Boże, co janajlepszego zrobiłam, pomyślała. Mart ją zabije. Z początku pomyślała, żeby zaoszczędzić na jajkach, wydawał się świetny. Przynajmniej kiedy Emmet, ten ze sklepu, wszystko jej tłumaczył.

Teraz potrzebuje tylko pojemnika na karmę i może lampki, żeby w nocy było im ciepło. W aptece można też dostać karmę dla zwierząt, zapewnił Paddy, brat Emmeta, gdy się z nią żegnał. W jego kieszeni tkwił czek za kurczęta. Zażyczył sobie sporo jak za sześć maluchów, ale twierdził, że kury są rasowe.

Sympatyczna kobieta w aptece, Mary-Kate, podobnie jak Emmet wiedziała, kim jest Hope, ale w przeciwieństwie do sklepikarza była daleka od optymizmu:

- Rasowe, akurat. Ten stary łotr Emmet Slattery opchnął pani pisklaki swojego brata. O tej porze roku nikt inny by ich nie kupił. Jest za zimno, żeby je wypuścić na dwór, chyba musi pani zainstalować centralne ogrzewanie w kurniku. Zanim zniosą choć jedno jajko, zamorduje je pani z wściekłości. A co to niby za rasa? - zainteresowała się.

- Nie mam zielonego pojęcia - wyznała Hope. Razem zajrzały do pudła w samochodzie.

Surowa mina Mary-Kate złagodniała na widok żółciutkich kuleczek.

- Lubię kurczęta, ale to niełatwa sprawa - westchnęła.

- Myślałam, że to nic trudnego - zaniepokoiła się Hope. - Tak mówiła Finula. I Paddy.

- Finula Headley-Ryans zamordowała więcej kurcząt niż KFC - zachnęła się Mary-Kate. - Proszę jej nie słuchać. Myśli, że hodowla to nic trudnego, ale nie ma o niczym pojęcia. To miastowa, zanim się tu przeprowadziła, znała kury tylko z obrazków na mrożonych kurczakach w supermarkecie. A co do tych łotrów, Paddy'ego i Emmeta, nie wierzę w ani jedno ich słowo. Proszę wejść. Zaparzę kawy i powiem, jak się zajmować kurczakami.

Hope uśmiechnęła się lekko, słysząc, że idealna Finula nie jest tak doskonała, jak jej się wydaje. Uchyliła okno, żeby kurczęta się nie podusiły, i poszła za Mary-Kate. Nie zastanowiło jej, że nieczęsto dotychczas się zdarzało, żeby na zakupach sprzedawca zapraszał ją na herbatkę. To Redlion. Tutaj wszystko jest inne. Na przykład rozmowy z nieznanymi są tu najwyraźniej na porządku dziennym.

Gabinet Mary-Kate na tyłach apteki okazał się przytulnym pomieszczeniem ze starą, ale bardzo wygodną kanapą, przenośnym telewizorem i nowoczesnym ekspresem ciśnieniowym. W kąciku bawiły się trzy śliczne kocięta. Mary-Kate przystąpiła do ceremonii parzenia kawy, a Hope obserwowała ją ukradkiem. Była wysoka, szczupła i po czterdziestce. W skromnej szarej sukience, z prostą, niewyszukaną fryzurką była przeciwieństwem pretensjonalnej Finuli. Miała jasne, uczciwe spojrzenie.

- Przyzwyczaiła się już pani? - zapytała.

- Cóż, nie jest to łatwe - zaczęła Hope. Ostrożnie dobierała słowa, nie chciała okazać się nielojalna wobec Marta. - Dom jest trochę zaniedbany. Zresztą, szczerze mówiąc, nie bardzo chciałam tu przyjechać - wyznała, zdumiona tymi słowami.

- Nie dziwię się, że dom jest zaniedbany. Wuj pani męża miał nie pokolei w głowie - stwierdziła Mary-Kate, podając jej kawę. - Mawiał, że się nie ożenił, bo kobiety nie zniosłyby takiego ekscentryka. Mieszkał jak w chlewie. Nieraz wyrzucałam go ze sklepu, bo odstraszał mi klientów swoim zapachem.

Hope parsknęła śmiechem.

- Dotychczas słyszałam od wszystkich, że to niespełniony geniusz i zasługuje na pomnik.

- Nawet geniusze powinni się myć i prać ubrania. - Mary-Kate podsunęła jej ciasteczka. - Jeśli kiedykolwiek wystawią mu pomnik, powinni dodać też próbkę zapachu.

Rozmawiały o tym, jak trudno doprowadzić stary, zaniedbany dom do stanu używalności, o wiejskiej pogodzie, o życiu. Wypiły po dwie filiżanki kawy. Hope nawet sobie nie zdawała sprawy, jak bardzo brakowało jej rozmowy na tematy inne niż kultura pisana przez wielkie K, zdrowa żywność i ekologiczna uprawa warzyw. Nigdy do tej pory nie otwierała się tak bardzo przed nieznanymi, ale z Mary-Kate tak dobrze się rozmawiało.

- Czy tutaj wszyscy uprawiają własne warzywa i wyrabiają wędliny? - zapytała ostrożnie.

- Zwariowałaś? - Mary-Kate nie posiadała się ze zdumienia. - Supermarket Dunnes jest siedem kilometrów stąd, a w Killarney mamy Tesco. Rzeźnik jest koło pubu. Teraz zamknął sklep z powodu remontu, ale za dwa tygodnie będzie otwarcie. Ja osobiście wolę kupować wszystko w sklepie niż samej hodować. A co do sklepów - trzymaj się z dala od Emmeta Slattery'go, jeśli nie chcesz, żeby cię obdarł ze skóry. Mam tu szampon za dwa funty; u Emmeta widziałam go po trzy! To drań, zdarłby ostatnią koszulę z własnej babki.

Hope uśmiechnęła się z ulgą.

- A ja już myślałam, że tutaj wszyscy sami pieką chleb i robią przetwory.

- Wariaci, owszem - zgodziła się Mary-Kate. - Hope, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Od czego są supermarkety?

- Ale Finula powiedziała...

- Boże, chroń nas przed tą kobietą! Jesteśmy normalnymi ludźmi, a nie prymitywnym plemieniem z „National Geographic”. Wiesz, mamy nawet bieżącą wodę. Że już nie wspomnę o Internecie i telewizji cyfrowej. Owszem, są tu rolnicy, ale większość się specjalizuje: jedni hodują krowy mleczne, inni krowy na mięso. Praca na roli jest wystarczająco ciężka, nie ma sensu jeszcze utrudniać sobie życia, uprawiając własne

warzywa! Jestem farmaceutką, na miłość boską. Nie mam zamiaru przez pół dnia użerać się z zabiciem, wypatroszeniem i oskubaniem kurczaka na kolację, skoro w supermarkecie albo u rzeźnika dostanę śliczną kurzą pierś.

- Jestem dokładnie tego samego zdania. - Hope wyraźnie ulżyło. - A już myślałam, że kupowanie produktów spożywczych to tutaj poważne faux pas.

Rozległ się dzwonek w sklepie. Mary-Kate zerwała się na równe nogi.

- Praca na roli to gorzki kawałek chleba - powiedziała poważnie. - Wielu mieszkańców Redlion dorastało na farmach, ale dzisiaj trudno się z tego utrzymać. Wiele osób zrezygnowało z rolnictwa. Pracują w przemyśle albo w turystyce. Połowa mieszkańców pracuje w fabryce komputerów w Killarney, druga połowa w ośrodku turystycznym Manoir Rouge Leon. Gdyby nie to, Redlion byłoby wymarłą miejsciną. Ludzie nie mają czasu ani ochoty, żeby uprawiać coś więcej niż kilka warzyw i kwiatki. Niektórzy są zapalonymi ogrodnikami i mają własny rabarbar czy truskawki, ale to wszystko. Jedyni, którzy obstają przy samowystarczalności, to ludzie pokroju Headley-Ryanów. Wydaje im się, że są od nas lepsi, bo się bawią uprawę ziemi. Ale jeśli nie udadzą im się ziemniaki, jadą do miasta i kupują je normalnie. A prawdziwego rolnika na to nie stać. - Mary-Kate prychnęła pogardliwie. - I czasami ich biedna krowa ryczy żałośnie na całą okolicę, bo nie chce im się wstać, żeby ją wydoić. A na tym właśnie polega praca na wsi - obowiązki i rutyna, nie zabawa.

Gdy Hope wróciła do domu, Matt przechadzał się nerwowo. Toby i Millie kłócili się w saloniku.

- Nie było cię kilka godzin - warknął. - A o jedenastej miałem być w ośrodku. - Uparł się, że jeśli naprawdę ma coś napisać, musi to traktować jak zwykłą pracę. Planował chodzić do ośrodka i pisać sześć godzin dziennie. Tam panuje cisza, rozmawiać można tylko w kuchni. - A to co? - wskazał karton z kurczakami.

- Kury - oznajmiła.

- Na kolację? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie, to nioski, głuptasie. Finula namawiała mnie na kury. Myślałam, że ci się to spodoba. - Nie dodała, że prawdopodobnie porwała się z motyką na słońce.

- No cóż, jeśli Finula cię namawiała, to dobrze ^robiłaś - wzruszył ramionami.

- Powiedz, o której Finula i Ciaran doją swoją krowę? - zapytała nagle.

- Chyba nie chcesz i krowy? -Nie, nie, tylko tak pytam. Pocałował ją na pożegnanie.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Martwiłem się, tak długo cię nie było. Doskonale sobie radzisz z życiem na wsi - stwierdził z uśmiechem.

- Szóstka kurcząt to jeszcze nie ferma - zażartowała.

Kurczęta okazały się doskonałą rozrywką dla dzieci. Hope tymczasem szykowała im nowe mieszkanie w rogu przedpokoju. Ćwierkały radośnie w dwóch wielkich kartonowych pudłach, z warstwą gazet między nimi, w świetle dwóch starych lamp. Stare gazety i siano stanowiły namiastkę gniazda w jednym rogu; w drugim ustawiła nowiutki pojemnik z karmą i małe poidelko. Od góry przykryła wszystko siatką, na tyle gęstą, że nie przejdą przez nią nawet cienkie dziecinne paluszki. Kiedy oznajmiła surowo, że kurczęta to nie zabawki, Millie się obraziła i naburmuszona powędrowała na górę, gdzie ze złości wyciągnęła wszystkie swoje ubrania z drewnianej skrzyni, która niedawno dotarła z Bath. Posprzątanie tego bałaganu zajęło Hope pół godziny, a i tak kiedy skończyła, było dopiero wpół do czwartej.

Wyjrzała przez okno. Niebo pociemniało, ołowiane chmury niosły deszcz, zbliżał się wieczór. Świat był ponury i smutny jak ona. Wyjrzała do ogródka. Prawie nie widać murku po drugiej stronie. Hope zawsze się marzył mały ogródek; bezpieczne schronienie, miejsce do leniuchowania, w lecie pachnące kwiatami i owocami. Wyobraziła sobie, jak krząta się z grabkami i łopatką, wrywa nieliczne chwasty, a potem odpoczywa w wygodnym leżaku, z dobrą książką i lampką wina. Gearóid najwyraźniej miał inną ideę ogródka. Skrawek ziemi przypominał istną dżunglę, z zaroślami chwastów i splątanymi krzakami jeżyn. Żeby zrobić z tym jakiś porządek, trzeba by chyba kombajnu. Ciekawe, kiedy wróci Matt. Oby jak najszybciej.

Dwa dni później Matt wrócił wcześniej niż zwykle i zabrał dzieci na spacer. Hope skorzystała z okazji i urządziła sobie długą letnią kąpiel (ogrzewanie jeszcze nie całkiem sprawnie działało). Potem, w szlafroku i grubych ciepłych skarpetkach, usiadła przy komputerze i napisała do Sam. Najchętniej wyznałaby prawdę; jak bardzo jest nieszczęśliwa, jak bardzo sielskie wyobrażenia życia na wsi różnią się od rzeczywistości.

Nie mogła jednak. Sam ją ostrzegała. Nie może teraz przyznać, że siostra miała rację. Jeszcze nie.

Cześć, Sam. Pozdrowienia z Kerry - Chyba brzmi wystarczająco non-szalancko? - Co u ciebie? U nas wszystko w porządku. - Nie, to za sztuczne. Wykasowała ostatnie zdanie i napisała: - Jesteśmy zmęczeni, ale szczęśliwi. Domek był bardzo zaniedbany, ale póki nie dało się w nim mieszkać, zatrzymaliśmy się u bardzo miłych sąsiadów. - Nie uważała, że państwo Headley-Ryans są szczególnie mili, co to, to nie, Finula doprowadzała Hope do szału, ale jeśli się do tego przyzna, zabrzmiałoby to, jakby już była na proza-cu. Opiszę ci nasz nowy dom: chatka jest mała, mniej więcej półtora kilometra za miasteczkiem. Jedzie się wąską krętą drogą i nagle widzisz uroczy domek. Jestem przekonana, że w lecie oplatają go pnące róże. Wygląda jak z książki dla dzieci. W środku mamy wielki stary piec i urocze okna z malutkich szybek. - Które się strasznie trudno myje, pomyślała.

Mamy kuchnię połączoną z jadalnią i salonikiem, bardzo przytulną i nawet mały ogródek. Jest strasznie zarośnięty, ale sąsiadka namawia mnie, żebym go wypełniła i uprawiała warzywa. Brzmi nieźle. Sam nie musi wiedzieć, że kiedy Matt przekazał jej radę Finuli, Hope spojrzała na niego z niedowierzaniem i zaproponowała, żebym sam zabrał się za karczowanie dżungli, jeśli tak bardzo mu zależy na domowej pietruszce.

Łazienka jest super - teraz, kiedy nie ma w niej żuków, żmijek i innych paskudztw, rzeczywiście jest super. - Dzieciakom bardzo się tu podoba. - To też prawda. Nie tęsknili za przyjaciółmi z przedszkola, choć Hope była przekonana, że to tylko kwestia czasu, wcześniej czy później zapragną towarzystwa rówieśników. Musi się dowiedzieć, gdzie tu jest jakieś przedszkole. I rozejrzeć się za jakimś zajęciem dla siebie. Nie przypuszczała, że aż tak bardzo będzie jej brakowało pracy. I nie chodzi tu o cotygodniowy czek z wypłatą, tylko o niezależność i pracę wśród ludzi. Im więcej o tym myślała, tym bardziej przekonywała się, że powinna znaleźć sobie jakieś zajęcie na pół etatu.

Szczerze mówiąc, miała do Matta pretensję. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że ona może tęsknić za pracą?

Nie znamy jeszcze zbyt wielu osób, bo mieliśmy pełne ręce roboty, ale Finula - nasza sąsiadka - zapewnia, że życie towarzyskie tu kwitnie. Matt poznał już ludzi z ośrodka pracy twórczej, codziennie chodzi tam pisać. To tyle na razie. Odpisz szybko. Kocham cię Hope

Lało przez cały poniedziałek.

- Mamusiu, nudzi mi się - jęczała Millie, szarpiąc ją za nogawki. -Zróbmy coś!

Mamusi też się nudzi, pomyślała Hope. Nie tak sobie wyobrażała wiejską idyllę. Zamiast uroczego przytulnego domku, w którym siedziałyby z dziećmi i miło spędzała czas, znalazła się w starej ruderze bez telewizora i wygod, do których przywykła. Zresztą jak długo można malować razem z dziećmi? Domek co prawda był przytulniejszy niż po ich przyjeździe, ale i tak wymagał jeszcze mnóstwa pracy.

Od wioski dzielą ich ze dwa kilometry, młkt ich nigdy nie odwiedza, no, to akurat nic dziwnego, przecież jeszcze nikogo nie znają. Matt jak zwykle uciekł do centrum do pracy. Szczęściarz, pomyślała ponuro, gdy dzieciaki pokłóciły się o książeczkę z obrazkami.

Znosiła ich kaprysy jeszcze przez pół godziny, a potem wpadła na genialny pomysł.

- Chodźmy na spacer. Po drodze odwiedzimy małe kotki - zaproponowała.

- Tak! Tak! - Millie zapaliła się do tego pomysłu.

Matt znowu zabrał samochód, więc ubrała dzieci w ciepłe kurtki i kalosze. Kiedy wyglądali już jak grupa polarników w drodze na biegun, wyruszyli. Co prawda nadal mżyło, ale spacer dobrze im robi. Początkowo Toby grzecznie siedział w spacerówce, ale potem doszedł do wniosku, że woli iść na piechotę. Dla Hope oznaczało to skomplikowane manewry; prowadziła za rękę dwoje dzieci i na dodatek pchała pusty wózek.

Potem Toby zażyczył sobie, żeby go wzięła na rękę.

- Proszę, mamusiu - mruknął cichutko.

- Ja też, ja też - jęczała Millie, gdy Hope wzięła Toby'ego na rękę.

- Skarbie, nie dam rady, jesteś za ciężka - sapnęła Hope.

- Chcę na rączki!

Hope czuła się jak himalajski tragarz. Co dziesięć minut brała na rękę to jedno, to drugie, aż straciła resztki sił.

- Musisz iść sama, Millie - oznajmiła stanowczo i wsadziła Toby'ego do wózka, nie zwracając uwagi na jego protesty.

Kiedy doszli do miasteczka, i Toby, i Millie zalewali się rzewnymi łzami, a Hope klęła na czym świat stoi, że mają tylko jeden samochód. I to jej samochód, chociaż Matt zachowuje się, jakby należał do niego. Przecież to nie jej wina, że musiał oddać służbowy.

Miasteczko robiło lepsze wrażenie, kiedy się je zwiedzało na piechotę. Z okien samochodu nie widać urody małych pastelowych domków. W pierwszej chwili, w strugach deszczu, Redlion wydawało się szare

i brzydkie, ale teraz przekonała się, że nie tylko domek wujka Gearóida był jak z bajki.

Dzieci umilkły na tyle, że mogła się rozejrzeć ciekawie. MUZYKA NA ŻYWO W KAŻDY WEEKEND. SZUKAMY SKRZYPKÓW - przeczytała przed pubem. I jeszcze karta dań: całkiem pokaźna lista smakołyków, którym nawet Finula nie miałyby chyba nic do zarzucenia: placki z kozim serem, pierożki ze szpinakiem i twarożkiem, zapiekanki na piwie. Od samego czytania ślinka napływała do ust. Może wybiorą się tu kiedyś z Mattem, jeśli znajdzie opiekunkę dla dzieci.

Toby znowu marudził, więc pospieszyli do apteki. Dzieci zajmą się kotkami, a ona opowie Mary-Kate, że kurczaki mają się dobrze.

Niestety, apteka nie jest idealnym miejscem dla dzieci; tyle tam ładnych buteleczek z kolorowymi tabletkami! Zwłaszcza Toby był mistrzem w ukradkowym ściąganiu z półek różnych drobiazgów. Hope przekonała się o tym jeszcze w Bath, więc teraz zamiast do głównego wejścia, od razu skierowała się na zaplecze. Zapukała do drzwi.

Mary-Kate otworzyła szybko, jak zawsze starannie uczesana.

- Czy to specjalni goście? - zainteresowała się. Pochyliła się i podała dzieciom rękę, jak dorosłym. - Dzień dobry pani - poważnie przywitała się z Millie.

Nie mogła obrać lepszej taktyki. Millie rozpromieniła się i nawet Toby uśmiechnął się nieśmiało.

- Jak się szanowna pani nazywa? - zapytała Mary-Kate ze śmiertelną powagą.

- Millie.

- A ten dżentelmen?

- Toby, to mój młodszy braciszek. Ma dopiero trzy latka - odparła mała pogardliwie.

- Pomyślałam, że spodobają im się twoje kocięta - wyjaśniła Hope. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

- Ależ skąd! Macie ochotę pobawić się z kotkami? Nie mogli przecież odrzucić takiej propozycji.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Toby i Millie zmienili się w aniołki. Mary-Kate i Hope w spokoju piły kawę.

- Chciałam jeszcze raz podziękować za twoje rady - tłumaczyła się Hope.

- Dobrze, że przyszedłeś. Początkowo samotność bardzo doskwiera.

- Właściwie nie - zaprzeczyła Hope bez przekonania. - Nawet m i się to podoba.

- A więc wszystko w porządku - uśmiechnęła się Mary-Kate.

Rozdział 7

Pierwsze dwie godziny podróży z Dublina do Killarney Virginia spędziła zgnieciona między oknem a grubasem, który zajmował prawie połowę jej siedzenia i boleśnie przyciskał ją do szyby. Artretyzm w lewym biodrze bardzo dawał się jej we znaki w tej pozycji i tęsknie myślała o tabletkach przeciwbólowych, które czekają w domu, w apteczce. Pociąg włókł się niemiłosiernie, podróż zdawała się trwać w nieskończoność. Virginia przejrzała już gazetę, a ponieważ od śmierci Billa nie czytała powieści, nie miała ze sobą żadnej lektury. Za oknami nic nie było widać przez strugi deszczu, zresztą szyby szybko zaparowały od oddechu pasażerów.

Kiedy zjawił się kelner z kawą, herbatą i ciasteczkami i zapytał, czego sobie życzy, gruby sąsiad chamsko zażądał czekoladowego ciastka i herbaty, zanim Virginia zdążyła otworzyć usta. Kelner obsłużył grubasa i ponownie zwrócił się do Virginii.

- Herbatę proszę - mruknęła. Miała za sobą ciężki dzień i nie chciała żadnych kłopotów. Nie, poprawiła się w myśli, gdy poczuła kolejną falę bólu w lewym biodrze. Facet koło niej to nie kłopot, tylko niewychowa-ny wieprz; takich jak on nie powinno się wpuszczać do pociągu. Gdyby Bill tu był, powiedziałby mu coś. Poczula łzy pod powiekami. Tak, Bill zająłby się nią, ale Bill odszedł, i to na zawsze. Opuścił ją, zostawił zupełnie samą. To takie niesprawiedliwe.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że szatynka siedząca naprzeciwko podaje jej papierowy kubeczek herbaty i saszetki z cukrem.

- Och, dziękuję - mruknęła Virginia. Pograżona w ponurych myślach, znowu zapomniała, gdzie jest. Zdarzyło się to nie pierwszy raz; do tego stopnia zatraciła się w rozpacz, że czas zdawał się zatrzymywać w miejscu, a ona traciła kontakt z rzeczywistością. Nie znosiła tego. W takich chwilach czuła się jak idiotka.

Kelner podał kobiecie naprzeciwko kubeczek kawy i garść drobnych i dopiero wtedy do Virginii dotarło, że nieznajoma za nią zapłaciła.

- Przepraszam - zdenerwowała się - zaraz pani oddam...

- Nie ma sprawy - odparła tamta. Była spokojna i wyciszona, zbliżała się do pięćdziesiątki, miała ciemne włosy i sympatyczną twarz. - To nie majątek, a pani ma tak mało miejsca, że nawet nie zdoła wcisnąć ręki do kieszeni. - Posłała sąsiadowi Virginii surowe, ironiczne spojrzenie, a on nagle się odsunął, zrobił jej mnóstwo miejsca. Kobieta nie odwróciła wzroku. Przesunął się jeszcze trochę.

Mimo ponurego nastroju Virginia się uśmiechnęła. Kobieta odwzajemniła uśmiech i ponownie zajęła się krzyżówką. W Limerick wysiadło wielu pasażerów, w tym okropny grubas. Virginia odetchnęła z ulgą, poprawiła się na siedzeniu i ułożyła zakupy na wolnym fotelu.

- Niektórzy naprawdę nie wiedzą, co to dobre wychowanie - powiedziała kobieta naprzeciwko.

- Ma pani rację - zgodziła się Virginia. - Dziękuję bardzo. Powinam była poprosić go, żeby się przesunął - przyznała - ale bywają dni, kiedy nie ma się siły na nic. I dzisiaj jest jeden z nich. - Nie wiedziała, czemu to mówi. Miała za sobą ciężki dzień, musiała załatwić różne sprawy w biurze, a była w fatalnym nastroju. Ilekroć księgowy pytał ją stłumionym głosem, czy sobie radzi, miała ochotę zdzielić go torebką i wrzasnąć: „Nie, do cholery, nie radzę sobie! A co pana to obchodzi?”

- Mary-Kate Donlan - przedstawiła się kobieta i wyciągnęła rękę.

- Virginia Connell - oficjalnie uściśniły sobie dłonie, jakby poznały się na przyjęciu, a nie w hałaśliwym pociągu.

- Może jeszcze jedna herbatka? - zaproponowała Mary-Kate. - Kelner już nie przyjdzie, ale pójdę do restauracyjnego po herbatę i ciastka.

- Ja to zrobię. - Virginia wstała energicznie. - Herbatę czy kawę? Mary-Kate wzdrygnęła się.

- Właściwie nigdy nie pijam herbaty, ale kawa w pociągu smakuje jak wywar ze starych skarpet, więc poproszę herbatę.

Siedziały spokojnie, piły gorącą herbatę i rozmawiały. Mary-Kate rozbawiła Virginie opowieścią, jak to szukała idealnego stroju na ślub, na który się wybiera.

- Nie żebym pojechała do Dublina specjalnie po sukienkę - zastrzegła - ale skoro już tam byłam, pomyślałam sobie, czemu nie?

Virginia uśmiechnęła się pod nosem. Sądząc po skromnym granatowym swetrze i białej bluzce nowej znajomej, rzeczywiście nie jest typem, który od rana do nocy ugania się po sklepach. Virginia natomiast zawsze lubiła ciuchy, chociaż ostatnio nic sobie nie kupowała. Ale w jej szafie nadal wisiało kilka eleganckich kreacji. Tego dnia miała na sobie sukienkę z dzianiny w kolorze burgunda i sweter. Był to komplet irlandzkiego projektanta, prezent od Billa na jej pięćdziesiąte szóste urodziny. Twierdził, że ten kolor podkreśla barwę jej włosów.

- Nie wydaje ci się, że jestem za stara na takie stroje? - zapytała, krytycznie przyglądając się swemu odbiciu w przebieralni.

- Na nic nie jesteś za stara - zapewnił wtedy i pieszczotliwie klepnął ją w siedzenie.

Mary-Kate opowiadała o swoich zakupach.

- Wchodzę do tego butikiu i oczom nie wierzę: takie ceny! Trzysta funtów za szmatkę z szyfonu, którą sama uszyłabym w pół godziny. I do tego niepraktyczną, przecież w takiej sukieneczynie zmarzłabym na kość.

Virginia się śmiała. Mary-Kate jej zawtórowała.

- Chyba nietrudno się domyślić, że nie jestem typem modnisi - stwierdziła. - Ale bez przesady: sprzedawczynie w kółko chciały mi opchnąć okropne kostiumy jak dla matki panny młodej, pastelowe niebieskości i róże, i do tego straszliwe staromodne bluzeczki.

- A jest pani matką panny młodej? - zainteresowała się Virginia.

- Broń Boże. Nie mam dzieci, nigdy nie wyszłam za męża. Jestem zwykłą starą panną, zdziwaczałą ciotką. - Uśmiechnęła się lekko. - A co, nie widać? Przecież mam to wypisane na twarzy.

Zdaniem Virginii, Mary-Kate miała wypisane na twarzy, że jest inteligentna i dowcipna. Szare oczy błyszcząły wesoło. Co prawda skromny stój, brak makijażu i nieufarbowane włosy rzeczywiście pasowały do starej panny, ale już po dwóch minutach w jej towarzystwie zmieniało się zdanie.

-1 jak, kupiła pani coś czy nie?

-Nie. - Mary-Kate spochmurniała. - Muszę wystąpić na tym ślubie w czymś nowym, bo jeśli pokażę srę w moim starym szarym kostiumie, matka panny młodej wpadnie w szał, że się nie postarałam. Chyba muszę zdobyć się na odwagę i zajrzeć do Lucille, to nasz miejscowy butik. Tylko że u Lucille nie ma normalnych ciuchów. Wyjdę stamtąd, powiedzmy, w tygrysim kombinezonie z lycry i spódnicy kończącej się w połowie pośladków. Lucille ma ogromny dar przekonywania. Widzisz się w lustrze i wiesz, że wyglądasz okropnie, a jednak Lucille potrafi wmówić, że ci w tym do twarzy.

- Pani jest z Redlion! - krzyknęła Virginia. - Ja też. Codziennie mijam sklep Lucille. Ostatnio ma...

- Wiem, wiem - wpadła jej w słowo Mary-Kate. - Sztuczne futro geparda. Zastanawiałam się, czy nie kupić sobie takiej czapeczki, ale obawiam się, że wystraszyłabym klientów z apteki.

- Pani pracuje w aptece? - zainteresowała się Virginia. - Nie do wiary. Codziennie przechodzę koło pani sklepu. Mieszkam na Blackglen Road, w Kilnagoshell House, i codziennie idę do miasta na piechotę. Byłam u pani w sklepie, ale tylko kilka razy.

- Od dawna mieszka pani w Redlion? - zapytała Mary-Kate, choć doskonale знаła odpowiedź. Virginia widocznie celowo unikała kontaktów. Byłaby zła, gdyby się okazało, że Mary-Kate coś o niej wie,

choć w wiosce tak małej jak Redlion naiwnością byłoby liczyć na anonimowość.

- Ponad siedem miesięcy. Przyznaję, że jestem odludkiem. Widzi pani, w zeszłym roku umarł mój mąż. Po jego śmierci przeniosłam się do Kerry. Nie miałam ochoty na życie towarzyskie.

Virginia poczuła łzy pod powiekami i szybko przełknęła ślinę, żeby się nie rozpłakać.

- Przykro mi - powiedziała Mary-Kate ciepło. - Po takiej tragedii trudno wrócić do zwykłego życia.

- Dzisiaj byłam u księgowego. To okropne - stwierdziła cicho Virginia. - Ilekroć wspominał Billa, chciało mi się płakać. Czasem sobie wyobrażam, że w mojej głowie tkwi długi gwóźdź. Kiedy już mi się wydaje, że lepiej sobie radzę z bólem, ktoś uderza w ten gwóźdź z całej siły i wszystko zaczyna się od nowa. Właściwie sama nie wiem, czemu to pani opowiadam - spieszyła się. - Nawet pani nie znam.

- Współczucie nieznajomych bardzo pomaga - powiedziała Mary-Kate. - Nieznajomi nie chcą niczego osiągnąć. Nie mądrzą się, nie twierdzą, że wiedzą lepiej.

Virginia przyglądała się jej ciekawie.

- Obcy nigdy nie radzą, że czas wziąć się w garść i żyć dalej - ciągnęła Mary-Kate.

-1 nie mówią, że bym była dzielna, bo przecież Bill nie chciałby, że bym chodziła z nosem na kwintę - dodała Virginia. Mary-Kate uśmiechnęła się.

- Zdziwiające - ciągnęła Virginia. - Ludzie, którzy prawie nas nie znali i nie wiedzieli, jaki Bill był naprawdę, nagle mówią mi, czego by chciał, a czego nie. Na dzień przed pogrzebem zadzwonił daleki kuzyn Billa, żeby mnie poinformować, który fragment z Biblii należy przeczytać, bo Bill zawsze go lubił. Bzdura. Bardzo rzadko się widywał z tym kuzynem. - Do dzisiaj była wściekła na tamto wspomnienie. - Za życia nie dostał od niego nawet byle książki, a teraz, po jego śmierci, tamten wyobraża sobie, że wszystko o nim wie. Ojej! - przestraszyła się nagle. - Nie jest pani przypadkiem psychiatrą? Tak mnie pani podpuściła, wyrzucam z siebie wszystko, a pani tylko mruczy „tak, tak” i tylko kiwa głową.

- A co, nie wspomniałam o moich stawkach? Czterdzieści funtów za godzinę - oznajmiła Mary-Kate ze śmiertelną powagą.

Virginia opowiedziała nowej przyjaciółce o trzech synach, cudownej malutkiej wnuczce i Sally, najwspanialszej synowej, jaką sobie można wyobrazić.

Mary-Kate opowiadała, że dorastała w Redlion, w rodzinie aptekarza, i marzyła, że pewnego dnia ucieknie z małego miasteczka. Skończyła farmację w Dublinie i przez piętnaście lat pomagała ojcu w prowadzeniu apteki. Dziesięć lat temu, po jego śmierci, przejęła firmę.

- Czasami Kocham Redlion; jest trochę prawdy w starym powiedzeniu, że ciągnie człowieka do miejsca urodzenia - opowiadała. - Ale czasami tęsknię za anonimowością Dublina. W Redlion wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

- Nigdy nie chciała pani wyjść za mąż? - zapytała Virginia i zaraz tego pożałowała. - Och, przepraszam, tak mi się wymknęło. Boże, pani akurat narzeka na wścibskich sąsiadów, a ja wyjeżdżam z takim pytaniem.

- Nie ma sprawy, naprawdę. Ja panią też wypytywałam. Owszem, był w moim życiu mężczyzna, ale nie ułożyło się między nami. - Mary-Kate wzruszyła ramionami i powiedziała: - Jeszcze pani nie zna nikogo w miasteczku, chętnie panią przedstawię, komu trzeba. Przede wszystkim musi pani poznać Delphine - dodała.

Virginia dostrzegła nagłą zmianę tematu, ale nie skomentowała tego.

- Delphine to moja siostrzenica - mówiła dalej Mary-Kate. - Wspaniała dziewczyna, polubi ją pani. Jest kosmetyczką w Manoir Rouge Leon. Nieco zwariowana, pewnie dlatego tak dobrze się rozumiemy. Delphine zdarza się robić zakupy u Lucille. I wie pani co? Te ciuchy do niej pasują.

Zachichotały. Delphine musi być naprawdę wyjątkowa, pomyślała Virginia.

- Umawiamy się od czasu do czasu - opowiadała Mary-Kate. - Do kina albo na obiad. Może kiedyś się pani z nami wybierze?

- Bardzo chętnie - odparła Virginia bez namysłu.

Pociąg zatrzymał się w Killarney. Obie zaczęły się pakować. Virginia znowu poczuła ból w biodrze i tęsknie pomyślała o tabletkach w apteczce. Kiedy tylko dotrze do domu, idzie do łóżka.

- Może panią podwieźć? - zaproponowała Mary-Kate. - Nie, dziękuję, też jestem samochodem.

- W takim razie proszę, to mój numer telefonu. - Mary-Kate podała jej skrawek papieru. - Proszę zadzwonić, kiedy zatęskni pani za towarzystwem.

Virginia szła do samochodu ciasno otulona bordowym swetrem i uśmiechała się do siebie. Miło jest mieć nowych przyjaciół.

Hope wsłuchiwała się w miarowe dudnienie deszczu o dach i zastanawiała się, czy zadzwonić do doktora McKeavitta - mogłaby udać zała-

manie nerwowe i zażyczyć sobie skrzynki prozacu z dostawą do domu. Albo valium. Albo jakiegokolwiek innego środka, po którym poczuje się lepiej.

Siedzą w Redlion od miesiąca, nadszedł lodowato zimny grudzień, a Hope nigdy w życiu nie była równie nieszczęśliwa. Każdego ranka Matt, coraz posepniejszy, oddalał się w stronę centrum pracy twórczej z laptopem pod pachą. Wracał do domu koło szóstej. Nie miała pojęcia, ile napisał, bo ilekroć pytała, warczał i syczał, że nie można pisać na zawołanie.

Teraz już nie pytała o nic, tylko zastanawiała się, czy pani Szekspirowa też musiała znosić takie humory. Ale Matt, nawet w złym humorze, był jednak dorosłym człowiekiem, z którym mogła porozmawiać na tematy inne niż ostatnia dobranocka.

Kiedy wychodził, dni stawały się nudne i długie; nie wypełniało ich nic poza ostatnim hobby Millie i Toby'ego, czyli wyrobem łańcuchów na choinkę. Zrobili ich już tyle, że starczyłoby na udekorowanie kilku choinek i całego domku na dodatek. Druga dostępna rozrywka to spacer do Redlion, oczywiście w deszczu. Hope bardzo kochała swoje dzieci i dawniej marzyła, żeby spędzać z nimi więcej czasu. Ale więcej czasu nie znaczyło wtedy całe długie dni. Matt zostawał w domu tylko w weekendy; przez resztę tygodnia dzieci były tylko z nią. Nie spuszczała ich z oka, a to oznaczało, że w ogóle nie miała czasu dla siebie, nie miała nawet kiedy przejrzeć gazety czy ułożyć włosów.

Nawet wieczorem, kiedy dzieci powinny już spać, nie miała spokoju, bo Millie wstawiała z łóżeczka i upierała się, że wykąpie się z mamusią. Mówiąc krótko - dzieci też się nudziły i brakowało im towarzystwa rówieśników, a w okolicy chyba nie było innych rodzin z małymi dziećmi.

Hope tęsknie wspominała przedszkole. Znalazła nawet jedno tu w okolicy, ale miejsce zwolni się najwcześniej w styczniu. Niech już nadejdzie ten styczeń. Tylko że wtedy stanie przed nią nowe wyzwanie: co ma robić całymi dniami zupełnie sama? W Redlion nie ma banku, a nie uśmiechała jej się myśl o codziennej podróży do Killarney, nawet gdyby dostała tam pracę. Nie znała się na niczym innym poza bankowością.

Jeszcze dziewięć miesięcy i wyjadą stąd. Dziewięć długich miesięcy. Westchnęła ciężko.

Był poniedziałek. Jeszcze cały tydzień, pusty i ponury, jeśli nie liczyć codziennych wypraw do Redlion po zakupy. Gdyby nie maile do Sam i rozmowy z Mary-Kate, zwariowałyaby. Mary-Kate stanowiła jej jedyne towarzystwo, nie znała tu nikogo innego. Finula ciągle zapraszała ich na kolację, ale poszli tam tylko raz; pani domu była zaborcza i odnosiła się

z wyższością do Hope, która wolała już siedzieć w domu. Matt natomiast często przyjmował zaproszenia i chodził sam. I tak Hope nie miała towarzystwa nawet wieczorami.

Mary-Kate dwukrotnie zapraszała ją na spotkania ze swoimi przyjaciółkami, ale Hope odmawiała; częściowo dlatego, że Matt nie lubił, kiedy wychodziła sama, a częściowo dlatego, że nie chciała być nikomu ciężarem. Co innego codziennie wchodzić do apteki po jakiś drobiazg, a co innego zwalić się na głowę paczce starych przyjaciół. Kochana Mary-Kate nie naciskała, w przeciwieństwie do Sam, której maile były coraz agresywniejsze.

Twoje życie kręci się dokoła Matta, pisała. Hope niemal słyszała jej gniew w tych słowach. Wymyślił sobie nowe życie i oczekuje, że zrobisz wszystko, czego sobie zażyczy. Powiedz mu, że tak być nie może!

Sam ma rację, stwierdziła stanowczo. Musi coś zrobić ze swoim życiem. Musi częściej wychodzić z domu, poznać nowych ludzi, znaleźć pracę. Czasami łapała się na tęsknych wspomnieniach dni w towarzystwie budowlanym. Tam cały czas z kimś rozmawiała. Ale zanim się rozmarzy, musi posprzątać u kur.

Kury rosły zadziwiająco dobrze. Polubiła je i postanowiła, że z czasem powiększy swoje stadko. Cieszyła się na myśl o własnych jajkach i postanowiła zabrać się za ogródek, żeby zasadzić własne warzywa. I zioła, zdecydowała. Bazylia i rozmaryn, żeby ogródek pachniał. Bo pudełko kurcząt niestety śmierdziało.

Nikt nie uprzedzał, że kurze odchody tak cuchną, myślała pochylona nad pudełkiem. Kurczęta Fiñuli mieszkają w nowoczesnym kurniku, poinformował ją Matt, więc państwo Headley-Ryans nie muszą znosić smrodu. A smród był w rzeczy samej nie do wytrzymania.

- A fe! - Millie ostentacyjnie zmarszczyła nos.

- A ja myślałam, że lubisz kupy kurek - roześmiała się Hope. - Ciągle o nich papiesz.

Dzieci lubiły czas sprzątania, bo tylko wtedy mogły się pobawić z kurczakami. Przynajmniej oficjalnie. Hope parę razy przyłapała Millie pochyloną nad pudełkiem, jak wciskała tłuste paluszki w oczka siatki i próbowała złapać piszczącą żółtą kuleczkę. Na widok Millie kurczaki wpadały w panikę, biegały jak oszalałe, byle dalej od małych rączek. Hope wołała się nie zastanawiać, dlaczego sam widok córeczki wzbudza w nich taki strach.

Zdjęła drucianą przykrywkę, wyjęła pierwszego z brzegu kurczaka, wsadziła do mniejszego pudełka i dała Toby'emu potrzymać. Dobrze by było, gdyby wreszcie przełamał swój lęk przed wiejskimi zwierzętami.

Doszła do wniosku, że to ważniejsze od higieny, zresztą bez przesady, i tak zużywa tony środków bakteriobójczych. Toby spoglądał na kurczaka z zachwytem.

- A mój? - domagała się Millie. Hope podała jej małe pudełko.

- Który to? - zainteresowała się Millie. Od razu wsadziła rękę od środka, żeby ścisnąć ofiarę.

- Mopsy - skłamała Hope. Właściwie nigdy nie wiedziała, który jest który, bo na razie wszystkie wyglądały tak samo. Uroczyste chrzciny stanowiły rozrywkę na kilka dni; świetnie się bawiła, kiedy dzieci podrzucały propozycje imion. Millie upierała się przy imionach z historyjek Beatrix Potter i za nic nie dawała się przekonać, że Mopsy i Flopsy to imiona dla królików, nie kurcząt. Toby zaproponował, żeby jednego nazwać Miś (na cześć ukochanego pluszaka), a drugiego Thomas (aby upamiętnić bohatera dobranocki). Hope nazwała najmniejszego kurczaczka Fifi i zastanawiała się, jak ochrzcić ostatniego, dużego i tłustego. Millie zasugerowała, że może nazwą go Ciocia Finula.

- Nie możemy - zaprotestowała Hope i za wszelką cenę starała się nie roześmiać.

- Ale ja tak chcę - nalegała Millie.

- Dlaczego chcesz, żeby kurczak się nazywał Ciocia Finula? - Co prawda Hope zdawała sobie sprawę, że zapuszcza się w niebezpieczne rejony, ale nie mogła oprzeć się pokusie.

- Nie lubię jej. I nie lubię tego kurczaka - odparła Millie stanowczo. Pokazała Bogu ducha winne pisklę, duże i tak tłuste, że cienkie nóżki prawie załamywały się pod ciężarem.

Hope zagryzła usta.

- Nie możemy tak nazwać kurczaka. Prawdziwa ciocia Finula jeszcze się zdenerwuje.

Millie błysnęła oczami.

- Nic mnie to nie obchodzi!

Mary-Kate odniosła sukces; udało jej się namówić Virginie na wspólne wyjście. Często rozmawiały przez telefon i miały już za sobą pierwszą wspólną eskapadę - wybrały się do kina i Virginia w końcu poznała Delphine.

Teraz Mary-Kate namawiała ją na wypad do Wdowy Maguire następnego wieczoru.

- Tylko my trzy - namawiała. - Taki babski wieczór przed świętami.

Virginia nie miała na to ochoty i głowiła się, jak wykręcić się od spotkania, nie sprawiając przy tym przykrości nowym przyjaciółkom.

Dziwna z nich trójka, dumiała. Pozornie cicha Mary-Kate, ona, pogrążona w żalobie, i Delphine z charakterystyczną celtycką urodą i szalonym gustem, jeśli chodzi o ciuchy. Dla niej normalny strój to, powiedzmy, garnitur w prążki i koszulka z głębokim dekoltem - to wersja bardziej oficjalna, albo suknia z fioletowego aksamitu i ogromne ilości sztucznej biżuterii, gdy chciała się bawić.

W Dublinie, w dawnym życiu, Virginia nie przyjaźniłaby się z tak odmiennymi ludźmi. Wszystkie jej przyjaciółki były w podobnym wieku, miały mężów i dorosłe dzieci, i zawsze rozmawiały na te same tematy. Narzekały, że mężowie późno wracają do domu, i rozważały wady i zalety zięciów i synowych. Teraz Virginia źle się czuła w ich towarzystwie; za bardzo jej przypominały, co straciła. Rumieniły się ze wstydu, gdy przy niej narzekały na swoich mężów. Były dobre i miłe, lubiły ją, starały się szybko zmienić temat, ale Virginia była realistką. Wiedziała,

o czym rozmawiają stare mężatki: o mężach i dzieciach. To nie ich wina, że ten temat doprowadzał ją do łez.

Nowe przyjaciółki były zupełnie inne. Mary-Kate miała czterdzieści cztery lata. Pozornie była konserwatywna i zamknięta w sobie, w rzeczywistości zadziwiała oryginalnym podejściem do życia. Może i wygląda skromnie w staromodnych okularach i szarej sukience, ale jest dowcipna i złośliwa. I jest w niej jakiś smutek, Virginia to wyczuwała; pewnie właśnie dlatego od razu poczuły do siebie sympatię.

Delphine miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, mieszkała z Eugene'em, uroczym misiowatym mężczyzną, i pracowała w salonie piękności w luksusowym hotelu, siedem kilometrów za Redlion. Manoir Rouge Leon jest tak ekskluzywny, że zasługuje na sześć gwiazdek, zapewniała Mary-Kate. A zarządza nim przystojniak, na widok którego pod wszystkimi kobietami uginają się nogi, dodała i zauważyła z komicznym smutkiem, że nie wiadomo dlaczego nigdy nie zajrzał do apteki i nie zaprosił jej na randkę.

- Christy De Lacy nie jest w twoim typie - roześmiała się Delphine. - Zawsze mówiłaś, że liczy się serce mężczyzny, nie jego twarz.

- Jeśli naprawdę jest tak przystojny, jak o nim mówią, zrobię dla niego wyjątek - odcięła się ciotka.

Delphine była jej siostrzenicą i chrześnicą. Kiedy Mary-Kate polubiła Virginie, przekonała się do niej także Delphine. Zabrały ją do kina, a teraz planowały wypad do Wdowy Maguire, żeby posłuchać dobrej muzyki, smacznie zjeść i napić się wina. Virginia miała na to mniej więcej taką ochotę jak indyk na Święto Dziękczynienia.

- Chyba mam migrenę - skłamała w rozmowie telefonicznej z Delphine. Uznała, że łatwiej będzie przekonać siostrzenicę niż ciotkę.

- Masz migrenę przed wieczorem w Maguire? To nas wyprzedzasz!

-zażartowała Delphine. - Bo ból głowy jest później. Słuchaj, dzisiaj grają Nashville Springtime Girls, a one są rewelacyjnie fatalne!

Virginia roześmiała się wbrew sobie.

- Jestem zmęczona - nie dawała za wygraną.

- Daj spokój - ucieła Delphine śpiewnym akcentem z Kerry. - Idziesz z nami i już.

Nashville Springtime Girls ustawiały instrumenty, gdy trzy przyjaciółki weszły do Wdowy Maguire i usiadły przy stoliku w rogu, jak naj-dalej'od głośników.

Springtime Girls chyba mająpoczucie humoru, stwierdziła Virginia, przynajmniej sądząc po ich nazwie; zespół stanowiły panie mniej więcej w jej wieku.

- Dobrze, że przyszedliśmy wcześniej - zauważyła Mary-Kate, moszcząc się na poduszce ukradzonej z sąsiedniej ławy. - Strasznie bołą mnie plecy, ale wzięłam dwie tabletki przeciwbólowe i zaraz będzie dobrze.

- Więc teraz nie możesz pić - oburzyła się Virginia. - Nie wolno łączyć lekarstw i alkoholu.

- Nie marudź - poprosiła Mary-Kate spokojnie. - Mam takie nudne życie, że odrobina szaleństwa mi nie zaszkodzi. Zresztą jestem farma-ceutkaj zapewniam cię, że przy tych lekarstwach można pić.

- W takim razie poproszę kilka fiolek na święta - jęknęła Delphine. -Może dzięki nim jakoś przetrwam ten koszmar.

Virginia wzdrygnęła się na samą myśl o świętach Bożego Narodzenia. Najchętniej usunęłaby je z kalendarza. W zeszłym roku była półprzytomna po środkach uspokajających; w tym musi sobie jakoś poradzić bez nich.

- Co robicie z Eugene'em na święta? - zainteresowała się. Starła się mówić normalnie. To, że dla niej święta to koszmar, nie oznacza jeszcze, że inni mają reagować tak samo.

Delphine pobladła, ciemnozielone oczy zaszyły mgłą. Mary-Kate poklepała jej dłoń.

- Przepraszam - spieszyła się Virginia. - Nie chciałam powiedzieć nic złego. - Chyba nie wiedziała wszystkiego o Delphine i Eugenie. Ale Delphine zawsze opowiadała o nim z taką miłością, nie sposób sobie wyobrazić, że się kłóca.

- Nie ma za co, naprawdę. - Delphine pociągnęła nosem.

- Nie musisz mi nic mówić, to twoja sprawa. - Virginia była zła, że zdenerwowała nową przyjaciółkę.

- Nie, nie, chętnie ci opowiem, zrozumiesz - zapewniła Delphine. -Widzisz, chodzi o Eugene'a i święta Bożego Narodzenia. Jest rozwodnikiem i... - Z trudem przełknęła ślinę.

Mary-Kate podsunęła jej drinka i dokończyła:

- Moja ukochana siostra Pauline uważa, że żonaci mężczyźni nie powinni się rozwodzić, i święcie wierzy, że Delphine przekreśla swoje szanse na zbawienie i życie wieczne, wiążąc się z Eugene'em. Nie rozmawia z nim. Nie wpuszcza go do domu i dopiero niedawno zaczęła się w ogóle odzywać do Delphine. Jak na razie „rozmowa” to jej tyrada na temat „kiedy w końcu przejrzysz na oczy i zostawisz tego bezwstydnika?”

- Święta będą okropne - chlipnęła Delphine. I Virginia, i Mary-Kate objęły ją serdecznie.

- W zeszłym roku nie wiedziała o nim, ale teraz mieszkamy razem... - Delphine wytarła oczy serwetką. - Ciągłe powtarza, że na święta mam wrócić do domu, że to boże święto, że żyję w grzechu i teraz już nie mam szans na ślub kościelny. Zabije mnie, jeśli nie wrócę do domu, a przecież nie zostawię Eugene'a samego, nie mogłabym.

- Nie możesz jej jakoś przekonać? - Virginia zwróciła się do Mary-Kate.

- Nie znasz mojej siostry - stwierdziła ponuro Mary-Kate. - Kiedy Bóg rozdawał współczucie i zrozumienie, była na samym końcu kolejki, za to załapała się na maksymalną dawkę uprzedzeń i zapisała się do superligi plotkarek.

- Ty za to masz współczucia za was dwie - zażartowała Virginia, chcąc jakoś rozładować atmosferę. - Delphine ma szczęście, że tu jesteś.

Delphine uśmiechnęła się lekko.

- Gdyby nie Mary-Kate, zwariowałabym - powiedziała. - Idę się umalować - zdecydowała. - Stracę pracę, kiedy ludzie zobaczą mnie z rozmazanym makijażem.

Szła energicznie, kasztanowe loki podskakiwały przy każdym kroku. Niejeden mężczyzna się za nią obejrzał. Nawet obszerny męski sweter i długa jedwabna spódnica nie skrywały rubensowskich kształtów.

- Biedactwo - zamyśliła się Virginia. - Nie chciałam jej zdenerwować.

- To nie twoja wina - westchnęła Mary-Kate - Tylko cholernej Pauline.

Virginia nie wierzyła własnym uszom. Do tej pory nie słyszała, żeby Mary-Kate przeklinała.

- Na Boga, nie wiem, jakim cudem jesteśmy siostrami. Różnimy się całkowicie. Pauline nie ma za grosz wyrozumiałości - złościła się Mary-Kate. - Doprowadza tę biedną dziewczynę do łez, a potem pierwsza biegnie do komunii.

- Przecież w dzisiejszych czasach tylu ludzi się rozwodzi - dziwiła się Virginia. - Czasy się zmieniły, nawet Kościół musi to zrozumieć. Moja przyjaciółka z Dublina była w radzie parafialnej i wiesz, mieli specjalne szkolenia, żeby tak samo traktować wszystkich rodziców, bez względu na to, czy są małżeństwem, czy nie. Takie wąskotorowe myślenie to już przeszłość.

Mary-Kate roześmiała się gorzko.

- Zanim Pauline zmieni zdanie na temat nierozzerwalności węzłów małżeńskich, Watykan mianuje kobietę kardynałem. Oczywiście, ma prawo do swoich poglądów, ale nie może żądać od córki, żeby żyła według jej zasad.

- A ojciec Delphine? Też jest tego zdania? Zobaczyły, że Delphine wraca z łazienki.

- Mój szwagier, Fonsie, świetnie się rozumie z Eugene'em, ale za bardzo boi się Pauline, żeby cokolwiek powiedzieć. Dla niego aktem buntu jest kupowanie brukowców. Bo ona oczywiście czytuje tylko porządne gazety.

Mary-Kate zwróciła się do siostrzenicy.

- Delphine, zamów coś do picia, usychamy z pragnienia. I opowiedz, jak ci minął dzień.

- Lepiej nie pytaj. Robiłam manikiur tej suce z telewizji, Miriam Concannon. Ma w hotelu piękny apartament. Jak szalona flirtowała dzisiaj z Christym, a w przerwach narzekała na cały świat. Uwierzcie mi, może w telewizji wydaje się słodka i miła, ale to wredna baba, pewnie myśli, że po wizycie w toalecie zostaje po niej czekolada i perfumy - prychnęła Delphine.

- Skąd ty znasz takie teksty? - zainteresowała się Mary-Kate.

- Spotykam ciekawych ludzi - wyjaśniła Delphine. - Niektórzy mają bogate słownictwo. To podobno dublińskie powiedzonko. Słyszałam jeszcze jedno...

- Delphine - ostrzegła ciotka - Virginia nie przyszła tu, żeby wysłuchiwać świństw. Jak ci minął dzień?

Jadły, piły i wysłuchiwały całego repertuaru Springtime Girls; były to smętne piosenki o miłości i o tym, że na mężczyznach nie można polegać.

- Wydawało mi się, że przyszłyśmy się zabawić - mruknęła Mary-Kate po kolejnej rozpaczliwej balladzie o kobiecie, która miała skłonność

do niewłaściwych mężczyzn. - Jeśli nie przestaną tak smęcić, wracam do apteki po kolejną dawkę proszków.

Delphine miała słabą głowę i cztery guinnessy wystarczyły, żeby humor jej się poprawił.

- To wyślij paczkę mamie, dobrze? Przydadzą się jej - zachichotała i nagle spoważniała. - Dzisiaj do niej dzwoniłam. Rozmawiała ze mną półsłówkami.

- Cóż, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - zażartowała Mary-Kate. - Moja siostra na ogół gada jak nakręcona - wyjaśniła Virginia - A ty, moja droga - poklepała Delphine po kolanie - musisz częściej spotykać się z normalnymi ludźmi i uwierzyć, że nie wszyscy są tacy ograniczeni jak twoja matka. Chyba czas przywrócić do życia Koło Ma-kramy.

Delphine uniosła głowę.

- Zawiesiło działalność po wyjeździe Aggie, ale rzeczywiście powinniśmy je reaktywować - powiedziała do Virginii.

Virginia była zaintrygowana.

- Makrama? Nie spodziewałam się, że interesują was robótki ręczne. Mary-Kate i Delphine spojrzały na siebie znacząco.

- Najważniejsza robótka ręczna to zrobić dobre martini - wyjaśniła Mary-Kate uroczyście.

- Pamiętasz *Czarownice z Eastwick!* - dodała jej siostrzenica.

- Ale ja jestem Cher i biorę Jacka Nicholsona dla siebie - ciotka wpadła jej w słowo. - Spotkamy się po świętach. Przyjdiesz, prawda, Virginio?

- Co mam przynieść? - zapytała. Może pozwolaj jej zająć się szydełkowaniem zamiast makramą.

- Gin - podsunęła Delphine. - Albo wódkę. Robótki ręczne to ostatnia rzecz, jaką się zajmujemy.

- Ale skąd nazwa?

Mary-Kate uśmiechnęła się szeroko.

- Początkowo nie było żadnej nazwy. Ot, spotykałyśmy się co jakiś czas i tyle. Ale potem do Redlion sprowadziła się Finula Headley-Ryans. Za wszelką cenę chciała we wszystkim uczestniczyć, a żadna z nas jej nie lubi, więc powiedziałyśmy, że zajmujemy się robótkami ręcznymi. Uznałam, że makrama brzmią wyjątkowo odstręczająco. Finula nie zainteresowałaby się czymś tak trywialnym i pospolitym. I tak nazwa przyłgnęła. Poza tym dzięki niej moja kochana siostrzyczka trzyma się od nas z daleka. Pauline uznałaby, że to świetne miejsce do gromadzenia nowych plotek, a nam nie o to chodzi. O, zobaczcie, Hope. - Mary-Kate wskazała

głową Parkerów, gdy wchodzili bocznym wejściem. - Matt to najnowszy adept sztuki pisarskiej w centrum, Hope to jego żona - wyjaśniła Delphine i Virginii. - Jest urocza. Jej chyba też przydałoby się trochę makramy.

Virginia ciekawie obserwowała nieznaną parę. Dobrze, że już nie jest najnowszą mieszkanką. Hope i Matt nie wyglądają na typowych członków wspólnoty artystycznej. Po pierwsze, Hope miała na sobie zwykłe czarne dżinsy, granatową kurtkę i prostą koszulę, a nie ekstrawaganckie kreacje w stylu Finuli Headley-Ryans. Virginia spotkała Finulę tylko raz, w aptece, i nie wyczuła w niej pokrewnej duszy. Hope była ładną skromną, staroświecką urodą, ale nikła przy zabójczo przystojnym mężu.

- Niezły, co? - Delphine przyglądała mu się z zachwytem, chłonęła wzrokiem wysoką, ciemną sylwetkę.

- Czy to ostatnia ofiara pani H.R.?

- Niestety. - Mary-Kate pokiwała głową. - Biedna Hope chyba nawet nie wie, co ją spotkało. Jest bardzo samotna i wstydzi się do tego przyznać.

- Dobrze ją znasz? - zdziwiła się Virginia. Delphine parsknęła śmiechem.

- Cóż za pytanie! Mary-Kate zna wszystkich i wszystko!

- Ładnie tu, prawda? - Hope rozglądała się z ożywieniem. Spodobało jej się w pubie. Tak tu przytulnie, staroświecko. Pod sufitem wisiały zabytkowe garnki, lampy naftowe i inne przedmioty sprzed stu lat.

- Mogliśmy iść do Finuli - zauważył Matt. - Przygotowała jakieś tradycyjne irlandzkie danie.

- Przecież tutaj też podają tradycyjne irlandzkie dania - zauważyła i uśmiechnęła się z trudem. Wcześniej się pokłócili, bo Matt chciał się wycofać ze wstępnej obietnicy, że zabierze ją na kolację. Tłumaczył, że Finula zaprosiła ich do siebie.

- To miło z jej strony, ale chyba odmówiłeś? - Hope zazgrzytała zębami ze złości. A tak się namęczyła, żeby znaleźć opiekę do dzieci.

- Cóż, właściwie nie...

- Więc zrób to - warknęła i przysiadła na łóżku, żeby się umalować.

- Dobrze, dobrze. Nie denerwuj się.

Po rozmowie z Finulą wrócił skruszony.

- Powinienem był odmówić od razu - stwierdził. - Teraz ona jest zła, ty jesteś zła...

Hope natychmiast przestała się malować i podniosła na niego wzrok.

- Kochany, nie jestem zła, skądże. Po prostu chciałam, żebyśmy spędzili trochę czasu we dwoje.

- Masz rację. - Pocałował ją w czubek głowy. - Straszny ze mnie egoista. Powinnaś zobaczyć coś więcej niż tylko dom Finuli.

Hope uśmiechnęła się pod nosem. Była tego samego zdania. Przez ostatnie kilka tygodni Matt skupił się wyłącznie na sobie i zapomniała już, że kiedy zechce, czyta w jej myślach.

- Przyniosę kartę - zaproponował, kiedy weszli do pubu. Zamówili małże i pieczywo czosnkowe; Matt wziął guinnessa, a Hope czerwone wino.

- Spróbuj - podsunął jej kufel z czarnym płynem. - Polubisz.

- Obrzydlistwo - mruknęła, gdy upiła łyk. Szkoda, że nie można tego jakoś wypluć.

Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, rozglądali się po pubie i chłonili atmosferę. Zbierało się coraz więcej gości, niektórzy sporo pili i sprawiali wrażenie, jakby chcieli zostać w pubie do późnego wieczora. Była to ciekawa zbieranina ludzi: w jednym kącie dwóch posepnych brodaczy smętnie zaglądało do kufli z piwem, a elegancka blondynka, którą Hope dwa razy widziała przed agencją nieruchomości, przekonywała o czymś skruszonego mężczyznę bez marynarki, za to z plamami potu pod pachami. To pewnie kłótnia zakochanych, domyśliła się. Dostrzegła także Mary-Kate w towarzystwie dwóch nieznanymi kobiet; jedna była młoda i piękna, druga starsza, smutna i elegancka. Hope miała ochotę się przywitać, ale nie chciała przeszkadzać.

- Jak ci dzisiaj szło pisanie? - ostrożnie zwróciła się do Matta. Rzadko pytała go o powieść, wyczuwała instynktownie, że nie chciał na ten temat rozmawiać.

- W porządku - mruknął.

- Na pewno doskonale. Jesteś taki zdolny - powiedziała. - Pamiętasz tamtą kampanię dla funduszu emerytalnego? Klient odrzucił osiem pro-pozycji, a ty błyskawicznie wymyśliłeś dziewiątą.

- Och, tak - roześmiał się. - Ale to nie to samo. Kampanie reklamowe to co innego niż pisanie powieści, przekonuję się o tym na własnej skórze.

- Opowiedz mi - poprosiła. Ich palce splotły się pod stołem. Matt zacisnął dłoń.

- Proszę, nie rozmawiajmy o pracy. - Założył jej kosmyk włosów za ucho. - Wiem, że nie chciałaś tu przyjeżdżać - dodał miękko. - Ale to nam dobrze zrobiło, prawda? Redlion to magiczne miejsce, sprawia, że stajemy się lepsi. Pomyśl, gdybyśmy byli w domu, na Maltings Lane,

dopiero wracałbym z pracy, a ty padałabyś z nóg po całym dniu poza domem, z dala od dzieci. Powoli skinęła głową.

- Tak, i złościłabym się, bo kolacja wystygła, i przez cały wieczór nie miałam do kogo otworzyć ust.

- A później poszłabyś do łóżka, a ja oglądałbym sport do późna w noc, bo nie chciałoby mi się iść spać i patrzeć na twoje zimne plecy - skrzywił się na to wspomnienie.

- Zimne plecy w niedotykańskiej flaneli - uzupełniła ze śmiechem. Miała na myśli absolutnie nieerotyczne koszule nocne, które wkładała, gdy była zła na Matta. W ten sposób dawała mu do zrozumienia, że jest wściekła. Zawsze to łatwiejsze niż rozmowa.

Podano jedzenie. Matt z apetytem zjadał pyszne małe w sosie czosnkowym. Cały czas trzymał Hope za rękę. Umoczył kawałek chleba w sosie i podsunął jej do ust. Zjadła posłusznie.

- Dobrze nam tutaj - stwierdził z pełnymi ustami. Skinęła głową.

- Tak, ale jest mi ciężko, bo mam wrażenie, że nie mam tu nic do roboty. Przykro mi - wycofała się zaraz - ale często czuję się samotna. Chętnie poszłabym do pracy na pół etatu. Dobrze, że tyle czasu spędzam z dziećmi, ale nigdy się z nikim nie widuję, jestem wiecznie sama...

Urwała. Miała wyrzuty sumienia, że to powiedziała. Tak często wyobrażała sobie, że ma dla dzieci więcej czasu, a teraz... Tylko że tak trudno przyzwycząić się do samotności. W Bath zawsze były jakieś koleżanki. Lunch z Betsey, w pracy plotki z Yvonne i Denise, w weekendy wizyty Sam; tutaj nie miała nikogo.

Matt westchnął głęboko. Nie miał ochoty na awanturę. Pracował ciężko przez cały dzień, starał się jak mógł, a bohater jego powieści ciągle był jakiś taki sztuczny i niedorobiony.

- Przykro mi, Hope - starał się nie okazać irytacji. - Nie chcę być samolubny. Codziennie pracuję. Zrozum, to ciężka harówka. Nie jest mi łatwo.

Spojrzała na niego gniewnie. Nie do wiary. Samolubny to za mało powiedziane.

- Nie jest ci łatwo? - syknęła. - A co ja mam powiedzieć? Kocham dzieci, tak, ale nie jest łatwo siedzieć z nimi w domu całymi dniami!

- Wiem, że... - zaczął.

- Nie, nic nie wiesz - nie dała mu dokończyć. - Nie mógłbyś kilka dni w tygodniu pracować w domu, żebym i ja mogła wyjść sama? Albo pracować na pół etatu?

- A co ty niby chcesz robić? - zdziwił się. - Sprzedawać w sklepie? A może nalewać piwo w pubie?

-Nie wiem - warknęła. - Nieważne, liczy się fakt, że będę coś robić. Pracowałam przez całe życie i wcale niełatwo przyszło mi z tego zrezygnować. A zrobiłam to dla ciebie - przypomniała mu. - I teraz znowu chcę być niezależna. Miejsce w przedszkolu zwolni się najwcześniej za miesiąc, nie wiem, czy wytrzymam jeszcze cztery tygodnie pogrzebana żywcem, podczas gdy ty płodzisz nieśmiertelną powieść.

Matt wołał nie myśleć, jak kiepsko mu to idzie.

- Czuję się samotna - ciągnęła Hope. - Nasze życie towarzyskie ogranicza się do spotkań z Finulą. Nie mam tu żadnych znajomych, żadnych koleżanek. Gdybym pracowała, byłoby mi łatwiej.

- A niby jak mam pisać i zajmować się dziećmi? - zapytał Matt. Hope dała sobie spokój. Jedli w milczeniu i słuchali muzyki. Hope

myślała o swoich pragnieniach, o tym, że chciałyby spędzać trochę czasu z innymi dorosłymi, chciałyby poczuć się czasami kimś innym niż tylko żoną i matką. Matt tego nie rozumie. Uważa, że on i dzieci powinni jej wystarczyć. Ale nie wystarczą. Praca dawała jej pewność siebie. Do niedawna sama nie zdawała sobie z tego sprawy, szczerze mówiąc. Teraz czuła, jak z każdym dniem traci wiarę we własne siły. Jeszcze trochę i zupełnie zdziczeje.

Matt posepnie gapił się w stół i zamartwiał powieścią. Czy wielcy pisarze mają ten problem? Czy im też brakuje pomysłów?

- Cześć, Hope.

Jednocześnie podnieśli wzrok i zobaczyli Mary-Kate i jej towarzyszkę: elegancką siwą i zgrabną rudowłosą.

- Wychodzimy, zanim popękają nam bębenki - poinformowała Mary-Kate. - Chciałabym ci przedstawić Delphine i Virginie.

Matt w jednej chwili z pochmurnego stał się czarujący.

- Musisz się z nami wybrać na babski wieczór - stwierdziła Delphine. - Niedługo urządzimy takie spotkanie.

Hope entuzjastycznie pokiwała głową; z radości miała łzy w oczach.

- I ty mówisz, że nikogo nie znasz - stwierdził Matt, gdy kobiety wyszły.

- Rzeczywiście urocza - przyznała Virginia, gdy żegnała się z Mary-Kate i Delphine przed pubem. - Ale chyba bardzo spięta. Masz rację, Mary-Kate, wydaje się bardzo samotna.

Delphine uśmiechnęła się szeroko.

- Wkrótce to zmienimy.

Rozdział 8

Nie, nie, nie rób mi tego - zaklinała gardłowo wokalistka Hot Banana, żeńskiego zespołu z Alabamy; w tle zawodziły skrzypce, rytmicznie pulsowała perkusja.

Przy stole siedziało dziewięć osób, wszyscy mieli przed sobą gęsto zapisane arkusze sprawozdań, długopisy w pogotowiu i kubki z gorącą kawą. Kubki były plastikowe, bo fajansowe, z logo firmy, szybko znikają.

Na ogromnym ściennym ekranie dziewczyny z Hot Banana tańczyły z ciemnoskórymi tancerzami; pięć drobnych, szczupłych blondynek w muskularnych męskich ramionach. Liderka, blondynka o najdłuższych włosach i w najkrótszej minispódniczce, wydeła silikonowe usta i wydyszała ostatnie słowa prosto do kamery. Miała dziewiętnaście lat, wyglądała na siedemnaście i była ucieleśnieniem erotycznych marzeń recydywistów z długimi wyrokami.

- Dobry klip - orzekła Sam, odwracając się od ekranu. Sięgnęła po kubek, w którym musowały środki przeciwbólowe. Bolało ją całe podbrzusze; jak przy miesiączce, ale dużo bardziej. Zamieszała w kubku długopisem. - Co z nagraniem dla telewizyjnej listy przebojów? Tancerze z nimi nie przyjadą, mam nadzieję? Rachunek za hotel byłby astronomiczny.

Nie - zapewniła Karen Storin, która organizowała przyjazd Hot Banana. - Menedżer załatwił dla nich choreografa, tego, który przygotował zeszłoroczną uroczystość z okazji rozdania nagród MTV. To pracowite dziewczyny, Sam. I strasznie im zależy, żeby podbić Europę. - Zajrzała do notatek. - Ich płyta jest na siódmym miejscu w Stanach. Jeśli dostaną trochę czasu na antenie MTV, uda im się i tutaj.

- Świetnie. - Sam wypiła lekarstwo, krzywiąc się z niesmakiem. -Więc co z nimi zrobimy?

Przez następny kwadrans omawiali plany firmy co do Hot Banana, których pierwsza płyta miała się ukazać w Anglii w kwietniu, za trzy miesiące. Zaplanowano serię wywiadów i występy w telewizji; Karen zdołała też załatwić okładkę w pozytywnym magazynie muzycznym. Dziewczyny miały nawet wystąpić w sobotniej audycji dla dzieci, w dłuższych spódniczkach, żeby nie zgorszyć rodziców. Gotowe były koszulki z logo zespołu i efektowne breloczki.

Poza tym przez miesiąc dziewczyny będą występowały w centrach handlowych w całym kraju, a na pięciu koncertach wystąpią jako support

dla boys-bandu El Mega, numeru dwa na listach przebojów. Po krótkiej naradzie uznano, że Hot Banana muszą mieć opiekuna z ramienia Titus Records na czas całego pobytu w Wielkiej Brytanii.

- Pilnuj ich - radziła Karen. - Podobno dwaj chłopcy z El Mega eksperymentują z twardymi narkotykami.

Wszyscy się skrzywili. Wiedzieli, jak to jest - najpierw zainwestować w zespół, harować, a potem patrzeć, jak mniej odporni z zespołu wybierają najgorszy wariant rockandrollowego życia. A przecież boys-band, jak El Mega, miały bardzo młodą, głównie żeńską publiczność, i ich wizerunek powinien być nieskazitelny. Jedna wzmianka o heroinie i po karierze.

- Wkurzają mnie - wybuchła Cheryl. Do niedawna zajmowała się boysbandem LLBoys, niestety, chłopcom się nie powiodło, ich miejsce zajęli właśnie El Mega. - Nie mają za grosz talentu, mają za to czelność wychodzić na scenę i udawać, że napisali te wszystkie piosenki!

Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Cheryl, gdyby na listach przebojów byli tylko wykonawcy, którzy sami napisali swoje utwory, to zamiast pierwszej setki mielibyśmy pierwszą trójkę! - zażartował ktoś z reklamy.

Cheryl się zarumieniła.

- Dobrze, przejdźmy teraz do Enchanting - ponagliła Sam. O piątej miała inne zebranie i chciała omówić wszystko, zanim wyjdzie.

Kontrakt z Enchanting podpisał poprzednik Sam, ale nie wydano jeszcze żadnej płyty. Steffi i Kątya Ceci, dwie siostry z Londynu, siedemnastolatki, śpiewały niemal identycznym sopranem. *Jerusalem* w ich wykonaniu dosłownie wyciskało łzy z oczu. Titus Records marzyła się własna Charlotte Church, nastoletnie cudowne dziecko z Walii, której anielski głos sprzedawał miliony płyt, i dlatego wytwórnia wzięła pod swoje skrzydła utalentowane siostry, ale, jak Sam się przekonała, dziewczyny absolutnie nie nadawały się na gwiazdy.

Były bardzo nieśmiałe, podczas wywiadów prawie się nie odzywały. Pani Ceci najwidoczniej ulokowała w córkach swoje chore ambicje i za wszelką cenę pchała dziewczynki do kariery, nie zważając na nic. Karen twierdziła nawet, że ta upiorna kobieta podaje córkom silne środki uspokajające przed każdym koncertem. Podejrzewała także, że Steffi cierpi na anoreksję, i obawiała się, że dziewczyny nie uporałyby się ze stresem popularności i nie zniosłyby krytycznych opinii. Kariera w show-biznesie oznacza życie w świetle reflektorów, a nie każdy potrafi udźwignąć ten ciężar.

Przez ostatnie pół roku dziewczyny nagrywały debiutancki album; teraz, gdy płyta miała się lada dzień ukazać, były na skraju załamania

nerwowego, umierały ze strachu na samą myśl o występach. Ich matka tymczasem przepuszczała zaliczkę w najdroższych sklepach, kupując sobie wyzywające kreacje na imprezy promujące płytę.

- Pani Ceci dzwoniła dzisiaj rano. Wiedziała, że mamy zebranie - zaczęła Karen znużonym głosem.

- Ciekawe skąd? - zainteresowała się Sam.

- Nie wiem. Ta kobieta jest jak FBI, wie wszystko. Nie daję sobie z nią rady. - Karen się wzdrygnęła. - Chciała tu przyjść.

Sam uniosła brwi.

- Tutaj? - Na zebrania marketingowe przychodzili tylko pracownicy. Na prezentacje kampanii czasami zapraszano gwiazdy i menedżerów, ale tylko gwiazdy pierwszej wielkości.

- Wydzwaniała do mnie przez cały tydzień, twierdzi, że nic nie może się odbyć bez jej wiedzy, bo na pewno zaprzepaścimy szanse jej dziewczynek! To cytat - dodała Karen.

- Może powinnam z nią porozmawiać i wyjaśnić, jak tu załatwiamy pewne sprawy - mruknęła Sam posepnie.

Wszyscy uśmiechnęli się pod nosem, próbując sobie wyobrazić, jak Sam Smith rozmawia z panią Ceci. Biedna kobieta myśli, że da sobie radę z każdym - niech no tylko dostanie się w ręce Sam.

Dali spokój niefortunnym siostronom i skupili się na przystojniaczku z Ameryki Łacińskiej. Jego płyty rozchodziły się w milionowych nakładach i nic nie zapowiadało, że ten trend się zmieni.

- Dzięki Bogu, jest jeszcze Manolo - mruknęła Sam, patrząc na dane ze sprzedaży dwóch ostatnich albumów. Odpowiedzialny, inteligentny, obowiązkowy i rozsądny, Manolo nie sprawiał żadnych kłopotów. Dzięki niemu odzyskają przynajmniej część pieniędzy, które zainwestowali w jak na razie bezużyteczne siostry Ceci.

Sam spojrzała na okładkę płyty; Manolo w rozpiętej koszuli, olśniewająco białej przy śniadej skórze. Przypomniawszy jej innego przystojnego mężczyznę w białej koszuli, mężczyznę o namiętych oczach i zniewalającym wdzięku.

- Profesjonalista w każdym calu - podsumowała Karen z zadowoleniem, gdy wyliczyła długą listę występów, na które zgodził się Manolo. - Czekają go trzy dni wywiadów dla prasy i telewizji. O ile go znam, ani razu się nie poskarży.

- Świetnie - mruknęła Sam, starając się nie myśleć o nowym sąsiedzie. Nie widziała go od tamtego ranka po przyjęciu, chociaż roboty szły pełną parą, robotnicy hałasowali od rana do nocy. Często dyskretnie wyglądała przez okno zza firanki, ale ani razu go nie dostrzegła.

- Skoro mowa o skargach - wtrącił się jeden z zebranych. - Znowu mamy problem z Density.

Sam poczuła bolesny skurcz w podbrzuszu. Może to stres; na sam dźwięk nazwy zespołu zaczynała się denerwować.

- Co znowu? - zapytała. Karen ucięła rozmowę:

- Później o tym porozmawiamy, Sam, dobrze? - Posłała jej znaczące spojrzenie.

Sam skinęła głową. Więc dalsze kłopoty. Nie może być inaczej, skoro Karen chce o tym porozmawiać w cztery oczy.

Przez następną godzinę omawiali zespoły rockowe, piosenkarza sou-lowego i grupę śpiewających babć, które wygrały konkurs młodych talentów i niedawno podpisały pierwszy kontrakt. Sam wierciła się na krześle i daremnie szukała wygodnej pozycji. Bolał jąbrzuch. Nie pomagały środki przeciwbólowe. Może zażyła za mało, pomyślała z nadzieją. Ale jeśli już teraz czuje się fatalnie, co będzie, kiedy dostanie miesięczkę?

Wreszcie zebranie dobiegło końca.

- Dziękuję wszystkim - powiedziała, na próżno starając się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną - stwierdziła Karen, gdy wszyscy wyszli.

- Mało snu - skłamała Sam ze znaczącym uśmiechem.

- Szczęściara - roześmiała się Karen. - A ja w łóżku oglądałam *Alfy McBeal*.

Ja też, dodała Sam w myśli.

W swoim gabinecie zerknęła do lusterka; była szara na twarzy, szara i spocona. To wcale nie zmęczenie, raczej jakaś choroba. Szybko nałożyła kolejną warstwę makijażu i wrzuciła do kubeczka nową porcję środków przeciwbólowych. Wołała nie sprawdzać zalecanej dawki, pewnie już ją przekroczyła.

Czekała ją trudna rozmowa na temat *Enchanting* ze Steve'em i dwoma księgowymi. Album dziewcząt kosztował fortunę, koszty produkcji teledysku przekroczyły budżet, bo dni zdjęciowe się przeciągały; reżyser robił co w jego mocy, by sprowokować dziewczyny do uśmiechu.

Steve'a ciekawiło, dlaczego przesunięto datę promocji płyty.

- Przez takie numery stawiamy się w złym świetle - warknął, zapalając cygaro rozmiarów rakiety.

Sam nie miała siły go czarować.

- Wiem - warknęła. - Ale popełniliśmy podstawowy błąd, podpisując z nimi kontrakt. I dobrze o tym wiesz, Steve - spojrzała mu prosto

w oczy. - Ja i mój zespół obrywamy cięgi za duet, którego wcale nie ściągaliśmy do firmy, więc nie ochrzaniaj mnie za opóźnienia. Kiedy mówimy, że będziemy mieć szczęście, jeśli sprzedamy trzydzieści tysięcy pfył, jesteśmy szczerzy, i tyle. Moim zdaniem, możemy mówić o szczęściu, jeśli uda nam się odzyskać połowę zainwestowanej sumy. Wobec problemów, jakie mamy z tymi dziewczynami, to i tak byłby sukces.

Steve znieruchomiał, zdumiony taką śmiałością.

- No dobra - mruknął, kiedy już odzyskał mowę. - Wał, co myślisz. Sam utkwiała w nim wzrok.

- Steve, wzięliśmy sobie na głowę dwie chorobliwie zestresowane nastolatki, w dodatku jedna jest prawdopodobnie anorektyczką. W ogóle nie chcą śpiewać, jeśli w studiu jest ktoś obcy. Mają głos, fakt, ale nie nadają się na gwiazdy. Ta cała kariera to marzenie ich upiornej matki, nie ich. Gdyby ta baba umiała śpiewać, sprzedałaby już miliony płyt, nic jej nie przeraża, za to jej córki boją się wszystkiego.

Wylansowanie Enchanting graniczy z cudem. Jeśli się uda, świetnie, ale w tej chwili najrozsądniej będzie wydać album i zobaczyć co dalej, nie lansować dziewczyn na siłę. Jeśli wolisz, żeby dyrektor generalny kłamał ci prosto w oczy, zwolnij mnie. Jasne?

Dwaj księgowi mrugali z niedowierzaniem. Steve ryknął śmiechem.

- Wiesz, Smith, niezły z ciebie numer. Kiedy cię zatrudniliśmy, mieliśmy szczęście, tyle ci powiem.

Księgowi też się roześmiali, gdy zobaczyli, że Steve nie rozerwał jej na strzępy. Nawet Sam zdobyła się na blady uśmiech. Potem zajęli się sprawą zwolnień. Dziękowała Bogu, że Steve nie kwestionował jej propozycji.

Straciłby dla niej cały szacunek, gdyby się dowiedział, że robiła co w jej mocy, by pracę zachowała zarówno kobieta w ciąży, jak i chłopak, który wziął kredyt na mieszkanie. Sam głowiła się nad tym problemem wiele godzin, aż znalazła rozwiązanie: trzy osoby z jej działu od pewnego czasu szukały innej pracy, więc chętnie przyjmą sowitz odprawę i pochlebne referencje. Teraz czekała na ostatniego ochotnika.

Dochodziła ósma, kiedy wyszła z pracy, prosto w strugi deszczu. Nie dość, że lało, to jeszcze było przeraźliwie zimno, w skórzanym płaszczu dygotała jak liść. Do metra było niedaleko, ale na nic już nie miała siły. Złapie taksówkę. Ostatnio ciągle jest zmęczona. Może to tylko lekka depresja. A może powinna iść do lekarza.

W mailu od Hope po raz pierwszy od dawna pojawiły się nuty optymizmu.

Cześć, Sam, co u ciebie? Przez telefon jakoś marnie brzmiałaś. Mam nadzieję, że o siebie dbasz. Musisz nas odwiedzić, nafaszeruję cię zdrowym wiejskim jedzeniem. Dobrze ci zrobi świeże powietrze. Jezu, co ja piszę! Po zaledwie trzech miesiącach zachowuję się jak wieśniaczka! Ale poważnie, musisz do nas przyjechać. Szkoda, że nie byłaś tu na Boże Narodzenie. Wiem, obiecałaś Catrinie, że jak co roku pojedziecie całą paczką do Brighton, ale na święta jest w Redlion tak pięknie! No, chyba że leje!

Matt ciężko pracuje. W przyszłym tygodniu Toby i Millie idą do nowego przedszkola. Ani oni, ani ja nie możemy się już doczekać. Millie się w końcu znudziły nasze kurczaki, swoją drogą rosną jak na drożdżach. Zamówiłam sobie książkę o hodowli kur, przecież nie mogę zadrećcać wszystkich pytaniami, kiedy zaczną znosić jajka. Podobno można to określić, obmacując im kupry, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć!

Ani słowa o tym, co sama porabia, zauważyła Sam krytycznie, gdy czytała dalej. Tylko że co tydzień chodzą z Mattem na kolację.

Kiedy urwiesz się z pracy i nas odwiedzisz? Bardzo nam na tym zależy. Proszę, obiecaj mi, że przyjedziesz. Tęsknię.

Sam poczuła guł w gardle. Ona też tęskniła za Hope. W dzieciństwie były sobie bardzo bliskie, ale kiedy pojawił się Matt, wyrosła między nimi bariera. To zresztą naturalne. Sam nie zawracała sobie głowy zazdrością. Taka jest kolej rzeczy, z czasem rodzeństwa oddalają się od siebie, zakładają własne rodziny. Niestety, zamiast przywyknąć, Sam tęskniła za Hope coraz bardziej. A właściwie brakowało jej poczucia przynależności do rodziny, poprawiła się.

Od wielu lat doskonale sobie radziła; przyjaciele byli jej namiastką rodziny. Miała z kim wychodzić na kolację, miała z kim spędzać święta. Ale teraz przestało jej to wystarczać. Chciała czegoś więcej, chociaż duma nie pozwalała jej się do tego przyznać. Cóż za upokorzenie dla twardej, samodzielnej Sam Smith, nagle przyznać, że potrzebuje innych! Właśnie dlatego nie pojechała na Gwiazdkę do Irlandii. Miała z tego powodu straszne wyrzuty sumienia. Przecież Hope tak serdecznie ją zapraszała. Ale w obecnym stanie ducha Sam nie miała ochoty na świętowanie.

Pojechała jak co roku do Brighton, do Catriny i Hugh'a, którzy mieli tam letniskowy domek. Wytrzymała dwa dni, uciekła do Londynu pod pozorem ważnego koncertu, na którym rzekomo musiała być. Miała nadzieję, że uwierzyli.

Muszę kończyć, Sam. Matt właśnie położył dzieciaki spać. Do usłyszenia. I proszę, postaraj się do nas przyjechać. Wiesz, będziemy tu tylko rok, a bardzo mi zależy na tym, żebyś przyjechała. Kocham cię Hope

Sam przez moment usiłowała wyobrazić sobie życie Hope. Jak to jest, kiedy masz rodzinę, ciągle myślisz o innych, zastanawiasz się, co ugotować na kolację, kto zajmie się dziećmi? Czy to dziwne? Jak to jest, na stałe dzielić z kimś łóżko, opiekować się dwojgiem małych ludzi, całkowicie na ciebie zdanych, pochłaniających twoją uwagę i czas? Nie być sobą, tylko czyjaś mamą albo partnerką. Dziwne.

Szybko wystukała odpowiedź:

Cześć, siostrzyczko, u mnie wszystko w porządku, skłamała. W nowej pracy mam pełne ręce roboty, a będzie tego coraz więcej. Niedługo ukaże się kilka debiutanckich albumów, więc czekają mnie bezsenne noce. Wiem, że przepadasz za Manolo, więc wyślę ci jego nową płytę. Niedługo go poznam, napiszę ci, jaki jest we własnej superprzystojnej osobie. W przyszłym tygodniu lecę do Brukseli na międzynarodową konferencję. Jeszcze nigdy nie byłam na czymś takim jako dyrektor. Podobno męcząca impreza, ale zarezerwowali mi apartament w hotelu. Nie ma to jak wysokie stanowisko. Karen Storin też jedzie, opowiadałam ci o niej, jest super.

Piszę tylko o pracy, uświadomiła sobie, gdy przebiegła wzrokiem zapisany ekran. Pewnie dlatego, że łatwiej paplać o sprawach zawodowych, niż przyznać, że ostatnio czuje się fatalnie, fizycznie i psychicznie. Jest samotna. Właśnie, o to chodzi: samotność. Przez piętnaście lat urabiała sobie ręce po łokcie, by wspiąć się na szczyt, do gabinetu z oknem, a teraz, gdy tam dotarła, widok jest rozpaczliwy.

Spróbowała jeszcze raz.

Dzisiaj idę na przyjęcie do Catriny i Hugh'a. Jay też. Jay, z którą nie widziała się od Bożego Narodzenia, czyli od miesiąca, uświadomiła

sobie nagle. A przecież codziennie miała do niej dzwonić. Kończę, muszę jeszcze kupić kwiaty i wino. Niedługo zadzwonię. Kocham cię. Sam

Udało jej się pominąć kwestię wyjazdu do Kerry. W Londynie może sama przed sobą udawać, że wszystko jest w porządku, choć fasada kruszy się coraz bardziej. Lecz pod bystrym, czułym, mądrym wzrokiem Hope wszystkie pozory runęłyby bezpowrotnie.

Rozdział 9

Darius Good, łowca młodych talentów w Titus Records, wszedł do swego gabinetu na potężnym kacu. Z niechęcią spojrzął na stertę poczty na biurku. Czasami był na siebie zły, że tak poważnie podchodzi do swojej pracy. Jednak wiedział, co czują młodzi wykonawcy, czekając na odpowiedź od firmy fonograficznej.

Zanim dostał tę pracę, na studiach występował w zespole Musujące Króliczki. Zespół nie istniał już od dawna, ale Darius do dzisiaj nie zapomniał, jak to jest, kiedy wysła się taśmę demo do wytwórni płytowej. Pamięta, co czuli przez dwa długie miesiące, gdy czekali na odpowiedź, i jak zaboląło, gdy w końcu nadeszła - krótki, zwiezły list, po którym cały zespół pogrążył się w depresji. Oczywiście byli fatalni, teraz zdawał sobie z tego sprawę. Ale to nie łagodziło bólu odrzucenia.

I teraz wiecznie chodził z discmanem na uszach, słuchał płyt demo i niemal uzależnił się od proszków przeciwbólowych - czasami piosenki były nagrywane w rejestrach znośnych chyba tylko dla nietoperzy i psów policyjnych.

Tego dnia, w ostatni czwartek stycznia zjawił się w biurze na kacu - miał za sobą intensywną sesję z Density. Wolał nie myśleć, jak zespół wypadł dziś w telewizji - byli w programie porannym, a mieli za sobą całonocną imprezę i morze alkoholu.

Co jak co, ale bawić się umieją, stwierdził, kiedy ciężko opadł na krzesło. Na jego biurku piętrzyła się mniejsza niż zwykle sterta korespondencji, ale i tak spostrzegł kilkanaście znajomych brązowych kopert - skrywały marzenia o karierze, o sławie...

Z jękiem położył głowę na biurku. Dzisiaj nie ma siły zajmować się cholernymi marzeniami innych. Nie chce być miły i skrupulatny; najchętniej wyrzuciłby wszystko do kosza, bo szanse, że jest tam choć jedna

przyzwoita piosenka, samarne. Miał po dziurki w nosie ludzi, którym się wydaje, że jeśli poprawnie zaśpiewają piosenkę Oasis, już się nadają na gwiazdy. Kawa. Kawa pomoże, stwierdził i udał się na poszukiwania.

Po półgodzinie plotek i dwóch filiżankach słodkiej kawy poczuł się trochę lepiej. Rozerwał pierwszą kopertę, wsunął płytę do odtwarzacza, rozsiadł się wygodnie w fotelu i położył nogi na biurku.

O Boże, nie, jeszcze jedna Whitney, jęknął w myślach, gdy rozbrzmiały pierwsze tony *Power of Love*. Zamknął oczy i słuchał, wściekły na siebie i zniechęcony. Lecz kiedy zaczęła śpiewać, stało się coś dziwnego. Poczuł, że włosy na karku stają mu dęba. W życiu nie słyszał równie zmysłowego głosu. W ogóle niewyćwiczony, fakt, ale taki potencjał... W jednej chwili śpiewała wysoko i czysto, by w następnej opaść nisko, do aksamitnej chrypki, przy której nawet biskup zarumieniłby się ze wstydu.

Dariusz był zachwycony. Wysłuchał wszystkich czterech piosenek na płycie i zaraz puścił ją od początku. I jeszcze raz, tym razem na cały regulator, aż Moll, specjalistka od marketingu z gabinetu obok, przyszła poprosić, żeby ściszył, i została, zasłuchana jak on.

- Kto to? - dopytywała się.

- Nie wiem, ale ma wspaniały głos, prawda? - Dariusz nie ukiwał podniecenia. Ale głos to nie wszystko. Przeczytał załączony liścik od niejkiej Nicole Turner; był krótki i nie zawierał właściwie żadnych informacji poza adresem i telefonem komórkowym. Niestety nie było zdjęcia. Jeśli pani Turner jest młoda i ładna, jeśli zdobędą dla niej odpowiednie piosenki, nikt jej nie powstrzyma. Niestety, sądząc po chrypcie w głosie, sporo już przeszła. A w świecie zdominowanym przez młodzieńcze talenty trzeba być młodym i pięknym, żeby odnieść sukces. Nie wystarczy pięknie śpiewać. Dlatego Dariusz musi ją poznać. Oczywiście spokojnie, bez zbytnej ekscytacji. Na wypadek gdyby okazała się pięćdziesięciolatką o aksamitnym głosie. Nie chciał robić jej złudnych nadziei.

Zajrzał do sąsiedniego gabinetu.

- Mała prośba, Moll, nie wspominaj nikomu o tej płycie, dobrze? Najpierw się przekonajmy, czy to osoba, której szukamy.

Nicole z apetytem zjadła rybę z frytkami w stołówce dla pracowników, gdy zadzwoniła jej komórka. Wygrzebała ją z torebki z ustami pełnymi frytek.

- Halo?

- Halo... - Dariusza nieco zdziwiło bełkotliwe powitanie.

- Właśnie jem obad - wyjaśniła Nicole. - Pfeprafam. Przełknęła.

- Przepraszam - powtórzyła.

- Nicole Turner? - upewnił się Darius.

- Owszem. - Nabiła kilka frytek na widelec.

- Darius Good z Titus Records.

Nicole opadła szczęką, widelec wypadł jej z dłoni.

- Jezu!

Darius uśmiechnął się pod nosem. Mówi jak młoda dziewczyna, to pewne.

- Spodobała mi się twoja płyta demo. Chciałbym cię poznać. Czy to możliwe?

- Gdzie i kiedy? - zapytała tylko.

- Ty wybierasz.

Nicole wpadła w panikę. Do tego stopnia zbił ją z tropu, że za żadne skarby świata nie była w stanie wymyślić sensownego miejsca spotkania.

- Może... - zastanawiała się gorączkowo. - Może Pod Czerwoną Papugą?

- O siódmej? - Darius ustalał szczegóły.

- Dobrze. - Wyjaśniła mu, jak tam dojechać. - Do zobaczenia.

Odłożyła telefon i jęknęła. Jak można być taką idiotką? Zaproponować Czerwoną Papugę i umówić się na dzisiaj? Po pierwsze, Papuga to spelunka, nieodpowiedni lokal dla poważnego gościa z firmy fonograficznej. Pewnie chadza tylko do zamkniętych klubów. Sądząc po głosie, jest zdecydowanie za dobry jak na Papugę. A po drugie, trzeba się było umówić za kilka dni, grać na zwłokę. Głupia, głupia, głupia.

- Co jest, Nic? - Sharon postawiła swoją sałatkę i tęsknie spojrzała na jej frytki.

Nicole przewróciła oczami, ale kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

- Nie uwierzysz, z kim się na dzisiaj umówiłam.

Wbrew obawom Nicole, Darius nie miał nic przeciwko Czerwonej Papudze.

Przywykł już, że wschodzące gwiazdy ogląda się w zapchlonych spelunkach, i nie przeszkadzały mu brokatowe siedzenia, nieco lepkie po latach oblewania alkoholem, ani stopy opakowań po chipsach, butelki po piwie i przepełnione popielniczki, które zostawili poprzedni klienci. Zamówił piwo i czekał, uważnie przyglądając się wchodzącym.

Miał przeczucie, że rozpozna Nicole. Bóg jeden wie dlaczego. Krótka rozmowa przez telefon nie dała mu zbyt wiele informacji, zresztą na-

wet nie pytał, jak wygląda, a jednak był pewien, że ją rozpozna. Będzie inna.

Dziesięć po siódmej Nicole i Sharon, które czekały na zewnątrz, żeby się specjalnie trochę spóźnić, weszły do pubu i szeroko uśmiechnęły się do właściciela, który stał za barem. Nicole nie rozglądała się na boki, nie chciała okazać zdenerwowania. Zamiast tego podeszła do baru rozkołysanym krokiem, z całą nonszalancją, na jaką było ją stać.

Darius obserwował dziewczynę w obcisłych spodniach i skórzanej kurtce. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy żartowała z barmanem, zamawiała drinka dla siebie i niskiej blondynki, a potem odwróciła się i powoli, chłodnym wzrokiem przyglądała się innym gościom. Od razu wiedział, że to Nicole.

Była piękna. Cudownie piękna. Karmelowa skóra, wysokie kości policzkowe, jak królowej Nefretete, błyszczące tygrysie oczy. Ma ze dwadzieścia lat, ocenił, ale jest twarda. Czujna, mimo pozorów nonszalancji.

Włosy sąnie takie, zauważył od razu. W show-biznesie jest już sporo ciemnych dziewczyn z prostymi długimi włosami. Nicole nie będzie niczym klonem, ma na to za duży talent. Wyobraził ją sobie w krótkiej fryzurce, ciemne kosmyki muskają kości policzkowe, jej włosy, miękkie i jedwabiste...

- Darius? - stała przed nim, wysoka, szczupła i opanowana.

Z nadzieją, że nie gapi się na nią jak zakochane ciele, Darius wstał, skinął poważnie głową i wyciągnął rękę.

- Jestem Nicole, a to Sharon.

- Siadajcie proszę - zaproponował sztywno i zaraz zwymyślał się od idiotów, że zachowuje się jak na garden party swojej matki. - Napijcie się czegoś?

- Już mamy - ucięła Nicole.

Dziwne, pomyślał. To on powinien być spokojny i kontrolować sytuację, a ona pocić się ze zdenerwowania, tymczasem jest odwrotnie. Starał się nie patrzeć w jej fascynujące oczy, wbił wzrok w niedokończone piwo. Co się z nim dzieje? Jest piękna, ale przecież nieraz widywał piękne kobiety. Piękne i sławne.

- Trafiłeś bez problemu? - Sharon starała się podtrzymać rozmowę.

- Właściwie tak - mruknął.

Dwie minuty pogawędki o niczym, a Nicole wprost umierała z niecierpliwości. Musi się dowiedzieć, czemu ten facet chciał się z nią spotkać, a on, zamiast przejść do rzeczy, gędzi o tym, jak trudno w dzisiejszych czasach znaleźć taksówkarza, który na pewno wie, dokąd jedzie.

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? - zapytała otwarcie.

- Cóż, spodobała mi się płyta demo - stwierdził, nadal na nią nie patrząc. - I to bardzo. Masz fantastyczny głos...

Poczuł jej dłoń na ramieniu. Teraz dosięgnął go zapach jej perfum; były uwodzicielskie, z nutą cynamonu. Przełknął ślinę.

- Naprawdę? - szepnęła.

Dariusz czuł się jak po narkotykach. Odważył się podnieść wzrok i przekonał się, że chłód w oczach Nicole ustąpił zadowoleniu.

- Podoba ci się mój głos - powtórzyła, jakby wręczono jej zwycięski kupon w lotto.

- Tak - mruknął, patrząc na jej ożywioną twarz i małe usta, wręcz stworzone do całowania. - Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Kiedy cię usłyszałem, włosy na karku stanęły mi dęba.

Nicole z zachwytem zerknęła na koleżankę, ale Sharon była zbyt zajęta pożeraniem Dariusza wzrokiem, by to zauważyć.

- I co teraz? Podpiszecie ze mną kontrakt? Nagram płytę?

- Cóż... nie tak szybko.

Nicole cofnęła rękę z jego ramienia, jakby parzył.

- Jak to? - zaniepokoiła się. - Przecież podoba ci się mój głos. - Przyglądała mu się podejrzliwie, jakby spodziewała się usłyszeć, że to za mało i nic z tego nie będzie.

- Owszem - zapewnił. - Ale jestem tylko jednym trybikiem wielkiej maszyny. Musimy przekonać do ciebie parę innych osób i wiedzieć, jak daleko jesteś gotowa się posunąć.

- Co to ma znaczyć: jak daleko jest gotowa się posunąć? - Tym razem zaniepokoiła się Sharon.

- Na ile poważnie podchodzi do kariery muzycznej - wyjaśnił szybko. - Show-biznes to nie tylko imprezy i zabawa. To ciężka praca, naprawdę ciężka. Ostatnio spędzam sporo czasu z Density, tyrając woły.

- Nigdy o nich nie słyszałam. - Nicole była urażona, chciała, żeby i jemu zrobiło się przykro.

- Ale jeszcze usłyszysz - zapewnił. - Rzecz w tym, że gwiazdą nie zostaje się z dnia na dzień. Czasami mijają dwa lata, zanim wydamy płytę i ruszymy z promocją.

- Dwa lata? - Sharon nie wierzyła własnym uszom. Nicole nic nie powiedziała, tylko na niego patrzyła.

- Proszę, nie myśl, że marnuję twój czas, Nicole. - Sam dźwięk jej imienia przyprawiał go o dreszcz. Dziewczyna ma w sobie to coś, co robi z niej gwiazdę, i... i coś jeszcze. Nie, nie wolno mu się w niej zakochać. Za młoda, stwierdził. Miał dwadzieścia siedem lat, ale czuł się bardzo dojrzały i poważny. Chyba jest wrażliwa, wbrew pozorom. Cho-

ciaż jeśli jej się uda, wkrótce będzie jeszcze twardsza, jeszcze chłodniejsza.

- Ja w ciebie wierzę. Ale najpierw muszę przekonać innych, żeby także w ciebie uwierzyli. Zadzwoń za kilka dni, dobrze?

- Świetnie - uśmiechnęła się z trudem i pociągnęła Sharon za rękaw, dając znak, że na nie już czas.

- Widziałas go? - westchnęła Sharon tęsknie, gdy w strugach deszczu szły na przystanek. - Co za twarz! A jakie ciało! Czym oni karmią tych dobrze urodzonych chłopaczków, że wyrastają na takie cuda? To pewnie skutek gry w rugby na śniegu, w tych elitarnych szkołach. A ten akcent... i jasne włosy... - Dźgnęła Nicole łokciem pod żebro. - Podoba ci się?

- O nie. Bogaty przystojniaczek. Zresztą oni się nie zadają z takimi dziewczynami jak my. Był miły, bo widzi szansę na kasę - syknęła Nicole.

-No nie wiem. - Sharon uśmiechnęła się znacząco. - Moim zdaniem patrzył na ciebie w zupełnie inny sposób, jakby liczył na szansę... na co innego.

- Akurat.

- A właśnie że tak! - Sharon nie dawała za wygraną.

- Znowu czytasz romanse, tak? - zażartowała Nicole. - Przystojny książę olewa hrabiankę, którą mu podsuwają, i żeni się z uroczą pokojówką o dużym biuście.

Parsknęły śmiechem.

- Cóż, biust mam duży - zachichotała Sharon. - Ale to na ciebie się gapił.

- Więc niech się gapi - mruknęła Nicole.

- Och, Nic, jest taki fajny - zachwyciła się Sharon.

- Twoim zdaniem każdy jest fajny - zauważyła Nicole.

- A ty każdego posądzasz o najgorsze - odcięła się przyjaciółka. -Naprawdę, jakby cały świat chciał cię skrzywdzić.

- Lepiej trzymać się z daleka od takich typków - upierała się Nicole. - Pewnie sypia z połowapiosenkarek, które zna. Nie zamierzam być jego kolejną zdobyczą.

Sharon uśmiechnęła się lekko.

- Gdybyś się przypadkiem dowiedziała, że sypia z przyjaciółkami piosenkarek, szepnij mu o mnie słówko, dobrze?

Nicole parsknęła śmiechem.

- W porządku, ale zanim podam mu kombinację do twojego pasa cnoty, poczekamy, aż skontaktuje mnie z kimś ze swojej firmy.

Bezpośrednim przełożonym Dariusa był, przynajmniej teoretycznie, Zak. W rzeczywistości Zak poważnie nadwerżył swoje szare komórki ostrą konsumpcją narkotyków w latach osiemdziesiątych i zawdzięczał swoją pozycję w firmie tylko i wyłącznie przyjaźni ze Steve'em Parri-sem. Gdyby nie on, dołączyłby do długiej kolejki bezrobotnych menedżerów z branży muzycznej, którzy tak często wymykali się do toalety na działkę kokainy, że umknęło ich uwagi, iż przemysł muzyczny już dawno zwrócił się przeciwko narkotykom. Steve i Zak znali się od dawna i gdyby Zak zapragnął podpisać kontrakt z lumpami grającymi na harmonijce ustnej na Piccadilly, Steve wręczyłby mu książeczkę czekową in blanco. Co teoretycznie powinno oznaczać, że Zak jest tą osobą, z którą Darius musi porozmawiać o Nicole Turner. „Powinno” i „teoretycznie”. No właśnie. Darius wiedział, że Zak preferuje inną muzykę: ciężki, ogłuszający rock. Nie przypadkiem Zak miał kłopoty ze słuchem i ciągle dzwoniło mu w uszach - skutek wielu lat słuchania głośnej muzyki. Według niego Aerosmith grali miękko i delikatnie. Nicole Turner i jej gardłowy głos nie przypadłyby mu do gustu. Wyrzuciłby płytę do śmieci, a Nicole zdobyłaby inna firma. Do tego Darius nie mógł dopuścić. Pragnął Nicole dla swojej wytwórni. Dla siebie, przyznał w duchu. Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Jeśli pominie Zaka, ten wpadnie w szal. Ale gdyby kto inny przez przypadek usłyszał Nicole... Ktoś, kto ma w nosie humory Zaka, ktoś, kto nie obawia się samego Parrisa. Jest tylko jedna osoba, którą na to stać: Sam Smith. Wieść niesie, że to bezwzględna suka w butach z metalowymi czubkami, żeby boleśniej kopać ludzi. Poznał ją na koncercie Density i wydawała się całkiem miła. Żaden mięczak, ale też nie wredna suka, za jaką ją uważano. Podobno nie boi się Steve'a. Trzeba z nią porozmawiać.

Lidia, jej asystentka, była w doskonałym humorze. Dowiedział się od niej, że Sam jest wolna po lunchu.

- A o co chodzi? - zainteresowała się Lidia. Zależało jej na stałej umowie o pracę i chciała wykazać się profesjonalizmem. Sam się wkurzała, kiedy umawiała ludzi na spotkania, nie pytając, o co chodzi.

- Interesy - mruknął Darius.

- Lidia, co miałaś na myśli, pisząc: interesy? - burknęła Sam godzinę później, gdy zajrzała do kalendarza i zobaczyła nazwisko Dariusa. Ostatnio ciągle była rozdrażniona. - Jakie interesy?

- Nie złość się. - Lidia powoli traciła cierpliwość. - Pytałam, ale nic więcej nie chciał powiedzieć.

Sam podniosła oczy do nieba.

- Świetnie. Cóż, i tak nie mam dla niego dużo czasu. Za kwadrans trzecia przychodzą siostry Ceci i ich straszna matka. I pamiętaj, gdyby zażyczyła sobie szampana, nic jej nie dawaj. To biuro, nie bar.

- Jasne - prychnęła Lidia. - Co najwyżej dostanie kawę. Nie jestem kelnerką. Punktualnie kwadrans po drugiej Darius stanął przed drzwiami Sam.

Ciągle jeszcze nie zdecydował, jak to rozegrać. Miał dwie możliwości. Albo powiedzieć szczerze, że jego zdaniem Zak wyrzuciłby płytę do kosza, albo udać, że przyszedł tu z inną sprawą, mimochodem wspomnieć o nowej piosence i niby z oporami puścić Sam piosenkę. Tak, tak chyba będzie lepiej.

Ale nie doceniał Sam. Wystarczyła minuta naprzeciwno niej, a poczuł się nieswojo. Patrzyła mu w oczy, jasno i otwarcie, i uznał, że nie może jej okłamać. Zresztą nawet gdyby próbował, i tak wyciągnęłaby z niego całą prawdę. Miała przenikliwe i mądre spojrzenie. Fakt, przecież gdyby była głupia, nie zaszłaby tak wysoko, nie w przemyśle muzycznym.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać, Darius? - zapytała spokojnie. Darius jeszcze raz przemyślał sytuację. Przełknął ślinę. W końcu zdecydowała się na szczerłość.

- Cóż... ja... - jękał się. Głęboko nabrał tchu i zaczął: - Znalazłem dziewczynę z niewiarygodnym głosem...

Był piątek wieczorem. Nicole i Pammy oglądały *Boba Budowniczego*. Dokładnie mówiąc, oglądała Pammy, Nicole tylko tępo gapiała się na ekran i myślała o Titus Records. I o Dariusie. Widzieli się ponad tydzień temu i od tego czasu absolutnie nic, kompletna cisza.

Nawet Sharon, jedyna osoba, która wiedziała o Dariusie, nawet wieczna optymistka Sharon zaczynała podejrzewać, że muzyczna kariera Nicole skończyła się, zanim na dobre się zaczęła.

- Chodź ze mną do Elaine - namawiała w pracy. - Jest piątek, upijesz się i będzie ci lepiej.

- Nie mogę. - Nicole miała zająć się siostrą, mama umówiła się na randkę z jakimś strażakiem. - Mama wychodzi.

- Aha. - Sharon nie powiedziała nic więcej. Czasami uważała, że Nicole za często zajmuje się młodszą siostrą. Z drugiej strony Sharon miała liczną rodzinę, zawsze znalazł się ktoś, kto popilnowałby dzieci, kiedy rodzice wychodzili. A u Nicole są tylko we trzy.

- Wpaść do ciebie? Obejrzymy film na wideo i zamówimy coś do jedzenia. - Nie dawała za wygraną. Zresztą wieczór z Nicole będzie zabawniejszy niż impreza z Elaine, która się błyskawicznie upija i trzeba się nią zajmować. Sharon bardziej pilnowała jej torebki niż swojej.

- Nie, wcześniej się położę - skłamała Nicole. Nie ma sensu tłumaczyć, że od tygodnia prawie nie spała z rozpaczy i dzisiaj pewnie nic się nie zmieni. - Zadzwoń jutro i powiedz, jak było.

Bob Budowniczy się skończył. Pammy podniosła na siostrę błagalny wzrok w nadziei, że dzisiaj będzie mogła posiedzieć dłużej niż zwykle.

- O nie, malutka. - Nicole pieszczotliwie zmierzwiła jej włosy. - Jutro masz taniec. Jeśli jeszcze posiedzisz, nie wstaniesz. I tak jest już wpół do ósmej.

Nicole pilnowała, żeby Pammy zawsze kładła się spać o tej samej porze, nawet w weekendy. Pamiętała, że kiedy mieszkały z mamą u babci, też musiała iść do łóżka o określonej porze. Złościła się wtedy, że nie może przesiadywać do późna, jak koleżanki ze szkoły, ale babcia była twarda.

- Małe dziewczynki muszą dużo spać - mówiła, prowadząc Nicole na górę, po wieczorem kubku gorącego mleka i ciasteczku.

Kiedy Sandra kupiła własny domek i zamieszkały same, Nicole mogła się kłaskać, o której chciała. Sandra niczego nie narzucała. I nagle Nicole zatęskniła za tym, jak babcia otulała ją na dobranoc przy mdłym świetle latami za jedwabną zasłonką.

Teraz Pammy chodziła spać jak babcia przykazała: gorące mleko, ciastko i bajka na dobranoc. Pammy przechodziła fazę księżniczek i dziś zażyczyła sobie baśni o księżniczce na ziarnku grochu. Nicole z niechęcią otworzyła książkę i zaczęła czytać. Nie dlatego, że tego nie lubiła: gdyby Pammy miała ochotę, przeczytałyby jej *Wojnę i pokój* od deski do deski. Miała jednak wrażenie, że opowieści o księżniczkach mająły wpływ na małe dziewczynki. Całe to gadanie, jak to księżę zjawi się na białym koniu, uratuje księżniczkę z opresji i wszystko skończy się dobrze... stek bzdur, i to niebezpiecznych, stwierdziła gniewnie. W życiu nie ma takich książek, a inteligentna księżniczka najlepiej ułoży sobie życie, jeśli znajdzie dobrą pracę i powie księciu, gdzie może sobie wsadzić propozycję małżeństwa.

Kiedy Pammy zasnęła, Nicole zaparzyła sobie kawy i rozsiadła się przed telewizorem. Skakała po kanałach, niespecjalnie zainteresowana, aż wreszcie coś przykuło jej uwagę. Młode dziewczyny śpiewały jakiś stary przebój. Wyglądały na amatorki. Nicole zaczęła oglądać i po chwili zorientowała się, że to eliminacje do nowego zespołu. Do finału weszło dwadzieścia dziewcząt.

Przyglądała się zafascynowana, ale fascynacja szybko zamieniła się w strach. Kryteria były naprawdę ostre. To było jak konkurs piękności, tylko oprócz urody od kandydatek wymagano także talentu i gotowości dostosowania się do wizji zespołu, jaką mieli jurorzy.

Krzywiła się, słysząc komentarze znawców, komentarze, których na szczęście nie słyszały kandydatki:

- Ma okropne włosy. Z krótkimi blond może dałoby radę, ale mamy zdecydowanie za dużo dziewczyn z długimi ciemnymi.

Co chwila chciała zmienić kanał, ale wbrew sobie oglądała dalej.

Trzy dziewczyny były piękne, świetnie śpiewały i na dodatek tańczyły. Wszystkie trzy opowiadały o latach nauki i ciężkiej pracy. Od dziecka marzyły o scenie. Nicole zrobiło się niedobrze. Jak śmiała liczyć, że coś osiągnie w przemyśle muzycznym, skoro w porównaniu z tymi dziewczynami jest zaledwie nowicjuską?

Już jako nastolatki ćwiczyły, tańczyły i śpiewały, walczyły o swoją szansę. A ona bawiła się, włóczyła po klubach i starannie unikała jakiegokolwiek porządnej pracy. Szczerze mówiąc, w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Copperplate też wylądowała przez przypadek, i wcale nie płakałaby, gdyby jutro straciła tę posadę. Pracowała tam tylko dlatego, że musiała zarabiać, mama nie była przecież w stanie utrzymać rodziny. Nicole nigdy nie wyznaczyła sobie jakiegoś określonego celu, a te dziewczyny dążyły do sukcesu z determinacją niemal obsesyjną. Owszem, napisała kilka piosenek i radziła sobie z gitarą, ale przecież nie jest drugim Erikiem Claptonem.

Prawdę mówiąc, jest po prostu do niczego. To dlatego Darius nie zadzwonił. Przejrzał ją na wylot i od razu się zorientował, że nic z niej nie będzie. Wyczuł, że nie od dziecka marzyła o karierze estradowej.

Nicole oglądała program w fatalnym humorze. Przecież nawet nie wygląda jak kandydatki na gwiazdy.

Wszystkie miały krótkie modne fryzurki. Blond. Machinalnie bawiła się długimi czarnymi włosami. Pomyślała, że bardzo chce zostać piosenkarką, naprawdę. Może nie od dziecka, ale teraz tak. Uwielbiała śpiewać. Może zacząć chodzić na lekcje tańca, zrobić coś z włosami... To jest to. Zrobi coś z włosami. Tym sposobem udowodni wszystkim, że podchodzi do sprawy bardzo poważnie.

Postanowiła napić się dla odwagi. W domku przy Belton Gardens nie zaglądano często do butelki, ale matka zawsze miała coś mocniejszego dla gości. Nicole wyjęła z barku butelkę whisky. Nie przepada za tym, ale trudno. Nalała trochę do szklanki, zmieszała z sokiem pomarańczowym, wypła. Faj. Okropne, ale niezbędne.

Poszła na górę, dołała sobie whisky i szperała w szufladzie matki. Stare szminki, tampony z uszkodzoną folią, puste opakowania po dezodorantach, kolczyki od pary... Zamknęła szufladę, otworzyła następną. I znalazła to, czego szukała: obok starego opakowania wosku do depilacji leżało pudełko farby. Sandra Turner była mysią blondynką, póki w wieku trzynastu lat nie odkryła farby. Nicole często się głowiła, jakim cudem mama zebrała się na odwagę i ufarbowała włosy w domu babki, dla której był to pierwszy krok na równi pochyłej do piekła.

Teraz matka robiła sobie pasemka u fryzjera, ale kiedyś często farbowała się sama. Nicole uważnie przestudiowała instrukcję. To chyba nic trudnego, stwierdziła. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że czarne włosy są trudniejsze do ufarbowania niż mysie kosmyki matki.

Trzy kwadransy później zerknęła do lustra, ciekawa, czy pod pianą są już blond pasma. Delikatnie starła farbę z jednego kosmyka. Kolor był... pomarańczowy. No nic, poczeka jeszcze z dziesięć minut, tak na wszelki wypadek. Zatopiona w marzeniach, jaka będzie piękna i egzotyczna, ze śniadą skórą i blond włosami, nie zwracała uwagi na upływający czas.

Zerknęła na zegarek i okazało się, że minęło jeszcze siedemnaście minut.

Cholera! Pochyliła się nad wanną i splukała spienioną farbę z włosów. W instrukcji napisano, żeby po farbowaniu umyć włosy dwukrotnie szamponem, więc Nicole po omacku złapała butelkę, umyła i splukała. Dziwne, włosy były inne w dotyku, jakieś takie bardziej szorstkie. No nic, odżywka na pewno pomoże.

Nie pomogła. Im więcej tarła, tym bardziej włosy przypominały w dotyku stary sznurek. W końcu zebrała się na odwagę i odrobinę uniosła powieki, tylko tyle, żeby zobaczyć włosy. I osunęła się na kolana. Zamiast lśniących czarnych pasm z jej głowy zwisały smętne strąki w kolorze zgniłych moreli. Przerażona, zebrała je w garść i przyjrzała się dokładnie. Nie, nie moreli, pomarańczy. Albo starej śmieciarki. Rozplakała się.

Kiedy matka i jej strażak wrócili na kawę, zastali Nicole w saloniku, smętnie sączącą trzecią podwójną whisky. Włosy, tak suche, że nie

zdołała ich rozczesać, sterczały na wszystkie strony jak pomarańczowe siano.

- Nicole, coś ty zrobiła! - jęknęła Sandra, wytrącona z charakterystycznej dla siebie apatii nietypową fryzurą córki.

Nicole ponownie zalała się łzami.

- Wiem, ohyda - szlochała. - Ufarbowałam się twoją farbą, ale nie wyszło. Chyba za długo trzymałam.

- Czuję się jak w pracy - mruknął strażak. - Toż to płomień...

- Zamknij się! - wrzasnęły Sandra i Nicole jednocześnie.

W sobotę Nicole nie wytknęła nosa za próg. Wieczorem zjawiała się Charlene, przyjaciółka Sandry, z wielkim pudłem kosmetyków do włosów i kompletem nożyczek. Na szczęście nie zaciskała ust w wąską kreskę i nie kręciła głową z dezaprobatą, jak babcia. Starła się oszacować ogrom szkód.

- Wszystko byłoby dobrze, gdybyś poszła do fryzjera, ale domowe farbowanie przeterminowaną farbą to zbrodnia - stwierdziła. - Przy twoich włosach zmiana koloru jest dość trudna.

- Mama zawsze się farbuję - mruknęła Nicole.

- Jest pewna różnica między włosami azjatyckimi a twojej mamy - zauważyła Charlene.

Spochm umiała, kiedy skończyła oględziny.

- Są zniszczone - orzekła ze współczuciem. - Muszę sporo ściąć, zanim postaram się coś zrobić z kolorem. Zdajesz sobie sprawę, że gdyby to cię spotkało u fryzjera, żyłabyś w luksusach do końca życia z samego odszkodowania?

Nicole zamrugała szybko. Świadomość, że sama się w to wpackowała, wcale nie poprawiała jej samopoczucia.

- Tnij już - mruknęła przez zęby.

I Charlene cięła. Długie pasma pomarańczowego siana opadały na podłogę.

- Charlene jest świetna - zapewniała Sandra, widząc minę córki. - Zobaczysz, będziesz zachwycona.

- W życiu na siebie nie spojrzę - burknęła Nicole. - Kupię sobie kapelus.

- Raczej perukę - zarechotała babcia.

Rozdział 10

Choć Millie przez pół nocy nie mogła zasnąć, podniecona perspektywą nowego przedszkola, w poniedziałkowy rano wpadła w histerię i stwierdziła, że nigdzie nie idzie.

Uparcie tupiała nóżką w różowych rajstopach i nie pozwalała włożyć sobie fioletowych ogrodniczek.

- Nie chcę iść! - wrzeszczała na całe gardło i wymachiwała ramionkami jak oszalały wiatrak.

Toby przywykł do takich scen; spokojnie stał w kątku, ssał kciuk i obserwował całą awanturę z zainteresowaniem.

- Millie, zachowuj się! - krzyknęła Hope. Zdawała sobie sprawę, że nie jest to najlepszy sposób postępowania z rozhisteryzowaną dziewczynką, ale zmęczenie wzięło górę. We wszystkich książkach o wychowaniu dzieci było napisane, że najlepszym wyjściem jest ignorować maluchy, gdy starają się zwrócić na siebie uwagę, ale łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Chyba żaden z autorów nie był nigdy w supermarkecie z dzieciakiem, który ma fioła na punkcie słodczy i drze się na całe gardło, inaczej nie pisaliby takich bzdur. Hope zaryzykowała tylko raz; ledwie się odwróciła, Millie pędem pobiegła do działu cukierniczego i jak szalona rzuciła się na lukrowane ciastka. Umazała się po uszy, nawet w grzywce miała lukier, i rozdarła się w niebogłosy, kiedy uprzejma sprzedawczyni chciała jej pomóc.

- Nie pójdę tam! - wrzasnęła. Tupnęła jeszcze raz i Hope dała sobie spokój. Przecież to tylko przedszkole. Wprawdzie marzyła o nim od miesiąca, ale nic się nie stanie, jeśli stracą jeden upragniony dzień.

Przysiadła na łóżeczku Millie i wyjrzała na zapuszczony ogród. Jeżyny nie wydawały się takie groźne, styczniowy mróz najwyraźniej ograniczył ich zapędy dominacji nad światem. Musi coś zrobić z ogrodem. Niedługo będzie mogła wypuścić kury na dwór. Nie może ich wiecznie trzymać w domu, a w takim buszu zgubią się na dobre.

Coś poruszyło się w ogrodzie. Hope spojrzała w tamtą stronę. Coś małego, burego. Królik? Zastanawiała się. A może śliczny mały jeż zawędrował tu w poszukiwaniu jedzenia? Stworzenie znowu się poruszyło. Było tłuste, szybkie, z długim ogonem i bystrymi ślepiami. Szczur.

- Jezu! - wrzasnęła przerażona. Szczury w ogrodzie! Przerażona jej wrzaskiem, Millie spokorniała. Zagryzła usta.

- Przepraszam, mamusiu - bąknęła.

Przytulili się do siebie we trójkę, ale Hope cały czas czujnie zerkała do ogrodu. Może to pojedynczy zwiadowca. Albo samotnik, który zawędrował do ogródka Parkerów przez pomyłkę i nie ma wcale zamiaru tu zostać.

Szczur pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie kolegi. Zmierzały w tę samą stronę - od starego rododendrona, wzdłuż pustej grządki, do starej beczki. Najwyraźniej w jakimś określonym celu. Za nimi podążał jeszcze jeden, mniejszy. Przez następne dziesięć minut Hope z ponurą miną obserwowała szczurze przechadzki.

Myślała, że szczury żerują nocą, że się boją ludzi. No tak, ale jej musiały się oczywiście trafić beczelne egzemplarze, które nie mają żadnych oporów. Biegają sobie po ogrodzie w biały dzień, jak gdyby nigdy nic.

Jakim cudem nie dostrzegła ich do tej pory? I jak się ich pozbyć?

Zadzwoiła do Matta, ale dowiedziała się, że poszedł na spacer. Zmrużyła oczy. Dochodzi dopiero wpół do dziesiątej. Niby dlaczego Matt sobie spaceruje, zamiast pracować? Skoro w ten sposób spędza czas w tym cholernym ośrodku, nie dziwnego, że tak niechętnie odpowiada na pytania o postępy w pracy!

- Mamusiu, idziemy do przedszkola? - zapytała Millie niewinnie. Sama włożyła ogrodniczki. Ponieważ nie udało jej się zapiąć klamerek, wetknęła je za kołnierzyk swetra.

- Za chwilę, skarbie - mruknęła Hope, otwierając książkę telefoniczną.

Specjalista od deratyzacji był bardzo pewny siebie.

- Proszę się nie martwić, szczury są wszędzie, chodzi tylko o to, żeby nie czuły się zbyt pewnie. Poradzimy sobie. Będę u pani w południe - zaproponował. - Ile pani widziała?

- Trzy na pewno. - Hope przytrzymała słuchawkę ramieniem i porządnie zapięła spodnie Millie. - Ale może jest więcej. Wszystkie wyglądają tak samo, może tylko wychodzą trójkami.

- Ma pani dzieci albo zwierzęta domowe? - zapytał.

- Dzieci i kury.

- Kury - powtórzył ponuro. - To już gorzej.

Przedszkolanka była Niemką, miała na imię Giselle. Wyglądała, jakby wyszła prosto z książki z bajkami. Miała złociste loki, ciepłe spojrzenie i przyjazny, opiekuńczy sposób bycia, aż Hope żałowała, że nie ona zostanie w przedszkolu, tylko dzieci. Podczas ich pierwszego spotkania,

w grudniu, była przemiła. Podobnie jak teraz, chociaż Hope spóźniła się godzinę, wybita z rytmu inwazją morderczych szczurów.

- Przepraszam, że się spóźniliśmy - zaczęła. - Obiecałam, że przywiozę ich na wpół do dziesiątej, ale...

Giselle wpadła jej w słowo:

-Nie ma sprawy. Pierwsze dni są najtrudniejsze. Najpierw zaprowadzimy Millie i Toby'ego do innych dzieci, a potem musi pani spróbować naszych domowych ciasteczek.

Hope wyszła z przedszkola godzinę później, z żołądkiem pełnym imbirowych ciasteczek i przekonaniem, że dzieciom będzie tu dobrze. Na razie miały przychodzić dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i czwartki. Później może częściej, jeśli Hope znajdzie jakąś pracę.

- Sama nie wiem, co mogłabym robić - opowiadała Hope. - Do tej pory pracowałam w banku, w towarzystwie budowlanym, a ponieważ w Redlion nie ma żadnego banku, sama nie wiem...

- W lecie łatwiej o pracę - powiedziała Giselle. - Przy takiej ilości turystów znajdzie się zajęcie dla każdego, teraz nie jest tak łatwo. Ale nigdy nic nie wiadomo. Proszę się nie przejmować szczurami. Na wsi mieszka wiele stworzeń. Może to i lepiej, że nie wiemy, co jeszcze czai się w trawie!

Szczury mi wystarczą, stwierdziła Hope ponuro. Bynajmniej nie poprawiała humoru myśl, że z zarośli obserwują ją jeszcze inne ślepia. Ją i jej kury.

Specjalista od deratyzacji obejrzał teren dookoła starej beczki, co chwila mądrze pomrukiwał, zwłaszcza na widok dwóch starych buków w kącie ogrodu. Z ponurą miną pogrzebał w owocach drzew i wyprostował się powoli.

-I co pan sądzi? - dopytywała się Hope. Wpuściła nogawki dzinsów do kaloszy na wszelki wypadek, żeby szczurom nie przyszło do głowy zakraść się nogawką. W garści miała wielki drąg, żeby się przed nimi oganiać. Oczywiście żadnego szczura nie było nigdzie widać.

- Widać, że są tu bardzo aktywne - orzekł posepnie. - Ma tu pani wszystko, co im potrzebne do życia: świeżą wodę w strumyku i jedzenie. Przepadają za bukowymi orzeszkami. A w szopie jest pokarm dla kur.

- Przecież tam nie wejdą? - zdziwiła się.

- Nie, ale czują jego zapach. Bardzo lubią pokarm dla kur. Zresztą szczury zjedzą wszystko.

- Kury też? - pisała.

- Nie, kur nie, ale pokarm dla nich, owszem. Wtedy zostawiają odchody niedaleko kurnika i kury mogą się czymś zarazić. A zarazki potem przeniosą się na jajka.

- O Boże!

- Proszę się nie martwić. Dzisiaj wyłożę truciznę w naszych firmowych pojemnikach, są specjalnie skonstruowane, tak że tylko szczury mogą się do nich dostać, i to powinno na razie wystarczyć. Póki nie oczyści pani ogrodu, będzie problem. Zwłaszcza jeśli chce pani wypuścić kury na dwór.

- Miałam taki zamiar - westchnęła.

Zanim ustawił pojemniki z trutką na szczury, wypisała mu sowity czek. Do obawy przed szczurzą inwazją doszedł teraz strach przed konfrontacją z wyciągiem bankowym. Hope weszła do domu, wyszorowała ręce tak starannie, jakby co najmniej głaskała szczury, i zadzwoniła do Mary-Kate.

- Jak się dzieciom spодobało w przedszkolu? - zapytała Mary-Kate.

- Bardzo, nie tym akurat się martwię - jęknęła Hope. - Mamy szczury. Muszę oczyścić ogród, jeśli chcę się ich na dobre pozbyć, inaczej nie będę mogła wypuścić kur. Znasz kogoś, kto mógłby to zrobić? Problem w tym, że stać mnie na mniej więcej pięćdziesiąt pensów wynagrodzenia.

Niemal widziała, jak Mary-Kate uśmiecha się po drugiej stronie kabla.

- To chyba trochę za mało - zachichotała.

- Zrobię wszystko, byle się ich pozbyć - zarzekała się Hope. - Nienawidzę szczurów.

- Wiesz, znam jednego faceta, który ma odpowiedni sprzęt, żeby oczyścić twój ogródek z chwastów i rupieci, ale uwierz mi, Hope, na jego widok nie składałabyś pochopnych obietnic, że zrobisz wszystko.

Po raz pierwszy tego ranka Hope się roześmiała.

- No cóż, chyba mu się nie przydam, moje usługi ograniczają się do przeliczania z euro na dolary albo uporządkowania stanu jego finansów.

- Na pewno coś da się zrobić - pocieszała Mary-Kate. - Muszę kończyć. Mam pełne ręce roboty, chyba całe miasteczko zachorowało. Niedługo się odezwę.

Telefon zadzwonił piętnaście minut później. Hope nie przypuszczała, że to znowu Mary-Kate.

- Nie uwierzysz, co ci powiem - zaczęła. - Wyobraź sobie, że żona Erwina, tego faceta, o którym mówiłam, ma półpasiec. Zwiija się z bólu

i co najmniej przez miesiąc nie wróci do pracy, a prowadziła mu biuro. Erwin się martwi, jak sobie bez niej poradzi. Opowiedziałam mu o tobie. Może ją zastąpić?

Hope z niedowierzaniem gapiała się na telefon.

- Ja... ja... - jękała się. - Nigdy się tym nie zajmowałam - wystękała w końcu.

- Chyba poradzisz sobie z prowadzeniem niewielkiego biura, póki jego żona nie stanie na nogi? Zapłaci ci, poza tym na pewno zgodzi się uporządkować twój ogród za darmo. Nie musiałabyś pracować codziennie, tylko kilka razy w tygodniu. To chyba niezły początek?

Erwin wydawał się sympatyczny, choć małowówny, gdy zadzwonił do niej osobiście, by omówić propozycję Mary-Kate.

- Tylko na miesiąc - zaznaczył. - Wie pani, to nie jest praca na stałe. Moja żona wkrótce wyzdrowieje.

- Doskonale - stwierdziła Hope. - Do zobaczenia w czwartek.

O wpół do siódmej Hope czuła się jak po przejściu tornada: dzieci poszły do przedszkola, odkryła w ogrodzie plagę szczurów i znalazła pracę. Matt wyszedł z domu zaledwie o dziewiątej rano, a miała wrażenie, że minął co najmniej miesiąc. Tyle się wydarzyło. Nie mogła się doczekać, żeby mu o tym opowiedzieć.

Dzieci były wykończone; Millie zasnęła na kanapie, tuląc do piersi książeczkę, którą, jak zapewniała, tylko pożyczyła z przedszkolnej biblioteki. Toby zazwyczaj zjadał wszystko z talerza, ale dziś był zbyt zmęczony. Kurczowo ścisnął plastikowy widelec, walcząc z sennością, ale oczy mu się same zamykały.

- Kochani, idziemy spać - zdecydowała Hope.

Na poczet nowej pracy kupiła butelkę wina, w piecu dusiła się smakowita wieprzowa pieczeń. To będzie uroczy spokojny wieczór, będą z Mattem świętować nowy początek. Matt będzie z niej dumny; uśmiechnęła się na tę myśl, szykując dzieciom kąpiel. Ostatnio ciągle martwił się pieniędzmi, a dzięki jej zarobkom bez problemów zapłacał za przedszkole. Och, niektórzy by powiedzieli, że zwariowała, pracować tylko po to, żeby zapłacić za przedszkole? Ale Hope czuła, że musi czasami wyrwać się z domu. Poza tym, nawet jeśli Erwin jej dużo nie zapłaci, uporządkuje ogród za darmo, a to już coś.

Wyjątkowo dzieci zadowolily się krótką bajką na dobranoc. Oboje już spali, gdy doszła do ostatniej strony. Otuliła je czule, zgasiła światło i wymknęła się do swojej sypialni. Przebrała się szybko, zmieniła codzienny strój, czyli sprane dzinsy i bluzę, na oliwkową sukienkę z dzianiny. Rozpuściła włosy, spryskała się perfumami.

Pisk hamulców oznajmił powrót Marta, lecz nie podrzucił go Ciaran Headley-Ryan, tylko Finula we własnej osobie. Nie poprzestała na podwiezieniu go, sama zaprosiła się do domu.

- Wpadłam tylko na momencik, żeby się przywitać - oznajmiła radośnie, sadowiąc się na najwygodniejszym krześle, jakby chciała tu spędzić cały wieczór. ,

Jak zwykle, była spowita w kwiecistą szatę, na którą narzuciła ogromny czerwony sweter.

Matt machinalnie cmoknął Hope w policzek i ciężko opadł na kanapę. W spranych dżinsach, szarej bluzie, z cieniem zarostu wyglądał raczej jak muzyk rockowy po koncercie niż jak pisarz.

- Napijesz się czegoś, Finulo? - zapytał niskim głosem. Jest w złym humorze, zauważyła Hope.

-No, może kieliszeczek. - Finula udawała, że się waha. Zatrzepotała zalotnie rzesami; ciągle flirtowała z Mattem. Nie ona jedna; jej mąż robi wrażenie na kobietach, stwierdziła Hope posepnie. Pociągała je jego uroda; fascynacja pogłębiała się, gdy odkrywały, że za piękną fasadą kryje się bystry umysł.

- Ja też się napiję, Hope - mruknął.

Hope zmrużyła oczy. Więc na dzisiejszy wieczór pozostaje jej rola służącej.

Jej starannie schłodzona butelka nie wystarczyła na długo, więc Matt otworzył drugą. Alkohol go ożywił, ale nie poprawił mu humoru, zauważyła, wyjmując pieczeń z piecyka. Nadal był spięty, rozdrażniony. Stukał palcami w oparcie kanapy, zatopiony w ponurych myślach, a odzywał się tylko po to, żeby nie urazić Finuli. Finula oczywiście nic nie zauważyła. Przysunęła się do Marta jak najbliżej, o mało nie siadając mu na kolanach, i z zapalem opowiadała o jakimś malarzu, którego poznała dziesięć lat temu, a który teraz jest bardzo znany.

- Wiesz, podobno mam oko do nowych talentów - stwierdziła i upiła haust wina.

- Robię co mogę, ale nie jest mi łatwo. My, artyści, zbyt często żyjemy wśród ignorantów.

Jak Hope się domyślała, artyści to Matt i Finula, a ignoranci to na przykład ona.

- Ale, ale, nie zanudzajmy naszej Hope rozmowami o sztuce. Może porozmawiamy o literaturze? Bo czytasz coś, prawda? - Finula odnosiła się do niej jak zarozumiała ciotka do głupkowatej bratanicy. - Jaka książka cię ostatnio poruszyła?

- *Jak pozbyć się szczurów domowym sposobem* - wyrecytowała. -Bardzo mnie poruszyła, aż mi się niedobrze zrobiło, słowo daję.

Finula roześmiała się. Matt gapił się na żonę pustym wzrokiem.

- Szczurów? - powtórzył.

- Później ci opowiem.

- Co sądzisz o książce Marta? - wypytywała Finula. Nie chciała rozmawiać o przyziemnych sprawach. - Jestem zachwycona jego pomysłami.

Teraz z kolei Hope gapiła się na męża pustym wzrokiem. Ona nie czytała ani jednego słowa jego powieści, za to Finula najwyraźniej tak. Wściekłość bulgotała w niej jak sos do pieczenia.

- Och, Finulo, nie pakuj mnie w kłopoty - zaniepokoił się Matt. - Przecież nikomu nie pokazuję tego, co piszę.

- Wiem, ty łobuzie. - Finula uśmiechnęła się kokieteryjnie i szturchnęła go w ramię. - Ale po tym, co opowiadałeś, nie mogę się doczekać, kiedy ją przeczytam. Jesteś taki błyskotliwy, to na pewno będzie wspaniała powieść, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Pewnie pękasz z dumy, że masz takiego męża? - zwróciła się do Hope.

- Pękam - wycedziła Hope przez zęby.

Dopiero kiedy osuszyli do dna drugą butelkę wina, Finula zaczęła się zbierać. Zbyła machnięciem ręki propozycję Matta, że wezwie jej taksówkę, zapewniła, że ma do domu tylko mały kawałeczek wiejską drogą i poradzi sobie znakomicie.

- Zresztą wypiliśmy tylko kilka lampek - zaszczębiotała, idąc do samochodu na wysokich obcasach, zupełnie nieodpowiednich na wieś.

- Głupia krowa pewnie wjedzie prosto w żywopłot - mruknęła Hope ze złością, wyrzucając puste butelki do kosza na śmieci. Głupia, pretensjonalna krowa. Może jej się wydaje, że zna się na literaturze i sztuce; w rzeczywistości wygłasza tylko powierzchowne sądy. Wino, głód i złość, że Matt zepsuł taki miły wieczór, wprowadziły Hope z równowagi. Cisnęła brudne kieliszki do zlewu.

Matt zamknął drzwi za Finulą i wrócił na kanapę. Z ponurą miną gapił się w przestrzeń.

- Kolacja jest pewnie do wyrzucenia - warknęła Hope. - Boże, co za pytanie: jaka książka cię ostatnio poruszyła? Nadęte babsko!

Zerwała folię aluminiową z brytfanki i patrzyła na wysuszoną pieczeń. Nic dziwnego, że sos wyparował, czego innego mogła się spodziewać po dwóch godzinach w piecu?

- Jeszcze lepsze było: czytasz coś, Hope? Innymi słowy: jesteś tylko głupią kurą domową czy może masz resztki mózgu? - Brytfanka wylądowała na stole z głośnym hukiem.

- Obudzisz dzieci - ostrzegł Matt.

Tylko dołał oliwy do ognia. W oczach Hope zapłonął gniew.

-I dobrze, przynajmniej porozmawiają sobie z tatusiem. Miały dziś męczący dzień. Bardzo ciekawy, jeśli już o tym mowa. Ale nie zadałeś sobie trudu, żeby je zapytać, co robiły. Ani mnie. - Rozgrzewała się, coraz bardziej podnosiła głos. - Skoro przyszła do nas mądra Finula, po co zawracać sobie głowę rozmową z durną żoną? O wiele przyjemniej słuchać jej paplaniny, pozwalać, żeby traktowała mnie z góry i psuła nam kolację!

- Sama się wprosiła! - syknął.

Hope widziała sygnały ostrzegawcze. Widziała drgające mięśnie na jego szczęce, nieomylny znak, że zaraz wybuchnie. Ale nie mogła się opanować. Zbyt długo tłumila w sobie niechęć do Finuli.

- A ty oczywiście starałeś się ją zniechęcić, prawda? Głupia krowa ma fioła na twoim punkcie, doprowadza mnie do szału...

- Dobrze wiedzieć, że coś budzi w tobie żywszą reakcję - wpadł w jej słowo Matt. - Od miesiąca czułem się, jakbym mieszkał z pieprzonym robotem. Lepiej mi się rozmawiało z laptopem niż z tobą.

- Ciekawe czyja to wina? - jego słowa zabolaly ją do żywego. -Z laptopem spędzasz więcej czasu niż ze mną!

- Hope, daj spokój.

- Nigdy nie ma cię w domu, nie pomagasz mi przy dzieciach! - krzyczała. - Wywiozłeś nas na ten koniec świata i po co? Żeby ci prowadziła dom jak posłuszna żoneczka? A kiedy wracasz do domu, wrzeszczysz na mnie, jeśli ośmielę się zapytać, jak minął dzień!

- Przestań!

Patrzyli na siebie nad dymiącą wyschlą pieczeńią. Hope nigdy nie widziała Matta tak rozgniewanego. Zaciskał usta, jakby chciał się powstrzymać, zanim powie coś strasznego. I nagle jej gniew zniknął, uszedł jak powietrze z przekłutego balonu. Nigdy nie gniewała się długo; za bardzo się bała. Co ona najlepszego zrobiła? Zraniła Matta, teraz on odejdzie. O nie. Nagle przerażona, przypomniała sobie niedawną historię z domnianym romanssem, przypomniała sobie tamten strach. Musi go przeprosić.

Wyciągała rękę, żeby mu to powiedzieć, ale było już za późno.

- Przykro mi, że wywiozłem cię na koniec świata - powiedział zimno. - Jeśli chcesz wracać, nie będę cię zatrzymywał. Jeśli nie chcesz zostać tu ze mną, uciekaj do Sam. Chciałem tylko, żebyś mnie wspierała w realizacji mojego marzenia. - Spojrzał na nią znużony. - Porozmawiamy o tym jutro. Na koncie na pewno jest tyle, że wystarczy na samolot dla ciebie i dzieci.

Hope jęknęła, uniosła dłonie do ust.

- Nie czekaj na mnie - dodał chłodno. Zdjął skórzaną kurtkę z wieszaka, ubrał się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Boże, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Hope na darmo zagryzała usta, nie mogła powstrzymać łez. Na piętrze zapłakało dziecko. Toby. Miał czujny sen. Hope przestraszyła się, że nie zdoła go uspić w tym stanie. Matt chyba nie mówił poważnie, że ona i dzieci mają wyjechać? Nie, to niemożliwe. Co ona najlepszego zrobiła? Nie powinna była nic mówić na temat Finuli. W ogóle nie powinna była nic mówić.

Matt zdawał sobie sprawę, że wypił za dużo, żeby prowadzić, ale miał to w nosie. Dojechał do końca drogi, tam dopadły go wyrzuty sumienia, że jedzie po pijanemu, więc wysiadł i dalej poszedł na piechotę. U Wdowy Maguire było tłoczno jak zwykle, turyści mieszały się z tubylcami. Goście z ekskluzywnego hotelu często tu zaglądali, ciekawi, jak jest w prawdziwym irlandzkim pubie. Zostawali dłużej, niż zamierzali, i z hotelu często przysyłano minibus po gości, którzy na własnej skórze przekonali się, że zawartość alkoholu w piwie irlandzkim jest wyższa niż w europejskim czy amerykańskim.

Przy barze był jeden wolny stółek i Matt szybko go zajął.

- Podwójną whisky - rzucił do barmanki. - Jameson. Bez lodu. Nie tylko ona spojrzała z uznaniem na wysokiego, przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę.

Wyglądał na niebezpiecznego typu, nieogolony, z ciemnymi oczami.

Przystojniak, bez dwóch zdań. Nie znała go, ale chyba nie jest jednym z bogaczy z hotelu. Wyjęła torebkę spod kontuaru i poprawiła usta ja-skraworóżową szminką.

Matt opróżnił szklankę kilkoma łykami, nieświadom wrażenia, jakie zrobił.

Podniósł wzrok, żeby przywołać barmankę, ale była tuż przed nim, uśmiechała się różowymi błyszczącymi ustami.

- Jeszcze raz to samo - mruknął. - Poproszę.

- Oczywiście - szepnęła zalotnie. Nie wiedziała, że Matt Parker nie flirtuje, nawet kiedy jest wściekły.

Tym razem nie wypił wszystkiego od razu, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w bursztynowy płyn. Co się stało Hope? Był w złym humorze, fakt, ale to chyba nie powód, żeby wpadała w szał i wyżywała się na nim? Nie znosiła Finuli, chociaż nie pojmował dlaczego. Finula jest nieszkodliwa, jej pochlebstwa działały jak balsam na jego duszę. Ona przynajmniej wierzyła w jego talent. Chyba tylko ona. Dokoła ludzie się bawili,

brzmiała radosna muzyka, ale Matt tego nie dostrzegał. Brakuje mu tempa życia w agencji, stwierdził. Jeśli trafiła się kiepska kampania i trudny klient, mogli sobie przynajmniej wspólnie ponarzekać, a wieczorem razem szli na wino. A jeśli wymyślili kampanię, która rzucała na kolana i zdobywała nagrody, wszyscy ich chwalili. Brakowało mu jednego i drugiego. Pisanie w samotności wydawało się piękne i kuszące w teorii; w praktyce okazało się strasznie męczące. Brakowało mu gwaru agencji, przekoma-rzaneek i dyskusji, burzy mózgów, firmowych dowcipów. Może jeszcze czegoś. Wzdrygnął się mimowolnie. Opróżnił szklanę jednym haustem, żeby zagłuszyć niechciane myśli.

Dziewczyna za barem uśmiechała się kusząco. Niebrzydka, stwierdził. Ciemne włosy, piegi i wielkie niebieskie celtyckie oczy. Bardzo irlandzka. Wyobraził ją sobie w reklamie guinnessa, jak z uśmiechem podaje klientowi kufel ciemnego piwa. W tle mistyczna muzyka irlandzka. Uśmiechnął się pod nosem. Człowiek z branży, zawsze i wszędzie. To ich stara zabawa; z Danem zawsze obsadzali nieznanym w wymyślonych reklamach.

- Tampony, zdecydowanie - orzekł Dan, gdy obserwowali szczupłą, zwinną dziewczynę w obcisłych spodniach, wijącą się na parkiecie.

- Czekoladowy baton - mówił Matt na widok dziewczyny o dużych zmysłowych ustach. Takie wargi doskonale wyglądają na batonie czekoladowym o fallicznym kształcie. Matt nie pojmował, czemu prawie nikt nie protestuje przeciwko takim reklamom.

- Masz rację - wzdychał Dan. - Idealne usta... Może szminka?

Nigdy nie obsadzali znajomych; to byłoby zbyt okrutne. W głębi ducha Matt uważał, że nowy copywriter doskonale się nadaje na oferent, któremu sprzątnięto dziewczynę sprzed nosa w reklamie napoju gazowanego, asystentka z księgowości byłaby idealną kurą domową, wyciągającą z pralki poszarzałą bieliznę upraną w „zwykłym proszku”. A Hope? Hope nie nadawała się do współczesnych reklam.

Musiałyby mieć historyczne tło; tak, Hope w roli nieśmiałej damy dworu, ale co mogłyby reklamować? Zabytki? Niewiele jest takich reklam.

Hope. Jak jej powiedzieć, co się dzieje? Cóż, wygląda na to, że na darmo wywrócił ich życie do góry nogami. Z wielkiej powieści będą nici. Był na siebie wściekły i potrzebował jej wsparcia, a otrzymuje wyrzuty od wściekłej złośnicy. Czy ona jest ślepa? Nie widzi, co się z nim dzieje?

Uśmiechnął się do barmanki i zamówił kolejnego drinka. Chciał się upić do nieprzytomności.

Było zimno, ale Hope nie potrafiła ocenić, czy zapowiada się na mróz, czy nie. Ostatnio sporo się nauczyła: jeśli niebo było czyste, a gwiazdy doskonale widoczne, nadchodził mroźny dzień. W Bath nigdy nie zwracała na to uwagi. Jeśli było chłodno, mocniej rozkręcała ogrzewanie i tyle. Ale tutaj uważnie słuchała prognozy pogody, żeby wiedzieć, ile drewna dołożyć do pieca.

Tego wieczoru chłód chyba nie pochodził z zewnątrz. Drżała z zimna od kilku godzin, odkąd Matt wyszedł.

Kiedy udało jej się ponownie usnąć Toby'ego, zeszła na dół na palcach, usiadła przy piecu i czekała. Matt nie wracał. Minęła północ. Wiedziała, że poby zamyka się o wpół do dwunastej, więc zaraz powinien przyjść. Nie przychodził.

O pierwszej zgasła wszystkie światła, poza lampką nad drzwiami, i poszła na górę. Przebrała się i położyła do łóżka. Pościel była boleśnie zimna. Stopy jej skostniały, ale specjalnie nie włożyła skarpetek. Matt ich nie znosił, chociaż bez skarpet jej stopy były zimne jak sople lodu. Chciała sprawić mu przyjemność, wynagrodzić nieporozumienie. Kiedy tylko wróci do domu, przeprosi go i powie, że to jej wina. Zachowała się okropnie, paskudnie...

Łzy wsiąkały w poduszkę, do której się tuliła, wyobrażając sobie, że to ciepłe ciało Marta. Obserwowała, jak fluorescencyjne wskazówki budzika zatrzymują się na drugiej, potem na trzeciej, zanim w końcu zasnęła.

Kiedy zadzwonił budzik, poderwała się przerażona. Wpół do ósmej. Matt zwykle wstaje o tej porze. Nie było go w łóżku. Pościel była nietknięta.

Zazwyczaj udawało jej się zdrzemnąć jeszcze kwadrans, zanim dzieci wpadały do ich sypialni, zadowolone lub smutne, w zależności od dnia. Lecz dzisiaj słyszała, że krzątają się na dole i, sądząc po odgłosach, jedzą śniadanie.

Włożyła pikowany szlafrok, w którym wyglądała jak grubsza siostra ludzika Michelin, i poczłapała na dół, przygotowana na najgorsze, bo jeśli dzieci same robią śniadanie...

Tymczasem w kuchni Matt ubijał jajka, a dzieci grzecznie siedziały przy stole i piły mleko. Wyglądał okropnie, jakby tej nocy w ogóle nie zmrużył oka. Hope rozzłościła się.

Nie zadzwonił, nie dał znaku życia, a ona zamartwiała się, wyobrażała sobie, że wjechał w drzewo, wpadł do rowu i leży gdzieś bez życia, w kałuży krwi. I teraz tak po prostu szykuje dzieciom śniadanie, jakby robił to zawsze.

Bez słowa nastawiła wodę na kawę.

- Mamusiu, tatuś robi nam grzanki - oznajmiła radośnie Millie. Coś takiego, pomyślała złośliwie.

- Więc niech po sobie posprząta - syknęła.

Matt spojrział na nią przeciągle, ale zignorowała to.

Zrobiła sobie filiżankę kawy i wróciła na górę. Niech dla odmiany Matt zajmie się dziećmi; ona będzie czytała w łóżku.

Lecz nie było to tak przyjemne, jak sobie wyobrażała. Zamiast się odprężyć, czujnie nadśluchiwała odgłosów z dołu i głowiła się, gdzie jej mąż spędził tę noc. Nie zapyta go, o nie. Sam powinien jej powiedzieć. Jeśli tego nie robi, nie zapyta. Nigdy.

Zimna wojna trwała przez cały tydzień. Każdego ranka Matt wychodził, zanim Hope ubrała dzieci. Co wieczór chłodno i uprzejmie pytał, jak maluchy spędziły dzień. Prychnął tylko, gdy Hope powiedziała mu o swojej pracy. Jadali kolację w milczeniu, przy telewizorze. W łóżku leżeli jak najdalej od siebie, uważając, żeby się nie dotknąć choćby palcem u nogi.

Finula poinformowała Hope, że z chęcią udzieliła Mattowi gościny tamtej nocy, gdy nie wrócił do domu.

- Z artystami czasami nie da się wytrzymać - westchnęła, wyraźnie zachwycona, że tyle wie o rodzinnym życiu Parkerów.

Hope zgadzała się z tym całkowicie.

Mężczyźni są lepsi w prowadzeniu wojen, stwierdziła Hope ze smutkiem w środę wieczorem, obierając marchewkę. Wytrzymują dłużej niż kobiety.

Chciała, żeby to się skończyło, ale po raz pierwszy w życiu zwyciężyła pokusę, by podejść, przeprosić za wszystko i starać się, żeby było jak dawniej. Wina leży po stronie Matta i ona nie będzie błagać o wybaczenie, nie tym razem. Robiła to przez całe życie i wreszcie zrozumiała swój błąd. To się musi zmienić.

Ale Matt zachowywał się tak, jakby był na nią o coś wściekły.

W czwartek odwiozła go do ośrodka w kamiennej ciszy i pojechała z dziećmi do przedszkola. Radość, z jaką powitały Giselle, świadczyła, że zimna wojna odbija się także na nich. I co w tym dziwnego? Chociaż starała się zachowywać normalnie w ich obecności, atmosfera w domu była iście syberyjska. Koniec z tym, postanowiła. Wieczorem porozmawiają szczerze. W odrobinę lepszym humorze po raz pierwszy pojechała do pracy.

Biuro Erwina Donalda mieściło się piętnaście kilometrów za Redlion, na drodze do Killarney, w betonowym budynku, przylegającym do ogromnych garaży, w których stały maszyny do wynajęcia. Niewielu farmerów może sobie pozwolić na zakup kombajnów i traktorów, Erwin zarabiał, wypożyczając im sprzęt.

Luty to martwy miesiąc. Za zimno na jakiegokolwiek prace, zastój w interesach.

- Potrzebny jest ktoś, kto odbierałby telefony, póki Moira nie stanie na nogi - wyjaśnił Erwin, potężny rudzielec po pięćdziesiątce z mnóstwem piegów na twarzy.
- Miała uporządkować papiery, ale to może poczekać - dodał, zapalając światło.

Hope wzdrygnęła się z zimna. W biurze było chyba niewiele cieplej niż na zewnątrz. Nic dziwnego, że biedna Moira się rozchorowała. To i tak cud, że do tej pory nie dorobiła się obustronnego zapalenia płuc. Hope patrzyła na puste białe ściany, metalowe regały na dokumenty, starą wykładzinę na podłodze. Oby za jednym z dwóch biurków był piecyk elektryczny.

- Często przelączamy telefon do domu, spędzamy tu mało czasu - wyjaśnił Erwin, jakby po raz pierwszy dostrzegł ponurą atmosferę w biurze. - Mamy tu czajnik i kawę oraz herbatę, toaleta jest w końcu korytarza. - Wyciągnął spod biurka wiekowy piecyk elektryczny. Hope obawiała się, że wybuchnie, ale po chwili poczuła przyjemny ciepły podmuch. Erwin wyjaśnił jej, co mówić ewentualnym klientom, ustalił, kiedy przyjedzie zająć się jej ogrodem, i wyszedł. Hope rozejrzała się po pustym biurze i wzdrygnęła ponownie. Jasnoniebieski golf i czarne spodnie, które włożyła, żeby wyglądać profesjonalnie, nie chroniły przed chłodem. Nie zdjęła płaszcza.

Dwie filiżanki herbaty później Hope nudziła się jak mops. Telefon nie zadzwonił ani razu. Czy po to oddała dzieci do przedszkola? Żeby dwa razy w tygodniu siedzieć w lodowatym biurze i gapić się na milczący telefon? Nie ma tu nawet radia. Zerknęła na zegarek. Minęła dopiero godzina. Jeszcze dwie. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Mary-Kate i zapytać, czy Erwin naprawdę kogoś potrzebował. A może Mary-Kate zmusiła go, żeby ją zatrudnił? Chociaż to chyba już przesada. Robiło jej się niedobrze na myśl o kolejnej herbacie, więc spacerowała, żeby się rozgrzać. Zajrzała do pierwszej z brzegu szuflady. Erwin chciał tylko, żeby odbierała telefony, ale jeśli się czymś nie zajmie, zwariuje z nudów.

W pierwszej szufladzie dokumenty były starannie posegregowane; dochody, koszty, faktury i tak dalej. Za to w kolejnych panował kompletny bałagan; były tam pomieszane dokumenty z ostatnich dziewięciu lat! Z niedowierzaniem wyjęła zawartość szuflady; drobne karteluszeki rozsy-

pały się po podłodze. Było tam wszystko, poczynając od ważnych dokumentów, na wycinkach z katalogów kończąc.

Zajrzała do trzeciej szuflady. To samo. Zaczęła się domyślać, czemu Moira zwlekała z uporządkowaniem tego wszystkiego. Uśmiechnęła się. Teraz przynajmniej ma coś do roboty. Zakasała rękawy i zabrała się do pracy.

Do wpół do pierwszej odebrała cztery telefony i uporządkowała jedną szufladę. Robienie porządków sprawiło jej satysfakcję. Pewnie gdyby robiła to codziennie, byłaby innego zdania, ale na razie nawet jej się podobało. Zajęta pracą, nie myślała o mężu. Dokumenty nie patrzą wyrzutem, nie wzbudzają poczucia winy.

Zostawiła informację dla Erwina, napisała, kto dzwonił, i dodała, że troszkę posprzątała. Wyłączyła grzejnik i wyszła, bardzo z siebie zadowolona.

Otis, młody i nieśmiały pomocnik Mary-Kate, akurat obsługiwał klientkę, kiedy weszła, więc przycupnęła na krześle i czekała, aż będzie wolny. Niecierpliwiła się, chciała komuś powiedzieć, co dziś robiła.

- Prosiła, żeby pani weszła od zaplecza - powiedział, kiedy zapytała, gdzie Mary-Kate.

Zaskoczona, posłusznie poszła na zaplecze. Spodziewała się, że poczuje aromat świeżej kawy. Tymczasem kawy nie było, a Mary-Kate zapinała płaszcz.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam. - Hope chciała się wycofać. - Chciałam ci tylko powiedzieć, jak mi poszło u Erwina. Widzę, że wychodzisz, więc nie przeszkadzam.

- Dokąd uciekasz? - Mary-Kate zatrzymała ją z uśmiechem. - Wychodzę, owszem, ale z tobą. Idziemy na lunch do Wdowy Maguire uczcić twój pierwszy dzień w pracy.

Hope ucieszyła się jak dziecko. Przyjemnie, kiedy ktoś cię docenia.

- Skąd wiedziałaś, że będzie co świętować? - zapytała. Mary-Kate parsknęła śmiechem.

- Koniec głupich pytań! Opowiadaj! - poleciła.

Hope była pełna energii. Po południu zabrała dzieci na długi spacer. Kiedy wrócili do domu, były tak zmęczone, że siedziały w kąciku i bawiły się grzecznie. Hope wzięła się za prasowanie.

Po godzinie prasowania dziecinnych ubranek, całkiem sztywnych po praniu w wapiennej wodzie, była zmęczona, ale czekało ją jeszcze jedno zadanie: kolacja.

Zajrzała do książki kucharskiej w poszukiwaniu czegoś prostego. Niestety, nie miała potrzebnych składników do tych potraw, na które miała ochotę. Trudno. Zatrzasnęła książkę. Kobiety pracujące nie muszą gotować same. Otworzyła słoik ulubionego sosu do spaghetti. Jak to przyjemnie znowu być kobietą pracującą. Dzieci bawiły się grzecznie, sos bulgotał na piecu. Uznała, że ma chwilę dla siebie i pobiegła na górę, sprawdzić pocztę elektroniczną. Ostatnio sprawdzała ją codziennie. Dzisiaj czekała wiadomość od Betsey.

Jak sobie radzicie w Kerry? Boże, jak ja ci zazdroszczę, że się wyrwałaś z wyścigu szczurów. Siedzę po uszy w dużym artykule o kobietach politykach i od świąt nie miałam wolnej chwili. Dan szykuje kampanię piwa i doprowadza mnie do szaleństwa. Wiesz, jak on i Matt się zachowują, kiedy tworzą. Koszmar. Dan narzeka, że już nie pamięta, co to znaczy kolacja w rodzinnym gronie; albo ja, albo on pracujemy po nocach.

W przyszłą sobotę będzie uroczyste rozdanie nagród w branży reklamowej i wybieram się do Londynu na zakupy. Wiesz, co sobie pomyśli konkurencja, jeśli nie będę od stóp do głów spowita w Chloe albo Calvina Kleina. Powiedzą że jestem stara i paskudna. Pamiętasz, jak w zeszłym roku Erica wystąpiła w różowej, sukni, która wyglądała, jakby jej babka zrobiła ją na drutach? Dan będzie wkurzony, jeśli się nie odstrzelę, a ja nie mam czasu. Co za pech.

Jak ja ci zazdroszczę, że możesz leniuchować z dziećmi i nie martwić się nagrodami, występami, nianią, przedszkolem i tym, żeby mieć idealny makijaż. Co za rozkosz. Poznałaś jakieś inne mamy? Mam nadzieję, że się z kimś zaprzyjaźniłaś. Czy niepracujące matki nadal spotykają się na kawie? Ciekawe, to chyba dobry temat na artykuł. Ale trąci myszką, takie lata siedemdziesiąte, prawda? Napisz, co u was słychoć. Kiedy wracacie do cywilizacji? Ciao Betsey

Hope nie posiadała się z oburzenia. Z powrotem do cywilizacji? A niby gdzie oni są? W Kongo, czterysta lat temu? Albo: poznałaś jakieś inne mamy?

Co to ma znaczyć? Co ona sobie myśli? Że Hope nagle znalazła się w strefie mroku? Że kiedy złożyła wymówienie, pozbyła się także mózgu i stała się bezmyślną kurą domową, która całymi dniami grzebie w lodówce? Betsey wracała do pracy zaraz po urlopie macierzyńskim i uwa-

żała, że kobiety, które zostają w domu dłużej, są szalone lub głupie. Albo jedno i drugie.

Hope wyłączyła komputer i zbiegła na dół. Była tak wściekła, że kiedy wrócił Matt, zapomniała o zimnej wojnie i wygłosiła płomienną przemowę na temat maila.

- Za kogo ona się uważa? - perorowała, nakładając spaghetti. - Jakbyśmy byli na końcu świata, biegali w spódniczkach z trawy i walili w tam-tamy. Co za bezczelność! Myśli, że kobiety, które zostają z dziećmi w domu, zamiast pracować, to głupie kury?

- Chyba nie jest tak źle - łagodził Matt, zadowolony, że Hope znowu się do niego odzywa. Zrobiła pierwszy krok, teraz on może okazać wielkoduszność i podtrzymać rozmowę. Nadal nie mieściło mu się w głowie, że wytrzymała aż tydzień. Dawniej błagała o wybaczenie kilka minut po kłótni. Zmieniła się. - Muszę sam to przeczytać.

Szybko wrócił.

- Głupia suka - mruknął.

- Widzisz, mówiłam! - Hope triumfowała.

Ale Matta rozżłościło zupełnie co innego. Zirytowała go wzmianka, że Dan pracuje nad kampanią piwa i że zbliża się ceremonia rozdania nagród. Matt zapragnął tam być, zapragnął tak bardzo, że aż go to przeraziło. Zateśnił za atmosferą uroczystości, gdzie wszyscy piją za dużo i udają, że mają w nosie, czy to ich zespół zostanie Najbardziej Kreatywnym Zespołem, chociaż niczego nie pragną bardziej. Chciał być z nimi, pracować przy kampanii piwa, dowcipkować i wymyślać hasła.

Hope objęła go serdecznie. Uświadomiła sobie, że mimo wcześniejszych deklaracji przerwała milczenie. Cóż, trudno, tak będzie lepiej. Zresztą i tak pokazała, na co ją stać, milcząc tak długo.

- Cieszę się, że wyścig szczurów już za nami - skłamała. - Tu nam lepiej, prawda?

- Tak - skłamał w odpowiedzi i przytulił ją mocniej. - O wiele lepiej.

Rozdział 11

W poniedziałkowy rano Nicole wkroczyła do biura z krótką miedzianą fryzurką. Okropny pomarańczowy odcień bezpowrotnie znikł, Charlene udało się wyczarować na jej głowie kolory kasztanów, miedzi i ochry zmieszane z ostrymi metalicznymi pasemkami. Wyglądało

to rewelacyjnie przy śniadej skórze Nicole. Krótka fryzurka uwydatniała idealny kształt twarzy i wypukła wspaniałe kości policzkowe. Nicole zmieniła się nie do poznania. Zawsze była piękna, ale teraz była też intrygująca.

- Jezus, Maria! - jęknęła recepcjonistka. - Co zrobiłaś z włosami?

- Zmieniłam - odparła. Ustaliły z Sharon, że taka będzie oficjalna wersja; Nicole nie chciała się przyznawać, że to wynik katastrofy z domowym farbowaniem. Ale gdzie jest Sharon? Miały się spotkać przed pracą, Nicole liczyła na jej moralne wsparcie przy spotkaniu z kolegami z pracy.

- Zwariowałaś? - dopytywał się nowy facet z księgowości, wsiadając z nią do windy.

- Taka moda - wysapała Sharon, wbiegając do windy w ostatniej chwili. - Słyszałeś o czymś takim? - zapytała. Po chwili dodała z niesmakiem, patrząc na jego łysinę: - Oddałbyś wszystko, byle mieć dość włosów, żeby je farbować.

- Suka - warknął.

Nicole pokazała mu środkowy palec, zanim wysiadły z Sharon na ich piętrze.

- O, nowa fryzura - mówili wszyscy na widok Nicole.

- Super - szepnęła dziewczyna, która siedziała koło niej.

- Też chciałabym zrobić coś z włosami - mruknęła Shirin, Hinduska. Miała włosy długie i proste, jak do niedawna Nicole. - Ale ojciec zabiłby mnie, gdybym zmieniła kolor.

Nicole uśmiechnęła się szeroko.

- Widzisz? Fakt, że nie znam mojego ojca, ma jednak pewne zalety -zażartowała.

- Sinclairowa na godzinie dziewiątej - syknęła Sharon ostrzegawczo.

Rozchichotane dziewczyny błyskawicznie wróciły na swoje miejsca. Nie miały powodów do obaw. Panna Sinclair zmierzała do Nicole. Co ta idiotka zrobiła z włosami?

- Twoje włosy - zaczęła panna Sinclair z niesmakiem.

- Tak. - Nicole uśmiechnęła się, ale oczy miała poważne. - Włosy. Obcięłam.

Co za bezczelność! Panna Sinclair odetchnęła głęboko.

- Nie o to mi chodzi - syknęła lodowato.

- Nie podoba się-pani kolor? - zapytała Nicole niewinnie. Zdawała sobie sprawę, że Sinclairowa wylałaby ją z największą przyjemnością za cokolwiek, choćby za nieodpowiedni wygląd.

- Wiele osób farbuję włosy - dodała ze wzrokiem utkwionym w głowę panny Sinclair; mysie odrosty wystawały spod kasztanowych loków. - Chyba Hinduskom też wolno? - dodała i ze złośliwą satysfakcją obserwowała, jak Sinclairowa wierci się niespokojnie.

Panna Sinclair nadeła się jak ropucha.

- Nie wygłupiaj się. Zauważyłam, że zmieniłaś fryzurę i kolor, ale nie o to mi chodzi. Kurtka dzinsowa jest niedopuszczalna. Znasz zasady, żadnego dzinsu.

Nicole bez słowa ściągnęła kurtkę; pod spodem miała białą koszulkę, przez którą wyraźnie przebijały ciemne sutki.

Oczy panny Sinclair niemal wyskoczyły z orbit. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że trzeba nosić stanik, prawda?

Ledwie odeszła, żeby skarcić kogoś w przeciwnym końcu sali, Nicole zadzwoniła do Sharon.

- Wstrętna krowa - syknęła. - Im szybciej stąd odejdę, tym lepiej, inaczej wyląduję za kratkami za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem.

- Głowa do góry - pocieszała przyjaciółka - kiedy zostaniesz gwiazdą, będziesz ją obgadywała na prawo i lewo, a stara mała nawet słówkiem nie piśnie.

- Gwiazdą, akurat! - Nicole nie dawała się pocieszyć. - Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie.

- Wiesz, niepotrzebnie powiedziałaś to o Hinduskach - skarciła ją Shirin później, w toalecie. - Mój ojciec uważa, że nie powinniśmy się domagać specjalnego traktowania ze względu na pochodzenie.

- Cóż, Shirin, twój ojciec wygląda na fajnego gościa, ale ja, choć półkrwi Hinduska, jestem przede wszystkim dziewczyną z Londynu - stwierdziła Nicole nonszalancko. - Nawet nie znam mojego ojca.

- Przykro mi - mruknęła Shirin.

- A niby dlaczego? - zainteresowała się Sharon, która dopiero weszła do łazienki.

- Drobiazg. - Nicole zbyła ją szybko.

Właściwie o co tej Shirin chodzi? Owszem, nie wie nic o ojcu i jego kulturze, za to babcia nauczyła ją aż za dużo; dzięki Reenie знаła na pamięć wszystkie stare irlandzkie pieśni. Czego można chcieć więcej?

To był długi, nudny dzień. O wpół do czwartej cierpliwość Nicole się wyczerpała, dla zabicia nudy przeglądała gazetę i zakreślała co ciekawsze ogłoszenia o pracy. Nawet kiedy Sinclairowa się zbliżała, nie chciało jej się składać gazety. Może liczyła, że przełożona wpadnie w szal i wyrzuci ją z miejsca. Nicole miała po dziurki w nosie pracy w Copperplate.

To wszystko przez Dariusza, pomyślała ze złością. Gdyby nie narobił jej fałszywych nadziei na karierę muzyczną, żyłaby jak dawniej, wyglupiała się z Sharon i dziewczynami, czekała na koniec pracy i robiła niemądre psikusy przełożonej.

A teraz pragnęła czegoś innego. Nie chciała do końca życia tkwić za tym biurkiem.

Podczas przerwy na kawę włączyła komórkę - w godzinach pracy musiała ją wyłączać.

Nie mam dla ciebie żadnych wiadomości - usłyszała, gdy sprawdzała pocztę głosową.

Była tak nieszczęśliwa, że zapomniała wyłączyć telefon.

Za dziesięć piątą zadzwonił w głębi jej plecaka.

Gdzie jesteś, do cholery! - złościła się, szukając go po omacku.

- Tak? - warknęła.

- Cześć, Nicole, tu Darius Good z Titus Records.

Nicole wyprostowała się gwałtownie. Najwyżej Sinclairowa zobaczy ją z komórką. I co z tego?

- Jak leci? - zapytała nonszalancko. Darius nie był w stanie ukryć ekscytacji.

- Czy możesz jutro spotkać się z szefową? Długo się nie odzywałem, przepraszam, ale Sam Smith, moja szefowa, była bardzo zajęta. A tak przy okazji, bardzo jej się podoba twój głos.

- Tak? - Nicole rozpromieniła się. - O której jutro?

- O dziesiątej?

- Świetnie. Podaj mi adres. - Zapisała. - A ty tam będziesz?

- Oczywiście. Jesteś moja. To znaczy - speszył się - ja cię znalazłem i... sprowadziłem i... wiesz, o co mi chodzi.

- Wiem - odparła ochryple. - Nie mogę się już doczekać jutra. Skończyła rozmowę i uśmiechnęła się do Sharon.

- Zbieraj się, Shazz, idziemy na zakupy.

- Jeszcze daleko do wpół do szóstej - zaprotestowała przyjaciółka.

- Wymkniemy się - zaproponowała Nicole.

- Nie mogę.

- No dobra, pójdę sama. Zadzwoni na komórkę, kiedy już stąd wyjdiesz. Muszę jutro zabójczo wyglądać.

Nicole odpięła trzy górne guziki obcisłej fioletowej sukienki, którą kupiła poprzedniego dnia. Skórzane kozaki do kolan znacznie przewyższały jej finansowe możliwości, ale do licha, od czego są karty kredytowe?

Sharon okazała się prawdziwą przyjaciółką i pożyczyła jej torebkę od Prądy, własność starszej siostry, pod warunkiem że skarb wróci na miejsce przed powrotem Tyny, inaczej marny ich los.

- Wyglądasz bosko - stwierdziła Sharon, gdy zobaczyła końcowy efekt, łącznie z torebką, której wykradzenie było skomplikowaną operacją szpiegowską wysokiego ryzyka.

A teraz Nicole siedziała w nowoczesnym holu Titus Records, wśród przydymionego szkła i chromu, i starała się nie otwierać buzi ze zdziwienia. Pracownicy biegali w tę i we w tę, zaaferowani, z komórkami przy uchu i oczywiście modnie ubrani. O, na przykład ta efektowna blondynka z prostymi włosami, w skórzanych spodniach Dolce & Gabbana, Nicole rozpoznała je od razu.

Właściwie zastanawiała się, kim jest i co robi tajemnicza blondynka, kiedy przyszedł Darius.

- Cześć - powiedziała spokojnie, jakby przesiadywanie w koncernach fonograficznych i zastanawianie się, czy podpiszą z nią kontrakt, czy nie, było dla niej chlebem powszednim.

- Cześć - odparł.

Nicole przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał jeszcze lepiej niż za pierwszym razem.

Włosy miał krótsze i bardziej nastroszone. Był jednym z nielicznych znanych jej mężczyzn, którzy dobrze wyglądali w koszuli wypuszczonej na dzinsy. Uśmiechał się ciepło i przyjaźnie, jakby wybierali się do parku z butelką wina. Patrzyli sobie głęboko w oczy.

- Świetna fryzura - powiedział z podziwem.

Nicole uśmiechnęła się, wytrącona z marzeń. Gdyby tylko wiedział, jak doszło do tej transformacji...

Denerwowała się coraz bardziej, gdy prowadził ją na piąte piętro, gdzie, jak wyjaśnił, czekają Sam Smith, Sophie Lanson, Nadia Vieri i inni członkowie zarządu.

- Kilka osób? - zapytała nerwowo.

-No tak, wszyscy chcą cię poznać. Potem pewnie porozmawiasz z Sam w cztery oczy. Uwierz mi, jest twarda, ale porządna. Podobał jej się twój głos.

- Już to mówiłeś - zauważyła. - Co to właściwie znaczy? Co będzie później?

- Co to znaczy? Jeśli Sam będzie za, podpiszemy z tobą kontrakt. Wejdiesz do studia z muzykami i autorami muzyki i tekstów. Jeśli nagracie coś dobrego, wydamy singel i jak wszystko dobrze pójdzie, album.

- Nie mam zbyt wielu piosenek - wyznała. - Napisałam kilka, ale nie szczególnego. - Trudno, będzie z nimi szczerą. Wczoraj przejrzała swoje dzieła i uznała, że wszystkie są do niczego.

- Zobaczymy, tym się na razie nie przejmuj. Niewielu wykonawców komponuje osobiście - pocieszył ją. - Masz świetny głos, to dla nas najważniejsze. - Nie dodał, że dwie poprzednie brytyjskie piosenkarki lansowane przez nich okazały się kompletną pomyłką. Dlatego rozpaczliwie potrzebowali teraz nowej twarzy. Być może, Nicole jest odpowiedzią na ich modlitwy. Czas pokaże.

Po chwili weszli do sali konferencyjnej, dziesięć razy elegantszej niż najbardziej reprezentacyjne pomieszczenia Towarzystwa Ubezpieczeniowego Copperplate. Przy stole siedziało kilka osób, między innymi platynowa blondynka, którą zauważyła na dole. Nicole przełknęła ślinę i głęboko zaczerpnęła tchu. Już ona im pokaże.

- Jest fantastyczna - orzekła Sam do Karen Storin jakiś czas później. Dariusz zaprowadził Nicole do łazienki. - Jest bystra i wie, czego chce.

- I zabójczo wygląda - westchnęła Karen. - Mogłaby być modelką. Jeżeli da sobie radę, daleko z nią zajdziemy.

- Mam nadzieję. - Sam podniosła głowę. - Wydaliśmy fortunę na Density, ale mam uczucie, że to kiepska inwestycja. Potrzebny nam pewniak, żeby wynagrodzić zawracanie głowy z tymi dzieciakami.

- Spodobałam im się? - wypytywała Nicole Dariusza, gdy wracali do biura Sam Smith. Przy nim nie siliła się na spokój. Od razu widać, że jemu zależy na tym tak samo jak jej.

Dariusz uśmiechał się od ucha do ucha.

- Byli zachwyceni, tak jak mówiłem.

- Więc nagram piosenki w studiu?

- Najpierw tylko kilka. Sam oceni, czy zaproponuje ci kontrakt.

- Nie wiem, czy wytrzymam tyle czekania - niecierpliwiła się Nicole.

- Słuchaj, jeśli śpiewasz choć w połowie tak dobrze jak na tej płycie, masz kontrakt w kieszeni.

Gabinet Sam był taki jak ona, oceniła Nicole: nieskazitelny, profesjonalny i rzeczowy. Na biurku nie było zdjęć dzieciaków, kwiatków w doniczkach ani słodkich akwarelek; tylko kanapa, duży stół ze szklanym blatem, a na ścianach platynowe płyty. Sam jest twarda, to widać. Drobną, szczupłą i elegancką, sprawiała wrażenie osoby, która nie owija w ba-

węknę i nie daje sobie wciskać kitu. Nicole to się spodobało, choć zarazem przerażało.

W stosunku do niej Sam była bardzo miła. To chyba dobry znak.

- Co o tym wszystkim sądzisz? - zapytała, kiedy we trójkę usiedli za stołem.

- Szczerze mówiąc, przeraziłam się... Choreografia, emisja głosu...

- Bardzo dobrze - skomentowała Sam ku zdumieniu Nicole. - To poważna sprawa. Będziesz musiała rzucić pracę, żeby mieć czas na naukę. Będziesz w pocie czoła harować z nauczycielem śpiewu, choreografem i muzykami, ale to nie gwarantuje absolutnie niczego.

Nicole zamrugnęła szybko.

- Dostaniesz zaliczkę na poczet kontraktu, zakładając, że go podpiszemy, ale jeśli płyta nie chwyci, koniec pieśni. To ciężka praca i chcę, żebyś miała świadomość, w co się ładujesz.

- Nie jestem głupia - zaperzyła się Nicole.

- Tego nie powiedziałam. - Sam była spokojna. - Widzę, że głupia nie jesteś. Ale zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, ilu ludzi liczy na karierę i załamuje się, kiedy nic z tego nie wychodzi. Nie twierdę, że tobie się nie uda - mówiła powoli, akcentowała każde słowo - Chcę tylko, żebyś zdawała sobie sprawę, że może nic z tego nie wyjdzie.

Nicole przestraszyła się.

- Głowa do góry - pocieszyła ją Sam. - Wierzę w ciebie, wszyscy w ciebie wierzymy. Mamy świetny zespół, Nicole, i jeśli nam się nie uda, nie uda się nikomu. No dobrze, bierzemy się do roboty. Będzie ci potrzebny menedżer. Darius, myślałeś o kimś dla Nicole?

Kiedy godzinę później Darius odprowadził ją do windy, Nicole czuła się jak po przejściu tornada.

- Jest imponująca - mruknął Darius. - Mam nadzieję, że cię nie wystraszyła? - Spojrzał na nią z obawą. Nie chciał, żeby się denerwowała.

Ale Nicole nie posiadała się z radości.

-Nie - odparła. - Było wspaniale. Jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonana, że mi się uda!

Sam poczuła znajomy ból; narastał, dokuczał coraz bardziej, rozlewał się z podbrzusza na krzyż i plecy. Że też musiał ją dopaść akurat teraz, na imprezie z okazji wydania albumu Density. Imprezę urządzono w najpopularniejszym klubie rockowym, pytanie tylko, czy są na niej odpowiedni ludzie? Bo jeśli nie matu znawców rocka, dziennikarzy muzycznych i tak dalej, to zmarnowane pieniądze.

Musiała wygłosić przemówienie, na szczęście krótkie, zanim na scenę wyjdzie Steve. Właśnie dlatego nie może teraz ulec bólowi. Kolejna fala. Nagle przeraziła ją myśl, że zaraz dostanie okres i popłami obcisłe beżowe spodnie. Niemal biegiem ruszyła w stronę toalety i wpadła prosto na Robertę Ceci, matkę duetu Enchanting, ostatnią osobę, z którą chciała teraz rozmawiać.

- Sam! - Roberta uśmiechnęła się szeroko. - Musimy pogadać o...

- Nie teraz - warknęła. Roberta Ceci była zła, ale to nic nowego. Sam długo nie wychodziła z toalety. Całe szczęście, że nauczyła się

przezorności i zawsze miała przy sobie tampony. Połknęła proszek przeciwbólowy i usiadła na zamkniętej muszli klozetowej. Może ból zelżeje. Od wizyty u lekarza próbowała sobie przypomnieć, ile razy bolesne miesiączki zmieniały jej życie w piekło.

Zdecydowanie zbyt często, stwierdziła, wspominając przenikliwy ból, który starała się ignorować. Ale dłużej się nie dało. Tydzień temu wybrała się wreszcie do lekarza. Zbadał ją i postawił wstępną diagnozę: mięśniaki, ale zalecił dalsze badania. Sam zapisała się do specjalisty, ale to dopiero za trzy tygodnie. Zaczynała żałować, że nie nalegała na wcześniejszy termin. Co prawda publiczna opieka zdrowotna przechodziła kryzys, ale Sam miała prywatne ubezpieczenie i stać ją było na wizytę prywatną. Z drugiej strony, to pewnie nic poważnego i wyjdzie na histeryczkę.

Po dziesięciu minutach poczuła się trochę lepiej. Wyszła z toalety. Zerknęła w lustro - była trupio blada. Powinna poprawić makijaż. W malutkiej torebce nie było miejsca na baterię kosmetyków, więc roztarta na policzkach odrobinę szminki z nadzieją, że w klubie jest ciemno i nikt nie zwróci uwagi na dziwny makijaż.

Chyba nadszedł czas na jej mowę, Steve rozglądał się nerwowo.

- Przepraszam, „Mirror” prosiło o wywiad - skłamała.

Przytrzymał jej drzwi i razem weszli na scenę. Zespół czekał za kulisami. Steve miał ich zapowiedzieć jako najlepszy zespół pod słońcem. Sam z trudem zebrała cały swój profesjonalizm, by z uśmiechem przywitać się z menedżerem i muzykami. Miała złe przeczucia co do tej grupy. Jak na zespół, który nie sprzedał jeszcze ani jednej płyty, byli za bardzo pewni siebie. A jeśli zrobią klapę, pociągną ją za sobą.

Przemawiała dwie minuty, Steve pięć i zespół zaczął grać.

- Są super! - wrzasnął jej Steve do ucha.

- Bomba! - odkrzyknęła, gdy wracali za kulisy.

Pani Ceci pojawiła się nie wiadomo skąd, czerwona na twarzy pod grubą warstwą kosmetyków.

- Jak pani może mnie tak traktować! - wrzasnęła. - Musimy porozmawiać, nie życzę sobie...

Sam miała już dosyć. Spojrzała jej prosto w oczy.

- To jest premiera nowej płyty. Ja tu pracuję - syknęła. - Nie wiem, co pani tu robi, bo nie przypominam sobie pani nazwiska na liście gości. Jeśli chce pani ze mną porozmawiać, proszę zadzwonić do mojej sekretarki i umówić się na spotkanie. Jasne?

Roberta Ceci szeroko otworzyła oczy. Jasne, a jakże.

- A przy okazji, niech pani przestanie wydzwaniać do moich ludzi bez powodu - dodała Sam. - Jeśli ma mi pani coś do powiedzenia, proszę się zwrócić do mnie osobiście.

Pół godziny później wymknęła się i złapała taksówkę. Chyba nikt nie zauważy, że wyszła. W drodze do domu zadzwoniła do Karen Sterin na komórkę. Sądząc po odgłosach, Density nadal grali.

- Karen, musiałam na chwilę wyjść, dostałam pilny telefon. Gdyby Steve mnie szukał, powiedz, że wracam za godzinę.

Za godzinę Steve będzie miał w głowie tylko szampana, a menedżer Density skupi się na białym kolumbijskim proszku.

Kiedy jechali przez oświetlone ulice Londynu, Sam zapomniała o nieprzyjemnej scenie z paniąCeci. Nie zdołała jednak zapomnieć o dokuczliwym bólu i narastającej panice. Co się z nią dzieje? Czy to na pewno tylko mięśniaki? Może powinna była zażądać wcześniejszego terminu wizyty u specjalisty, a nie czekać?

W domu było coraz gorzej, więc Sam włączyła komputer i postanowiła sama się dowiedzieć, co się z nią dzieje. Bardzo lubiła surfować po Internecie i po mistrzowsku znajdowała ciekawe strony. Jeszcze nigdy nie szukała nic na tematy medyczne, więc trochę trwało, zanim trafiła na stronę poświęconą zdrowiu kobiety.

Lektura pochłonęła ją całkowicie; czytała o chorobach, o których nigdy dotąd nie słyszała. I nagle trafiła na listę swoich symptomów. Wszystkie się zgadzały, co do jednego: bóle, nudności, kłopoty z miesiączką. Tylko że to nie były objawy mięśniaków. To rak jajników. Podobne objawy ma się w zaawansowanej fazie choroby, w takim wypadku śmiertelnej. Rak jajników przebiega bezobjawowo, aż jest za późno, czytała z przerażeniem.

Otworzyła stronę kobiecej grupy wsparcia i pierwsze, co przeczytała, to wiersz kobiety, której siostra umarła na tę chorobę.

Miałyśmy tylko dwa miesiące, zanim umarłaś, Juano. Dwa miesiące, żeby snuć tyle wspomnień, Dwa miesiące, żeby zapamiętać całe życie. To za mało. Tęsknimy za tobą.

Tęsknimy. A przecież nie tak miało być.

Z krótkiej biografii wynikało, że lekarze dawali Juanie jeszcze sześć miesięcy, ale przeżyła tylko dwa. Osierociła troje nastoletnich dzieci, męża i siostrę, która postanowiła ustrzec inne kobiety przed niepotrzebną śmiercią i propagowała wiedzę o raku jajników.

Sam wyłączyła komputer, wyrwała wtyczkę z modemu. Długo wpatrywała się tępo w ciemny monitor. Teraz wiedziała, co się z nią dzieje, teraz знаła odpowiedź na pytanie, czemu chudnie i źle się czuje. Umiera! Jej czas się kończy. Nie może czekać jeszcze trzy tygodnie; potrzebuje pomocy zaraz, natychmiast. Chociaż z drugiej strony po co jej lekarz, skoro i tak umiera?

Dziwne, ręce jej nie drżały, nie szlochała. Huśtała się na ulubionym fotelu i rozmyślała o tym, jak przyjmowała każdy dzień za rzecz oczywistą.

Poranek nigdy nie był dla niej cudem; nigdy nie dziękowała za dar życia, przyjmowała to i żyła dalej, przekonana, że następnego ranka znowu się obudzi, bez względu na wszystko.

A teraz koniec. Czas jest bezcenny, a jej czas się kończy. To niepojęte, nie mieściło się jej w głowie.

Jak to będzie? Co jest po tamtej stronie? Czy w ogóle coś jest? Kto będzie ją opłakiwał?

Przed oczami stanęła jej Hope. Hope, Millie i Toby, uśmiechnięci. Dopiero wtedy popłynęły łzy.

Tej nocy nie położyła się spać. Siedziała w ciemnym salonie i piła białe wino, kieliszek za kieliszkiem. Co tam, i tak umiera. O świcie, zapuchnięta od łez, podjęła decyzję. Wiedziała, co ma zrobić.

Rozdział 12

Tego popołudnia Matt zabrał samochód, co oznaczało, że Hope jest uwięziona z dziećmi w domu. Padało za mocno, żeby się wybrać do miasteczka, więc postanowiła, że odświeży stare krzesło. Najpierw zdrapa-

ła wiele warstw okropnej brązowej farby, potem pomalowała je jasnożółtą bejcą. Niedawno pożyczyła z biblioteki atlas botaniczny, chciała naszkicować na krześle polne kwiaty. Millie aż się paliła do pomocy. Hope ubrała ją i Toby'ego w stare fartuszki. Sama włożyła starą koszulę Matta.

- Mamusiu, teraz ja! - Millie niecierpliwie wyciągnęła tłustą łapkę po cienki pędzelek.

Millie malowała szerokimi, zamaszystymi ruchami, nie zwracając uwagi na szczegóły. Hope uśmiechnęła się; wiedziała, że zaraz obie będą umazane farbą.

- Dobrze, możesz pomalować o tu - powiedziała i dała Millie pędzelek z odrobiną farby. - A Toby tu.

Millie wysunęła język z przejęcia.

Do tego stopnia pochłonęła ich praca, że żadne z nich nie usłyszało samochodu i pukanie do drzwi przstraszyło całą trójkę.

Hope zerwała się na równe nogi. Koniecznie muszą zainstalować sobie dzwonek. Pukanie nieodmiennie kojarzyło jej się z filmami kryminalnymi, gdzie policja dobija się do podejrzanego.

Otworzyła drzwi i zaniemówiła, bo na progu, skulona w deszczu, drobna i nieszczęśliwa, stała Sam.

Hope w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć, ale kiedy siostra rozpląkała się głośno, objęła ją serdecznie i wciągnęła do środka. Początkowo nie rozumiała ani słowa, zorientowała się tylko, że stało się coś strasznego.

- Wszystko zepsułam - szlochała Sam.

Jest taka chuda, stwierdziła Hope ze zgrozą. Zawsze była szczupła, ale teraz jest chorobliwe chuda.

-Nie mam ni... nikogo - jękała się Sam. - Kto będzie mnie opłakiwał? Nikt. Zgorzkniałam, i dlatego to mnie spotkało. Dlatego jestem chora. Ludzie mnie unikają, wszyscy! Na przykład on, był miły, podobał mi się jak nikt od dawna, a zachowałam się okropnie... - Urwała, zaniosła się płaczem jak dziecko.

- Ten facet, o którym wspomniałaś w Bath? - domyślała się Hope. - Zerwałaś z nim?

Sam podniosła na nią wielkie oczy.

- Nie było żadnego faceta - szepnęła. - Od dawna. Kto by się do mnie zbliżył? Odstraszam nawet przyjaciół. Jay i Catrina... Morgana też odstraszyłam.

- Więc jednak był jakiś facet?

-Nie, coś ty. Morgan to mój nowy sąsiad. Kiedyś zrobiłam mu awanturę o hałasy. Prawdę mówiąc, wyszłam wtedy na idiotkę. Ale potem on

był bardzo miły, przedstawił się i w ogóle, nawet chciał się umówić, a ja... - rozzłochała się znowu.

- Cicho, cicho - uspokajała Hope, tuląc ją do siebie. Biedna Sam.

- Jestem chora, umieram, ale nikogo to nie obchodzi. Hope zamarła w przerażeniu.

- Jesteś chora? Na co? Mów.

Długo trwało, zanim Sam przestała dygotać. Hope tuliła ją mocno i modliła się jak nigdy dotąd. Ciotka Ruth nie była przesadnie religijna, ale Hope dbała, żeby dzieci co wieczór odmawiały pacierz. Dobry Boże, niech to nie będzie prawda.

W końcu Sam odzyskała głos.

- Czytałam w Internecie. To rak jajników.

- Ale lekarz jeszcze nic nie powiedział, prawda? Nie badał cię?

- Umiem czytać, Hope! Mam wszystkie objawy! Za trzy tygodnie idę do specjalisty, ale i bez tego wiem, co mi jest!

- Przecież nie kazaliby ci tyle czekać, gdyby podejrzewali coś poważnego - zaczęła Hope, ale urwała, bo Sam znowu zaniósła się histerycznym szlochem.

Hope usadziła ją na kanapie, zostawiła przy niej cichutką Millie i poszła zaparzyć herbatę. Millie przepadała za ciotką Sam, ale bała się tej płaczącej, jakby obcej pani i nerwowo wykręcała rączki, stojąc za fotelem. Toby natomiast wdrapał się na kanapę koło niej i demonstrował nową zabawkę, kolorową ciężarówkę z przyczepą, która się ruszała do góry i na dół.

- Do góry i na dół - tłumaczył Toby poważnie i demonstrował działanie zabawki.

- Fajna. - Sam starała się mówić normalnie, bo zorientowała się, że przeraziła Millie. - Pozwalasz Millie się tym bawić?

- Nie - odezwała się Millie zza fotela.

- A ty masz nowe zabawki? - Sam wzięła się w garść. Millie wyszła z kryjówki.

- Dużo. - Zaczęła demonstrować swoje skarby.

Hope przyniosła z kuchni filiżanki i postawiła je z dala od małych rączek.

- Dzieci, ciocia Sam chce się napić herbatki. Obejrzyjcie film na wideo, dobrze? - zaproponowała.

Sam uśmiechnęła się blado. Po raz pierwszy przekonała się na własne oczy, że matki muszą zapomnieć o swoich uczuciach i udawać, że wszystko jest w porządku.

Kiedy dzieci wbiły wzrok w telewizor, Hope wróciła do siostry.

- Powiedz mi wszystko od początku - poprosiła.

- Idę do specjalisty, ale najwcześniejszy wolny termin był za trzy tygodnie.

Podobno to najlepsza lekarka w Londynie, ale boję się tyle czekać. Pomyślałam, że może tutaj będzie mi łatwiej.

- Sam, dlaczego nie poszłaś do kogoś innego? Masz prywatne ubezpieczenie, stać cię na to.

- Wiem, ale nie pomyślałam. A potem wpadłam w panikę, że mam czekać jeszcze trzy tygodnie. Poza tym co od niej usłyszę? Że mam przerzuty i że chemioterapia przedłuży mi życie o kilka tygodni? Czytałam o tym...

- Sam, proszę, daj spokój! - Hope denerwowała się coraz bardziej. - Nie wiesz, że w dzisiejszych czasach rak jest najczęściej całkowicie uleczalny?

- Nie. Kiedy ma się takie objawy jak ja, jest już za późno - szlochała Sam. - Żałuj, że nie widziałas tej strony w sieci.

Hope w głębi ducha posłała wiązanek przekleństw bezmyślnym autorom stron, którzy niepotrzebnie straszą internautów.

- Słuchaj, Sam, nie tak dawno znalazłam w Internecie informację, że raka się dostaje od używania dezodorantów. Co ty na to?

- Bzdura, ale to co innego.

Hope zaprowadziła siostrę do sypialni swojej i Matta.

- Nie chcę zajmować wam pokoju - opierała się Sam.

- Później pościelę ci gdzie indziej, ale na razie musisz się zdrzemnąć - namawiała Hope. Sam nie spała od ponad doby, a w samolocie była zbyt spięta, by się choćby zdrzemnąć.

- Nie zasną - denerwowała się Sam. - Posiedzisz z mną?

- Pewnie.

Dzieci bawiły się w swoim pokoju; Hope zagroziła im brutalną śmiercią, jeśli nie będą cicho. Przycupnęła na łóżku i gładziła chłodną dłoń siostry. Jasne włosy rozsypały się na granatowej poduszce, piwne oczy wydawały się duże i przerażone.

- Boję się, Hope, i dlatego przyjechałam. Mam tylko ciebie - szepnęła Sam. - Nie chcę sama stawiać temu czoła.

- Nie musisz. A teraz już cicho, Sam, postaraj się zasnąć. - Hope mówiła spokojnie, łagodnie, jak do Toby'ego, kiedy budziły go koszmary-

Sam zasnęła po kilku minutach. Kiedy Hope upewniła się, że siostra śpi, wymknęła się po cichutku z sypialni. Teraz musi się zastanowić, co robić.

Fortuna rzeczywiście kołem się toczy. Od wielu lat to Sam była silna, to ona opiekowała się Hope; teraz będzie inaczej.

Ostrożnie, jak pływak badający temperaturę wody czubkiem palca, Hope próbowała sobie wyobrazić, jak to jest być u steru. I nagle zrozumiała, że nie ma wyboru; musi zrobić dla Sam wszystko co w jej mocy. A jeśli Sam naprawdę umiera, zostanie z nią do końca. Na myśl o śmierci Sam poczuła łzy pod powiekami, ale nie czas na rozpacz. Trzeba działać. Sam nie wytrzyma nerwowo trzech tygodni czekania, zresztą jeśli naprawdę jest chora, tylko marnuje cenny czas. Ogarnęła ją wściekłość na beztróskiego lekarza, który wyznaczył tak długi termin. Co za kretyn!

Hope Parker, która zazwyczaj pozwalała innym rozwiązywać swoje problemy, wzięła się do roboty.

Znalazła kalendarzyk Sam i telefon specjalisty. Dochodziła piąta, może jeszcze złapie kogoś w przychodni. Zadzwoiła i odbyła z recepcjonistką krótką rozmowę.

- Nie mogę z panią rozmawiać na ten temat, pani Parker - odparła uprzejmie recepcjonistka.

Hope zachnęła się.

- Wcale nie chcę o tym rozmawiać - zapewniła. - Chcę tylko, żeby pani znalazła wolny termin jak najszybciej. Moja siostra przechodzi kryzys. Załamana się. Albo niech mi pani poleci kogoś innego, kto ją szybciej przyjmie.

Recepcjonistka obiecała oddzwonić następnego dnia. Na razie Hope nie mogła zrobić nic więcej. Odłożyła słuchawkę. Czas pomyśleć o kolacji-

- Kto przyjechał tym wynajętym samochodem? - zainteresował się Matt. Wrócił kilka minut po szóstej. Cisnął kluczyki na stół i zajrzał do kuchni w poszukiwaniu tajemniczego gościa.

- Sam. - Hope wzdrygnęła się na myśl, że siostra prowadziła od lotniska w takim stanie. Cud, że nie miała wypadku.

- Sam? - powtórzył ze zdumieniem. - A co ona tu robi?

- Tatusiu, tatusiu! - Millie z wrzaskiem zbiegała ze schodów, tupiąc jak stado słoni.

- Cicho! - syknęła Hope. - Śpi, nie budźcie jej.

- Śpi? - powtórzył Matt. - Hope, co tu się dzieje? Powiedziała mu, szeptem, na wypadek gdyby Sam się obudziła i wszystko słyszała.

- Jezu. - Matt był wyraźnie wstrząśnięty. - To straszne. - Objął ją serdecznie i pocałował w czubek głowy. - Dobrze się czujesz?

W jego ramionach poczuła się mała i słaba, a zarazem bezpieczna, i pozwoliła sobie wreszcie na płacz.

- Już dobrze, kochanie, jestem tu przy tobie. Masz mnie i dzieci, gdyby stało się najgorsze - zapewniał.

- Wiem - chlipnęła w jego dzinsową koszulę. - Ale dlaczego nie mogę mieć też Sam?

Nie chcąc budzić siostry, pościeliła na kanapie i tam spędzili niespokojną noc.

Obudziła się o świcie, leżała na niewygodnym posłaniu i wpatrywała się w blade światło brzasku.

Kiedy pięć po dziewiątej zadzwonił telefon, rzuciła się do niego biegiem.

- Słucham?

Recepcjonistka. Sam miała nowy termin wizyty - za trzy dni.

- Bardzo pani dziękuję - ucieszyła się Hope. - Do zobaczenia.

Po jedenastej obudziła Sam, niosąc jej śniadanie do łóżka. Na tacy była kawa, sok pomarańczowy, jajko od własnej kury, miejscowy razowiec, domowe masło i dżem agrestowy, które kupiła na targu w sobotę.

Hope nigdy nie jadła smaczniejszych rzeczy niż te z sobotnich zakupów; uwielbiała warzywa prosto z grządki, ciężki, pachnący razowiec, tłuste, złociste masło i dżemy i marmolady, które zawsze zamierzała trzymać na później, ale cała rodzina tak je lubiła, że znikwały błyskawicznie i co tydzień kupowała nowe słoiki.

-Nie mogę uwierzyć, że tak długo spałam - dziwiła się Sam. Usiadła na łóżku, otuliła się różowym szlafrokiem siostry.

Hope postawiła jej tacę na kolanach.

- Byłaś wykończona.

Przysiadła na skraju łóżka, popijała kawę i czujnie obserwowała, czy Sam je. Tak samo pilnowała Millie.

- No, jedz - ponagliła. - Musisz się zdrowo odżywiać.

- Dobrze, mamusiu - zażartowała Sam. Hope uśmiechnęła się.

- Widzę, że z tobą lepiej, skoro ze mnie kpisz.

- Bo sama się narażasz - roześmiała się Sam i mało brakowało, a przewróciłaby tacę.

- Pamiętasz, jak kiedyś w szkole jakiś dzieciak miał wszy i dostałyśmy liścik dla ciotki Ruth, że ma uważać?

- Pewnie. - Sam wpadła jej w słowo. - Powiedziałam wtedy, że ty na pewno już złapałaś wszy i jedyny sposób, żeby się ich pozbyć, to natrzeć ci głowę jej najlepszym talkiem i wystawić głowę za okno na godzinę!

- To było wredne. - Hope roześmiała się na samo wspomnienie. - Siedziałam w oknie strasznie długo, a ciotka Ruth się wkurzyła, bo zużyłam cały talk.

- Byłaś wtedy taka naiwna. - Sam posmarowała chleb dżemem.

- A teraz niby jaka jestem? - zainteresowała się Hope.

- Nadal naiwna - uśmiechnęła się Sam. -1 dobra. Dziękuję.

- Jeszcze nie skończyłam - mruknęła Hope. - Masz wizytę u specjalisty. Nowy termin. Za trzy dni. Jadę z tobą.

Sam nic nie powiedziała, tylko wzięła siostrę za rękę i spojrzała na nią oczami pełnymi łez.

- No, jedz - ponagliła Hope. - Jak skończysz, idziemy na długi spacer.

-Tak?

- Tak - powtórzyła stanowczo. - Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

- A dzieci? Gdzie są dzieci?

- Mart zabrał je do przedszkola, żebyśmy miały spokój. Wstawaj, leniu.

Był piękny lutowy dzień, słońce rozjaśniało niebo. Hope i Sam długo spacerowały, podziwiając czarne gałęzie drzew rysujące się na tle nieba.

- Przepraszam, powinnam była zostać w domu, nie zwałać ci się na głowę. Przecież mogłam sama zmienić termin wizyty. - Sam wsunęła ręce do kieszeni kurtki pożyczonej od Hope.

- Nie wygłupiaj się. Dobrze zrobiłaś. Do kogo miałaś się zwrócić? Sam skinęła z ponurą miną.

- Racja. Do kogo? Nie mam nikogo oprócz ciebie.

Hope była na siebie wściekła. Poprzedniego wieczoru Sam wspomniała o Morganie i stało się jasne, że jej na nim zależy. Zrozumiała także, że w życiu siostry od dawna nie było żadnego mężczyzny. Hope miała do siebie pretensje, że wierzyła w jej zdawkowe opowieści o nowych romansach. Powinna była się domyślić, że siostra jest samotna, tylko starannie to ukrywa.

Doszły do głównej drogi. Sam dziwiła się tutejszym zwyczajom, kiedy machali im kierowcy przejeżdżających samochodów.

- Zabawne, dla mnie to już normalne - stwierdziła Hope. - Początkowo też wydawało mi się dziwne, ale teraz już nie.

- Nie wyobrażam sobie tego w Londynie. Jeśli ktoś odrywa rękę od kierownicy, to żeby ci pokazać środkowy palec.

Szły w milczeniu, aż nagle Sam zaczęła:

- Rodzice byli dużo młodszy niż my teraz, kiedy zginęli. Mama miała dwadzieścia dziewięć lat. Do dzisiaj pamiętam zapach jej perfum, cho-

ciaż nie wiem, czego używała. Kiedyś w Paryżu wahałam chyba wszystkie możliwe zapachy, ale nie odnalazłam. Pamiętasz go? Hope pokręciła przecząco głową.

- Nie. Rodziców też nie pamiętam. - Po raz pierwszy przyznała to na głos. Kiedy zginęli, miała trzy latka, Sam sześć. Były w domu z opiekunką Mariną. Sam do dzisiaj nie znosiła tego imienia.

- Nie mówiłaś, że ich nie pamiętasz - powiedziała teraz. Hope wzruszyła ramionami.

- Kiedy byłyśmy małe, często pytałaś, czy pamiętam mamę i kołysankę, którą nam śpiewała. Mówiłam, że tak, bo wydawało mi się, że tak trzeba. Bałam się, że będziesz zła, że zapomniałam.

- Przepraszam. - Sam poczuła znajomą już wilgoć pod powiekami. Ostatnio cały czas płakała. Z byle powodu. Strasznie ją to wkurzało. - Chciałam, żebyśmy wszystko dobrze pamiętały, bo ciotka Ruth w ogóle o nich nie mówiła. Zawsze zmieniała temat, kiedy wspomniałam coś o mamie.

- Chyba nie chciała źle - zauważyła Hope. - Po prostu nie miała doświadczenia, ani z dziećmi, ani ze śmiercią. Pewnie uważała, że dla nas lepiej, jeśli zapomnimy.

Umilkły, obie wspominały wysoki cichy dom, w którym nie wolno się było wygłupiać ani śmiać, żeby nie przeszkadzać paniom przy brydżu. Ilekroć padło imię Camille albo Sandy, ciotka Ruth głośno wciągała powietrze i mówiła: „No, dziewczynki, to przeszłość, zajmijmy się teraźniejszością”.

- Nie była taka zła - stwierdziła Hope.

- Nie. Jej pewnie też było ciężko. Spadło jej na głowę dwoje dzieci akurat wtedy, kiedy opłakiwała śmierć młodszego brata.

Minęło wiele lat, zanim ciotka Ruth wyjaśniła im, że wzięła je do siebie, bo uznała, że dziadkowie są za starzy, by opiekować się dwójką małych dzieci. Dziadkowie z obu stron byli już w zaawansowanym wieku, gdyż późno zdecydowali się na własne dzieci.

- Jak myślisz, czy nasze życie wyglądałoby inaczej, gdyby rodzice żyli? - Sam zastanawiała się na głos.

Hope wzruszyła ramionami.

- I tak miałybyśmy nierówno pod sufitem - rzuciła lekko. Malutki czerwony samochodzik zatrzymał się tuż przy nich.

- Cześć! - Delphine szybko otworzyła okno. - Cześć, Hope! A ty pewnie jesteś Sam - domyśliła się. - Dobrze, że was widzę. Jezu! Od razu widać, że jesteście siostrami, podobne jak dwie krople wody.

Sam i Hope spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem.

- Nikt nigdy nam tego nie powiedział - odparła Sam, podając Delphine rękę.
- To celtycka krew przeze mnie przemawia - uśmiechnęła się Delphine. - Mam zdolności nadprzyrodzone i widzę więcej niż inni. Albo to wpływ mojego naszyjnika z kryształu. - Zademontrowała wisiołek na łańcuszku. - W sklepie Mother Earth mają nową kolekcję biżuterii w stylu druidów. Pewnie starożytne wibracje otwierają mi oczy. Przyjdziecie na spotkanie Klubu Makramy? - zapytała.
- Miałam wpaść, ale przyjechała Sam i... - Hope urwała.
- Daj spokój. - Delphine machnęła ręką. - Sam też niech przyjdzie.
- Nie chcę przeszkadzać.
Delphine komicznie przewróciła oczami.
- Co wy? Oczywiście, że przyjdziecie. Klub Makramy zaprasza wszystkie pokrewne dusze, biżuteria druidzka nie jest wymagana. To nasze pierwsze spotkanie od dawna. Mary-Kate już robi zapasy wódki i ćwiczy robienie martini, więc jeśli nie przyjdziecie, same będziemy musiały to wszystko wypić, a potem się nie pozbieramy. Na razie!
I odjechała.
Siostry spojrzały na siebie i roześmiały się.
- Jest niewiarygodna - mruknęła Sam. - Co za miasteczko.
- Takie właśnie jest Redlion - stwierdziła Hope dumnie. - Nie tyle cię wita, ile pochłania i już nie wypuszcza z objęć.

Rozdział 13

Dzisiaj Klub Makramy spotykał się po raz pierwszy. Specjalnie z tej okazji Virginia kupiła krążek sera i butelkę białego wina. Chciała mieć jakiś wkład w to przyjęcie, chociaż Mary-Kate się wzbraniała.
- Twój wkład to twoje towarzystwo - tłumaczyła. - Jedzeniem i piciem zajmiemy się ja i Delphine. Tylko na miłość boską, nie przyjeżdż samochodem i na wszelki wypadek miej w domu coś od bólu głowy.
- A co, sugerujesz, że wszystkie będziemy miały kaca? - zdziwiła się Virginia.
- Nigdy nic nie wiadomo - uśmiechnęła się Mary-Kate.
Virginia zerknęła na zegarek. Jeśli nie chce się spóźnić, musi wyjść za pół godziny. Najpierw jednak zajrzy do gościnnych pokoi od frontu. Za kilka dni przyjadą Jamie, Laurence i jego nowa dziewczyna, Barbara,

i trzeba się upewnić, że wszystko jest jak należy. Nie wiedziała, czy umieścić Barbarę i Laurence'a w jednej sypialni, w końcu przygotowała trzy pokoje. Tapety były nieco wilgotne w jednym pokoiku, ale środkowy, utrzymany w delikatnym różu, był śliczny. Idealny dla Barbary. Trzeci, pomalowany na żółto i niebiesko, miał wściekle różową umywalkę, ale uznała, że Jamiemu nie będzie to przeszkadzało.

Stare domy, zauważyła kiedyś, są jak panie w podeszłym wieku, jak ona; ledwie zamaskujesz jeden objaw starości, zaraz pojawia się drugi. Zupełnie jak jej zdrowie; artretyzm dał jej spokój, i to mimo mrozów, za to odezwało się ramię, które nie bolało od wielu lat. I to akurat teraz, kiedy przyjeżdżają dzieci i chciała sprawić wrażenie osoby energicznej i zaradnej, a nie kruchej, nieporadnej staruszki. Właściwie to już nie dzieci, poprawiła się, tylko dorośli, choć dla niej Jamie i Laurence na zawsze zostaną dziećmi. Teraz mieli własne życie, pracowali bez wythnienia. Laurence rozwijał klinikę dentystyczną, którą założył z dwoma przyjaciółmi, Jamie uczył fizyki w męskiej szkole. Była z nich taka dumna, że wszystkich trzech synów. Jak każdy rodzic miała nadzieję, że dała im dwie rzeczy: korzenie i skrzydła. Z wielkim bólem wyjeżdżała z Dublina, bo tam zostawali dwaj synowie. Dominie mieszkał z żoną i córeczką w Londynie. Laurence od dawna poświęcał cały swój czas klinice, ale Jamie zawsze chętnie zaglądał do rodziców, chociaż wyprowadził się z domu, mając dwadzieścia dwa lata. Za to mieszkał niedaleko. Niemal co dzień wpadał na kolację, na pogawędkę, żeby coś pożyczyć, żeby uprać ciuchy, kiedy pralka się zepsuła. Kochany Jamie, jej synek. Lecz pogrążona w rozpacz po śmierci Billa, nie była w stanie zadbać o siebie, a co dopiero o syna.

Obaj, Jamie i Laurence, widzieli Kilnagoshell House, kiedy zamierzała go kupić. Zrozumieli wtedy, że nie zdołają jej odwieść od pomysłu przeprowadzki na wieś. Od tego czasu jednak nie byli tutaj i bardzo się denerwowała ich wizytą.

Barbara i Laurence spotykali się od czterech miesięcy, a Virginia jeszcze jej nie poznała. Dawniej było inaczej; gdyby Bill żył, Barbara bywałąby u nich tak często, że już uważaliby ją za członka rodziny. Taki był Bill; serdeczny, gościnnie, nalegał, żeby synowie zawsze przyprowadzali do domu nowe sympatie. Virginia przycupnęła na skrzypiącym łóżku i przypomniała sobie pierwszą miłość Laurence'a; była to szalona hipi-ska w podartych dżinsach, z brudnymi włosami (po miesiącu znowu zrobią się czyste, tłumaczyła) i niepohamowaną wrogością do wszystkich po dwudziestce. Nawet zakochany Laurence spochmurniał, kiedy chciała wdać się w kłótnię z Billem, że używa kosiarki na ropę zamiast na benzynę bezołowiową. A Bill się tylko uśmiechał, nie dał się sprowokować.

- Cóż, nie taką chciałbym żoną dla Laurence'a - szepnął Virginii na ucho - ale jeśli ona mu się podoba, jestem za.

- Czy to znaczy, że wszyscy przekłujemy sobie pępki? - Virginia uśmiechnęła się, widząc, jak jej konserwatywny mąż stara się znaleźć płaszczyznę porozumienia z małą hipiską.

- To chyba boli - skrzywił się Bill. - Ale młodzi niech robią, co chcą. Pamiętasz? Mój ojciec święcie wierzył, że system kanalizacyjny i Elvis Presley to posłańcy diabła.

- Wiesz, za co cię kocham? - Objęła go serdecznie. - Za to, że jesteś taki sprawiedliwy i wyrozumiały.

Całowali się, kiedy Laurence i jego nowa dziewczyna weszli do kuchni.

Dla Laurence'a widok całujących się rodziców nie był niczym nowym, bez słowa otworzył lodówkę i szukał zimnego soku. Jego dziewczyna gapiała się na nich ze zdumieniem.

Virginia oderwała się od Billa i uśmiechnęła szeroko.

- Wiesz, moja droga, może to ci się wyda dziwne, ale nawet ludzie po czterdziestce uprawiają seks - oznajmiła. - Niby dlaczego tylko wy, młodzi, macie się dobrze bawić? - Może Bill nie był zły o tę kosiarkę, ona tak.

Dziewczyna zarumieniła się ze wstydu.

Laurence miał od tego czasu wiele sympatii, ale żadna nie zrobiła na nim takiego wrażenia jak Barbara.

- Jest dobra, piękna i... po prostu wspaniała - zachwycił się przez telefon.

- Jest trochę wkurzająca, taka kobieta bluszcz - orzekł Jamie. - Ale zarazem rządzi nim twardo. Osobowość pasywno-agresywna - dodał.

Virginia uśmiechnęła się. Jamie miał zajęcia z psychoterapii i od tego czasu wiecznie wszystkich analizował.

- To znaczy, że jej nie lubisz? - domyśliła się.

- Nie lubię - odparł z niespotykaną u niego stanowczością. Virginia westchnęła. Szkoda, że Billa z nią nie ma. Jak zwykle na

myśl o mężu poczuła łzy w oczach i sięgnęła po chusteczki. Pomyśl o czymś innym, powtarzała. Co zrobić z wilgotną plamą na tapecie?

Remont kosztowałby fortunę, której nie miała. Może zakleić tylko ten kawałek? Ale czy to się uda? Bill wiedziałby, co zrobić. Jezu, Virgi-nio, przestań!

Poszła do kuchni i zaparzyła sobie herbatę, chociaż wcale nie miała na nią ochoty. Niby dlaczego uważa się herbatę za panaceum? Ilekroć dzieje się coś złego, ludzie zaraz lecą parzyć herbatę, jakby gotowanie wody i zalanie kilku listków mogło cokolwiek zmienić. Virginia postępo-

wała tak od dzieciństwa i teraz także automatycznie nastawiała wodę na herbatę w sytuacjach kryzysowych. Pewnie jest nieźle zakonserwowana teiną. Po co jej ta herbata? Wylała ją do zlewu. Pójdzie do Mary-Kate na piechotę. Początkowo planowała, że wpadnie na chwilę i będzie piła tylko wodę mineralną, mimo że Delphine pod niebiosa wychwalała martini ciotki. Ale właściwie czemu się nie zabawić? Jeśli komuś przyda się kilka głębszych, to na pewno j ej.

Mary-Kate otworzyła drzwi.

- Wiesz, Virginio, nie byłam pewna, czy przyjdiesz - przyznała. Virginia wręczyła jej ser, wino i bukiet żonkili, które zerwała przy drodze.

- Mało brakowało, a miałabyś rację - uśmiechnęła się. Ciekawie rozglądała się po domu Mary-Kate. Nigdy tu nie była.

- Fantastyczny - westchnęła na widok pokoju, który wyglądał, jakby mieszkała w nim gwiazda Hollywood z lat trzydziestych, gdy panowała moda na orient. Dwie przepastne kanapy obite brokatem stały naprzeciwko siebie, między nimi dostrzegła niski drewniany stolik zastawiony figurkami z drewna i kamieni. Stała na nim także szachownica z jadeitu. Na ścianach wisiały wschodnie malowidła, zasłony były z chińskiego jedwabiu w odcieniu starych róż, lampy o abażurach z frędzlami rzucały ciepłe światło. Z kominka obserwował je dobrotliwie uśmiechnięty Budda z brązu, spowity w dym z kadzidełek. Gdyby Mary-Kate miała na sobie kimono albo sari, wrażenie byłoby piorunujące.

Virginia była zachwycona.

- Kicz, ale strasznie mi się podoba - przyznała Mary-Kate. - Za czasów mojej matki to był taki małomiasteczkowy salonik, smutny i prawie nieużywany. Był tu jeden fotel wypchany końskim włosiem. Nie dało się na nim usiedzieć, zaraz się zjeżdżało. Nie żeby było ku temu wiele okazji, tylko śluby albo pogrzeby. - Poglaskała czarno-białego kota, który wszedł do pokoju. - Chciałam czegoś innego. Nigdy nie podróżowałam, więc ten pokój jest moją namiastką podróży.

- Boski - westchnęła Delphine. Przyniosła tacę zastawioną kieliszkami do martini. Virginia dostrzegła także shaker i mnóstwo innych akcesoriów do robienia drinków. - Też chcę mieć taki pokój. Napijesz się, Virginio?

- Czemu nie.

Delphine rozsiadła się na aksamitnej poduszce na podłodze i głaskała kota, Mary-Kate nastawiła muzykę, a Virginia sączyła martini.

- Znakomite - stwierdziła, gdy alkohol gładko spływał jej do gardła.
- Mówiłam ci - uśmiechnęła się Delphine. - Marnuje się jako farma-ceutka. Najlepsze knajpy w Nowym Jorku płaciłyby jej fortunę, a ona woli siedzieć w Redlion i ucierać syropy.

Mary-Kate pociągnęła ją za włosy.

- Przekąski gotowe? - zapytała.

- Zapomniałam. Już lecę.

- Może i ja coś pomogę - zaofiarowała się Virginia. - Głupio mi, że nic nie robię.

- No to chodź. - Mary-Kate zaprowadziła ją do małej kuchni. - Widzisz, właściwie nie ma nic do roboty. Klub działa tak: gospodyni zapewnia alkohol. Jeśli zaczniesz sprzątać, wylatujesz z imprezy. Chodzi o to, że masz się tylko bawić.

Podawała Virginii paczkę krakersów i talerzyk.

- W lodówce jest ser, wyjmij sztuce i talerze z kredensu, serwetki są tam - tłumaczyła.

Bardzo miły wieczór, uznała Virginia. Mary-Kate nie kręci się jak oszalała, nie szykuje ton smakołyków. Spotykają się, żeby pogadać, a nie żeby jeść.

- Kto jeszcze przyjdzie? - zainteresowała się. - Lepiej mnie uprzedź, żebym nie palnęła jakiejś gafy.

- Po pierwsze, Hope. Pamiętasz, poznałaś ją w pubie, była wtedy z mężem. I jej siostra, Sam, akurat przyjechała na parę dni z Londynu.

Virginia skinęła głową. Pamiętała ładną Hope Parker o wielkich, niespokojnych oczach i jej zabójczo przystojnego męża. ~

- I Giselle. To Niemka, prowadzi przedszkole. Mieszka tu od lat, należy do założycielskiej szóstki Klubu Makramy. Od samego początku było nas sześć.

Virginia chrupała krakersy.

- Brzmi bardzo tajemniczo. Jak to się zaczęło?

- To był pomysł Sheili. Chodziłyśmy razem do szkoły, ale później rzadko się widywałyśmy, ja byłam w Dublinie, ona tutaj. A potem mąż ją rzucił i wyjechał z lekarzem. Obaj tacy przystojni, kto by pomyślał?

Virginia szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Wtedy zaczęłyśmy się spotykać, bo akurat wróciłam z Dublina i chciałyśmy pogadać sobie spokojnie, nie dając okazji do plotek o mężu Sheili ani o mnie, bo wróciłam z Dublina z podkulonym ogonem i bez męża.

Virginia milczała. Była bardzo ciekawa, czemu Mary-Kate nie wyszła za mąż.

- Giselle okazała wtedy Sheili dużo serca. Nigdy o nic nie pytała, kilka razy zabrała dzieci na weekend, kiedy Sheila przekonywała ich tatusia, żeby do niej wrócił, czego zresztą nie zrobił. W każdym razie było nas sześć i pewnego dnia, po spotkaniu u Sheili, uznałyśmy, że będziemy się spotykać co miesiąc i psioczyć na wszystko i wszystkich. To świetna terapia.

- I co, naprawdę zajmowałyście się przy okazji makramą? Mary-Kate zachichotała.

- To przykrywka. Moja siostra Pauline i Finula Headley-Ryan bardzo chciały do nas dołączyć, chyba głównie po to, żeby poznać pikantne szczegóły o mężu Sheili. Musiała je jakoś zniechęcić, więc wymyśliłam kurs makramy. Dla Finuli to zbyt trywialna rozrywka, a Pauline lubi tylko robić na drutach, więc nie miały powodu, żeby do nas dołączyć. Parę razy kupiłam nawet gotowe makramy, że to niby nasze dzieła, ale dałam sobie spokój. Już nigdzie nie można ich dostać. Poza tym Pauline chyba nas przejrzała, bo kiedyś zastała mnie na kacu. - Westchnęła. - Biedna Pauline. Sama jest sobie najgorszym wrogiem. Właściwie to samo można powiedzieć o Finuli.

- A Sheila dzisiaj nie przyjdzie?

- Nie. Mieszka na południu Francji z pewnym ekscentrycznym milionerem. Ale kiedy przyjeżdżają tu na wakacje, zawsze się spotykamy jak za dawnych czasów. Twierdzi, że tylko klub utrzymał ją przy zdrowych zmysłach. - Mary-Kate uśmiechnęła się smutno. - Mnie zresztą też.

Zaniosły smakołyki do salonu.

- Będziemy my trzy, Hope, jej siostra Sam, Giselle i Mai Hondu, Japonka. Jej mąż pracuje w fabryce komputerów.

- Od wyjazdu Sheili ani razu nie było szóstki - zauważyła Delphine. Zadzwoił dzwonek. Delphine pobiegła do drzwi.

Giselle i Mai, witajcie! - zawołała. - Napijcie się?

Hope i Sam trochę się spóźniły. Millie nabrała podejrzeń, że mama i ciotka wybierają się gdzieś bez niej, i odmówiła włożenia piżamy, aż Hope dała sobie spokój i poprosiła Matta o pomoc. W tym momencie Millie stała się słodka jak aniołek, trzepotała długimi rzęsami i robiła wszystko, o co poprosił tatuś.

- To mały tyran - szepnął Mart do żony, podczas gdy Millie szukała najdłuższej bajki na dobranoc.

- Tak, i owinęła sobie tatusia dookoła palca - odparła Hope.

Hope, zazwyczaj pełna obaw przed spotkaniem z nieznajomymi, w ogóle się nie bała. Wiedziała, że musi się zająć siostrą. Tym razem to Sam się denerwowała. Jej świat stanął na głowie, wszystko się zmieniło, nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna.

Ledwie jednak przekroczyła próg, ogarnęła ją swobodna, spokojna atmosfera. Martini było doskonałe, kot od niechcienia bawił się pluszową myszką i nagle Sam się uspokoiła. Nie spodziewała się tego. Nie przywykła do takich spotkań, obawiała się, że wyląduje na nudnej popołudniowej kawce, gdzie przygłupie baby omawiają wady i zalety proszków do prania.

A było zupełnie inaczej. Na popołudniowej kawce panie domu nie piją martini i nie próbują zdefiniować mężczyzny idealnego. Na popołudniowej kawce panie rozmawiają tylko o swoich mężach, a tu zarykiwały się ze śmiechu, kiedy Giselle bardzo dowcipnie opowiadała o swojej pierwszej miłości; facet był bardzo przystojny, ale niezbyt rozgarnięty.

- Claus jest inny - stwierdziła. Miała na myśli męża. - W zasadzie wolę mądrych od ładnych, ale ten chłopak był doskonały. Nawet mi nie przeszkadzało - westchnęła - że był męską wersją blondynki.

- Nic w tym złego - włączyła się Mary-Kate. - Ja tam nie miałabym nic przeciwko męskiej blondynce.

Pierwsze lody zostały przełamane, wszystkie z apetytem zabrały się za ser i krakersy, rozmawiały o wszystkim i o niczym. Sam, zazwyczaj zamknięta w sobie, przyłapała się na tym, że siedzi sobie z Mary-Kate i opowiada o desperackiej podróży do Hope.

- Właściwie to głupie, uwierzyłam, że jestem śmiertelnie chora, chociaż nie byłam jeszcze u specjalisty - zakończyła. Ręce drżały jej ze zdenerwowania.

- Wcale nie jesteś głupia, to normalne - pocieszała Mary-Kate. - Ale na razie nie planuj jeszcze pogrzebu.

Sam uśmiechnęła się blado. Hope uprzedzała ją, że Mary-Kate nie owija w bawełnę.

- Chodzi mi o to - ciągnęła Mary-Kate - że niczego nie wiesz na pewno. Gdyby lekarz podejrzewał coś poważnego, nie zgodziłby się na tak długi termin. Dobrze, że masz tę wizytę za kilka dni. Kiedy wszystko będzie jasne, poczujesz się lepiej. A na razie nie panikuj. - Uśmiechnęła się. - W końcu jestem farmaceutką, wiem, co mówię.

- Mam nadzieję, że nie zwariowałam - westchnęła Sam. - Zazwyczaj tak nie reaguję.

- Cóż, zdaje się, że twój organizm chce ci coś powiedzieć - zauważyła Mary-Kate. - Sama musisz się dowiedzieć, co to jest i jak sobie z tym

poradzić. Pewnie masz zwyczaj rozpatrywać najgorszą możliwość i teraz też tak zrobiłaś.

Mary-Kate objęła ją serdecznie i przytuliła. Była chyba niewiele od niej starsza, ale emanowała matczynym ciepłem.

- Właściwie nigdy nie wsłuchiwałam się w mój organizm - przyznała Sam. - Zawsze to on musiał słuchać mnie: wstawaj, nie masz grypy, co z tego, że źle się czujesz, i tak dalej.

- Może będziesz musiała zmienić styl życia. Właściwie czemu nie? Przechodzisz kryzys. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Sam skinęła głową.

- Fakt, że jak wariatka przyjechałam tu, do Hope, o czymś świadczy. Nigdy tak nie robiłam. Moi koledzy z pracy nie wierzyliby własnym oczom: wredna suka ma jakiś słaby punkt?

- W pracy jesteś wredną suką? Sam wzruszyła ramionami.

- Nie cały czas, ale coraz częściej. Nie chcę tego, lecz...

- Więc się zmień. - Mary-Kate nie dała jej dokończyć.

- To nie takie proste.

- A co w tym trudnego? Hope zna cię od innej strony, zna miękką i ciepłą siostrę, którą kocha.

- Tak, ale wobec rodziny wszyscy jesteśmy inni - upierała się

Sam.

- Aha, w pracy udajesz kogoś, kim nie jesteś, bo wydaje ci się, że w ten sposób zachowasz kontrolę - domyśliła się Mary-Kate.

- Au - zaśmiała się Sam. - Jesteś w tym aż za dobra, to boli. Nie wiem, czy wytrzymam więcej tej analizy.

- Owszem, wytrzymasz. Jesteś silna i potrzebujesz silnych przyjaciół i mocnych słów. - Mary-Kate umilkła na dłuższą chwilę, jakby się zastanawiała, co powiedzieć.

- Dawniej miałyśmy w Klubie Makramy taką grę, nasze prywatne wyzwania. Kiedy coś nam leżało na sercu, rozmawiałyśmy o tym otwarcie. Mówiłyśmy sobie wszystko szczerze i - uwaga, to jest najgorsze - prosiłyśmy przyjaciółki o radę.

- Za moich czasów już tego nie było - wtrąciła się Delphine.

- Czego nie było? - dołączyła Hope.

- Godziny szczerości i serum prawdy - wyjaśniła Mary-Kate. Giselle parsknęła śmiechem.

- Moje najmłodsze dziecko to efekt tego serum. Po zbyt dużych ilościach zapomina się o antykoncepcji!

- Co to jest serum prawdy? - zainteresowała się Sam.

- Pijesz je - uśmiechnęła się Mai.

- Zróbmy to - poprosiła Delphine. - Będzie fajnie. Uwielbiam babskie zwierzenia.

- To niełatwe - ostrzegła Giselle. - Czasami słyszy się przykre rzeczy. Ale najważniejsze, że możesz mówić o wszystkim i wiesz, że to ci niczym nie grozi. Nikt do tego nie wraca i ani słowo nie wyjdzie poza ten pokój.

- Zróbmy to - powtórzyła Delphine.

Mary-Kate, Giselle i Mai wymieniły spojrzenia i uśmiechy.

- Będziemy głosować - oznajmiła Mai. - Decyzja musi być jednomyślna. Kto za, ręka do góry.

- Ale obejdziecie się ze mną łagodnie? - poprosiła Sam.

- Umowa stoi. Podniosło się sześć rąk.

- No dobrze, Delphine, zaczynaj - zdecydowała Mary-Kate. - Ale najpierw doleję nam martini.

- Zastanów się, co chcesz zmienić w swoim życiu, i opowiedz nam

o tym szczerze - wyjaśniła Giselle. - A potem my ci poradzimy.

- Muszę być pierwsza? - zaniepokoiła się Delphine.

- Tak - orzekły.

-No dobrze. Czas na spowiedź. - Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Podaj szklankę - poleciła Mary-Kate.

- To mi przypomina taką zabawę, w którą się bawimy w pracy - zaczęła. - Musisz się opisać w trzech punktach. Najfajniej jest, kiedy inni opisują ciebie. W zeszłym tygodniu wylosowała mnie Anna, taka nowa, i powiedziała, że jestem miła, seksowna i zachowuję się, jakbym nie miała własnego zdania.

Wszystkie się skrzywiły.

- Fatalnie - mruknęła Sam.

- Tak, starała się być szczerą, ale zrobiło mi się niewesoło - wyjaśniła Delphine.

- Wiecie, na ogół prawimy sobie komplementy. Na przykład szefowa wiecznie martwi się o figurę, więc jej mówię, że ma posągowe kształty. Tylko że Anna miała rację. Myślałam o tym przez cały tydzień

i ma rację. Nigdy nie bronię swego zdania.

- Ja też nie - powiedziała Hope, żeby Delphine nie czuła się osamotniona.

- To okropne, prawda? - Delphine wbiła wzrok w kieliszek. - Chciałabym obstawać przy swoim, ale łatwiej jest ustąpić.

-I chcesz to zmienić? - uściśliła Giselle. Delphine zacisnęła usta.

- Tak.

- A jak? - nalegała Giselle.

Na to Delphine nie znalazła odpowiedzi.

- I teraz kolej na nas - wtrąciła się Mary-Kate. - Wyjdź za Eugene'a. Delphine podniosła na nią wzrok.

- Przecież wiesz, dlaczego nie mogę... - zaczęła.

- Wiem. Bo ustępujesz Pauline - odcięła się ciotka.

- Opowiedz nam o tym - poprosiła Sam. Delphine upiła spory haust martini.

- Mój narzeczony jest rozwodnikiem. Mama nie chce z nim nawet rozmawiać, a co dopiero przyjść na nasz ślub. Ojciec poznał go ukradkiem, bał się, że matka wyrzuci go z domu. Czekamy ze ślubem, póki mama nie zaakceptuje Eugene'a, ale na razie się na to nie zanoszą. Ona uważa, że jeśli za niego wyjdę, moja dusza będzie potępiona. Marzy jej się ślub kościelny, a to wykluczone.

- Biedactwo. - Mai poklepała ją po ramieniu.

- To klasyczny przykład ustępowania innym - orzekła Sam. - Sprawa jest prosta: zorganizuj ślub i przyjęcie, zaproś matkę, a jeśli nie przyjdzie, jej strata. Podjęłaś decyzję, jej reakcja to nie twoja sprawa.

Delphine spojrzała na nią. Sam jest opanowana i tak świetnie sobie radzi. Hope sporo opowiadała o siostrze, o tym, jak robi karierę. Nawet teraz, chuda, z podkrążonymi oczami, emanowała siłą i pewnością siebie.

- Łatwo ci mówić - mruknęła Delphine. Sam uśmiechnęła się smutno.

- Uwierz mi, Delphine, popełniłam w życiu wiele błędów i mam wiele wad, ale pewności siebie akurat mi nie brakuje. I zawsze bronię swojego zdania. Uprościmy to maksymalnie. Wyobraź sobie, że chcesz ufarbować włosy, powiedzmy na różowo.

Wszystkie się uśmiechnęły.

- Różowe już miała - wtrąciła Mary-Kate.

- Chciałam być punkową - oznajmiła Delphine. - Miałam wtedy szesnaście lat. Koszmarnie to wyglądało. Mów dalej, Sam.

- Dobrze, więc chcesz mieć różowe włosy, ale się obawiasz, że mamie się nie spodoba. Więc co robisz? Farbujesz, niech się dzieje co chce? Czy nie, ulegasz jej i do końca życia wyrzucasz sobie, że pozwoliłaś, by jej uczucia wpłynęły na twoje życie?

- Umiesz sprowadzić największy problem do podstaw - stwierdziła Mary-Kate z podziwem.

- Z cudzymi problemami jest łatwiej. - Sam skrzywiła się lekko.

- Zaraz, zaraz, czy ja dobrze zrozumiałam? - myślała na głos Delphine. - Tak czy tak, mam wyjść za męża, bez względu na zdanie mamy?

- Właśnie. Pauline i tak się do ciebie nie odzywa - zauważyła MaryKate. - Co za różnica? Może dobrze jej zrobi, kiedy się przekona, że świat nie kręci się dokoła niej.

Delphine podniosła głowę.

- Masz rację. Zrobię to. Dziewczyny, kupujcie kapelusze, za miesiąc zapraszam was na ślub.

- Wzniesmy toast! - zawołała Mary-Kate. - Za Delphine, Eugene'a i serum prawdy!

Przyniosła więcej sera i krakersów.

- Sam - zaproponowała Mary-Kate. - Teraz ty.

- Nie jestem w tym dobra - wyznała Sam po chwili wahania. - Dla mnie słuchanie rad to jak łykanie gorzkiego syropu, staram się tego unikać.

Hope objęła ją serdecznie.

- No, dalej - zachęcała. - Jesteś wśród przyjaciół.

Sam przez pięć minut opowiadała, co się ostatnio działo w jej życiu.

Powiedziała otwarcie, że chyba niepotrzebnie wpadła w panikę, i przyznała się, jak jej głupio z powodu nagłego przyjazdu do Redlion.

- W tym nie ma nic złego - zauważyła Delphine. - Chciałaś się zobaczyć z siostrą, to normalne.

- Wiem, ale zazwyczaj tak nie postępuję - tłumaczyła Sam.

- Ach tak - odezwała się Mai. - Więc coś się zmieniło. Ty sama. Może wcale nie jesteś chora, może przechodzisz kryzys. To znak, że musisz coś zmienić.

- Ale co? - Sam rozłożyła bezradnie ręce. - Mam pracę, kredyt do spłacenia, różne zobowiązania. Co ja mogę zmienić? Dziewczyny, to rzeczywistość, nie bajka.

- Powiedz, czy jesteś szczęśliwa? - zapytała Giselle poważnie. - Praca jest dla ciebie bardzo ważna; jeśli nie lubisz tego, co robisz, zmień pracę.

- Znajdź czas dla ludzi: masz wrażenie, że w życiu twoich przyjaciół nie ma dla ciebie miejsca, ale sama nie masz własnego życia, bo pracujesz ponad siły - zauważyła Virginia.

- Dbaj o siebie - włączyła się Hope. - Modłę się, żebyś była zdrowa, a jeśli się okaże, że nic ci nie jest, osobiście cię zamorduję za to, że się tak przemęczasz. Źle się odżywasz, nie odpoczywasz. I jeszcze się dziwisz, że twój organizm się buntuje.

- Nie odpychaj innych - poradziła Delphine. - Jesteś taka skryta, zamknięta w sobie. Podoba ci się ten sąsiad, ale kiedy próbował się do ciebie zbliżyć, splawiłaś go. To wariactwo. Jesteś piękna, wiele bym dała,

żeby wyglądać jak ty, wykorzystaj to. Ja na przykład nie wiedziałam, czym jest szczęście, póki nie poznałam Eugene'a. Może ten facet jest twoim Eugene'em.

- Tylko widzisz, ja nigdy nie chciałam żadnego Eugene'a - zauważyła Sam. - Ale też nigdy nie powiedziałam, że go nie chcę. Nie wiem, czy mnie rozumiecie, po prostu tak wyszło. Udzieliłam kilku wywiadów, dziennikarze zawsze pytają, jak łączę karierę z życiem rodzinnym. A ja nie łączę i nikt tego nie rozumie.

Milczały.

- Nie miałam planu, nie odhaczałam kolejnych etapów - mówiła dalej. - Po prostu tak wyszło. Mam dosyć tłumaczenia się z mojego życia. - Zrobiła taką minę, jakby miała się zaraz rozplakać.

Mary-Kate pochyliła się do przodu.

- Nikt ci się nie każe tłumaczyć z całego życia, Sam. Ale kiedy tak go bronisz, odnoszę wrażenie, że coś ci się w nim nie podoba. Nie nam, tylko tobie. Tu, w Redlion wielu uważa mnie za wariatkę, bo mam dobrą pracę, ładny dom, a mimo to nigdy nie wyszłam za mąż. Ale to mój wybór i nie zamieniłabym się z nikim.

Virginia spojrzała na nią bacznie.

- Nie twierdzę, że w moim życiu nie było mężczyzn. - Mary-Kate uśmiechnęła się znacząco. To rozładowało sytuację. Wszystkie się roześmiały.

- Sam chyba już ma dosyć naszych rad - zauważyła miękko Virginia. Sam pokręciła przecząco głową.

- Nie, to mi dobrze robi - zapewniła. - Od dawna nikt nie mówił mi wprost, co mam robić. Zazwyczaj to ja narzucam reguły gry. Pytanie tylko, od czego mam zacząć?

- Najpierw idź do lekarza, potem zastanów się, co cię dręczy. Jesteś bystra, będziesz wiedziała, co masz robić - podsumowała Giselle.

- Ale pracy nie zmienię. Zresztą... zobaczymy. Jestem w tej firmie od niedawna, muszę czegoś dokonać... - Urwała. Po raz pierwszy, odkąd nabrała przekonania, że ma raka jajników, pomyślała, że może przesadza.

Czyżby spanikowała? Ona, Sam Smith, wpadła w panikę po raz pierwszy w życiu? A jeśli naprawdę spanikowała, jeśli nic złego się nie dzieje? O czym to świadczy? Znała odpowiedź na to pytanie: z niewiadomych powodów ma dosyć swojego życia. Ludzie zadowoleni nie załamują się nerwowo.

- Chyba moja kolej - zaczęła Mary-Kate, widząc, jak bardzo spięta jest Sam. - Nie możemy męczyć biednej Sam przez cały wieczór. Czego właściwie chcę? - zastanawiała się na głos.

- Oczywiście oprócz męskiej blondynki? - zażartowała Delphine.
- Bardzo śmieszne. Chociaż z drugiej strony... - zamyśliła się. - Żeby jeszcze miał aromatyczny olejek do masażu...
- Nie tylko pleców, jak rozumiem? - wtrąciła Mai.
- Nic nie powiem, jeśli nie przestaniecie się wygłupiać. - Mary-Kate posadziła sobie kota na kolanach. - Wiecie, czego chcę? Przestać oglądać się wstecz - wyznała z zadumą. - Właśnie, tego. Nie chcę rad i jestem za stara, żeby sama się analizować. Poza tym moja siostra, Pauline, robi to, ilekroć tu zajrzy. Tłumaczy mi, jakie błędy popełniłam w życiu, pyta, czemu nie byłam rozsądna jak ona, ubolewa nad tym, że nie wyszłam za mąż i - uwaga, najlepszy kawałek, że ominęły mnie rozkosze małżeństwa. Nie mam nic przeciwko twojemu ojcu, Delphine - zapewniła szybko - ale nie zaliczyłabym jego i Pauline do pierwszej dziesiątki najlepiej dobranych par.
Delphine ponuro skinęła głową.
Mai wyszła pierwsza, za pięć jedenasta.
- Przykro mi, kochane. Jutro muszę wstać o szóstej, a jeśli zostanę jeszcze trochę, żadna siła nie ściągnie mnie z łóżka. Opowiem wam o sobie na następnym spotkaniu. - Pożegnała się serdecznie i wyszła. Inne też szukały płaszczy i torebek, a Mary-Kate dzwoniła po taksówkę.
- Nie powiedziałaś, czego ty pragniesz, Hope - zauważyła Mary-Kate, gdy wróciły do saloniku.
Hope zarumieniła się.
- Właściwie niczego - bąknęła.
- No, dalej - zachęcała Sam. - Na pewno chcesz coś zmienić, coś z siebie wyrzucić. Uwierz mi, kiedy to powiesz, od razu poczujesz się lepiej.
To prawda, pomyślała Hope. Z twarzy siostry, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znikły bruzdy i cienie.
Wahała się nie dlatego, że nie miała nic do powiedzenia. Wręcz przeciwnie; bała się, że jak zacznie, nigdy nie skończy. Usiadła na fotelu. A niech tam, powie coś, tylko co?.
- Chciałabym przestać się bać - powiedziała, zdumiona tymi słowami. - Nie wiem, skąd to się wzięło - szepnęła. - Nawet bałam się o tym myśleć.
- Mów dalej - zachęcała Sam. Hope brnęła dalej:
- Boję się wielu rzeczy. Boję się o dzieci. Kiedy były małe, co chwila sprawdzałam, czy oddychają.
- To akurat normalne - zauważyła Giselle.

- A w Bath bałam się, że Matt ma romans - zdradziła, zawstydzona, że o tym mówi. - Nie miał, ale byłam pewna, że kogoś ma. Zdawało mi się, że nie jestem dla niego dość dobra, i w końcu uwierzyłam, że mnie zdradza.

Sam poklepała ją po ramieniu.

- Więc to rodzinne, że wierzymy w rzeczy, na które nie mamy dowodów.

- Ty przynajmniej źle się czułaś - wytknęła Hope. - A ja wmówiłam to sobie bez powodu. Ze strachu. Zawsze się bałam tego, co nas czeka za horyzontem.

- Chyba boisz się, że utracisz tych, których kochasz - zauważyła Mary-Kate.

Hope skinęła głową.

- Częściowo tak. Nasi rodzice zginęli, kiedy byliśmy małe i pewnie dlatego ciągle się boję, że ci, których kocham, odejdą.

- O Boże - westchnęła Delphine. - To musiało być straszne przeżycie.

- Tak, ale przez to... ja... - urwała. Nie mogła znaleźć słów, by to opisać. Zdawała sobie sprawę, że ulegała woli Matta z przekonania, że jeśli tego nie zrobi, on odejdzie. - Przez to Matt i ja nigdy się nie kłócimy - powiedziała w końcu. - Wiem, to nie jest normalne, ale nigdy się nie kłócimy, a przynajmniej nie kłóciliśmy. Wydawało mi się, że jeśli się sprzeciwię, on odejdzie. Więc godzę się na wszystko jak idiotka, bo wciąż się boję, że zrobię coś nie tak i on odejdzie. Nigdy się z nim nie kłócę. Ale czasami się obrażam.

Roześmiały się.

- To znaczy zanim przyjechaliśmy do Redlion, nigdy się nie kłóciliśmy. Kiedy byłam zła, nie okazywałam tego.

- Jeśli ukrywasz gniew, złe emocje zbierają się w tobie - mruknęła Virginia. - Coś trzeba z nimi zrobić. Zżerają cię od środka. Podobno lepiej jest wkurzyć się co jakiś czas, niż dusić wszystko w sobie.

- Teraz się wkurzam - wyznała Hope. - Mówię, czego chcę. Ale nie całkiem otwarcie. To i tak mnie wiele kosztuje. Poza tym Matt nie wytrzymałby, gdybym z dnia na dzień zmieniła się z posłusznej żony w awanturnicę.

- Ale trochę się z nim kłócisz? - naciskała Virginia. - Więc już się zmieniasz. Niełatwo zwalczać stare nawyki, ale pamiętaj, że jesteś ważna, wyjątkowa, Matt ma szczęście, że z nim jesteś. Może pewnego dnia to on będzie się bał, że od niego odejdiesz.

- Wątpię - roześmiała się Hope. - Niby dlaczego Matt miałby się tego obawiać?

Virginia wzruszyła ramionami.

- Nie twierdę, że tak będzie ani że go zostawisz, chodzi mi o to, żebyś postrzegła siebie jako osobę wartościową.

Hope uśmiechnęła się na tę myśl.

- To przyjemne, ale bardzo trudne.

- Owszem - zgodziła się Virginia. - Przykro mi, dziewczęta - rozłożyła ręce. - Jestem zmęczona, nie wiem, czy starczy mi sił, żeby obnażyć dziś duszę.

- Nie ma sprawy - zapewniła Mary-Kate.

- Chcesz powiedzieć, że obnażamy tylko wtedy, kiedy odczuwamy taką potrzebę? - dopytywała się Virginia.

- Tak jest.

Rozległ się dzwonek do drzwi - przyjechały taksówki.

- No dobrze. - Giselle wstała. - Też jestem zbyt zmęczona, żeby cokolwiek obnażać. Do następnego razu, tak?

- Tak - odparły, lekko wstawione, ale szczęśliwe.

- Czuję się o wiele lepiej - zapewniła Sam, gdy się żegnała z Mary-Kate. - I to nie tylko zasługa martini.

- Wiem. - Mary-Kate skinęła głową. - To początek tego, do czego zmierzasz, Sam. Ludzie myślą, że nie mają wyjścia, że muszą się zadowolić tym, co im dał los. Tylko nieliczni wiedzą, że można zmienić swoje życie.

Sam uśmiechnęła się błogo.

- To był wspaniały wieczór. Czy mogę przyjść następnym razem?

- Kiedy tylko zechcesz - zapewniła Mary-Kate ciepło.

Taksówkarz Teddy wiozł Virginie z szybkością ni mniej, ni więcej, tylko dwudziestu kilometrów na godzinę. Virginia siedziała obok i zaklinała go w duchu, żeby dodał gazu, bo kleiły jej się oczy, a nie chciała zasnąć z głową na jego ramieniu.

- Okropne te drogi - mruknął ze wzrokiem utkwionym w mokrą szosę. Powiedział to po raz czwarty.

Virginia, zawsze uprzejma, za pierwszym razem powtórzyła grzecznie, że rzeczywiście okropne, za drugim mruknęła twierdząco, ale za czwartym zdała sobie sprawę, że Teddy nie spodziewa się żadnej odpowiedzi. Była lekko wstawiona po martini Mary-Kate, ale zjadła tyle krakersów i sera, że chyba nie będzie miała kaca. Jeszcze tego by brakowało, przecież musi przygotować pokoje na przyjazd gości! Zostały tylko dwa dni. To był udany wieczór, momentami bolesny, ale bardzo udany.

- Popatrz pani na te kałuże - pomstował Teddy.

Virginia posłusznie wyjrzała przez okno i nagle zobaczyła... nie, nie kałuże, ale małego białego terierka skulonego na poboczu. Piesek cofnął się, gdy oślepiły go światła taksówki. Wyglądał tak żałośnie. Biedaczysko, co on tu robi sam w taką pogodę.

- Proszę się zatrzymać - poleciła stanowczo i Teddy natychmiast nacisnął hamulce. Ledwie się zatrzymał, a już wysiadła, prosto w ulewny deszcz, i podbiegła do psiaka. Skulił się na jej widok.

- Cześć - zagaiła, kucając. - Cześć, biedne maleństwo. - Wyciągnęła rękę, ale pies nadal się bał. Lecz Virginia nie na darmo pochodziła ze wsi. I kochała psy. Nie mogłaby biedactwa zostawić bez pomocy. - Chodź, skarbie - mówiła spokojnie, wyciągając powoli rękę, aż dotknęła mokrej białej sierści.

Psiak zadrżał, ale kiedy pogłaskała go po łebku, zapiszczał cicho.

- Już dobrze, dobrze - uspokajała go.

Zapomniała o deszczu. Przysunęła się bliżej. Pies nie miał obroży. Udało jej się wziąć go na ręce. Serce krajało się jej z litości, gdy dotykała małego wychudzonego ciała. Czowała pod palcami drobne żebra, słyszała niemal, jak bije jego serduszko. Nie warczał jednak, nie szczyrzył zębów. Sparaliżowany ze strachu, kulił się w jej ramionach.

- Biedne maleństwo - rozczuliła się.

Teddy cofnął się, tak że stał tuż obok. Virginia dała mu znać, żeby uchylił okno.

- Zabieram psa do domu. Nie zostawimy go tutaj - oznajmiła. Teddy głośno przełknął ślinę. Nie życzył sobie brudnych bezpańskich

psów w swojej nieskazitelnej taksówce i gdyby zaproponował to jakikolwiek inny pasażer, powiedziałby mu, gdzie sobie może wsadzić głupiego kundla. Ale ta kobieta była taka władcza, taka... jak prawdziwa dama.

- No... dobrze - burknął, patrząc na czyste siedzenia.

- Owinę go płaszczem, samochód będzie czysty - dodała od niechcenia.

Na to nie mógł już nic powiedzieć. Posłusznie otworzył drzwi i pani Connell wsiadła, tuląc psa jak dziecko.

Przed domem wyjęła z portfela pierwszy lepszy banknot i podała mu. Było to dwukrotnie więcej, niż wskazywał licznik. Teddy gapił się na nią z głupią miną.

- To na wypadek gdybym jednak ubrudziła siedzenie - rzuciła Virginia. I wysiadła, nadal z psem w ramionach. Teddy patrzył, jak bez płaszcza idzie do domu w strugach deszczu. Kobiety, pomyślał. Kto je zrozumie?

W domu Virginia wytarła psiaka dużym ręcznikiem. Poszła z nim do kuchni, bo tam było cieplej, i delikatnie masowała, cały czas czule do niego mówiąc, aż przestał tak bardzo dygotać. Był to west highland terier, uroczy mały biały piesek. Jego miejsce było przy kominku, a nie na mokrej szosie.

- Proszę, proszę, więc to panienka. - Virginia czule spojrzała w duże brązowe ślepia. - Jak się nazywasz, kruszynko?

Psinka zamrugnęła, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś się do niej ciepło zwraca.

Virginia wyjęła mleko z lodówki i postawiła miseczkę na podłodze. Psina popatrywała na miskę niepewnie.

- No, pij - zachęcała Virginia.

Jeszcze jedno żalosne spojrzenie i suczka zaczęła pić.

- Jesteś głodna, co? - Virginia wyjęła z lodówki resztkę piersi kurczaka.

Syta, suczka odprężyła się i ostrożnie wędrowała po kuchni, węsząc pilnie.

Zatrzymała się przy drzwiach i znacząco spojrzała na Virginie.

- Mądra dziewczynka. - Virginia z uśmiechem otworzyła drzwi.

- Ciekawe, czyja jesteś - zastanawiała się, gdy suczka wróciła, wyraźnie spokojniejsza, i usiadła u jej stóp. - Rano zadzwonimy na policję, czy nikt cię nie szuka, ale na razie pójdziemy spać.

Przygotowała posłanie w kuchni, przy kaloryferze, postawiła obok miskę z wodą i podeszła do drzwi. Odwróciła się. Psina patrzyła na nią z rozpaczą. Virginia zmięknęła.

- Może wolisz spać ze mną, na górze? - zapytała.

Czy wyobraźnia płata jej figle, czy to naprawdę był uśmiech? Zabrała posłanie i zaniósła je na górę. Suczka szła tuż za nią.

- Nie mogę mówić do ciebie sunia - stwierdziła Virginia w sypialni. - Jak cię nazwiemy?

Psinka przechyliła głowę na bok, jakby też się nad tym zastanawiała. Virginia przypominała sobie różne psie imiona. Śliczny biały terier matki nazywał się Dinky. Był ulubieńcem całej rodziny.

- Co powiesz na Dinky? - zapytała. - Na miejsce, Dinky. Suczka polizała jej dłoń i grzecznie podreptała na swoje posłanie.

- A zatem Dinky - uśmiechnęła się Virginia.

Cały czas przemawiała do Dinky, która obserwowała ją czujnie. Fajnie było mieć kogoś, z kim można rozmawiać, nawet jeśli nie było szans na odpowiedź. Virginia zgasiła światło i myślała o minionym wieczorze. Mary-Kate jest wspaniała; wyczuła, że Virginia jeszcze nie wie, czego chce od życia.

Spokoju, pomyślała nagle. Właśnie tego. Spokoju, a nie rozpaczy, ilekroć pomyśli o Billu. I chyba powoli jej marzenie się spełnia. Coraz częściej łapała się na tym, że rozmawia z Billem, opowiada mu, co robiła, o czym ostatnio czytała. Wspominała go bez łez i bez gniewu, że dobre czasy już się skończyły. Tak, właśnie o tym mogłaby dzisiaj powiedzieć, ale nic straconego, będą jeszcze inne wieczory. Wtuliła się w poduszkę. Dawno nie spała tak dobrze jak tej nocy.

Rano obudziła ją Dinky, stała na tylnych łapkach i nieśmiało obwąchiwała pościel.

Virginia zapraszająco poklepała kołdrę i Dinky wskoczyła do łóżka. Po śniadaniu Virginia bardzo niechętnie zadzwoniła na policję i powiedziała, że znalazła małego białego psa.

- Nie mieliśmy żadnego zgłoszenia o zaginięciu psa, pani Connell - powiedział sierżant O'Hara. - Ale zapiszemy sobie telefon do pani, gdyby ktoś go szukał.

Później zadzwoniła do schroniska dla zwierząt. Nikt nigdzie nie szukał białego teriera.

- Nie wierzę, że nikt nie zauważył jej zniknięcia - dziwiła się. - To kochany psiak.

- Mówiła pani, że początkowo była przerażona? - dopytywała się kobieta ze schroniska. - To mi wygląda na porzucenie.

- Jak można porzucać psy na szosie? To okrutne.

- To jeszcze nic, ludzie robią zwierzętom dużo gorsze rzeczy - stwierdziła smętnie kobieta. - Czy zatrzymają pani, jeśli nikt się nie zgłosi?

- Oczywiście - zapewniła Virginia. - Już ją kocham. Wiem, że to brzmi okropnie, ale mam nadzieję, że nikt się po nią nie zgłosi.

- Ma szczęście, że pani ją znalazła. Po tej szosie jeździ wiele ciężarówek, mogła zginąć pod kołami.

Virginia pogłaskała Dinky, która grzecznie siedziała przy fotelu.

- Obie miałyśmy szczęście - powiedziała z zadowoleniem.

Następnego ranka po spotkaniu Klubu Makramy Sam wstała pierwsza i krzątała się po kuchni z Tobym i Millie, kiedy Hope lekko skacowana zeszła na dół.

- Wcześniej wstałaś - zauważyła.

- Tak, i świetnie się czuję. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale zarezerwowałam sobie bilet na dzisiaj wieczorem.

Hope przyglądała jej się z niedowierzaniem.

- Myślałam, że polecę z tobą.

-Nie. Masz tu pełne ręce roboty. Muszę iść sama do tego specjalisty. Nie jestem dzieckiem, Hope. -Aleja chciałam...

- Wiem. - Sam popełniła brzemienne w skutki błąd i odstawiła miskę z ciastem na naleśniki, żeby objąć siostrę. - Poradzę sobie, dzięki tobie odzyskałam równowagę.

Obejmowały się i tuliły, póki nie przerwał im przeraźliwy hałas i wrzask. Millie wzięła śniadanie w swoje ręce. Dosłownie.

- Upadła - oznajmiła Millie przerażona, gdy obie spoglądały to na nią, to na naleśnikową masę wśród skorup na podłodze.

Kiedy mama i ciocia jednocześnie parsknęły śmiechem, zawtórowała radośnie. Nie przypuszczała, że ktoś uzna to za zabawne.

Rozdział 14

Sam wyobrażała sobie specjalistę jako osobę surową i groźną, tymczasem profesor OHvieri była drobna, siwa i miła. Miała mądre, spokojne oczy.

Po cichu przeczytała list od lekarza, gdy Sam siedziała w gabinecie, przerażona i zdenerwowana. Bała się, że wyjdzie na hipochondryczkę. Odkąd przestała panikować, wrócił jej apetyt. Wczoraj wieczorem pochłonęła sama dużą pizzę i osuszyła pół butelki wina, oglądając *Rozważną i romantyczną*.

- Przepraszam za to zamieszanie - tłumaczyła się. - Denerwowałam się i...

Profesor OHvieri uśmiechnęła się.

- Proszę się nie martwić - powiedziała. - Najpierw panią zbadam, potem, na wszelki wypadek, zrobimy USG.

Sam skinęła głową.

- Zaczynamy - mruknęła. Wmówiła sobie, że jest zdrowa, ale jeśli to coś poważnego?

W Redlion Hope siedziała przy kuchennym stole i gapiła się na zegar z małą syrenką. Pięć po trzeciej. Sam miała wizytę o trzeciej. Ile to potrwa? Pięć minut czekania, kwadrans rozmowy, dziesięć na badanie... Więc, jeśli wyślą ją na USG...

W domu było cicho, jeśli nie liczyć tykania zegara i porykiwania krowy gdzieś na dworze. Matt zabrał dzieci, ale teraz Hope żałowała, że się na to zgodziła. Przy nich byłaby przynajmniej zajęta, nie myślałaby tylko o Sam.

Złościła się na siebie, że nie poleciała do Londynu. Mogła to załatwić, Matt zająłby się dziećmi przez te kilka dni, a ona nie siedziałaby w Kerry, nerwowo czekając na telefon.

Cholerna Sam, czemu jest taka uparta, taka niezależna? Ale Hope wiedziała, że akurat teraz to było Sam potrzebne. Musi sama się z tym uporać.

Cholera, zakłęta w myślach. Może zamiast siedzieć beczynn timer, zajmie się prasowaniem?

Wyprasowała dziesięć koszul, zanim zadzwonił telefon. Zostawiła żelazko na desce i rzuciła się do aparatu.

- Halo?

- To ja - powitała ją Sam.

Hope głęboko zaczerpnęła tchu. Nagle nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jestem zdrowa - oznajmiła Sam. - Jak rydz. Mam mięśniaki, ale nic więcej.

Można je bez problemu usunąć.

- Boże, Sam, tak się bałam - jęknęła Hope.

- Ja też. - Sam nie posiadała się z radości. - Ale teraz jest dobrze. Jestem wolna. I zdrowa.

Odrzuciła głowę do tyłu, nagle spragniona życia.

- Tak się cieszę. Jak mam to uczcić?

- Wydaj przyjęcie - podsunęła Hope.

- Świetny pomysł - ucieszyła się Sam.

Hope pożałowała, że nie może być teraz z siostrą.

- Powiedz, kogo zaprosisz? - zapytała.

Catrina była zachwycona pomysłem przyjęcia w piątkowy wieczór.

- Super, ja już prawie nigdzie nie chodzę - narzekała w słuchawkę. - Wiesz, wydaję się sobie taka wielka.

Jay i Greg byli już umówieni gdzie indziej, ale obiecali, że wpadną.

- Z jakiej okazji to przyjęcie? - dopytywała się Jay.

- Z takiej, że żyję i jestem szczęśliwa. - Sam otarła łzy. - W zeszłym tygodniu przechodziłam kryzys, myślałam, że jestem ciężko chora, ale okazało się, że nic mi nie jest.

- Jak to: myślałaś, że jesteś ciężko chora? - zaniepokoiła się Jay.

- Później ci opowiem. Teraz mów, co mam zaserwować: chińszczy-znę na wynos, pizzę na wynos czy może coś z kuchni tajskiej?

W piątek Sam, w szampańskim humorze, zjawiała się w biurze, czym zaskoczyła wszystkich, których Lidia odsyłała z kwitkiem, twierdząc, że szefowa ma zwolnienie do końca tygodnia.

- W zeszły piątek wyglądałaś fatalnie - zauważyła Lidia. Przyglądała się przez chwilę; szefowa promieniała, choć nadal była za chuda. - Na pewno nie byłaś na farmie piękności?

Sam uśmiechnęła się szeroko.

- Wiesz, jeśli naprawdę chcesz stracić tę pracę, załatw to bardziej konwencjonalnie i złóż wymówienie, a nie prowokuj mnie, żebym cię wylała - zażartowała.

Wyszła z biura wczesnym popołudniem, w drodze do domu wstąpiła do kwiaciarni i kupiła dużo kwiatów. Wino i jedzenie dostarczy firma cateringowa.

Sam posprzątała pobieżnie - i tak zawsze miała porządek - i ułożyła kwiaty w wazonach.

Właśnie wstawiała róże do wody, gdy wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak Morgan dźwiga sadzonkę drzewa. Drzewko było spore i bardzo ciężkie, ale to pasowało do Morgana; jeden przeciwko całemu światu.

Uśmiechnęła się na jego widok i zaraz cofnęła, gdy Morgan się wyprostował. Masował sobie bolący krzyż i patrzył w górę, w jej okno. Widział ją.

Nagle zarumieniała się ze wstydu na wspomnienie ich ostatniego spotkania. Był dla niej miły i uprzejmy, ba, nawet troszkę flirtował, a ona zachowała się jak wredna suka, jak krokodyl po leczeniu kanałowym. Zawstydzona, postanowiła to naprawić.

Przecież ma zmienić swoje życie, przypomniała sobie. I pierwsze, co zrobi, to przeprosi Morgana. Wybiegła z mieszkania, nie dała sobie czasu na zmianę decyzji. Energicznie nacisnęła dzwonek przy jego drzwiach. Minęło kilka minut, zanim otworzył.

Miał na sobie dżinsy, jak zwykle. Na swetrze i we włosach tkwiły liście i małe gałązki.

- Tak? - patrzył na nią czujnie, jakby się spodziewał, że lada chwila wymierzy mu cios w szczękę. Był bardzo pociągający. Zwłaszcza te oczy. Co prawda teraz były zmrużone i podejrzliwe...

- Chciałam cię przeprosić - zaczęła. Powie to jak najszybciej, żeby się nie rozmyślić. - Byłam okropna i bardzo przepraszam. Zachowałam się paskudnie. Nie wiem, czy to jakieś usprawiedliwienie, ale przechodziłam poważny kryzys. Zdaję sobie sprawę, że mimo to nie powinnam... - urwała ze wzrokiem wbitym w czubki swoich butów. - Przepraszam, Morgan. Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał mnie więcej widzieć, ale chciałabym, żebyśmy się zaprzyjaźnili. Wydaję dzisiaj małe przyjęcie, wpadniesz?

Podniosła wzrok. Może się udało.

Udało się. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Mogę przyprowadzić dziesięć durnych lasek? - zapytał złośliwie. Sam zagryzła dolną wargę

- Jeśli chcesz, jedną.

- Żartowałem. Przyjdę sam. - Wydawał się bardzo z czegoś zadowolony.

- To nieforma... - Ugryzła się w język. Chciała powiedzieć, że to nieformalne przyjęcie, ale czy Morgan Benson ma w ogóle jakieś inne ciuchy?

- Czyli mogę przyjść w džinsach? - dopytywał się z przekornym uśmiechem.

- Owszem - odparła poważnie. - Oby nie w tych. Oboje spojrzeli na jego spodnie, brudne i postrzępione.

- Pójdę już - stwierdziła Sam. - Wiesz, gotowanie i te sprawy.

- Wiem. Te przyjęcia, tyle z nim zachodu - stwierdził ze śmiertelnie poważną miną. - Trzeba poskładać serwetki, uważać, żeby korek się nie pokruszył i tak dalej...

Sam spojrzała na zegarek. Ludzie z firmy cateringowej będą lada chwila, musi się przebrać. Zwykle przy takiej okazji ubierała się w bawełnianą koszulę i spodnie, ale pod wpływem impulsu zmieniła zdanie. Włożyła sukienkę z jedwabiu w kolorze czekolady, z głębokim dekoltem i rozcięciem, które eksponowało nogi. Kupiła ją dawno temu, na przyjęcie, ale nie włożyła, uznała, że jest zbyt fry wolna. A co w tym złego, stwierdziła, wkładając pantofle na wysokich obcasach. W jej życiu znajdzie się miejsce i na odrobinę szaleństwa, może nie?

O ósmej byli już wszyscy: Jay i Greg, nadal zakochani bez pamięci, Catrina i Hugh, bardzo dumni z oczekiwanego dziecka, i Andy z nieśmiałą nauczycielką, Vanessą, która zdaje się pomagała mu odzyskać równowagę po rozwodzie.

Morgan zaskoczył Sam; miał na sobie grafitową koszulę, nonszalancko rozpiętą pod szyją, i szare spodnie. Ciuchy były drogie i z klasą. Cmoknął ją w policzek i wręczył butelkę wina.

- Jak to miło, że mnie pani zaprosiła, pani Smith - mruknął. - Nie ma to jak uczynni sąsiedzi. Czy później posłuchamy głośno muzyki?

Sam zachichotała i posadziła go między Jayem i Vanessą.

- Jest boski - mruknęła Catrina między jednym a drugim kęsem kurczaka. - Dlaczego go ukrywałaś?

- To tylko znajomy. - Sam podała jej sałatkę.

- Jak się ma takich znajomych, to po co mąż? - Catrina puściła oko. Wieczór minął błyskawicznie. Było to najbardziej udane przyjęcie,

jakie Sam kiedykolwiek zorganizowała. Po pierwsze dlatego, że była odprężona jak nigdy, ale także dlatego, i to ją zaskoczyło, że bardzo się cieszyła z przyjścia Morgana. Pozostali także go polubili, zwłaszcza Hugh. Cały czas rozmawiali o wspólnych znajomych. Sam była ciekawa tych rozmów, przecież nadal niewiele wiedziała o Morganie, nie miała na przykład pojęcia, jak on zarabia na życie. Zorientowała się, że chyba kiedyś pracował w Nowym Jorku, gdzie poznał Christophera, starszego brata Hugh.

- O czym rozmawialiście z Morganem? - zapytała od niechcienia, gdy Hugh pomagał jej parzyć kawę.

- Och, o pracy, takie tam. To fajny facet. Zadowolony, że się wyrwał z wyścigu szczurów. - W tym momencie wszedł Morgan we własnej osobie, więc Sam nie mogła pytać dalej.

Dochodziła północ, gdy Catrina oznajmiła, że na nią i Hugh'a już czas.

- Nie wiem, co będzie, kiedy dziecko się urodzi i stracisz szofera - mruknęła do podciętego męża.

- Jak to co? Maluch dostanie prawo jazdy - oznajmił Hugh. - Przecież dzieci powinny się opiekować biednymi starymi rodzicami?

Jay i Greg wsiedli do taksówki z Andym i Vanessą - jechali w tę samą stronę.

- Pomogę ci sprzątać - zaproponował Morgan, gdy wszyscy już poszli.

Razem układali naczynia w zmywarce i słuchali muzyki. Jak stare małżeństwo, przemknęło Sam przez głowę.

- Byłaś dzisiaj odprężona - zauważył Morgan. Nalał wody do zlewu, żeby opłukać kieliszki.

Kilka kieliszków wina rozwiązało jej język. Opowiedziała mu, co ostatnio przeżywała.

- Nic dziwnego, że byłaś taka nerwowa. - Wytarł ręce w ręcznik, i, ku jej zdumieniu, przyciągnął ją do siebie. - Cieszę się, że nie jesteś chora. Pewnie umierałaś ze strachu.

Sam zaniemówiła w jego ramionach, rozkoszowała się jego bliskością. Było jeszcze lepiej, niż myślała; był taki ciepły i mocny, solidny. Dobrze czasami znaleźć się w objęciach kogoś innego niż Hugh, Andy czy Hope. Kto nie obejmuje cię po bratersku.

Nagle, równie niespodziewanie, Morgan wypuścił ją z ramion i cofnął się.

- Przepraszam - mruknął. - Nie chciałem się narzucać.

- Nie ma sprawy - szepnęła.

- Czas na mnie - stwierdził po chwili, ze wzrokiem wbitym w kieliszek.

- Rozumiem - odparła uprzejmie, wpatrzona w jego plecy. - Dziękuję, że wpadłeś i że mi pomogłeś.

- Nie ma sprawy.

Nie pocałował jej na pożegnanie. Jeszcze raz podziękował za zaproszenie i wyszedł. Sam stała w progu, czekała, że Morgan się odwróci i uśmiechnie, ale tego nie zrobił. Zamknęła drzwi. Co się dzieje? Gdyby był nią zainteresowany, chyba dałby jej to do zrozumienia. Ale jak nie, to nie. Trudno. Pogodziła się z nim, to najważniejsze. Nowa, pogodna Sam Smith nie będzie roztrząsała, co by było gdyby. Będzie szczęśliwa, pogodna i zacznie zmieniać swoje życie. Zapisze się na jogę, przejdzie na zdrową żywność, będzie miła i dobra. Nie będzie sobie zawracała głowy przystojniakiem z sąsiedztwa.

Rozdział 15

Virginii nie mieściło się w głowie, dlaczego Jamie uznał, że Barbara trzyma Laurence'a żelazną ręką. Wydawała się bardzo spokojna, wręcz chorobliwie nieśmiała.

Niska i drobna, zwłaszcza przy wysokich braciach Connell, miała długie jasne włosy, które opadały na plecy w romantycznych lokach. Twarzyczka w kształcie serca, różane usta i wielkie niebieskie oczy dopełniały obrazu ucieleśnionej niewinności. Nietrudno się domyślić, dlaczego Laurence stracił dla niej głowę.

Przy synach Virginii Barbara wyglądała jak nimfa przy centaurach.

- Może herbaty? Na pewno jesteś zmęczona po podróży - zaproponowała Virginia, gdy już się przywitały.

- Nie chciałabym zawracać głowy... - certowała się Barbara. Virginia widziała, jak Jamie przewraca oczami.

- Nie ma sprawy - zapewniła serdecznie i ostrzegawczo łypnęła na syna.

Dinky poszła za nią do kuchni. Ponieważ nikt się nie zgłosił, Virginia sprawiła suczce śliczną obrozę w szkocką kratę. Teraz nie odda Dinky bez walki.

- Co u ciebie, mamó? - Jamie rozsiadł się w starym fotelu przy toalecie i wyprostował długie nogi. Jest taki podobny do Billa, tyle że Bill był mocniejszej budowy, a Jamie jest szczupły i zwinny. Kasztanowe włosy jak zwykle niesfornie opadają mu na oczy. Laurence natomiast jest chyba zmęczony, zauważyła niespokojnie. Z daleka bracia byli do siebie tak podobni, że brano ich za bliźniaków, ale z bliska widać zmarszczki w kącikach oczu Laurence'a. Poza tym nie do twarzy mu w tej nowej fryzurze, wygląda, jakby się wyszykował na rozmowę w sprawie pracy.

Virginia postanowiła, że porozmawia z nim sam na sam i wypyta, co w klinice. Nie chciała tego robić przy Barbarze.

Tymczasem Barbara przysiadła w kuchni na krzeselku jak mały ptaszek i rozglądała się bacznie wielkimi niebieskimi oczami.

Dinky, która nawet listonosza witała radosnym szczekaniem, podeszła do niej i obwąchała skraj czarnej spódnicy z gracją księżnej łaskawie witającej przybysza.

- O, piesek. Jaki ładny - powiedziała Barbara i szczerzej otuliła nogi spódnicą, jakby Dinky była groźnym wilczurem z wyszczerzonymi kłami.

- Nie lubisz psów? - zapytała Virginia, gotowa odesłać Dinky na górę. Nie wszyscy muszą lubić zwierzęta tak jak Connellowie.

- Uwielbiam - zapewniła Barbara, nadal ściskając spódnicę w garści.

Jakby chcąc udowodnić, że gość kłamie, Dinky spojrzała na nią chytrze.

- Tak, uwielbia - włączył się Laurence, zaniepokojony, że ktoś mógłby odnieść błędne wrażenie, że jego dziewczyna nie jest idealna.

- Dinky, do nogi - mruknęła Virginia. Może Barbara jest po prostu spięta.

Dinky, prawdziwa dama, podeszła do swojej pani i posłusznie usiadła przy nodze. Siedziała tam, podczas gdy Barbara długo rozwodziła się

nad tym, jak bardzo kocha wieś. Virginia szybko przestała słuchać, złapała się natomiast na tym, że wpatruje się w jej usta. Kreska zrobiona konturówką, nawet przy maksimum dobrej woli, nie pokrywała się z linią ust. Pewnie teraz taka moda, pomyślała.

Po dwudziestu minutach Virginia zdała sobie sprawę, że wiedza Barbary o wsi pochodzi z seriali telewizyjnych i rzadkich wypadów za miasto, na wyścigi, na których zresztą o mały włos wygrałaby konkurs na najlepiej ubraną kobietę, o czym opowiadała z wielkim przejęciem i rozgorzyczeniem.

- Może się przejdziecie? - zaproponowała nagle Virginia. Od dawna gotowała tylko dla siebie, chciała zostać sama w kuchni, zresztą niech Bóg broni, żeby Barbara zaproponowała pomoc. Z takimi paznokciami nie obiera się warzyw.

Wyszli. Virginia i Dinky zostały same.

- I co o niej sądzisz? - zapytała Virginia małą przyjaciółkę. Dinky położyła łebek na białych łapkach i spojrzała na nią smutno.

Jamie zapytał o to samo, gdy godzinę później matka poprosiła go, by jej pomógł nakryć do stołu.

Nie zdążyła odpowiedzieć; dobiegł ich głos Barbary z saloniku:

- Dlaczego psu wolno wchodzić do domu? - zapytała zupełnie innym tonem niż ten dziecinny szczebiot, którym uraczyła Virginie.

Virginia znieruchomiała.

- A nie mówiłem? - zachichotał Jamie. - Udaje anioła, ale w jej żyłach płynie krew kanibali.

- Czemu mi nie powiedziałeś? - zapytała matka z wyrzutem.

- Mówiłem. Nie uwierzyłaś - przypomniał.

- Przecież to milutki psiak - zapewnił Laurence.

- Hm. W tym domu potrzebny jest generalny remont - stwierdziła Barbara z niesmakiem. - Nie wiem, jak twoja mama może tu wytrzymać. No wiesz, wilgoć w sypialni... a widziałeś tę plamę w naszym pokoju? To mi na pewno zaszkodzi...

Virginia nie słyszała, co było dalej. Jamie zaciągnął ją do kuchni, zanim wybuchła.

- Jak ona śmie? - złościła się.

Jamie, beztronski jak zwykle, uśmiechnął się szeroko.

- Może wyślesz Dinky do akcji? Niech ją rozerwie na strzępy - podsunął.

- O nie. Jeszcze by się zatrula.

Podczas obiadu Barbara była znowu słodziutka, kusiła nawet Dinky kawałkiem chleba. Ale Dinky nie jest głupia; nie odchodziła od nóg swojej

pani. Kiedy Barbara zapewniła, że jest zachwycona Kilnagoshell House, Virginia ugryzła się w język, żeby tego nie skomentować. Syknęła tylko, bo Jamie kopnął ją w kostkę. Łypnęła na niego groźnie, ale ze względu na Laurence'a nie powiedziała nic. Przy odrobinie szczęścia wkrótce sam zobaczy, że kobieta słodka jak miód przy innych i wredna na osobności to kiepska partnerka.

Następnego ranka Barbara przygotowała sobie kąpiel i zużyła całą ciepłą wodę. A przecież poprzedniego wieczoru Virginia tłumaczyła, że woda grzeje się powoli. Teraz, po lodowatym prysznicu, była zła jak osa.

- Przepraszam - szczebiotała Barbara. - Skoro był tu dawniej pensjonat, myślałam, że hydraulika działa bez zarzutu.

Virginia posłała jej mordercze spojrzenie. Nikt przy zdrowych zmysłach, widząc jej dom, nie pomyślałby, że hydraulika działa tu bez zarzutu. Ilekroć włączała termę, obawiała się potopu.

Po śniadaniu Barbara wyraziła ochotę towarzyszenia jej na spacerze.

- Świetny pomysł! - Laurence serdecznie uściskał matkę.

- Doskonały - zawtórował niepoprawny Jamie. - Taka rodzinna przechadzka.

Barbara nie nadawała się na spacer. Jej pantofelki nie najlepiej zniosły wiejskie błoto, biały płaszcz zaczepił się o jeżyny, więc rozpaczała nad nim wniebogłosy.

Potem zapragnęła zobaczyć śliczne wiejskie zwierzaczki, króliczki na przykład. Gdzie one są?

Siedzaw norach i zatykająszy, żeby nie słyszeć twoich pisków, pomyślała Virginia skrycie.

Ledwie wróciły do domu, zabrała Dinky i krzyknęła, że musi jeszcze coś załatwić. Byle tylko uwolnić się od Barbary.

Mary-Kate ochoczo zostawiła Otisa na posterunku i zaszyła się z Vir-ginią na zapleczu, nad kawą i ciasteczkami.

-Nie podoba mi się, że staję się jedną z tych jędz, które nie znoszą synowych i narzeczonych swoich synów - jęknęła Virginia. - Nie chcę być teściową z dowcipów. Podobno na Islandii organizuje się nawet specjalne kursy dla teściowych, żeby nie były takie okropne i wścibskie. Albo w Izraelu, no, w jakimś kraju na I.

- Nie w Irlandii, to pewne - skomentowała Mary-Kate. - Żartowałam - dorzuciła szybko, widząc spojrzenie Virginii. - Ale z żoną drugiego syna dobrze się rozumiesz, prawda?

- Z Sally? - Virginia szperała w torebce w poszukiwaniu chusteczki. - Tak, ale to co innego.

- Właśnie, co innego. A dlaczego? Bo jest dobra i ją pokochałaś. A ta Barbara wygląda mi na wredną sukę. Nie lubisz jej. Niestety, będziesz musiała ją zaakceptować.

Virginia nie była tym zachwycona.

- Chciałabym tylko, żeby moi synowie byli szczęśliwi, żeby mieli dobre, kochające żony.

- Tak, a ja chciałabym wygrać w lotto i jeszcze żeby na świecie zapanował pokój, ale ani na jedno, ani na drugie nie ma szans, więc muszę się jakoś obejść bez tego - zauważyła Mary-Kate rzeczowo. - Nigdy nic nie wiadomo, może Laurence ją rzuci. Faceci czasem rzucają kobiety. Pewnie do tej pory miał wiele dziewczyn.

- Kiedy był młodszy, owszem - przyznała Virginia ponuro. - Ale teraz to poważna sprawa. Barbara to taki typ, który nie spocznie, póki nie będzie miała pierścionka zaręczynowego na palcu i zarezerwowanej sali na wesele.

Mary-Kate zamyśliła się.

- Aż tak? Może Delphine namówi koleżankę, żeby poderwała Laurence'a na jedną noc? To by ostudziło jego zapęły matrymonialne.

Virginia parsknęła śmiechem.

- Tylko ty mogłabyś wymyślić coś takiego. Marnujesz się w aptece, powinnaś kierować wielką firmą.

- Albo mogłabyś być dla niej bardzo niemiła i powiedzieć Lauren-ce'owi, co o niej sądzisz.

Virginia energicznie pokręciła głową, choć wiedziała, że to tylko żarty.

-Nie, jak mówiłam, nie zasile szeregów paskudnych teściowych. Mam po dziurki w nosie opowieści o nadopiekuńczych mamuśkach, które traktują synowe jak niewolnice, a synków jak książęta. To nie dla mnie.

- Więc ćwicz sztuczny uśmiech - poradziła Mary-Kate.

Dopiły kawę. Virginia zbierała się do wyjścia, gdy przypomniała sobie jeszcze jedną wadę Barbary.

-Nie uwierzysz - powiedziała poważnie - ale nie znosi Dinky. Mary-Kate dramatycznym gestem złapała się za serce.

- To już koniec. Zamorduję ją własnoręcznie!

- Jesteś szalona, wiesz o tym? - roześmiała się Virginia. Niestety, jej dobry humor nie trwał długo.

Wieczorem Laurence zabrał wszystkich do Pigeon Club, najlepszej restauracji w okolicy.

- Chyba w klinice dobrze ci idzie, co, Laurie? - Jamie skrzywił się na widok zawrotnych cen. - Szkoda, że też nie jestem dentystą. Z pensji nauczycielskiej nie byłoby mnie stać na tę restaurację.

- Chcieliśmy, żeby to był wyjątkowy lokal - oznajmił Laurence, uśmiechając się znacząco do Barbary - bo mamy wam coś do powiedzenia. Pobieramy się.

Virginia nie wiedziała, kto był bardziej zaskoczony, ona czy Jamie. Ostatkiem sił zmobilizowała się, by pogratulować narzeczonemu. Zmusiła się nawet, by cmoknąć powietrze w okolicach policzka Barbary - naprawdę nie mogła jej dotknąć.

Kiedy spojrzała w błękitne oczy przyszłej synowej, zobaczyła, że są lodowato zimne, jak niebo w słoneczny styczniowy dzień.

- Wiadomo już coś o ślubie stulecia? - zapytała Sally przez telefon tydzień później.

Virginia roześmiała się serdecznie. Dobrze chociaż, że jedna synowa jest taka jak trzeba.

- Nie. I lepiej mi o tym nie przypominaj. Nie będziesz taka radosna, kiedy do was przyjadą.

Barbara i Laurence wybierali się do Sally i Dominica do Londynu.

- Będzie kaprysiła, że chce iść do Harrodsa, biedny Laurence kupi jej drogi prezent, ale i tak będzie marudziła, i to niezrozumiale, bo mówi z dziwacznym, sztucznym akcentem.

- Jakbym słyszała Jamiego. Nie znosi jej. Virginia smutno pokręciła głową.

- Cóż, ja też za nią nie przepadam. Porozmawiajmy o czymś innym, proszę. I tak ciągle myślę o tej okropnej Barbarze. Kiedy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie, co chciałabym jej powiedzieć. Wiesz co, Sally? - ożywiła się wyraźnie. - Zrobiłam coś, z czego jestem bardzo dumna. Umówiłam się na lekcję golfa w tutejszym klubie.

- Wspaniale! - ucieszyła się Sally.

Zapewne Sally ucieszyłaby się tak samo na wieść, że teściowa uprawia gimnastykę artystyczną. Nieważne, co postanowiła robić, ważne, że zaczyna wychodzić z depresji.

- Może jestem za stara, żeby się uczyć - zastanawiała się Virginia.

- Ależ skąd! - oburzyła się synowa. Virginia uśmiechnęła się szeroko.

- Nie umiesz kłamać, wiesz o tym? Roześmiały się głośno.

Instruktorem golfu w klubie Świętej Cecylii był posepny, opryskliwy czterdziestolatek. Tego dnia najwyraźniej wstał lewą nogą.

- Dlaczego patronką klubu jest święta Cecylia? - zapytała Virginia, gdy szli na pierwszą lekcję.

- A niby skąd mam wiedzieć? - burknął Fintan O'Riordain. - Uczę gry w golfa, nie historii.

Policz do dziesięciu, upomniała się Virginia w myślach.

- Mój mąż grał. To jego kije - powiedziała.

- Pewnie dla pani za długie. Kobiety grają krótszymi. Proszę popatrzeć. - Fintan ustawił się do strzału.

Bill zrobiłby to lepiej, pomyślała. Zawsze mu wychodziły długie piłki.

- Teraz pani - powiedział Fintan.

Przez dziesięć minut pokazywał jej, jak się prawidłowo trzyma kij, i co chwila wzdychał żałośnie, że trafiła mu się taka oporna uczennica. Virginia miała tego dosyć.

- Uważaj, kobieto! - wrzasnął Fintan i wyrwał jej kij, żeby zademonstrować właściwy chwyt.

- Proszę mi powiedzieć - zaczęła od niechcienia - czy wielu uczniów przychodzi na drugą lekcję? Bo nie spotkałam człowieka równie niewy-chowanego i jeśli tak pan sobie wyobraża dalszą współpracę, dziękuję bardzo.

- Nikt jeszcze nie narzekał. - Fintan wydawał się urażony.

- Cóż, ja tak. - Virginia uśmiechnęła się lekko. - W końcu gdyby wystarczyło popatrzeć, każdy byłby Tigerem Woodsem, prawda? Nawet pan, i nie musiałyby pan uczyć gry w golfa durnych kobiet.

Zamrugnął nerwowo.

- Nie przepadam za paniusiami z Dublina - burknął.

- Fintan, może i mieszkałam tam przez trzydzieści lat, ale urodziłam się i dorastałam w Tralee, a żadna dziewczyna z Tralee nie pozwoliłaby, żeby ktoś ją traktował tak jak pan mnie, zwłaszcza że to ja płacę.

- O rany, gdyby mi to pani na początku powiedziała, potraktowałbym panią jak miejscową - obruszył się.

- A więc miejscowych traktuje pan inaczej? - Virginia z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Owszem. Ale cena jest ta sama - zastrzegł.

Po lekcji wrócili do klubu, imponującego starego budynku oplecionego bluszczem.

- Może wejdzie pani do środka i wszystkich pozna - zaproponował Fintan. Teraz zachowywał się najlepiej, jak umiał.

Nie, cisnęło się Virginii na usta. Nie chcę nikogo poznawać i tłumaczyć, że jestem wdową, że mój mąż nie żyje od półtora roku i wyjechałam z Dublina, bo nie chciałam żyć przeszłością.

- Bardzo chętnie, Fintan - odparła uprzejmie.

Umyła ręce w uroczej staroświeckiej łazience, poprawiła fryzurę, krytycznie przejrzała się w lustrze. Kremowa koszulka i spodnie, ciemniejsze o ton, są odpowiednie, nie musi się martwić. Jeden drink i będzie mogła wrócić do swojej samotni.

Fintan czekał w barze, obszernym i ponurym.

- Czego się pani napije? - zapytał.

- Wody mineralnej, poproszę - odparła, rozglądając się dokoła. Poza młodą barmanką i kilkoma mężczyznami w rogu, którzy sączyli whisky, nie patrząc na siebie, w barze było pusto.

- Pole było rano zamknięte - wyjaśnił Fintan, widząc jej zdziwienie. -
Konservacja.

- Ach - mruknęła. Skoro nikogo tu nie ma, nikogo nie musi poznawać. Jak dobrze.

Popijała wodę mineralną i starała się odprężyć. Fintan nie był zbyt rozmowny, na szczęście. Nie miała ochoty na rozmowę.

Dopiła wodę i zamierzała umówić się z Fintanem na następną lekcję, gdy do baru wszedł nowy gość. Wysoki mężczyzna o szpakowatych włosach, które sięgały kołnierzyka, opalony (na pewno nie było to słońce Kerry w marcu), z postawą byłego wojskowego. Skinął głową Fintanowi i uważnie przyjrzał się Virginii. Przystojny, zauważyła, zadbany, w przeciwieństwie do większości mężczyzn po pięćdziesiątce.

Ani śladu po piwnym brzuchu czy policzkach czerwonych od whisky. Miał trochę zmarszczek, prosty nos i ciepłe, bystre spojrzenie.

- Kevin! - Fintan zareagował jak człowiek za burtą na widok koła ratunkowego.
- Chodź, przedstawię ci Virginie.

Kevin wyciągnął rękę, ale nie zdążył nic powiedzieć, Fintan dokonał prezentacji:

- Macie wiele wspólnego. Virginia uczy się grać w golfa i jest wdową. A Kevin wdowcem. Co za zbieg okoliczności, prawda?

Uszczęśliwiony, że się jej pozbył wziął niedopite piwo i pospieszył do mężczyzn w rogu sali.

Piwnie oczy Virginii napotkały szare oczy Kevina i oboje jednocześnie parsknęli śmiechem.

Uścisnęła mu rękę.

- Virginia Connell, lokalna wdowa i przyszła golfistka - przedstawiła się.

Miał ciepłą, silną dłoń.

- Kevin Burton, do usług. Wdowiec i przyszły golfista. Od dawna uczę się grać. Najgorsze jest pierwsze trzydzieści lat.

Virginia zachichotała. Dawno jej się to nie zdarzyło.

- Zdaniem Fintana najgorsza jest pierwsza lekcja. Chyba mu nie za-
imponowałam.

- Fintanowi nikt nie imponuje - odparł Kevin. - Przez całe lato jest uprzejmy dla turystów, więc później wyżywa się na nas. Nie możemy przecież oczekiwać, żeby był miły cały czas.

Roześmiali się znowu. Virginia nie mogła się nadziwić własnej swobodzie. Później zastanawiała się, czy czułaby się równie swobodnie, gdyby Fintan przedstawił ich jak należy? Czy żartowaliby tak beztrąsko, gdyby nie jego brak manier? Chyba nie.

Pewnie wymieniliby z Kevinem kilka zdań o niczym i kłaniali się sobie na polu golfowym. Niefortunna prezentacja Fintana okazała się bardzo udana.

Koniec końców Virginia nie poprzestała na wodzie mineralnej.

- Teraz wypije pani coś mocniejszego - zaznaczył Kevin. Mówił cicho, jakby przywykł, że wszyscy i tak go słuchają. -1 jak pierwsza lekcja?

Skrzywiła się.

- Byłam okropna - przyznała. - Mój mąż Bill był zapalonym golfistą i zawsze mnie namawiał, żebym zaczęła grać. Opierałam się i teraz już wiem dlaczego: jestem w tym beznadziejna!

Kevin się uśmiechnął.

-Na początku nikomu nie wychodzi. Długo trwało, zanim zacząłem grać w miarę dobrze.

Rozmowa potoczyła się gładko.

Znał poprzednich właścicieli Kilnagoshell House. Kilka razy był tam na kolacji z żoną, Ursulą.

- Uroczy dom, ale prowadzenie pensjonatu trochę ich przerosło, kiedy się zestarzel.

- Czy pańska żona grała w golfa? - zapytała nagle Virginia.

- Tak. Bardzo dobrze. Często graliśmy razem.

Śmiali się i rozmawiali ponad godzinę. Virginia wypła jeszcze jedną lampkę chardonnay i poczuła, że zakręciło jej się w głowie. Kevin i Ursula także jeździli na Daleki Wschód, ba, okazało się nawet, że w Singapurze zatrzymali się w tym samym hotelu, tyle że nie w tym samym roku.

- Wiesz, dlaczego dobrze mi się z tobą rozmawia? - stwierdziła nagle Virginia. - Bo mogę mówić o mężu i wiem, że zrozumiesz. Nie starasz się

zmienić tematu, jakbyś uważał, że zwariowałam. Nie burknąłeś, że życie toczy się dalej, nie szukałeś w panice innego tematu. Moi synowie nie chcą rozmawiać o ojcu, boją się, że wpadnę w histerię. Tylko synowa mnie rozumie.

W domu, w Dublinie, nie powiedziałaaby tego. Tam zawsze zachowywała pozory; była chłodna i elegancka, idealna Virginia Connell. Tutaj mówiła, co myślała.

Kevin posmutniał. Przez dłuższą chwilę milczał.

- Ludziom się wydaje, że tak jest lepiej - zaczął. - Nie chcą cię zranić, wydaje im się, że szybciej dojdiesz do siebie, nie rozmawiając o zmarłym. A ty i ja wiemy, że jest inaczej. Nikt nie chce słuchać moich opowieści o tym, jak to od zawsze planowaliśmy z Ursulą wybrać się w rejs, kiedy już przejdziemy na emeryturę. Wydaje im się, że otwieram stare rany, kiedy ciągle o niej opowiadam.

- Też planowaliśmy rejs - wyznała Virginia cicho. - To jest najgorsze. Tyle niezrealizowanych planów. Miałam w kuchni kolekcję katalogów z ofertami rejsów, czasami je przeglądałam i myślałam sobie, jak to będzie fajnie; popłyniemy, kiedy Bill przejdzie na emeryturę. Żadnych ekstrawagancji, coś miłego i relaksującego, Morze Śródziemne albo Adriatyk. - Nagle zachciało jej się płakać. - A potem Bill umarł i koniec. Sama przecież nie popłynę.

Kevin przykrył jej dłoń swoją; był to gest otuchy, nic więcej.

- Za to nauczysz się grać w golfa - powiedział. - A kiedyś zabiorę cię na żagle. Kerry to nie Morze Śródziemne, ale co tam. Poradzimy sobie, jak starzy przyjaciele.

- Nie jesteśmy starymi przyjaciółmi - zauważyła. Kevin uśmiechnął się ciepło.

- A mnie się zdaje, że po dzisiejszej rozmowie jesteśmy, starymi może jeszcze nie, ale dobrymi przyjaciółmi na pewno - odparł.

W domu czekała na Virginię wiadomość od Sally na sekretarce.

- Chciałam tylko zapytać, jak lekcja golfa. Jestem w domu, więc zadzwoń, jeśli masz wolną chwilę.

Virginia gapiła się na telefon, jakby prawil jej wyrzuty, że wyjechała od rodziny. Dominie, Jamie i Laurence, jej synowie, synowie Billa. Co ona wyprawia, rozmawia, żartuje, flirtuje, tak jest, flirtuje z obcym facetem, a przecież w jej życiu już był jeden mężczyzna, jej ukochany Bill. I nie żyje.

Jak mogła tak otwarcie rozmawiać z obcym mężczyzną? Bill nie żyje, szczęście się skończyło. Każda chwila radości i zapomnienia to zdrada.

A godzina chichotów? To niewybaczalna zdrada. Z tą myślą Virginia wyrzuciła informator klubowy z listą najbliższych imprez.

Potem usiadła na schodach, pięknych kręconych schodach, takich, o jakich Bill zawsze marzył. I zawsze wierzył, że będą je mieli. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Płakała nad Billem i nad sobą.

Liścik przyszedł następnego dnia.

Zadzwoń, jeśli masz ochotę na partyjkę golfa, napisał Kevin wyraźnym zdecydowanym pismem. Podał numer telefonu.

Chciała zadzwonić i zarazem nie chciała. Po długiej ciężkiej nocy -cały czas śniła, że Bill jest niedaleko, na wyciągnięcie ręki, a jednak nie mogła go dosięgnąć - obudziła się zmęczona jak po całym dniu pracy w ogródku. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju. W ramach pokuty wstała wcześniej niż zwykle i poszła na poranną mszę, w nadziei że dobrze znane słowa modlitwy i błyszczące oczka księdza McTeague przenikną do jej duszy i sprawią, że wszystko będzie jak dawniej. Niestety, nabożeństwo okazało się nudne i bezużyteczne, jak zawsze od śmierci Billa. Mamrotała modlitwy machinalnie, bez namysłu. Nie dawały jej pocieszenia, ani wtedy, ani teraz.

Szukając ukojenia, po powrocie do domu zabrała się za porządki w starej szopie w ogrodzie. W południe była ledwo żywa ze zmęczenia i nadal nieszczęśliwa. Najchętniej zaszyłaby się w domu, ale umówiła się z Delphine i Mary-Kate na „uroczystą kolację złożoną ze skrzydełek i alkoholu Wdowy Maguire”.

Przy Mary-Kate nie można rozczulać się nad sobą. Virginia sączyła wino i zajaśniała rybę, bo skrzydełek nie znosiła.

- Dobrze, że się uczysz grać w golfa - stwierdziła Delphine.

- Poznałaś Kevina Burtona? Zawsze wydawał mi się bardzo miły - rzuciła Mary-Kate od niechcienia.

- Jest miły - odparła Virginia. Podniosła głowę i napotkała wesołe spojrzenie Mary-Kate. Zarumieniła się. - O co chodzi?

- O nic - odparła Mary-Kate niewinnie.

Matt gapił się w pusty ekran swojego laptopa. Migotał blado, kursor mrugał złośliwie. W pokoju było cicho, jak zwykle - nie wolno tu rozmawiać. Tego dnia zajęte były tylko dwa biurka - przy jednym pracowała podstarzała pisarka, która, jak wyznała Mattowi w tajemnicy, kiedy parzyli sobie kawę w kuchni, przyszła tu wypełnić formularze podatkowe

w ciszy i skupieniu. Przy drugim biurku siedział Ciaran Headley-Ryan i pisał szybko. Pracował codziennie, od dziewiątej do pierwszej, i zawsze pisał. Chyba nigdy nie brakuje mu weny twórczej.

Co za dzień, wichura wygina sosny, lada chwila połamie rododendrony przy wejściu. Matt wyglądał przez okno na ponury krajobraz smagany wiatrem. Od miesięcy starał się coś napisać, ale nic z tego nie wyszło.

Piękna liryczna powieść, o której od dawna marzył, powieść, która rzuciłaby świat na kolana, nie chciała się urodzić. Urodziło się coś innego; tandetna parodia książki, która nie zainteresuje nikogo. Jego bohater przypominał raczej uciekiniera z kiepskiej powieści science fiction niż postać, której głębia zachwyciłaby krytyków. Matt potrafił dostrzec różnicę między dobrą książką a chałłą i choć bolało go to niezmiernie, zdawał sobie sprawę, że jego dzieło zalicza się do tej drugiej kategorii. Nie miał tylko odwagi powiedzieć Hope, jakie to okropne, całymi dniami siedzieć przed ekranem, żeby spłodzić marnych kilka zdań, które następnego dnia i tak skasuje, bo są do niczego.

Przez pół dnia przeglądał, co stworzył dzień wcześniej, i z każdym zdaniem załamywał się coraz bardziej. A Ciaran niezmordowanie stukał w klawisze. Matt nie przeczytał ani jednej z jego powieści historycznych, chociaż Finula wcisnęła mu trzy. Nie chciał ryzykować, że znajdzie się pod wpływem innego pisarza. Przynajmniej początkowo, póki nie dotarło do niego, że żaden z niego pisarz. Teraz wołał nie czytać powieści Ciarana, bo nie chciał namacalnych dowodów, że innym się udaje, a on jest do niczego.

Matt zdawał sobie sprawę, że nie jest pisarzem, choć nie było mu lekko z tą świadomością. Pisanie haseł reklamowych i powieści to nie to samo.

To bolało, bardzo bolało. Ale i tak najgorsza była świadomość, że jego ambicja i nieuzasadniona wiara we własny talent zmusiły całą rodzinę do przeprowadzki do Kerry. Zrezygnował z pracy, odebrał rodzinie dom i po co?

- Kawa? - szepnął Ciaran.

Matt skinął głową. Niech będzie kawa, byle tylko odejść od komputera.

Razem zeszli na dół, minęli dwa atelier - stłumiony śmiech oznaczał, że poranne zajęcia mają się ku końcowi. Komitet wynajmował ośrodek na dwu- i trzydniowe kursy plastyczne i weekendowe kursy pisania. Dzisiaj malarze zrezygnowali z zajęć w plenerze - Matt widział, jak taszczyli do atelier wielkie gałęzie i kamienie. Dobrze, że nie spotka się z nimi przy kawie.

Kursanci robili sobie przerwę w tak zwanej bibliotece, w małym pokoiku, w którym na ścianach wisiały dzieła absolwentów takich kursów, a na półkach stały powieści napisane tu, w Kerry. Książki Ciarana zajmowały całą półkę.

- Jak idzie? - zapytał Ciaran delikatnie. Za żadne skarby świata nie przyznałby, że rozpoznaje wszystkie symptomy załamania. Ciaran widział już tu, w ośrodku, różnych ludzi; niektórzy przyjeżdżali i nagle odkrywali głęboko ukryty talent: ich palce tańczyły na klawiaturze, oryginalne pomysły zjawiały się nie wiadomo skąd. A inni latami czekali na taką okazję, oszczędzali na kilka dni w słynnym ośrodku pracy twórczej w Redlion i nagle przekonywali się, że to nie takie proste; słowa nie spływają, trzeba je mozolnie układać w zdania, nieskładne i toporne.

Matt należał niestety do tej drugiej grupy; miał zrozpaczoną minę człowieka, który wie, że popełnił błąd, ale nie wie, jak się do tego przyznać.

- Dobrze - zapewnił Matt szybko. - Nieźle. Nadal obmyślam plan akcji.

- Jasne - przytaknął poważnie Ciaran. Pochylił się nad swoją kawą. Nie zapytał, jak można pracować nad planem, nie pisząc. Biedny Matt. Ciaran mu współczuł, było mu także szkoda jego uroczej, cichej żony. Oby Matt zrozumiał, że pisanie nie jest dla niego, zanim zrujnuje życie całej swojej rodziny. Widział, jak Hope wędruje z dziećmi do miasteczka, wydawała się taka przygaszona i smutna. Teraz znalazła sobie pracę na pół etatu, pewnie mają kłopoty finansowe. Matt powinien spojrzeć prawdzie w oczy i wrócić do domu. Tak byłoby lepiej i dla niego, i dla Hope.

- Finula zaprasza was na przyjęcie w przyszłym tygodniu - rzucił od niechcienia.

- Chętnie przyjdziemy - zapewnił Matt. Wszystko, byle przerwać nudę. Może zaleje się w trupa i chociaż na krótko zapomni, jaki z niego nieudacznik.

Matt wziął zakręt na szosie z szybkością, zdaniem Hope, samobójczą.

Nie było sensu prosić go, żeby zwolnił, pewnie by jeszcze przyspieszył. Nie bałaby się tak bardzo, gdyby jechali innym samochodem, ale jej metro nie nadaje się na wyścigi na wyboistych wiejskich drogach.

Zaciskając pięści ze strachu, nerwowo zerkała do tyłu, na dzieci. Toby spał w dzieciennym foteliku, a Millie uśmiechała się od ucha do ucha.

Podobnie jak ojciec uwielbiała szybką jazdę i nieraz zdarzało się jej krzyknąć: „Szybciej, tatusiu!”

Wracali z zakupów w Killarney. Millie bardzo się cieszyła z nowych błękitnych bucików. Hope mniej, bo nie bardzo sobie wyobrażała, jak te buciki będą wyglądać po kilku dniach na wsi. Jak się czyści zamsz? Matt był w dość dobrym humorze, bo kupił sobie nowy kryminał i kilka miesięczników komputerowych. Toby zadowolony, bo Toby zawsze był zadowolony. A Hope była zła i rozdrażniona, bo nic sobie nie kupiła, jeśli nie liczyć jedzenia i środków czystości. Ale doprawdy, płyn do czyszczenia toalet kupiony na promocji ekscytuje kobietę tylko w niewielkim stopniu. Liczyła, że kupi sobie coś taniego, lecz olśniewającego na przyjęcie u Finuli tego wieczoru, ale o dziwo, w sklepach jakoś nie było ciuchów tanich i zarazem olśniewających.

Starła się nie zwracać uwagi na wyścigowe zapędy Matta i w myślach przeglądała zawartość swojej szafy.

Jest bezpośredni związek między ciuchami a sympatią, zauważyła. Im bardziej kogoś nie lubisz, tym lepiej chcesz wyglądać na spotkaniu. Wynikało z tego, że najrozsądniejszym rozwiązaniem było złapać za telefon i zadzwonić do Donatelli Versace, żeby szybko przysłała jej sukienkę. Niestety, nie ma wyjścia, musi iść na to cholerne przyjęcie. Nie wykręci się nawet opieką nad dziećmi, Finula już powiedziała, że nie ma sprawy, przyjdą z nimi i położą spać w gościnnym pokoju.

- Pewnie się nawet nie obudzą, kiedy przyjdziemy, żeby je zabrać do domu - perorował Matt radośnie, kiedy wtajemniczał Hope w ten plan.

A jeśli się obudzą, niech Matt z nimi zostanie, pomyślała sobie Hope. Od miesiąca był nie do wytrzymania, wiecznie w złym humorze i właściwie tylko ona zajmowała się dziećmi. Poza tym to on chciał iść na przyjęcie, nie ona.

O ósmej wieczorem wysiedli z samochodu przed domem Headley--Ryanów, elegancko ubrani. Millie i Toby wystąpili w odświeżonych piżamach, przy czym Millie miała na nóżkach nowe buciki - nie chciała się z nimi rozstać. Matt włożył garnitur po Paula Smitha, z szarą koszulą rozpiętą pod szyją. Efekt był rewelacyjny, swoboda i klasa zarazem. Hope uznała, że jej nigdy nie uda się połączyć swobody z klasą, więc zdecydowała się na klasę i wbiła się w małą czarną. Sukienka od początku nieco za bardzo przylegała w talii i niestety z wiekiem nie stała się luźniejsza. Do tego perłowe kolczyki, włosy upięte do góry i klasyczne zamszowe czółenka.

Mała czarna wiecznie modna, zapewniały wszystkie pisma kobiece. Hope miała nadzieję, że to prawda, zwłaszcza że wbiła się także w kosz-

marny gorset modelujący sylwetkę. Czula się jak pierś kurczaka w supermarkecie, ściśnięta do niemożliwości folią, z nadmiernie wyeksponowanym biustem. Ale się opłaci, jeśli będzie wyglądała lepiej niż Finula.

- Dużo samochodów - zauważył Matt.

I to drogich, dodał w myślach. Ich metro wyglądało żałośnie wśród bmw i audi. Tęsknie wspominał szybki sportowy wóz, którym jeździł w Bath. Szkoda, że musiał go zostawić. Docenił jego zalety, dopiero kiedy przesiadł się do metra Hope. Nawet nie ma porównania. Na razie nie stać ich na dwa samochody. Hope chyba to nie przeszkadza, ale jemu tak. Miał dosyć życia bez pieniędzy.

Ciaran przywitał ich przy drzwiach i zaprowadził do pokoju gościnnego, żeby ułożyli dzieci.

- Przysłać Finulę, żeby ci pomogła? - zapytał, zanim oddalił się z Mattem. Hope z uśmiechem pokręciła przecząco głową. Niedawno doszła do wniosku, że lubi Ciarana, to Finula jest nie do wytrzymania.

Oczywiście Millie nie miała najmniejszego zamiaru zasnąć bez mleka, ciasteczka i kilku wypraw do łazienki.

Kiedy dzieci w końcu zasnęły, dochodziła dziewiąta. Hope najchętniej poszłaby już do domu, nie na przyjęcie.

- Skarbie, jak się cieszę, że jesteś. Dzieciaczki śpią?

Finula mówiła jeszcze bardziej nienaturalnie niż zwykle. Nic dziwnego, przemknęło Hope przez głowę. Chce dzisiaj szpanować, czyli będzie co chwila używała francuskich zwrotów, rzucała znanymi nazwiskami, jakby mówiła o starych przyjaciółkach, i zachowywała się jak wielka dama. Po dziesięciu minutach Hope miała dosyć. A dzisiaj w telewizji jest dobry film, przypomniała sobie.

Najwyraźniej Finulę również znudziło jej towarzystwo.

- Hope, to moja siostra, Priscilla Headley-Clarke - przedstawiła jej nadchodzącą kobietę.

Priscilla okazała się szczuplejszą wersją Finuli. Miała bardziej konserwatywny gust, ale podzielała zamiłowanie siostry do czerwieni, nadmiaru biżuterii i sztucznego arystokratycznego akcentu.

- Priscilla Headley-Clarke - oznajmiła, jakby Hope była głucha i nie słyszała, co mówiła Finula.

- Hope Parker - odparła Hope. Zachciało jej się śmiać. Z trudem opanowała ochotę, by się przedstawić jako Hope Smith-Parker.

Wyobrażała sobie, jak Priscilla wpada w histerię na wieść, że jej siostra ma podwójne nazwisko. „Jak ona może, to ja też!” - krzyknęła zapewne. Skoro Finula może być Headley-Ryan, ona może być Headley-Clarke. Ciekawe, czy zmusiła do tego też męża, jak Finula biednego Ciarana.

Swoją drogą, co robią córki o podwójnym nazwisku, wychodząc za męża? Mają potrójne? A może poczwórne?

Priscilla okazała się jednak miłą rozmówczynią niż Finula.

Mieszkała w Galway, była dekoratorką wnętrz, często wymieniała znanych klientów, ale przynajmniej nie starała się co chwila udowodnić, że jest najmądrzejsza, w przeciwieństwie do siostry. I naprawdę słuchała, co Hope ma do powiedzenia.

- Pewnie niełatwo było tak po prostu wyjechać - zauważyła, gdy rozmawiały o przeprowadzce Parkerów do Kerry.

- Cóż, brakuje mi przyjaciół - przyznała Hope. - Chociaż znalazłam tu nowych.

- Oczywiście Finule - domyśliła się Priscilla. Hope nie wyprowadziła jej z błędu.

- Jesteśmy tu zaledwie od kilku miesięcy, ale od pewnego czasu czuję się, jakbym nigdy nie mieszkała gdzie indziej. Redlion wciąga.

- Nie nudzisz się? - zdziwiła się Priscilla. - Dla mnie wieś to nuda. Wolę miasto.

Hope uświadomiła sobie, że nie, nie nudzi się. Dwa razy w tygodniu pracuje dla Erwina; co prawda już niedługo, bo jego żona czuje się coraz lepiej, ale Delphine mówiła, że w księgowności w hotelu potrzebują kogoś do pomocy na niepełny etat.

Poza tym regularnie spotykała się z Mary-Kate i Delphine, co najmniej raz w tygodniu chodziła z Mattem na kolację. Dwa razy w tygodniu umawiały się z Delphine na długie spacerowanie - była to część akcji „schudnij przed latem”. Do tego jeszcze spotkania Klubu Makramy, na których rozmawiały o wszystkim i o niczym. Ich jedyny minus to fakt, że Mary-Kate nie załuje alkoholu. Za każdym razem Hope obiecywała sobie, że nie będzie piła, potem zmieniała zdanie i następnego dnia zaczynała się gigantycznym kacem. Szkoda tylko, że Sam jest w Londynie, ale rozmawiały przez telefon co drugi dzień.

- Pewnie Redlion wydaje ci się bardzo nudne w porównaniu z Bath? - wypytywała Priscilla.

-Nie, wcale nie, bardzo mi się tu podoba. - Hope nie wierzyła własnym uszom, żetomówi. -Odpowiadamipoczucie... boja wiem... wspólnoty. To tak, jakby się miało wielką rodzinę.

Priscilla zmarszczyła nos.

- Finula mieszka tu od dziesięciu lat, ale nadal czuje się obco.

Hope stłumiła uśmiech. Nic dziwnego, skoro Finula zstąpiła do Redlion jak Kolumb do Indian, mówiła głośno, jakby znajdowała się na mongolskich stepach i nikt nie zrozumiał ani jej, ani jej zamiłowania do zdro-

wej soczewicy. Jeszcze gorzej było, kiedy rozmawiała z kimś z ośrodka pracy twórczej. Hope słyszała kiedyś, jak męczyła poetę, którego spotkała u rzeźnika. Zrobiła mu wykład o tym, jak bardzo kocha wiejską prostotę, przyrodę i ludzi. Żona rzeźnika, wykształcona, inteligentna kobieta z poczuciem humoru, omal nie dostała wylewu ze złości.

- Cóż... - Hope szukała odpowiednich słów. - Nie każdy potrafi się dostosować.

- Och, Finula się dostosowała- zapewniła Priscilla. - Tylko miejscowi są wrogo nastawieni.

W końcu Hope udało się uciec od Priscilli i porozmawiać z Mai, którą знаła z Klubu Makramy. Ani Mai, ani Chan, jej mąż, nie byli artystami, ale zaproszono ich, bo Chan piastował ważne stanowisko w fabryce komputerów. Finula lubiła łączyć sztukę i przemysł na swoich przyjęciach.

Wyszli o pierwszej.

- Dobrze się bawiłaś? - Matt głaskał jej udo przez cienkie rajstopy.

- Świetnie - odparła. I rzeczywiście, było całkiem przyjemnie, kiedy już wyzwoliła się od sióstr o podwójnym, nazwisku. - A ty?

- Też. Brakuje mi takich wyjść.

- Przecież wychodzimy - obruszyła się, dotknięta.

-No tak, ale wiesz, wychodzimy tylko we dwoje. Brakuje mi imprez z Danem i Betsey. Rozmów z różnymi ludźmi. Pracy zespołowej.

Umilkli oboje. Matt, bo zdał sobie sprawę, że tęskni za starą pracą, Hope urażona, że rozmowy z nią mu nie wystarczą.

Jechali powoli, starali się omijać kałuże. Dzieci, o dziwo, nie obudziły się, kiedy je przenosili z samochodu do domu. Hope ściągała swój piekielny gorset, gdy Matt wpadł do sypialni z błyszczącymi oczami.

- Dan się nagrał na sekretarkę. Nie uwierzysz, co się stało. Adam Judd miał zawał. Nic mu nie jest - zapewnił. - Ale przez sześć tygodni nie może pracować. Prosił Dana, żeby się dowiedział, czy mogę go zastąpić.

Hope przyglądała mu się bez słowa.

- To sytuacja losowa - dodał. Nie zdołał opanować radości. Wraca. Nadal się liczy. Jest potrzebny firmie. Co z tego, że nie napisze wiekopomnej powieści. Nadal jest najlepszym copywriterem w Judds.

Przyciągnął Hope do siebie, pozwolił, by poczuła, jaki jest podniecony. Ale Hope wiedziała, że to nie widok jej, półnagiej, spowodował taką reakcję, tylko perspektywa pracy. Świadomość, że jest potrzebny, przywróciła mu chęć życia. Hope nie oponowała, kiedy całował jej szyję i pieścił, aż osunęli się na łóżko i kochali. Lecz później, gdy Matt zasnął,

jeszcze długo wpatrywała się w ciemność. Dlaczego Matt jej wystarcza, a ona jemu nie? Pragnął od życia czegoś więcej, ona zadowalała się jego miłością.

Następnego dnia od rana wysyłał maile, dzwonił, rezerwował bilety. Jak za dawnych czasów, uświadomiła sobie. Świadomość, że jest potrzebny, upajała go, jego entuzjazm był zaraźliwy. Dzieci skakały dokoła niego radośnie, nie wiedząc, że tatuś wyjeżdża na sześć tygodni. Hope starała się robić dobrąminę do złej gry, ale była zrozpaczona, że Matt wyjeżdża i że tak bardzo się z tego cieszy.

Po południu pojechali na lotnisko. Millie się dąsała, bo wreszcie zaskoczyła, że tatuś wyjeżdża. Wrzeszczała całą drogę do Killarney. Hope przypomniała sobie pierwszy dzień w Kerry.

- Nie wychodź - poradził Matt, kiedy zaparkowali. Już i tak męczyły go wyrzuty sumienia, gdy patrzył w bladą, smutną twarz Hope. Będzie gorzej, kiedy pożegnają się w terminalu i zobaczy, jak żona ciągnie do samochodu dwójkę rozwrzeszczanych dzieci. Lepiej, łatwiej pożegnać się w samochodzie.

Uściskał jej dłoń w nadziei, że zrozumie.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Lekko cmoknęła go w policzek.

- Do widzenia - powiedziała cichutko.

Rozdział 16

Cześć Hope!

Przepraszam, że nie mogłam wczoraj rozmawiać, byłam w trakcie spotkania i naprawdę nie miałam nawet chwili. To taki szybki ranny mail, czeka mnie dzisiaj sądny dzień, mnóstwo spotkań, posiedzeń i zebrań, a jutro wyjeżdżamy na konferencję.

Jak sobie radzisz bez Matta? Pewnie Millie bardzo tęskni. Wiem, że dzisiaj jesteś pierwszy raz w nowej pracy, trzymam kciuki. Na pewno sobie poradzisz. Ten hotel podoba mi się coraz bardziej z twoich opisów. Może kiedy przyjadę następnym razem, przenocujemy tam i zapiszemy się na wszystkie upiększające zabiegi do Delphine! Bardzo by mi się to przydało. Mam strasznie suchą skórę, to chyba efekt narkozy, którą mi podali przy usuwaniu mięśniaków. No proszę, a mówili, że nie będzie efektów ubocznych! Żartuję tylko. Sucha skóra to niewygórowana cena za zdrowie. Czuję się świetnie. Zaczęłam uprawiać jogę, ale chyba muszę

zapisać się na kurs, żeby robić to porządnie. Odżywiam się rozsądnie, piję dużo wody i co wieczór gotuję sobie kolację. Możesz być ze mnie dumna.

Dzisiaj pewnie nie będę miała czasu zadzwonić, ale jutro się postaram.

Kocham cię

Sam

Hope uśmiechnęła się na myśl, że jej siostra gotuje. Kliknęła „odpowiedz”.

Cześć, siostrzyczko, nie ma sprawy, rozumiem, że jesteś zajęta, co wieczór rozmawiam sobie z twoją automatyczną sekretarką. Piszę krótko, zaraz muszę wyjść do tej nowej pracy, a sądząc po odgłosach z dołu, Millie żywcem obdziera Toby'ego ze skóry. Trochę się denerwuję tą pracą bo rozmowa kwalifikacyjna odbyła się przez telefon, rozmawiałam z Uną Hutchinson, główną księgową. Powiedziała, że potrzebują kogoś do pomocy kilka razy w tygodniu.

Uśmiechnęła się pod nosem na to wspomnienie. Dostała pracę po przedziwnej rozmowie kwalifikacyjnej. Była już umówiona na rutynowe spotkanie w hotelu, ale Una zadzwoniła do niej rano, że jej mąż zachorował i musi zostać w domu. zaproponowała, żeby załatwiły to przez telefon.

- Bardzo chętnie - odparła Hope. Nie zapomniała jeszcze, jak bardzo się denerwowała, gdy przed laty chodziła na rozmowy kwalifikacyjne, wystrojona, umalowana i przerażona, że nie odpowie na połowę pytań. W porównaniu z tym rozmowa przez telefon z Uną Hutchinson to małe piwo.

Przebiegła wzrokiem list i pisała dalej:

Moja poprzednia praca to nawet nie praca, miałam raczej wrażenie, że pomagam sąsiadowi. Za to teraz będę w pięciogwiazdkowym hotelu. Pewnie mają skomplikowany system księgowania, trochę się tego obawiam. Zrobię, co w mojej mocy. Skoro radzę sobie w domu z elektrycznością która całkiem oszałała po wyjeździe Matta, i z Millie, która rzeczywiście jest teraz nieznośna, poradzę sobie i z księgowością. Nie do wiary, że Matta nie ma już trzy tygodnie. Mam tyle zajęć, że w ciągu dnia za nim nie tęsknię, ale wieczorami mi go brakuje. Dobrze, że przyjaciółki często wyciągają mnie z domu.

To nie do końca prawda. Bardzo tęskniła za Mattem, ale nie przyzna się przed Sam, bo siostra zaraz do niego zadzwoni i powie mu prosto z mostu, co sądzi o takim traktowaniu żony.

Cieszę się, że tylko twoja skóra padła ofiarą operacji. Zapytam Delphine, co radzi, pewnie poleci koszmarnie drogi krem, wiesz, taki za sto funtów. Albo jeszcze lepiej, przyjedź do Redlion, a sama ci go zaaplikuje. Klub Makramy w kółko pyta, kiedy przyjedziesz. Giselle wybiera się w listopadzie do Londynu i chciałaby się z tobą spotkać. U Matta wszystko w porządku, chociaż jeszcze trudniej go złapać niż ciebie. W agencji mają pełne ręce roboty, a on właściwie pracuje za dwóch -za Adama i za siebie.

Nie wspomniała, że nie wysyłają sobie e-maili, bo według Matta w pracy nie powinno się odbierać prywatnej korespondencji, jeszcze ktoś przeczyta. Zamiast tego dzwonił, ale dopiero po powrocie z pracy, koło dziewiątej wieczorem, jakby zapomniał, że dzieci idą spać o wpół do ósmej. Co gorsza, nie zadzwonił ani wczoraj, ani dziś rano, żeby jej życzyć powodzenia w nowej pracy w hotelu Manoir Rouge Leon. Dzwoniła Mary-Kate i Virginia, Delphine i Giselle, a on nie. Postanowienie Hope, żeby nie narzekać na męża, słabło z dnia na dzień. Najchętniej wyrzuciłaby wszystko z siebie i powiedziała Sam, co czuje, ale nie mogła tego zrobić; małżonkowie powinni załatwiać swoje sprawy między sobą. Zresztą Sam starałaby się rozwiązać za nią jej problemy, a to też niedobrze. Pisała dalej:

Odpocznij trochę, chociaż na tej konferencji się nie przemęczaj. Uważaj na siebie, pamiętaj, minęły dopiero dwa tygodnie od operacji! Nie jesteś supergirl. No dobrze, jesteś, ale nie udowadniaj tego wszystkim dokoła.
Kocham cię Hope

Z dołu doszedł ją płacz Toby'ego:

- Mamusiu, Millie uderzyła mnie w głowę samochodzikiem!

Godzinę później Hope wjechała na wypieszczony podjazd przed hotelem Manoir Rouge Leon i szczęka opadła jej z wrażenia. Przejrzała folder od Delphine, pamiętała słowa Mary-Kate, że hotel jest nieprzy-

zwoicie luksusowy, ba, wiedziała nawet, jakie tu są ceny - podobno za dwa tygodnie w apartamencie można by kupić pół domu w Redlion. Mimo to jednak nie była przygotowana na ten widok. Zamczysko leżało w malowniczej dolinie, wśród buków i dębów, zaledwie dziewięć kilometrów od miasteczka. Hotel był ogromny, wiekowe mury odgradzały go od świata, wrót strzegły dwie wieże.

- Jezu - mruknęła. Nie zostawi swojego samochodziku na parkingu dla gości, wśród mercedesów i bentleyów. Niedawno wjechała w słupek i metro wyglądało jeszcze gorzej. Zobaczyła strzałkę wskazującą parking dla personelu i tam zaparkowała. Później nie wiedziała, jak wejść. Głównym wejściem? Delphine radziła, żeby weszła od frontu, „inaczej się zgubi”. Podobno zaplecza zamku są jak labirynt.

Teraz jednak Hope nie była pewna, czy może tak po prostu wejść sobie głównym wejściem jak gość. Przecież idzie do pracy. Ale i tak nie ma wyboru. Więc niech tak będzie - od frontu. Portier w liberii przytrzymał jej drzwi i z uśmiechem powitał:

- Dzień dobry pani.

Odpowiedziała uśmiechem, z nadzieją, że w czarnym kostiumie wygląda jak posiadaczka co najmniej bmw. Musi bardziej zwracać uwagę na fryzurę i makijaż. Z zachwytem rozejrzała się po holu - był przestronny, z gobelinami na ścianach i drewnianym parkietem. Na marmurowych stolikach stały piękne kompozycje kwiatów, a przy imponujących schodach czaiła się złowrogo rycerska zbroja.

- Piękna, prawda? - odezwał się męski głos.

- Piękna - odparła nieszczerze. Zbroja kojarzyła się jej z horrorami.

- Czym mogę służyć? - Głos należał do mężczyzny w garniturze, mężczyzny o bujnej czuprynie ciemnych niesfornych włosów. Tylko włosy były w nim niesforne. Od nieskazitelnie białych mankietów po wypolerowane skórzane buty wyglądał jak ideał konserwatywnej mody męskiej. Roztaczał cygański urok i zapach givenchy for men każdą cząsteczką ciała. Hope podniosła wzrok i napotkała ciepły uśmiech i czarne błyszczące oczy. Co miała zrobić? Uśmiechnęła się głupio.

- Ja... cóż... szukam działu księgowości - wykrztusiła po długiej chwili. - Będę tam pracować.

- A zatem to pani jest Hope Parker - odgadł.

- Skąd pan wie? - zdziwiła się.

- Moim obowiązkiem jest wiedzieć o wszystkim, co się tutaj dzieje - powiedział cicho, pieszczotliwie. - Christy de Lacy, dyrektor.

Nie zauważyła nawet, kiedy wziął jej dłoń w swoją.

- Witamy. I bardzo dziękuję.

Nie bardzo wiedziała za co, ale było jej przyjemnie, że ten boski facet trzymają za rękę i dziękuje, więc nie chciała przerywać.

- Gdzie jest księgowość? - zapytała w końcu.

Puścił jej dłoń. Ciekawe, czy przesiąkła jego zapachem, przemknęło jej przez głowę.

- Pokażę pani - zaproponował uroczyście. - I oprowadzę panią po hotelu.

- To bardzo miło - zaczęła - ale miałam być w pracy na wpół do dziesiątej i jeszcze chwila, a się spóźnię.

Christy zbył jej obawy wzruszeniem ramion.

- Ja tu jestem szefem - powiedział dumnie. Hope certowała się dalej:

- Nie chciałabym zabierać panu czasu...

Jego głos, i tak niski, obniżył się jeszcze o oktawę:

- Dla pięknej kobiety zawsze znajdę czas - zamruczał. Hope omal nie zemdląła z wrażenia. Poprowadził ją do windy.

- Panele pochodzą z Malty - tłumaczył poważnie, gdy winda powoli jechała na górę. Opowiadał szczegółowo, ile pracy wymagał remont generalny hotelu. Miał ogromną wiedzę, a Hope nie wiedziała, co powiedzieć: głupio rzucać uwagi na temat paneli podłogowych, kiedy całym sercem pragnęła, żeby Christy znowu nazwał ją piękną kobietą. Przebywanie w wiekowej windzie z tak przystojnym mężczyzną jest bardzo ekscytujące. Czy w jakimś filmie w windzie nie działa się rozkosznie nieprzyzwoite rzeczy? Czy w hotelach przypadkiem nie ma kamer w windach? Czy ktoś zobaczy, jeśli Christy przycisnie ją do ściany i pocałuje?

- Pierwsze piętro jest chyba najbardziej udane - oświadczył, kiedy winda się zatrzymała.

Zwiedzili pierwsze piętro i znowu czekali na windę. I nagle Hope złapała się na tym, że patrzy na niego cielecym wzrokiem zakochanej nastolatki. Przestań! Co ty wyrabiasz? - upominała się. Czowała się tak samo, jak na pierwszej randce, miała wtedy piętnaście lat, cały czas uśmiechała się nerwowo i czekała, czy obiekt uczuć pochwali jej fryzurę, dżinsy i tak dalej.

Na najwyższym piętrze zaprowadził ją do wolnego apartamentu. Nigdy dotąd nie widziała tak wielkiego łóża.

- Rany - powiedziała tylko. Miała ochotę usiąść na łóżku i podskakiwać, ale jakoś się opanowała.

- Siadaj, to łóżko wodne - zachęcał Christy. - Fajnie, co? - Uniósł ciemne brwi w diabolicznym uśmiechu.

Przysiadła jak najdalej od niego. To szaleństwo. Niebezpieczny człowiek.
Wstał, jakby wiedział, co jej chodzi po głowie.

- Wybacz - powiedział poważnie. - Kiedy opowiadam o moim pięknym hotelu, zapominam, że innych to może nudzić. Widzisz, chciałbym, żeby wszyscy pracownicy doceniali urodę Manoir. Mam nadzieję, że cię nie zanudziłem? Teraz chodźmy do księgowości, później zobaczysz resztę.

Hope zrobiło się głupio, że przez chwilę doszukiwała się w jego zachowaniu innych motywów. Pewnie, to dyrektor i chce zaimponować pracownikom. Przecież ktoś tak elegancki i wyrafinowany jak Christy de Lacy nie zwróciłby na nią uwagi.

Zeszli na dół. Hope była czerwona jak burak. Pewnie wyglądała idiotycznie, kiedy gapiała się na niego jak zakochana licealistka. Taki przystojny mężczyzna na pewno jest przyzwyczajony, że kobiety rzucają się na niego, a ona dzisiaj przeszła samą siebie. Jeszcze nigdy się tak nie zachowała. Boże, jakie to upokarzające!

Ze wstydu nie była w stanie wykrztusić słowa.

Zatrzymali się przed brązowymi drzwiami.

- Uprzedzę, że już pani jest - powiedział, naciskając klamkę.

Po chwili wyszedł i oznajmił, że pani Hutchinson, główna księgowa, czeka.

- Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję - pożegnał się oficjalnym uściskiem dłoni.

- Dziękuję, panie de Lacy. - Hope usiłowała mówić zarazem uprzejmie i z pokorą.

- Christy, nie panie de Lacy - poprawił z uśmiechem.

Hope odprowadzała go wzrokiem, gdy oddalał się długim korytarzem.

Czy naprawdę spojrział na nią płomiennie, kiedy się żegnali, czy to wyobraźnia płata jej figle? Nie, nie, na pewno sobie to wymyśliła.

Pani Hutchinson okazała się przemiłą kobietą po pięćdziesiątce. Była równie sympatyczna jak przez telefon i nalegała, żeby Hope zwracała się do niej po imieniu.

- W tym biurze nie przywiązujemy wagi do formalności - oznajmiła z uśmiechem i przedstawiła Hope swoją koleżankę, Janet.

- A przecież pan de Lacy zwraca się do ciebie po nazwisku - zauważyła Hope.

- Co o nim sądzisz? - zainteresowała się Una niewinnie.

- Bardzo miły - odparła Hope lekko.

Nie zauważyła, że dwie kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Taka szkoda, że nigdy nie będzie miał dziewczyny - stwierdziła Janet posepnie. - Taka tragedia...

- Jaka tragedia? - zainteresowała się Hope; od **razu** wpadła w pułapkę

- Mamy cię! - zachichotała Una. - Nasz pan de Lacy jest zabójczy, co? Wszystkie się w nim kochają.

- Ja nie - zaprotestowała Hope zapalczywie. - Jestem mężatką, mam dzieci...

Una poklepała ją po ramieniu.

- Przyjdzie i na ciebie kolej - zapewniła. - Dopóki nie wstawią nam telewizora do świetlicy, Christy de Lacy stanowi tu jedyną rozrywkę! Nie, nie jest żonaty, gdybyś chciała o to zapytać.

Zachichotały.

- Pewnie serce topniało ci jak wosk pod jego spojrzeniem - westchnęła Janet.

- Nie gadaj bzdur - skarciła ją Hope, jakby mówiła do Millie. - Powiedzcie lepiej, co mam robić - dodała. Starła się nie myśleć o spojrzeniu Christy'ego de Lacy ani o osobliwym zachowaniu swojego serca...

Wieczorem Mary-Kate i Delphine zjawiły się u Hope z baterią butelek wina i garnkiem słynnej zupy pieczarkowej Mary-Kate, „żebyś dzisiaj nie musiała gotować”.

W ciągu trzech tygodni od wyjazdu Marta często jadały razem. Hope zdążyła się przekonać, że Mary-Kate rewelacyjnie gotuje.

Toby i Millie powitali Delphine okrzykami radości. Uwielbiali ją, według nich była chyba dużym dzieckiem, któremu, co za szczęście, wolno obsługiwać magnetowid.

W pierwszej chwili słyhać było tylko piski i prośby, żeby Delphine puściła ich ulubioną bajkę.

- Moją, moją! - darła się Millie. Chyba było ją słyhać w całej Irlandii.

- Obejrzymy obie - orzekła Delphine dyplomatycznie. - Ale najpierw porozmawiam z mamusią. Jak było?

- Wspaniale. Una jest przemiła.

- Tak, jest kochana - zgodziła się. - Właściwie rządzi tym hotelem, ale władza wcale nie uderzyła jej do głowy. Odkąd zachorował jej mąż, coraz częściej chodzi na zwolnienia i dlatego nie nadążają z księgowością. A Janet? Fajna, prawda?

- Bardzo. Wiesz, poznałam też dyrektora - rzuciła Hope od niechcienia. - Christy de Lacy. - Nie zdołała się powstrzymać; lubiła wymawiać jego nazwisko.

Delphine spojrzała na nią uważnie ze swego miejsca na kanapie, między Millie i Tobym.

- Lubisz go? - zapytała. Hope cała się rozpromieniła.

- Był bardzo miły, oprowadził mnie po hotelu.

- Dlaczego jeszcze go nie znam? - włączyła się Mary-Kate. - Jestem chyba jedyną kobietą w promieniu dwudziestu kilometrów, która nie ślini się na myśl o nim. Dlaczego on nigdy nie przyjdzie do apteki po maść na pryszczę? Czyba muszę złożyć skargę. Jak myślicie, Ministerstwo Sprawiedliwości to odpowiedni adres?

Hope parsknęła śmiechem.

- Zgłoś się na wycieczkę po hotelu - zaproponowała. - Na pewno chętnie ci oprowadzi.

- Cóż... - Mary-Kate uśmiechnęła się pod nosem. - Może oprowadza tylko piękne trzydziestolatki w eleganckich kostiumach.

- O nie, ta pani nie dostanie wina - zażartowała Hope. - O czym ty myślisz, kobieto? Był dla mnie miły i tyle. Nikt się nie ślini.

Przecież to, że z nim rozmawiałam o hotelu, to żaden romans, tłumaczyła sobie po cichu.

Delphine przysłuchiwała się w milczeniu.

Wolała na razie nie mówić Hope, że widziała, jak pan de Lacy potrafi być po prostu wredny. Ładne usta wykrzywiały się brzydko, ciemne oczy stawały się zimne jak lód. Większość kobiet za nim szalała, od razu łapały się na jego wdzięk i szarmanckie zachowanie, chociaż Delphine była przekonana, że to tylko pozory. Nawet biedna Una Hutchinson, Boże miej ją w swojej opiece, kocha swojego męża jak szalona, ale Christy nie jest jej obojętny.

No tak, ale to nie jej sprawa. Nic nie powie Hope. Zresztą Hope jest żoną boskiego Matta, przy którym Christy może się schować. Właściwie dlaczego miałyby w ogóle myśleć o Christym, mając Matta? To tak jakby mieszkała w fabryce czekolady, ale wymykała się do sklepu po bułkę. Nie, nie ma się czym martwić.

Dzieci niechętnie poszły spać, zgodziły się dopiero, kiedy Delphine obiecała przeczytać im bajkę na dobranoc.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? Nie chciałabym cię wykorzystywać.

- Co ty - obruszyła się Delphine. - Uwielbiam dzieci.

Hope zeszła na dół, do Mary-Kate.

- Świetnie się obchodzi z dziećmi, będzie cudowną matką - stwierdziła. - Jak myślisz, będą mieć dzieci z Eugene'em?

- Na pewno bardzo tego chcą, ale Delphine ciągle liczy, że matka przyjmie Eugene'a na łono rodziny. Biedactwo - westchnęła. - Chyba jeszcze długo poczeka. Nie rozumiem, czemu po prostu nie wezmą ślubu, nie oglądając się na nic. Moja siostra zupełnie zastraszyła tę biedną Delphine.

- Czasami ludzie są okrutni, nawet o tym nie wiedząc, prawda? -zamyśliła się Hope. - Jakie mamy prawo, by mówić innym, jak żyć?

Mary-Kate milczała, wpatrzona w dal. Jest smutna, zauważyła Hope.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. Przyjaciółka wróciła do rzeczywistości.

- Stare wspomnienia - powiedziała tylko.

Hope miała wrażenie, że dotknęła bolesnego tematu. Chciała się jak najszybciej wycofać.

- Może zjemy trochę twojej pysznej zupy? - zaproponowała pogodnie.

Ale Mary-Kate chyba jej nie usłyszała. Hope nigdy jeszcze nie widziała jej smutnej. Przerazające. Przecież to Mary-Kate je pocieszała, rozbawiała, to ona przypominała, że śmiech to zdrowie, pokazywała jaśniejszą stronę wszystkich problemów. Ona smutna? Zagubiona? Nie do wiary.

- Chyba zasnęli - szepnęła Delphine, na palcach schodząc ze schodów. - Byli zmęczeni, przeczytałam tylko jedną bajkę.

- Zawsze są zmęczeni po przedszkolu - mruknęła Hope. - Nie wiem, co Giselle z nimi wyprawia, ale to cudownie.

- Pewnie ma taką malutką siłownię i zamyka je tam na godzinę -podsunęła Delphine.

Nawet Mary-Kate się roześmiała.

Wkrótce zajadały pyszną zupę pieczarkową, zagryzały chlebem i opowiadały sobie, jak minął tydzień. Hope zdała relację z pierwszego dnia pracy w hotelu, udało jej się nie wymienić więcej imienia Christy'ego. Delphine doprowadzała je do paroksyzmu śmiechu opowieścią o podstarzałym gwiazdorze, który zatrzymał się w hotelu razem z żoną. Tego popołudnia zażyczył sobie depilacji woskiem klatki piersiowej.

- A mówi się, że faceci są silniejsi. Akurat! - śmiała się na to wspomnienie. - Wicie, przychodziły do mnie na wosk Brazylijki, myślałam, że będą płakać, a one tylko zaciskały zęby i cierpiały w milczeniu. A ten... wrzeszczał na całe gardło. O mało się nie zsiusiałam ze śmiechu. Antoi-

nette musiała za mnie dokończyć. To jeszcze nic, kiedy było już po wszystkim, nadał się jak indyk i zaprosił mnie na drinka! Co za tupet! Jego żona jest bardzo sympatyczna, robiłam jej manikiur, a on zaprasza mnie na randkę!

- No, no, taka okazja - zażartowała Mary-Kate. - Oczywiście się zgodziłaś.

- Powiedziałam mu, że nie wolno nam spotykać się z klientami - zachichotała Delphine. - Nie wspomniałam przy tym, że prędzej własnoręcznie wyrwałabym sobie wszystkie zęby bez znieczulenia. Fuj! Był obleśny. Porozmawiajmy o czymś innym.

- Cóż, w porównaniu z waszymi mój dzień był bardzo nudny - westchnęła Mary-Kate. - Ale widziałam się z wdową Maguire i wiem już wszystko o jej najnowszych planach.

- To naprawdę jest jakaś wdowa Maguire? - zdziwiła się Hope. - Myślałam, że pub się tak nazywa, bo to dobrze brzmi. Chyba nigdy jej nie widziałam.

- Bo zimy spędza w swojej willi w Portugalii - wyjaśniła Mary-Kate. - Belle Maguire to taka prawdziwa wesola wdówka. Nie pojmuję, jakim cudem nie zeszła z tego świata jeszcze za życia męża, to był najbardziej marudny facet w okolicy. I bogaty - dodała z uśmiechem. - Oto nagroda za cierpliwość. Po jego śmierci Belle zmieniła nazwę pubu, przedtem nazywał się po prostu Maguire, kupiła sobie willę w Portugalii i przed marcem nie pokazuje się w Irlandii. Podobno ma faceta o połowę od siebie młodszego, ale nigdy go tu nie przywozi, a szkoda, chciałabym go zobaczyć na własne oczy.

- Brzmi interesująco - zauważyła Hope. - I tak... światowo.

- Światowo, owszem, jeśli przez światowy wygląd rozumiesz mocną trwałą, sztuczną opaleniznę i złotą torebkę - uśmiechnęła się Mary-Kate. - A interesująco? Tak, ale tylko dla mężczyzn. Na twoim miejscu zamknęłabym Matta na klucz, bo jest w jej typie.

- W takim razie będzie musiała stoczyć walkę z Finulą - zauważyła Hope z goryczą. - Zagląda do mnie co drugi dzień i pyta, co u niego słychać i co porabia. Jakbym ja coś wiedziała, w końcu jestem tylko jego żoną.

- Oj, daj spokój - pocieszała Delphine. - Wiesz przecież, że tęskni za tobą. Faceci nie potrafią rozmawiać przez telefon.

- Pewnie ma wyrzuty sumienia, że zostawił cię samą z dwójką dzieci - dodała Mary-Kate.

W takim razie dziwnie to okazuje, pomyślała Hope. Od wtorku nie dzwonił. Całe dwa dni. Ona nie wytrzymałaby ośmiu godzin, ale Matt

najwyraźniej nie miał tego problemu. Trzy tygodnie temu wyszedł z domu i jakby zostawił to wszystko za sobą... Ona czuła się samotna od pierwszej chwili, ale jemu chyba nie brakowało towarzystwa. Betsey na pewno zabiera go na przyjęcia, w końcu samotny mężczyzna to niezły towar. Fakt, że gdzieś tam na wsi ma żonę i dwoje dzieci, jest nieistotny dla modliszek, które czatują na samotnych mężczyzn. Bez niej i bez dzieci bawi się doskonale, myślała ponuro.

I Delphine, i Mary-Kate uściskały ją wyjątkowo serdecznie na pożegnanie, jakby chciały powiedzieć: Wiemy, że jesteś samotna, i możesz na nas liczyć.

Hope wspominała przyjaciółki z Bath i zastanawiała się poważnie, czy którakolwiek okazałaby jej tyle serca co nowe znajome z Redlion. Posprzątała, zaryglowała drzwi, zamknęła okna i poszła na górę, do pustego łóżka. O dziwo, tego wieczoru nie przeszkadzała jej samotność. Ciasno otuliła się kołdrą. Wyobraziła sobie ciemne oczy Christy'ego de Lacy. Matt wyjechał, więc chyba i ona może się trochę zabawić? Fantazjowanie to przecież nic złego. Jak kieliszeczek likieru baileys z lodem po dniu morderczej diety. Grzech, ale niestraszny.

W niedzielę wieczór Hope przyłapała się na tym, że gorączkowo przegląda swoją szafę w poszukiwaniu stroju na jutro. Coś takiego nie zdarzyło jej się od lat. W Witherspoon nosiła mundurek, a w Redlion wkładała uniform innego rodzaju: dzinsy albo bojówki i obszerne bluzy. Czasami, w przyływie próżności, malowała oczy i usta, ale nie za często.

A teraz na łóżku piętrzyły się stosy bluzek, spódnic i spodni, których nie nosiła od lat.

Przypomniała sobie dzieciństwo; jako nastolatka nigdy nie wiedziała, co na siebie włożyć. Sam, zaledwie o dwa i pół roku starsza, nie miewała tego problemu. Otwierała szafę, w której wszystkie ubrania wisiały posortowane kolorami, wyciągała coś i wkładała. Zawsze ubierała się odpowiednio i wyglądała świetnie. Miała w nosie krytyczne uwagi i taksujące spojrzenia chłopców. Że zauważą fałdkę na brzuchu albo za szerokie ramiona? To ich problem.

W tamtych czasach Hope zazdrościła siostrze tej swobody i zarazem świetnego gustu. Nie, nie tylko wtedy, teraz także zazdrości jej swobodnej, nonszalanckiej elegancji.

Matt, który nadrobił kilkudniowe milczenie długim telefonem w piątek, zadzwonił dziesięć po ósmej.

- Cześć - szepnęła Hope, zaplątana w koszulkę polo.
- Czemu mówisz tak cicho? - zdziwił się.

- Żeby nie zbudzić dzieci - mruknęła, wyzwoiliwszy się z koszulki. Jęknął.
- Chciałem z nimi porozmawiać - powiedział.
Potrzęsnęła głową z niedowierzaniem. Ech, męskie poczucie czasu.
- Która jest godzina, Matt? - zapytała złośliwie. - Nie wiesz, że o tej porze już śpią?
- Nie zawsze - zaprotestował. - Czasami siedzą dłużej.
- Czasami - przyznała. - Ale nie za często. Trzeba było zadzwonić wcześniej.
Byliśmy w domu. - Ale ty wolałeś się bawić i miałeś nas w nosie, było w podtekście.
- Myślałem, że może wyszłicie - tłumaczył się.
Hope nie miała ochoty mu tłumaczyć, że od rana leje jak z cebra.
- Co robisz? - zapytał.
- Porządki w szafie - odparła. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, gdy spojrzała na łóżko zasłane ciuchami na łowy Christy'ego de Lacy.
- Aha. - Cisza. - A co robiłaś w ciągu dnia?
Hope z namysłem przyglądała się błękitnej bluzeczce. Może do czarnej spódnicy... Jeśli wypuści ją na wierzch, ukryje talię.
- Ja... nic - wyjąkała. - Millie się przeziębila, więc siedzimy w domu. A ty?
- Byłem u państwa Meadow, z Danem i Betsey. Zostawili dzieci z opiekunką.
- Opiekunką? - zdziwiła się Hope. - Betsey i Dan mają dziewczynę do dziecka?
Od kiedy?
- Od tygodnia.
- Coś takiego. Zawsze powtarzała, że nie pochwała oddawania dzieci pod opiekę obcym - złościła się Hope. - Ta dziewczyna ma pewnie siedemnaście lat i jest sobowtórem Britney Spears?
Matt parsknął śmiechem.
- Oszalałaś? Nie znasz Betsey? Zazdrość by ją zżarła. Ich opiekunka ma dwadzieścia trzy lata i jest pobożną chrześcijanką ze Sztrasburga. Daleko jej do Britney. Jest bardzo cicha, nieśmiała i zwraca się do Betsey „madame”.
- Betsey jest pewnie zachwycona - żachnęła się Hope. - Jeszcze trochę i każe jej nosić uniform pokojówki, dygać i pytać, czy madame napije się herbaty w salonie. Co to było u państwa Meadow? Obiad czy przyjęcie?
- Przyjęcie - odparł nierozsądnie. - Obchodzili dziesiątą rocznicę ślubu i chcieli odnowić przysięgę.
Hope siedziała w małym, ciasnym, zimnym domku, przez cały dzień nikt nie dzwonił, a punktem kulminacyjnym dnia był stary musical w telewizji

oglądała go, zjadając czekoladki. Nic dziwnego, że teraz się zdenerwowała.

Nie ma znaczenia, że właściwie nie znają państwa Meadow i gdyby Matt nie zamieszkał u Dana, nie byłby zaproszony. Faktem jest, że bawił się bez niej, a teraz dzwoni późno i domaga się rozmowy z dziećmi.

- No tak, my tu przez cały dzień słuchamy sobie, jak deszcz wali o szyby, a ty popijasz szampana - syknęła. Wiedziała, że nie powinna tego mówić, ale nie zdążyła ugryźć się w język.

- Było strasznie nudno - skłamał Matt. - Nie spodobałoby ci się.

- Łatwo mówić, skoro nie byłam zaproszona!

- Daruj sobie, Hope-warknął. - Nie jesteś dzieckiem. Możesz sama się sobą zająć. Nie udawaj męczennicy.

Gapiła się na telefon. Męczennicy! Jak on śmiał nazywać ją męczennicą! Ona siedzi tu, w miejscu, które sobie wymarzył, i opiekuje się jego dziećmi, a on sączy drinki na przyjęciu. Co za bezczelność!

I wtedy Hope zrobiła coś po raz pierwszy w życiu. Odłożyła słuchawkę bez słowa. Za bardzo ją zdenerwował. Niech pocierpi. Nie wróci do domu za pół godziny i na nią nie nakrzyczy. Nie wróci jeszcze przez kilka tygodni. Zdjęła słuchawkę z widełek, żeby nie zadzwonił jeszcze raz i uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Dziwne, ale poczuła się lepiej.

Wybrała obcisłe czarne body, gwiazdkowy prezent od Sam, którego nigdy nie nosiła, z braku zarówno odwagi, jak i odpowiedniego stanika. Przymierzyła teraz, bez stanika i podziwiała w lustrze głęboko wycięty dekolt. Do tego szara spódnica... Jak modelka okręcała się i przechadzała przed lustrem. To zdecydowanie zbyt seksowne do biura, zwłaszcza że obie koleżanki ubierają się spokojnie.

To też jest ubranie do pracy, wmawiała sobie. Ba, tylko do jakiej?

Matt siedział na łóżku w gościnnym pokoju Dana i Betsey i gapił się na telefon. Czuł się okropnie. Hope rzuciła słuchawkę. Nigdy dotąd tego nie robiła.

Nie chciał powiedzieć jej nic przykrego, ale sama go do tego zmusiła. Nie znosił, kiedy oczekiwała od niego, że o wszystko zadba, jakby on jeden był odpowiedzialny za ich los. Zrób to, Hope, zrób tamto. I broń Boże nie myśl, że za cokolwiek ponosisz odpowiedzialność.

W ponurym nastroju wyciągnął się na kwiecistej narzucie. To nie do końca tak, przyznał. Bardzo mu odpowiadało, że o wszystkim decyduje: co obejrzą na wideo, jaki samochód kupią dla Hope, dokąd pojedą na wakacje.

Szczerze mówiąc, miał niemały udział w tym, że Hope scedowała na niego prawo podejmowania wszelkich decyzji. Lubił to. Trudno mieć do niej teraz pretensję, że nie jest zachwycona, kiedy musi decydować sama. Nawet kiedy znalazła sobie pracę w Redlion, najpierw jedną, potem drugą, informowała go o tym z entuzjazmem, czekała, aż to zaaprobuje.

A jednak umiała cisnąć słuchawką.

- Matt - rozległ się cichy głos za drzwiami. - Parzę kawę. Napijesz się?

Także opisując dziewczynę do dzieci, nie był do końca szczery. Owszem, Chantal była nieśmiałą, skromną chrześcijanką i rzeczywiście daleko jej do Britney Spears. Lecz z jego opisu wynikało, że była przeciętna i pospolita, a to nieprawda. Była ładna i bardzo w nim zakochana. Pod pewnymi względami jest właściwie podobna do Hope; duże oczy, brak własnej woli i zero kłopotów. Stop: Hope kiedyś taka była. Zresztą, Chantal to nie Hope. A Matt jest mężczyzną jednej kobiety. Nieważne ile piękności trzepocze zalotnie rzęsami, to nie dla niego.

- Tak, Chantal - odparł ciepło. - Bardzo chętnie.

Cud, że następnego dnia udało się Hope wyjść z domu bez śladów soku, owsianki czy innych produktów śniadaniowych na ubraniu. Nieomylny radar Millie wykrył, że mamusia coś knuje i mała natychmiast zareagowała; odmówiła współpracy przy śniadaniu, więcej, cisnęła miską płatków o podłogę z niespodziewaną siłą.

Hope, zdenerwowana jak młoda klacz przed wyścigiem, krzyknęła na nią, wskutek czego Toby zaczął ssać kciuk, a Millie szlochała na całe gardło, gdy w końcu wsiedli do samochodu.

- Chcę do tatusia! - darła się Millie.

- Tatuś niedługo wróci - zapewniała Hope, zapinając jej pas bezpieczeństwa. Millie waliła nogami w siedzenie.

- Ja chcę już! - darła się, tłukąc matkę w głowę lalką Barbie.

- U! To boli. Uważaj, Millie. Może sobie gadać na zdrowie.

Kiedy dojechali do przedszkola, Hope głowa pękała od wrzasków Millie i radosnych piosenek z ulubionej kasety dzieci.

- Biedactwo. Ciężki ranek? - dopytywała się Giselle na widok czerwonych oczu i drżących ust Millie.

Millie rzuciła się jej na szyję; zdążyła jeszcze spojrzeć na matkę z wyrzutem i po chwili przywarła do Giselle jak skrzywdzona niewinność.

- Pewnie tęskni za ojcem? - mruknęła Giselle do Hope.

Hope skinęła głową.

- Mężczyźni - syknęła oschle.

- Wiem, wiem. - Giselle wzięła Toby'ego za rękę. - Bez nich źle, z nimi jeszcze gorzej.

- Ślicznie wyglądasz - zachwyciła się Una, parząc kawę.

- Co, w tych starych szmatach? - Hope pogardliwie machnęła ręką. - Powiedz, od czego mam zacząć.

- Od najgorszego. - Una aż się wzdrygnęła. - Mamy problem z fakturami ze sklepu rybnego. Wiesz, tak często mnie nie było, że zaniedbałam rachunki i teraz mamy problem: domagają się zapłaty za transport, którego nigdzie nie odnotowaliśmy. Jeśli nie zapłacimy, przerwą dostawy. Biedny Christy bardzo się tym denerwuje, obiecałam mu, że do końca tygodnia sprawa się wyjaśni. Najgorsze - dodała, kładąc na biurku Hope opasłą teczkę - że tego jest bardzo dużo.

- Nie ma sprawy - zapewniła Hope. Wyobraziła sobie z rozkoszą spotkanie z Christym, który pochwali ją za skrupulatność.

- Nikt nie poradziłby sobie z tym lepiej - szepnie jej do ucha, ściskając w rękę rachunki za dorsza.

Niestety, nic nie układało się po jej myśli. Co prawda drzwi do ich pokoju otwierały się często, ale za każdym razem byli to tylko recepcjoniści, nie Christy. Ilekroć ktoś wchodził, Hope podnosiła głowę i uśmiechała się szeroko, chcąc sprawiać wrażenie osoby pogodnej i pracowitej. Lecz to tylko Claude albo Sophie, francuscy recepcjoniści. Oboje lekceważyli Janet i Hope, rozmawiali tylko z Uną.

W miarę jak przedpołudnie mijało bez żadnych atrakcji, jeśli nie liczyć herbatki o jedenastej i pysznych ciasteczek, Hope coraz bardziej była skłonna przyznać rację Unie: porządkowanie faktur ze sklepu rybnego to okropne zadanie. Pracowała pilnie, a do tej pory posegregowała może jedną dziesiątą.

Nie dość, że ani razu nie widziała przystojnego dyrektora, to jeszcze okazało się, że w jedwabnym body jest bardzo, ale to bardzo ciepło, zwłaszcza w biurze, gdzie temperatura znacznie przekraczała rozsądne granice.

- Kiedy marznami ręce, nie mogę pracować - wyjaśniła Una ze skruchą. - Kłopoty z krążeniem, dlatego muszę mieć ciepło.

- Nie ma sprawy - zapewniła Hope grzecznie i otarła pot z czoła, zastanawiając się, czy na pewno ma dezodorant w torebce.

W biurze niewiele się gadało. Wprawdzie Una i Janet były bardzo miłe, ale cały czas grało radio, więc rozmowa ograniczała się do kómen-

tarzy na temat programu i ustaleń, kto teraz ma zaparzyć kawę. A w przerwach na reklamy rozmawiały, ma się rozumieć, o jedzeniu. Hope nie wierzyła, by istniało biuro, w którym kobiety nie rozmawiają na ten temat. W dawnej pracy na przykład omawiały diety. Yvonne próbowała wszystkich, poczynając od drakońskich, kiedy wolno jeść tylko marchewkę, po takie, przy których je się wszystko, tyle że o połowę mniej. Do tej ostatniej zapaliła się także Hope, ale nic z tego nie wyszło. No bo jak zamówić pół kulki lodów albo pół ciastka?

Tutaj rozmawiało się o wykwintnych potrawach. Una starała się zachęcić męża do jedzenia - leżał w łóżku ze złamanym biodrem i na nic nie miał ochoty. Zabierała do domu pyszne dania z hotelu, w nadziei że to pobudzi jego apetyt.

- Uwielbia kaczkę w pomarańczach - opowiadała - ale Luigi mówi, że kaczką będzie dopiero za kilka dni.

- A makaron sojowy z sosem pernod - rozmarzyła się Janet. - Mogłabym to jeść kilogramami.

Hope, która nie dalej jak tego ranka zaczęła głodówkę pod hasłem: muszę schudnąć pięć kilo dla Christy'ego de Lacy, kręciło się w głowie od samego słuchania. Nerwowo wyjęła z torebki dietetycznego cukierka, schrupała szybko i słuchała dalej.

Claude wpadł jak burza, blady i wściekły. Jakiś awanturniczy gość domagał się rozmowy z Christym.

- Muszę się zobaczyć z panem de Lacy - oznajmił Claude. Gwałtownie wymachiwał rękami.

- Cóż, tu go nie ma - zauważyła kwaśno Una. - Przecież wiesz, że ma dzisiaj wolne. Fredrick go zastępuje.

I Claude, i Hope spochmurnieli. Hope westchnęła. Cholera, czemu jej nie uprzedzili? Zachowałyby ten strój na inny dzień.

Za dziesięć pierwsza bolały ją oczy od wpatrywania się w komputer.

- Byłaś wspaniała - zapewniła Una ciepło. - Twoja poprzedniczka, która nam tu pomagała, nie umiała się dostosować, ale ty tak. Czy mogłabyś pracować częściej niż dwa razy w tygodniu? Póki mój mąż nie wyzdrowieje, będziesz nam bardzo potrzebna. Właściwie dobrze byłoby mieć cię na stałe. Prawda, Janet?

Hope zrobiło się bardzo przyjemnie. Jak to miło, kiedy cię doceniają- Czy nie powinnaś tego omówić z panem de Lacy? - zapytała. Giselle już mówiła, że dzieci mogą przychodzić do przedszkola trzy razy w tygodniu.

- Nie ma takiej potrzeby, uważa, że jesteś świetna - odparła Una.

Świetna? W jakim sensie, przepraszam bardzo? Świetna do księgowości czy świetna do romansu?

- Zjesz z nami lunch? - zaproponowała Una. - Jedzenie to jedna z zalet tej pracy.

- Lepiej nie. - Hope wołała nie myśleć, jak makaron sojowy w sosie pernod odbiłby się na jej figurze. - Muszę zrobić zakupy, zanim odbiorę dzieci z przedszkola.

- W czwartek weź ich zdjęcia - poprosiła Una. - To chyba fajne dzieciaki.

Hope złagodniała. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że rano nakrzyczała na Millie.

Szybkim krokiem poszła na parking dla personelu. Cały czas układała sobie w głowie listę zakupów i zapomniała o bożym świecie.

- Witaj, Hope - rozległ się znajomy niski głos.

Odwróciła się gwałtownie; Christy de Lacy uśmiechał się szeroko. Siedział w srebrzystym sportowym wozie. Wilgotne włosy zaczesał do tyłu, miał na sobie kremowy sweter zamiast garnituru i był chyba jeszcze przystojniejszy niż wczoraj. Zwłaszcza jego włosy zrobiły na niej wrażenie. Wydaje się taki bezbronny, niemal nagi, pomyślała i zagryzła usta na samą myśl o tym. Pewnie mieszka w hotelu i dopiero co wyszedł spod prysznica.

- O, dzień dobry - odezwała się. Akurat teraz musiała go spotkać, kiedy jest spocona i nieumalowana.

- Nie zostaniesz na lunch? - zdziwił się.

- Nie. - Chyba się nie zarumieniła? - Nie jesteś głodna?

- No... tak, ale nie mam czasu - tłumaczyła.

- Bzdura. Najedzenie zawsze znajdzie się czas. Ja się wybieram do Pigeon Club. Zechcesz mi towarzyszyć?

Pigeon Club, bardzo elegancką restaurację oddaloną o piętnaście kilometrów, Hope знаła tylko ze słyszenia. Finuła przy każdej okazji wygłaszała pochwalne tyrady, zachwycała się wystrojem wnętrza, jedzeniem i faktem, że bywa tam tylko najlepsze towarzystwo, w tym i ona. Do tej pory Hope nie miała najmniejszej ochoty tam iść. Nagle jednak zmieniła zdanie. I poczuła się bardzo głodna.

- Muszę odebrać dzieci z przedszkola - broniła się. - O wpół do czwartej.

- Mamy mnóstwo czasu. Możesz pojechać swoim samochodem, a stamtąd prosto po dzieci - zaproponował Christy.

- Dobrze. - Teraz już na pewno się zarumieniła. Lunch z Christym de Lacy. Co ona wyprawia?

Zamknął okno, a Hope pobiegła do swojego metro. Christy odjechał, aż zazgrzytał żwir pod kołami jego wozu. No, nieźle, jeśli będzie jechał tak szybko, Hope w żaden sposób nie zdoła się umalować po drodze.

Udało jej się spryskać perfumami, upudrować nos i umalować usta koralową szminką, zanim Christy gwałtownie skręcił w prawo i zatrzymał się na parkingu ocienionym drzewami. Pigeon Club okazał się niskim tajemniczym domem pokrytym strzechą.

Ledwie weszli, wysoki mężczyzna serdecznie przywitał się z Christym, podał rękę Hope, przedstawił się jako Liam, właściciel, i zaprowadził ich do małego stolika w niszy okiennej, tak że byli niewidoczni z sali. Hope to cieszyło, przynajmniej nikt nie zobaczy, że pod nieobecność męża spotyka się z innym mężczyzną. Kiedy jednak uświadomiła sobie, że w zacisznym wykuszu mogliby się bezkarnie rozebrać do naga i uprawiać dziki seks, zrobiło się jej nieswojo. To nie dla niej.

Christy przeprosił ją na chwilę.

- Muszę pogadać z Liamem.

Hope została sama ze swoimi myślami i natychmiast wpadła w panikę.

Kocha Marta, za żadne skarby nie wdałaby się w romans. Chciała sobie poflirtować z Christym i jak to się skończyło? Przecież nie przywiózł jej tu bez celu. Na pewno będzie czegoś chciał, czegoś, czego Hope nie może mu dać. Na przykład, żeby zaprosił go do siebie i kochała się z nim do utraty tchu. Może myśli, że poderwał znudzoną gospodynię domową, która liczy na szybki numer! O Boże, nie.

Przecież to tylko lunch, odezwał się inny głos w jej głowie, głos, który pragnął rozrywki. Matt wyjechał, świetnie bawi się w Bath, rzadko dzwoni. To tylko lunch z kolegą z pracy. Nie ma w tym nic złego. Kiedy Matt już wróci, zaproszą Christy'ego na kolację. Na pewno przypadliby sobie do gustu.

Akurat, przyznała uczciwie, nie ma szans, żeby się poznali. W obecności Christy'ego dygotała z podniecenia i mało prawdopodobne, żeby Matt tego nie zauważył. Nawet ślepy dostrzegłby jej reakcję.

- Przepraszam. - Christy wrócił na miejsce. - Musiałem porozmawiać z Liamem. Dlatego tu dzisiaj przyjechałem. Mam nadzieję, że nie jesteś zła? - Patrzył na nią niewinnie. - Zazwyczaj siedzę tu sam, bo Liam nie ma wolnej chwili.

Uspokoila się trochę - w jego ustach brzmiało to tak rozsądnie... Długo studiowali kartę dań. Christy zamówił butelkę czerwonego wina.

- Nie mogę, jestem samochodem - zarzekła się Hope.

- Tylko troszeczkę - namawiał. - Dobrze ci zrobi, ciężko dzisiaj pracowałaś. Powiedz, jak wygląda ta sprawa z rybami?

Hope była już całkiem spokojna. Będą rozmawiać o pracy. Co w tym złego? To właściwie spotkanie służbowe, nie ma się czym przejmować. Gdyby Matt pytał, powie mu, że omawiali sprawy zawodowe. Nie żeby kiedykolwiek pytał, ale gdyby, powie mu wszystko. Nie ma w tym nic złego. Zresztą co się może stać w restauracji, na rany boskie?

Opowiadała, co robiła cały ranek, a Christy słuchał i co jakiś czas dolewał jej wina. Długo czekali na przystawki i Hope szybko poczuła działanie alkoholu. W butelce pokazało się dno, przy czym większość wina trafiła do jej kieliszka. Ilekroć się denerwowała, piła więcej.

Jest naprawdę uroczy, stwierdziła. Wcale nie gada o sobie, tylko pozwala jej mówić.

- Twój mąż pisze powieść, tak? - zapytał, gdy podano im przystawki. Nie wiadomo skąd na stole pojawiła się druga butelka. - Opowiedz mi o tym. Bardzo chciałbym go poznać. Też chciałbym kiedyś coś napisać. Jak my wszyscy.

Wino rozpuściło resztki jej obaw. Kochany Christy, interesuje się jej rodziną, chciałby poznać Matta. Jaki on miły. Prawdziwy przyjaciel. Przystojny przyjaciel, z którym umawia się na platoniczne obiadki. Tego jej trzeba - czarujących platonicznych przyjaciół o gorącym spojrzeniu.

Przyglądała mu się szklistym wzrokiem. Rzeczywiście, bardzo przystojny, Sam też by się spodobał. Jakby co, może powiedzieć, że szuka faceta dla Sam.

Gawędzili o życiu w Kerry. Hope nie mogła się nadziwić, że jej opowieści o inwazji szczurów i wysiłki w kwestii hodowli kur są takie zabawne, ale Christy śmiał się na całe gardło.

Czuła się tak swobodnie... Podparła się na łokciach i opowiadała Christy'emu, jak to nie wiedziała, w co się ubrać na wypadek gdyby go spotkała. Gdzieś w głębi budynku włączono odkurzacz. Podniosła się gwałtownie i spojrzała na zegarek. Było wpół do czwartej.

- Moje dzieci! Muszę je odebrać! - krzyknęła.

- Chyba jeszcze nie teraz? - Christy był niezadowolony.

- Muszę! I tak się spóźnię! - jęknęła. Niezgrabnie próbowała wstać. Przy okazji przewróciła swój kieliszek, na szczęście pusty.

- Nie możesz prowadzić, kochanie - stwierdził Christy. - Jesteś zalana. Odwiozę cię.

- O nie! Nie pozwolę, żebyś w tym stanie wioził moje dzieci. Przecież też piłeś - zauważyła.

- Ale mniej od ciebie. - Nie kłamał, zdecydowanie częściej dolewał jej niż sobie.
- Nie! - Hope nie dawała za wygraną. Owszem, jest pijana, przyznaje to ze wstydem, ale nie pozwoli, by ktoś ryzykował życie jej dzieci. -Zawiesz mnie do przedszkola, stamtąd wezwę taksówkę.

Kiedy wychodzili, spojrziała w lustro w holu. Przeraziła się - nie wydawała się już sobie taka śliczna jak godzinę temu, gdy po pijaku podziwiała swoje odbicie w lustrze w damskiej ubikacji. Była czerwona na twarzy, po szmince nie został nawet ślad, tusz do rzęs się rozmazał.

Niezgrabnie wsiadła do sportowego wozu. Wewnątrz było bardzo mało miejsca, kiedy Christy położył dłoń na skrzyni biegów, dzieliły ich tylko centymetry.

- Gotowa? - zapytał.

- Tak - mruknęła. Czuła się okropnie. Wyrodna matka!

Zrobiło jej się niedobrze - Christy nie przejmował się wypitym winem i jechał równie ostro jak przedtem. Wyglądała przez okno i zamartwiała się: tym, że się spóźnia po dzieci, że Christy jedzie po alkoholu, że nie zrobiła zakupów. Christy położył jej rękę na kolanie, ale nawet tego nie zauważyła. Dopiero kiedy dojeżdżali do przedszkola, zdała sobie sprawę, że w kolano jej jakoś dziwnie ciepło.

Christy zaparkował po drugiej stronie szosy, za rozłożystym drzewem, które zasłaniało ich przed wzrokiem ciekawskich.

- Do widzenia, skarbie - powiedział miękko. Poruszał się zwinnie jak kot i nie wiadomo kiedy otoczył ją ramionami, aż jego ciemna, przystojna twarz była niebezpiecznie blisko. Pocałował ją, mocno i namiętnie. Hope odruchowo przywarła do niego, wygięła się w łuk, jakby chciała, żeby jego dłonie odnalazły jej piersi, żeby się przekonał, że jest bez stanika. I nagle, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odsunął się i delikatnie musnął jej usta kciukiem.

- Od pierwszej chwili chciałem to zrobić - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy.

Hope dyszała ciężko.

- Do zobaczenia wkrótce - szepnął i położył dłonie na kierownicy.

- Dzie... dziękuję za lunch - wymamrotała, niezdarnie gramoląc się z samochodu. Przy okazji podarła sobie rajstopy.

Christy odjechał z piskiem opon, a Hope została sama przed przedszkolem. Była roztrzęsiona - za dużo alkoholu, za dużo wrażeń. Jak ma to wytłumaczyć Giselle?

Giselle spojrziała na nią bez słowa i zaprowadziła do małej kuchni. Zaparzyła jej mocnej kawy.

- Wypiłam trochę wina ze znajomymi z pracy, potem złapałam okazję... - paplała Hope.

- Okazję? - zaniepokoiła się Giselle.

- Kolega z pracy mnie podrzucił. - Hope czknęła głośno. - Mary-Kate w kółko mi powtarza, że mam się wyluzować. No to się wyluzowałam. Mogę zadzwonić po taksówkę?

W domu, nadal lekko wstawiona, radośnie biegała po pokojach.

- Śmiesznie pachniesz - stwierdziła Millie, zdziwiona zachowaniem mamy. A Hope, nie dość, że chichotała bez powodu i nie przebrała się w zwykłe ubrania, to jeszcze wzięła Millie za rękę i razem tańczyły po całym pokoju. Toby też chciał dołączyć, więc nastawiła muzykę i przez jakiś czas płąsali we troje.

O wpół do szóstej nadszedł kac i wyrzuty sumienia. Co ona sobie wyobraża? Lunch z Christym? Chyba oszalała. A ten pocałunek przed przedszkolem... Na samo wspomnienie poczuła skurcz w okolicach przepony, ale to było złe, bardzo złe. A gdyby ktoś ich zobaczył? I powiedział Mattowi? Pobladła na tę myśl. Nie, to się nigdy więcej nie powtórzy.

Obudziła się w środku nocy zlaną zimnym potem. Śniło jej się, że Malt złapał ją na gorącym uczynku, jak kochała się z Christym w hotelowym jacuzzi. Dziwne, nawet nie wie, czy w hotelu jest jacuzzi. Serce jej się ścisnęło, gdy przypomniała sobie wyraz twarzy Marta.

Wyrzuty sumienia dopadły ją na dobre. Dlaczego nikt jej nigdy nie powiedział, że zdrada jest taka okropna? Z filmów i książek wynika, że najgorszy jest strach przed złapaniem, nie ma ani słowa o tym, jak przykro jest zranić ukochanego. A ona przecież nawet go nie zdradziła; to był tylko pocałunek. Usiłowała sobie wmówić, że to nic złego. W końcu to nie to samo co seks w jacuzzi. To nie ma nic wspólnego z seksem.

A niech to. Chciało jej się płakać. Nie może sobie wmawiać, że popołudnie z Christym było niewinne; nie było. Gdyby w jego samochodzie było więcej miejsca, rozebrałyby się do naga w ułamku sekundy. Mało brakowało, a podsunęłyby mu piersi pod nos i jęczała rozpaczliwie, żeby ich dotknął.

Ze łzami w oczach wstała, włożyła stary szlafrok Matta i poszła na dół. I tak nie zaśnie; już lepiej pooglądać telewizję.

Popijała herbatę i oglądała amerykański serial z lat osiemdziesiątych. Właśnie próbowała sobie przypomnieć, czy i ona nosiła marynarki z tak wywatowanymi ramionami, gdy dotarło do niej, że bohaterka wrzeszczy na skruszonego męża, bo właśnie przyznał się do zdrady.

- Dlaczego to zrobiłeś?! - krzyczała, starając się okazać rozpacz, nie psując przy tym makijażu.

Hope szybko zmieniła kanał, ale i tak nie ominęła jej nowa fala wyrzutów sumienia. Czy zdoła sobie wybaczyć, że zdradziła Matta? Czy do końca życia będzie ją dręczyło poczucie winy? Przypomniła sobie, co na ten temat piszą w rubrykach *Psycholog radzi* i różnych takich. Że nie powinno się wyznawać winy tylko po to, żeby się lepiej poczuć. To nie wpływa dobrze na związek. Hope jednak pragnęła wyznać wszystko Mattowi i uzyskać odpuszczenie grzechów. Boże, dlaczego nie można cofnąć czasu?

Rozdział 17

Virginia i Dinky pracowały w ogrodzie, gdy zadzwonił telefon. Virginia ściągnęła rękawice i weszła do domu. Dinky pobiegła za nią. Dzwonił Laurence. Był smutny.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, mamó - zaczął - ale Barbara nie jest zbyt zadowolona z planów wesela.

- Jak to? Niezadowolona? Westchnął.

- Mówi, że od dzieciństwa marzyła o ślubie na plaży, wiesz, wszyscy boso, w tle szum morza...

Virginia policzyła do dziesięciu. Nie wolno jej źle mówić o przyszłej synowej, nie wolno.

- Dlaczego nie powiedziała tego od razu? - zapytała spokojnie. - Przecież w zeszłym miesiącu rezerwowaliście hotel i kościół. Powinna była powiedzieć, zanim cokolwiek załatwiliście.

Ślub miał się odbyć za cztery miesiące, na wesele zarezerwowano jeden z najbardziej ekskluzywnych dublińskich hoteli. Jak na razie jedynym niepowodzeniem okazał się kościół - ten, który Barbara sobie upatrzyła, był już zarezerwowany. Ponieważ jednak to młodzi, a raczej Laurence, płacą za wszystko, Virginia nie będzie się wtrącać.

- Pewnie nie zwrócą ci zaliczki - powiedziała tylko.

- Wiem - jęknął. - Barbara mówi, że nie chciała robić kłopotu. Cóż, narobiłaby o wiele mniej kłopotów, gdyby powiedziała, czego

chce, zanim zarezerwowali kościół i hotel, pomyślała Virginia, ale nic nie powiedziała.

- A co na to jej rodzice?

- Chcą, żeby była zadowolona. Zresztą ja też. Mamo, wiem, że bardzo się na to cieszyłaś. Czy będziesz bardzo zła, jeśli na ślub polecimy na Karaiby?

- Oczywiście, że nie, kochanie. To wasz ślub, nie mój. Ale chyba niewielu będzie stać na taką podróż. To dosyć kosztowne - zauważyła delikatnie. - Zarezerwowaliście już coś?

- Niedługo się tym zajmę - mruknął. - Miałem w pracy pełne ręce roboty. Zabrakło czasu.

Tym razem nie ugryzła się w język na czas.

- Czemu Barbara się tym nie zajmie?

- Nie znosi takich rzeczy - powiedział Laurence. - Wiesz, mamo, ona jest bardzo nieśmiała. Nie jest taka zorganizowana jak ty.

Zdaniem Virginii, problemy Barbary nie miały nic wspólnego z nieśmiałością. Była rozpuszczona, nie nieśmiała. Jej biedni rodzice zgodziliby się na ślub na Marsie, gdyby tego zapragnęła. A teraz Laurence dołączył do drużyny, której jedynym celem jest sprawić przyjemność Barbarze.

- Dobrze, kochany, zadzwoń, kiedy będziesz już wiedział coś konkretnie. Nie trzeba dramatyzować.

Jamie miał na ten temat inne zdanie.

- Ta cholerna Barbara doprowadza mnie do szału, mamo. Traktuje Laurence'ajak śmiecia. Słyszałaś już o ślubie? Głupiej krowie zachciało się ślubu na plaży. Jak tak dalej pójdzie, osobiście ją utopię w morzu. Nawet nie zdąży wypowiedzieć słów przysięgi.

- Jamie!

- A co, nie zasłużyła na to? Biedny Laurence jest zupełnie zakrecony. Straci masę kasy, nie oddadzą mu zaliczki ani w hotelu, ani w biurze podróży, bo jaśnie pani uznała, że woli Karaiby, nie Tajlandię.

- To nie nasza sprawa, Jamie - upomniała go. - Nie chcę być natrętną teściową.

- Mamo, tata nie dopuściłby do tego, gdyby żył. Powiedziałby, że Laurence zasługuje na kogoś lepszego niż ta głupia Barbara.

- Nie wtrącałby się - zaprotestowała Virginia.

- Owszem, wtrąciłby się, gdyby uważał, że Laurence'owi dzieje się krzywda - upierał się Jamie.

Virginia, która do tej pory stała, ciężko opadła na kanapę.

- Mamo, nie tylko tobie zawałił się świat po jego śmierci - ciągnął Jamie. - Laurence też to ciężko przeżył. Był bardzo związany z ojcem, a wiesz, jaki jest wrażliwy. Nic nie mówił, ale cierpiał. Nie był sobą, i tylko dlatego zakochał się w Barbarze. Był załamany, a ona to sprytnie

wykorzystała. Najwyższy czas, żebyśmy otworzyli mu oczy. Jeszcze zdąży się z tego wyrwać, odwołać całą imprezę. Ojej, komórka mi dzwoni. Na razie, mam, niedługo zadzwonię.

I już odłożył słuchawkę. Jamie zawsze był najszybszy, wiecznie coś robił, dokądś się spieszył, żył pełnią życia. Laurence był jego przeciwieństwem; cichy, spokojny, zamknięty w sobie, wrażliwy.

Dinky wyczuła niepokój swojej pani; usiadła koło niej i wiernie patrzyła w oczy. Tym razem Virginia nawet tego nie zauważyła. Czuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Do tego stopnia pograżyła się w rozpacz po śmierci Billa, że nie pomyślała o dzieciach.

Jak zwykle pomogła rozmowa z pragmatyczną Mary-Kate.

- Nie wiem, co sądzić o tej Barbarze - jęczała Virginia, gdy piły kawę na przytulnym zapleczu apteki. - Najpierw mówiła, że chciałyby romantycznych oświadczeń, a gdy Laurence ukląkł przed nią z pierścionkiem, marudziła, że nie taki sobie wymyśliła.

- Dlaczego nie wybrali go razem? - zdziwiła się Mary-Kate. - W dzisiejszych czasach większość par tak robi.

- Nie Barbara. To jak dwanaście prac Herkulesa - wyjaśniła Virginia. - Barbara oczekuje, że inni będą się starali spełnić jej zachcianki. Chciałyby, żeby Laurence tańczył na jedno jej skinienie.

- Ile prac wykonał?

Virginia ponuro wzruszyła ramionami.

- Niestety, za mało. Barbara ma prawdopodobnie długą listę. Znasz ten typ kobiet, które za nic nie przyjmują odpowiedzialności? Nie można ich zadowolić, ale też one nigdy nie są zadowolone z siebie? Więc Barbara chyba taka jest.

Sądząc po minie, Mary-Kate doskonale wiedziała, co przyjaciółka ma na myśli.

- Wiesz, te kobiety nigdy same nie podejmują decyzji, mistrzowsko grają ofiary, a kiedy coś się nie udaje, ciosają wszystkim kołki na głowie, twierdząc, że to przecież nie ich wina.

- Wiem coś o tym. - Mary-Kate spochmurniała. - Kiedyś znałam kogoś takiego. Równie dobrze mogłaby sobie wytatuować na czole napis „biedne maleństwo”. Wysłała za fantastycznego faceta, bo zapewniał wszystko, czego pragnęła od życia: pieniądze, stabilizację, przyszłość. Zaplanowała ten ślub na zimno; chciała zostać wielką panią. A kiedy w małżeństwie się nie układało, nie przyjmowała tego do wiadomości. Opowiadała wszystkim, że to wina jej męża, że jest okropny i sama nie wie, czemu jeszcze z nim jest. Nigdy nie przyznała, że w ogóle nie powinni się pobrać. Ale też nigdy by się nie rozwiodła, straciłaby wtedy pozycję i pieniądze.

W oczach Mary-Kate lśniły niewypłakane łzy. Virginia domyśliła się, że to jeszcze nie cała historia.

- Przyjaźniłaś się z nimi?

- Znałam go na studiach, wtedy jeszcze nie byli małżeństwem - odparła Mary-Kate. - Cały nasz rok poszedł na ich ślub i chyba wszyscy, co do jednego, wiedzieliśmy, że popełnia błąd. Za bardzo się różnili, to nie mogło się udać.

Nagle wszystko stało się jasne. Mary-Kate opowiadała o mężczyźnie swojego życia, mężczyźnie, którego opłakiwała do dziś.

- Kochałaś go? - zapytała Virginia cicho. Mary-Kate skinęła głową.

- Straciliśmy ze sobą kontakt, spotkaliśmy się ponownie kilka lat po ich ślubie. Wtedy się zakochaliśmy. Nie ma to jak odpowiednie wycucie czasu, co? Gdybyśmy zakochali się, zanim ją poznał, kto wie... w każdym razie byliśmy razem przez sześć lat. Szaleliśmy za sobą.

-1 co się stało?

- Dowiedziała się o nas, załamała się i błagała go, żeby nie odchodził. -1 nie odszedł?

-Nie. - Mary-Kate powstrzymała łzy, jakby wylała ich już zbyt wiele z tego powodu. - Wróciłam tutaj, przejęłam aptekę, a im urodziło się kolejne dziecko. - Wzruszyła ramionami. - Oto i moja banalna historia. Nie wyglądam na tę trzecią, co?

Virginia uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, rzeczywiście zmylił mnie brak krwiście czerwonej szminki i kabaretek.

- Kiedy się mieszka w małym miasteczku, trzeba strzec tajemnicy. Nikt

o nim nie wie, chociaż Giselle chyba się domyśla. I chcę, żeby tak zostało. Niech lepiej myślą, że jestem podstarzałą farmaceutką, nudną starą panną, a nie rozpustnicą, która romansowała z żonatym mężczyzną. Zaszokowałam cię? - zaniepokoiła się nagle. - Wydawało mi się, że tobie mogę powiedzieć. Nie chciałabym, żebyśmy przestały się przyjaźnić...

Virginia spojrzała na nią surowo,

- Jeśli uważasz mnie za hipokrytkę, która cię potępi, to chyba słabo mnie znasz. Kie zapominaj, że rozmawiasz z wesołą wdówką z Redlion, która gorszy starsze panie, bezczelnie flirtując z Kevinem Burtonem.

Roześmiały się obie. Plotkary już rozpuszczały wieść, że Virginia i Kevin często jadają razem lunch w klubie golfowym.

-No tak, napsułaś krwi niektórym damom. A tak liczyły na Kevina -przyznała Mary-Kate. - Panna Murphy, wiesz, ta co układa kwiaty w kościele, naprawdę ma ci za złe. Pewnie miała nadzieję, że w wieku sześć-

dziesięciu lat powędruje wreszcie do ołtarza, a gdy się pojawiłaś, marzenia legły w gruzach. Ale ta sytuacja ma swoje dobre strony. - Mary-Kate uśmiechnęła się pod nosem. - Odkąd tu mieszkasz, sprzedaję więcej jasnej farby do włosów. Wiele kobiet uznało, że skoro pani Connell z Dublina wygląda jak gwiazda filmowa, mogą i one ufarbować siwiznę. Lada dzień zaczną cię prosić o wskazówki przy makijażu.

- Jesteś nieoceniona - zachichotała Virginia.

- Myślisz, że żartuję, tak? Poczekaj, sama zobaczysz.

- Nie zależy mi na Kevinie, nie tak - zapewniała Virginia. - Po prostu lubię grać z nim w golfa.

- Akurat. Wytłumacz to pannie Murphy.

Virginia tak długo obracała w palcach liścik od Kevina, aż brzegi zagięły się w ośle uszy. Co się z nią dzieje? Nigdy nie była przesadnie nerwowa. Bill też nie.

Przypomniała sobie, jak przed laty, gdy dzieci były małe, Freddie, syn sąsiadki, wepchnął sobie cztery ziarenka grochu do nosa.

- Boże, co ja mam zrobić? - szlochała jego matka.

Virginia spokojnie zawiozła synów do przyjaciółki, zabrała Freddiego i jego matkę do lekarza i przywiozła ich z powrotem, bez nerwów, bez hysterii. Ma się rozumieć, nie licząc rozpaczyny chłopczyka, gdy lekarz zademonstrował narzędzie, którym zamierzał wyjąć groch z jego nosa.

Od tego czasu matka Freddiego uważała Virginie za wcielenie spokoju. Gdy woda z wanny zalała jej łazienkę, dzwoniła po Virginie. Gdy młodsza siostra Freddiego zrobiła spięcie w całym domu i omal nie zabiła się opiekaczem, dzwoniła po Virginie.

- Mam nadzieję, że mąż jej nie rzuci - żartował Bill. - Zaraz do ciebie zadzwoni.

Ale teraz po opanowaniu Virginii nie było nawet śladu. Nerwowo obracała w palcach bilecik Kevina. Zapraszał ją na recital, bardzo formalnie i staroświecko.

Czy zechcesz mi towarzyszyć na recitalu w Kilmonbeckin we wtorek wieczór? Gdybyś się zgodziła, przyjadę po ciebie o siódmej.

Właściwie nie ma się czego obawiać. Tylko... cóż, takie wyjście to jak randka. Panie z kościoła dopiero będą miały o czym plotkować.

Celowo włożyła na to wyjście nową suknię. Gdyby włożyła coś, co nosiła dla Billa, wieczór byłby zmarnowany. Gdyby włożyła ulubioną suknię w kolorze spopielalego rózu, przez cały wieczór wspominałaby ostatni raz, kiedy miała ją na sobie - byli wtedy z Billem na kolacji u Michaela i Antonii i musieli wracać taksówką, bo Michael uparł się, że muszą spróbować doskonałego koniaku. Zaraz zalałaby się łzami. A to nie najlepszy sposób na spędzenie wieczoru. Poza tym byłoby to nie w porządku wobec Kevina. W końcu umówił się z nią, a nie z nią i duchem jej męża.

Wybrała się więc na zakupy do Killarney i kupiła prostą suknię z dzianiny w kolorze bursztynu. Przymierzyła też czarną, bardzo elegancką, ale w ostrym świetle jarzeniówek uznała, że wygląda jak karykatura wdowy. Zresztą Bill nie lubił, kiedy ubierała się na czarno.

- Wiem, że kochasz błyskotki - przekomarzał się z nią, ilekroć włożyła coś czarnego. - Ale czy musisz nawet wyglądem upodabniać się do sroki?

Rzeczywiście, w czerni, z jasnymi włosami, wyglądała jak sroka, ale nigdy nie puszczała mu płazem tych żartów.

- Skoro o błyskotkach mowa - uśmiechała się słodko - mam nadzieję, że już oszczędzasz na prezent gwiazdkowy? Widziałam piękne brylantowe naszyjniki, nawet niezbyt drogie, zaledwie kilkaset tysięcy funtów. - Nie chciałaby takiego prezentu, nawet gdyby ich było na to stać. Wystarczała jej prosta kolia z pereł, którą dostała na srebrne gody.

- O rety - żartował Bill. - Pomyliłem paczuszki, naszyjnik z brylantem dostała ta druga. Ach, te kobiety.

W takiej chwili ciskała w niego poduszką.

- Dobrze, że tylko żartujesz, staruszk.

A potem zastanawiała się, czy nie powinna się przebrać.

- Naprawdę tak źle mi w czerni? Włożyć coś innego?

- Dobrze ci we wszystkim, pani Connell - zapewniał Bill. Pograżona we wspomnieniach, zapomniała o całym świecie. Dopiero

dzwonek do drzwi wyrwał ją z zadumy. Kevin zjawił się punktualnie o siódmej.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedział.

Virginia uśmiechała się nerwowo. Dziwne. Nie czuła się w jego towarzystwie tak swobodnie jak na polu golfowym. Za dnia rozmawiało się inaczej, łatwiej niż teraz, we dwoje, w samochodzie, w drodze na randkę.

Randka. Na samą myśl Virginii zrobiło się słabo. Po kilku minutach ciszy Kevin odchrząknął.

- Cieszę się, że ze mną idziesz - powiedział sztywno.

- Ja też - mruknęła Virginia. Wpatrywała się w mrok.

Co się z nami dzieje? - zastanawiała się. Jak dwie lalki brzuchomów-cy. Zamurowało nas na amen. A przecież ani Bill, ani Ursula na pewno by tego nie chcieli.

Więc postanowiła zachowywać się normalnie, jakby byli na polu golfowym.

- Ostatnio dużo ćwiczyłam - oznajmiła. - Mój syn, Jamie, przysłał mi nowy kij. Świetny. A Dinky uwielbia biegać za piłką.

Kevin rozluźnił się. Rozmawiali o golfie; stary, dobry, bezpieczny temat. Znowu byli przyjaciółmi.

We foyer teatru było już tłoczno, widzowie przechadzali się z kieliszkiem taniego wina, wliczonym w cenę biletu.

Virginia i Kevin też pili. Trochę alkoholu dobrze nam robi, uznała.

- Kevin! - rozległ się kobiecy głos.

- Glenys, Richard, jak miło - serdecznie powitał nadchodzącą parę. Glenys okazała się postawną matroną długim futrze. Obrzuciła Virginie podejrzliwym spojrzeniem.

- Dzień dobry - przywitała się ciepło Virginia. - Virginia Connell, znajoma Kevina.

- Glenys i Richard Smart - przedstawiła siebie i męża Glenys. - Starzy przyjaciele Kevina. I Ursuli - dodała znacząco.

O Boże, pomyślała Virginia z nieodłącznym uśmiechem na ustach. Więc o to chodzi. Jesteśmy wierni pamięci naszej drogiej martwej przyjaciółki, żadna wesoła wdówka z Dublina nie dorwie zbolątego wdowca w swoje łapy.

- Cieszę się, że państwa poznałam - powiedziała uprzejmie. Bill zawsze żartował, że jest nienagannie uprzejma dla ludzi, których nie znosi.

Richard skinął jej głową. Glenys wzięła Kevina za rękę.

- Kochany, jak się masz?

To był koszmary wieczór. Glenys tak manipulowała, że rozdzieliła Kevina i Virginie; koło Virginie wylądował małomówny Richard. Kevin siedział między nim a Glenys, więc nie miał jak rozmawiać z Virginia i o to zapewne chodziło. W czasie przerwy Glenys westchnęła teatralnie.

- Jaka szkoda, że kochana Ursula nie może wraz z nami wysłuchać tego koncertu. Kochała muzykę - wspominała, cały czas trzymając Kevina za rękę. - Pamiętasz, jak we czwórkę pojechaliśmy do Dublina, nocowaliśmy w hotelu i poszliśmy na kolację późnym wieczorem?

Kevin pamiętał i wkrótce trójka starych przyjaciół zaśmiewała się, wspominając dawne lata.

Virginia czuła, że niedługo przestanie się uśmiechać. Co za brak taktu.

Miała nadzieję, że gdyby jej przyjaciele poznali Kevina, nie wspominaliby przez cały czas miłych chwil z Billem.

To nie była kwestia złego wychowania ani braku taktu. Glenys robiła to celowo. Ale dlaczego? Przed czym chce chronić Kevina? Co ona sobie myśli, że Virginia jest pozeraczką męskich serc? Czarną wdową, która uwodzi i zabija? Nieważne. Tak czy inaczej Glenys i Richard nie aprobowali jej przyjaźni z Kevinem.

Po recitalu poszli we czwórkę do pubu. Virginia pozwoliła, by Glenys zagarnęła Kevina dla siebie. Szli razem pod rękę, a Virginia i Richard za nimi.

Glenys cały czas wspominała Ursulę. Podczas pięciominutowej przechadzki zdążyli omówić jej zamiłowanie do muzyki klasycznej, doskonały słuch i niespełnione marzenie, żeby nauczyć się grać na skrzypcach.

- Nie sądzisz, że grałaby świetnie? - rozważała Glenys. - Była taka zdolna, prawda?

Virginia, która do niedawna miała wrażenie, że polubiłaby Ursulę Burton, teraz prawie ją znienawidziła. Czy jakakolwiek normalna kobieta mogła się przyjaźnić ze straszliwą Glenys?

W pubie Virginia wzięła sprawy w swoje ręce. Wybrała mały dwuosobowy stolik i zaprosiła Kevina do siebie, Glenys i Richard usiedli nieopodal. Glenys wcale nie ukrywała złości. Z czystej przekory Virginia położyła Kevinowi rękę na ramieniu. Podskoczył jak oparzony.

- Napijesz się czegoś? - zapytał. Chciał jak najszybciej się od niej oddalić. - Zaraz coś przyniosę.

Kiedy wrócił, usiadł koło Virginii, ale najdalej jak to możliwe, i słuchał niekończących się wywodów Glenys na temat Ursuli. Ilekroć łaskawie odzywał się do Virginii, był oficjalny jak arcybiskup, jakby nie chciał, by starzy przyjaciele nabrali o nim złego mniemania.

Virginia miała tego dość. Spokojnie dopiła wino i zapytała Kevina, czy mógłby ją odwieźć do domu,

- Musisz wpaść na obiad - zapraszała Glenys Kevina, gdy wychodzili. Virginia zdawała sobie sprawę, że jej to zaproszenie nie dotyczy. Jechali w milczeniu, ciszę zakłócało jedynie radio.

Virginia uznała, że nie ma sensu rozmawiać z Kevinem. Skoro się wstydzi ich przyjaźni, ona nie chce go więcej widzieć, i tyle. Panna Murphy może znowu snuć nadzieje.

W Kilnagoshell podziękowała za wieczór. Już miała wysiąść, kiedy Kevin odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu:

- Cała przyjemność po mojej stronie - przynajmniej teraz mówił w miarę normalnym głosem. - Zadzwoń i umówimy się na golfa? - Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

Virginia spojrzała mu w oczy.

- Po co? - zapytała. Pierwszy opuścił wzrok.

- Przepraszam - powiedział. - Wiem, że nie było ci przyjemnie. One bardzo się przyjaźniły i Glenys nie może się pogodzić z myślą, że ktoś mógłby zastąpić Ursulę.

- Trzeba było powiedzieć Glenys, że nie mam zamiaru zastąpić Ursuli - rzuciła Virginia cierpko. - Wyszliśmy dziś razem jako przyjaciele, nic więcej. A przyjaciele nie pozwalają, by ich przyjaciół obrażano. - Wysiadła, zatrzasnęła drzwiczki i poszła do domu.

- Jak recital? - dopytywała się Mary-Kate następnego dnia, gdy przypadkowo spotkały się niedaleko poczty. Virginia już dawno się przekonała, że nie sposób iść do Redlion i nie spotkać kogoś znajomego. Ponieważ była w kiepskim humorze, ucieszyła się, że to Mary-Kate, a nie, dajmy na to, Lucille z butiku, która wiecznie namawiała ją, żeby zajrzała do sklepu i coś sobie wybrała.

Virginia opowiedziała przyjaciółce, co się działo poprzedniego wieczoru.

- Nie znam Smartów, ale ona wydaje się okropna. Pewnie sama chciałaby pocieszyć zrozpaczonego wdowca - mruknęła Mary-Kate. - Nie ma to jak wolny przystojny mężczyzna, żeby odświeżyć stare małżeństwo. Poza tym pewnie się cieszyła, że będzie miała nieparzystego faceta do dyspozycji na przyjęcia, a ty wszystko popsulaś, bezwstydnico.

Virginia wzruszyła ramionami.

- Tak, wiem, jestem pożeraczką męskich serc, uwodzę samotnych i potem ich porzucam. Powinni tego prawie zakazać.

- Nie poddawaj się tak łatwo. To, że jest zazdrosna, nie oznacza, że nie możesz się spotykać z Kevinem.

Virginia spojrzała na plik listów w dłoni.

- Właśnie o to chodzi, Mary-Kate - wyznała. - W jej obecności traktował mnie zupełnie inaczej. Chyba zżerajągo wyrzuty sumienia, że w ogóle ze mną rozmawia.

- Wyrzuty sumienia? Ale dlaczego? Przecież jego żona tuż żyje, i to od kilku lat. Nic się nie stanie, jeśli się z tobą umówi.

Virginia znowu wzruszyła ramionami.

- Nie żyje fizycznie, ale żyje w pamięci. Widzę, że go gryzie nawet to, że umawia się ze mną na golfa.

Mary-Kate spojrzała na nią ze smutkiem.

- Wiesz, ja też cały czas myślę o Billu - wyznała Virginia. - Bardzo go kochałam i w moim życiu nigdy nie będzie miejsca dla innego mężczyzny, ale to nie znaczy, że mam sobie odmawiać miłego towarzystwa, na przykład Kevina. Sama świadomość, że mam z kim iść na kolację, sprawia, że życie staje się... normalniejsze. Po śmierci Billa nie wierzyłam już, że do mojego życia jeszcze kiedykolwiek wróci normalność. Tymczasem pomagają drobiazgi, wiesz, nowa sukienka albo poznawanie nowych przyjaciół. Dzięki temu czuję, że żyję, a nie tylko zabijam czas, póki nie umrę i nie dołączę do Billa. - Mówiła spokojnie, z namysłem, a Mary-Kate patrzyła na jej ładną, szlachetną twarz i myślała, jakim idiotą jest Kevin Burton, że pozwala jej odejść. I to tylko dlatego, że on i jego tak zwani przyjaciele nie potrafią się pogodzić ze śmiercią jego żony.

- Rozumiesz, o co mi chodzi, Mary-Kate? Nie mogę zrezygnować z życia. Gdybym się poddała, mogłabym równie dobrze podciąć sobie żyły. Muszę próbować żyć, a nie tylko wegetować. Czy to coś złego?

- Nic a nic. Masz absolutną rację. Nie wolno ci się zmieniać tylko dlatego, iż pewni ludzie mają ci za złe, że nie wstąpiłaś na stos pogrzebowy męża. - Mary-Kate mówiła bardzo stanowczo. - Powiedz, dasz Kevi-nowi jeszcze jedną szansę?

- Może tak. Mieszkam tu od roku i jest chyba jedynym przystojnym mężczyzną w okolicy, chyba że spróbuję wyrwać Richarda z małych rączek Glenys Smart.

Uśmiechnęły się.

- No, dalej - zażartowała Mary-Kate. - Założymy się? Virginia się wzdrygnęła.

- O nie. Za żadne skarby świata. Niech go sobie zatrzyma. Właściwie są siebie wari.

Rozdział 18

Mamusiu, telefon! - rozwrzeszczała się Millie następnego ranka. Wdrapała się na łóżko matki i podskakiwała jak szalona. - Wstawaj, mamusiu, tatuś dzwoni!

Mamusi głowa pękała z bólu. Z trudem usiadła. Właściwie dlaczego nie zainstalowali sobie telefonu w sypialni?

Niezdarnie zeszła na dół, podniosła słuchawkę i wychrypiła:

- Halo?

- Cześć, kochanie, czyżbyś dopiero wstała? - zapytał Mart radośnie. Hope dziękowała Bogu, że nie mają wideotelefonu. Matt na pewno wszystkiego by się domyślił, gdyby tylko zobaczył jej minę.

- Nie, nie - zapewniła szybko. - Jestem zmęczona, źle spałam.

- Biedactwo. Słuchaj, musimy porozmawiać.

Hope błyskawicznie oprzytomniała. Skąd wie? Kto do niego dzwonił? Przecież nikt w Redlion nie wie, gdzie mieszka, poza tym to się działo zaledwie wczoraj, zresztą kto chciałby rozbijać małżeństwo z takiego powodu?

- Mamy tu tyle roboty... Wrócę za dziesięć dni, tak jak planowaliśmy, ale niestety potem będę musiał jeszcze raz pojechać do Bath na kilka tygodni - powiedział Matt. - W agencji mamy urwanie głowy, a Adam jeszcze nie wrócił do siebie. Zawał bardzo go zmienił. A odkąd nominowano naszą kampanię do głównej nagrody, wszyscy chcą tylko nas. Telefony się urywają, Adam rii chce odsyłać klientów z kwitkiem, zwłaszcza starych, którzy współpracują z nami od dawna.

Hope ciężko opadła na krzesło. Co za ulga. Więc Matt nic nie wie o niej i o Christym.

-Nie ma sprawy - zapewniła ciepło, szczęśliwa, że nic się nie wydało.-Rozumiem.

- To cudownie, kochanie. Obawiałem się, że wpadniesz w szal. Wiem, że nie było ci łatwo samej z dziećmi. Mam pomysł: kiedy wrócę, podrzucimy maluchy Finuli i wybierzemy się we dwoje na romantyczny weekend. Co ty na to?

Na myśl o romantycznym weekendzie, podczas którego będzie cały czas gryzła się w język, żeby mu nic nie powiedzieć, zrobiło jej się zimno.

Bardzo chciała wyznać mu całą prawdę; tak, całowała się z Christym de Lacy, ale to nic takiego, naprawdę, to był błąd i nigdy więcej...

- Co ty na to, Hope? Uważasz, że to dobry pomysł?

- Wspaniały - odparła automatycznie. - Tak, wyjazd to świetna myśl, ale zabierzmy dzieci ze sobą. - Przy Millie i Tobym nie będzie czasu ani na długie rozważania, ani na rozmowy o stanie ich małżeństwa.

Matt wyliczał, dokąd mogliby pojechać, ale Hope nie słuchała; wymyślała sobie od ostatnich. Tylko że niewłaściwie zinterpretował jej milczenie.

- Nie zachowuj się tak - poprosił. - Przykro mi, że nie przyjadę w ten weekend. Wiem, pewnie dzieci całkowicie mnie zapomniały, a ty z nudów wzięłaś sobie kochanka. - Roześmiał się z tego absurdałnego pomysłu.

Hope zawtórowała nerwowo.

- Bardzo śmieszne - powiedziała.

Wcale nie miała zamiaru stroić się do pracy. Naprawdę nie miała takiego zamiaru. Poprzedniego wieczoru naszykowała sobie zwykłą białą koszulę i czarne spodnie; wygląda w tym jak podstarzała kelnerka i nikomu nie mogłaby się podobać. W kółko sobie powtarzała, co powie, jeśli spotka Christy'ego: „Jestem mężatką, Christy. Kocham mojego męża. To był błąd, za dużo wypiałam. Przepraszam, jeśli w związku z moim zachowaniem robiłeś sobie pewne plany. Jestem szczęśliwa w małżeństwie”.

Przećwiczyła to wiele razy. Za każdym razem rumieniła się ze wstydu; naprawdę powie to na głos? Christy pewnie się zdziwi, słysząc, że nie chciała, żeby ją całował. Pewnie teraz uważają za rozpustnicę, która zdradza męża na prawo i lewo. O Boże, nie! Przez tyle lat małżeństwa nawet nie spojrzała na innego mężczyznę, jeśli nie liczyć Mela Gibsona i paru innych aktorów, ale to się chyba nie liczy, prawda?

W głębi duszy miała nadzieję, że może nigdy więcej nie spotka Christy'ego i cała sprawa umrze śmiercią naturalną, będzie mogła udawać, że do niczego nie doszło. Z drugiej strony trochę naiwnie łudzić się, że Christy nagle stanie się ślepy, głuchy i niemy. I jeszcze w dodatku nieobecny.

Koniec końców to Millie sprawiła, że Hope musiała przebrać się z uniformu kelnerki; córeczka upięszyła go sporą ilością dżemu truskawkowego.

- Millie, uwaga! - krzyknęła, ale było już za późno.

Millie i, co za tym idzie, wszystko dokoła było dokładnie umazane dżemem. Odcisk małej łapki na białej bluzce nie nadawał się do pokazania publicznie. Hope najpierw przebrała Millie, która upaprała także swoją bluzę, potem pobiegła do swojego pokoju. Czy ma jeszcze coś białego? Tak, jedwabną bluzkę. Wisiała w rogu szafy. W całym zamieszaniu Hope zapomniała, czemu nosi jątak rzadko. A nie nosiła jej, bo bluzka, pozornie skromna i grzeczna, była z jedwabiu, elektryzowała się błyskawicznie i przylegała do ciała jak druga skóra.

Przypomniała sobie to wszystko, gdy zdejmowała płaszcz w hotelu.

- O rany - mruknęła Una ze współczuciem. - Jedwab, tak? Mam taką spódnice. Nie noszę jej, bo oblepia mi nogi, a nie są na tyle zgrabne, żeby je prezentować.

- Strasznie to wygląda, prawda? - jęknęła Hope. Koronkowy stanik przebijał przez cienki jedwab. - Ale to nic, może uda mi się jakoś to znieść.

Janet miała tego dnia wolne, więc siedziały w biurze we dwie, pracowały, słuchały radia i gawędziły.

Ilekoć otwierały się drzwi, Hope podskakiwała nerwowo i modliła się, żeby to nie był Christy. Nie chciała go widzieć, wstydziła się, zwłaszcza teraz, kiedy wyglądała, jakby się urwała z konkursu na miss mokrego podkoszulka.

Ranek minął spokojnie. Pewnie Christy wyjechał, uspokajała się. Ulżyło jej do tego stopnia, że przestała się nawet przejmować przylegającą bluzką. Przy odrobinie szczęścia wyjdzie, zanim on się pojawi, a następnym razem oboje udadzą, że nic się nie stało.

Tak samo jest z aktorami, na planie flirtują jak szaleni, ale na planie się nie liczy, tłumaczyła sobie. Później wszyscy zainteresowani zachowują się jak gdyby nigdy nic, potulnie wracają do mężów i żon i nie ma sprawy. W hotelarstwie jest pewnie tak samo.

Za pięć pierwsza wyłączyła komputer i złapała płaszcz.

- Jest jeszcze przed czasem, ale dzisiaj się spieszę - powiedziała do Uny. Może się uda; Christy zawsze zjawiał się po pierwszej.

- Nie ma sprawy - mruknęła Una. - Możesz to podrzucić na recepcję? - podała jej kopertę.

Hope dyskretnie zerknęła w stronę recepcji. Horyzont czysty, ani śladu Christy'ego. Jak na skrzydłach podbiegła do recepcjonistki, wręczyła kopertę i wybiegła z budynku. Nawet nie włożyła płaszcza, nie chciała marnować czasu. Skręciła za róg, ostrożnie wyjrzała zza żywopłotu i brązowej statuetki setera irlandzkiego - droga wolna. Najszybciej jak się dało na wysokich obcasach, pobiegła na parking dla personelu. Christy pojawił się nie wiadomo skąd przy wejściu na parking.

Wyglądał rewelacyjnie w ciemnym garniturze, z błyszczącymi oczami. Rewelacyjnie i niepokojąco. Jeszcze bardziej niepokojąco niż w snach Hope, choć tam był nagi i tym niskim, zmysłowym głosem mówił, jak bardzo jej pragnie.

- Dzień dobry - odezwał się, szacując ją wzrokiem. - Zawsze się pani spieszy, pani Parker.

Hope zaniemówiła. Choć tyle razy ćwiczyła swoją przemowę, nie była w stanie wygłosić jej teraz, stojąc z nim oko w oko.

- Muszę odebrać dzieci - powiedziała i zaraz tego pożałowała. Przecież wtedy odebrała je dopiero o czwartej.

- Szkoda - rzucił lekko. - Moglibyśmy się wybrać na lunch. Podoba mi się twoja bluzka - zauważył, muskając materiał jedną ręką. - Masz

interesujący gust. - Uśmiechał się szeroko. Był tak blisko, że czuła na twarzy jego ciepły oddech. - Bardzo kuszący strój - stwierdził ochryple. - Nie sędzę, żebym był w stanie pracować, gdybym musiał na ciebie patrzeć.

- Nie musisz - odparła głupio. Christy uśmiechnął się powoli.

- Ale chcę. - Czuła na sobie jego wzrok; patrzył na pełne piersi, szerokie biodra i koralowe usta, drżące z oczekiwania. Pochylił się, przysunął jeszcze bliżej, aż ich usta dzieliły zaledwie centymetry. Widziała, że się uśmiecha.

Hope tego nie chciała, ale nie mogła się opanować. Zapomniała o swoich postanowieniach i dała się ponieść upajającej świadomości, że stoi tak blisko najbardziej pociągającego mężczyzny, jakiego w życiu widziała. Kiedy ją pocałował, odwzajemniła pieśczoć. Przyciągnął ją bliżej, otoczył ramionami. W zacisznym zaułku, koło żywoplotu, mogli czuć się swobodnie i bezpiecznie. Christy tulił ją mocno, aż przywarła do jego szczupłego, twardego ciała. Zareagowała spontanicznie, otoczyła jego szyję ramionami, wplotła palce w ciemne włosy, przyciągała go do siebie, zachłannie i gwałtownie, jakby była nurkiem spragnionym powietrza, a on jej butlą tlenową.

Pocałunek wydawał się nie mieć końca. Hope całkiem się zatraciła. Pragnęła go każdą cząstką ciała, wyciągała się ku niemu jak kwiat ku słońcu. Jej dłonie bawiły się jego włosami, rozkoszowała się ich dotykiem. Christy przesunął dłonie niżej, na jej pośladki. Jęknęła, gdy przycisnął ją do siebie. Pragnęła go, tu i teraz. Chciała, żeby oparł ją o murek, zdarł z niej ubranie i wziął ją, teraz, zaraz. Tak, tak...

- Tak... - westchnęła, gdy jego usta wędrowały w dół jej szyi, w stronę dekoltu.

- Tak? - szepnął ochryple. - Chcesz tego?

- Tak. Wiem, że to źle, ale nic na to nie poradzę - jęknęła.

- To wcale nie jest źle. - Jego zręczne palce szybko uporały się z guzikami bluzki i po chwili poczułajego dłonie na staniku i na piersi. Kiedy dotknął nabrzmiącej brodawki, jęknęła głośno. Chyba nigdy w życiu nie była tak podniecona. Pragnęła go całą sobą, pożądanie pozbawiało ją zmysłów.

Oboje podskoczyli, gdy rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka. Komórka Christy'ego.

- Cholera! - zaklął. Wyjął dłoń z jej bluzki i pospiesznie szukał komórki. - Christy de Lacy - powiedział spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

Hope stała jak wryta, z szeroko otwartą buzią i rozchełstaną bluzką.

- Dzień dobry, panie Wilson, oczywiście, że pana pamiętam - zapewniał Christy, profesjonalny w każdym calu. Jakby przed chwilą nie był o krok od seksu z Hope.

Zniknęła upajająca euforia, że Christy jej pragnie; została bolesna prawda, że w obliczu obowiązku bez chwili wahania ją odepchnął. A ona, jak suka w cieczce, uległa instyktom, zapomniała o mężu. Co oni robili? Co ona zrobiła? Przerażona, zapięła bluzkę, podniosła płaszcz z ziemi

i pobiegła do samochodu. Tyle, jeśli chodzi o „bardzo kocham mojego męża”, stwierdziła, zatrząskując za sobą drzwiczki.

Jesteś kłamliwądzirą, wyrzucała sobie, jadąc bardzo szybko, na wypadek gdyby Christy za nią pojechał w nadziei na dalszy ciąg. Ale nie pojechał. No tak, wziął się w garść i pewnie już zapomniał o macance z nową z księgowości. Z nową mężatką. Teraz Christy będzie patrzył na Marta z wyższością, myśląc sobie: Miałem twoją żonę, kolego. Sama chciała.

W tej chwili nienawidziła się bardziej niż kiedykolwiek. Co ona narobiła? W domu włożyła stare dzinsy i brzydką, zniszczoną bluzę. Chciała się komuś zwierzyć, poszukać pociechy, usłyszeć, że to nic, nie stało się nic złego i nie ma się czym martwić.

Sam nie odbierała ani komórki, ani telefonu w biurze. Zrozpaczona Hope zadzwoniła do Mary-Kate, ale było zajęte. Delphine zna Christy'ego, jej się nie może zwierzyć. Siedziała przy komputerze i chciała napisać do Sam, ale wtedy powrócił wstyd. Kiedy patrzyła na słowa: „pocałował mnie, a ja nie protestowałam”, uznała, że nie może się przyznać siostrze, jak nisko upadła. Sam będzie się za nią wstydział. I słusznie.

Załamana, włożyła kalosze i poszła na dwór. Zrobi coś, czego nie lubiła najbardziej; posprząta w kurniku.

Kury rzadko siedziały w kurniku, chyba że zaczynała tam sprzątać. Wtedy natychmiast porzucały wszelkie kurze zajęcia i spieszyły do kurnika, wyraźnie zde gustowane jej działaniami.

- Cicho! - burknęła na nie i zabrała się do pracy. Smród był okropny, a jeszcze gorsze - larwy much na kurzych odchodach. Na widok białych larw zawsze zbierało się jej na mdłości. Cóż, dzisiaj na to zasłużyła. Zaciśnęła zęby i pracowała dalej.

Kiedy późnym wieczorem dodzwoniła się do Sam, wołała już nic nie mówić. Nie żeby Sam była pruderyjna czy coś takiego, ale niewierność to poważna sprawa. Temat tabu, o tym się nie rozmawia. Nawet najwięksi grzesznicy byliby zgorszeni, słysząc, że zdradziła męża.

Choć Sam nie przepada za Mattem, i tak byłaby zbulwersowana, że jej siostra w ogóle pomyślała o zdradzie. Co więcej, byłaby gorzko

rozczarowana. I dlatego Hope nic nie powiedziała, tylko przez dziesięć minut paplała o niczym.

W piątek zadzwoniła Mary-Kate z wiadomością, że ona i Virginia mają grypę, Delphine rozłoży się lada dzień, więc w tę sobotę spotkania Klubu Makramy nie będzie. Hope chciało się płakać. Weekend nadciągał jak burza, a nie ma komu opowiedzieć tej strasznej historii.

- Chyba też się rozłożysz - zauważyła Mary-Kate.

- Nic mi nie jest - skłamała.

Odłożyła słuchawkę i utkwiała wzrok w oknie. Na dworze dzieci bawiły się w błocie, upaprane jak nieboskie stworzenia. Były takie szczęśliwe. Ona nie, ale mogła mieć pretensje tylko do siebie. Ma tylko jedno wyjście; zrezygnuje z pracy. Nie zdoła spojrzeć w oczy Christy'emu po tym, co się stało. A Mattowi?

Rozdział 19

okąd pójdziemy na kolację? - zapytał Morgan, gdy wyszli z kina na chłodne powietrze przy Leicester Square.

- Kolację? - zdziwiła się Sam. - Dopiero co zjadłeś ogromny kubeł popcornu. Nie powiesz mi, że jesteś głodny. Chyba masz tasiemca. - Z udawanym przerażeniem spojrzała na jego płaski brzuch.

- Odgadłaś mój sekret - zaśmiał się. - Wiesz, my faceci też cierpimy dla urody. Depilujemy sobie nogi, hodujemy tasiemce...

Sam parsknęła śmiechem.

- Chciałabym zobaczyć twoją minę przy woskowaniu... - spojrzała na niego złośliwie - powiedzmy, bikini.

Morgan skrzywił się.

-No dobra, wygrałaś. Kobiety mają gorzej itak dalej. Ale rola łowcy i zbieracza też nie jest łatwa.

Sam teatralnie uniosła oczy ku niebu.

- Poza tym mieliśmy iść do kina i na kolację - przypomniał Morgan. - Na razie było tylko kino. Jestem już dużym chłopcem i muszę dużo jeść, więc kolacja też będzie.

- Ale płacimy po połowie - zastrzegła Sam. W końcu to nie randka i chciała ustalić wszystko na początku. Morgan zadzwonił wczoraj. Zamierzał iść na nowy film z Tomem Hanksem i zaproponował, żeby się z nim wybrała. Nie brzmiał romantycznie ani uwodzicielsko.

Mówił normalnie, jak do przyjaciela. Czyli trzeba wyjaśnić sprawy finansowe.
- Jak chcesz - mruknął. - Chociaż właściwie wiszę ci kolację.

Szli w milczeniu. Sam starała się dotrzymać mu kroku. Zazwyczaj to inni musieli za nią nadążać.

Spacerowali po Soho i szukali przytulnej knajpki, aż znaleźli to, o co im chodziło - włoską restaurację z przytłumionym światłem. Menu zapowiadało wiele dań Jak u mamy".

- Oby nie jak u mojej - zażartował Morgan, gdy weszli. - To bardzo utalentowana kobieta, ale nie ma pojęcia o gotowaniu. Mój ojciec nie wpuszcza jej dó kuchni, przypaliłaby nawet wodę na herbatę.

Sam nie ukrywała zaskoczenia. -Nigdy nie opowiadasz o sobie.

- Witamy - odezwała się blond kelnerka o bynajmniej nie włoskiej urodzie. Z zachwytem gapiała się na Morgana. - Stolik dla dwojga? Proszę bardzo.

Zaprowadziła ich do stolika i podała karty dań. Wyraźnie nie chciała od nich odejść. Sam obserwowała całą scenę zarazem zła i rozbawiona. Dobrze chociaż, że Morgan nie zdawał sobie sprawy z cielecego zachwyty kelnerki.

- Nie opowiadam o sobie, bo i nie ma co - stwierdził, gdy już zostali sami. - Jestem nudziarzem.

-Nasza kelnerka jest innego zdania - wyrwało się Sam. - Podobnie jak Tanya w sklepie koło nas i te wszystkie kobiety, które robią do ciebie maślane oczy.

- Zazdrosna, pani Smith? - Kiedy chciał, miał bardzo przenikliwe spojrzenie.

Przez jedną szaloną chwilę myślała, że właśnie o to mu chodzi; żeby była o niego zazdrosna. Że chciałby, żeby odpowiedziała: „Tak, szaleję z zazdrości, kiedy kobiety na ciebie patrzą". Ale nie, to niemożliwe. Morgan nie jest nią zainteresowany, nie w ten sposób. Lubi ją, owszem, chętnie z nią gada w przerwach między romansami, ale najwyraźniej nie jest w jego typie. Dobrze chociaż, że rozmaitym Tanyom i Mirandom Morgan nie poświęca wiele uwagi.

Napiła się wody.

- Gorąco tu - wachlowała się dłonią. Morgan zmrużył oczy w uśmiechu.

- Przestań szczerzyć zęby, zacznij mówić - poradziła. - Jesteś zdecydowanie za skryty. Z tego co wiem, mógłbyś być na liście najbardziej poszukiwanych przestępców Interpolu albo FBI.

Skinał głową.

- A więc już wiesz. Rzeczywiście, wyznaczyli za mnie nagrodę. Niezbyt dużo, ale starczyłoby na, powiedzmy - zamyślił się - remont twojego mieszkania i nowy samochód.

- Komik? - zażartowała. - Nie, poważnie, powiedz coś o sobie. Przetarł oczy znużonym gestem.

- Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że jeśli ludzie o czymś nie mówią, to dlatego, że nie chcą?

- Owszem - odparła spokojnie. - Aleja i tak pytam. Wiesz, jestem bezpośrednia. Parsknął śmiechem.

- Komisarze Scotland Yardu są mniej bezpośredni od ciebie. No dobrze, pani inspektor, co chce pani wiedzieć?

Sam znowu zrobiło się gorąco. Co chce wiedzieć? Z iloma kobietami się spotykał, związał na dłużej, czy był żonaty? Ale o to nie może spytać, bo wtedy Morgan się domyśli, że ją interesuje. O nie. Co za upokorzenie. Jakby pożeracz dwudziestoletnich blondynek chciał mieć coś wspólnego z prawie czterdziestoletnią twardą suką.

Sam zrobiła to co zawsze; w trudnej sytuacji rozmawiaj o pracy.

-Nie jesteś komputerowym magnatem, wiem, bo sprawdzałam -odezwała się. - Więc czym się zajmujesz? -1 jakim cudem stać cię na dom w mojej okolicy, było w podtekście.

- Chciałaś powiedzieć, jakim cudem stać mnie na dom w twojej okolicy? - zapytał poważnie.

Zagryzła usta i parsknęła śmiechem.

- No dobra, przyznaję, o to mi chodziło. Pojawiła się kelnerka z ich zamówieniami.

- Podać państwu coś jeszcze? - zapytała, gapiąc się na Morgana. Uśmiechnął się szeroko, aż Sam zrobiło się słabo i zarazem zapagnęła uderzyć kelnerkę za impertynencję.

-Nie, dziękujemy - powiedział w końcu.

- Jezu, nigdy czegoś takiego nie widziałam - syknęła Sam, nawijając makaron na widelec. - Pożerała cię wzrokiem. To już przesada.

- Wykonywała swój obowiązek. - Morgan był zdumiony. - Musiała o to zapytać. O co ci chodzi?

Sam odłożyła widelec. Czy on naprawdę tego nie widzi? Czy sądzi, że kelnerki na wszystkich mężczyzn patrzą jak łakomczuchy na snickersa?

- O nic - mruknęła. - Mówiłeś o swojej pracy.

- Byłem biznesmenem, inwestorem. - Zebrał sos bułką. - Wspólnikiem w dużej firmie inwestycyjnej. Duże ryzyko, duże zyski.

- Dlaczego zrezygnowałaś? - zapytała nieostrożnie. - Mówisz o tym z taką pasją...

Podniosła na niego wzrok. Jego twarz przypominała maskę. Odruchowo przykryła jego dłoń swoją.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Zapomnij, co powiedziałam. Maska ożywiła się trochę.

- W porządku. Muszę się nauczyć o tym mówić. - Nagle się uśmiechnął. - Charlie mi to w kółko powtarza. Charlie to mój pasierb, ma fioła na punkcie psychologii.

- Nie wiedziałam, że masz pasierba - zauważyła Sam.

- Widzisz? Opłacało się grać tajemniczego faceta. Mam troje pasierbów, Charliego i dwie dziewczyny. Mieszkają z mojąbyłą żoną, ale nadal jesteśmy bardzo zżyci. Znam ich, odkąd byli mali.

- O rany! - Sam naprawdę miała wyrzuty sumienia. - Przepraszam, nie chciałam cię wypytywać...

- Jesteś kobietą, to u ciebie wrodzone - wybełkotał Morgan ustami pełnymi makaronu.

- No bo ty o mnie wiesz wszystko - zauważyła.

- Żartuję - zapewnił miękko. - Kiedy już zacząłem, nie jest tak źle. Rozumiem, co czujesz, bo też byłem pracoholikiem. Żyłem tylko pracą i koniec końców przez to rozpadło się moje małżeństwo. Rozstaliśmy się, najpierw była separacja, potem rozwód, aż dojrzałem do tego, by się wyrwać z wyścigu szczurów. Niestety, już za późno dla Val i dla mnie. I tyle.

- Przykro mi - powiedziała.

Wzruszył ramionami i odsunął pusty talerz.

- To moja wina - przyznał otwarcie. - Zająłem się remontem domu, żeby dać sobie czas na przemyślenie pewnych spraw. Dawniej nie zmieniałem nawet żarówki, nie miałem na to czasu. - Uśmiechnął się gorzko. - Udawałem władcę wszechświata, a moje życie rodzinne waliło się w gruzy.

Sam żałowała, że zaczęła tę rozmowę. Nie chciała go denerwować ani rozdrapywać bolesnych ran.

- Wrócisz do pracy? - zapytała, chcąc zmienić temat. Pokręcił głową.

- Nie chcę już tak żyć. Akcje i obligacje to mało, jeśli nie ma się nic poza nimi. Ostatni rok pozwolił mi zobaczyć wszystko z odpowiedniej perspektywy. Potrzebowałem czasu i dlatego nie chcę się angażować w nowy związek. - Popatrzył głęboko w jej piwne oczy. - Nie chciałem - poprawił poważnie.

To była ważna chwila, nabrzmiała znaczeniem. Sam nerwowo zagryzła usta, czekała, aż Morgan powie coś jeszcze, na przykład, że mu na niej zależy, bo przecież on musi to powiedzieć pierwszy.

- Skończyli państwo? Może coś jeszcze? - Kelnerka sprawnie sprzątała ze stołu i co chwila raczyła Morgana promiennym uśmiechem.

- Może deser?

- Nie - warknęła Sam.

- A ja tak - powiedział Morgan. - Lubię słodczyce - wyjaśnił Sam.

- Tak myślałam. - Kelnerka puściła do niego oko. Sam łypnęła na nią groźnie, ale nastrój przysł.

Morgan też to wyczuł. Rozparł się wygodnie na krześle, tak że nie siedzieli już blisko, pochyleni do siebie jak kochankowie.

- Dobrze mi było bez mankietów. Cieszyłem się, że nie muszę wstawać o piątej, żeby zdążyć na samolot do Frankfurtu.

- A ja myślałam, że nie masz jednej przyzwoitej koszuli - roześmiała się Sam.

- Z tą coś nie tak? - zdziwił się, patrząc na zniszczoną niebieską koszulę i stare sprane dzinsy.

- Jest śliczna - powiedziała szczerze. Cały czas była świadoma jego bliskości, jego długie nogi co chwila dotykały jej kolan pod małym stolikiem.

Gawędzili pogodnie, pili kawę, jedli lody, a potem złapali taksówkę i pojechali do domu. Przez cały czas Sam czuła jego bliskość. Żartowali i chichotali. To jej się w nim najbardziej podobało: zawsze potrafił ją rozbawić.

Kiedy dojechali, wręczył taksówkarzowi pieniądze, zanim otworzyła torebkę.

- Mieliśmy płacić po połowie - mruknęła.

- Uspokój się, dobrze? - poprosił. - Nie zażądam rewanzu w naturze tylko dlatego, że zabuliłem osiem funtów za taryfę.

A szkoda, pomyślała.

- Może w takim razie odwzajemnię się filiżanką kawy? - zapytała, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.

- Chętnie. - Przytrzymał jej drzwi. - Panie przodem, pani Smith. Sam czuła, jak jej serce szaleńczo szamoce się w piersi. To jest to; ma okazję, by się przekonać, czy mu na niej zależy.

Przechadzał się po salonie, oglądał srebrnego słonia, podziwiał obrazy na ścianach.

-Na przyjęciu nie miałem okazji, ale chciałem ci powiedzieć, że bardzo mi się podoba twoje mieszkanie.

- Dziękuję - krzyknęła z kuchni. W panice szukała mielonej kawy. Powinna jeszcze być. Cholera, cholera, cholera! Nie ma. Proszę, oto uroki pracy zawodowej; brak czasu na zakupy i lodówka świecąca pustkami.

- Może być rozpuszczalna? - zapytała.

- Pewnie. Nastawię muzykę, dobrze? Cicho, tak że sąsiedzi nie wpadną z awanturą i nie wyłączą wieży z kontaktu - dodał złośliwie.

- Bardzo zabawne, Benson - mruknęła. - Nastaw głośniej niż na piątkę, a zamorduję cię własnymi rękami. Facet nade mną wali w sufit, ledwie coś usłyszysz.

- No tak, zapewne strasznie hałasujesz - zażartował. - Już sobie to wyobrażam, te dzikie imprezy, gdzie wódka leje się strumieniami, a muzyka rozwała ściany.

- Łatwo ci żartować - wzdrygnęła się. - Szalony Malcolm ma psa, który szczeka od rana do nocy. Poza tym facet słucha muzyki na cały regulator, tak że słyszą ją ci pode mną, a potem wrzeszczy na nas, że strasznie hałasujemy.

- Jezu - mruknął Morgan. - I nic nie można z nim zrobić?

- Wszyscy składali na niego skargi gdzie się tylko da, ale na razie nic to nie pomogło. Mam nadzieję, że niedługo kompletnie mu odbije i wtedy zabiorą go w kaftanie bezpieczeństwa. Albo to, albo się wyprowadzam.

- Zapomnijmy o nim - zaproponował, gdy z głośników rozległ się głos Niny Simone.

- Moja ulubiona płyta - ucieszyła się Sam. - Skąd wiedziałeś? Morgan wygodnie rozsiadł się na kanapie.

- Wyglądasz na kobietę, która lubi dobrą muzykę. Niosła właśnie kubki z kawą, gdy zadzwonił telefon.

- Cholera - postawiła je gwałtownie. - Kto to może być o... - zerknęła na zegarek.

- Za kwadrans jedenasta. - Pobladła. Stało się coś złego. To na pewno Hope.

Podbiegła do telefonu.

- Halo?

- Sam - zaczęła Hope. - To ja. Muszę z tobą porozmawiać.

- Jasne. Hope, oddzwonię później, dobrze? - Sam nie miała pojęcia, ile czasu siostra zbierała się na odwagę.

Cisza w słuchawce. Morgan wstał.

- Pójdę - szepnął bezgłośnie. Sam pokręciła głową.

- Nie ma sprawy - powiedziała Hope. - Masz gości, prawda? Zadzwonię innym razem.

Najwyraźniej była bardzo zdenerwowana.

- Nie, Hope, poczekaj - prosiła. Morgan włożył kurtkę, pomachał jej na pożegnanie i wyszedł.

- Już poszedł - powiedziała do słuchawki. - O co chodzi?

- O nic - usłyszała. - O nic. Jutro zadzwonię. Na razie.

I odłożyła słuchawkę. Sam spojrzała na kubki z kawą i westchnęła głęboko. Mogłaby udzielać porad, jak całkowicie zepsuć wieczór.

Rozdział 20

Nicole po raz setny tego ranka sprawdzała swój makijaż. - Uważaj, jeszcze trochę, a pęknie lustro - zażartowała jej matka z charakterystycznym chichotem.

- Nie pleć - zachnęła się babcia. - Ona przynajmniej zagląda do lustra, kiedy się maluje. A ty zamykasz oczy i mażesz się na ślepo.

Nicole zacisnęła palce na filiżance. Klóciły się, odkąd wyszły z domu i wsiadły do taksówki.

Najpierw babcia mamrotała, że taksówka to marnowanie pieniędzy, skoro jest tyle autobusów. Jeśli ona może jeździć autobusem, mogą i one.

Sandra prychnęła wtedy, że najwyższy czas, by zaczęły żyć na wyższym poziomie. A skoro o poziomie mowa, widziała w gazecie śliczną torebkę, za jedyne dwieście funtów. Skoro Nicole będzie wkrótce bardzo bogata, będą kupowały tylko u Harrodsa, prawda?

- Harrods! - wrzasnęła babcia tak przenikliwie, że kierowca, pogodny rastafarianin z dreadami do ramion, podskoczył nerwowo. - Moja droga, daleko ci do Harrodsa. Za moich czasów nikomu się o Harrodsie nie śniło, ot co. Poziom, też mi. Kiedy byłam w twoim wieku, nawet mi to do głowy nie przyszło.

Kłóciły się cały czas, a Nicole wyglądała przez okno i zastanawiała się, dlaczego nie powiedziała ludziom z Titus Records, że jest sierotą. Darius zaproponował, żeby zjawiała się z rodziną, dla wsparcia.

- Rzadko się zdarza, żeby firma fonograficzna kontaktowała przyszłe gwiazdy z potencjalnymi menedżerami, zazwyczaj artyści już kogoś mają. Poza tym dla nas to właściwie nieopłacalne, zawodowy menedżer na pewno wyciśnie z nas więcej forsy niż ty. Ale Sam Smith chce, żebyś miała reprezentanta z prawdziwego zdarzenia.

- Sam jest bardzo miła. - Nicole nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Od pierwszego spotkania panicznie bała się Sam. Opanowana, milcząca i spokojna, Sam wydawała się lodowata. Zdecydowanie nie sprawiała wrażenia entuzjastki, która zabiega o to, by nowa piosenkarka miała odpowiedniego menedżera. Lecz Dariusz bardzo ją chwalił.

Nicole nie wiedziała do końca, czy może mu zaufać. Właściwie nie była pewna, czy może zaufać komukolwiek z nich, ale los dał jej szansę i musi ją wykorzystać. Pierwsze spotkanie zaczęło się o wpół do jedenastej, w siedzibie Titus Records. Po wszystkich pięciu Dariusz i Sam zabiorą panie Turner na obiad do restauracji.

Nicole miała nadzieję, że do tego czasu matka i babka przestaną się kłócić. Jak na razie nie okazały się zbyt pomocne. Miały pół godziny do pierwszego spotkania. Poszły na kawę do kawiarni naprzeciwko biurowca Titus. Walka zaczęła się od narzekań Reenie Turner, że herbata taka droga i czemu cukier jest w tych głupich rulonikach.

Teraz dyskutowały o farbowaniu włosów; był to ich ulubiony temat. Sandra, wierna fanka Goldie Hawn, wierzyła święcie, że blondynki mają lepiej, natomiast katolickie wychowanie Reenie kazało jej głosić, że trzeba się zadowolić tym, co dał nam Bóg.

- Zobacz, nawet Nicole przez to cierpi - burczała babka.

- I tak jej ładnie - odcięła się Sandra. - Lepsze to niż siwe kudły jak u zmokniętego owczarka.

- No nie, tego już za wiele! - oburzyła się Reenie.

Nicole umierała ze strachu przed spotkaniami z potencjalnymi menedżerami, a tu jeszcze to. Miała dosyć. Gwałtownie wstała, aż metalowe krzesło zaskrzeczało na podłodze.

- Przywiozłam was tutaj, bo miałyście mnie wspierać - syknęła. - Myślałam, że chociaż raz weźmiecie się w garść i zechcecie mi pomóc. Ale jeśli wolicie się kłócić, idźcie do domu! Mam dosyć zmartwień na głowie, żeby wysłuchiwać waszych awantur!

Matka i babka wyraźnie się speszyły.

- Masz rację, Nicole - przyznała babka. - Przepraszamy, kochana, bardzo przepraszamy. Po prostu się denerwujemy.

- A ja nie? - zachnęła się Nicole.

- Wydajesz się taka opanowana - stwierdziła Sandra.

Nicole ciężko usiadła z powrotem. Miała ochotę im powiedzieć, że wcale nie jest opanowana, że umiera ze strachu. Nie mogła. Za bardzo na nią liczą. Niech myślą, że jest przygotowana na wszystko.

- Nie wygłupiaj się - burknęła. - Nie ma się czym denerwować. Sprawa jest prosta: rozmawiamy z pięcioma osobami i wybieramy jedną.

Jasne? Po prostu łatwiej się skoncentruję, jeśli przestaniecie skakać sobie do oczu.

Matka i babka patrzyły na nią z dumą. To jest ich Nicole: silna, mądra i piękna. Nic jej nie przeraża, da radę tym typkom od muzyki. Skąd ona się taka wzięła?

Eleganckie biura Titus Records zrobiły na Sandrze ogromne wrażenie; minispódniczka recepcjonistki zrobiła mniejsze na jej matce. Obie jednak milczały. Robiły to dla dobra Nicole. Choćby nie wiadomo ile miało je to kosztować, zachowują się nienagannie.

Reenie nie powstrzymała się jednak od komentarza na temat Dariusa, gdy wprowadził je do sali konferencyjnej i poszedł po Sam.

- Dobrze wychowany, ot co - orzekła. - Bardzo uprzejmy, ma dobre maniery. Myślałam, że wszyscy, co się zajmują muzyką, to narkomani i alkoholicy. Szkoda tylko, że tak źle się ubiera.

Nicole uśmiechnęła się mimo zdenerwowania. Ona osobiście uważała, że sprana dżinsowa kurtka, biała koszulka i czarne spodnie świetnie leżą na wysokim, szczupłym Dariusie. Podobała jej się też jego fryzura; krótkie jasne włosy, mocno nażelowane, sterczały na wszystkie strony. '

Jemu także podobały się jej włosy.

- Lepiej ci tak - powiedział z podziwem, gdy na krótką chwilę zostali sami, bo Sandra i Reenie wyglądały przez okno i podziwiałały panoramę Londynu.

Nie wiadomo dlaczego, w tej chwili Nicole uznała, że może mu zaufać. Coś w jego szczerej, otwartej twarzy budziło zaufanie. Coś, co zdradzało, że Darius Good jest dobry dla zwierząt, ustępuje starszkom miejsca w metrze i dzwoni do dziewczyny, jeśli jej to obieca.

Uśmiechnęła się do niego i nagle surowa kocia twarzyczka rozkwitła ciepłem i delikatnością; zawsze wiedział, że istnieje i taka Nicole.

- Dziękuję - szepnęła.

- Mówię poważnie - zapewnił.

- Wiem - odparła miękko.

Kiedy biegł długim korytarzem po Sam, czuł, że świat należy do niego. Sam miała pięć minut przed następnym spotkaniem.

- Chciałabym się przywitać. Na pewno bardzo się denerwują. Zaproponowałeś im kawę?

- Eee... nie, ale zaraz to zrobię.

Sam Smith ostatnio się zmieniła. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale była inna. Bardziej miękka i delikatna. A może tylko mu się zdaje. Ale nie, Izzy, jedna z sekretarek, mówiła to samo. Tylko że ona ujęła to bardziej brutalnie:

- Pani Smith ma faceta - orzekła kiedyś przy lunchu. - Przestała się ubierać jak bizneswoman, przerzuciła się na hipisowskie zwiewności. Kilka dni temu miała kucyk i gumkę z kwiatkiem, widziałeś? Tak, to facet. Nawet najtwardsza baba mięknie, kiedy w domu czeka nie tylko kot.

Dariusz uważał, że Izzy nieco przesadza, ale musiał przyznać, że Sam się zmieniła. Była bardziej rozmowna, przyjacielska, a nie twarda i konkretna, jak na początku, gdy rozmawiał z nią po raz pierwszy. Zresztą nic go to nie obchodzi. Liczy się tylko to, że nowa łagodna Sam Smith jest miłsza dla jego cudownej Nicole.

Sam szybko szła korytarzem w nowej sukience w kolorze ecru. Cudownej, świetnie skrojonej, dopasowanej, a jednocześnie nie obcisłej.

Nicole zerwała się z miejsca na jej widok; szczupła, zwinna postać z burzą rdzawych włosów na kształtnej główce.

- Cześć, Sam.

Sam uściskała ją serdecznie; dawniej nie zrobiłaby czegoś takiego. Dawniej, czyli zanim Choroba-myślała o tamtych dniach strachu z wielką literą-zmieniła jej życie.

- Witaj, Nicole. Cieszę się, że cię widzę.

- To moja babcia, Reenie Turner - przedstawiła Nicole. - I moja mama, Sandra.

- Dzień dobry. - Reenie uściśniła dłoń Sam z całej siły. - Przyszłyśmy, żeby służyć Nicole wsparciem i pomocą - oznajmiła stanowczo. - Nicole prosiła o wsparcie, więc je dostanie.

- To takie ekscytujące - szczebiotała Sandra, podając Sam drobniutką dłoń. - Jak pani może się skupić na pracy, mając taki piękny widok za oknem?

- Po pewnym czasie już się go nie zauważa - stwierdziła Sam ze smutkiem.

Uważnie przyglądała się paniom Turner. Przynajmniej babka wydaje się rozsądna, bo na pewno nie można tego powiedzieć o uroczym roztrzepanej matce Nicole. Nie do wiary, żeby kobieta w średnim wieku ubrała się w deszczowy dzień w kremowy żakiet, dziewczęcą sukienkę w kwiatki i różowe sandały. Coś takiego dobrze wygląda w gazecie, na dwudziestoletniej modelce, ale jest zbyt frywolne na co dzień, na szarą rzeczywistość.

- Nie będę z wami podczas spotkań - wyjaśniła Sam. - Ale Dariusz zostanie, jeśli chcecie.

Nicole spojrzała na niego ukradkiem.

-Nie musicie podejmować dzisiaj żadnych decyzji i nie pozwólcie, żeby narzucali wam swoje zdanie. Ich zadaniem będzie reprezentować

Nicole, więc najważniejsze, żeby się z nimi dobrze czuła. To bardzo ważne, Nicole - dodała Sam. - Menedżer będzie stale z tobą współpracował, więc musicie się dobrze rozumieć. Dzisiaj przychodzą tu sami zawodowcy, więc tak naprawdę decyzja należy do ciebie.

Nicole i Reenie słuchały jej uważnie. Sandra wpatrywała się w mokasyny od Gucciego na stopach Sam.

- A później, jeśli macie ochotę, zapraszamy was na lunch. Sandra podniosła głowę.

- Czy będzie szampan? - zapytała.

- I co wy na to? - zapytał Dariusz za kwadrans pierwsza. Nicole kręciło się w głowie.

Punktem kulminacyjnym spotkań był bez wątpienia moment, gdy babka cisnęła zdjęcie jednej z podopiecznych potencjalnego menedżera na stół, głośno oznajmiając:

- Jeśli pan sądzi, że ubierze moją Nicole w ten... ten... ten strój prostytutki, to jest pan w błędzie!

- Babci chyba nie przypadł do gustu ten trzeci - zauważyła z uśmiechem.

- No, delikatnie mówiąc. - Dariusz skrzywił się zabawnie na to wspomnienie. - Chociaż w tej branży legginsy często się nosi.

- Lubię legginsy - zachichotała. - Po prostu babcia nigdy mnie w nich nie widziała.

Dariuszowi zaświeciły się oczy.

- Mam nadzieję, że ja cię kiedyś zobaczę. Spojrzała na niego przekornie. - Nigdy nie wiadomo, co przyniesie los.

- To mokasyny od Gucciego - szeptała Sandra córce do ucha, gdy szły za Sam i Reenie do windy. - Widziałam je w gazecie. Wolę nawet nie myśleć, ile kosztowały.

Nicole wzięła ją pod rękę.

- Mamo, kiedy podpiszemy kontrakt, kupię ci takie same - obiecała.

- Słowo?

- Słowo! - Nicole była spokojna, że dotrzyma tej obietnicy. Nadal nie mieściło jej się w głowie, ile pieniędzy Titus Records chce w nią zainwestować. Na tyle nie liczyła w najśmielszych marzeniach, a menedżerowie zapewniali, że to dopiero początek.

- Jeśli ci się uda, będziesz bardzo bogatą młodą damą - orzekł menedżer, który najmniej przypadł jej do gustu.

Nie znosiła, kiedy ją nazywano młodą damą. Ten facet odpadł w przedbiegach. Małe chytre oczka i zrosnięte brwi. O nie. Odpadła także władcza kobieta z krótkimi włosami, w skórzanych spodniach. Mówiła wysokim, oschłym głosem i przypominała Nicole siostrę Jerome ze szkoły Świętej Anny, w której spędziła trzy miesiące - potem ją wyrzucono. Nicole podświadomie czekała, kiedy kobieta zapyta, czy odrobiła pracę domową na temat Zagłębia Ruhry. Zdecydowanie nie. Kolejna dwójka była w porządku, ale nie miała o nich zdania.

Najlepszy okazał się młody facet, który ją rozbawił i w przeciwieństwie do pozostałej czwórki nie twierdził, że jest najlepszy w branży. Swobodny, w spranych dżinsach i sfatygowanej dżinsowej kurtce, wymienił imponującą listę swoich podopiecznych, wyjaśnił, co robi, i zastrzegł, że nie będzie jej bezkrytycznym pochlebcą.

- Lizusem - szepnęła Nicole do matki, zaniepokojonej trudnym słowem.

- Jestem tu, bo uważam, że jesteś dobra i masz szansę. Moim zadaniem jest pomóc ci ją wykorzystać, a nie prawić ci komplementy i wmawiać, że jesteś Madonną. To byłby błąd. Jeżeli tego oczekujesz, szukaj innego menedżera.

Nicole spojrzała na jego nazwisko. Bob Fellowes z agencji DMF. Porządne, solidne nazwisko dla porządnego, solidnego faceta.

- Jest dobry - orzekła Reenie. - Najbardziej mi się podobał. Przynajmniej nie pokazywał pornograficznych zdjęć swoich podopiecznych. Nie pozwolę, żeby cię ubierali jak prostytutkę, Nicole.

Podczas lunchu Darius zachowywał się jak na dobrze wychowanego młodego człowieka, którym zresztą był, przystało. Rozmawiał grzecznie z babką Nicole, która w kółko wracała do tematu nieodpowiednich strojów dla wnuczki. Sandra Turner nie posiadała się ze szczęścia, że je lunch w ekskluzywnej restauracji; szeroko otwartymi oczami obserwowała innych gości i starała się odgadnąć, u którego projektanta i za ile kupili swoje ciuchy.

Sam w końcu udało się porozmawiać z Nicole.

- Jak było? - zapytała serdecznie.

Wobec nowej, cieplej Sam Nicole mogła sobie pozwolić na szczerość.

- Umierałam ze strachu - wyznała. - Nigdy nawet nie marzyłam, że do tego dojdzie. Boję się. - Spojrzała na swoje dłonie. - Wiem, dla ciebie to głupie, ale boję się.

- Wcale nie głupie - zapewniła Sam. - Nie ma nic gorszego niż strach. Ostatnio bardzo się bałam i to zmieniło mój sposób widzenia świata. To bolesne przeżycie. Wiem, co czujesz.

Nicole była ciekawa, co się stało, ale uznała, że nie powinna pytać.

- Rzecz w tym - ciągnęła Sam - żeby być sobą i w siebie wierzyć. Dookoła ciebie dzieje się teraz tyle rzeczy jednocześnie, dlatego potrzebny ci dobry menedżer, żeby ci pomógł poradzić sobie z tym wszystkim. Mam nadzieję, że ja i Darius także ci pomożemy. To porządny chłopak.

Nicole tylko skinęła głową. Sam mówiła dalej:

- Niektórzy się zmieniają po wydaniu płyty - zapominają, kim naprawdę są i przy okazji doprowadzają wszystkich do szału.

- Woda sodowa uderza im do głowy? - zażartowała Nicole.

- No właśnie. I zupełnie tracą poczucie rzeczywistości. Jesteś miłą dziewczyną i masz wspaniały głos, chciałabym, żeby ci się udało, ale musisz pamiętać, że to ciężki kawałek chleba. Nie zapominaj o przyjaciółach i pamiętaj, kim jesteś. Nie udawaj kogoś innego, to poważny błąd.

Zamyśliła się i Nicole nagle odniosła wrażenie, że Sam mówi o sobie. Ale nie, niemożliwe.

Jedli lunch w sympatycznej atmosferze. Sandra była wniebowzięta, Reenie, oczarowana Dariusem, dobrze się bawiła. Rozmawiali o wakacjach i Sandra wyznała, że od lat marzy jej się wyjazd do Cannes.

- Nie ma to jak Eastbourne - zaoponowała Reenie. - Chociaż najpiękniejsze wakacje spędziłam w Guernsey.

- Widziałam program o Malediwach - rozmarzyła się Nicole. - Puste białe plaże, krystalicznie czysta woda i błogie nieróbstwo.

Darius spojrzał jej w oczy.

- Też chciałbym tam pojechać - powiedział.

Sam opowiadała o swoim wyjeździe do siostry, do Irlandii.

- Mieszka w uroczym miasteczku - mówiła. - Wygląda jak na pocztówce, dokoła dramatyczne góry, a w dolinie urocze małe domki, kolorowe sklepy i mnóstwo pubów. Ale najcudowniejsi są ludzie. Znają się, tworzą wspólnotę, wiecie, o co mi chodzi?

Reenie kiwała głową.

- Tak, w dzisiejszych czasach nie znamy nawet naszych sąsiadów. Można paść trupem, a nikt się nie zorientuje.

Sam myślała o mieszkańcach Redlion, którzy przyjęli Hope jak swoją. Wspominała długie spacerunki na świeżym powietrzu i wieczór w Klubie Makramy, gdy śmiała się na całe gardło i po raz pierwszy pomyślała, że czas zmienić coś w życiu.

- Tam jest tak spokojnie, chociaż z drugiej strony w Redlion dzieje się więcej niż w Londynie, zapewniam was!

Reenie znieruchomiała.

- Redlion?

Nicole spojrzała na nią ciekawie.

- Znasz tam kogoś, babciu? - zainteresowała się. - Babcia pochodzi z Irlandii, z Kerry - wyjaśniła. - Wyjechała w wieku szesnastu lat i więcej tam nie wróciła. Obiecałam, że kiedy podpiszę kontrakt, wybierzemy się tam wszystkie razem. Bardzo bym tego chciała.

- Pochodzi pani z Redlion? - ucieszyła się Sam. Oczy Reenie zasnuły się mgłą.

- Nie, z Killarney - powiedziała szybko.

W tym momencie podano deser i rozmowa się skończyła. Sam była ciekawa, czemu Reenie Turner zareagowała tak dziwnie, słysząc o Redlion. Miasteczko wyraźnie ją zainteresowało. Może ma złe wspomnienia z rodzinnych stron? Jeśli Sam się nie myli co do jej wieku, wyjechała stamtąd dobre pięćdziesiąt lat temu.

Wtedy było inaczej. Ludzie wyjeżdżali i z różnych powodów nigdy więcej nie wracali do ojczyzny. Niektórym nie pozwalały smutne wspomnienia, innym, przeciwnie, sielski obraz zachowany z dzieciństwa, którego nie chcieli konfrontować z rzeczywistością.

Po lunchu Sam musiała wracać do biura. Serdecznie uściskała Nicole na pożegnanie i ku swemu zdumieniu, została cmoknięta w policzek przez Sandrę, która cały czas obserwowała innych gości w restauracji i doszła do wniosku, że tak trzeba.

- Dzwon o każdej porze, jeśli chcesz o czymś porozmawiać - zwrócił się Dariusz do Nicole. Musiał wyjść z Sam.

- Dobrze - zapewniła.

- Co o niej sądzisz? - zapytała Sam, gdy wracali do biura.

- Jest fantastyczna - stwierdził rozmarzonym głosem. Sam uśmiechnęła się szeroko. Miłość jest jednak cudowna.

Karen Storin, która zajrzała do niej o szóstej, była innego zdania. Bardzo jej się spodobał głos Nicole i jak wszyscy chciała, żeby podpisano z nią kontrakt. Obawiała się jednak, czy Sam nie przesadza, dbając, by Nicole miała dobrego menedżera.

- Wiesz przecież, co się może zdarzyć; nowy menedżer przedstawi ją konkurencji i zaoferujajęj lepsze warunki - ostrzegła.

Sam skrzyżowała palce.

- Jeśli do tego dojdzie, poradzimy sobie - powiedziała spokojnie. - Zdarzają się gorsze rzeczy.

-No, nie wiem. A jeśli Steve Parris się o tym dowie?

Anielski spokój minął bez śladu i Sam poczuła w brzuchu znajomy ból, którego tak bardzo chciała uniknąć. Mięśniaków już nie ma, ale napięcie pozostało. Cholera, Karen ma rację. Jeśli Steve się dowie, że przez wielkoduszość Sam firma straciła potencjalną gwiazdę, w ciągu kwadransa znajdzie się na bruku.

O Boże, czyżby popełniła fatalny błąd? Czy straci posadę, jeśli Steve się o tym dowie? Co za pytanie: a czy papież jest katolikiem?

Karen wyszła, a Sam zastanawiała się, jak ciężko jest żyć wedle nowych zasad i dobrze pracować. Niby jak ma zredukować poziom stresu i rozwijać wartości duchowe? To niemożliwe, nie w tym zawodzie. Nieważne, ile kubków herbaty rumiankowej wypija, i tak musi podejmować trudne decyzje mające wpływ na życie innych ludzi, ludzi, którzy bez wątpienia nieraz życzyli jej wszystkiego najgorszego.

Wyszła z biura o siódmej. W drodze do metra zadzwoniła do Hope, ale nikt nie odbierał. Od tamtego telefonu późnym wieczorem Sam starała się ustalić, co ją dręczy, ale siostra zbywała ją, mówiąc, że to nic takiego, tylko chwila załamania z powodu nieobecności Matta.

- Nic mi nie jest - warknęła ostatnio, kiedy Sam poruszyła ten temat.

- Jezu, Sam, czy ty nie mieszasz chandry i nie chcesz się komuś pożalić?

- zachnęła się. Za bardzo się wstydziła, by wyznać prawdę.

- Dobrze, już dobrze - wycofała się Sam. - Przepraszam, że się dopytuję.

Mimo to nadal się o nią martwiła.

Dotarła do domu o wpół do ósmej. W drzwiach wejściowych czekała karteczka: ***Zapraszam na zdrową pizzę.***

Od Morgana. Wychodzili razem już pięć razy od tamtego pierwszego kina i kolacji. Byli na wykładzie o holistycznym stylu życia, trzy razy na kolacji, a raz w barze z sokami. Sam z trudem się powstrzymała, by nie wypluć mikstury z trawy, która podobno działa cuda w organizmie.

- Cudem jest dla mnie to, że do szklanki nie dołączają od razu rolki papieru toaletowego - stwierdził Morgan. Skrzywił się, ledwie spróbował specyfiku.

- Przyprowadziłeś mnie tu, żeby się ze mnie nabijać - rzuciła oskarżycielko. - Kpisz sobie ze mnie, że chcę prowadzić zdrowy tryb życia.

- Wcale nie - z trudem silił się na powagę. - Chcę ci pomóc. Poza tym uwielbiam te wszystkie terapie w stylu New Age. Wyobraź sobie, że jesteśmy gwiazdami Hollywood i kłócimy się o naszego guru! Bo kiedy gwiazdy się rozstają, awanturują się nie tylko o dom i alimenty, o guru także.

-Nie mam żadnego guru! - zauważyła i żartobliwie zdzieliła go w ramię.

- Masz mnie - zauważył. - Robię co w mojej mocy. Moja mantra to „cieszyć się życiem”. A może to raczej motto życiowe?

- Zdecydowanie motto życiowe. Nie znam nikogo, kto wcielałby je w życie z takim zapalem jak ty.

Teraz uśmiechnęła się na myśl o zdrowej pizzy. Do tej pory jej plany na wieczór nie prezentowały się imponująco - joga i ręczne pranie delikatnych ubrań. Wyjście z Morganem to zdecydowanie ciekawsza alternatywa.

Cóż, Morgan nie traktuje jej jak dwudziestoletniej ślicznotki. Za to dobrze się czuje w jego towarzystwie. Są przyjaciółmi, a przyjaciel jest jej teraz bardzo potrzebny.

Zadzwoiła do niego.

- Zdrowa pizza, panie Benson? Nie stać cię na nic lepszego? Wiedziała, że się uśmiechnął.

- W supermarkecie nie mieli już pysznych hamburgerów z tofu, więc wymyśliłem pizzę. U mnie? Za pół godziny?

-Nie idziemy do restauracji?

-Nie zniosę jeszcze jednej knajpy ze zdrową żywnością-przyznał. - Ale na pizzy są same zdrowe produkty: kozi ser i pieczarki...

- Pycha - rozmarzyła się. - Ale zjadłam duży lunch.

- Musisz przytyć - zauważył. - Jeśli nie, lada dzień rozsypiesz się na ulicy. Nie waż się schudnąć ani odrobinę, bo jeszcze znajdzie cię łowca talentów i ani się obejrzymy, zobaczymy cię na wybiegu w strzępach obcisłej lycry.

- Marzenia ściętej głowy! - zażartowała. - Na razie.

Z uśmiechem kręciła się po mieszkaniu. Nie musi się przebierać, sukienka jest w porządku. . .

Nadal uśmiechnięta zbiegała ze schodów dwadzieścia minut później.

Spotkania z Morganem stanowiły przyjemną odmianę po męczącym dniu w biurze. Najmilsze w ich związku jest to, że z Morganem świetnie się rozumieją. Nie żeby łączył ich jakiś związek, poprawiła się. Ale Morgan, w przeciwieństwie do większości znanych jej mężczyzn, stanowił miłe towarzystwo. Niczego nie wymagał. Był rozluźniony w najlepszym tego słowa znaczeniu. Przy nim nie musiała uważać na słowa ani martwić się, że kiepsko wygląda, jeśli akurat nie miała nastroju na dopracowany makijaż i eleganckie ciuchy. Lubił ją taką, jaka jest. Z żadnym mężczyzną nie łączyła jej taka zażyłość. Karl, ostatni poważny partner, był okropnym egoistą. Najszczęśliwszy był wtedy, kiedy go zapewniała, że bez niego firma ległaby w gruzach. Był z tego taki dumny.

Z Morganem nie musiała robić wstępów, mówiła prosto z mostu, co jej leży na sercu. Może jest inaczej, kiedy jest się z kimś naprawdę, zastanawiała się. Może Morgan też lubi, żeby dziewczyny mu kadziły i zapewniały, że jest boski. A Sam mówi mu tylko, że remont kiepsko mu idzie. Nie, zdecydowanie przyjaźń jest lepsza.

Otworzył drzwi ubrany, jak zwykle, w zakurzone dżinsy i koszulę poplamioną farbą. Ciemne włosy były przysypane czymś białym, tak że wyglądał jak francuski arystokrata z osiemnastego wieku. Sam z niesmakiem spojrzała na bluzę, którą miał na sobie.

- Chodzisz w tym trzeci dzień z rzędu - zauważyła już od progu. - Wydawało mi się, że wrzuciłeś ją do prania?

- Tak, ale robimy teraz łazienkę dla gości i pomyślałem, że na razie mogę w tym chodzić.

- Stanowisz zagrożenie dla środowiska - poinformowała go. - Sanepid cię zamknie. Jeśli się nie przebierzesz, nie zjem z tobą.

Morgan ciężko oparł się o drzwi.

- Nie truj - poprosił. - Ledwie żyję. Spojrzała na niego surowo.

- Idź na górę, pod prysznic. To rozkaz. A kiedy się umyjesz, dostaniesz kolację. Jasne?

- Tak jest, sir! - zaszalutował.

- I zrzucić mi na dół tę straszną bluzę - dodała, gdy już był na schodach. - Nastawie pranie.

- Czy aby na pewno nie byłeś zawodowym żołnierzem w poprzednim życiu? - mruknął, ściągając bluzę przez głowę.

Czekała na dole schodów. Cisnął bluzę i mocował się z koszulką. Sam wiedziała, że powinna się odwrócić, ale nie mogła. To taki intymny gest. I pociągający widok. Pólnagi Morgan wywołał w niej dreszcz podniecenia. Jest fantastyczny, od szerokich ramion po wąskie biodra. I zupełnie pozbawiony kompleksów, tak swobodnie się rozbierał. Zastanawiała się, ile czasu trenował na siłowni, żeby osiągnąć taką muskulaturę, gdy do niej dotarło, że Morgan nie jest typem gościa fitness klubu. Jego treningi to pewnie układanie płytek na podłodze i rozwalanie ścian młotem pneumatycznym.

Cisnął jej koszulkę i poszedł na górę. Podniosła ubrania, jeszcze ciepłe od jego bliskości. Pachniały męczyzną i rozpuszczalnikiem do farby. Nie widziała go już, gdy na dół spadły także dżinsy. Zdjął je dopiero wtedy, kiedy nie mogła go widzieć. Szkoda.

Kiedy zszedł, w czystych dżinsach i bluzie niemal identycznej jak poprzednia, ubrania się prały.

- I to ma być strój do kolacji? - zażartowała.
- Nie poznałabyś mnie w garniturze - zauważył.
- Akurat. Bo ty oczywiście masz szafę pełną garniturów. Spojrzał na nią z ukosa.
- Zdziwisz się, kiedy mnie zobaczysz w garniturze - mruknął.
- Umrę z wrażenia - prychnęła. - No jak, otworzysz wino czy mam skoczyć po swoje?

Rozmawiali dużo i długo, ostatni kawałek pizzy wystygł zupełnie, zanim Sam go zjadła. Uwielbia spotkania z Morganem, pomyślała, gdy gotowali wodę na kawę. Szkoda tylko, że cały czas traktuje ją jak dobrą przyjaciółkę, a ona pragnęła czegoś więcej. Boi się ją zaprosić na randkę? A może po prostu to go nie interesuje? Nie wiedziała, czy zniesie upokorzenie odmowy, gdyby to ona zrobiła pierwszy krok. Nie, lepiej zostawić rzeczy, jak są. Zresztą z dobrych przyjaciół są najlepsi kochankowie, prawda? To tylko kwestia czasu.

Rozdział 21

Kiedy Hope i dzieci przyjechali po Matta, na lotnisku panował dziki tłok i zamęt. Mart wracał na trzy tygodnie; Hope wolała nie myśleć, jak to wytrzyma. Z drugiej strony, skoro nawet skonsumowana zdrada nie rozbija związku, dlaczego jej małżeństwo miałoby się rozpaść z powodu zdrady nieskonsumowanej? Chciałaby, żeby te trzy tygodnie już minęły. Tylko że potem Matt wróci do Kerry już na dobre i co ona wtedy zrobi?

Matt pojawił się w tłumie turystów. Toby i Millie rzucili się do niego z wrzaskiem:

- Tatuś! Tatuś!

Wziął oboje na ręce i pchał wózek bokiem, aż doszedł do Hope.

Z dziećmi na ręku, pochylił się i pocałował ją. Omal nie umarła ze wstydu, zastanawiając się, czy Matt odgadnie, że nie on ostatni całował ją w usta.

- Tęskniłem za wami - szepnął. - I to bardzo.

- My też - zapewniła nerwowo i radośnie. Radosny ton to jej jedyny ratunek.

- Zabieramy tatusia do samochodu, opowiemy mu, co robiliśmy - powiedziała, nadal radośnie.

Dzieci nie potrzebowały więcej zachęty, przez cały czas się przekrzykiwały, jak to malowały obrazki, a Millie robiła babki z piasku i ubrudziła sobie nawet majtki błotem... a Toby...

- Majtki błotem? - powtórzył ze zdziwieniem. - A jakim cudem? Dzieci paplały podniecone, Matt słuchał i prowadził, odpowiadał na pytania i co jakiś czas głaskał Hope po udzie. Hope uśmiechała się sztucznie. Może jeszcze będzie dobrze, pocieszała się. Jeśli utrzyma język za zębami i uśmiech na twarzy, wszystko się ułoży.

W Redlion Matt zaproponował lunch u Wdowy Maguire, żeby uczcić jego powrót.

-Należy ci się przerwa od gotowania - powiedział do Hope. Pub był pełen; wielu turystów korzystało z pięknej majowej pogody. Znaleźli wolny stolik.

Matt poszedł zamówić rybę z frytkami dla dzieci, a dla nich placek rybny. Hope obserwowała go i zastanawiała się, czemu u licha pociągał ją Christy. No dobrze, jest przystojny, zresztą niektóre kobiety lecą na takie głębokie psie spojrzenie, ale Matt jest o wiele atrakcyjniejszy. Nie ma porównania między ładną, wąską twarzą Christy'ego a szlachetnymi rysami Matta. Matt jest jak dumny lew, a Christy - kapryśny, nerwowy wyżeł. I jedno, i drugie to piękne stworzenia, ale na tym podobieństwa się kończą.

- Zobacz, kto do nas idzie - zagadnął Matt. Prowadził Delphine.

- Cześć - zagaiła Delphine. Uściskała Hope i cmoknęła dzieciaki w czołka. - Eugene ma wolny dzień, ja się urwałam z pracy. Leniuchujemy dzisiaj i nie gotujemy. Możemy się dosiąść?

Podszedł Eugene, potężny misiowaty mężczyzna w wiecznie pogniecionych ubraniach. Choćby nie wiem jak starannie Delphine prasowała jego koszule, i tak wyglądały, jakby wyciągnął je z kosza na bieliznę, po którym przebiegło stado bawołów.

- Weźcie sobie krzesła - poradził Matt.

Stłoczeni przy małym stoliku, gawędzili o pogodzie; jak to dobrze, że zrobiło się tak ładnie, ilu teraz-turystów, nawet w pensjonacie pani Egan nie ma wolnych łóżek, a to cud, zważywszy, jaka jest niemiła.

- W hotelu też mnóstwo gości - stwierdziła Delphine i opowiadała, do jakich wybiegów musiała się uciec, żeby sobie załatwić wolny dzień.

- Za dużo pracujesz - mruknął Eugene. -Nie brała dodatkowych dni wolnych od Bożego Narodzenia - wyjaśnił Parkerem. - Dyrektor rządzi tym hotelem żelazną ręką.

Hope poruszyła się nerwowo na wzmiankę o Christym. Delphine uśmiechnęła się smutno.

-Nie jest tak źle - powiedziała. -Nasz kochany i zakochany w sobie pan de Lacy nie jest taki straszny. Owszem, jest tyranem, ale nie zostanę tam do końca życia. Chciałabym otworzyć własny salon piękności.

-Naprawdę? - Hope bardzo pragnęła zmienić temat.

- Dobrze, tylko nie strać wszystkich sił na pracę w hotelu - mamrotał Eugene. - To rekin. Wykorzystuje ludzi.

Delphine roześmiała się głośno i poklepała Eugene'a po ramieniu.

- Czy to nie zabawne, Hope? - zapytała. - Nie znam mężczyzny, który lubiłby Christy'ego de Lacy, i kobiety, która by go nie lubiła. Tam u ciebie, w księgowości, Una sądzi, że świat się kończy na jego tyłku, a Mary-Kate złości się, że nawet go nie widziała.

- A ty, Hope? - zainteresował się Matt.

- Widziałam - mruknęła. -I...?

-I zawsze był dla niej bardzo miły - wtrąciła się Delphine. - Chyba mu się podoba.

Hope znieruchomiała. Matt i Delphine parsknęli śmiechem.

- Jak on śmie! - Matt uśmiechnął się. - Wyzwać go na pojedynek? Eugene się nie śmiał.

- Właśnie tego w nim nie lubię - mruknął. - Podrywa mężatki jak...

- Cicho! - Delphine położyła palec na ustach i spojrzała znacząco na dzieci. - Małe dzbanki mają wielkie uszy.

- Jakie małe dzbanki? - Millie zaczynała się nudzić, bo nikt nie zwracał na nią uwagi.

Delphine zajęła się dziećmi, bawiła je rozmową i rysowała śmieszne rysunki na papierowych podkładkach pod talerze, Eugene tymczasem dokończył swoją myśl, tym razem szeptem.

- Nie ufam nikomu, kto nie szanuje innych, i tyle.

Hope dziękowała losowi, gdy wreszcie podano jedzenie. Wolała nie odpowiadać na pytania o Christy'ego de Lacy ani nie słuchać o tym, że szczególnie pociągają go mężatki. Szkoda tylko, że nikt nie powiedział jej tego wszystkiego, zanim zaczęła pracę w hotelu.

Podano lunch. Z apetytem zabrali się do jedzenia. Matt bawił ich opowieściami o najnowszej kampanii reklamowej; klienci nie mogli się zdecydować, która dziewczyna ma wystąpić w reklamie. To nic wielkiego, tylko taki zapelniaacz tła, ale dyskutowali o tym dłużej i bardziej zażarcie niż nad propozycjami kampanii.

-I kto to mówi - prychnęła Hope. - Ty i Dan godzinami wybieracie modelki do reklam. Pamiętasz, kiedy szukaliście twarzy do reklamy firmy ubezpieczeniowej, miałeś w portfelu więcej wizytówek modelek niż

redaktor naczelny „Vogue”. A te wasze zabawy! Wiecie, patrzą na kogoś i wymyślają, do jakiej reklamy by się nadawał - wyjaśniła Delphine i Eugene'owi. - Na przykład kelnerka z baru szybkiej obsługi, bardzo błyszczące usta i ewidentnie silikonowe piersi, do reklamy agencji towarzyskich. Czasami są okropnie złośliwi. Delphine zachichotała.

- Co to są agencje towarzyskie? - zainteresowała się Millie. Miała uszy jak nietoperz.

- Sklepy dla całego towarzystwa - mruknął Matt obojętnym tonem. Znał córkę; niech tylko nabierze podejrzeń, że nie powinna używać jakiegoś słowa, a będzie je wrzeszczała na całe gardło.

Delphine nie przestawała się śmiać.

- A co ja mogłabym reklamować? - zapytała. Pokręcił głową.

- Nigdy nie obsadzamy znajomych - oznajmił.

- Oj, proszę! - Delphine nie dawała za wygraną.

- Szampon - podsunął Eugene. Wsunął dłoń w jej kasztanowe loki.

- Niech Matt zdecyduje - sprzeciwiła się. - W końcu to on jest ekspertem.

- Co to jest silikon? - odezwała się Millie na cały głos.

- Zmieńmy temat - zarządziła Hope.

Zamówili kawę. Panowie rozmawiali o futbolu, a Delphine opowiadała o perypetiach z matką. Nadal zbierali się z Eugene'em na odwagę, żeby ogłosić swój ślub.

- Zadzwoniła wczoraj do mnie do pracy z wiadomością, że moja kuzynka w drugiej linii, z Tipperary, wychodzi za mąż i że podobno dostałam zaproszenie dla dwóch osób. Oczywiście błagała, żebym nie zabierała Eugene'a.

- To straszne. - Hope pokręciła głową. - Nie rozumiem jej. Zdaję sobie sprawę, że jest pobożna, ale to nie znaczy, że musi postępować nie po chrześcijańsku.

- Kiedy się kogoś kocha, można sobie z tym poradzić, prawda? - włączył się Matt, biorąc Hope za rękę. - Miłość znajdzie rozwiązanie.

Hope poczuła się jak oszustka, gdy odwzajemniała jego uścisk. Jest niemoralna i zła. Nie zasłużyła na niego.

Wdowa Maguire we własnej osobie, Belle Maguire, podeszła do ich stolika w obłoku Chanel N° 5, pobrzękując złotymi bransoletkami na opalonych, chudych ramionach. Powitała ich serdecznie, potrząsając blond włosami. Szczególnie serdecznie uśmiechała się do Matta, którego widziała po raz pierwszy.

- Mam nadzieję, że wszyscy kupiliście bilety na imprezę dobroczynną w moim pubie? - zapytała. - Cały dochód jest przeznaczony na psy przewodniki niewidomych, organizujemy to co roku. Im więcej ludzi, tym lepiej, zawsze to mówię. Będzie muzyka na żywo i dobre jedzenie.

- Przyjdziemy - zapewniła Delphine. - A ty, Hope?

- Ja... tak.

- Dobrze. Przydałby się jeszcze jeden sprzedawca biletów. -Niestety, nie będzie mnie tu - powiedział Matt, gdy podała mu datę imprezy.

Wdowa przyjrzała mu się uważnie.

- Szkoda - mruknęła. - Ale będą inne okazje.

Wyszli po trzeciej. Toby oznajmił, że jest mu niedobrze, bo Millie nasypała za dużo pieprzu na jego frytki.

- Nieprawda - wykręcała się.

- A właśnie że prawda! - upierał się Toby. Łypnął na nią tak groźnie, że od razu umilkła.

- Dzieci, nie kłóćcie się - upomniała Hope, w głębi duszy zadowolona, że Toby odważył się sprzeciwić siostrze. Najwyraźniej nabiera pewności siebie.

- Eugene to fajny gość - stwierdził Matt, zapinając Millie pas bezpieczeństwa. - Chociaż obruszył się jak, boja wiem, książdz, przy rozmowie o tym de Lacy. Pewnie się obawia, że facet zacznie się dobierać do Delphine - uśmiechnął się.

Kiedy dojechali do domu, zachwycił się, jak bardzo urosły kury, jak dużo znoszają (średnio trzy, cztery jajka dziennie od sześciu kur), jak pięknie Hope przystrzygła dzikie pnącza.

- To nic takiego - powiedziała skromnie. W rzeczywistości umęczyła się przy tym strasznie, zajęło jej to trzy dni. Kolejna część pokuty. Ramiona, ręce i nogi bolały ją z wysiłku, była cała podrapana, ale za to wreszcie miała miejsce na kwiaty. Widziała przed supermarketem kilka sadzonek, które będą tu świetnie pasowały.

Matt się rozpakowywał, Millie i Toby nie odstępowali go na krok, a Hope zajęła się zwykłymi codziennymi pracami, sprzątała, szykowała kolację - pierś kurczaka w domowej zalewie. Zalewa to też pokuta -strasznie długo szukała niezbędnych składników, żeby ją przyrządzić zgodnie z przepisem z *Królowej kuchni*. Ilekroć kupowała cząber w doniczce, wiadł po kilku dniach. Teraz zasadziła zioła w swoim ogródku.

Matt zajrzał jej przez ramię i z apetytem wciągał nosem smakowite zapachy.

- Naprawdę ciężko pracowałaś - stwierdził. - Pomyślałem, że chyba potrzebujemy trochę czasu tylko we dwoje. - Objął ją w talii. - Finula zgodziła się wziąć dzieci na weekend, a my jutro rano wyjeżdżamy do Kinsale. Tylko ty, ja, podwójne łóżce i miasteczko z najlepszymi restauracjami w tym kraju.

Hope głośno przełknęła ślinę. Nie ma sensu protestować. Zresztą co mogłaby powiedzieć? Mąż zorganizował uroczny weekend we dwoje, to wyrzuty sumienia sprawiają, że się denerwuje. Już miała na końcu języka uwagę, że Millie nie przepada za ciocią Finulą, przypomniała sobie jednak, że oboje uwielbiają Ciarana, więc ta wymówka odpada.

Kinsale w rzeczywistości okazało się jeszcze ładniejsze niż w przewodniku. Urzekło wąskimi, krętymi uliczkami, małymi knajpkami na każdym rogu i malowniczym portem pełnym statków i jachtów różnego rodzaju. Ich właściciele siedzieli w licznych pubach z widokiem na morze i sączyli guinnessa. W innych okolicznościach Hope nie posiadałaby się z zachwytem.

Matt trzymał ją za rękę, gdy wędrowali bez celu ciasnymi uliczkami. Na lunch weszli do uroczego pubu z różową fasadą. Usiedli przy kominku, rozpalonym mimo cieplej pogody Matt namówił Hope na małego guinnessa.

Skrzywiła się, czując gorzki smak, aż Matt się roześmiał.

- To jak lekarstwo, dobrze ci robi, jesteś taka blada - żartował. Później wyszli z miasteczka wąską szosą i znaleźli pustą plażę. Hope z zapalem zbierała muszki dla dzieci. Millie uwielbia muszki, pewnie dostanie szalu, że jej tu nie było.

Wieczorem zjadali świeże kraby i homary w przytulnej knajpce z przytłumionym światłem i irlandzką muzyką w tle. Co chwila rozlegał się głośny śmiech. Turyści w Kinsale chyba lubią się śmiać, dobrze na nich wpływa spokojna atmosfera i pyszne jedzenie.

- Bardzo mi się tu podoba - stwierdził Matt. Rozsiadł się wygodnie na krześle. - W tym kraju wszyscy żyją na luzie, prawda? Usiłowałem wytłumaczyć to Betsey, ale na darmo. Dla niej każdy, kto mieszka dalej niż trzy godziny od Londynu, jest na końcu świata.

- Betsey by się tu nie spodobało. W głębi serca marzy o Manhattanie - zauważyła Hope. - Myśli, że gdyby udało jej się opchnąć komuś Dana i dzieci, byłaby jak Carrie z *Seks w wielkim mieście*; piłaby drogie drinki, nosiła superciuchy i podrywaliby ją przystojni faceci z domami w Hamptons i funduszem powierniczym.

- Wcale tego nie chce - sprzeciwił się Matt.

- Ależ owszem.

- Jesteś do niej wrogo nastawiona - mruknął. - A w Bath byliście przyjaciółkami.

Hope bawiła się kieliszkiem.

- Byłyśmy i jesteśmy przyjaciółkami - zaczęła. - Ale Betsey, no coż, nie stara się za bardzo utrzymać ze mną kontaktu, a jeśli już pisze, to tylko o tym, co tracę, nie mieszkając w Bath. To denerwujące. Kiedy się dowiedziała, że hoduję kury, uznała mnie za wariatkę; pewnie myśł, że mieszkają z nami w domu, śpią na lodówce i znoszą jajka w salonie. Wiesz co? Ona nie ma zielonego pojęcia o życiu na wsi, chociaż podobno napisała na ten temat tyle artykułów.

Matt roześmiał się na całe gardło.

- Kiedy się złościś, jesteś taka zabawna - stwierdził. - Przecież ją podziwiałaś, rozstawiała cię po kątach. Zmieniłaś się, wiesz?

Spojrzała na niego czujnie. Zmieniała się, co do tego me ma wątpliwości. W Bath nawet nie spojrzałyby na Christy'ego de Lacy, a tu proszę, pozwoliła sobie na dwa mocno erotyczne seanse.

-Chyba tak-przyznała.

- A pamiętasz, jak narzekałaś, że nie chcesz wyjeżdżać z Bath i że nigdy się tu nie zaaklimatyzujesz?

- Myliłam się - powiedziała. - Bardzo mi się tu podoba. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Wygląda na to, że to ty się nie zaaklimatyzowałeś.

Teraz Matt poruszył się niespokojnie. Z wiekiem Hope staje się coraz bardziej bezpośrednia. *T*

- Och zaaklimatyzowałem się, owszem - powiedział w końcu. - to, że pracuję w Bath, to tylko etap przejściowy. Nie zrezygnowałem z powieści - dodał. Pod stołem przezornie skrzyżował palce, żeby nie zapeszyć. Oby powieść nie zrezygnowała z niego.

Obejmował ją ramieniem, gdy wracali do hotelu. W pokoju Hope rozbierała się powoli, poczucie winy ciążyło jej jak kamień. Poprzedniej nocy Toby miał koszmarny sen, akurat kiedy kładli się spać. Zanim go uspokoiła i utuliła, Matt już zasnął.

Dzisiaj nie miała żadnej wymówki. Rozpuściła włosy, az opadły miękko na ramiona, i zdjęła fioletową bluzkę. Kiedy rozsunęła suwak wąskiej czarnej spódnicy, Matt objął ją mocno i wtulił twarz w zagłębienie szyi.

- Tęskniłem za tobą - powiedział cicho. Był bez koszuli, jego ciało było takie ciepłe i znajome. Pachniał tą samą wodą kolońską, której używał od lat. Tyle razy się kochali, że pasowali do siebie idealnie, jak ukochane stare ciuchy, które świetnie leżą nawet po praniu.

Pieścił ją jak zawsze, ale niedawne rozstanie dodało mu energii. Rozpiął jej stanik, gładził ciężkie piersi, błędził ustami po karku. Hope odrzuciła głowę do tyłu; poczuła łyż pod powiekami. Pragnęła jego dotyku, a zarazem nie mogła go znieść.

Nic dziwnego, skoro zzerają ją wyrzuty sumienia.

Wylądowali na łóżku, Matt rozebrał ją do końca. Nagi, przykrył ją sobą i głosem ochryplym z pożądania mówił, jak za nią tęsknił, jak często marzył o tej chwili w gościnnym pokoju Betsey.

- Kocham cię - mruknął, gdy go pieściła, starając się ignorować wewnętrzny głos, który podpowiadał, że jest oszustką i niewierną żoną.

Próbowała, tak bardzo próbowała. Ale trudno znieść dłonie Marta na swoim ciele, kiedy zzerają wyrzuty sumienia. Wciąż miała przed oczami drwiącą twarz Christy'ego. Coraz bardziej Chciało jej się płakać.

- Hope, najdroższa - wszedł w nią w końcu, gwałtownie, szybko, desperacko spragniony. A ona, mimo wyrzutów sumienia, zareagowała instynktownie. Tyle samotnych nocy... kiedy skończył, przywarła do niego kurczowo, wykrzyczała jego imię, a potem głośno płakała.

- Kochanie, wszystko w porządku? - zaniepokoił się.

- Tak, tak - szlochała. - Tęskniłam za tobą, i tyle. - I rozpląkała się jeszcze głośniej, bo nie powiedziała mu całej prawdy.

Leżeli wtuleni w siebie. Hope z całej siły zaciskała powieki, jakby tym sposobem chciała powstrzymać łyż. Zwykle w takich chwilach pieścili się i rozmawiali.

- Co jest, Hope? - zapytał, od niechcienia muskając palcem jej ramię. Wstrzymała oddech.

- Nic - mruknęła po chwili. - Rozkleiłam się. Bardzo tęskniłam za tobą, teraz za dziećmi. I niedługo dostanę okres. - Przy odrobinie szczęścia Matt się nie dowie, że niedługo oznacza ponad dwa tygodnie. Niewierność to poważna sprawa, trzeba tyle kłamać.

- Och. - Przyciągnął ją do siebie. - Wiesz, Hope, tak sobie myślałem, Toby ma już prawie trzy lata... chcesz mieć jeszcze jedno dziecko? Zawsze mówiłaś, że chciałabyś mieć troje. I sama powiedziałaś, że w Redlion jesteś szczęśliwa. To chyba odpowiedni moment?

Zagryzła usta.

Co powiedzieć? Naprawdę nie wiedziała, czy chce mieć kolejne dziecko. Kocha dzieci, ale Millie i Toby pochłaniają tyle jej czasu i energii, że nie wiedziała, czy da sobie radę z jeszcze jednym. Po urodzeniu Toby'ego przez rok dochodziła do siebie, bardzo powoli odnajdywała się w nowej roli matki niejednego, lecz dwóch maluchów. Ale nie mogła przecież dać Mattowi do zrozumienia, że nie chce jego dziecka.

- Nie zastanawiałam się nad tym - zaczęła ostrożnie. - Dzieciaki i tak zajmują mi mnóstwo czasu, nie wiem, czy dam sobie radę z jeszcze jednym. Tobi tak źle sypia... - Urwała.

- Cały czas? - zapytał Matt.

-No, nie najlepiej - mruknęła. Kolejne kłamstwo. Dawniej rzeczywiście źle sypiał, bardzo czujnie, ale świeże wiejskie powietrze to zmieniło. W Redlion wszyscy spali lepiej.

- Więc nie jesteś na mnie zła? - upewnił się Matt. Hope odwróciła się i położyła głowę na jego piersi.

- Na razie cieszymy się naszą dwójką, potem pomyślimy co dalej, dobrze? - powiedziała lekko.

Matt pocałował ją w czubek głowy.

- Chyba masz rację.

Kiedy Matt wyjeżdżał znowu do Bath, Hope wmówiła już sobie, że z Christym do niczego nie doszło. Życie zadziwiająco łatwo wróciło do normy. Matt niemal codziennie szedł do ośrodka pisać, ale wracał wcześniej i spędzał więcej czasu z dziećmi.

-Zrozumiałem, co tracę, nie widząc, jak się zmieniają- wyjaśnił Finu-li, gdy któregoś dnia wpadła na kawę bez zapowiedzi i nie ukrywała rozczarowania, że Matt nie zrezygnuje z zaplanowanego pikniku z dziećmi.

- Obawiam się, że musi ci wystarczyć moje towarzystwo - mruknęła Hope mściwie, gdy Matt i dzieciaki wyruszyli na piknik obładowani kanapkami i słoikami na kijanki.

- Świetnie - powiedziała Finula tonem, który mówił coś wręcz przeciwnego.

Podczas nieobecności Matta Hope rzadko widywała Finulę. Tylko raz była u Headley-Ryanów na kolacji - Finula nie przyjęłaby odmownej odpowiedzi - i Hope wynudziła się jak mops. Na szczęście bez Matta nie stanowiła atrakcyjnego towarzystwa, więc Finula dała jej spokój.

I dlatego Hope zapomniała już, jak bardzo ją drażni pretensjonalność tej kobiety. Finula piła kawę z filiżanki, odginając mały palec, co w jej mniemaniu było arystokratyczną manierą, i pochłaniała czekoladowe ciasteczka z dzikim apetytem, choć podobno była uczulona na pszenicę. I oczywiście ciągle się przechwalała.

- Niedawno byliśmy na kolacji w Pigeon Club - oznajmiła. - Było wspaniale, a jakie jedzenie... Jagnięcina wprost wyśmienita.

Hope, która doskonale wiedziała, co podają w Pigeon Club, tylko skinęła głową.

- Właściciel jest naszym bliskim przyjacielem. Spodobałoby ci się tam, Hope. Mattowi na pewno - dodała z przekonaniem, jakby doskonale wiedziała, co Matt Parker lubi najbardziej.

Hope miała ochotę powiedzieć, że zna Liama, właściciela, że jadła tam pyszny lunch przy najlepszym stoliku. I że właściwie to było łóżko, nie stolik. Zaciśnęła zęby i dołała kawy. Z trudem się powstrzymała, by nie wylać wszystkiego na głowę Finuli.

- Finula doprowadza mnie do szału - warknęła później, gdy Matt i dzieci wrócili pogryzieni przez komary, zmęczeni i bez kijanek.

- Jest w porządku - łagodził. - Ma tylko kompleksy. Brak jej pewności siebie.

- Pewności siebie? - zaperzyła się Hope. - Pewności siebie to ona ma więcej od Mao Tse-tunga. Ciągle się przechwala. Wiesz, ile razy mi powiedziała, że kupują nowy samochód, dzipa cherokee? Trzy. Co do urlopu, przestałam liczyć, ile razy podkreślała, że się wybierają na Anti-guę. Mam nadzieję, że tamtejsi celnicy zatrzymają ich za przemyt narkotyków i wsadzą do więzienia na całe trzy tygodnie.

Matt zdenerwował ją jeszcze bardziej, parskając śmiechem.

- Hope, jesteś cudowna. Oczywiście, że Finuli brak pewności siebie. Niby dlaczego ciągle opowiadałaby takie rzeczy? Bo zazdrości i poprawia sobie humor, paplając w kółko o nowym samochodzie, urlopie i znanych przyjaciółach. Jest kochana, bardzo ją lubię.

Hope zastanowiło, jakim cudem ona i Matt mają tak odmienny gust w doborze przyjaciół.

- A niby dlaczego mi zazdrości? - dodała z przekąsem. - Co ja takiego mam, czego ona nie ma?

Matt uśmiechnął się szeroko.

- Mnie, skarbie.

Hope sześć razy była w hotelu podczas pobytu Matta, lecz ani razu nie spotkała Christy'ego. Zupełnie jakby wyczuł, że lepiej zejść jej z oczu.

Szóstego dnia wmówiła już sobie, że ich namiętne pocałunki to czysta fikcja.

- Wyjeżdżam na tydzień - powiedziała Una, gdy zrobiły sobie przerwę na herbatkę. - Jak myślisz, dasz radę przychodzić codziennie?

- Dowiem się w przedszkolu, ale nie powinno być problemu - zapewniła Hope spokojnie. Cała sprawa z Christym to już przeszłość. Nie ma się czym martwić.

Rozdział 22

Nicole siedziała na łóżku i podziwiała swoje zdjęcia w gazecie. Co innego oglądać fotografie w biurze Titus Records, a co innego -zobaczyć je w prawdziwej gazecie, i to z takim podpisem! Na ciemnych zdjęciach, które uwydatniały jej wystające kości policzkowe, wyglądała jak indyjska księżniczka.

Opisano ją jako wchodzącą gwiazdę wytwórni Titus. Dziennikarz zacytował słowa Sam, że Nicole jest Najlepszą młodą piosenkarką ostatnich lat że wiele wytwórni chciało ją zdobyć, ale Titus przebił inne oferty. Jesteśmy z niej bardzo dumni, bo to my ją odkryliśmy. Nicole będzie wielką awiazdą, powiedziała. . .

Sandra nie posiadała się z zachwytu, gdy zobaczyła zdjęcia i kup ła sześć egzemplarzy, bo chciała pokazać wszystkim znajomym. Jak zwykle, gdy matka popadała w euforię, Nicole lekceważyła swoje osiągnięcia.

- To nic takiego, mamó - mruknęła, gdy matka wróciła do domu z plikiem gazet.
- Tylko zdjęcie w gazecie. To nic nie znaczy.

- Owszem, znaczy, że jesteś sławna. . . .

- Wcale nie. - Nicole ucięła dyskusję. - Jesteś głodna? Safrutki i jajecznicą.

Zadzwoń Sharon. . .

- Wszyscy w Copperplate widzieli twoje zdjęcia - zapewniała entuzjastycznie. - Nawet wiedźma Sinclairowa! Przez cały dzień w całej firmie rozmawiało się tylko o tobie!

Na krótką chwilę Nicole ogarnęła nostalgia za starą pracą. Ale tylko na chwilę. Odeszła stamtąd zaledwie miesiąc temu, a już wydaje się, że minęły całe wieki. Przez ten czas pracowała nad swoją płytą-juz sam dźwięk tych słów wywoływał u niej dreszcz emocji. Chodziła też na sesje zdjęciowe - brzmi to ekscytująco; w rzeczywistości było piekielnie nudne Dziwiła się, jak modelki mogą to wytrzymać. Długie godziny pozowania, a jeszcze najpierw mozolne malowanie i dobór stroju. Nie to samo, co siedzenie w stołówce z Sharon i kombinowanie, jak by tu dokuczyć szefowej, albo czekanie na przerwę czy weekend. Teraz całe jej życie przypominało długi, szalony weekend. . - Jezu Nicole. Jesteś sławna. - Nawet Sharon była pod wrażen.erm Słyszac te słowa, Nicole posmutniała. Przyjaźniły się z Sharon od dawna, odkąd zaczęły pracę w Copperplate jako przerażone os.emnasto-latki Shaz dobrze ją zna. Powinna wiedzieć, że Nicole jest dalej sobą, bez względu na to, ile razy jej zdjęcie będzie w gazecie.

- Co dzisiaj robisz? Sharon jęknęła.
- Idę na podwójną randkę z Michelle, jej facetem i jego przyjacielem.
- Przecież odmawiałaś od wieków - zdziwiła się Nicole. Szkoda chciała się umówić z Sharon na ten wieczór. - Mówiłaś, że facet Michelle to kretyn.
- No tak, ale przynajmniej coś się będzie działo - westchnęła Sharon. - A ty? Pewnie idziesz na jakąś superimprezę?

Nicole spojrzała na stół zastawiony brudnymi talerzami. Matka i siostra już zjadły i odeszły, jak zwykle. Sandra nie przejmowała się porządkiem, me przeszkadzały jej brudne naczynia w zlewie, więc to Nicole najczęściej zmywała.

Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby w perspektywie mogła liczyć na miły wieczór z Sharon, żeby uczcić swoje zdjęcia w gazecie. Ale Sharon najwyraźniej zaprzyjaźniła się ze swoją kuzynką Michelle, a ona Nicole, ma się bawić wśród gwiazd. Starzy przyjaciele już jej nie potrzebują.

- Nic - odparła. - Mam za sobą ciężki tydzień, idę spać.

Kiedy Sharon odłożyła słuchawkę, Nicole wyrzuciła resztki swojej kolacji do śmieci i zabrała się za zmywanie. Tak jak przypuszczała, jajecznicza zaschła na dobre i nie dawała się łatwo zmyć. Ciekawe, jak inne młode gwiazdy spędzają piątkowe wieczory. Ona miała zaproszenie na przyjęcie, ale odmówiła.

Peta, specjalistka od public relations w Titus Records, zapraszała ją na premierę albumu grupy Coral Fish, uważała, że dla image'u Nicole dobrze byłoby, gdyby się pojawiła. Nicole jednak bała się przyznać że obawia się hucznych imprez. Sharon poszłaby z przyjemnością, pomyślała, bardzo lubi ten zespół. Ale czy można kogoś przyprowadzić? Słyszała, że wielkie gwiazdy chodzą na przyjęcia w wianuszkach przyjaciół ale to gwiazdy, a nie piosenkarki bez jednego singla na koncie. Co by było, gdyby zjawily się tam z Sharon j nie wpuszczono by ich do środka?

Kiedy kuchnia lśniła już czystością, Nicole poszła do swojego pokoju i podziwiała zdjęcia. Czy to naprawdę ona? Kobieta na fotografiach o wielkich oczach i smukłej szyi, była piękna. Pewnie wszyscy myślą, że bawi się co noc, a nie siedzi w domu.

Rzuciła gazetę na podłogę. Właściwie wcale nie musi siedzieć w domu Nie mogła się dodzwonić do Pety, więc wybrała numer asystentki Boba Fellowesa, Isyi. Nie chciała zawracać menedżerowi głowy takim drobiazgiem.

Kiedy go zatrudniła i podpisali kontrakt z Titus Records, nalegał, żeby zwracała się do niego z każdym problemem, ale ciągle było jej głupio zwracać mu głowę drobiazgami. Przecież nie będzie z Bobem rozmawiała o przyjęciu. A Isya była zawsze miła i spokojna.

Isya wysłuchała jej uważnie.

- Nie, nie potrzebujesz zaproszenia - zapewniła. - Zostaw to mnie. Zaraz przyślę do ciebie stylistę, limuzyna przyjedzie o dziewiątej. Lorelei też się wybiera, pojedziecie razem. Zresztą i tak musicie się poznać, jedziecie razem na tournee „Teen Stars”.

Nicole odłożyła słuchawkę. Lorelei to gwiazda, miała dwa single w pierwszej dziesiątce. Limuzyna, stylistka... Nicole zadrżała. Pociąg ku sławie to szalony ekspres, nie można go zatrzymać.

Stylista ubrał Nicole w króciutką skórzaną spódniczkę i szyfonową bluzeczkę, która pasowałaby raczej na Barbie jej siostry. Lorelei miała jeszcze bardziej wyzywający strój. Oczywiście faceci nie dawali im spokoju przez cały wieczór. I to nie zwykli faceci, z którymi Nicole umiała sobie dawać radę, ale tacy prawie sławni, jak na przykład lider Coral Fish, ponury olbrzym imieniem Zol. Od stóp do głów ubrany w skórę, palił jednego skręta za drugim i zapytał Nicole, czy po imprezie pojedzie z nim do hotelu. Zbyła go nerwowym śmiechem.

Zwykła rezerwa opuściła ją i piła drinka za drinkiem, żeby jakoś się w tym wszystkim odnaleźć. Nie zgodziła się na propozycję Zola, ale on chyba był innego zdania, bo co chwila klepał ją po pośladkach i zaborczo głąskał po głowie.

- Zaopiekuję się tobą - obiecała Lorelei, gdy się poznały w limuzynie, lecz zostawiła ją własnemu losowi zaraz na początku. Między innymi dlatego Nicole tak się ucieszyła, gdy zjawił się Dariusz z muzykami z Density.

- Dzięki Bogu, że jesteś - czknęła. - To dom wariatów.

- Wszystko w porządku? - Dariusz przytulił ją, rozpaloną i zgrzaną. - Chyba się troszkę upiłaś.

- Drinki - powiedziała, podnosząc szklankę. - Strasznie dużo wypiałam, co najmniej cztery. Tu jest okropnie. Oni wszyscy są chyba nienormalni.

- Bo zadajesz się z niewłaściwymi ludźmi - mruknął. Zaprowadził ją w cichy kąt, z dala od baru i parkietu. Opadła na miękką kanapę z absolutnym brakiem wdzięku, typowym dla osób zalanych w trupa.

- Nie wiedziałem, że tu będziesz - powiedział miękko. Jego uwagi nie uszła ani skąpa bluzeczka, ani króciutka spódniczka. Babcia dostałaby zawału, widząc ją w takim stroju.

- Ja też nie. Ale siedziałam w domu, zmywałam, nudziło mi się i poczułam się samotna. - Wplotła smukłe palce w jego włosy, w jej ciemnych oczach lśniło pożądanie. - Jesteś taki przystojny, Darius - wybełkotała.

Darius głośno przełknął ślinę. Szaleje za nią, ale nie wykorzysta tego, że jest pijana. Nie podoba mu się to. Właściwie co ona tu robi? Ma talent i dopiero zaczyna karierę. Nie powinna się wzorować na narkomanach, jak Coral Fish, czy twardych bezwzględnych sukach, jak Lorelei. I zespół, i piosenkarka znikną najpóźniej za dwa lata, był o tym przekonany. Zmarnowali i tak mierny talent, fatalnie traktując innych. Nawet chłopcy z Density, w których umiejętności wierzył, zaczynali działać mu na nerwy wyszukаныmi żądaniami. A Nicole ma przed sobą piękną, długą karierę. Nie może jej zmarnować, idąc w ślady Coral Fish.

Delikatnie wyplątał się z jej objęć.

- Też mi się podobasz, Nicole - szepnął. - Ale nie tutaj, nie teraz. Nagle im przerwano.

- Witam, witam - rozległ się gardłowy kobiecy głos. Lorelei, wysoka, szczupła, ładna, ale o ostrych rysach, pojawiła się w towarzystwie kelnera, który niósł tacę i trzy koktajle. - Kogo my tu mamy? Nicole, dlaczego wybierasz sobie najładniejszych?

Usiadła obok Dariusa, przykleiła się do niego, miękka i giętka.

- Cześć. - Położyła mu dłoń na udzie, dłoń z długimi, czerwonym paznokciami. Paznokcie Nicole były krótkie, pomalowane bezbarwnym lakierem. - Jestem Lorelei.

Lorelei oczekiwała, że ta prezentacja, wygłoszona jej firmowym (i długo ćwiczonym) zmysłowym półgłosem, zwali go z nóg. Niejeden facet zapominał języka w gębie, gdy to usłyszał, zwłaszcza gdy gapił się na jej obfity biust podniesiony niemal pod brodę dzięki stanikowi na fiszbinach.

Niestety, tym razem efekt był mierny.

- Poznaliśmy się już - zbył ją Darius. - Na rozdaniu nagród w zeszłym roku.

Ponownie zajął się Nicole i Lorelei, wściekła i upokorzona, odeszła z dumnie zadartą głową.

Wtedy wszystko się zaczęło. Lorelei poprzysięgła zemstę.

Nicole jeszcze długo rozmawiała z Dariusem, nawet kiedy Zol z Coral Fish dał jej znać, że wychodzi. Po pewnym czasie oddaliła się do

toalety. Uśmiechała się pod nosem, kołysząc się lekko na wysokich obcasach, gdy nagle, nie wiadomo skąd, zjawił się potężny blondyn, wziął ją na ręce i zaniósł do limuzyny, gdzie już czekała Lorelei.

- Muszę wracać do Dariusa - wybełkotała Nicole, wtulona w skórzane siedzenie.
- Nie dzisiaj, kochanie - syknęła Lorelei.

Lorelei kazała kierowcy jechać do innego klubu. Nicole przez łzy szukała w notesie numeru komórki Dariusa, ale była zbyt pijana, by coś odczytać.

Na pewno pomyśli, że wystawiłam go do wiatru, pomyślała z rozpaczą, i wypila jedną po drugiej trzy szklaneczki tequili. I tylko dzięki wielkiemu blondynowi, który delikatnie zaniósł ją do limuzyny o czwartej nad ranem, w ogóle dotarła do domu.

Następnego ranka, gdy nikt nie odbierał telefonu, który uparcie dzwonił co najmniej od dwudziestu minut, Nicole zwlokła się z łóżka i z trudem podeszła do aparatu.

- Halo? - zachrypiała w słuchawkę.
- Jak było na przyjęciu? - zapytała Sharon ostro.
- Jakim przyjęciu? - Nicole pękała głowa.
- A na jakim byłaś wczoraj? Gdzie poszłaś po tym, jak mi powiedziałaś, że nie masz żadnych planów?

Nicole usiadła na najniższym stopniu i oparła się o żółtą tapetę. Czuliła się fatalnie. W jej żołądku szalał sztorm, jakieś osiem stopni w skali Beauforta. Może jeśli przez chwilę posiedzi w bezruchu, mdłości przejdą.

- Poszłam pod wpływem impulsu - tłumaczyła się. - Byłam zaproszona na to przyjęcie, ale nie chciało mi się iść.

- Cóż, w „Globe” wygląda na to, że bawiłaś się świetnie - syknęła Sharon. - Nie widziałaś jeszcze? Przeczytam ci: Wschodząca gwiazda, Nicole, pojawiła się wczoraj na imprezie w supermodnym klubie Shiva, razem z nieobliczalną Lorelei, od której wiemy, że dziewczyny się przyjaźnią i razem wyruszą w trasę koncertową „Teen Stars”. Ponętna Nicole, której singel ukaze się w maju, powiedziała nam, że jest wierną fanką Coral Fish. A ja ich uwielbiam - Głos Sharon drżał niebezpiecznie. -1 dobrze o tym wiesz. Mam ich wszystkie płyty. A nawet mi nie powiedziałaś, że tam idziesz. Nie chciałaś, żebym z tobą poszła, bo jestem zwyczajna, nudna i przeciętna, więc nic nie powiedziałaś, tak? Świetnie. - Sharon nie ukrywała urazy. - Jeśli tak chcesz...

- Sharon! - Nicole nie miała siły protestować. - Naprawdę nie chciałam tam iść. Kiedy dzwoniłaś, myślałam, że wybierzemy się gdzieś razem, ale już się umówiłaś z Michelle...

- Tak, jasne. Już ci wierzę, że wolałabyś iść ze mną do pubu na piwo, zamiast do drogiego klubu na szampana z tą głupią Lorelei. Nie znosiłaś jej, co ci się nagle stało?

Teraz nie czas tłumaczyć, że po bliższym poznaniu Lorelei okazała się jeszcze gorsza, niż kiedy była tylko obcą piękną twarzą z MTV.

- Sharon, to nie tak. - Nicole nie wiedziała, co jest gorsze, morderczy kac czy świadomość, że Sharon jest na nią wściekła.

- Pewnie następnym razem zobaczę cię w telewizji, w filmie dokumentalnym za pięćdziesiąt lat; będziesz wspominała znajomych z młodości, z którymi zerwałaś, gdy stałaś się sławna! - Sharon rzuciła słuchawkę.

Nicole poczłapała do kuchni, wypiła szklanekę wody i dziesięć minut później zwymiotowała.

Następnie zadzwonił Darius. On też nie był zadowolony.

- Dotarłaś do domu cała i zdrowa? - zapytał oschle. Jego arystokratyczny akcent brzmiał lodowato. - Martwiłem się, że nie wracasz. Szukałem cię, ale dziewczyna z toalety powiedziała, że wyszłaś.

Powoli zaczęła sobie coś przypominać. To Lorelei, tak, to na pewno Lorelei była wściekła, że Darius nie zwracał na nią uwagi i postanowiła zemścić się na Nicole. A teraz Darius się złości, bo myśli, że Nicole wystawiła go do wiatru.

Próbowała mu wytłumaczyć, ale cały czas było jej niedobrze, ledwie mogła mówić.

- To nie miało nic wspólnego z Zolem - wydusiła w końcu. - Lorelei mnie porwała.

Nie uwierzył.

- Radziłbym ci nie zadawać się z Zolem - powiedział chłodno. - Jest niebezpieczny. Ćpa. O ile pamiętam, umawialiśmy się, że to ja cię odwiozę?

- Tak - przytaknęła smutno.

- Do zobaczenia za kilka tygodni - powiedział takim tonem, jakby ustalał termin wizyty u dentysty. - Oczywiście będę w kontakcie z Bobem.

- Nie pojedziesz ze mną? - zaniepokoiła się. - Wydawało mi się, że...

Wyruszała na tournée „Teen Stars”-objazd po siedmiu miastach i zarazem doskonały sposób, żeby sprawdzić nowych wykonawców, zanim rzuci się ich na głęboką wodę. Niektórzy nigdy nie zajdą dalej niż „Teen

Stars"; są za słabi. Nicole obawiała się, że i ona będzie wśród tych nie-szczęśników. Jako jej odkrywca, Dariusz wybierał się w trasę razem z nią. Najwyraźniej jednak zmienił zdanie.

- Już poznałaś Lorelei - rzucił chłodno. - Poradzisz sobie. Nicole poczuła się, jakby straciła jedyne go sojusznika na świecie.

Znała swoje piosenki na pamięć, od końca do początku i w poprzek,

O czym z irytacją powiadomiła matkę, gdy ta dopytywała się nerwowo, czy aby na pewno Nicole da sobie radę, występując przed liczną publicznością, czy coś jej się nie pomyli, czy nie zapomni tekstu...

- Mam nadzieję, że znasz je też od początku do końca - zarechotała babcia.

Nicole, nieszczęśliwa, bo od tygodnia nie rozmawiała z Dariusem,

1 śmiertelnie przerażona na myśl o występach na żywo, warknęła:

- Co za bzdury opowiadasz!

Zamiast odburknąć coś, Reenie Turner zwiesiła głowę i wyszła z ciasnego pokoiku. Nicole zorientowała się, że sprawiła jej przykrość. Sandra spojrzała na córkę z wyrzutem i wyszła bez słowa. Nicole z wściekłością zamknęła walizkę.

Co je ugryzło? Kłóca się bez przerwy, a kiedy ona raz coś burknęła, obrażają się śmiertelnie. Zresztą babcia naprawdę głupio się odezwała.

Spojrzała w lustro. Nie zwracała już uwagi na obcisłą dzinsową kurtkę i czarne bojówki, chociaż kiedy je kupiła, nie posiadała się z zachwyty. Ludzie opowiadają takie głupoty. Nie widzą, że umiera ze strachu?

No tak, ale to nie powód, żeby pyskować. Źle się zachowała. Chyba po raz pierwszy tak nieładnie potraktowała babcię. Zawstydzila się.

W tej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Twój samochód! - krzyknęła matka z dołu.

Nicole zataszczyła ciężką walizkę na dół i przywitała się z kierowcą. Zajrzała do saloniku.

-No to pa - rzuciła radośnie. Babci nie było. - Gdzie babcia? - zwróciła się do matki.

- Poszła do domu. Baw się dobrze.

Sandra nawet nie wstała, żeby się pożegnać, a to do niej niepodobne. Robiła tyle zamieszania dokoła jej wyjazdu, że Nicole spodziewała się pożegnalnego komitetu sąsiadów i butelki szampana. Jeszcze kilka minut temu drażniłoby ją to, ale teraz miała wyrzuty sumienia i łzy w oczach, że rodzina nie żegna jej jak należy.

Tylko Pammy uściskała ją serdecznie.

- Pozdrów Lorelei - poprosiła z przejęciem. - Strasznie ją lubię. Bo jej nie znasz, pomyślała Nicole ponuro. Uściskała siostrzyczkę i obiecała, że pozdrowi Lorelei.

- Leć do mamy, Pam - poleciała i zamknęła za sobą drzwi. Z okien domku przy Belton Terrace nikt jej nie machał.

Wsiadła do samochodu i milczała przez całą drogę na lotnisko. Bycie gwiazdą wcale nie jest takie fajne.

Na Heathrow wszyscy uczestnicy tournée „Teen Stars” siedzieli w sali odpraw dla pasażerów pierwszej klasy. W pierwszej chwili Nicole pomyślała, że wyglądają jak podstarzała szkolna wycieczka. Menedżerowie, technicy i inni specjaliści zachowywali się jak nauczyciele, którzy muszą się zająć młodzieżą, a młodzi artyści przypominali uczniów szkoły zakonnej, którzy wyrwali się na wolność i chcą się nią nacieszyć.

Nicole dostrzegła cztery dziewczyny z uroczego ponoć, niewinnego zespołu Carli Girls - siedziały w rogu, paliły papierosa za papierosem, piły czerwone wino i opowiadały świńskie kawały fotografowi. Gregory, znany dzięki roli w serialu, ulubieniec matek i ich nastoletnich córek, twarz kampanii „z szacunkiem do rodziców”, rozmawiał przez telefon, kłął jak szewc i oczywiście palił. Tina, cudowne dziecko, malowała sobie grube kreski na powiekach i ukradkiem popijała wino ze szklanek Carli Girls, gdy jej matka nie patrzyła.

Tylko Euston, boys-band z najniewinniejszym image'em świata, zachowywali się przyzwoicie - grali w monopol. Straszliwej Lorelei nigdzie nie było widać.

Może zrezygnowała, łudziła się Nicole. Najchętniej nie oglądałaby jej nigdy więcej.

Na Nicole czekali ludzie zarówno z Titus Records, jak i z „Teen Stars”; mieli dopilnować, żeby tournée przebiegło w miarę spokojnie. Nie chcieli, żeby w plotkarskich gazetach pojawiło się zbyt dużo wzmianek o skandalicznym zachowaniu. Jeszcze nie wiedzieli, że będą mieli pełne ręce roboty.

- Już się martwiliśmy - zaczęła Andrea z Titus Records. Wybierała się w trasę razem z Nicole. Wyglądała na dwadzieścia lat, była specjalistką od public relations. Oby okazała się w porządku. Nicole bardzo chciała się komuś zwierzyć, że umiera ze strachu.

- Straszne korki - rzuciła lekko. - Co teraz?

- Musimy pstryknąć kilka zdjęć dla magazynu „Teen Stars” - włączyła się Phyllis, najstarsza z całego towarzystwa. Wyglądała co najmniej na trzykrotnie starszą niż Andrea. Chyba przywykła do użerania się z mło-

dymi muzykami. - Proszę wszystkich razem! - krzyknęła głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Carli Girls błyskawicznie zgasiły papierosy i wyjęły drogie kosmetyczki, żeby poprawić makijaż. Phyllis zabrała kieliszki po winie i wszyscy starali się wyglądać młodo i niewinnie. Gregory zaklął siarczyście po raz ostatni, odłożył słuchawkę i uśmiechnął się swoim firmowym uśmiechem, który kochały kobiety w każdym wieku.

- Cześć, maleńka - mruknął, ustawiając się koło Nicole. Odgarnął blond grzywkę z czoła. - Chyba się jeszcze nie znamy? Może się zabawimy w trasie?

Nicole łypnęła na niego wrogo. Jeszcze nie zwariowała.

- Cześć - odezwał się głos tyleż znajomy, co nielubiany. - Co, Nicole, znowu podrywasz moich facetów? Niedobrze. Widzę, że muszę mieć na ciebie oko.

Lorelei, spowita w obcisłe różowe koronki, niezbyt odpowiedni strój na lotnisku Heathrow, wyglądała, jakby lada moment miała zacząć występ przy rurze w nocnym klubie.

Niemożliwe, żeby miała dopiero dziewiętnaście lat, uznała Nicole. Chyba jest wampirem i od wieków wędruje po świecie w poszukiwaniu ofiar. Trzeba dużo czasu, żeby stać się kimś tak wrednym, dziewiętnaście lat to stanowczo za mało.

- Gotowi? - zapytał fotograf.

Lorelei jak zwykle chciała znaleźć się w centrum uwagi, więc przeciskała się i wierciła, aż stanęła pośrodku. Dźgnęła Nicole w bok.

- To boli - syknęła Nicole.

- Przepraszam, skarbie - zaszczebiotała Lorelei. - Nie chciałam zrobić ci kuku - dodała dziecinnym głosem i objęła Nicole serdecznie. - Jesteśmy przyjaciółkami, skarbenku, tak?

I tak na pierwszym zdjęciu ze swego pierwszego tournée Nicole stoi w objęciach Lorelei. Lorelei uśmiecha się promiennie, a Nicole jest śmiertelnie ponura; właśnie sobie uświadomiła, że czekają jeszcze trzy tygodnie razem.

Lorelei popsowała coś, co się zaczynało między nią i Dariusem. Teraz Nicole chciała się zemścić. Darius nie dzwonił od tamtej rozmowy, a kiedy ona do niego zadzwoniła, zachowywał się oschle i profesjonalnie, jakby była tylko jedną z wielu podopiecznych firmy, a nie kimś wyjątkowym.

Odłożyła słuchawkę i rozplakała się gorzko. Nie do wiary, jak bardzo jej go brakuje.

Okazało się, że trasa koncertowa to ciężka praca, choć ludzie z „Teen Stars” mówili coś wręcz przeciwnego. Czekają szesnaście sal koncertowych, w każdej po dwa występy, często tego samego dnia. Po drugim występie Nicole padała z nóg i marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Lecz Carli Girls, Gregory i Lorelei mieli chyba niewyczerpane zasoby energii i imprezowali całą noc. Nicole nie zmrużyła oka. Kilka dni później Lorelei i Gregory uruchomili gaśnicę przed jej pokojem i uciekli, gdy wyjrzała zaalarmowana hałasem. Długo trwało, zanim przekonała ochroniarzy, że nie miała z tym nic wspólnego. Od tej pory zawsze prosiła o pokój na innym piętrze i zdradzała jego numer tylko Andrei i Phyllis.

Rzeczywiście nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: ponieważ Nicole ciągle musiała się mieć na baczności przed psikusami Lorelei, nie miała kiedy denerwować się występami.

Podczas prób nerwowo czekała na następny ruch Lorelei, a gdy zaczęły się występy, przekonała się, że uwielbia być na scenie i radzi sobie doskonale.

Jak napisał recenzent muzyczny z „Edinburgh Clarion”: Wprawdzie tournee „Teen Stars” to nędzny pop w najgorszym wydaniu, ale brawa dla organizatorów za charyzmatyczną Nicole. Gardłowy, anielski głos, uroda indyjskiej bogini... Nicole jest najjaśniejszą gwiazdą tego tournee. Sądząc po entuzjastycznych okrzykach fanów, ilekroć wchodzi na scenę, nie ja jeden jestem tego zdania.

Ta recenzja nie poprawiła stosunków z Lorelei, która wpadła w szal, złamała dwa paznokcie i ze złości wylała lakier do paznokci na ukochany ciuch Nicole - kurtkę od Dolce & Gabbany.

Tego było już za wiele. Nicole uznała, że wystarczająco długo puszczała jej płazem niewybredne kawały, i wstawiła jej bogatą kolekcję kosmetyków do mikrofalówki, aż z cieni i szminek zrobiła się tęczowa breja. Później włożyła wszystko z powrotem do metalowej skrzynki, którą Lorelei kazała za sobą nosić, bo nie chciała używać tych samych kosmetyków co reszta.

Gdy odkryła, co się stało, rozdarła się na całe gardło, zupełnie jakby występowała na scenie ze wzmacniaczami.

- Ty suko! - wrzeszczała, stając w drzwiach garderoby Nicole. Wyglądała wypis w wymaluj jak rozjuszony dinozaur płci żeńskiej z *Parku jurajskiego*.

Nicole, pogrążona w rozmowie z Phyllis, spojrzała na nią niewinnie.

- O co ci chodzi, Lor? - zapytała słodko.

- Rusz się, Lorelei - włączyła się Phyllis stanowczo. Nie chciała żadnych awantur. - Wychodzisz za pół godziny, a jeszcze jesteś nieumalowana.

- Moje kosmetyki się rozpląnęły! - szlochała Lorelei.

- Pewnie zostawiłaś je za blisko kaloryfera. - Nicole kiwała głową ze współczuciem. - Gorąco w tych pokojach, prawda?

Dni mijały błyskawicznie. Nicole była zdana tylko na siebie. Nie to, że czuła się samotna; ba, nigdy nawet nie była sama: ciągle próby, występy, loty, wywiady. Ale przywykła do zajmowania się Pammy i Sandrą, i teraz dziwnie było nie mieć nikogo pod opieką. Początkowo czuła się zagubiona, lecz z czasem polubiła ten stan.

W wolnych chwilach nie biegała po sklepach, jak inne dziewczyny, w poszukiwaniu ciuchów. Woląла zwiedzać miasta, w których występowała. Była oszołomiona poczuciem wolności. Nie jest za nikogo odpowiedzialna, nie musi się martwić, czy Pammy zabrała kostium gimnastyczny do szkoły i czy w domu jest coś do jedzenia.

Niemal przez całe życie poczuwała się do odpowiedzialności za rodzinę. Jej koleżanki wyprowadzały się z domu, wspólnie wynajmowały mieszkania, ale Nicole wiedziała, że się na to nie zdobędzie. Nie zostawi matki i siostry. Nie mogła nawet o tym myśleć. Ale teraz, beztroska po raz pierwszy w życiu, wyobrażała sobie, jak by to było mieć własne mieszkanie i żadnych obciążeń rodzinnych. Aż jej się zakręciło w głowie na tę myśl.

Codziennie rozmawiała z Pammy przez telefon i bardzo za nią tęskniła. Pammy miała zagrać elfa w szkolnym przedstawieniu. Nicole omal nie pękła z dumy, gdy się o tym dowiedziała.

- Mam skrzydła - pochwaliła się Pammy któregoś dnia. - Srebrne. Kylie ma niebieskie.

- Będę mogła cię obejrzeć? - zapytała Nicole.

- Musisz.

Srebrne skrzydła zdobyła Sandra.

- Kupiłam - wyjaśniła. - Wiesz, pani ze szkoły chyba się spodziewała, że zrobię je własnoręcznie, ale wyobrażasz sobie mnie z igłą i nicią? A tu na rynku jest taka miła pani, robi różne rzeczy na zamówienie. Biedaczka Kylie miała niebieskie. Ale ja się postawiłam pannie Vishnu, powiedziałam jej: „Moja Pammy jest śliczna i będzie ślicznym elfem. Niebieskie skrzydła wykluczone”.

Nicole była zaskoczona, że matka w ogóle rozmawiała z panną Vishnu. Dawniej Sandra trzymała się jak najdalej od szkoły, pewnie dlatego, że miała dosyć kłótni z nauczycielami niesfornej Nicole. No cóż, może kłótnie to niewłaściwe określenie. Nauczyciele narzekali na Nicole, a Sandra

odpowiadała, że nie ma czasu, i obiecywała, że omówią to dokładnie na zebraniu. Tyle że na zebrania nigdy nie chodziła. A teraz proszę, załatwia dla Pammy srebrne skrzydełka.

To wszystko dowodzi, że bez niej też sobie radzą. Nicole nagle poczuła się nikomu niepotrzebna. Nawet babka zachowywała się inaczej niż zwykle.

Reenie nie wybaczyła jej jeszcze, chociaż Nicole wiele razy przepraszała. Ich rozmowy były sztuczne i drętwe.

- Nie chcę, żebyś zaczęła zadzierać nosa - burknęła Reenie któregoś dnia, gdy łaskawie raczyła podejść do telefonu.

- Nie zacznę, babciu - zapewniła Nicole.

- Hm - mruknęła Reenie i oddała słuchawkę córce.

Dziesiątego dnia trasy zadzwonił Darius.

- Podobno świetnie ci idzie - powiedział. Nicole zarumieniła się z radości.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała otwarcie i zarumieniła się jeszcze bardziej. - To jest... to znaczy, fajnie by było, gdybyś tu był... - dodała szybko, chcąc zatrzeć wrażenie po tamtych słowach. Boże, weźmie ją za idiotkę.

Darius nie dał jej dokończyć.

- Ja też - powiedział miękko. Nicole ciężko opadła na łóżko. -Och.

- Andrea mówi, że jesteś świetna. Wysyłamy grupę z międzynarodowej filii Titus. Będą jutro wieczorem. Bardzo się tobą interesują, słyszeli, że masz zadatki na wielką gwiazdę. Robi się o tobie coraz głośniej.

Nicole miała to wszystko w nosie. Uśmiechała się błogo. Darius zadzwonił. Tylko to się liczy.

- A ty przyjedziesz? - zapytała.

- Oczywiście. Przepraszam - dodał ochryple. - Wiesz, za tamten telefon.

- Nie wyszłam z Zolem - zapewniła. - Naprawdę, uwierz mi. Lorelei była wściekła, że ją odtrąciłeś i namówiła tamtego faceta, żeby mnie zaciągnął do jej limuzyny. Nie chciałam iść, chciałam zostać z tobą. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie dałam rady. Za dużo alkoholu - przyznała ze skruchą.

- To nie twoja wina. - Darius nie pozwolił jej mówić dalej. - Trafilaś na złe towarzystwo.

-Nie chcę przebywać z takimi ludźmi. Nie jestem taka. Lorelei doprowadza mnie do szału. To... świnią. - Chciała powiedzieć mocniej, ale przy nim nie chciała przeklinać. - Zol jest jeszcze gorszy. Przez całą noc klepał mnie po tyłku. - Nadal ją to denerwowało.

Darius był cudownie wściekły.

- Dupek - mruknął. - Powinienem być mieć cię cały czas na oku. Jeszcze niedawno Nicole obraziłyby się śmiertelnie, gdyby jakiś facet sugerował, że potrzebuje opieki, ale teraz rozkleiła się zupełnie.

- Podoba mi się myśl, że chcesz mnie mieć na oku - mruknęła. Lorelei jakby wyczuła, że to ważny dzień dla Nicole. Zachowywała się jeszcze gorzej niż zwykle. Rano przez nią wyjechali z hotelu o godzinę później - twierdziła, że zgubiła amulet na szczęście, prezent od ojca.

Ponieważ byli spóźnieni, nie zdążyli zameldować się w hotelu przed wieczornym koncertem. Nicole, która po występie miała się spotkać z przedstawicielami firmy i chciała szczególnie starannie przygotować się na wieczór, była wściekła. Dzielila garderobę z dziewczynami z Carli Girls i nie mogła wysmarować się pachnącym mleczkiem do ciała, jak planowała, żeby oczarować Dariusa.

- Chyba jesteś nie w humorze, Nicei. - Lorelei uśmiechała się słodko, gdy Nicole zeszła ze sceny po wyjątkowo nieudanej próbie.

' Nicole posłała jej mordercze spojrzenie, ale nic nie powiedziała. W garderobie Carli Girls obgadywały Lorelei.

- Początkowo wydawała mi się fajna, ale okazała się okropna - stwierdziła jedna.

- O Jezu, tak. Nie znoszę jej.

- Mówcie dalej, chętnie posłucham - mruknęła Nicole.

Miały jeszcze pół godziny do koncertu, czas się przebrać. Carli Girls ubierały się na srebrno - wszystkie występowały w srebrnych kombinezonach. Nicole miała wystąpić w obcisłej, seksownej bluzeczce z głębokim dekoltem i szytych na miarę dżinsach.

- Na razie! - zawołały Carli Girls i wyszły. Zaraz wystąpią, Nicole wychodzi na scenę po nich. Po niej Gregory, później Lorelei i na końcu Euston. Kolejność była istotna - największa gwiazda występuje na samym końcu. Lorelei walczyła zazarcie o ten przywilej. Na razie bez skutku. .

Nicole miała jeszcze piętnaście minut. Doszła do wniosku, że jeszcze zdąży zrobić się na bóstwo. Pobieгла do małej łazienki w korytarzu.

Miała na sobie tylko dżinsy i stanik, gdy nacierała się pachnącym mleczkiem do ciała. Koniecznie chciała pięknie pachnieć, na wypadek gdyby Darius ją objął.

Przestraszył ją nagły hałas.

- Kto tam? Andrea, to ty?

Żadnej odpowiedzi, ale słyszała, że ktoś podchodzi do drzwi łazienki. Nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Odsunęła zasuwkę, ale drzwi ani drgnęły.

- Kto tam? - powtórzyła.

I znowu brak odpowiedzi, tylko stłumiony chichot, który Nicole rozpoznałaby wszędzie: Lorelei.

- Wypuść mnie, Lorelei! - wrzasnęła. Nic z tego.

Napierała na drzwi całym ciałem, ale nie pomogło. Lorelei zamknęła jąna klucz. Piętnaście minut do występu. Nikt nie zauważy, że jej nie ma, a jeśli nawet, to i tak minie trochę czasu, zanim ją tu znajdą. Wyjdzie na osobę niepoważną i nieprofesjonalną. Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Zamorduje Lorelei gołymi rękami.

Minęło pięć minut, dziesięć. Nicole najpierw się złościła, potem panikowała. Walila w drzwi pięściami i krzyczała, ale chyba nikt jej nie słyszał.

- Ratunku, pomocy! - wrzeszczała, przerażona, że ochrypnie, ale jeszcze bardziej przerażona, że nie wystąpi. Tak ciężko pracowała, a teraz wszystko pójdzie na marne przez tę głupią krowę.

- Nie wygrasz ze mną, Lorelei - przysięgła rywalce. Rozejrzała się po łazience w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. Znalazła jedynie wiekową wagę, zabytek chyba z epoki wiktoriańskiej. Trudno, musi wystarczyć. Nicole podniosła ją i z całej siły walnęła w drzwi. Zadrżały. Celowała w klamkę, licząc, że przy okazji wyłamie zamek. Szykowała się do trzeciego ciosu, gdy ktoś zawołał ją po imieniu.

- Nicole? Jesteś tam?

- Tak - pisnęła radośnie. - Zamknęła mnie w łazience! Szukaj klucza! Chwila ciszy i słowa:

- Nie mogę znaleźć. Odsuń się, wyważę drzwi.

Stała pod ścianą i czekała, aż rozległ się głośny huk. Drzwi zatrzeszczały i otworzyły się.

- Darius - szepnęła. Jeszcze nigdy w życiu nie cieszyła się tak bardzo na czyjś widok, z różnych powodów. - To Lorelei mnie tu zamknęła, jestem pewna.

- Świnia - warknął. - Wysłanie cię z nią w trasę to był błąd. To jakby wpuścić cię do basenu z rekinami bez żadnej ochrony. Jest o ciebie zazdrosna.

- Tak? - Stała przed nim; nie przejmowała się niekompletnym strojem. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

-Nie wiedziałem - patrzył na nią tęsknie. - Ale wiedziałem, że nie spóźniłabyś się bez powodu.

Nicole wspięła się na palce i pocałowała go. Objął ją błyskawicznie, przywarli do siebie, całowali się namiętnie, póki Darius nie odzyskał panowania nad sobą.

- Musisz wystąpić - szepnął zdyszany i przeczesał włosy ręką, przez co sterczały jeszcze bardziej niż zwykle.

- Później - szepnęła.

- Później - zgodził się.

- Gdzie byłeś? Wszyscy się martwiliśmy - zapytała słodko Lorelei, gdy Nicole biegła na scenę. Nie miała czasu dyskutować, ale po występie nadeszła chwila zemsty.

- Udzielisz krótkiego wywiadu? - poprosiła Phylhs. - Wiem, że masz dzisiaj spotkanie z ludźmi z branży, ale byłaś wspaniała i dziennikarka z „Superb” koniecznie chce przeprowadzić z tobą wywiad.

- Nie ma sprawy - zgodziła się, bo właśnie wpadła na szatański pomysł.

Dziennikarka czekała w kantorku za sceną. Kiedy padło nieuniknione pytanie o konflikty z innymi gwiazdami, Nicole dokładnie wiedziała, co powiedzieć.

- Cóż - poruszyła się niespokojnie. - Wiem, że Lorelei mówiła o mnie okropne rzeczy. To straszne, świat show-biznesu jest taki okrutny - pokręciła głową. - Taka fajna dziewczyna, naprawdę bardzo ją lubię, ale kiedy twój singel okazuje się niewypałem... no cóż, nie każdy dobrze sobie z tym radzi.

Dziennikarka ciekawie nadstawiła uszu.

- Nie wiedzieliśmy, że jest aż tak źle - mruknęła. - Niełatwo wydobyć od firm fonograficznych autentyczne dane. Wszyscy temu zaprzeczają, ale przecież wiemy, że czasami trochę fałszują liczby na korzyść wykonawców.

Nicole zagryzła usta, jakby powiedziała za dużo.

- O Boże, niepotrzebnie tyle gadam... Lorelei się załamie, jeśli ktoś się dowie... Jest taka dumna. Wiesz, kiedyś się przyjaźniłyśmy, ale teraz... - znacząca pauza. - Jej drugi album już wypadł z rankingów. Jest załamana. Wierzę, że nie chciała mnie urazić, naprawdę jesteśmy przyjaciółkami.

Nicole starała się zachować powagę. Dziennikarka uśmiechała się pod nosem; teraz jasne, czemu Lorelei wyrusza w męczącą trasę koncertową - tylko dzięki temu może liczyć, że jej następna piosenka zajdzie wyżej na listach przebojów. Nagle ten wywiad okazał się jeszcze ciekawszy, niż myślała. W ciągu dwuletniej kariery Lorelei zalazła za skórę wielu ludziom. Nadszedł czas zemsty.

Rozdział 23

Cześć, Sam!

Co u ciebie? Mam nadzieję, że nie pracujesz za dużo. Tu w Redlion mamy piękny dzień, lato zbliża się wielkimi krokami. Toby i Millie siedzą koło mnie na podłodze i grają w karty. Matt wpadł na genialny pomysł i przysłał im Czarnego Piotrusia ze zwierzakami. Grają całymi dniami. Dzięki niech będą temu, kto wymyślił tę grę. Ale nie daj Boże, żeby Millie przegrała. Odkąd Matt wyjechał, zrobiła się nieznośna, a kiedy na nią krzyknę, drze się w niebogłosość, że chce do tatusia!

Dzisiaj na szczęście jest w dobrym humorze, bo przychodzi nowa opiekunka i Millie nie może się doczekać, kiedy już sobie pójdę. Pewnie coś knuje; biedna opiekunka, jeszcze nie ma pojęcia, co ją czeka. Idę na imprezę dobroczynną. Zorganizowała ją właścicielka pubu. Podobno to wielkie wydarzenie, wszyscy się wybierają. Zbieramy pieniądze na psy przewodniki dla niewidomych. Matt żartuje, że znając stałych bywalców pubu, psy przewodniki bardziej przydadzą się zalanym w trupa. Wciągnęli mnie w to wszystko, mam sprzedawać bilety wstępu. Od wyjazdu Matta mało wychodziłam, bo dzieciaki się przeziębily. Jutro opowiem, jak było.

Kocham cię Hope

Geraldine, dziewiętnastoletnia studentka sztuk pięknych, córka ekologicznego rzeźnika, wcale się nie przejmowała, że ominie ją taka impreza.

- Dzisiaj będą tam same pomarszczone dziadki - prychnęła z pogardą. - Nic ciekawego. Staruszkowie zawsze ciągną mnie na parkiet, bo kupują mięso u taty. Nie znoszę tego, nie znoszę żadnych imprez dobroczynnych. Straszne nudy.

- Czy ci staruszkowie będą także mnie ciągnęli na parkiet? - zainteresowała się Hope z uśmiechem.

Geraldine przecząco pokręciła głową.

- O nie nie znają cię na tyle. Ty to co innego; widzisz, oni pamiętają, jak wieki temu zmieniali mi pieluchę. Myślą, że to ich upoważnia do ciągnięcia mnie na parkiet. Z tobą im się nie uda. Ciebie uważają za gościa, więc jesteś bezpieczna. Zresztą - uśmiechnęła się rozmarzona - wiedzą, że masz boskiego męża, więc po co zawracać sobie głowę?

- Opiekunka do dzieci twierdzi, że będzie tu mnóstwo obleśnych starców spragnionych tańca - szepnęła Hope do Delphine, gdy rozbierały się w szatni.

- I ma rację. Ale nie martw się, będą też fajni faceci. Obiecuję, że pospieszę ci na ratunek, jeśli pojawi się ktoś nieodpowiedni.

Hope jeszcze nigdy nie była w sali zebrań. Na zewnątrz był to ponury budynek bez odrobiny wdzięku, czego nie zmieniał nawet pnący bluszcz i dzikie wino. Za to w środku Belle Maguire i jej pomocnice wyczarowały bardzo przytulną salę; ozdobiły ją Żółtą krepiną, kwiatami i przede wszystkim ustawiły długi stół pełniący rolę bufetu.

Wszystkie stoliki nakryto na żółto - żółte były obrusy i roze. Stłumione światło ukrywało zmarszczki i stwarzało przytulną atmosferę. Widać było, że w przygotowanie tej imprezy włożono dużo czasu i wysiłku. O wpół do ósmej zaczęli się schodzić goście; jak zwykle, niektórzy szykowali się godzinami, inni nie zdążyli nawet przebrać się po pracy. Hope i Delphine przechadzały się między stolikami. Hope, która od rana właściwie nie miała nic w ustach, tęsknie spoglądała na obficie zastawiony bufet. O ósmej sala była pełna. Niektórzy me zawracali sobie głowy jedzeniem, woleli raczej w pełni wykorzystać to, że przez pierwszą godzinę alkohol jest za darmo.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - zwróciła się Hope do Belle, obserwując wydłużającą się kolejkę do baru.

Belle uśmiechnęła się tajemniczo.

- Poczekaj do aukcji - odparła. - Im więcej wypiją, tym sąhojniejsi. Zobaczysz, kiedy wszystko podliczymy, okaże się, że zebraliśmy majątek

Miała rację. Do dziesiątej Hope sprzedała większość biletów, na parkiecie nie było skrawka wolnego miejsca. Hope także tańczyła, i to wcale nie z obleśnymi starcami". Eugene przyprowadził kilku przyjaciół, którzy chętnie prosili do tańca uroczą panią Parker w zwiewnej szyfonowej sukience, słodkiej i zarazem seksownej.

Wbrew oczekiwaniom Hope, impreza była bardzo elegancka. Śliczne nastolatki przechadzały się powoli, udając śmiertelnie znudzone imprezą dla zgredów, a tak naprawdę wyłaziły ze skóry, żeby zwrócić na siebie uwagę znanego muzyka rockowego, który od paru lat mieszkał w Redlion. Przyszedł z żoną, była supermodelką; obserwowała młodzieńcze piękności czujnym wzrokiem. Zdobywczyni Oscara, która kupiła podupadły zamek Shanrock, zjawiała się z przyjaciółmi z Los Angeles; jeden z nich wyraźnie podrywał barmankę z pubu. Przyjaciółki Delphine, uroczę stworzenia, wyglądały, jakby całymi dniami siedziały w salonie piękności, budziły spore zainteresowanie gości z Los Angeles i przyjaciół Eugene'a. Dojechali też dwaj duńscy artyści, którzy wynajmowali dom niedaleko ośrodka pracy twórczej. Przyjechali na harleyu i świetnie się bawili, kosztując specjały irlandzkiej kuchni.

- Z czego to jest? - zapytał młodszy naiwnie, zając tajemnicze danie z apetytem.

- Z wieprzowiny - poinformowała grzecznie Lucille. - Z zadnich nóg, dokładnie mówiąc, bo na nich jest więcej mięsa. Może jeszcze?

Hope właśnie poprawiała makijaż w łazience, gdy weszła Belle.

- Jak wam idzie? - spytała.

- Doskonale. - Hope uśmiechnęła się szeroko. - Zarobimy majątek.

- To dobrze. Posłuchaj, teraz będzie aukcja i mam problem; jedna z pań wystawiła mnie do wiatru.

- Mogę jakoś pomóc? - zaoferowała się Hope. Belle się rozpromieniła.

- Miałam nadzieję, że to powiesz.

I tak Hope znalazła się na scenie, w towarzystwie siedmiu innych osób, które zgodziły się wystawić swoje usługi na aukcję. Danny, ogrodnik i projektant zieleni, oferował dzień pracy. Shona, dekoratorka wnętrz, zobowiązała się pomóc przy urządzeniu domu, a Delphine zrobić masaż twarzy i maseczkę.

Hope nie wiedziała, z czym mogłaby wystąpić.

- Pomoc przy hodowli kur! - zaproponowała złośliwie Mary-Kate z parkietu.

- A niby dlaczego cię tu nie ma? - zainteresowała się Hope.

- Ty jesteś ładniejsza - krzyknęła Mary-Kate.

- Nieprawda. Odmówiła - włączyła się Belle. Z blond włosami upiętymi na czubku głowy, w różowej sukni z bardzo głębokim dekoltem, który eksponował jej imponujący biust, wyglądała jak burdelmama w przybytku wysokiej klasy.

- Co ja tutaj robię? - zastanawiała się Hope na głos.

- Podobno jesteś świetną organizatorką. Una Hutchinson nie może się ciebie nachwalić. Możesz zaferować, że przez dwie godziny pomożesz ludziom załatwić ich sprawy.

- Nie znam się na tym - zaprotestowała.

- Bzdura - zachnęła się Belle. - Nie znasz własnej wartości. Aukcja zaczęła się powoli, ale kiedy przyszła kolej na Shonę i urządzenie wewnątrz, pieniądze płynęły strumieniami.

- Trzysta funtów, nie do wiary - cieszyła się Shona po aukcji.

- O Boże! - westchnęła Hope, czerwona ze wstydu. - Nikt nie da za mnie ani gorsza. Co za hańba. Czemu dałam się w to zrobić?

Belle, mistrzyni ceremonii, zaprosiła Hope na środek sceny, opisała jej zalety i otworzyła licytację.

Hope uśmiechała się sztucznie i żałowała, że nie ma tu Matta - licytowałby ją, żeby oszczędzić jej upokorzenia.

- Sto funtów - krzyknął lojalnie Eugene. Hope uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Sto pięćdziesiąt - przebiła Mary-Kate.

- Sto siedemdziesiąt pięć - odezwał się Paddy Slattery, który sprzedał jej kury. Hope westchnęła. Jeśli wygra, pewnie każe jej sprzątać kurnik.

- Dwieście. - To Erwin, u którego pracowała. Uśmiechnęła się pod nosem. Jego sprawy już uporządkowała.

- Dwieście pięćdziesiąt. - Mężczyzna na wózku. Obok niego stała Una Hutchinson i machała uniesionym kciukiem.

- Trzysta - zaferował ochryple gwiazdor rockowy i naraził się na groźne spojrzenie żony.

- Trzysta funtów - powtórzyła Belle i rozejrzała się po widowni. Nikt nie przebijał, jedynym odgłosem była cicha muzyka.

- Kto da więcej?! - krzyknęła Belle.

- Trzysta dwadzieścia pięć - odezwał się pomocnik rzeźnika, zapewne w imieniu szefa.

- Trzysta dwadzieścia pięć - powtórzyła Belle. - Trzysta dwadzieścia pięć po raz pierwszy, po raz drugi...

- Czterysta funtów - rozległ się znajomy głos.

Panie, które organizowały bal, ożywiły się radośnie, chociaż zdążyły już popaść w odrętwienie po nadmiarze brandy.

- Fantastycznie - wybełkotała jedna z nich. - Mam nadzieję, że to nie mój mąż licytował!

- Kto to? - szepnęła Shona i wyteżęła wzrok, by zobaczyć tajemniczego dobroczyńcę na końcu sali.

Hope nie musiała. Wiedziała. Wszędzie poznałaby ten głos. Christy de Lacy. Była czerwona jak burak.

- Czterysta funtów, kto da więcej?! - krzyknęła Belle, która znalazła się na rzeczy i od razu wypatrzyła piękną twarz Christy'ego w tłumie gości.

- Czterysta funtów po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci... sprzedana. Nabywca - pan Christy de Lacy, za czterysta funtów. Szczęściara z ciebie - dodała półgłosem do Hope. - Ja nie miałabym nic przeciwko temu, żeby kupił mnie za cztery funciaki - zachichotała zmysłowo. Hope tymczasem zastanawiała się, czy może wypisać czek na cele dobroczynne w swoim imieniu, jako że nie miała zamiaru spędzać ani chwili w towarzystwie Christy'ego.

Po akcji Belle zapowiedziała, że za dziesięć minut zamyka bar. Wszyscy goście jak szaleni rzucili się do kontuaru. Niektórzy powoli zbierali się do wyjścia. Na prośbę Belle osoby, które brały udział w aukcji, zarówno kupujący, jak i kupowani, zostali, żeby uzgodnić wszystkie szczegóły. Zapalono górne światła i Hope doskonale widziała, jak Christy, olśniewający w firmowym garniturze od Hugo Bossa, pewnie wchodzi na scenę.

- To naprawdę bardzo miło z pana strony - zauważyła Belle, pożerając go wzrokiem.

- Na szlachetny cel - zamruczał.

- Nie wyglądasz mi na dobroczyńcę - zachnęła się Hope.

Belle spojrzała na nią uważnie, ale nic nie powiedziała.

- Kiedy przyjedziesz do hotelu i uporządkujesz moje sprawy? - zapytał Christy tak cicho, że tylko Hope go słyszała. - Tęsknię za naszymi... spotkaniami.

Hope milczała. Umierała ze strachu, że ktoś ich usłyszy. Delphine i Eugene stali zaledwie kilka metrów do niej, Mary-Kate niedaleko rozmawia z Shoną...

- Może odwiozę cię do domu, Hope - zaproponował Christy głośno. - To po drodze, a o wpół do dwunastej muszę być w hotelu.

- Nie - zaprotestowała gwałtownie. - Odwiozą mnie Delphine i Eugene. Moja opiekunka do dzieci mieszka koło nich i chcą ją zabrać.

- Ja to zrobię - zaproponował gładko.

Hope posłała Delphine błagalne spojrzenie, ale przyjaciółka wkładała płaszcz i niczego nie zauważyła.

- Eugene, odwiozę Hope - powiedział Christy. - To nie w waszą stronę.

- No nie wiem... jeśli tak uważasz... - Eugene nie był przekonany. Niechęć do Christy'ego walczyła w nim z niechęcią do jazdy wyboistą drogą.

- Tak uważam - zdecydował Christy.

Hope miała dwa wyjścia; albo odmówi i zwróci na siebie powszechną uwagę, albo potulnie włoży żakiet, pożegna się ze wszystkimi i pójdzie z Christym. Oczywiście mogłaby odmówić, ale wtedy Eugene i Delphine głowiliby się, dlaczego to zrobiła, musiałaby tłumaczyć, że jest głupiąflirciarą zrobiła z siebie idiotkę. Cholerny Christy! Nie widzi, że nie jest już zainteresowana?

Najwyraźniej niczego nie widział.

- Uważaj, stopień - mruknął i wziął ją pod rękę, gdy szli na parking. Hope wyrwała się jak oparzona.

- Poradzę sobie - warknęła.

Spojrzał na nią z wyrzutem w psich oczach.

- Zmęczona? - domyślił się. - Nie przejmuj się. Niedługo usiądziesz sobie wygodnie i zdejmiesz buty. - Popatrzył na nią tak, jakby wyobrażał sobie, że zdejmuje nie tylko pantofle.

Szarmancko przytrzymał jej drzwi srebrzystego sportowego wozu.

- Szanowna pani - zamruczał.

Gdy zatrzasnął drzwiczki, Hope ogarnęło przemożne uczucie déjà vu.

Wzdrygnęła się na wspomnienie ostatniego razu, gdy siedziała w tym samochodzie. Poprawiła spódnicę i obronnym gestem splotła ręce na piersi. Jeśli on nie zrozumie, powie mu to wprost: kocha Marta i nie chce mieć z nim nic wspólnego. To był błąd.

- Wygodnie ci? - zapytał i wewnątrz wypełnił zapach Givenchy tor men. Co on, kapie się w perfumach?

- Tak - odparła. Postanowiła zachowywać się uprzejmie. - Jestem zmęczona, Christy. A jutro muszę rano wstać.

- Tak, Una ma wolne. Wiem, że sobie poradzisz. Jest pani świetnym fachowcem, pani Parker - spojrzał na nią znacząco.

Nie zwracaj na to uwagi, powtarzała sobie.

Siedzieli w milczeniu, gdy srebrzysty samochód mknął przez Redlion, lekceważąc ograniczenie prędkości. Kiedy samochód podskakiwał na wybojach na polnej drodze, Hope odczuła ulgę. Jest w domu, Christy milczał i nie tknął jej nawet palcem. Zaparkowali.

- Dziękuję - burknęła i wysiadła. Ku jej zdumieniu, Christy także.

- Mam chyba odwiedzić twoją opiekunkę do dzieci? - zapytał, widząc jej reakcję.

- No... tak, ale pewnie już śpi - jękała się zakłopotana; przecież nie pozwoli biednej Geraldine z nim pojechać.

- Wejść - uśmiechnął się łobuzersko.

Hope mocowała się z kluczami, ręce jej się trzęsły ze zdenerwowania. Chyba nie będzie niczego próbował, nie przy Geraldine?

Lecz gdy w końcu otworzyła drzwi, Geraldine nigdzie nie było widać. Hope spochmurniała. Owszem, miała iść spać, jeśli będzie zmęczona, ale jest dopiero wpół do dwunastej, to chyba za wcześnie?

- Pewnie poszła spać. - Christy bezgłośnie zamknął drzwi.

- Tak. - Hope poruszyła się niespokojnie. Zdjęła marynarkę i rozglądała się za karteczką od Geraldine. Gorączkowo kombinowała, jak pozbyć się Christy'ego, zanim coś mu przyjdzie do głowy. - Dziękuję, że mnie odwiozłeś - powiedziała. Starła się zachowywać jak pani domu, która chce pożegnać zasiedziałego gościa, a nie jak mężatka sam na sam z facetem, z którym się całowała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - wymruczał.

Położył kluczyki na stole, wyslizgnął się z marynarki jak wąż ze starej skóry i jednym płynnym ruchem znalazł się przy Hope. Objął ją mocno. Pochylił ciemną głowę i zamknął jej usta językiem, zanim zdążyła zaprotestować.

- Nie! - wykrztusiła po chwili.

Przyciągnął ją mocniej jedną ręką, drugą błędził po jej udach, gniótł delikatny materiał sukienki.

Hope się wzdrygnęła. Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę, miała wrażenie, że ogląda scenę erotyczną w filmie. Christy wsunął jej dłoń pod sukienkę, próbowała go odepchnąć, ale był zadziwiająco silny.

- Przestań, Christy! - syknęła gniewnie, ale on był głuchy na jej protesty. Jeszcze trochę i Geraldine zejdzie na dół, zaalarmowana hałasem. Co za wstyd.

- Przestań! - powtórzyła przez zaciśnięte zęby i z satysfakcją dostrzegła błysk złości w jego oczach.

- Och, Hope, daj spokój, oboje wiemy, że mnie pragniesz - mruknął. - W hotelu się nie sprzeciwiałaś. Nie mogę przestać o tobie myśleć. Boże, myślałem, że oszaleję, jeśli się nie spotkamy.

Złapała go za rękę i odepchnęła. Nie pragnęła go; resztki pożądania, które jeszcze odczuwała, zniknęły, gdy uświadomiła sobie, że całując się z Christym, zdradza Marta. A teraz on zadziera jej sukienkę i obmacuje ją wbrew jej woli! Bezczelny typ!

- Nie słyszałeś? - syknęła głośnie. - Przestań. Nie chcę i zacznę krzyczeć, jeśli mnie nie puścisz.

Stali naprzeciwko siebie, rozczochrani i zdyszani.

- Poprzednim razem ci się podobało - powiedział głośno, gniewnie. - W hotelu byłaś taka napalona, że gdyby nie komórka... co, może nie? Myślałby kto, skromnisa się znalazła!

- Proszę opuścić mój dom albo wezwę policję - rozległ się gniewny męski głos. Na półpiętrze, z twarzą jak chmura gradowa, stał Matt. Pod Hope ugięły się nogi.

- Jezu! - jęknął Christy. Pobladł z przerażenia. Matt miał prawo po swojej stronie, a kto wie, może i kij bejsbolowy w rękę. Christy porwał marynarkę, kluczyki i w mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach. Po chwili odjechał, aż zazgrzytał żwir.

W domku panowała cisza. I nie była to przyjazna cisza. Hope zamknęła oczy i modliła się, żeby czas się cofnął, niedużo, kilka minut. Jej serce biło jak oszalałe po zajściu z Christym, a na widok Marta bynajmniej nie zwolniło.

- Rzucił się na mnie i nie przyjmował do wiadomości, że nie chcę - powiedziała szybko. - Mówiłam mu, żeby dał spokój, ale nie słuchał. Słyszałeś, prawda?

Wpatrywała się w Matta, nadal nieruchomego u szczytu schodów. Nigdy nie widziała go tak rozgniewanego. Zaciskał usta w wąską linię. Wyglądał, jakby miał ochotę sprać Christy'ego de Lacy na kwaśne jabłko. Nic dziwnego, kiedy facet się dowiaduje, że jego żona uprawiała seks z innym... Uprawiała seks z innym! Cholera. Hope poczuła, że musi usiąść. To się dzieje naprawdę. To nie odcinek głupawego serialu. To życie, jej życie. Musi zaraz wszystko naprawić.

- Matt - zaczęła - to nie tak jak myślisz. Zalecał się do mnie, ale ja tego nie chciałam, słyszałeś, prawda? Nie chciałam!

Twarz Matta była rozpalona ze złości, ale głos lodowaty.

- Wszystko widziałem i wszystko słyszałem - wycedził, patrząc na nią tak, jakby ją widział pierwszy raz w życiu. - Szkoda, że wróciłem wcześniej. Chciałem zrobić niespodziankę tobie i dzieciom. Przepraszam, że wam przerwałem uroczę, sam na sam.

- To nie tak! - Podniosła głos, przerażona. Matt nigdy tak na nią nie patrzył, tak zimno i wrogo. Nawet kiedy się kłócili, w końcu wpadał w furję i zwyczajnie się wściekał. A teraz, choć wyraźnie wściekły, mówił cicho, powoli. Jakby był... załamany. - To nie tak - powtórzyła.

- Nie obrażaj mojej inteligencji - syknął. - Słyszałem was. Wszystko słyszałem. Hope ciężko oparła się o kanapę. Ręce jej drżały.

Matt powoli schodził ze schodów. Podbiegła do niego, chciała go objąć, zapewnić, że go kocha, że wszystko będzie dobrze. Była już o pół metra od niego, gdy syknął:

-Nie dotykaj mnie.

Aż się skuliła. Cofnęła się o krok. Patrzyła na jego nieszczęśliwą twarz i nie wiedziała, co robić.

Wolałaby, żeby na nią krzyczał, wyzywał od najgorszych, że ośmieliła się spojrzeć na innego. Ale ta rozpacz w jego oczach...

- Proszę cię, Matt - błagała. - Pozwól mi wytłumaczyć.

- Nie chcę tego słuchać - warknął.

- Musisz - nie dawała za wygraną. - Proszę, nigdy nie dajesz mi wytłumaczyć, nigdy nie słuchasz, co mam do powiedzenia!

- Ach, więc to tak - oczy mu rozbłysły. - Więc to moja wina, tak? -Nie, ale mnie nie słuchasz. - Rozplakała się. - Zawsze jest tak samo.

Powiem ci, co się stało. Proszę, posłuchaj. To nic takiego. Przyczepił się do mnie, chociaż tłumaczyłam, że nie chcę, że mam ciebie i że cię kocham. Kocham cię, przecież wiesz.

- Już ci nie wierzę - wycedził. - Tak, myślałem, że mnie kochasz, myślałem, że jesteśmy dla siebie wszystkim, a ty to zniszczyłaś. Nigdy ci nie wybaczę.

- Matt, na miłość boską, przecież nic się nie stało. Nic!

W jego oczach pojawiło się coś na kształt pogardy i obrzydzenia.

- Tym gorzej - powiedział. - Zniszczyłaś wszystko w imię niczego. A zdawało mi się, że to domena mężczyzn. - Przez chwilę miał łzy w oczach. Hope tylko dwa razy widziała jak płakał - przy narodzinach dzieci. Poza tym nigdy sobie na to nie pozwalał. Teraz też wziął się w garść.

Odwrócił się na pięcie i poszedł na górę.

Szlochała na kanapie, skulona w kłębek. Co ona narobiła? To wszystko jej wina, nie może nawet mieć pretensji do cholernego Christy'ego, przecież tylko z nią flirtował. To ona powinna była dać mu do zrozumienia, że nie jest nim zainteresowana, a tego nie zrobiła.

Hałasy z sypialni kazały jej podnieść głowę. Rozpoznała ten dźwięk, dolna szuflada w komodzie trzeszczała jak potępieniec. Były w niej tylko koszule Marta do pracy, nosił je w Bath, ale nie używał w Redlion. Przeraziła się nie na żarty. Matt się pakuje.

Pobiegła na górę. Drzwi były zamknięte.

- Matt - szepnęła. - Proszę, wpuść mnie. Milczał, ale słyszała, że otwiera kolejne szuflady.

- Błagam cię, błagam.

Po kilku minutach otworzył, blady, ponury, z wielką walizką w ręku. Miał na sobie czarną zamszową marynarkę, pod pachą niósł laptopa. Hope cofnęła się przerażona.

- Dokąd się wybierasz? - szepnęła z trudem.

- Nieważne - rzucił gorzko. - Byle jak najdalej od ciebie:

- Nie możesz - rozpląkała się. - Znowu mnie zostawiasz, tak? Najpierw mnie tu wywiozłeś i zostawiłeś zupełnie samą, a teraz mnie rzucasz!

- Nie rzucam cię - warknął. - Zostawiam cię z kochasiem. Ale nie łudź się, że pozwolę mu zająć się moimi dziećmi, co to, to nie!

- Matt! Zastanów się, proszę! - błagała. - Wyjaśnijmy to sobie. Musimy myśleć o dzieciach. Byłam samotna, miałam depresję, tęskniłam za tobą, a on ze mną flirtował. I nic więcej. Ty sobie wyjechałeś, prawie nie dzwoniłeś, jakbym cię nie obchodziła. - Wiedziała, że to żadne tłumaczenie i nie powinna w ogóle o tym mówić.

- Wyjechałem do pracy, a nie żeby flirtować z pierwszą lepszą.

- Ja nie... Proszę, posłuchaj...

- Nie, nie chcę słuchać tych żalonych wymówek. Kiedy sobie pomyślę, jak narzekałaś, że Finula na mnie leci, a ja nawet nie spojrzałem na inną... A potem to ty mnie zdradzasz.

- Nie zdradziłam cię! - wrzasnęła. - Czy mógłbyś chociaż raz mnie posłuchać?

- Posłuchaj sama siebie - rzucił zimno. - Jesteś żalosna. Chciałaś mieć wszystko, ale to niestety niemożliwe. Nie możesz mieć mnie i kochasia.

Odstawił walizkę i laptopa i wszedł do pokoju dzieci. Hope go nie widziała, ale słyszała, jak podchodzi do łóżeczek, pochyla się, całuje dzieci i szepce:

- Kocham was, maleństwa. Do zobaczenia. Tatuś bardzo was kocha, pamiętajcie - głos mu się załamał.

W tej chwili zupełnie przestała powstrzymywać łzy, popłynęły obficie. Co ona narobiła?

Matt nie zwracał na nią uwagi. Taszczył ciężką walizkę po schodach: Hope obserwowała go bezradnie.

Próbowała z nim porozmawiać jeszcze raz, przy drzwiach.

- Flirtowałam z nim - szlochała, wyznając więcej, niż miała zamiar. - Ale nic więcej. Opacznie mnie zrozumiał i chciał czegoś więcej. Nie chciałam, wiesz przecież. Matt, kocham cię.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Naprawdę? - zapytał.

- Błagam, nie odchodź - prosiła. - Pomyśl o dzieciach. - Uczepiła się ostatniej deski ratunku.

- Gdyby dzieci mnie potrzebowały, możesz dzwonić na komórkę - powiedział sucho. - Ale poza tym nie dzwoń. Nie chcę z tobą rozmawiać.

Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Musiał wcześniej zamówić taksówkę, bo zaraz przyjechała. Hope ukradkiem wyglądała zza firanki. Słyszała, jak taksówka odjeżdża wyboistą drogą. A potem osunęła się na podłogę przy oknie i płakała, aż poczuła, że nie ma więcej łez.

Delphine zdziwiła się, gdy następnego dnia zobaczyła zaciągnięte zasłony w oknach Hope. Umówiły się przecież, że zabiorą dzieci do Killar-ney. W domu panowała nienaturalna cisza. Może maluchy zachorowały?

Hope otworzyła drzwi. Wyglądała okropnie. Nie, okropnie to za mało powiedziane. Wyglądała, jakby dopiero co wyczołgała się z wraku samochodu po wypadku, w którym zginęła cała rodzina. Roztrzęsiona, blada jak śmierć, z czerwonymi, zapuchniętymi oczami.

- Och, Delphine! - jęknęła. - Delphine, Matt odszedł. Zostawił mnie. Zobaczył tu Christy'ego i wyciągnął pochopne wnioski. - Hope przytuliła się do przyjaciółki. Wstrząsał nią suchy szloch.

Delphine już miała otworzyć usta ze zdumienia i zasypać Hope pytaniami, ale nie na darmo dorastała wpatrzona w Mary-Kate, ucieleśnienie chłodu i opanowania w kryzysowych sytuacjach. Błyskawicznie zabrała się do dzieła. Nie czas na pytania.

Zamknęła drzwi i zaprowadziła Hope na kanapę. W telewizji leciały filmy rysunkowe na pełny regulator, a Toby i Millie zajadali słodczyce i z przejęciem wpatrywali się w ekran. Delphine wiedziała, że Hope starała się ograniczać im słodczyce i podsuwała zamiast cukierków suszone owoce i jogurty.

- Pomyślałam, że zatkam je na chwilę słodczymi, może nie zauważą, że coś jest nie tak. - Hope załamała ręce. - Nie chcę, żeby wiedziały.

- Nie ma sprawy, każdy czasem potrzebuje kawałka czekolady, prawda? - Delphine uśmiechnęła się.

Hope tylko spojrzała smutno. Nie miała siły odpowiedzieć uśmiechem.

- Kiedy to się stało? - zapytała Delphine. Wzięła Hope za rękę i uściśnęła serdecznie.

- Wczoraj wieczorem. Mart był w domu, kiedy Christy mnie odwiózł. Matt przyjechał niespodziewanie, odesłał Geraldine, a potem... to było okropne. Odszedł i już nie wróci. Nigdy.

- A ty przez całą noc nie zmrużyłaś oka, tak? Hope podniosła na nią umęczony wzrok.

Delphine pomaszerowała do kuchni i zaparzyła jej kubek mocnej kawy ze sporym dodatkiem brandy. Hope wzięła kubek w rozdygotane dłonie.

- Tu jest alkohol - mruknęła po pierwszym łyku. - Nie będę mogła prowadzić.

- I tak nie jesteś w stanie prowadzić - zbyła ją Delphine. - Wypij. Potem idź na górę, weź prysznic, uczesz się i umaluj. Dopiero wtedy porozmawiamy, jeśli będziesz chciała. Lepiej, żebyś wyglądała normalnie, ze względu na dzieci. Nie mogą cię zobaczyć w tym stanie.

- Tak, oczywiście, - Oczy Hope wypełniły się łzami. - Powinam się wstydić. Jestem niedobrą matką...

- Cicho, cicho. - Delphine objęła ją serdecznie. - Jesteś cudowną mamą, ale doznałaś szoku. Nic dziwnego, że się zdenerwowałaś, przecież nie jesteś robotem.

Hope wmusiła w siebie kawę, przełknęła ją jak niesmaczne lekarstwo i posłusznie poszła na górę. Jakimś cudem udało jej się bezmyślnie wziąć prysznic, wysuszyć włosy i umalować usta. Drżącymi rękami wkładała różową koszulkę, którą tak lubiła Millie, Mattowi się podobała... Nie, nie będzie o nim myśleć. Dotknęła puzderka matki, jakby szukała pociechy. Niczego nie poczuła poza wstydem i wyrzutami sumienia. Matka wstydziłaby się za nią, na pewno.

- Cześć, dzieciaki! - Delphine pogodnie przywitała się z maluchami.

- Jak się macie?

Toby nie odpowiadał, za bardzo pochłoneła go bajka, ale Millie spojrzała na nią smutno.

- My dobrze, ale mamusię boli głowa. Powiedziała mi. Dlatego płacze.

- Biedaczka. - Delphine pokiwała głową. - Czasami mamusię bołą głowy, ale kiedy dzieci je całują, to pomaga. Pomożecie?

Millie skinęła główką.

- A jedliście śniadanie? - zainteresowała się Delphine. Millie znowu skinęła głową. I dodała szeptem:

- Wszystko rozlałam, a mamusia nie zauważyła.

- To może jeszcze coś zjemy - zdecydowała Delphine.

Kiedy kwadrans później Hope, ciągle blada, ale spokojniejsza, schodziła na dół, dzieci rzuciły się na nią z krzykiem.

- Mamusiu, jedliśmy grzanki z nutellą i Toby umazał sobie koszulkę

- opowiadała Millie ze śmiechem.

- Nieprawda - zaprzeczył Toby energicznie.

Kłócili się i tulili do niej, a Hope bezgłośnie szepnęła „dzięki” do Delphine.

Kiedy maluchy przestały zabiegać o uwagę matki, Delphine zaparzyła świeżej kawy — tym razem bez brandy - i usiadły przy kuchennym stole. Hope opowiedziała wszystko, niczego nie ukrywała.

- Podobno spowiedź pomaga - zakończyła z goryczą.

- Moja matka zawsze to powtarza - zgodziła się Delphine - tylko że ona rozumie przez to: spowiadaj się i więcej nie grzesz. A moim zdaniem ludzie tego nie potrafią. Wszyscy popełniamy błędy.

- Ale nie takie jak ja.

- Przesadzasz - pocieszała Delphine. - Nie bądź dla siebie taka surowa. W końcu to Christy zaczął. Jest w tym naprawdę świetny. Flirtuje tak po prostu, dla sportu. Nie może się powstrzymać, a ty, mężatka, stanowiłaś większe wyzwanie.

Hope nie dała się przekonać.

- Powinam była się tego spodziewać - mruknęła, wpatrzona w swój kubek.

- Boże, Hope byłaś jak niewinne jagnię prowadzone na rzeź. Christy jest doskonały w manipulowaniu ludźmi - tłumaczyła. - Wyszukuje kobiety, które mają problemy emocjonalne, i gra na uczuciach. Pomyśl tylko, niespodziewany lunch w drogiej restauracji z superprzystojnym mężczyzną - przecież to jak w filmie. Właśnie dlatego jego ofiary są takie gotowe i przekonane, że dla niego to poważna sprawa.

Hope wzdrygnęła się, słuchając jej wywodu. „Ofiary”, „gotowe”, „poważna sprawa”. Więc jest ofiarą, była gotowa i przez krótki moment łudziła się, że dla niego to poważna sprawa. Tak łatwo było mu uwierzyć, gdy zapewniał o swoich uczuciach. A ona była dla niego tylko zabawką. Zniszczyła swoje małżeństwo w imię niczego. To straszna świadomość.

- Może to kobieciarz i playboy, ale i tak powinienam była to przewidzieć - powiedziała powoli. - I wiesz co, naprawdę mi się podobał. Tego się najbardziej wstydzę. Mam cudownego męża, ale prawie go zdradziłam. Nie zrobiłabyś tego Eugene'owi. Jak mogłam? - Nie miała już siły płakać, ale oparła głowę na rękach, gdy jej ciałem wstrząsał bolesny szloch.

- Nie zdradziłaś go - zauważyła Delphine. - Poniosło cię i całowałaś się z Christym. To nic takiego.

- Mart jest innego zdania.

- Mart nie zna całej prawdy. Trzeba było mu powiedzieć. - Nie chciał ze mną rozmawiać - powiedziała Hope cicho.

Tego wieczoru zdobyła się na odwagę i zadzwoniła do Marta na komórkę. Delphine namawiała ją do tego przez cały dzień, ale Hope się bała. Bała się usłyszeć, że ich małżeństwo już nie istnieje. Nie dzwoniąc, jak struś chowała głowę w piasek, i im dłużej stosowała tę politykę, tym bardziej bała się zadzwonić.

Dzieci piły mleko i ustalały, jaką bajkę ma im przeczytać na dobranoc, gdy w końcu zdobyła się na odwagę. Włączyła się poczta głosowa; słysząc spokojny głos Matta, stchórzyła i rozłączyła się. Kiedy dzieci zasnęły, zmobilizowała się i zadzwoniła jeszcze raz. Tym razem zostawiła wiadomość: ,

- Matt, to ja, Hope. Musimy porozmawiać. Proszę, zadzwoń. Kocham cię. Bardzo mi przykro, przepraszam. Wiesz, że za żadne skarby świata nie chciałabym sprawić ci przykrości. Uwierz mi. Kocham cię.

Póki Matt nie oddzwoni, ma związane ręce. Potem, pod wpływem impulsu, zadzwoniła do Dana i Betsey do Bath.

- Hope! - Dan powitał ją entuzjastycznie. - Dawno się nie słyszeliśmy. Co u ciebie? Pewnie chcesz pogadać z Betsey...

- Ja... nie - zawahała się. Matta tam nie ma. Dan powiedziałby to od razu. Chyba że Matt nie chce, by wiedziała, że się u nich zatrzymał. - Czy jest Matt? - zapytała, świadoma, że jeśli go nie ma, kolejna osoba dowie się, co się stało.

Chwila ciszy.

- Nie, Hope, nie ma go. Wybierał się do was na weekend, to miała być niespodzianka... nie dotarł?

Westchnęła głośno.

- Dotarł, Dan. Pokłóciliśmy się, wyszedł i nie odbiera komórki.

- Coś takiego! - zażartował. - Nie sprawialiście wrażenia kłótliwych kochanków. Ale nie martw się, Betsey wpada w szal dwa razy w tygodniu i wypada z domu jak oparzona. Wraca dopiero wtedy, kiedy znacznie uszczupli nasze konto. Matt wróci z gigantycznym kacem, zobaczysz!

- Mam nadzieję - mruknęła.

Zadzwoniła jeszcze raz na komórkę i nagrała kolejną wiadomość. Powiedziała, że się martwi i prosi o telefon.

- Dzieci tęsknią - dodała. Wiedziała, że to szantaż emocjonalny, ale nie zdołała się powstrzymać. Powiedziałyby wszystko, byle do niej zadzwonił, bo tylko w rozmowie zdoła go przekonać, że naprawdę go kocha.

Rozdział 24

Jest pewien charakterystyczny rodzaj sąsiadów, których Virginia nienawidziła. To sąsiedzi, którzy chciwie czekają na cudze nieszczęście, bo dzięki temu mają pretekst, żeby zjawić się z fałszywą otuchą, nieszczerze pytać o samopoczucie i rozglądać się ciekawie, czy w nieszczęściu bardzo zapuściłaś dom. Tacy sąsiedzi to rzadkość, ale Virginia nie zapomniała pewnej wizyty, którą złożono jej po śmierci Billa. Sąsiadka przyniosła ciasto i udawała szczerze zatroskaną; w rzeczywistości chciała sprawdzić, czy Virginiajakoś funkcjonuje, czy jak żywy trup wegetuje przed telewizorem. Laurence wpuścił Emily Dawson w naiwnym przekonaniu, że to dobra kobieta i jak inni, którzy zaglądali do nich tamtego dnia, chce złożyć kondolencje i uściskać zapłakaną Virginie. Ale Jamie, który był lepszym obserwatorem, zorientował się, po co przyszła, i wyprosił ją, nim zaczęła przespiegać.

Biedna Virginia... taka nieumalowana, siedzi w salonie... widziałam ambulans, pewnie coś jej podali... ona, zawsze taka elegancka... chłopcy się nią zajmują, ten najmłodszy był zdaje się strasznym łobuziakiem w szkole, a wyobraź sobie...

Tak mniej więcej brzmiało sprawozdanie, wygłaszane oczywiście cukierkowo słodkim głosem.

Virginia wiedziała to, bo od lat unikała Emily, nie chcąc słuchać relacji, jak któryś z sąsiadów przyjął utratę pracy, śmierć kogoś bliskiego czy rozwód.

Można się było spodziewać, że jęczyci... Miał taki rozbiegany wzrok, tak, tak... Niech Bóg ma w opiece ją i dzieci... Dom wygląda jak melina, ja oczywiście rozumiem, że w tym stanie...

I dlatego Virginia odmówiła, gdy Mary-Kate zaproponowała, żeby zabrały Hope na babski lunch do Killarney.

- Nie chciałaby mojego towarzystwa - tłumaczyła Virginia. - Biedaczka ma dość kłopotów na głowie, nie musi się jeszcze martwić, że całe miasto się dowie...

- Całe miasto się nie dowie - orzekła Mary-Kate zdecydowanie. - Dowiesz się ty, a przecież nie ogłosisz tego z ambony, prawda? Hope potrzebuje teraz przyjaciół, bardzo cię lubi, Virginio, będzie zadowolona, kiedy przyjdiesz. Spójrzmy prawdzie w oczy, ludzie i tak niedługo się dowiedzą, więc byłoby dobrze, gdyby miała za sobą grupę przyjaciół, którzy już wiedzą i postarają się zdławić plotki w zarodku.

- Więc najpierw zapytaj, czy ona nie ma nic przeciwko temu - skapitulowała Virginia. - I nie mów, że mi mówiłaś.

- Dobrze - zgodziła się Mary-Kate. - Masz głowę do szczegółów. Virginia uśmiechnęła się smutno.

- Miałam przykre doświadczenia z sępami, które tylko czekają na cudze nieszczęście. Nie chciałabym za taką uchodzić.

Virginia przez całe popołudnie myślała o Hope Parker. Przemiała, urocza Hope. Bez męża chyba zginie. Z drugiej strony ona również myślała, że bez Billa sobie nie poradzi, a jednak... Hope też stanie na nogi.

Wieczorem zadzwoniła Mary-Kate.

- Szykuj się, koleżanko, jedziesz z nami. Biedna Hope nie miała nic przeciwko twojej obecności, obawiała się tylko, co sobie o niej pomyślisz i czy zechcesz się z nią zadawać. Uważa cię za osobę o wysokim morale.

- Biedactwo. - Virginia posmutniała i wzruszyła się jednocześnie. - Cieszę się, że z wami pójdę. Chyba musimy wytłumaczyć biednej Hope, że świat nie jest biało-czarny.

- Szary - zgodziła się Mary-Kate. - Jest szary, a skoro o szarościach mowa, muszę wyprasować na jutro szarą sukienkę.

- Mary-Kate! - zganiała ją Virginia. - Obiecuję, że pewnego dnia obrzydę ci te szarości i brązy. Byłoby ci lepiej w żywych kolorach.

- Mam się odmładzać? To nic nie da! - roześmiała się. - Poza tym nie mam tyle wdzięku co ty. Nie poruszam się jak modelka, pani Connell.

- Chcesz powiedzieć, że ja się odmładzam? - Virginia oburzyła się komicznie.

- Nie śmiałabym, jeszcze bym oberwała kijem golfowym.

- Nie, moja droga, gdybym chciała cię załatwić, posłużyłabym się czymś bardziej wyrafinowanym... na przykład trucizną z apteki. Policja uznałaby, że to samobójstwo, nikt by mnie nie podejrzewał.

- Czytasz za dużo kryminałów - orzekła Mary-Kate. - Do jutra.

Millie urządziła scenę.

Odkąd Mart odszedł, cztery dni temu, dzieci były wyjątkowo ciche i spokojne; wyraźnie wyczuwały jej fatalny nastrój. Mimo że starała się zachowywać normalnie, czuły, że coś jest nie w porządku. I dlatego Hope autentycznie się ucieszyła, gdy Millie urządziła rano awanturę jak dawniej.

Wpadła w szal przy śniadaniu, bo usłyszała, że Hope omawia przez telefon szczegóły wyjazdu do Killarney. Dzieci miały iść do przedszkola,

ale Milhe uznała, że wypad do miasta z ciocią Delphine to dużo ciekawsza propozycja: na pewno będą słodycze, lody i czekoladowe kuleczki

- Nie chcę, nie chcę! - darła się Millie i cisnęła swój kubek z lalką Barbie tak energicznie, że całe mleko wylądowało na podłodze.

- Millie - powiedziała Hope ostrzegawczo.

- Nie chcę! Chcę do Larney! - wrzasnęła Millie i dla podkreślenia swoich słów grzmotnęła miseczką z płatkami o podłogę.

Dzięki Bogu, że zostawiłam tu gołą posadzkę, pomyślała Hope spokojnie W całym domu przykryła ją chodniczkami, żeby było cieplej tylko w kuchni, miejscu porannych potyczek, zostawiła kamienne płyty Sprzątnięcie śladów ekscesów Millie zajmie tylko chwilę. Da sobie radę W ciągu ostatnich kilku dni przekonała się, że da sobie radę ze wszystkim. Kiedy popsuł się piec, męczyła się tak długo, aż napaliła w nim na nowo. Kiedy Toby włożył w brudnych bucikach na chodniczek w salonie spokojnie go wyczyściła. Radziła sobie ze wszystkim, co dało się naprawie. Byle tylko me myśleć. Funkcjonowała jak automat; gdyby zaczęła to roztrząsać, stałaby się emocjonalnym wrakiem.

- Toby - powiedziała spokojnie. - Poczekaj chwilkę, zaraz dostaniesz śniadanko. Pocałowała go w czoło i zabrała się za sprzątanie.

Millie siedziała naburmuszona. Chciała zwrócić na siebie uwagę

Mama powinna narzekać albo poprosić, żeby była grzeczna. A tu nic

Chcąc wybadać sytuację, cisnęła łyżkę na podłogę.

Hope w milczeniu wzięła Millie na ręce i zaniósła do salonu na kanapę.

- Toby i ja jemy śniadanie. Jeśli nie chcesz, siedź tutaj - powiedziała stanowczo i wróciła do kuchni.

Millie wytrzymała minutę, potem ciekawie zajrzała do kuchni Hope opowiadała Toby'emu, jakie atrakcje czekają na niego w przedszkolu; Giselle obiecała, że dzisiaj będą malowali i wymyślali różne zabawy Oczywiście pojedzie sam, bez Millie. Giselle nie przyjmuje niegrzecznych dziewczynek. Przeważona Millie. posłała im mordercze spojrzenie Po kolejnej minucie zsunęła się z kanapy i pobiegła do kuchni. Miała smutne oczy i usta wygięte w podkówkę. Zazwyczaj taka mina wróżyła awanturę, dzisiaj oznaczała skruchę.

-Czyja też mogę pojechać, mamusiu? - zapytała ze łzami w oczach

Hope udawała, że się nad tym zastanawia.

- Myślałam, że nie chcesz - powiedziała. - Zresztą wiesz, Giselle nie przyjmuje niegrzecznych dziewczynek. A ty wyrzuciłaś płatki i rozlałaś mleko...

Millie już miała łzy w oczach. Hope przytuliła ją do siebie.

-No dobrze, kochanie, pojedziesz z Tobym. I będziesz grzeczna, tak?

Millie rozpromieniła się błyskawicznie.

- Dobrze, mamusiu - zapewniła anielskim głosem.

Hope odwiozła dzieci do przedszkola, umówiła się z Giselle, że odbierze je o wpół do czwartej, i pojechała do domu, gdzie zakopała się pod kołdrą i zalała łzami. Płakała i płakała nad sobą, nad swoim małżeństwem, nad dziećmi i wreszcie nad ukochanym Mattem.

Ilekcóż przypominała sobie jego minę tamtego wieczoru, czuła się zepsuta i zła, po prostu szmata. Był taki załamany...

Cały czas miała w uszach jego gorzkie, bolesne słowa.

Przypomniała sobie, jak na początku, gdy zakochała się w nim bez pamięci i całkowicie od niego uzależniła, rozplakała się kiedyś i wyznała swój odwieczny strach: ci, których kocha, kiedyś odejdą.

- Ja nie - powiedział miękko i założył jej za ucho niesforny kosmyk. -Nie bój się, Hope. Jesteśmy jak muszkietierowie, zawsze razem. Kocham cię.

Wtedy powiedział to po raz pierwszy, w małym przytulnym pubie w Oksfordzie. Wybrali się tam na Wielkanoc. Dokoła nich ludzie śmiali się, żartowali, zamawiali piwo i tupali w takt muzyki. Hope niczego nie zauważała, tak bardzo była zakochana.

- Ja też cię kocham - szepnęła. Póki on tego nie powiedział, nie miała odwagi.

- Mój mały muszkietier - powiedział czule.

Na pierwszą rocznicę ślubu kupił jej w antykwariacie stare wydanie powieści Dumasa.

- *Trzej muszkietierowie* - krzyknęła, zachwycona i zarazem zawstydzona, bo ona kupiła mu tylko nudną aktówkę.

- Pierwsza rocznica ślubu to rocznica papierowa - wyjaśnił z dumą. -A czy znasz miłszy papier niż książka? Uwielbiam *Trzech muszkietierów*.

Teraz Hope kulila się na łóżku i szukała pociechy. Wiedziała, gdzie jest książka; leży w pudle z rzeczami z Bath, na które nie starczyło miejsca w małym domku. W kącie sypialni stało kilka pudeł; czekały na powrót do domu. Ale gdzie jest dom? Zadumała się. Czy po rozwodzie zatrzyma powieść Dumasa, czy może Matt zażąda zwrotu?

Gdyby się odezwał, powiedziałyby mu, jak bardzo go kocha i że to nieporozumienie. Ale minęły już cztery dni i nic. Może zginął, może coś mu się stało. A wszystko przez nią.

Kiedy dreszcze ustały, wstała i zabrała się za makijaż. Miała zaczerwienioną skórę, ciemne plamy i wysypkę. Mimo fatalnego humoru

uśmiechnęła się; w filmach i literaturze kobiety porzucone chudły i piękniały; a tu skutkiem kryzysu małżeńskiego okazały się krosty i nowa fałdka tłuszczu - efekt kanapek z grillowanym serem i czekolady, którą pochłaniała, szukając pocieszenia.

W nadziei, że może Matt przysłał e-mail, włączyła komputer. Nie przysłał, za to napisała Sam.

Hope, kochanie!

Tak mi przykro. To okropne. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Drań! Zabiję go gołymi rękami. Żeby nawet cię nie wysłuchać? I żeby ciebie posadzać o romans! Jezu, przecież wszyscy flirtujemy, nawet święty Matt. Nie jesteś niczemu winna, zrozum. Postąpiłaś tak, jak postąpiłaby każda normalna kobieta na twoim miejscu. Nie masz sobie nic do zarzucenia, a jeśli Matt jest innego zdania, po prostu na ciebie nie zasługuje. Nie martw się, znajdę go i powiem mu, co o tym myślę. Gdyby nie zostawił cię samej jak palec, nie byłabyś łatwym łupem dla takich drani jak ten de Lacy. Też niezły gagatek. Jak on śmiał ci się narzucać? Mogłabyś zadzwonić na policję i...

Hope skrzywiła się. Kochana Sam, broni jej jak zawsze, ale wieszanie psów na Macie czy Christym niczego nie zmieni.

Przyjeżdżam na weekend. Nie martw się. Poradzisz sobie bez Matta Parkera, a gdy odzyska rozum i wróci skruszony, będzie miał ze mną do czynienia. Może ty mu wybaczysz, ja nie. Do usłyszenia, później zadzwonię.
Głowa do góry Sam

Hope nie miała siły odpisać. Wystarczająco dużo kosztowało ją poinformowanie Sam o całej sprawie, chociaż siostra oczywiście stanęła po jej stronie. Przez telefon wydawała się taka zła na szwagra, że gdyby go wtedy dopadła, skończyłaby w więzieniu za morderstwo.

- Zabiję go! - syczała, a biedną Hope zżerały wyrzuty sumienia. Nawet gdyby Matt wysłuchał jej wersji, ona i tak ma się czego wstydzić i przed tym nie ma ucieczki.

Mary-Kate, Delphine i Virginia zjawiły się przed południem. Przywiozły prezenty.

Delphine podarowała jej próbkę nowej, nieprzyzwoicie drogiej maseczki, którą sprowadzono do salonu piękności.

- Podobno odmładza zmęczoną skórę - tłumaczyła - chociaż w reklamie występuje czternastoletnia modelka, więc nie wiem, czy można im zaufać. Czternastolatki nie muszą sobie odmładzać skóry.

- A nie masz przypadkiem kremu, który złuszcza całą skórę? - zainteresowała się Hope. - To moja ostatnia deska ratunku. Zobacz, jaką mam wysypkę, Pewnie od czekolady.

- Skądże. To wysypka hormonalna - orzekła Delphine fachowo.

- A na taką pomaga wino. - Mary-Kate wpadła jej w słowo i wręczyła swój prezent, sześć butelek domowego wina. - Frederich robi pyszne wino agrestowe. Co prawda to nie żadne chateauf de coś tam, ale bardzo poprawia humor.

- Ach, to dlatego zawsze się śmiejesz - zażartowała Delphine. - Szklaneczka domowego wina i środki relaksujące...

- Na bolące mięśnie - obruszyła się Mary-Kate.

- Właśnie - włączyła się Virginia. - A kiedy chce naprawdę się odprężyć, pali skręta.

- Jezu! Co wy? Chcecie wsadzić mnie do pudła! - krzyknęła Mary-Kate. - Mówiłam przecież, że zapaliłam tylko raz, i to ćwierć wieku temu, na imprezie! Nawet nie wiedziałam, co palę...

Wszystkie parsknęły śmiechem.

- Żałuj, że nie widzisz się w lustrze, Mary-Kate - stwierdziła Virginia i podała Hope swój prezent, pyszne domowe ciasto.

- Okropne baby - westchnęła Mary-Kate. - Nie wiem, czemu się z wami przyjaźnię.

Hope uściskała ją serdecznie.

- Wiesz przecież, że kto się lubi, ten się czubi? - powiedziała, wesoła po raz pierwszy od kilku dni.

- No tak, wiem, *a stor*. - Jak zwykle, gdy ogarniało ją wzruszenie, Mary-Kate przechodziła na irlandzki. - Chodźcie już. Zarezerwowałam stolik w najlepszej restauracji i kazałam chłodzić szampana.

- Szampana? A co opijamy? - zdziwiła się Hope.

- Przyjaźń - odparła Mary-Kate. - Albo sklerozę, nie pamiętam. W każdym razie chodźcie.

Po szampanie przyszła kolej na wino i Mary-Kate zauważyła głośno, że po takiej ilości alkoholu nie może prowadzić, będą musiały wziąć taksówkę. .

- Nie znoszę taksówek - prychnęła Delphine. - Taksówkarz jest taki powolny. Nadaje się raczej do karawanu.

- Gdyby jechał szybciej, nie zobaczyłabym Dinky - zauważyła Virginia.

- Och, Dinky jest urocza - stwierdziła Hope. - Dzieci ją uwielbiają. Może powinnam sprawić sobie psa. Przynajmniej miałabym z kim spać... - zasepiła się.

- No, no, bez łez! - Mary-Kate nie dała jej się rozkleić. - Wszystko jeszcze się ułoży.

- Nie sędzę. Matt się nie odzywa, od tygodnia nie pracuję, zresztą i tak nie wrócę do hotelu - dodała i wzdrygnęła się na myśl o ponownym spotkaniu z Christym. - Na konto wpływa tylko czynsz za dom w Bath, a to z kolei idzie na hipotekę. Bez moich zarobków i pensji Marta nie mamy ani grosza.

Delphine poklepała ją po ręce.

- Pomożemy wam. Hope się uśmiechnęła.

- To miłe z waszej strony, Delphine, ale nie mogę tego przyjąć.

- Musisz iść do pracy - zdecydowała Mary-Kate. - W przyszłym tygodniu zaczynamy szukać. Powiedziałaś Sam?

- Tak. Przyjedzie na weekend.

- To dobrze, rozerwie cię trochę.

- Sama nie wiem. Chyba nic mnie nie rozerwie. I nie wiem, czy jestem w stanie pracować. Czuję się taka bezużyteczna.

- Głowa do góry, Hope. Praca dobrze ci zrobi.

- A skoro mowa o taksówkach i karawanach... - Virginia zrećźnie zmieniła temat. - Kilka dni temu jechałam do Killarney i wyobraźcie sobie, nagle wyprzedził mnie wielki czarny samochód. Jechał co najmniej słową. Nie uwierzycie - to był karawan!

- Chyba bez trumny? - zainteresowała się Hope.

- Bez, bez, ale gnał jak szalony.

- Dziwisz się? Pomyśl, zawsze jedzie dychaną godzinę. Chciał sobie zaszaleć.

- No tak, odezwała się kandydatka do stajni ferrari - zażartowała ciotka. - Jeździsz jak wariatka, odkąd masz nowy samochód.

- Może mają panie ochotę na deser? - zaproponował kelner.

- Nie. - Delphine posłała mu kokieteryjne spojrzenie. - Ale mamy ochotę podręczyć się czytaniem karty deserów.

Oczywiście na czytaniu się nie skończyło i wszystkie zamówiły deser o kuszącej nazwie Czekoladowy Orgazm.

- Co to jest? - zastanawiała się Mary-Kate.

- Po co pytać? Trzeba się przekonać - powiedziała Virginia i wbiła widelczyk we wzgórek ciemnej czekolady.

O wpół do czwartej wysypały się, rozbawione i głośne, przed restaurację. Taksówka już czekała.

- Dzień dobry szanownym paniom - taksówkarz powitał je nerwowo. Te wariatki napawały go strachem. Ilekroć je rozwoził po tych dziwacznych wieczorkach robótek ręcznych, chichotały głośno i zachowywały się jak szalone. Tylko czekał, aż którejs zupełnie odbije.

Virginii dostało się zaszczytne miejsce z przodu. Już zamykała drzwiczki, gdy przed samochodem pojawiła się para nóg w kremowych spodniach o kantach ostrych jak żyłotka.

- Virginio, miło cię zobaczyć.

Kevin Burton ukucnął, aż jego twarz była na poziomie twarzy Virginii. Był opalony, szare, inteligentne oczy uśmiechały się ciepło.

Na tylnym siedzeniu rozległy się chichoty; dorosłe kobiety zachowywały się jak nastolatki na widok przystojnego faceta.

Virginia obiecała sobie, że później da im popalić, i wdzięcznie skłoniła srebrną głowę. Nie widziała się z Kevinem od katastrofального recitalu. Celowo unikała wszelkich spotkań w klubie, a w golfa grywała tylko ze znajomymi paniami.

- Co u ciebie? - zapytał.

- Wszystko dobrze, dziękuję - odparła. - Musimy już jechać. Delphine spóźni się na spotkanie.

Delphine, która po szampanie i winie nadawała się tylko na spotkanie z kanapą, telewizorem i pilotem, zaśmiała się na całe gardło.

- Czy mogę zadzwonić? - zapytał Kevin, oficjalny jak zawsze. Virginia poczuła silne kopnięcie w oparcie swego fotela. Kopnięcie,

jak się domyślała, miało oznaczać: „Do boju, kobieto!”

- Oczywiście - powiedziała.

- Dziękuję. - Kevin skłonił się. - Do widzenia paniom. - I zatrzęsął drzwiczki.

Hope i taksówkarz Teddy rozwieźli panie do domu i pojechali do przedszkola po dzieci, które spędziły wspaniały dzień, malując. Hope nie wiedziała, w co Giselle ubiera dzieci przed malowaniem, ale to chyba kombinezony kosmiczne; na ubrankach maluchów nie było nawet kropli farby.

- Uważaliśmy - powiedziała Giselle, odprowadzając je do samochodu.

- Szkoda, że mnie się to nigdy nie udaje - zaśmiała się Hope. - Kiedy malujemy w domu, tylko kury nie są upačkane farbą!

Na sekretarce automatycznej migało zielone światelko - ktoś się nagrał. Hope włączyła odtwarzanie, nawet nie licząc, że to Matt.

- To ja - powiedział. Wstrzymała powietrze z radości.

- Wiem, że mnie szukałaś. Rozmawiałem z Danem, mówił, że dzwoniłaś. Nie chcę u nich mieszkać, zatrzymałem się w hotelu w Bath. Nie wiem, czy jestem w stanie z tobą rozmawiać - ciągnął. - Nie mogę się pogodzić z tym, co się stało i muszę to wszystko przemyśleć. Ucałuj ode mnie dzieci. Musimy porozmawiać o prawie odwiedzin. Gdyby coś się im stało, dzwoń na komórkę. Ale nie próbuj mnie przekonać, żeby wrócił, bo tego nie zrobię. - Rozłączył się.

Jej nadzieja rozprysła się na tysiąc kawałków. Prawo odwiedzin? O co mu chodzi? O prawo odwiedzin walczą ludzie w trakcie rozwodu. Czy tego chciał?

I wtedy ogarnęła ją złość. Cały Matt, podjął decyzję za nich dwoje, nie dał jej nawet szansy, żeby przedstawiła swoją wersję. Ile razy tak postępował? Dziesiątki, setki. Matt zdecydował ona posłusznie szła za nim. Ale dość tego. Chce rozwodu? Proszę bardzo. Ale to ona złoży pozew.

W Kilnagoshell House Virginia zdjęła sukienkę z czerwonego jedwabiu, włożyła rdzawe sztruksy i sweter i poszła z Dinky na długi spacer, żeby wino wywietrzało jej z głowy.

- To skandal pić w ciągu dnia - poinformowała suczkę.

A Dinky radośnie tańczyła dokoła jej nóg, zachwycona drugą przechadzką. Zazwyczaj wychodziły na jeden długi spacer.

Virginia szła dziarskim krokiem, zatrzymywała się tylko wtedy, kiedy Dinky wbiegała w las. Niby wiedziała, że suczka ją znajdzie, ale wołała nie ryzykować. Pobladła na myśl, że Dinky mogła zginąć w tamtą noc, na szosie.

- To taki kochany psiak - zachwycała się w rozmowie z Jamiem kilka dni wcześniej. - Nie wiem, co bym bez niej zrobiła, chociaż trochę mi głupio, że do tego stopnia przywiązałam się do psa. Tak powinno się kochać tylko ludzi.

- Ależ mam - zbeształ ją Jamie dobrodusznie. - Wszystkim potrzebny jest ktoś bliski, nieważne, człowiek czy zwierzę. Zresztą - dodał złośliwie - nie ty jedna w naszej rodzinie pokochałaś sukę. Laurence też.

- Jamie! - skarciła go, zgorszona. - Nie powinieneś tak się wyrażać o Barbarze. Jesteś już dorosły, ale nie na tyle, żebym nie mogła wlepić ci klapsa - dodała.

Jamie roześmiał się beztrąsko; matka nigdy ich nie uderzyła. -1 Laurence'owi też? Może dzięki temu odzyska rozum. Do tego stopnia pochłoneły jęrozważania o przyszłej synowej, że nie zauważyła samochodu, z którego wysiadł Kevin.

Dinky witała go entuzjastycznie.

- Dobry piesek, dobry - przemawiał do niej.

No cóż, zadumała się Virginia, skoro lubi psy, nie może być złym człowiekiem.

- Chciałbym cię przeprosić - odezwał się. Nadal głaskał Dinky.

- Za co? - zapytała. Nie puści mu tego płazem.

- Za to, że nie pozbyłem się Smartów i pozwoliłem, by Glenys była dla ciebie bardzo nieuprzejma.

- Nieuprzejma to za mało powiedziane - zauważyła. Jeszcze nie zapomniała, jak fatalnie czuła się tamtego wieczoru. - Ale wiesz, co mnie najbardziej zabolowało? To, że nie stanąłeś w mojej obronie. Niełatwo jest starym przyjacielom widzieć wdowca czy wdowę z kimś innym, więc rozumiem jej reakcję, chociaż - mówiła lodowato zimnym głosem - z całą pewnością jej nie akceptuję. Ale ty na to pozwoliłeś. I tego nie mogę ci wybaczyć. Zaprosiłeś mnie na ten recital, a przecież nawet się nie spotykamy, więc brak reakcji z twojej strony był bezmyślny i niewłaściwy.

Kevin wyprostował się sztywno.

- Zdaję sobie z tego sprawę i jeszcze raz przepraszam - wziął ją za rękę.

Virginia delikatnie zabrała dłoń. Nie chciała być nieuprzejma, ale nie uważała też, że Kevin zasłużył sobie na to, by trzymać ją za rękę jak kochanek.

- Proszę, wybacz - powtórzył szczerze. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie poza tym, że chciałbym, żebyśmy się spotykali. Może dlatego poczułem się winny wobec Glenys.

Virginia odrobinę zmiękła. Kevin to wyczuł i ciągnął dalej:

- Bardzo chciałbym zaprosić cię na randkę, Virginio - mówił. - Po pierwsze dlatego, że cię bardzo lubię, po drugie dlatego, że chcę przeprosić. Co powiesz na kolację u mnie? Nie spotkamy nikogo i plotkarze nie będą mieli o czym gadać. Nie chcę cię obrazić, zapraszając do domu - dodał pospiesznie. Świetnie gotuję.

Virginia uśmiechnęła się wreszcie.

- Więc jesteśmy umówieni? - spytał z nadzieją. - Na piątek?

- Sprawdź w kalendarzu - odpowiedziała. Za czasów jej młodości kobieta nie przyjmowała zaproszenia od razu, najpierw zawsze sprawdzała w kalendarzu.

- Jutro zadzwonię - zaproponował ochoczo. - Do usłyszenia. - Kiedy tym razem wziął ją za rękę, nie odsunęła się.

- Zdrajczyni, czemu tak się do niego łąsiłaś? - zganiła Dinky, gdy wracały do domu.

Z drugiej strony może to dobry znak. Dinky zna się na ludziach: uwielbia Mary-Kate, toleruje taksówkarza i nie znosi Barbary.

- Co sądzisz o Kevinie? - zapytała.

Dinky wyczuła, że pani oczekuje jakiejś reakcji i zamerdała ogonem.

- Więc idę na kolację - stwierdziła Virginia.

Hope czekała na Sam na lotnisku i wspominała, kiedy była tu ostatnio. Czekala wtedy na Matta, gryzły ją wyrzuty sumienia i poczucie winy. Bała się, że wyczyta z jej twarzy, co się stało.

Przypomniała sobie wywiady z psychologami i terapeutami zajmującymi się kryzysem małżeńskim. Wszyscy jednogłośnie radzili, żeby nie przyznawać się do zdrady. Tamtego dnia na lotnisku chciała Mattowi wszystko powiedzieć, żeby jej wybaczył, uściskał i powiedział, że rozumie i nic się nie stało.

Szkoda, że tego nie zrobiła. Nie czekałaby tu teraz na Sam, która przyjeżdża, żeby ją pocieszyć.

- Hope!

Sam, zdrowa i piękna, objęła ją serdecznie. Hope oparła jej głowę na ramieniu i pozwoliła sobie na płacz.

- Jak się masz? - zapytała Sam. Nie zwracały uwagi na tłum dokoła nich.

- Jakoś - chlipnęła Hope. Otworzyła oczy i napotkała ciekawe spojrzenie dwóch małych chłopców. - Chodź, idziemy.

W drodze do Redlion opowiedziała wszystko, z najmniejszymi szczegółami.

- Wstyd mi - zakończyła, gdy dojeżdżały na miejsce. - Od dawna chciałam ci o tym powiedzieć, ale bałam się, że będziesz mną gardziła.

- Nie gadaj głupstw - prychnęła Sam, trochę dotknięta, że Hope nie mówiła jej wszystkiego. - Jesteś całą moją rodziną, najbliższą osobą na świecie, jak możesz sądzić, że gardziłabym tobą?

- Bo sama sobą gardzę - przyznała Hope, wzruszona do łez dobrocią Sam. Zawsze miała łzy w oczach przy najmniejszym objawie dobroci, nawet gdy rzeźnik ciepło się uśmiechnął. - Matt postąpił źle, nie pozwalając mi wyjaśnić. Nigdy mi na to nie pozwalał, aleja też nie jestem bez winy. Tak naprawdę to ja zawińłam i koniec. Wszyscy mi wmawiają, że to jego wina, że powinien wrócić i dać nam szansę, ale na jego miejscu, gdybym tylko podejrzewała, że zadaje się z inną, nie mogłabym mu wybaczyć.

- Nie pleć - zachnęła się Sam.

- Ale tak jest - upierała się Hope. - Myślałam, że wybaczyłabym mu wszystko, bo bardzo go kocham, ale tego nie. Rozumiem, dlaczego odszedł - dodała z goryczą. Dużo o tym myślała i właśnie tak było; gdyby Mart miał romans, nie zniosłaby tego.

Sam nie dawała się przekonać.

- Dawniej byłaś innego zdania. Wystarczało ci, że on wszystkim rządzi.

- Racja. Ale u podstaw naszego małżeństwa leżało to, że potrzebowaliśmy się wzajemnie. Teraz to widzę. Potrzebował mnie tak samo, jak ja jego. Rodzice uważają go za egzemplarz drugiej kategorii. Wiesz, co we mnie najbardziej kochał? Że był dla mnie całym światem. I dzięki temu między nami się układało. Dla swoich rodziców był przeszkodą; dla mnie całym światem. A teraz wszystko popsułam. Matt nie uznaje kompromisów, nie wróci, jeśli nie jest przekonany, że za nim szaleję.

Zatrzymała samochód przed domem.

Nie był to pogodny weekend. Sam chodziła na paluszkach, nie chcąc siostry drażnić. Opanowała naturalny odruch, by omówić otwarcie alimenty, sprawę domu i odwiedzin u dzieci, i robiła, co tylko mogła, żeby pocieszać, a nie udzielać rad. Ilekroć Millie czy Toby wspominali coś o tatusiu, zerkała niespokojnie na Hope, spodziewając się łez i rozpaczy. A Hope, o dziwo, jakoś się trzymała.

- Ze względu na dzieci - powiedziała tylko.

W niedzielne popołudnie przed odlotem Sam jedli lunch w Killarney. Millie i Toby rysowali coś z zapałem na papierowych podkładkach. Sam zdecydowała się wziąć byka za rogi.

- Co teraz? - zapytała.

- Nie wiem. - Hope wzruszyła ramionami. - To Matt odszedł. Ja nie chcę palić mostów, wiesz o tym. Kocham go. Ale go nie zmuszę, żeby wrócił.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

-Nie! - Hope zaprzeczyła gwałtownie. -Nie chcę, żeby wrócił tylko dlatego, że go do tego zmusiłaś. Sam uśmiechnęła się pod nosem.

- Czy ktoś kiedyś zmusił do czegoś Matta Parkera? - zapytała żartobliwie.

Hope miała łzy w oczach i Sam klęła swoją głupotę.

- Przepraszam.

- Wiesz, nie jestem już dzieckiem, Sam. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Odszedł ode mnie, być może na zawsze.

- To coś, czego się najbardziej obawiałaś. Że cię porzuci, że zostaniesz sama. Hope skinęła głową.

- Tak. I jak to o mnie świadczy? Osobiście doprowadziłam do tego, czego bałam się całe życie. Zawsze się bałam, że Matt odejdzie, tak jak nasi rodzice. A ja co? Wdaję się w romans i wszystko psuję.

- Nie popsulaś wszystkiego - protestowała Sam. - I nie miałaś romansu. Hope nie odpowiedziała.

Sam uściskała ją serdecznie na pożegnanie. Hope starała się nie płakać.

- Mogłabyś przyjechać do Londynu - zaproponowała Sam. - Kupiłybyśmy razem dom i nie byłabyś sama.

- Dziękuję, ale nie - odmówiła Hope zdecydowanie. - Tutaj jest mój dom.

Hope i dzieci machali energicznie, póki Sam nie znikła im z oczu.

- Kiedy przyjedzie tatuś? - dopytywała się Millie i rozglądała czujnie, jakby się spodziewała, że Matt pojawi się lada chwila.

- Niedługo, skarbie, niedługo - zapewniła ją matka radośnie.

Kiedy nadszedł dzień kolacji u Kevina, Virginia dużo myślała o Billu. Czasami nie mogła uwierzyć, że minęły już ponad dwa lata od jego śmierci. Wciąż niemal wyczuwała jego obecność. Z drugiej strony wydawało się, że nie ma go od dawna; tyle się zmieniło. A może ona się tak zmieniła? Jej droga przez labirynt żałoby i rozpacz była trudna i bolesna; krok do przodu często oznaczał dwa w tył. Lecz życie toczy się dalej i nauczyła się żyć bez niego. Nie miała innego wyjścia. Przez pół roku po jego śmierci jadła na śniadanie owsiankę, zamiast muesli. Owsiankę z miodem, jak on, by mieć wrażenie, że jest bliżej. Dlatego nosiła też jego koszule.

Przypomniała sobie, jak pół roku po śmierci ojca Laurence zaproponował, by pozbyła się jego ubrań. Nie chciała o tym słyszeć.

- Równie dobrze możecie i mnie wyrzucić na śmietnik - powiedziała wtedy ostro.

Przywiozła je do Kilnagoshell i powiesiła w jednym z pokoi gościnnych. Lecz zapach Billa się ulotnił. Pozostał tylko zapach starych nieno-szonych ubrań.

Wreszcie pewnego dnia podjęła decyzję. Przez całe popołudnie płakała i pakowała je do pudeł. Wiedziała jednak, że postępuje słusznie, Bill

na pewno przyznałby jej rację. Nie można dać się pogrzebać żywcem. Na zakupach dumnie minęła półkę z płatkami owsianymi. Nie będzie niewolnicą wspomnień.

Nie pozbyła się tylko jego starego swetra. Trzymała go w komodzie przy łóżku. Wieczorami często zasypiała z twarzą wtuloną w miękką wełnę, pogrążona we wspomnieniach.

Tego wieczoru ubrała się na kolację do Kevina i przytuliła do siebie sweter jak pluszową maskotkę. Dinky wyczuwała melancholię pani i patrzyła na nią czujnie.

- Myślisz, że zwariowałam, co? - zwróciła się do niej Virginia. A potem pocałowała sweter i odłożyła do szuflady. - Niedługo wracam, kochanie - poinformowała Dinky.

Kevin mieszkał w starej wiejskiej zagrodzie po drugiej stronie Redlion. Virginia, zapalona ogrodniczka, uznała, że idealny ogród przy takim domu to staroświeckie pnące róże, pękate donice dzikich kwiatów i bujne dzikie wino. Tymczasem przed domem ujrzała cztery grządki mietczyków. Równiutkie grządki, wytyczone chyba linijką, przed wiejskim domem wyglądały bardzo nie na miejscu.

- Podziwiasz kwiaty? - odezwał się Kevin od drzwi.

- Ja... tak - skłamała; mietczyki to jedyne kwiaty, których nie lubiła. Wewnątrz dom okazał się równie oficjalny; na podłodze, zapewne

drewnianej, wykładzina, na ścianach - ciemnoczerwona tapeta we wzorek; klasyczna Laura Ashley. Tapeta wyraźnie gryzła się z wykładziną i bladą różową kanapą. Na ścianach wisiały olejne obrazy w ciężkich złotych ramach, pod ścianami stały małe stolice. Na każdej dosłownie poziomej powierzchni srebrne ramki ze zdjęciami. Pokój sprawiał przygnębiające wrażenie, przytłaczał jak hollywoodzka wersja wiktoriańskiego wnętrza.

Uwagę zwracał jednak przede wszystkim wielki obraz nad kominkiem - portret kobiety w niebieskiej sukni. Zbliżała się do pięćdziesiątki i uśmiechała jak Mona Lisa. Krótkie ciemne włosy otaczały twarz, ciemne oczy błyszczały. Więc to jest Ursula.

- Zamówiłem na jej pięćdziesiąte urodziny - oznajmił Kevin z dumą.

- Pięćdziesiąte? Nie wygląda na tyle - zauważyła uprzejmie Virginia.

Był wyraźnie zadowolony.

- Zawsze wyglądała młodo, do końca. Wszyscy to zauważali. - Posmutniał.

- Pomóc ci w kuchni? - zapytała Virginia energicznie. Wziął się w garść.

-Nie, wszystko pod kontrolą. Mam nadzieję, że lubisz jagnięcinę?

- Uwielbiam - zapewniła.

Wołałaby iść z nim do kuchni i gawędzić, póki gotuje, ale Kevin najwyraźniej był zwolennikiem bardziej oficjalnego przyjmowania gości. Podał jej wodę, o którą prosiła, i zostawił w salonie ze smętną muzyką Szopena.

Wiedziała, że nie powinna węszyć, ale nie mogła się opanować i przyjrzała się niektórym zdjęciom. Były to głównie fotografie Ursuli i Kevina; na kilku była sama. Malarz był dla niej łaskawy, zauważyła, oglądając zdjęcie z jakiejś uroczystości. Ciemne oczy były małe, szczeka - bardziej kanciasta niż na portrecie. Ciekawe, czy zdołałyby się zaprzyjaźnić. Nie wiadomo, zwłaszcza że Ursula lubiła przecież Glenys Smart. Poza tym Virginia nie czuła się dobrze w tym domu; to bez wątpienia dom Ursuli. Zostawiła swój ślad wszędzie, poczynając od ogrodu, na wewnątrz kończąc. Był to styl sprzed dziesięciu lat, a więc z czasów jej życia. Kevin najwyraźniej zamienił dom w świątynię.

Kevin miał rację; był świetnym kucharzem. Jagnię było delikatne, rozplęwało się w ustach, młode kartofelki pasowały doskonale, zielony groszek z odrobiną masła był wyśmienity. Rozmawiali o wspólnych znajomych, opowiadali anegdoty z pola golfowego, wspominali przeszłość. Virginia pilnowała się, żeby za dużo nie mówić o Billu, wystarczy, że Kevin ciągle opowiadał o Ursuli. Jej imię pojawiało się w co drugim zdaniu i Virginia zastanawiała się, czy i ona tak często mówi o Billu. Nie, na pewno nie. Pili z umiarem i przy kawie okazało się, że w butelce jest jeszcze co najmniej jeden kieliszek.

- Doleję ci wina - zaproponował Kevin.

-Nie, dziękuję. Na dzisiaj wystarczy, przecież jestem samochodem. Zatkaną butelkę korkiem.

- Na inną okazję - skomentował. - Rozpić się z rozpaczy to proste. Pewnie wielu wdowców sięga po butelkę. Kiedy siedzę tu sam, ze wspomnieniami i Szopenem, mam ochotę pić na umór.

Virginia przyglądała mu się uważnie.

- To, co powiem, to banał - zaczęła - ale nie uważasz, że czas leczy rany?

Był wstrząśnięty.

-Nie, skądże. Jak to? Jak mógłbym zapomnieć o Ursuli?

-Nie powiedziałam: zapomnieć - poprawiła delikatnie. - Tylko uporać się z jej stratą. Od śmierci Billa minęły dwa lata. Nie zapomniałam go, skądże. Bill był moim życiem, nie mogłabym go zapomnieć. Ale -urwała, szukała odpowiednich słów, nie chciała sprawić mu przykrości

życie toczy się dalej. - Zaśmiała się. Kolejny banał. - Musisz żyć dalej. Ursula wydaje się uroczą kobietą, pełną życia; nie chciałaby, żebyś -ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć: pogrzebał się żywcem. -.. .żebyś przestał żyć - dokończyła.

- Masz rację. - Kevin się rozpromienił. - Była urocza i pełna życia. Cieszę się, że właściwie ci ją przedstawiłem. - Przykrył jej dłoń swoją. -Polubiłabyś ją. Byłybyście przyjaciółkami.

- Pewnie tak, podobnie jak ty i Bill - zgodziła się. - Ale oni nie żyją. Musimy żyć dalej. Wyprowadziłam się z naszego domu w przypiływie rozpaczy, szczerze mówiąc, ale dzięki temu zaczęłam nowe życie. Zmiana pomaga, to nie zdrada. - Umilkła, szukała odpowiednich słów. - Mógłbyś, na przykład, zrobić tu remont - podsunęła.

Uśmiechnął się.

- Zrobiłem. Tapeta się wytarła.

Virginia także się uśmiechnęła. Więc to jego jest ten beznadziejny gust. Pewnie Ursula miała lepszy smak.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile się musiałem nachodzić, zanim znalazłem taką samą tapetę. Wzór wyszedł już z produkcji, nigdzie nie mogłem jej dostać.

Był taki dumny, że nie wiedziała, co powiedzieć. Zresztą co tu jest do powiedzenia?

Może to prawda, że wdowy lepiej sobie radzą samotnością niż wdowcy, którzy bez żon stawali się bezradni jak dzieci. Jakie to smutne. Smutniejsze nawet niż Kevin, który desperacko pragnął żyć tak samo jak za jej życia. Wybrał nawet tę samą tapetę. Pewnie to ona nauczyła go gotować jagnię z groszkiem i ziemniakami. Virginia wzdrygnęła się; czuła się jak w nawiedzonym domu. Dyskretnie zerknęła na zegarek; za kwadrans dziesiąta, może już iść, nie będąc nieuprzejma.

- Dziękuję za pyszną kolację - powiedziała ciepło.

- Cieszę się, że ci smakowało. Musimy to powtórzyć - uśmiechał się szeroko. - Może wyprawimy się do restauracji i wzbudzimy miliony plotek?

Skinęła głową.

- Komu chciałoby się plotkować o dwojce starych przyjaciół? - Celowo udała, że nie zrozumiała, co miał na myśli.

Wstała, nie pytając, czy mu pomóc przy zmywaniu. I tak by się nie zgodził, a ona miała dosyć Ursuli jak na jeden wieczór.

- Dziękuję, Kevin.

Nie czekała, aż poda jej zakiet, sama go włożyła.

- Pozwól, że ci pomogę - zaoferował.

- W przyszłym tygodniu jestem zajęta - powiedziała. - Umówiłam się na golfa. Może w takim razie w następnym zagramy we czwórkę? - Cztery osoby to mniej czasu we dwoje.

- Cóż, oczywiście, jeśli jesteś zajęta...

Cmoknęła go w policzek i już po chwili była przy drzwiach.

- Pa! - zawołała radośnie i pobiegła do samochodu, mijając różowe mieczyki.

Machała mu, póki nie znikł jej z oczu, dopiero wtedy się odprężyła. Tyle, jeśli chodzi o romantyczne spotkania. Wesoła wdówka, dobre sobie.

Kevin się starał, lecz to nigdy nie będzie prawdziwy związek. Lubił Virginie, ale w jego sercu jest miejsce tylko dla Ursuli. A szkoda.

- Bill, kochany, mam nadzieję, że masz tam więcej szczęścia z jakąś wdową anielicą - mruknęła w drodze do domu. - Boja tutaj mam tylko pecha w tej dziedzinie. Ale - uśmiechnęła się - mam dziewczyny, więc się nie martw.

Rozdział 2 5

W dniu swoich czterdziestych urodzin Sam obudziła się o świcie i zaśpiewała sobie *Happy Birthday*. - To pewna oznaka szaleństwa - poinformowała swoje odbicie w lustrze. - Masz cztery dychy i fioła. Gratulacje.

Pod prysznicem doszła do wniosku, że może powinna sobie sprawić kota. Miałyby towarzystwo i przynajmniej wytłumaczenie, czemu mówi sama do siebie. Z drugiej strony ludzie zaczęliby ją postrzegać jako kobietę z kotem, co w domyśle znaczy: z kotem, ale bez mężczyzny. Przed czterdziestką można mieć kota i uchodzić za fajną, atrakcyjną miłośniczkę zwierząt. Po czterdziestce czas zacząć się czesać w ciasny surowy kok, jak ciotka Ruth, i mieć wszystkim za złe.

Malując się, przypominała sobie statystyki dotyczące samotnych kobiet. Za trzydzieści lat czterdzieści albo trzydzieści procent kobiet będzie samotnych. Nie ma w tym nic złego. Sam lubiła swoją samotność, przynajmniej do niedawna. Tylko że ostatnio wszystkie znane jej single płci żeńskiej gorączkowo szukały partnerów. Jakby po latach wmawiania wszystkim, że im dobrze w pojedynkę, przyznawały, że to kłamstwo. Czuła się zdradzona. A może samotna? Bała się spojrzeć prawdzie w oczy i zastanović, o co jej naprawdę chodzi.

Przy akompaniamencie radia włożyła różowy sweterek i kremowy kostium z długą spódnicą. Dawniej nie ubrałyby się tak do biura, to strój odpowiedni raczej na letni ślub, nie do pracy, ale akurat dzisiaj chciała wyglądać ładnie i kobieco. Zjadła owoce, zabrała jogurt na drugie śniadanie i pobiegła do fryzjera.

- Poproszę mycie, układanie i manikiur - powiedziała.

- Oczywiście, pani Smith. - Recepcjonistka starała się nie okazać zdziwienia.

Pani Smith zawsze się tylko czesała.

- Wychodzi pani gdzieś? - zagadnęła manikiurzystka. Fryzjerka zamarła, przerażona. Z Sam Smith nie gawędzi się jak ze

zwykłą klientką. Zazwyczaj przeglądała sprawozdania finansowe, czasami gazety, zawsze poważne dzienniki, nigdy brukowce.

Szczerze mówiąc, fryzjerkę onieśmiała; była klasyczną kobietą sukcesu, kobietą, która nie ma czasu na pogaduszki. Ale ku jej zdumieniu odpowiedziała:

-Nie, a szkoda. Po pracy wracam prosto do domu. Może obejrzę coś w telewizji.

- Wiem, jak to jest. - Manikiurzystka skinęła głową. - Ja też po pracy nie mam na nic siły. Snuję wielkie plany, a potem padam przed telewizorem. Lakierujemy bezbarwnym czy kolorem?

Sam długo myślała.

- Niech będzie różowy. Zazwyczaj maluję bezbarwnym, ale co tam, dzisiaj są moje urodziny. - Ledwie to powiedziała, od razu pożałowała.

- Wszystkiego najlepszego! - manikiurzystka i fryzjerka zawołały jednocześnie.

Oczywiście nie zapytały które.

-I nigdzie pani nie wychodzi? - Manikiurzystka pokiwała głową ze współczuciem. - Pewnie odkłada pani świętowanie na weekend? Sam uśmiechnęła się blade.

- No właśnie, na weekend.

Jak tylko wyszła z salonu fryzjerskiego i włączyła komórkę, zadzwoniła Hope.

-Nie złapałam cię w domu. Pewnie wyszłaś wcześniej? Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Szkoda, że nie możemy świętować dzisiaj razem. Nie podoba mi się, że w czterdzieste urodziny będziesz sama.

Sam poczuła łzy pod powiekami.

- Też żałuję, że cię tu nie ma - mruknęła, gorączkowo szukając chusteczki w kieszeni płaszcza. - Albo że ja nie jestem u ciebie. Ale -starała się nadać swemu głosowi pogodne brzmienie - wybieram się na lunch z Jay. - Zazwyczaj w swoje urodziny szły na uroczystą kolację,

ale w tym roku Jay chyba zapomniała, zresztą wieczory zawsze spędza z Gregiem.

- A wieczorem? - Hope się zaniepokoiła.

- Nie mam siły na balowanie - skłamała Sam. - Chcę się w końcu wyspać. Matt się odezwał?

- Co wieczór dzwoni do dzieci, do mnie się praktycznie nie odzywa. Był w hotelu w Bath, teraz wynajął mieszkanie, chyba planuje tam zostać. Millie w kółko pyta, kiedy tatuś wróci. Serce mi wtedy pęka.

Sam skrzywiła się, gdy wyobraziła sobie poważną małą Millie pytającą o tatusia. Biedna Hope. A ona tutaj użala się nad sobą, że kończy czterdziestkę.

W biurze czekał wielki bukiet od Hope. Chyba tylko siostra wiedziała, że pod surową powłoką pani Smith skrywa romantyczną duszę; przysłała jej najbardziej romantyczne z kwiatów, różowe róże, piękny kosz rozwiniętych kwiatów i bladych pąków, które pięknie kontrastowały z ciemnozielonymi liśćmi. Sam była zaskoczona swoim pierwszym i jak na razie jedynym prezentem urodzinowym. Schowała je za szafką, nie chcąc, żeby pytano, z jakiej okazji je dostała. Ale w biurze i tak się rozeszła plotka, że Sam Smith dostała kosz różowych róż.

- Od kochanka - orzekła recepcjonistka.

- I to żonatego kochanka - uzupełniła asystentka z public relations, która zna się na życiu.

- Pewnie sama je sobie wysłała - prychnęła Izzy. O jedenastej zadzwoniła Catrina.

- Wszystkiego najlepszego, Sam - powiedziała pogodnie. - Dostałaś już jakieś ładne prezenty?

- Owszem. - Sam nie chciała wyjść na aspołeczną samotnicę.

- A od nas? - dopytywała się Catrina.

- Nie, niestety jeszcze nie.

- Cóż, Hugh wysłał go pocztą, pewnie dostaniesz jutro, a może już czeka w domu? Właściwie to nic takiego - usprawiedliwiła się. - Jakies plany na dzisiaj? Pewnie wypad do superklubu z towarzystwem z show-biznesu?

Sam zaczęła się poważnie zastanawiać, czy ciąża nie odbiła się na stanie umysłu Catriny. Przecież wiedziała, że Sam nigdy nie chodziła na takie imprezy. Bawiła się ze starymi przyjaciółmi. Przynajmniej dawniej tak było.

- Właściwie jeszcze nie wiem - rzuciła lekko. - Jest dzisiaj impreza, owszem, ale nie mam ochoty iść. - No, to chyba zabrzmiało nonszalancko i swobodnie.

- Szczęściara - jęknęła Catrina. - Od tak dawna nie miałam kropli alkoholu w ustach, że chyba zalałabym się w trupa po jednym łyku.

I tu nastąpiła długa rozmowa na temat ciąży Catriny. Była w ósmym miesiącu i bardzo szybko się męczyła; ledwie doszła do pracy, już miała ochotę wracać do domu, do łóżka. Oczywiście, jak to ona, zamierzała pracować niemal do ostatniej chwili.

- Musisz więcej odpoczywać - tłumaczyła Sam. - Daj sobie spokój, nie jesteś supergirl. Pomyśl o dziecku. Może wyjechalibyście z Hughem na weekend?

- Masz rację. - Catrina mówiła normalnie po raz pierwszy od początku rozmowy. - A wszyscy dokoła chwalą mnie, że jestem taka aktywna i że nie powinnam niczego zmieniać.

- Rób, na co masz ochotę - upierała się Sam. - Do porodu zostało ci kilka tygodni, oszczędzaj się.

Pożegnały się i Catrina obiecała, że zadzwoni w przyszłym tygodniu. Ledwie odłożyła słuchawkę, znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to Jay. Musiała odwołać lunch.

- Strasznie mi głupio, że to akurat twoje urodziny, ale naprawdę nie mogę - tłumaczyła mętnie.

Nie powiedziała dlaczego. Sam wiedziała z doświadczenia, że prawdziwe usprawiedliwienie przekonuje. Jeśli jedyną wymówką jest „nie mogę”, nie jest to prawda.

Pewnie nie może, bo Greg ją błaga, żeby poszła na lunch z nim, a nie z nudną przyjaciółką. Sam nie znosiła kobiet, które pozwalają, by faceci rozdzielali je z przyjaciółkami. Faceci są na jakiś czas, przyjaciele - na zawsze. Przyjaciółki Hope z Klubu Makramy nie zostawiłyby jej dla faceta, pomyślała ponuro.

- Nie ma sprawy, Jay - rzuciła oschle. - Rozumiem. Zadzwon, kiedy będziesz miała wolną chwilę.

- Sam, nie gniewaj się - błagała Jay. - Zrozumiesz, zapewniam cię. Sam tak mocno przyciskała długopis do żółtego notesu, że zrobiła

w nim dziurę. Ostatnio często słyszy różne zapewnienia. Już miała na końcu języka uwagę, nie tak dawno Jay zapewniała, że zjedzą uroczy urodzinowy lunch, ale nic nie powiedziała.

- Dobrze, zadzwon. Ale w weekend jestem zajęta. - To akurat kłamstwo. - Może się spotkamy w przyszłym tygodniu.

Sam nie zapomniła jeszcze czasów, gdy spotykały się z Jay co drugi dzień.

- Na razie, Sam. - Jay była wyraźnie nieszczęśliwa. - I wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Dzięki.

Wyrzuciła zniszczony notes do śmieci. Nie ma co, świetny początek dnia.

Obchodzi dzisiaj czterdzieste urodziny, ale chyba wszyscy przyjaciele o tym zapomnieli. A ci, którzy łaskawie pamiętali, mieli inne plany, niż się z nią spotkać.

O wpół do pierwszej wyszła z biurowca i pomaszerowała do sklepu -sprawdzi na własnej skórze, czy terapia zakupowa przynosi efekty. Zaczęła eksperyment od perfumerii, gdzie nabyła gigantyczny flakon Chanel N° 5 i perfumowany balsam do ciała. Następnie zajrzała do działu bielizny i zaopatrzyła się w dwa komplety przeraźliwie drogiej bielizny. Później przyszedł czas na znanych projektantów: w ciągu dwudziestu minut kupiła czarny kostium od Richarda Tylera, z zakietem tak dopasowanym, że wyglądał, jakby go na niej zszywano, dwa piękne swetry Fen-di i fantastyczną opalizującą, szalenie seksowną suknię od Gucciego. Suknia wyglądała, jakby miała z niej spaść lada chwila, po jednym wprawnym pociągnięciu. Pewnie Morgan Benson jest ekspertem od takich ruchów, myślała posepnie, gdy podpisywała rachunek. Właściwie po co ona to wszystko kupuje? Kto zobaczy ją w ślicznym staniku lila, komu chciałoby się ściągać z niej sukienkę?

Na imprezach branżowych aż się roilo od dziewcząt w sukienkach od Gucciego, lecz Sam zazwyczaj zjawiała się w kostiumie od Prądy. Goście chyba zadławiłoby się czystą wódką, gdyby zjawiała się w seksownej kreacji. Seksowni są artyści, dla biurokratów są kostiomy i garnitury.

Na lunch zjadła bagietkę z serkiem wiejskim i awokado.

Po drugiej wróciła do biura, objuczona wielkimi torbami z logo Har-veya Nicholasa. Terapia zakupowa ma działanie krótkotrwałe, uznała. Było fajnie, kiedy wszystko mierzyła i kupowała, ale teraz czuła się tak samo jak przedtem. Za to miała mniej pieniędzy.

Drzwi do windy już się zamykały, ale Steve Parris zdążył się wślizgnąć.

Tego dnia ubrał się swobodnie - biała koszulka, džinsy, skórzana marynarka. Oczywiście wszystko od-najlepszych projektantów. Steve miał kompleksy na punkcie wzrostu i nigdy nie nosił rzeczy bez firmowej metki. Pracownicy Titus Records często snuli rozważania, czy gdyby Steve był wyższy, byłby też m i 1 szy.

- Cześć, Sam. Zakupy? - spytał, taksując ją małymi oczkami, którymi w ciągu trzech sekund przebiegał długi raport. Zawsze czuła się nieswojo pod jego wzrokiem.

- Tak - odparła spokojnie i nie uległa pokusie, by burknąć: „Nie, skądże, tak dla zabawy taszczyć siaty”.

- Coś ładnego kupiłaś?

Zamruwała szybko. To było nie w jego stylu. Zwykle rozmawiał tylko o pracy.

- Ja... tak.

- Coś co zwała z nóg? - dopytywał się entuzjastycznie.

Sam przyglądała mu się ciekawie. W pewnym momencie złośliwość okazała się silniejsza od uprzejmości.

- Owszem. Sukienkę, którą się powinno sprzedawać z ostrzeżeniem ministra zdrowia, bo facetom na pewno ciśnienie skacze w kosmos na jej widok - powiedziała i natychmiast pożałowała.

Boże drogi, to żenujące; jej jedyną rozrywką stało się drażnienie swojego szefa.

Ale Steve nie był zły.

- Świetnie - lodowate oczka, które rozjaśniały się tylko wtedy, gdy pierwsze miejsce na liście najlepiej sprzedawanych płyt, i to zarówno singli, jak i albumów, zajmowały produkcje Titus Records, teraz błyszczały radośnie. - Słuchaj, Sam, wiesz, że zbliżają się nagrody Lemon Awards.

Jasne, że wiedziała. Wszyscy w branży o tym wiedzieli. To najbardziej prestiżowe nagrody w show-biznesie, a w tym roku nominowanych było sporo artystów związanych z Titus Records. Obecnie największym problemem Sam było ograniczyć liczbę pracowników, którzy polowali na drogie i bardzo poszukiwane bilety wstępu.

- Będą też ludzie z amerykańskiej filii, grube ryby. - Steve znacząco poruszył brwiami. - Ty też, oczywiście.

- Oczywiście - zgodziła się.

- Ale chciałbym, żebyś siedziała przy moim stoliku.

Spojrzała na niego czujnie. Zarezerwowała już osobny stolik dla swojego działu.

- Po imprezie wydaję przyjęcie w klubie Shiva. Chciałbym, żebyś tam ze mną poszła. - Znacząco dotknął jej ramienia. - To dla mnie bardzo ważne.

Sam dosłownie odebrało mowę. Podrywają czy co? Czy to możliwe, by Steve Megaloman Parris, facet z arkuszem kalkulacyjnym zamiast serca, naprawdę ją podrywał? Nie, nie, to pomyłka.

- Oczywiście - odparła ostrożnie. - Przecież nie darowałabym sobie Lemon Awards, prawda?

Rozpromienił się.

- Dzięki, Sam. To bardzo ważne. I - uśmiechnął się - włóż tę suknię niebezpieczną dla zdrowia.

Winda zatrzymała się i Sam wysiadła.

Cholera, cholera, jeszcze raz cholera! Jednak jądodrywał. Niby dlaczego chciał, żeby włożyła seksowną sukienkę? Gdyby nie była taka głupia, delikatnie ostudziłaby jego zapalę. Cholera, sama się wpakowała.

Szła do gabinetu pogrążona w myślach. Pomijając oczywiste względy, czyli to, że Steve jej się ani trochę nie podoba, jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinna z nim flirtować; biurowe romanse to fatalny pomysł, równie kiepski jak propozycja Marii Antoniny, by głodni biedacy jedli ciastka, skoro nie mają chleba.

W najlepszym wypadku skończy się wstydem i zakłopotaniem, gdyby Steve liczył, że z ich randki coś będzie. W najgorszym wpadnie w szal, gdy Sam go odrzuci. Albo, choć o tym wolała nie myśleć, zaszkodzi to jej karierze. Co będzie, kiedy Amerykanie zobaczą przy jego stoliku i pomyślą, że zaszła tak daleko przez łóżko? Skrzywiła się na tę myśl.

Do Lemon Awards zostało jeszcze dziesięć dni. Coś wymyśli, żeby się wykręcić.

Pracowała intensywnie przez resztę popołudnia, chodziła na spotkania, rozmawiała przez telefon, pisała e-maile i ani razu nie zdradziła, że jest nieszczęśliwa i zdenerwowana. O siódmej złapała taksówkę - to jej przedostatnia przyjemność tego dnia. W domu weźmie długą kąpiel, wysmaruje ciało, którego nikt nigdy nie ogląda, balsamem Chanel N° 5 i sama wypije całą butelkę wina. Oto urodziny samotnej bizneswoman.

Weszła do domu i zobaczyła migające światełko na sekretarce; cztery wiadomości. Zdażyła wysłuchać tylko pierwszej, od zdenerwowanej Ca-triny:

- Sam, wiem, że to nieodpowiednia pora, ale przyszła do mnie Jay. Jest zrozpaczona. Czy mogłabyś wpaść?

Co prawda mówiła spokojnie, ale Sam od razu się domyśliła, że stało się coś strasznego. Pewnie Greg, pomyślała. Cała wcześniejsza wściekłość na Jay wyparowała w jednej chwili. Greg na pewno z nią zerwał. To okropne.

Porwała torebkę i wybiegła z domu. Taksówka o tej porze? Marzenie ściętej głowy. W tym momencie zobaczyła Morgana, jak w eleganckim garniturze wsiada do sfatygowanego dzipa. Ten samochód wydał się jej nagle piękniejszy niż porsche carrera.

- Morgan! - wrzasnęła. - Czy mogę cię o coś prosić? Podrzuć mi? To niedaleko, tylko dziesięć minut samochodem, a teraz nigdzie nie znajdę taksówki.

- Wsiadaj.

- Jay na jakieś problemy - tłumaczyła. - Nie wiem jeszcze, co się stało, ale muszę jechać. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale Catrina dzwoniła i...

- Nie ma sprawy - mruknął. - Mam nadzieję, że to nic poważnego, całkiem miła ta Jay.

- No właśnie. - Sam nerwowo zagryzła usta. - Żeby tylko Greg jej nie rzucił.

- Kiedy ich poznałem na twoim przyjęciu, świata za sobą widzieli. To pewnie tylko kłótnia zakochanych.

Gnali przez zatłoczony Londyn, Morgan wybierał skróty i małe uliczki. Po dziewięciu minutach zatrzymali się przed domem Hugh'a i Catriny. Sam wyskoczyła, jeszcze zanim zaciągnął hamulec ręczny.

- Jestem twoją dłużniczką! - krzyknęła przez ramię i pobiegła do drzwi.

Catrina stała w progu, spokojna i opanowana.

- Co się dzieje, gdzie ona jest? - wysapała Sam. - Chodzi o Grega? Chyba z nią nie zerwał?

- Sama z nią porozmawiaj - odparła Catrina. - Jest w salonie. Sam wpadła do salonu.

- Niespodzianka! - wrzasnęli zebrani pod wielkim transparentem: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI 40. URODZIN! Byli tam Hugh, Jay, Adam, Greg i jeszcze Sally i Danny, z którymi nie widziała się od wieków. Wszyscy się uśmiechali i wznosili kieliszki w powitalnym toaście.

Sam nie wierzyła własnym oczom. Cofnęła się o krok i zderzyła z Morganem, który stał tuż za nią i uśmiechał się od ucha do ucha.

- Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam. - Catrina objęła ją serdecznie. - Nie mieliśmy pojęcia, jak cię tu ściągnąć, nie budząc podejrzeń i Jay w końcu wymyśliła ten podstęp. Wiedziała, co sobie pomyślisz.

- Wszystkiego najlepszego - pisnęła Jay i objęła Catrinę i Sam.

- Myślałaś, że się nie spotkamy w twoje urodziny? - zaśmiała się. - Musiałam odwołać lunch, bo przyjęcie było w proszku i bałam się, że nie zdążymy.

Sam przypomniała sobie, jaka była zła na biedną Jay i jaka się czuła urażona, przekonana, że starzy przyjaciele o niej zapomnieli. Wzruszona, rozplakała się.

- Nie płacz - poradził Hugh i pocałował ją w policzek. Sam szlochała coraz bardziej.

- To jej przyjęcie, jak chce, niech płacze - orzekł Greg. Podał jej szampana i pocałował w czoło. - Jestem tylko załamany, jak mogłaś pomyśleć, że zostawiłbym moją Jay!

Wszyscy ją ściskali, całowali, składali życzenia.

- Jesteście dla mnie tacy dobrzy - szlochała Sam, patrząc na transparent, balony i stolik, na którym leżał stos pięknie zapakowanych prezentów.

- Jesteś naszą przyjaciółką - powiedział Hugh ciepło. - A czego się spodziewałaś, głuptasie? Nie co dzień kończy się czterdziestkę.

Po drugim kieliszku szampana Sam przestała płakać i zabrała się za otwieranie prezentów. Siedziała w wielkim fotelu, Catrina i Jay przysiadły na poręczach. Hugh roznosił napoje, a Morgan i Greg serwowali przekąski.

- Uwielbiam jeść - mruknęła Jay, sięgając po małą kanapeczkę. -Morgan nas uprzedzał, że masz fazę zdrowej żywności, ale powiedział, że czasem jadasz normalne rzeczy.

- Morgan też jest w to zamieszany? - zdziwiła się.

- Od początku. Właściwie to on i Catrina wszystko zorganizowali -przyznała Jay. - Ja się włączyłam dopiero dzisiaj, bo Catrina musiała zostać w pracy, a trzeba było czekać na firmę cateringową. Zastanawialiśmy się, jak cię tu ściągnąć i wtedy Morgan wymyślił, że będzie czuwał z dżipem. Chyba ma lekkie wyrzuty sumienia, że tak się zdenerwowałaś. Ale to on stwierdził, że podstęp na pewno się uda, bo jesteś lojalna i zjawisz się natychmiast, bez żadnych pytań.

Sam znowu miała łzy w oczach. Morgan uważa ją za osobę lojalną, jakie to miłe. Tylko że to nieprawda. Przecież była dla Jay taka wstrętna przez telefon. Nie zasługuje, by ktokolwiek miał o niej dobre zdanie.

-Nie możesz szlochać przez całą imprezę - zauważył Morgan. Zjawił się koło niej z butelką szampana.

- Mogę! - chlipnęła, dręczona wyrzutami sumienia.

- Rozpakuj prezenty, kochanie - powiedział łagodnie, jak do dziecka. Pociągnęła nosem.

- Dobrze.

Roześmiała się, oglądając śmieszny termofor obciążony kiczowatym futerkiem, i ucieszyła się z prezentu od Catriny i Hugh'a - pięknej akwarelki przedstawiającej orchideę.

Jay podarowała jej figurkę słonia wyrzeźbioną z egzotycznego ciemnego drewna, a Greg - doniczkę z tajemniczą rośliną.

- Zobaczysz, co z tego wyrośnie - obiecał.

Dostała jeszcze flakon swoich ulubionych perfum, książki i srebrne kolczyki.

- Bardzo wam wszystkim dziękuję - chlipnęła, znowu wzruszona do łez.

- Nie wiedziałem, co ci kupić - zaczął Morgan. - Miałem kilka pomysłów, ale na Boga, co ty byś zrobiła z dwudziestosześcioletnim kalifornijskim surferem?

Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Już ona by coś wymyśliła - zapewnił Hugh. - Nasza Sammy ma łeb na karku.

- Ale... - Morgan jeszcze nie skończył - starałem się wymyślić coś, co ci się spodoba. Nie wiem tylko, czy to odpowiedni prezent, podobno nie daje się takich rzeczy.

Sam wybałuszyła oczy. O czym on, u licha, mówi?

- Jeśli ich nie chcesz, poprzednia właścicielka przyjmie je z powrotem. Nie martw się, co zrobisz, kiedy będziesz wyjeżdżać; ja się nimi zajmę. - Podał jej spore kartonowe pudło. Sam postawiła je sobie na kolanach i zajrzała ciekawie. A tam wierzęły się niespokojnie dwa kociaczki.

- Ojej - wzięła je na ręce, przytuliła do siebie. - Są śliczne. To cudowny prezent.

- Nagle parsknęła śmiechem: - Co za ironia losu. Jestem kobietą z dwoma kotami! Jej śmiech był zaraźliwy, choć nikt nie wiedział, co ją tak rozbawiło.

- Naprawdę je chcesz? - Nigdy nie widziała, by Morgan się tak denerwował. - Wiem, nie powinno się dawać zwierząt w prezencie - dodał. - I zrozumieć, jeśli zmienisz zdanie. Pomyślałem, że dwóm będzie różnie, kiedy cię nie ma w domu. Gdybyś wyjeżdżała, ja się nimi zajmę, obiecuję...

- Przestań - podała mu puszystą kulkę pomarańczowego futerka. - Moja ciotka miała koty, umiem się nimi zajmować. Bardzo się cieszę, że mam zwierzaki. - Pocałowała małego tygrysa w różowy nosek. - Niedawno myślałam, czy nie sprawić sobie kota. Są śliczne. Prawda, maleństwa?

Kociak przytulił się do jej ramienia i zamruczał głośno.

- Jay mówiła, że pomagales zorganizować to przyjęcie? - spytała. Kociak Morgana wbił pazurki w jego koszulę i usiłował wspiąć się do góry. Trochę czasu minęło, zanim wyplątał małe łapki.

- Widać kobiety nie mogą utrzymać pazurów z dala od ciebie - zażartowała Sam. Morgan się uśmiechnął.

- Tutaj masz życzenia - Podał jej kopertę i zabrał kotka.

Karta była skromna - reprodukcja olejnego obrazu przedstawiającego damę w długiej sukni na huśtawce. Morgan napisał: *Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin; przede wszystkim szczęścia i wrażeń. Twój przyjaciel Morgan.*

Wzruszona i prezentem, i życzeniami, broniła się dowcipem.

- Czy to z papieru ekologicznego? - zapytała.

- Oczywiście - obruszył się Morgan. - Nie ucierpiało nawet jedno drzewko.

Sam poczuła, że się uśmiecha.

- Jeśli nie liczyć czterech młodych drzewek, które ścięto na kopertę. Żartuję - zastrzegł. - Lubię cię taką hipisowską. To do ciebie pasuje.

- Bardziej niż rola twardej suki? - syknęła i na moment jej oczy błysnęły zimno.

- Uspokój się - poradził miękko. - Rozmowa to nie potyczka. Uśmiechnęła się.

Morgan robi to po mistrzowsku, rozbijają, obraca wszystko w żart.

- Lubilem cię już dawniej, pamiętasz? Au! - Rudy kotek podrapał go w rękę. - Pani ci kazała to zrobić? Dzięki Bogu, że nie kupiłem ci tygry-siątek.

Kociaki wzbudziły powszechny zachwyty. Podawano je sobie z rąk do rąk, a gdy wróciły do pudełka, zasnęły wyczerpane najbardziej intensywnym dniem w swoim krótkim życiu.

Sam bawiła się na tym przyjęciu lepiej niż na jakiegokolwiek imprezie od wielu lat. Powód był prosty - gdziekolwiek poszła, zaraz zjawiał się i Morgan. Zupełnie jakby byli parą i pchały ich ku sobie niewidzialne magnesy, choćby na chwilę, choćby po to, by wymienić kilka zdań czy rzucić żart.

- Jak kociaki? - zapytał, gdy spotkali się w kuchni.

- Smacznie śpią - odparła i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Jutro pomyślimy nad imionami.

Pręgowany kotek miał łagodny, ufny pyszczek; rudy rozglądał się władczo i dumnie machał ogonem.

- Jest bardzo pomarańczowa - mruknął Morgan, siedząc na podłodze w mieszkaniu Sam. - Może Orange? - zaproponował. Kociak dzielił go łapą.

- Nie, ma za dużo klasy na takie imię - zdecydowała Sam. - Zresztą jest bardziej morelowa niż pomarańczowa.

- Morelka? - podsunął. - Nazwij ją Morelka. Wyobrażam sobie, jak się wychylasz przez okno i wrzeszczysz: „Morelka, Morelka, kolacja!”

Sam uśmiechnęła się pod nosem.

- Albo Marmoladka? - zastanawiał się Morgan.

- Za długie - mruknęła. -1 nie majak skracać.

- Może Spike - zaproponował. Nie była przekonana.
- To męskie imię.
- Pasuje do niej - upierał się Morgan. Spojrzał w bursztynowe kocie oczy. - Spike. Podoba ci się, co?

Kotek zamiauczał ochryple.

- No właśnie - triumfował Morgan. - Więc Spike. A drugi?

- Tabita - powiedziała Sam radośnie. Zostawiła herbatę, zajęła się burym kociakiem.

- Tabita i Spike. No proszę. - Morgan był bardzo z siebie zadowolony. - Kto dzisiaj gotuje, ja czy ty? Na co masz ochotę?

Sam przyglądała mu się uważnie. Wiedziała, na co ma ochotę, lecz nie było to jedzenie. Niestety, Morgan chyba nie podziela jej apetytu. Lubi ją, to pewne. Gdyby nie to, nie zawracałby sobie głowy takim miłym prezentem. Ale kiedy zrobi pierwszy krok?

Rozdział 26

Kilka dni później Sam nie mogła się wybrać na pierwsze zajęcia jogi. Niestety - to jej wina - zostawiła legginsy na łóżku, a Spike jakby tylko na to czekała: po godzinnej ciężkiej pracy zamieniła je w postrzępioną, dziurawą szmatę. Spike uwielbiała ubrania. Jej ukochaną rozrywką było rwać rajstopy na strzępy i wydzierać dziury w koszulkach.

We wszystkich ręcznikach ziały wielkie dziury - to Spike wyciągała najpierw jedną nitkę, potem pruła pół ręcznika. Czasami zaplątała się w materiał, wtedy miauczała żałośnie i czekała, aż Sam przybędzie na ratunek. Kiedy Sam nie zjawiała się zbyt długo, chyba wyzwalala się zębami - przynajmniej w ten sposób Sam tłumaczyła sobie obecność małych dziurek przy największych.

Tabita była oddaną niewolnicą Spike i podziwiała ją niezmiernie. Sam miała nadzieję, że rudy łobuziak nie nauczy siostry co gorszych psikusów.

- Nie mogę tego włożyć - mruknęła, oglądając dziurawe legginsy. - Spike, jesteś nieznośna.

Spike siedziała na podłodze i myślała się niewzruszona. Tabita tymczasem zerknęła niepewnie spod biurka.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, co wyprawia twoja siostrzyczka? - dopytywała się Sam, biorąc ją na rękę.

Tabita prosiła o wybaczenie, łasząc się i mrużąc.

- Kochane maleństwo - szepnęła Sam.

Nie mogła się nadziwić, jak szybko przyzwyczała się do zwierzątek, jak szybko stały się częścią jej życia. Co rano wskakiwały na łóżko, domagały się pieśczęt i jedzenia. Nie wypuszczała ich na dwór, były jeszcze za małe. Na razie musiał im wystarczyć widok z okna.

Kiedy wracała z pracy, witały ją entuzjastycznie, ocierały się o nogi i mrużały głośno. Tabita całymi dniami przesiadywała w oknie i wielkimi zdumionymi oczami obserwowała świat za oknem. Szczególnie interesowały ją dwa wróble, które mieszkały na brzozie przy oknie. Spike najchętniej przebywała tam, gdzie było coś do zniszczenia. Nie do wiary, ile szkód mogą narobić takie małe łapki z ostrymi pazurkami, dziwiła się Sam, oglądając podarte zasłony. Spike nie widziała nic niewłaściwego w tym, by wskoczyć na stolik i badać łapką, co też Sam ma w filizance. Na głośne protesty Sam biedna Tabita reagowała ucieczką pod kanapę, a Spike niewzruszenie wylizywała łapkę do czysta, jak gdyby nigdy nic'

- Spóźnię się przez ciebie, Spike - mruknęła Sam, szukając czegoś do ubrania. Zadzwoił telefon. Hope.

- Nie mam teraz czasu - tłumaczyła się Sam, zła na siebie, że spławia siostrę, która przechodzi ciężki okres. - Już się spóźniłam na jogę. Wszystko przez Spike, podarła mi legginsy.

Nie posiadała się z radości, kiedy Hope zachichotała.

- Przepraszam. - Głos Hope brzmiał o wiele lepiej niż poprzednio. - Ale pomyśl, co za złośliwy los: mnie wszystko psuje Millie, a tobie Spike.

- Powinny zamieszkać razem - prychnęła Sam. - Słuchaj, porozmawiamy później, dobrze?

- Jasne.

Zadzwoiła wieczorem.

- Jak było na zajęciach? - zapytała Hope.

- Super! - Sam czuła się znakomicie, odprężona i zrelaksowana, jak po kieliszku wina, ale bez perspektywy kaca. - Musisz spróbować. Dobrze ci to zrobi.

- Chcesz powiedzieć, że powinnam się odprężyć? - zażartowała Hope.

- No cóż, pewnie by ci to nie zaszkodziło. Mogę ci pożyczyć poradnik, ale lepiej chodzić na zajęcia. Tylko tam nauczą cię właściwie oddychać.

- Tak jak przy porodzie? - zainteresowała się Hope.

- Nie mam pojęcia. Ale kazali mi dzisiaj przybierać dziwaczne pozycje i wyglądałam, jakbym rodziła, więc może i oddech... A co u ciebie?

Niemal słyszała, jak Hope się krzywi.

- Chyba w porządku - odpowiedziała ostrożnie. - Nadal nie podjęłam żadnej życiowej decyzji, i dobrze, bo wszyscy mi radzą, żebym nic nie robiła, lecz czekała. Tylko na co?

- Tak się mówi, kiedy nie wiadomo, co powiedzieć - wyjaśniła Sam. - Nikt nie chce mówić nic konkretnego, bo minęły dopiero dwa tygodnie i przy odrobinie szczęścia wszystko się ułoży.

- Dwa tygodnie i pięć dni - uściśliła Hope.

- No dobra. Pomyśl, ludzie boją się radzić, bo jeśli powiedzą: zapomnij o nim, a wy się pogodzicie, wyjdą na idiotów. I odwrotnie, powiedzą: przyjmij go z powrotem, a ty postąpisz inaczej - znowu będzie im łys.

- A co ty mi radzisz?

Sam umilkła. Odkąd Matt odszedł, zastanawiała się, co siostra powinna zrobić. Nie przewidziała jej reakcji na rozstanie. Myślała, że Hope będzie tylko szlochala i zrobi wszystko, byle go odzyskać. I myliła się. Hope dumnie zadarła głowę i nie robiła nic. Zdumiewające, że tak dobrze to zniosła. Ale może po prostu liczy, że separacja jest krótkotrwała? Co robi, jeśli Matt wystąpi o rozwód?

- Nie wiem - powiedziała w końcu otwarcie. - Zresztą związki międzyludzkie to nie moja dziedzina. Powiedz, czego ty chcesz?

- Wiesz czego. Chcę, żeby Matt wrócił, ale on nie chce ze mną rozmawiać. Powtarza, że dzwoni do dzieci, a ze mną nie chce mieć do czynienia.

Brzmi kiepsko, pomyślała Sam.

- Musi do tego dojrzeć - powiedziała.

- Wiem. - Hope była zniecierpliwiona. - Ale nie pozwala mi niczego wytłumaczyć. Dał mi coś powiedzieć tylko tamtej nocy, zanim odszedł, a nie sądzę, bym wtedy opowiadała składnie i sensownie. Chciałabym mu powiedzieć, że popełniłam błąd i tego żałuję, że go kocham, że to była głupia pomyłka i nic więcej. Gdybym się nad tym zastanowiła, nawet nie spojrzałabym na Christy'ego. Ale myślenie nigdy nie było moją mocną stroną - stwierdziła gorzko.

- Mam z nim porozmawiać? - zapytała Sam ostrożnie.

- Nie. - Hope była zdecydowana. - Chcę, żeby wrócił z własnej woli, a nie dlatego, że inni go przekonali.

Sam starała się ją rozbawić:

- Nie martw się, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Za miesiąc będziesz najbardziej rozrywaną kobietą w okolicy; w kolejce do ciebie ustawią się wdowcy, rozwodnicy i starzy kawalerowie, zobaczysz.

- O, tylko nie to. Mam dosyć mężczyzn do końca życia - zachnęła się Hope.
- Ależ tak będzie, mówię ci - upierała się Sam. - Nigdy nic nie wiadomo - dodała przekornie. - Może poznasz supermana...

- Już raz poznałam - prychnęła Hope. - Zobacz, co mi z tego przyszło. A co u ciebie?

- W porządku. - Sam westchnęła. - Staram się zrozumieć, dlaczego faceci, którzy mi się podobają, nie starają się, hm, zacieśnić naszych relacji, a faceci, na których nie spojrzałabym nawet na bezludnej wyspie, uważają mnie za cud natury. - To ostatnie dotyczyło Steve'a Parrisa, który ostatnio ciągle się do niej głupio uśmiechał. Morgan tymczasem cały czas starał się utrzymać ich znajomość na poziomie platonicznej przyjaźni.

- To wszystko przez antymagnetyzm - orzekła Hope mądrze.

- Słucham?

- Niektóre kobiety przyciągają mężczyzn jak magnes. Inne nie. Ty i ja najwyraźniej zaliczamy się do drugiej kategorii.

- Co za optymistyczna myśl.

- Cóż, możemy zwariować i zdziwaczeć, i nie martwić się więcej, że w środku nocy ktoś ściągnie z nas kołdrę - zauważyła Hope.

- Ja tam nigdy nie miałam tego problemu - mruknęła Sam. - Jeszcze jakieś nowiny?

Po drugiej stronie kabła Hope zbierała się na odwagę, żeby powiedzieć prawdę. Nie mogła.

- Och, wiesz, to co zawsze: wychowuję dwoje dzieci, sprzątam kurze kupy... Mary-Kate znalazła mi pracę, mam zreorganizować informację turystyczną w Redlion, która, jak mi mówiono, podupadła znacznie, odkąd kierownik wyjechał w zeszłym roku do buddyjskiej świątyni i już nie wrócił.

- Czyli masz pełne ręce roboty?

- O tak! - Hope westchnęła ciężko.

Odłożyła słuchawkę, zajrzała do dzieci i zaparzyła sobie herbatkę rumiankową. Mary-Kate namawiała ją na wizytę u doktora Mc Kevitta i może jakieś środki przeciwdepresyjne, lecz Hope wiedziała, że w ciąży nie wolno zażywać takich leków. Herbatka rumiankowa przed snem musi jej wystarczyć.

Usiadła przed telewizorem i studiowała program telewizyjny. Tak wyglądały wszystkie jej wieczory, w każdym razie odkąd przy sprzątanii znalazła paczkę tamponów i uświadomiła sobie, że nie używała ich co najmniej od dwóch miesięcy. Wobec wydarzeń ostatnich tygodni uszły

jej uwagi niechybne symptomy ciąży: mdłości i dziwny metaliczny posmak w ustach. Dokładnie tak samo czuła się, kiedy spodziewała się Millie i Toby'ego.

Nie mogła się nadziwić ironii losu; zaszła w ciążę pamiętnej nocy w Kinsale, gdy Matt pytał, czy chciałaby mieć jeszcze jedno dziecko, a ją zżerały wyrzuty sumienia w związku z Christym.

Wiedziała jedno; bardzo pragnie tego dziecka, nieważne, jak trudno będzie je wychować bez ojca.

Nadal nie mogła się pogodzić z myślą, że jej małżeństwo nie istnieje. Umierała z rozpaczy na myśl, że Matt nigdy więcej jej nie obejmie, nie zażartuje, nie przytuli. Ale nie ma sensu uzalać się nad sobą. Musi zająć się dziećmi. Całą trójką.

- Muszę się zobaczyć z dziećmi, Hope. Przylecę na weekend, zatrzymam się w Killarney. .

Mówił tak zimnym głosem, że zagryzła usta, żeby nie płakać.

- Dobrze - powiedziała dzielnie. Ubierała Millie w piżamkę, gdy zadzwonił. Już podawała małej słuchawkę, gdy oznajmił, że chce z nią porozmawiać.

- Tak? - zaczęła, jak zawsze pełna nadziei.

-Zadzwoń, kiedy już będę w hotelu. Podrzucisz mi dzieci w sobotę rano Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby u mnie nocowały? Przynajmniej będziesz mogła się zabawić. - Sądząc po tym, z jaką goryczą to powiedział, uważa, że nadal romansuje z Christym de Lacy.

- Oczywiście - zgodziła się. - Ale musimy porozmawiać i ustalić, co im powiemy.

- Chyba tak - stwierdził ciężko.

- Są jeszcze mali, ale już się zorientowali, że coś jest nie tak. Nie wiem, co powiedzieć - tłumaczyła.

- Może: mam dla was nowego tatusia? - warknął. Znowu zagryzła usta.

- Takie uwagi nie pomogą - zauważyła z udawanym spokojem. -Czy mam poprosić prawnika, żeby ustalił warunki twoich spotkań z dziećmi? - zapytała. Niech nie myśli, że tylko on może być wredny.

Był w szoku.

- Masz prawnika?

- Jeśli nie zaczniesz zachowywać się przyzwoicie, chyba będę musiała sobie wziąć - syknęła. - Zadzwoń, kiedy już będziesz w hotelu. -Rzuciła słuchawkę i zaraz się rozplakała.

-Nie rozmawiałam z tatusiem - pożałowała się Millie. - Przez niego płaczesz?

- Nie - chlipnęła Hope. - Tatuś jest najlepszym tatusiem na świecie i za nic nie sprawiłby mamusi przykrości.

Zaraz rozplakał się i Toby.

Po chwili cała trójka szlochała, przytulona do siebie u stóp schodów.

- Chcę do tatusia! - ryczała Millie.

- Chcę siusiu! - jęczał Toby.

- Chcę cofnąć czas - łkała Hope.

Później Matt był uprzedzająco grzeczny, jakby rozmawiał z potencjalnym klientem.

- Jak się masz - zapytał sztywno.

- Bardzo dobrze. - Hope odpowiadała jak bohaterka Jane Austen na uroczystym przyjęciu.

Ustalili szczegóły sobotniego wyjazdu. Matt zatrzyma się w hotelu Europa, dużym przytulnym ośrodku z krytym basenem i stadniną.

- Zapakuj im różne rzeczy, na każdą okazję, dobrze? - poprosił i przez moment mówił jak dawny Matt, który nigdy nie pojmował różnicy między starymi ogrodnikami do zabawy w piachu i najlepszym ubrankiem, którego nie wolno brudzić.

- Oczywiście - zgodziła się potulnie. Nie jego wina, że znaleźli się w tej sytuacji. No, może troszeczkę, ale głównie to przez nią.

W sobotę dzieci nie posiadały się z radości.

- Tatuś! Tatuś! - co chwila piszczala Millie i przy akompaniamencie jej pisków jechali do Killarney.

Hope denerwowała się coraz bardziej. Może to ich szansa na pojednanie. Może Matt też tak uważa. Może czeka, aż ona go przeprosi, i wtedy zaraz wróci z nimi do domu.

Przez całą drogę powtarzała sobie w myślach, co mu powie: Tak mi przykro, Matt. Do niczego nie doszło. To moja wina, nie powinnam była pozwolić, żeby mnie odwoził, rozumiem, czemu mi nie uwierzyłeś...

Nie, nieprawda, tego właśnie nie pojmowała. Rozumiała, czemu wybiegł jak oparzony, ale dlaczego nie pomyślał potem, że może naprawdę nic się nie stało? Nie kochał jej na tyle, by zaufać. Postąpił jak zawsze; nie poczekał, nie wysłuchał...

Skręciła na drogę do hotelu. Była w rozpacz. Nie może się ukorzyć przed Mattem, bo on też jest winny. Powinien był wiedzieć, wierzyć, że go nie zdradziła. Jeśli teraz go przeprosi, będzie jak dawniej. On - pan i władca; ona - oddana, potulna służąca. A do tego nie ma już powrotu.

Jeśli mają być znowu razem, oboje muszą się przeprosić i przyznać do błędu. Czas zmienić zasady.

Matt czekał przed hotelem. Dostrzegła go, jak opierał się o ogrodzenie i przyglądał złocistym kucykom. Miał na sobie białą koszulkę, przy której jego ciemne włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Jej serce zabiło żywiej. r .

-Tatus! - wrzasnęły dzieci jednocześnie i Hope uśmiechnęła się z trudem. Zatrzymała samochód, wysiadła i pozdrowiła go nieśmiało.

Nie zbliżył się, żeby ją pocałować. Podeszedł do tylnych drzwi i po chwili znalazł się w objęciach szczęśliwych dzieci. Hope odsunęła się na bok. Kiedy z samochodu znikły już i dzieci, i ich bagaż, czekała w nadziei że Matt zrobi pierwszy krok. Wystarczyłoby cokolwiek, zwykłe pytanie, jakieś „chodźmy na kawę” czy coś takiego. I już byłoby w porządku. Rzuciłaby mu się na szyję i powiedziała „tak”.

- O której po nie przyjedziesz?

Długą chwilę trwało, zanim z pięknych marzeń wróciła do ponurej rzeczywistości.

- O piątej? - szepnęła.

- Więc do zobaczenia - powiedział grzecznie. A potem posadził sobie Toby'ego na karku, złapał Millie za rączkę, dźwignął ich torbę wolną ręką i odszedł.

Hope wsiadła do samochodu i wróciła do domu. Po drodze zatrzymała się tylko raz, żeby poszukać chusteczki do nosa. Do dzisiaj miała jeszcze nadzieję. Teraz ją straciła. Jak może mu powiedzieć o dziecku? Matt uzna, że chce go na siłę zatrzymać. Oczywiście jeśli nie pomyśli, że to dziecko Christy'ego.

Rozdział 27

Nicole cisnęła torbę w przedpokoju i weszła do saloniku. Spodziewała się nieopisanego bałaganu, przecież tak długo jej nie było. Zazwyczaj tylko ona wyrzucała stare gazety i tygodniki, nikt inny nie zawracał sobie tym głowy. Tymczasem w saloniku nie było brudnych filiżanek po kawie ani starych egzemplarzy „Hello”. Dziwne. W kuchni to samo. Błaty nieskazitelnie czyste, w zlewie nie leżała nawet łyżeczka od herbaty, a w powietrzu unosił się zapach cytrynowego płynu do naczyń.

Babcia, domyśliła się Nicole. Babcia posprzątała, pewnie po kłótni z Sandrą na temat czystości. Zazwyczaj komentowała: „Doprawdy, Sandra, jesteś gorsza niż nastolatka” i zaczynała się awantura, po której Nicole zabierała się do pracy. Tym razem pewnie zrobiła to babcia.

Zataszczyła walizkę na górę, ale nie zwracała sobie głowy rozpakowywaniem. Nie znosiła tego; ona, zazwyczaj taka porządna, zawsze miała bałagan w bagażach. W domu było nienormalnie cicho. Poszła do pokoju siostry, usiadła na łóżeczku Pammy i przytuliła do siebie pluszowego zwierzaka. Nawet tu panował porządek; kolekcja pluszowych postaci z filmów Disneya grzecznie siedziała na półce, na której nie było ani odrobinki kurzu.

Nicole najbardziej lubiła Tygryska. Jej stary, sfatygowany Tygrysek pojechał z nią nawet na tournée; siedział zawsze na łóżku hotelowym i pocieszał, kiedy trzeba. Tamtej nocy, gdy godzinami rozmawiała i całowała się z Dariusem, Tygrysek przyglądał się im z dezaprobatą z nocnego stolika.

- Tygrysek jest zgorzony - powiedział Darius następnego ranka i odwrócił go tyłem, zanim pocałował ją na pożegnanie.

- Nie powinien - zauważyła miękko - bo nic się nie stało. Chociaż bardzo chciała, żeby coś się stało. Ale musi być odpowiedni czas. I miejsce - najlepiej jej własne mieszkanie.

Od tamtej nocy z Dariusem nie myślała o niczym innym. Wyobrażała sobie, że ma własne mieszkanie. Nie zamieszka z Dariusem, chociaż bardzo jej na nim zależy. Nie. Chce mieć swoje mieszkanie. Będzie mógł ją odwiedzać, ale mieszkanie będzie jej, tylko jej.

Pomysł był kuszący i Nicole całymi dniami wyobrażała sobie, jak urządzi swoje mieszkanie. A potem nagle przytomniała i powtarzała sobie, że to nie wchodzi w grę, nie zostawi matki i siostry. Po raz pierwszy nie martwiła się o pieniądze, nie o to chodziło. Po prostu nie może wyprowadzić się z domu, jest przecież odpowiedzialna za mamę i za Pammy.

Gdy usłyszała szcęk klucza w zamku, podniecona zbiegła na dół. Nie mogła się doczekać mamy i Pammy.

-Nicole! - wrzasnęła siostrzyczka.

- Kochanie! Tak za tobą tęskniłam! - Nicole objęła ją mocno. Później zwróciła się do Sandry.

- Dobrze, że wróciłaś - powitała ją matka. - Tęskniłyśmy.

- Jak się macie? — dopytywała się Nicole. Od razu nastawiła wodę na herbatę.

- Dobrze. - Matka otworzyła torbę z zakupami i wyjęła pierś kurczaka, cebulę i przecier pomidorowy. - Prawda, Pammy?

Dziewczynka energicznie kiwała głową.

- Gotowałyśmy codziennie, prawda, mamusiu? I to nie tylko frytki i rybę, Nicole. Mamusia mówiła, że tak pomyślisz.

I matka, i starsza córka uśmiechnęły się, słysząc te słowa. -Nauczyłam się przyrządzać jagnię z jogurtem - pochwaliła się Sandra. - Proste, a Pammy to uwielbia. Mała znowu skinęła główką.

- Lepsze niż spaghetti Barbie - powiedziała poważnie, w jej ustach była to najwyższa pochwała.

- A przedwczoraj był pieczony boczek, wiesz, tak jak babcia lubi, ale my za tym nie przepadamy, co, Pammy?

Pammy skrzywiła się z niesmakiem.

Nicole musiała usiąść z wrażenia. Nie do wiary. Matka gotuje? Sandra nigdy nie gotowała. Kiedy Nicole była mała, odżywiały się jajkami, frytkami, pizzą i mrożonkami. A teraz eksperymentuje?

- Czysto tu, pewnie babcia urządziła wiosenne porządki? - stwierdziła.

- Ja urządziłam wiosenne porządki! - sprostowała Sandra. - Doprawdy, Nicole, słuchając cię, można by pomyśleć, że nie wiem, do czego służy odkurzacz.

Nicole powstrzymała się od komentarza, że przez wiele lat byłoby to słuszne przypuszczenie. .

- Opowiadaj - poprosiła Sandra, gdy rozpakowała zakupy i podała czekoladowe ciasteczka do herbaty. Pammy rysowała coś z przejęciem, Sandra siekała cebulkę. - Ślicznie wyglądasz. Był o tobie artykuł w gazecie. Napisali, że masz wielki talent. Kupiłam sześć egzemplarzy.

Nicole uśmiechnęła się.

- Jeśli singel okaże się klapą, napiszą, że jestem beztalenciem i od początku wiedzieli, że nic z tego nie będzie.

- Cóż, tacy są dziennikarze. - Sandra zręcznie rumieniła cebulę w czymś, co podejrzenie wyglądało na nową patelnię. - Papier przyjmie wszystko. Ale i tak jesteśmy z ciebie dumne, niech sobie piszą, co chcą.

- Ostatnio się zastanawiałam, mammo... - zaczęła Nicole. Urwała, wstała, wzięła sobie kolejne ciasteczko.

- Rzuciłeś palenie, tak? - zapytała nagle matka. - Dawniej nie jadłeś ci cis tek

- Staram się. Dar... ludzie z wytwórni - poprawiła się, lekko zarumieniona - twierdzą, że to źle wpływa na głos.

- Ludzie? - przekomarzała się Sandra. - Czy może przystojny Dariusz? No, powiedz.

Nicole nie zdołała opanować błęgiego uśmiechu, który pojawiał się na jej twarzy, ilekroć słyszała jego imię.

- Chodzisz z nim? - zapytała matka. Zostawiła cebulę, zajęła się pieczarkami.

- No... tak... Między innymi o tym chciałam z tobą porozmawiać. - Nicole denerwowała się coraz bardziej. Podeszła do kuchenki, zamieszała cebulę. Nie chciała, żeby Pammy ją słyszała. - Myślę, żeby .

- ...się wyprowadzić - dokończyła za nią matka. - Nie miej takiej zdziwionej miny, kochanie. Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. To rozsądniej, że zamieszkasz sama, zwłaszcza że będziesz cały czas w mieście. Robisz karierę, musisz mieć własny kąt.

Nicole patrzyła na matkę zdumiona, a zarazem dotknięta.

- Co wy beze mnie zrobicie? - zapytała.

- Będziemy żyły dalej. - Sandra uśmiechnęła się ciepło. - Przecież było oczywiste, że pewnego dnia zechcesz się wyprowadzić i że będę musiała pozwolić ci odejść. Jesteś moją córką, nie więźniem.

-Ale jak sobie poradzicie?

Tym razem to Sandra była zdumiona.

- Poradzimy? Cóż, Nicole, nie będziesz za nas wszystkiego robiła, ale damy sobie radę. Wiesz, ja też się do czegoś przydaję. Pomyśl, jakoś sobie radziłam, kiedy byłaś malutka, prawda? Musiałam.

- No tak, ale babcia mówi, że to ona... - nie dokończyła.

- Nicole, babcia jest taka jak ty, musi się czuć potrzebna. To ona nalegała, żebym z nią mieszkała. Chciałam się wyprowadzić, ale znasz babcie, jak się przy czymś uprze, nie sposób jej wybić z głowy.

Nicole żałowała, że już nie pali; może nikotyna rozjaśniłaby jej w głowie.

- Byłaś taka zabawna jako mała dziewczynka - wspominała Sandra. - Zawsze chciałaś robić wszystko idealnie, jak babcia. Dobrałyście się jak w korcu maku, ale ty jesteś jeszcze większą perfekcjonistką niż ona. Babcia nigdy nie pucowała łazienki z takim zapalem. Wiesz, martwiłam się o ciebie - wyznała Sandra. - Rozmawiałam nawet kiedyś z lekarzem, bo martwiłam się, że masz obsesję na punkcie naprawiania całego świata. Uspokoił mnie, powiedział, że w ten sposób radzisz sobie z problemami. Powiedział też, że na pewno brakuje ci ojca, ale za żadne skarby świata się do tego nie przyznasz i chcesz, żeby chociaż powierzchownie wszystko było idealne. I że mam ci na to pozwolić, bo tego potrzebujesz.

- Ale... - Nicole nie wiedziała, od czego zacząć. Nie tak to pamiętała. - Ale babcia mówiła, że mam się tobą opiekować... i czułam się odpowiedzialna za to wszystko...

- Wiem. - Sandra spochmurniała. - Nigdy nie byłaś za nic odpowiedzialna, kochanie. Ty i Pammy jesteście moim największym skarbem, wiesz o tym, prawda? Nie żałuję ani chwili, bo mam was, dwie wspaniałe córki. Babcia żałuje pewnych decyzji, ale to jej sprawa. Dlatego jest taka przeciwna związkom przedmałżeńskim. Nie ze względów moralnych, tylko dlatego, że nie chce, byś zmarnowała sobie życie przedwczesnym macierzyństwem, jak ona i ja.

Sandra za późno ugryzła się w język. Przerazona spojrzała na córkę.

- Nicole, zapomnij, że to powiedziałam.

- Jak ona? - powtórzyła Nicole tępo.

- Proszę, Nicole, ani słowa więcej. Babcia mnie zabije. Nie chciała, byś się dowiedziała, była pewna, że będziesz się za nią wstydzić. Zapomnij, że to powiedziałam.

- Nie mogę - szepnęła Nicole. - Nie wstydzę się, coś ty. Ale muszę znać prawdę.

- Prawdę? O czym? - zainteresowała się Reenie Turner. Stała w progu, weszła, bo miała własne klucze.

Skończyło się na dwóch dzbankach herbaty i paczce papierosów -Nicole postanowiła, że rzuci palenie innego dnia. Kiedy babcia zaczęła, słowa popłynęły wartkim strumieniem, jakby od dawna chciała wyrzucić to z siebie. Reenie Turner naprawdę miała szesnaście, prawie siedemnaście lat, gdy przyjechała do Londynu z Irlandii. Dotychczas zatajała tylko jeden drobny fakt - że uciekła z domu, bo zaszła w ciążę z chłopakiem, który nie miał zamiaru się z nią ożenić. Mieszkała na farmie niedaleko Redlion, miasteczka, w którym, jak przypomniała sobie Nicole, mieszka siostra Sam Smith. Wcale jej to nie zdziwiło; opowieść była tak nieprawdopodobna, że ten zbieg okoliczności nie robił już na niej wrażenia.

- Kiedyś było inaczej - zadumała się Reenie. - Wtedy ciąża bez męża to był grzech śmiertelny i hańba na całe życie. Moi krewni o niczym nie wiedzieli. Niby skąd, skoro ja sama z trudem się zorientowałam? Nie było wtedy wychowania seksualnego. Jasne, mieszkałam na wsi, więc wiedziałam, co i jak, ale nie miałam pojęcia, jak to jest u ludzi. Gdybym była jałówką, zorientowałabym się szybciej.

Sandra i Nicole uśmiechnęły się lekko. Cała babcia, nawet przy smutnej opowieści nie opuszcza jej poczucie humoru.

- Moja siostra, Heather, świeć Panie nad jej duszą, wybierała się do Londynu na kurs pielęgniarski. Była ode mnie o trzy lata starsza. Pewnej

nocy zdobyłam się na odwagę i powiedziałam jej. Wiedziałam, że muszę wyjechać, rodzina nie zniosłaby takiego wstydu.

Nicole serce pękało na myśl o młodziutkiej dziewczynie, która musiała wyjechać z rodzinnego kraju tylko dlatego, że w jej czasach ciąża pozamałżeńska była nie do pomyślenia.

- Miałam do wyboru: albo wyjazd, albo klasztor - ciągnęła Reenie - Zakonnice prowadziły domy dla upadłych kobiet, czyli takich jak ja. W rzeczywistości były to zakłady ciężkiej pracy i codziennie dziękuję Bogu że tam nie trafiłam. Twoja ciotka Heather zabrała mnie do Londynu. - Uścisnęła dłoń córki. - Kiedy urodziła się Sandra, Heather i ja wynajęłyśmy małe mieszkanie i mówiłyśmy wszystkim, że owdowiałam ze swojego męża zginął na budowie. Wtedy w Londynie było tylu irlandzkich robotników, nikt niczego nie podejrzewał, a nawet jeśli, nie dał tego po sobie poznać. A potem poznałam twojego dziadka, Charlesa Turnera. Bo to by twój dziadek - podkreśliła żarliwie. - Kochał Sandrę jak własne dziecko. Był prawdziwą rodziną.

Nicole jak przez mgłę pamiętała kochanego, siwego dziadka. Umarł kiedy była mała.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, babciu? - dopytywała się

- Nie chciałam tego wywlekać - odparła Reenie. - Wiele razy miałam zamiar ci powiedzieć, ale zawsze mi się wydawało, że to niewłaściwy moment.

- Nicole ma własne nowiny, mamo - wtrąciła Sandra. - Zakochała się w Danusie. I chce się wyprowadzić.

- Chyba nie do niego? - zirytowała się Reenie.

- Nie. - Nicole poczuła się urażona. - Myślałam, że go polubiłaś. Babka się uśmiechnęła.

- Owszem - przyznała - to prawdziwy dżentelmen i będzie dla ciebie dobry. Po prostu nie chcę, żebyś popełniła błąd. Teraz najważniejsza jest twoja kariera. Nie chcę, żebyś przedwcześnie obarczyła się obowiązkami rodzinnymi. Najpierw pokaż im, co potrafisz. Ostatnio ciągle oglądam hstę przebojów i jesteś lepsza od nich wszystkich.

Nicole parsknęła śmiechem.

- Babciu, jesteś stronnicza. - Pocałowała matkę i babkę - Ide zadzwonić do Dariusa.

- Opowiesz mu o mnie? - zapytała babka podejrzliwie - Nie, po co? Chcę mu tylko powiedzieć, że jednak się wyprowadzam.

Nicole nie była przekonana, czy to słuszna decyzja, ale teraz wiedziała, że tak.

- Musisz iść własną drogą - stwierdziła Sandra rzeczowo - Zjesz z nami kolację? Szykuję zapiekankę.

- Oczywiście. Skoro wkrótce będę musiała sama sobie gotować, póki mogę, będę się rozkoszowała domową kuchnią.

- Domową kuchnią! - Reenie uniosła oczy do nieba. - Muszę sprawdzić, czy wzięłam tabletki. Wiesz, że nie cierpię cebuli...

- Mamo, jesteś nieznośna! - Sandra nie dała jej dokończyć. Nicole, roześmiana, pobiegła na górę. W domu pań Turner wszystko wróciło do normy.

Rozdział 28

Sam przymierzyła swoją fantastyczną sukienkę. Wyglądała rewelacyjnie przy jej prostych blond włosach i śniadej cerze. Obcisła, mieniąca się, na wąskich ramiączkach, z głęboko wyciętymi plecami, przypominała kreacje, w jakich gwiazdy Hollywood wybierają się na ceremonie rozdania Oscarów.

Na drzwiach wisiał alternatywny strój na rozdanie Lemon Awards -czarny kostium od Prądy, bardzo elegancki i bardzo drogi. Gdyby włożyła do niego białą bluzkę, od razu wyglądałaby jak bizneswoman.

A sukienka była taka seksowna. Może to niezbyt rozsądnie wkładać ją na imprezę, na którą idzie także twój szef, i to szef, który wyraźnie na ciebie leci?

Ale Sam miała po dziurki w nosie biurowej elegancji, a ze Steve'em na pewno sobie poradzi. Co więcej, chciała, żeby Morgan zobaczył ją w tej kreacji.

Może i bardziej podobajęmu się młodsze kobiety, ale i tak zamierzała dziś wpaść do niego.

- Cześć - ćwiczyła przed lustrem, malując duże piwne oczy. - Ja tylko na chwilę, chciałam ci oddać kasetę - próbowała. Brzmi sztucznie.

I co z tego? Przecież może wejść i powiedzieć: Cześć, chciałam ci się pokazać, zanim wyjdę. Co sądzisz o tej sukni?

Wiedziała, co chce usłyszeć w odpowiedzi. Chciała, żeby z aprobatą zmrużył oczy, gdy zobaczy jej śniade ramiona, biust opięty lśniącym materiałem, szczupłą talię. Chciała, żeby umierał z pożądania.

Tego chciała. A kiedy Morgan zobaczy ją w tej sukni, tak właśnie będzie.

Triumfalnie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Szaleje za Morganem, a on szaleje za nią, jest tego pewna, choć nie zrobił jeszcze żadnego kroku.

Czeka, aż ona coś powie, tłumaczyła sobie. Wie, że jest silną kobietą i nie lubi mężczyzn, którzy narzucają swoje zdanie. Szanuje ją. Teraz Sam musi dać mu do zrozumienia, że miłość i szacunek wcale się nie wykluczają.

O szóstej przyjedzie po nią limuzyna, kociaki nakarmione i wygłaskane. O piątej była całkiem gotowa, robotnicy Morgana akurat kończą pracę. Oby spotkała tylko jego w tej sukni; robotnicy mieliby niezły ubaw.

- Halo? Jest tam kto? - zawołała półgłosem i zajrzała do przestronnego salonu. Morgana ani śladu. Robotnicy siedzieli w kuchni i palili ostatniego papierosa przed wyjściem.

- Cześć, Sam - powitali ją i wybałuszyli oczy; widzieli tylko obszerny płaszcz i stopy w sandałkach na wysokim obcasie.

- Cześć, panowie - mruknęła. - Gdzie szef?

- W oranżerii - usłyszała.

Poszła energicznie do oranżerii. Był to jeden z tych pokoi, które najbardziej potrzebowały remontu. Już sobie wyobrażała, jak będzie wyglądał umeblowany: lekkie meble, trzcina albo rattan, to się kojarzy z wakacjami, dużo roślin, a na ścianach malowidła kwiatów, może takie jak jej akwarelka z orchideą?

Pograżona w marzeniach, szła dalej:

- Cześć - powiedziała lekko, nonszalancko. I na tym się skończyło. Nie wykrztusiła już ani słowa. Bo w oranżerii, w ramionach Morgana, stała dziewczyna o dużych oczach, ta sama, która nocowała u niego wtedy po przyjęciu, ta sama, która innego dnia wymykała się rano, wtulona w jego bluzę, jakby tuliła się do Morgana.

Sam łudziła się, że jego skłonność do młodziutkich kobiet to już przeszłość; niestety, sądząc po ich czułym uścisku, jest wręcz przeciwnie.

Poczuła się, jakby dostała pięścią w żołądek. Zabrakło jej tchu, cofnęła się przerażona. Niedługo to trwało; szybko zrozumiała. Morgan przyglądał się jej w milczeniu. Nie chciała słuchać jego mętnych wyjaśnień, odwróciła się na pięcie i wybiegła.

- Fajna kiecka! - zawołał za nią jeden z robotników, gdy minęła go w holu w rozpiętym płaszczu.

U siebie stanęła przy oknie i otuliła się płaszczem. Morgan wcale jej nie kocha, była idiotką, jeśli tak myślała. Nie zależy mu na niej, to ona wmawiała sobie, że coś między nimi jest. Oszukiwała się; a może on ją? Kto wie? Pewne było jedno; pobiegła do niego z dziecinnym entuzjazmem i zrobiła z siebie idiotkę. Żalodne.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała. Jakaś jej część pragnęła, żeby Morgan wpadł do niej jak burza i błagał, by mu wybaczyła. By zaklinał, że ją kocha.

Z drugiej strony złościła się na siebie, że zaufała mężczyźnie. Cóż, trudno, musi jak najszybciej zapomnieć o Morganie Bensonie. Należy do przeszłości, koniec, kropka.

W limuzynie nawet nie chciało jej się poprawić makijażu. Po co? -myślała ponuro, wpatrzona w jasno oświetlone ulice.

Tysiące fanów przed głównym wejściem powitało jej przyjazd entuzjastycznym wrzaskiem - myśleli, że to ktoś sławny. Kiedy wysiadała, elegancka i seksowna, rozkrzyczeli się jeszcze bardziej.

- Chyba myślą, że jest pani Jennifer Lopez - zażartował szofer.

- Dziesięć lat za dużo, za krótkie nogi i za mało kasy - zachnęła się Sam.

Minęła rozwrzeszczane dzieciaki i paparazzi, którzy jak opętani pstrykali zdjęcia na wszelki wypadek; a nuż jest kimś znanym, tylko jej nie rozpoznali?

Wewnątrz panował chaos; elegancko ubrani goście przechadzali się nerwowo, szukali przyjaciół i sprawdzali dyskretnie, czy mają dobry stolik. Walka o stoliki na tego typu imprezach przypominała prawdziwą wojnę; niejedna firma zadrżała w posiadach, gdy okazywało się, że część pracowników siedzi tuż przy scenie, a innych zesłano na daleką Syberię, czyli gdzieś pod ścianę. Karen Storin żartowała: „Pokaż mi, gdzie siedzisz, a powiem ci, w jakim punkcie jest twoja kariera”.

Wtedy się śmiała; teraz nie wierzyła, by jeszcze cokolwiek mogło ją rozbawić. Ale musi się postarać, chodzi o jej karierę. A to ważne, bo spójrzmy prawdzie w oczy, rozmyślała gorzko, poza karierą nie ma nic.

- Boska suknia - zauważył Steve Parris, gdy podeszła do stolika Titus Records. Przy samej scenie, ma się rozumieć, bo Steve nie zaakceptowałby innego. Byli już wszyscy; dwanaście osób tłoczyło się dokoła stolika dla dziesięciu. Przy sąsiednim siedzieli przedstawiciele międzynarodowej filii Titus, a opiekowała się nimi Karen Storin, olśniewająca w czerwonym spodniem.

Sam usiadła. Od Steve, a który nie wylewał za kołnierz, dzieliły ją trzy osoby. Powinien siedzieć z Karen, ale chyba świadomie wybrał ten stolik, żeby się upić.

- Powinnaś częściej się tak ubierać - oznajmił głośno.

- Owszem - mruknęła obojętnie.

Kelnerzy stawiali półmiski na stoliku. Sam nie miała głowy do jedzenia, nerwowo skubała bułeczkę i myślami była gdzie indziej - dokładnie mówiąc, w oranżerii Morgana Bensona.

- Dzięki - mruknęła machinalnie, gdy Steve pochylił się niebezpiecznie i nalał jej wina.

Zacząła się uroczystość wręczania nagród. Sam odetchnęła z ulgą, teraz przynajmniej nie trzeba silić się na rozmowę.

Podopieczny Titus Records dostał nagrodę za naj lepszy album i Steve oszalał z radości, wrzeszczał na całe gardło. Nie żeby to było dla niego zaskoczeniem; firmy fonograficzne zawsze wiedzą, kto zdobędzie jaką nagrodę.

Potem było gorzej; artyści związani z największym rywalem Titus Records zdobyli dwie kolejne nagrody. Steve w milczeniu wychylał kolejne kieliszki wódki.

A potem przyszedł czas na Debiut Roku. Stolik Titus ożywił się; Density byli nominowani. W przeciwieństwie do pozostałych, ta nagroda była tajemnicą do końca.

Sam obserwowała, jak Steve prostuje się z trudem i odsuwa puste kieliszki. Dla niego to kwestia życia i śmierci. Zainwestowano w Density ogromne pieniądze, a zespół sprzedawał się fatalnie. Krytycy byli zachwyceni, sugerowali, że to młody zespół i trzeba trochę poczekać na wielki hit, ale jeśli nie zdobędą tej nagrody, sytuacja się skomplikuje.

Ona osobiście miała to w nosie. Jej życie legło w gruzach. Nic jej nie obchodzi, co będzie z Density. Morgan i tak sypia z młodzietką brunetką. Ale dlaczego nie miał odwagi, by postawić sprawę jasno? Czemu tak długo ją dręczył, pozwalał myśleć, że mu na niej zależy? Bo jest mięczakiem, i tyle. I tchórzem bez krzty honoru.

Goście, tak zblazowani, że energicznymi oklaskami powitaliby może U2, nikogo więcej, kurtuazyjnie bili brawo, gdy na scenę wyszła para prowadząca program. Ludzie z Titus Records umilkli, trzymali kciuki i wpatrywali się w scenę... Niech Density wygra, niech wygra...

- A nagrodę otrzymuje...

- El Pirador!

U konkurencji rozległy się wrzaski triumfu. Ludzie z Titus westchnęli ciężko. Steve skinał na kelnera.

- Cztery butelki szampana - powiedział. - Albo pięć.

Sam obserwowała, jak wychyla kolejne kieliszki w zadziwiającym tempie. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Kiedy jechali na przyjęcie do klubu Shiva, był już zalany w pestkę.

- Superwóz, co? - puszył się, gdy podjechała jego limuzyna, koszmarnie długa i kiczowata. Sam nie zdziwiłaby się, gdyby wysiadł z niej alfons i stadko prostytutek.

Zmieścili się wszyscy: Sam, Steve i czwórka menedżerów z innych krajów, w tym Jorge, Hiszpan, chyba brat bliźniak Antonio Banderasa, oraz Karen Storin.

Mimo fatalnego humoru Sam dostrzegła południową urodę Jorgego i uśmiechnęła się, gdy wcisnął się między nią a Karen.

Nie zrobił tego ze względu na Sam; cały czas flirtował z Karen. Sam czuła się, jakby miała sto lat. Ponuro wbiła wzrok w swoje stopy z różowymi paznokciami. Przypomniała sobie, jak się cieszyła, kiedy je wczoraj malowała i wyobrażała sobie, jakie wrażenie zrobią na Morganie. Idiotka.

W klubie Shiva roiło się od pracowników Titus Records i największych gwiazd związanych z wytwórnią. Sam nie znosiła zatłoczonych klubów. Gdyby chociaż mogła patrzeć na innych z góry, nonszalancko ściskając drinka... Ale wszyscy stali i chyba nikomu to nie przeszkadzało, nie licząc Steve'a, który najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że jeśli nie usiądzie, będzie wkrótce leżał. Zataczając się, poprowadził swoją grupkę na tył klubu, gdzie czekał zarezerwowany stolik, miękkie skórzane fotele, oliwki i szampan.

Sam usiadła i zapadła się głęboko, jak dziecko w fotelu dla dorosłych. Humor nie poprawił jej fakt, że Steve przyciągnął swój fotel bliżej.

- Podobasz mi się - wybełkotał. - Wiem, myślisz, że nie, ale tak. Nie znasz mnie, ale gdybyś poznała, też byś mnie lubiła. Bo troszeczkę mnie lubisz, prawda? - dopytywał się.

- Tak - mruknęła odruchowo. Nie była nim zainteresowana, zresztą wypił tyle, że następnego ranka i tak nic nie będzie pamiętał.

- Tak troszeczkę? - nalegał z pijackim uporem. Czuła jego oddech przesycony alkoholem.

- Tak - powiedziała to takim tonem, jakim zwracała się do Toby'ego i Millie.

- Widzisz, wszyscy myślą, że jestem gejem - wyznał Steve.

Sam odetchnęła z ulgą. Jeśli jest gejem, to po pierwsze, nie leci na nią, a po drugie, może w rzeczywistości nie jest takim twardym sukinsynem; może musi stwarzać takie pozory, żeby odnieść sukces. Jeśli tak, niewykluczone, że się zaprzyjaźnią; w końcu mają coś wspólnego; ukrywają prawdę o sobie za surową fasadą.

Położyła mu dłoń na kolanie w takim geście, jakby chciała dodać mu otuchy.

- Ale widzisz, nie jestem - czknął. - W sumie żałuję, to chyba łatwiejsze niż użeranie się z takimi sukami jak moja była żona. Tylko że nienawidzę pedałów.

Sam cofnęła rękę. Jej nadzieje legły w gruzach.

- Zabrała nawet psy - dodał smutno.

Sam nie sądziła, że Steve kocha zwierzęta. Może jeszcze nie wszystko stracone, może dobry z niego człowiek.

- I całe szczęście, nienawidziłem pieprzonego sznaucera. Zabrała też płyty The Cure. I powiedziała, że jestem kiepski w łóżku! Ale nie wszystkie kobiety są takie, prawda?

Z każdym wyznaniem Sam denerwowała się coraz bardziej. Pijackie zwierzenia szefa - tylko tego jej brakowało. Steve jest nią zainteresowany i zdaje się, liczy na wzajemność. A wypił już tyle, że trudno będzie wyprowadzić go z błędu. Co gorsza, zwierza się jej jak najlepszej przyjaciółce. Tym bardziej się wścieknie, że nic z tego nie będzie. Z drugiej strony może do rana o wszystkim zapomni...

Uśmiechał się błogo.

Odpowiedziała bladym grymasem.

Nieco dalej widziała, jak Jorge pochyła się nad Karen. Śmiali się. Dobrze się bawią, uzmysłowiła sobie.

Karen zadzwoniła w niedzielny poranek, zdenerwowana i zachrypnięta.

- Sam, błagam, powiedz, że nikt nie widział, jak się zmyłam z Jorgem wczoraj w nocy. Steve byłby wściekły.

Sam roześmiała się smutno.

- Karen, Steve nic by nie zauważył, choćbyś wykonała striptiz na stole. Zalał się w trupa. Gdybym nie zaciągnęła go do limuzyny, straciłby przytomność tam, w klubie.

- Dzięki, umierałam ze zmartwienia. W nocy było super, ale rano zaczęłam myśleć i...

- Daj spokój. Masz prawo do prywatnego życia. A teraz opowiadaj, jak tam boski Jorge. Czemu marnuje się w biznesie? Powinien grać u Spielberga.

Karen zachichotała.

- Jest boski, co?

- Boski. Umieram z zazdrości.

- Och, daj spokój. - Karen była wyraźnie zadowolona. - A propos, co Steve robił przez cały wieczór nad twoim dekoltem? Myślałam, że mu oczy wyjdą z orbit.

Sam się wzdrygnęła.

- Pewnie wszyscy to widzieli? - zapytała poważnie.

- Nie. No dobra, tak, ale wszyscy wiedzą, że nie jesteś nim zainteresowana. To dupek.

Sam westchnęła - nie zapomniała płomiennych wyznań dupka. Oby on je zapomniał, bo jeśli nie, jej życie skomplikuje się jeszcze bardziej.

Niezdrowo kłaść się spać o trzeciej w nocy, stwierdziła Sam w południe. Wczoraj nie wypła dużo, ale i tak bolała ją głowa.

Była blada, miała podkrążone oczy, lecz nie zamierzała zrobić makijażu. Po co? Włożyła dzinsy i kurtkę i poszła po zakupy.

Na ulicy spotkała Morgana. Jeśli to jakaś pociecha, wyglądał równie kiepsko jak ona.

- Sam - zaczął miękko. - Musimy porozmawiać.

- O czym? - syknęła. - O twoim haremie? Jestem idiotką, myślałam, że wyrosłeś już z licealistek, ale wyraźnie się myliłam.

- Sam - nie ustępował. - To nie tak jak myślisz... Gniew, który tlił się do tej pory, teraz wybuchł jak wulkan.

- Nie tak jak myślę? - syknęła. - A skąd wiesz, co myślę? Nic o mnie nie wiesz. Za to ja o tobie - owszem. Jesteś żaloszny.

Podszedł bliżej, patrzył na nią błagalnie.

- Sam. Nie denerwuj się. To nie tak. Wyjaśnię ci, zobaczysz... Spojrzała na niego gniewnie; miała ochotę wrzeszczeć, żeby słyszała ją cała okolica, ale postanowiła zachować chociaż resztki godności.

- Nie chcę słuchać twoich żaloznych wymówek - dumnie uniosła głowę. - Daj mi spokój.

- Nie bądź taka - prosił.

- Będę, jaka zechcę. Nic dla mnie nie znaczysz, nie chcę więcej z tobą rozmawiać.

- Więc nie pozwolisz mi się wytłumaczyć, bo już sama sobie wszystko wyjaśniłaś, tak? - Nagle jego oczy stały się zimne, głos oschły.

Sam zawahała się, ale tylko na ułamek sekundy. Nie, nie myli się. Wie, co widziała, i nie pozwoli robić z siebie idiotki.

- Prosiłam, żebyś dał mi spokój - warknęła. Bała się, że zaraz zacznie płakać, a nie zniosłaby, gdyby załamała się przy nim. Takie upokorzenie!

- Przepraszam bardzo - mówił dziwnym stłumionym głosem. - Więc nasza przyjaźń nic dla ciebie nie znaczy? Nie ufasz mi?

- Nie musisz mi niczego tłumaczyć - rzuciła gorzko. - Nie tłumacz, nie przepraszaj. To chyba twoje motto życiowe.

- Nie - powiedział lodowato. - Ale nie tłumaczę, kiedy mi się nie ufa. -I odszedł. Sam chciała za nim pobiec, ale przecież tak nie można, prawda?

Następnego ranka Lidia popijała kawę, zajadała paczka i gawędziła z koleżanką, gdy Sam weszła do biura, przeraźliwie spóźniona, bo metro na pół godziny stanęło w tunelu. W czarnym kostiumie, z włosami ściągniętymi surowo, na wysokich obcasach, wygląda jak pół roku temu: jak wredna suka, pomyślała Lidia leniwie.

- Co to, już przerwa na lunch? - rzuciła oschle, patrząc znacząco na paczka Lidii.
- A przy okazji, praca to nie miejsce na rozmowy prywatne - dodała, weszła do siebie i trzasnęła drzwiami.

O cholera, pomyślała Lidia ponuro. Suka wróciła. Nie tylko strój; cała osobowość.

Musiała jednak przyznać, że wściekła Sam zmusza do efektywniejszej pracy; do pierwszej załatwiły mnóstwo zaległej korespondencji, a Sam odbyła trzy spotkania. Wypiła też siedem filiżanek czarnej kawy i wysłała Lidię po papierosy.

- Nie wiedziałam, że palisz - wymusnęło się jej, zanim sobie przypomniała, że suka nie lubi uwag osobistych.

Sam zła na siebie, że wraca do palenia, wzruszyła ramionami.

- Mało wiemy o innych - syknęła i kazała jej przynieść popielniczkę.

Pracowała do wpół do dziewiątej. Zdążyła wypalić paczkę do końca i przysięgła sobie, że nie kupi następnej. Lidia wyszła o siódmej. Sam miała wyrzuty sumienia, że była dla niej nieprzyjemna przez cały dzień. Przecież to nie jej wina, że życie Sam legło w gruzach. Obiecała sobie, że jutro będzie miłsza, spakowała dokumenty do przejrzenia w domu i wyszła.

Zanim dojechała do domu, złamała się i kupiła następną paczkę.

Nie chciało jej się gotować. Usiadła na balkonie z butelką wina, papierosami i „Financial Timesem” i obserwowała zachód słońca. Spike i Tabita łąsiły się, mruzczały i odsuwały z niesmakiem od papierosa.

Co chwila zerkała na ogród Morgana, ale starała się nie myśleć, co też on porabia. W kuchni było ciemno; kiedy zapraszał ją na kolację, godzinami przesiadywali w kuchni. Jeśli w kuchni nie pali się światło, widocznie nie ma go w domu. Gorączkowo tarła piekące oczy. Nic jej nie obchodzi, gdzie jest ani z kim.

W piątek rano wyjechała do pracy wcześniej niż zwykle. Chciała popracować w spokoju. Chyba była wyjątkiem - biuro świeciło pustkami, jeśli nie liczyć strażnika w recepcji.

- Dzień dobry, pani Smith - powitał ją.

- Dzień dobry. Pusto tu.

- Nikt nie przychodzi do pracy o siódmej - odparł - oprócz pani i pana Parrisa.

Mogła się tego spodziewać; trudno wspiąć się na szczyt, przychodząc do pracy z popołudniówką pod pachą.

Skoro już tu jest... równie dobrze może dzisiaj porozmawiać z nim o Density. Dane były alarmujące, muszą szybko podjąć decyzję.

Zostawiła aktówkę u siebie i wróciła do windy.

Drzwi do sanktuarium Steve'a były uchylone.

- Jesteś tam? - zawołała, pukając głośno.

Brak odpowiedzi. Nieśmiało zajrzała do środka. Jego gabinet był większy niż inne, bardziej komfortowo urządzone, ale pracowników Titus Records intrygowało co innego - Steve miał własną łazienkę z prysznicem.

Dobiegał stamtąd szum wody; Sam chciała się wycofać.

- Sam!

Odwróciła się; Steve wyszedł z łazienki nagi do pasa, z mokrymi włosami, z ręcznikiem w dłoni. Patrząc na jego wątlą klatkę piersiową, odruchowo przypomniała sobie umięśnioną klatkę Morgana. Że też Steve uważa się za atrakcyjnego faceta.

- Przepraszam, że tak wpadłam bez uprzedzenia. - Nie brakowało mu pewności siebie, stał przed nią półnago i nawet nie szukał koszuli. -Zajrzę później, chciałam porozmawiać o Density.

- Wejdz, wejdz - zapraszał. - Siadaj, właśnie zaparzyłem kawę. Nie mogła teraz uciec, więc przysiadła na miękkiej kanapie i sięgnęła

po gazetę. Wprawdzie już ją czytała, ale niech Steve się przez ten czas ubierze.

Wrócił z dzbankiem kawy, cukiernicą, śmietanką i dwoma filiżankami, za to ciągle bez koszuli.

Patrzyła na niego z niesmakiem. Na świecie jest niewielu facetów, których chciałyby oglądać przy śniadaniu półnagich. Jeden, dokładnie mówiąc.

- Śmietanki? - zapytał radośnie.

Pokręciła głową wyrwała mu filiżankę. Chciała jak najszybciej mieć to za sobą.

- Steve, dane są przerażające - zaczęła. - Album się nie sprzedaje, mają coraz mniej wywiadów...

Nie słuchał jej chyba. Uśmiecha się, zauważyła nagle, uśmiecha błogo i patrzy na nią namiętnie. Poczuli się nieswojo.

- Nie przejmuj się Density - powiedział. - Zajmę się nimi.

- Łatwo ci mówić - prychnęła - teoretycznie są u mnie.

- Pokaż te dane - mruknął i nagle znalazł się koło niej. Niepokój Sam wzrastał. Podała szefowi raport i odsunęła się szybko.

- Po co ta nieśmiałość? - odłożył dane na stół. - Od tygodnia chciałem z tobą porozmawiać, ale nie było ku temu okazji. A teraz... przeznaczenie. - Uśmiechnął się.

Cholera jasna, nie przeznaczenie.

- Nie będę owijał w bawełnę; podobasz mi się, a ja tobie chyba też. Z tymi słowami rzucił się na nią, złapał za szyję i przyciągnął do siebie. Czowała jego kwaśny oddech, krople wody z mokrych włosów spadały jej na twarz. Zaskoczył ją, ale zdążyła go odepchnąć, zanim spróbował ją pocałować. Skoczyła na równe nogi i przyglądała mu się gniewnie, ciężko dysząc. ' .

- Co ty wyprawiasz?

Steve nie na darmo był szefem wielkiej firmy. Od razu zrozumiał, że Sam nie udaje, wyprostował się i poczerwieniał.

- Przepraszam - mruknął.

- Przepraszasz? - powtórzyła i z niesmakiem patrzyła, jak Steve zakrywa podbrzusze rękoma. Nie musiała pytać dlaczego. - Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz się na mnie rzucać? - Chyba jeszcze nie wytrzeźwiał od wczoraj, inaczej nie pozwoliłby sobie na coś takiego.

Nie był już taki czerwony.

- Wydawało mi się, że na rozdaniu nagród... - zaczął.

- Na rozdaniu nagród byłeś zalany w trupa i musiałam zawlec cię do samochodu - syknęła.

- Cóż, więc to nieporozumienie. - Steve błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą. - Wszyscy popełniamy błędy. Zresztą wcale się na ciebie nie rzuciłem.

Sam spojrzała na niego chłodno.

- Nie? A jak to nazwiesz?

- Pomyłką. Naprawdę, Sam, przepraszam. Źle zinterpretowałem sytuację.

Ciekawe, czy to szczerza skrucha, czy strach przed oskarżeniem o molestowanie seksualne, pomyślała. Zdążyła się już uspokoić. Pierwsza reakcja była instynktowna. Teraz trzeba pomyśleć.

- Sam, wybacz mi. Zapomnijmy, że to się stało - odezwał się, znowu władczy i pewny siebie. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Ma tupet, trzeba przyznać.

- Jak możemy o tym zapomnieć? - zapytała spokojnie. - Chcesz powiedzieć, że ten incydent nie odbije się na naszych stosunkach służbowych?

Poszedł do łazienki i wrócił w koszuli.

- Sam, czy nigdy nie popełniłeś błędu? Daj spokój, nic się nie stało. Udawajmy, że nic się nie zdarzyło.

Przyglądała mu się w milczeniu, próbując zgadnąć, czy jeśli nic nie zrobi, sprawa przycichnie, czy Steve każe jej odpokutować swoją porażkę. W końcu się zdecydowała.

- Zapomnę, jeśli obiecasz, że nikomu o tym nie powiesz. Skrzywił się.

- Myślisz, że mam się czym chwalić?

- Mówię poważnie. Żadnych zwierzeń po pijaku, żadnych przechwałek, jak się do mnie dobierałeś, jasne? I niech to nie wpłynie na moją karierę - dodała zimno.

- Jasne.

- Steve, zemszczę się, jeśli nie dotrzymasz słowa.

- Zrozumiałem, Smith - warknął. Posłała mu groźne spojrzenie.

- No dobra, wybaczone, uniosłem się - podniósł ręce w przeproszającym geście. - Ale jesteśmy dorosłymi ludźmi, Sam. Kierujemy firmą. Nie czas na przepychanki.

- Też tak uważam.

Odwróciła się, lecz zanim wyszła, zobaczyła, jak jego twarz wykrzywił grymas gniewu i upokorzenia. Westchnęła ciężko. Czyżby popełniła błąd?

Godzinę później zadzwonił Hugh.

- Catrina urodziła córeczkę! - obwieścił triumfalnie.

- Tak się cieszę. Trudny poród? Jak Catrina? - dopytywała się.

- Sama musisz ją spytać - zaśmiał się. - Zawiozłem ją o północy, dziecko urodziło się o szóstej i Catrina nie wrzeszczała, że z seksem koniec. Córeczka jest śliczna, waży trzy kilo i wygląda wypisz wymaluj jak mamusia.

Sam poczuła, że oczy jej zwilgotniały.

- Tak się cieszę - powtórzyła. - Kiedy mogę je odwiedzić?

- Jutro, dzisiaj przychodzi rodzina.

- Świetnie. Na razie.

Zamówiła kwiaty dla Catriny i zapisała sobie, żeby kupić Chanel N° 19, jej ulubione perfumy. Maleństwo i tak dostanie mnóstwo prezentów, a przecież to Catrina się napracowała.

Tego popołudnia wyszła wcześniej, zmęczona i zdenerwowana. Zastanawiała się, jakie mogą być konsekwencje niesmacznego incydentu ze Steve'em. Może powinna oskarżyć go o molestowanie seksualne. Tyle że

kobiety na kluczowych stanowiskach spadają na samo dno, jeśli popełnią ten błąd. Tylko najodważniejsze decydowały się na taką drogę. Nie wiadomo, czy kariera Sam to przetrzyma.

Myślała też o Hughu, Catrinie i dziecku. Jej przyjaciele poukładali sobie życie, tylko ona nie.

Czytała niedawno o pewnej kobiecie z Londynu, która robiła karierę w bankowości, aż pewnego dnia rzuciła wszystko i kupiła stary dom w Prowansji. I jest tam o wiele szczęśliwsza. Na zdjęciu stała przed drewnianą oborą, z dzieckiem na ręku, a w tle rozciągały się pola lawendy.

Niebiańsko, pomyślała Sam z zazdrością. Ciekawe, ile jeszcze wytrzyma w Titus Records?

Rozdział 29

Hope zdawała sobie sprawę, że podjęła nieodwołalną decyzję, gdy zapisała Millie do szkoły podstawowej w Redlion. A więc zostają w Kerry. Nie ma odwrotu. Wyjaśnienie było proste - kocha Redlion, a jeśli już ma żyć bez Matta, to lepiej tu, gdzie jest jej dobrze, niż w Bath, w domu, w którym co chwila przypominałaby sobie wspólne chwile. A Sam równie dobrze może ją odwiedzać w Kerry.

Nie powiedziała Mattowi o szkole. Po co? Nie ma co się mazać, powtarzała sobie, jadąc z dziećmi do Killarney. Wybrali się na zakupy. Dzieci potrzebują nowych ubrań, a i ona nie pogardzi nowymi spodniami - ostatnio bardzo przytyła w talii.

Jeszcze nikomu nie powiedziała o ciąży, nawet Sam. Początkowo chciała podzielić się tą wiadomością po pierwszym trymestrze, gdy skończą się poranne mdłości i sesje wpatrywania się w muszlę klozetową. Jednak czwarty miesiąc dobiegł końca, a ona nadal miała mdłości i nadal nikomu nie powiedziała. Samotna matka z dwojgiem dzieci i trzecim w drodze. Mogłaby udzielać porad, jakich decyzji nie podejmować, myślała czasami. Jedną, a i tak słabą pociechą była pewność, że dziecko jest Matta. Co by było, gdyby nie wiedziała, kto jest jego ojcem?

Doktor McKevitt polecił jej szarmanckiego ginekologa w miejscowym szpitalu i Hope często się zastanawiała, jak on sobie radzi z zauroczonymi pacjentkami. Ona przynajmniej była odporna na jego wdzięki -Christy skutecznie wyleczył ją z romantyzmu.

Doktor Murray spojrział pobieżnie na formularz, gdzie w rubryce stan cywilny wpisała: w separacji, chociaż nic jeszcze nie zostało postanowione. Nie skomentował tego, za co była mu wdzięczna. Gdyby okazał choćby cień litości, posłałaby mu surowe spojrzenie i powiedziała, że to nie jego sprawa. Ale doktor Murray powiedział tylko, że wszystko jest w najlepszym porządku, i zapewnił, że mają tu wykwalifikowane położne.

Hope radziła sobie świetnie aż do pierwszego USG. Gdy siedziała w poczekalni, przypomniała sobie poprzednie ciąży. Gdy spodziewała się Millie i czekała na USG, Mart tak mocno ścisnął ją za rękę, że omal nie wykręcił nadgarstka.

- Będę z tobą cały czas - zapewniał gorączkowo. I dotrzymał słowa. Był przy niej przez cały poród, długi i męczący. Millie nie spieszyła się na świat do tego stopnia, że zanim się urodziła, znieczulenie przestało działać. Hope czuła się, jakby rodziła małe sło-niętko, a nie dziecko.

Narodziny Toby'ego były zwiastunem tego, jakim będzie dzieckiem: zero kłopotów. Znieczulenie jeszcze działało, gdy Matt przyniósł szampana, by oblać narodziny syna i dziedzica. Hope wypila jeden mały zakazany łycalek i upiła się z maleństwem w ramionach.

A teraz... Myślała o dziecku, o którym Matt nie wie. Obiecała sobie zrobić wszystko, żeby nie odczuło braku ojca. Będzie je kochać za dwoje, już kocha.

A ojciec? - odezwał się wewnętrzny głos. Nie ma prawa wiedzieć o dziecku? Nie ma prawa go kochać?

Nie, tłumaczyła sobie. Sam z niego zrezygnował tamtej nocy, gdy odszedł, nie dając jej szansy się wytłumaczyć.

Zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiała mu powiedzieć, ale na razie wołała to odwlec.

Pogrążona w myślach o Macie, zaparkowała przed centrum handlowym w Killarney i zerknęła na listę zakupów: spodnie ciążowe dla niej, nowe ogrodniczki dla Toby'ego i buciki dla Millie. Wychodziła z parkingu, z Tobym w wózekczku i ciągnąc za rękę Millie w czerwonych kaloszach, których nie chciała zdjąć mimo upału, gdy ktoś ją zawołał z fałszywym arystokratycznym akcentem.

Oczywiście Finula. Hope uśmiechnęła się sztucznie, odwróciła się i zobaczyła ją, jak przechodzi przez jezdnię. Wyszła z salonu piękności, spowita oczywiście w czerwieniu. Szła z rękami wyciągniętymi do przodu, jakby po omacku, widocznie zrobiła sobie manikiur. Rzeczywiście, szpony miała krwistoczerwone, a wokół niej roztaczał się ostry zapach lakieru do paznokci.

- Jak się miewasz? - zaszcebiotała głośno. - Ciaran i ja bardzo się o ciebie martwimy.

Ilekcóż ktoś okazywał jej litość, Hope wpadała w szał. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy o niej plotkują. Miejscowi zorientowali się już, że Matta nie było od dawna. Pewnie uznali jego poprzednie wyjazdy za początek końca. Panna Muiphy, która układa kwiaty przy ołtarzu, nie dalej jak wczoraj objęła Hope serdecznie i biadolila, że tak jej przykro, tak przykro, że zmówi litanie w intencji powrotu pana Parkera.

Chciała dobrze, ale Hope nie zyczyła sobie litości. Jednak nawet panna Murphy jest lepsza niż Finula, która pewnie rozpowiada na prawo i lewo, że od dawna widziała, jak się między nimi nie układa.

- Doskonale - odparła Hope z promiennym uśmiechem.

- Jesteś bardzo dzielna. - Finula pokręciła głową. - Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co się stało - ciągnęła.

Akurat, pomyślała Hope.

- Ale jedno ci powiem. - Finula jeszcze nie skończyła. - Jeśli dorwę Matta, żywcem obedrę go ze skóry, że tak cię zostawił. Należą mu się baty, wyjechać sobie tak po prostu! Wszystkie małżeństwa się kłóca, chodzi o to, żeby przetrwać gorsze chwile i zostać razem.

Hope otworzyła usta ze zdumienia. Nie tego się spodziewała po najwierniejszej wielbicielce Matta.

- Masz chwilę na kawę? - Finula kuła żelazo póki gorące - Ale musisz mi wyjąć portfel z torebki. Nie chcę sobie rozmazać paznokci.

Hope nadal nie mogła pojąć, co się dzieje, gdy we czwórkę usiedli w kawiarni. One piły kawę, dzieci zajadały lody. Millie zaraz nachlapała na stół, ale Hope nie zwracała na nią uwagi.

- Nie musisz nic mówić - zastrzegła Finula. - Powiedz tylko, jak sobie radzisz? Wiesz, nie jesteśmy jakoś szalenie bogaci, ale gdybyś potrzebowała. .. Od tygodnia się zbieram, chciałam wpaść i zapytać, czy nie zabrać dzieci na kilka dni, ale bałam się, że mnie wyrzucisz za drzwi.

Hope nie powstrzymała uśmiechu.

- Myślałam, że jesteś po stronie Matta - przyznała.

- Uwielbiam go. - Finula się uśmiechnęła. - Ale wiesz jacy są artyści, ciągle z głową w chmurach. A my, kobiety, musimy trzymać się razem. Słuchaj, mówię poważnie. Gdybyś potrzebowała pieniędzy...

Hope była wzruszona.

- Daję sobie radę - zapewniła. - Jeszcze mamy co do garnka włożyć Matt ciągle zarabia w Bath, a ja pracuję trzy razy w tygodniu w informacji turystycznej. Szczerze mówiąc, jest tam tyle do zrobienia, że nie leniuchowałabym, nawet gdybym pracowała cały tydzień.

- Jakbym o tym nie wiedziała! - jęknęła Finula dramatycznie. - Od lat nalegam, żeby umieścili więcej informacji o ośrodku pracy twórczej na stronie internetowej. Groch o ścianę. Przecież ośrodka nie ma nawet na mapkach!

- Tak, trzeba dużo zmienić - przyznała Hope dyplomatycznie. Nie chciała być nielojalna wobec Ronana, który chcąc nie chcąc, pełnił funkcję kierownika, ale umierał ze strachu, ilekroć turyści przekraczali próg małego biura. Odkąd zaczęła pracę na pół etatu, przekazywał jej coraz więcej obowiązków, tak że naprawdę nie nadążała ze wszystkim.

- To przez tę powieść, prawda? - stwierdziła Finula nagle. - Dlatego odszedł. Wiedziałaś. Ciaran mówił, że Matt ciągle miał problemy z pisaniem, ciężko mu szło. Mężczyźni są bardzo drażliwi na tym punkcie, kiedy praca im nie idzie, dostają szału. To godzi w ich męską dumę.

Nawet w połowie nie tak bardzo jak podejrzenie, że żona ma romans, pomyślała Hope, ale nie ukrywała zdziwienia.

- Ciaran uważa, że Mattowi nie szło pisanie? - upewniła się. Finula skinęła głową.

- Mówi, że Matt pisał godzinami, a potem wszystko kasował. Ciaran już nieraz to widział. Jego przyjaciel łudził się kiedyś, że napisze wspaniałą powieść, ale nic z tego nie wyszło i wtedy się załamał.

Hope milczała. Nagle zachowanie Matta stało się bardziej zrozumiałe. Nie wiedziała, że powieść mu nie idzie. I jeszcze miała pretensje, że nie chce z nią rozmawiać o swojej pracy! On cierpiał, a ona była ślepa. Zarzucała mu, że nie dostrzegał jej problemów, chociaż sama nie była lepsza.

- O to poszło, prawda? - Oczy Finuli rozbłyły ciekawie.

Hope uśmiechnęła się. Oto Finula, jaką zna: delikatna i subtelna jak nosorożec.

-Nie wiem, Finulo - odparła. - Dzięki za kawę i za ofertę pomocy, której na razie nie przyjmę. Ale może któregoś dnia rzeczywiście podrzucę ci dzieci.

Finula się rozpromieniła.

- Z wielką chęcią. No proszę, nikt mi nie może zarzucić, że nie służę sąsiedzką pomocą.

Wieczorem zadzwonił Matt, jak zwykle o szóstej. Dzwonił co wieczór, żeby porozmawiać z dziećmi, i Hope jak zwykle podniosła słuchawkę, przywitała się i już wołała Millie, kiedy powiedział, że chce z nią porozmawiać.

- Chciałbym zabrać dzieci na trochę do siebie - oznajmił. - Od dawna ich nie widziałem.

- Nie polecą same - zachnęła się. - Nie wsadzę ich do samolotu z tabliczką z nazwiskiem na szyi.

- Przyjadę po nie. Chcę je zabrać na tydzień. Chyba twój prawnik nie będzie miał nic przeciwko temu? - dorzucił ironicznie.

- Nie mam prawnika - odparła cicho.

- Cóż, miejmy nadzieję, że nie będziesz go potrzebowała.

Już wiele razy była o krok od tego, żeby powiedzieć Mary-Kate, Delphine i Virginii. Przyjaciółki były dla niej takie dobre, zaglądały często, zajmowały się dziećmi, żeby Hope mogła wyrwać się do miasta, w samotne piątkowe wieczory zjawiały się z filmem na wideo, domowym jedzeniem i domowym winem, które dyskretnie wylewała do doniczki z fikusem. Biedne drzewko, chyba popadnie w alkoholizm.

Jedyna dobra nowina to fakt, że Delphine i Eugene wyznaczyli datę ślubu. Pobiorą się za dwa tygodnie.

- Byliśmy długo zaręczeni, więc pobierzemy się szybko - wyjaśniła Delphine.

- Pauline ma do wyboru: wóz albo przewóz - stwierdziła uszczęśliwiona Mary-Kate.

Delphine i Virginia same szyły suknię. Mary-Kate została z tego wykluczona.

-Gdybyśmy dopuścili cię do mojej sukni, poszłabym do ślubu w szarej dzianinie i solidnych czarnych czółenkach - żartowała Delphine pewnego wieczoru, gdy we cztery siedziały w kuchni Hope i studiowały katalogi.

- O nie - zaśmiała się Virginia. - W ciemnoszarej wełnce i sznurowanych półbucikach.

- Akurat tak się składa, że w ciemnoszarej wełnie mi do twarzy -zachnęła się Mary-Kate i udawała obrażoną, gdy pozostałe trzy zanosily się śmiechem. - Więc po co tu siedzę, skoro nie chcecie znać mojego zdania na temat sukni ślubnej?

- Bo cię kocham, głuptasie. - Delphine objęła ją serdecznie.

- Daj spokój. - Mary-Kate była bardzo zadowolona. - Zajmijmy się listą gości. Zakładamy, że twoja matka przyjdzie?

- Oczywiście. Osobiście wręcę jej zaproszenie. A jeśli nie przyjdzie, to jej sprawa.

- Sam będzie z ciebie dumna - uśmiechnęła się Hope.

- Co u niej? - zainteresowała się Virginia.

- W porządku. Wybiera się na konferencję do Stanów, ale jest w kiepskim humorze. Pamiętacie Morgana, tego faceta, który się jej podobał?

-Tak?

- Widziała go z inną.

- Świntuch! - obruszyła się Delphine.

- I to z młodą dziewczyną, co bynajmniej nie poprawiło Sam humoru. - Hope westchnęła. - Odkąd stuknęła jej czterdziestka, jest bardzo drażliwa. Chyba straciła całą pewność siebie.

- Namów ją, żeby przyjechała na ślub - zaproponowała Delphine. - Na pewno przy nas się uśmiechnie.

- Wybiera się do mnie i byłaby zachwycona, gdybyście ją zaprosili. Ale czy nie macie limitu gości?

- Im więcej, tym lepiej - stwierdziła Mary-Kate.

Omawiały wady i zalety surowego jedwabiu i satyny, zastanawiały się, gdzie zorganizować przyjęcie, wypytywały Hope o pracę w informacji turystycznej. Czy nie byłoby lepiej, gdyby pracowała na cały etat?

- Złóż podanie - namawiała Mary-Kate. - To praca dla ciebie, Hope.

- Ale jak mogę ubiegać się o stanowisko Ronana, skoro on nadal tam pracuje? - dziwiła się Hope.

Mary-Kate westchnęła głośno.

- Powiem tak: niedługo dom Ronana będzie na sprzedaż. A ponieważ nie szuka niczego innego, możemy założyć, że wyjeżdża z Redlion. Niedawno widziałam się z Larą, agentką handlu nieruchomościami, i wiem to od niej.

Gapiły się na nią wszystkie trzy.

- Mary-Kate ma szpiegów wszędzie - orzekła Delphine.

- Nieprawda - zaprzeczyła jej ciotka spokojnie. - Po prostu lubię wiedzieć, co w trawie piszczy. Poza tym, Hope, to naprawdę praca dla ciebie. Jesteś tu nowa, świeżym okiem widzisz, co trzeba zmienić, a zarazem kochasz Redlion.

Hope była wzruszona.

- Masz rację. Kocham to miasteczko. Ale czy się nadaję do tej pracy! - Na pewno będziesz lepsza niż Ronan, gorzej być nie może - palnęła

bezmyślnie Delphine. - O rany, przepraszam - spieszyła się, czując na sobie trzy groźne spojrzenia. - Nie to miałam na myśli. Hope zamyśliła się.

- Naprawdę lubię tę pracę i doprowadza mnie do szału, że Ronan tak mało robi. Turyści trafiają do nas tylko dlatego, że Redlion jest przy głównej szosie. Ale gdybyśmy się tym zajęli na poważnie, byłoby u nas o wiele więcej turystów, i to nie takich, co przyjeżdżają na jeden dzień, ale wczasowiczów, którzy mieszkaliby w pensjonatach i wynajmowali domy w okolicy. Wiecie, Finula ma rację; trzeba wykorzystać ośrodek pracy

twórczej jako lokalną atrakcję. Można by reklamować nasze miasteczko jako centrum kulturalne i przedstawiać słynnych artystów, którzy tu pracowali.

- Jak wujek Gearóid? - podsunęła Mary-Kate ze śmiertelnie poważną miną. Hope parsknęła śmiechem.

- Niekoniecznie takich artystów miałam na myśli. Do dzisiaj nie czytałam jego wierszy.

- To świetny pomysł - zapaliła się Virginia. - To znaczy, nie czytanie wierszy Gearóida, tylko reklamowanie Redlion jako ośrodka kulturalnego. Na przykład tu w okolicy mieszka malarz znany na całym świecie. Kevin Burton ma jego obraz. I nie jest to portret Ursuli - zastrzegła.

Wszystkie słyszały jej smutną opowieść o domu urządzonym jak za życia Ursuli i jej portrecie na Centralnym miejscu.

- Sam przynajmniej walczy z żywą kobietą- westchnęła Virginia. -A ja z duchem.

- Co u Kevina? - zapytała delikatnie Mary-Kate.

- Ciągle do mnie wydzwania i zaprasza na golfa. Nie mam nic przeciwko partyjce golfa, ale później ciągnie mnie do restauracji, a mnie serce pęka, gdy powtarza jak zepsuta płyta: Ursula to, Ursula tamto... Czy ja też ciągle mówię o Billu?

- Nie - powiedziały wszystkie jednocześnie.

- Dzięki Bogu! - Virginii spadł kamień z serca. - To tak, jakbym konkurowała ze świętą. Nieważne co robię, nigdy nie dorównam Ursuli i szczerze mówiąc, nawet nie chcę. Przepraszam, popsulałam nastrój. Nie chciałam.

-Nie popsulaś - obruszyła się Delphine. - Ale ten głupi Kevin powinien wybrać się do psychiatry.

-Nie on jeden - zauważyła Virginia. - Powinniśmy wystąpić o psychiatrę na stałe.

- Mogę być pierwszą pacjentką - zaoferowała się Hope.

- Przecież u ciebie wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Delphine.

- Oczywiście - odparła słabo. Nie powie im, że jest w ciąży i nie ma pojęcia, jak sobie poradzi jako samotna matka z trójką małych dzieci. Nocami długie godziny siedziała nad finansami i głowiła się, ile dostaną za dom w Bath. Czy sąd przyzna jej alimenty? Czy będzie mogła zostać w tym domku? Lista jej problemów nie miała końca.

Rozdział 30

Spodoba ci się w Vegas - przekonywała Karen Storin. - Pomyśl tylko, wreszcie trochę słońca po londyńskiej mżawce. Stały z Sam przy oknie w biurze i patrzyły na piękną tęczę na niebie. Ostatnio sporo padało, co zdaniem Karen było nie do przyjęcia w sierpniu.

- Z czasem się przyzwyczaisz - pocieszała Sam.

- Nigdy - wzdrygnęła się Karen. - W Chicago są co prawda koszarne zimy, za to w lecie jest sucho i gorąco. Jedyne minus tej konferencji to temperatura. W Las Vegas będzie gorąco jak w piekle. Nie wiem, czemu organizują tę konferencję akurat tam. Pewnie ze względu na duże hotele, ale sierpień w Nevadzie? Strasznie gorąco.

- Nie martw się, przeżyjemy, jeśli hotel ma znośną klimatyzację - mruknęła Sam. W przeciwieństwie do Karen, brała już udział w międzynarodowych konferencjach dla menedżerów wyższego szczebla. Z doświadczenia wiedziała, że kiedy czterystu menedżerów spotyka się na pięciodniowej konferencji, prawie nie wychodzą z hotelu. Zebrania zaczynały się o ósmej rano, ciągnęły do kolacji, później zaś organizatorzy zapraszali na część rozrywkową. I tak codziennie. Nie było wolnego czasu. Równie dobrze mogliby być na Marsie. Ostatnio była na takiej konferencji trzy lata temu, w Zurychu. Jedyne, co miała okazję zobaczyć, to widok z okna swojego pokoju i z taksówki, którą jechała na lotnisko. Przed odlotem kupiła szwajcarskie czekoladki, jakby chciała samą siebie przekonać, że naprawdę była w Szwajcarii.

- Nie mogę się już doczekać wyjazdu - westchnęła Karen.

- A ja nie - przyznała Sam. - To koszmar, nie konferencja. Wiesz, jak to jest na konferencjach krajowych, wszyscy chcą sobie nawzajem udowodnić, że umieją ciężko pracować i ostro się bawić. Na międzynarodowych jest jeszcze gorzej. Zebrania trwają do późna, a potem nikt nie urwie się wcześniej z imprezy, żeby broń Boże nie wyjść na mięczaka. Zobaczysz, po powrocie będziesz ledwie żywa.

- No dobra, ale na pewno uda mi się znaleźć wolną chwilę. - Karen nie traciła nadziei. - Wezmę kostium, polecę na siłownię. Obiecałam sobie, że nie zbliżę się nawet do kasyna. Moja przyjaciółka straciła mnóstwo kasy, gdy była w Vegas pierwszy raz.

- Tego akurat się nie obawiam - mruknęła Sam. Pod wpływem Karen jednak zdecydowała, że na wszelki wypadek weźmie kostium kąpielowy. A nuż się przyda?

Na szczęście przestało padać, zanim dojechała do domu. Od kłótni z Morganem w zeszłym miesiącu wracała inną trasą, żeby nie przechodzić koło jego furtki - skręcała za róg, mijała starą czereśnię, której korzenie powoli, ale systematycznie niszczyły chodnik, i już była u siebie.

Morgan nie dogoniłby jej, nawet gdyby próbował. A nie próbował. Gdyby zadzwonił do drzwi, czego zresztą nie zrobił, nie otworzyłaby mu.

Wbrew sobie codziennie liczyła, że będzie ją gonił; przede wszystkim dlatego, że sama chciała go przeprosić za wszystko, co wtedy powiedziała. I chciała usłyszeć jego wytłumaczenie. Bardzo często wyobrażała sobie tę scenę, zwłaszcza podczas bezsennych nocy, gdy leżała wsłuchana w warkot samochodów. Jest wyniosła i dumna, Morgan ją błaga o wybaczenie.

I ona mu wybaczy.

Cóż, to już nieistotne. Otworzyła drzwi. Kociaki nie czekały na nią przy drzwiach i znowu poczuła się bardzo samotna.

Catrina dzwoniła dziesięć minut wcześniej i nagrała wiadomość:

Sam, jest kwadrans po ósmej. Mam nadzieję, że jesteś na kolacji, a nie jeszcze w pracy. Każdy musi czasami odpocząć. Słuchaj, dzwonię, żeby cię zaprosić na kolację do nas, w przyszłą sobotę. Ciebie i Morgana oczywiście. Chciałabym, żebyśmy wszyscy razem uczcili narodziny mojej Amber. Moja matka się nią zajmie - tylko jej ufam. Szczerze mówiąc, Amber jest przy niej grzeczniejsza niż przy mnie. Odezwij się. Pa.

W przyszłą sobotę Sam będzie leciała do Las Vegas na pięć dni męczarni. Właściwie cieszyła się, że nie musi iść na kolację ze starymi przyjaciółmi. Już trzy razy odwiedziła Catrinę i małą Amber, ale na szczęście zawsze zaglądali inni i nie było czasu na poważną rozmowę. Catrina nie miała okazji zapytać o Morgana. Gdyby spytała, Sam musiałaby powiedzieć, że wszystko skończone.

Następnego dnia zadzwoni do Catriny z pracy i wytłumaczy się. Lecz Catrina nie dała za wygraną. O dziesiątej, gdy Sam rozsiadła się przed telewizorem, zadzwonił telefon. - W końcu cię dorwałam - zaczęła przyjaciółka. - Chyba nie pracowałaś do tej pory?

-Nie. - Sam miała wyrzuty sumienia, że kłamie. - Byłam na promocji nowej płyty.

Rozmawiały chwilę; Sam śmiała się, słuchając, jak mała Amber zmieniała życie Catriny.

- Jestem ledwo żywa, bo budzi się co dwie godziny i wrzeszczy, ale uwielbiam ją- westchnęła. - Hugh się uparł, że będzie mężczyzną nowo-

czesnym i w kółko zmienia jej pieluchy, ale też ledwo żyje, bo jak już się obudzi, nie może zasnąć. Powiedz, przyjdiesz w przyszłą sobotę? -Nie mogę, przykro mi. Lecę do Stanów na konferencję.

- Dokąd?

- Las Vegas.

- Super.

- Wcale nie. Praca, praca i jeszcze raz praca - mruknęła Sam. - Jedyne sposobem, żeby się rozerwać, to wziąć kilka dni urlopu i zostać po konferencji.

-1 co, zrobisz to?

- Nie, mam tu za dużo na głowie.

- A kto się zajmie kociakami?

Sam zawahała się - przypomniała sobie, jak w jej urodziny Morgan publicznie zobowiązał się do opieki nad nimi.

- Jay - bąknęła.

- Jasne - rzuciła Catrina lekko, za lekko. I równie lekko zapytała: -A co u Morgana?

Sam zamilkła. Ale właściwie po co kłamać?

- Nie mam pojęcia - powiedziała szczerze. - Pokłóciliśmy się i od tego czasu go nie widziałam.

- Wiem o tym - przyznała Catrina. - Byliśmy na spacerze z małą i spotkaliśmy go na King Road. Pytałam o ciebie i powiedział, że nie widział cię od czterech tygodni. Domyśliłam się, że się pokłóciliście.

Sam nerwowo obgryzała skórki.

- Mówił coś jeszcze?

-Nie, wziął Amber na ręce i powiedział, że jest cudowna, jakbyśmy sami tego nie wiedzieli. A, tak, była z nim pasierbica. Jest śliczna i dobrze o tym wie. I straszna z niej flirtiarą. Hugh nie mógł oderwać od niej oczu, a on przecież nie ogląda się za dwudziestolatkami. No cóż - westchnęła - przynajmniej taką mam nadzieję! W sumie nic dziwnego, że się zapatrzył. Śliczna szczupłutka brunetka bez śladu rozstępów, a żona jak wieloryb. Ciągle liczę, że od karmienia piersią schudnę, ale na razie nic z tego.

- To nie mogła być jego pasierbica. Ona ma chyba czternaście, piętnaście lat. Nie znam jej, ale to nastolatka.

- Ależ oczywiście, że to była jego pasierbica - obruszyła się Catrina. - Ma na imię Maggie. Zapatrzona w tatusia, nie powiem. Trzymała go dumnie pod rękę i oświadczyła, że obiecał kupić jej prezent, bo jest nieszczęśliwa. Przypomniała mi moją siostrę, która w wieku dziesięciu lat postanowiła, że wyjdzie za tatusia. Takie zachowanie nie razi u dziecka,

ale wkurza u dwudziestolatki. Studiuje w Londynie, dziwne, że jej nie poznałaś. Sam zagryzła usta. Wreszcie wszystko stało się jasne.

- Zdaje się, że poznałam, tylko nie wiedziałam, kim ona jest. Napisanie listu zajęło jej bardzo dużo czasu. Czwarta wersja wydała

jej się możliwa. Przeczytała jeszcze raz, dla pewności, i doszła do wniosku, że to bez sensu - wyjaśnienia, jak to myślała, że dziewczyna, którą on obejmuje, to jego dziewczyna, a to nieprawda, bo wie od Catriny, że to jego pasierbica i tak dalej - brzmiało to bardzo głupio. Podarła liścik na strzępy i napisała krótką wiadomość - Morgan zrozumie.

Morgan!

Przepraszam za wszystko. Myliłam się, bardzo mi przykro. Wybacz mi, że mówiłam takie straszne rzeczy. Brakuje mi ciebie i naszej przyjaźni. Proszę, zadzwoń.

Sam

Rano chciała wrzucić liścik w drodze do pracy, ale ledwie wyszła z domu, zobaczyła taksówkę. Trudno, wrzuci go wieczorem.

Tablica NA SPRZEDAŻ była ogromna, zgrabnymi literami informowała wszystkich zainteresowanych, że sprzedają domu zajmuje się firma Jefferson, Power & Dowden. Sam zamarła w pół kroku, gdy ją zobaczyła, ledwie wysiadła z taksówki.

- Ciekawe, kto to kupi - odezwała się za nią sąsiadka, staruszka, która wyszła na spacer z dwoma pieskami. Podobnie jak Sam, gapiła się na dom Morgana. - Robotnicy pracowali tu przez trzy miesiące, pewnie w środku jest pięknie - rozważała. - Mam nadzieję, że kupi to ktoś porządny. To skandal, żeby mieszkali tu muzycy rockowi. Moja sąsiadka mówi, że u tego gwiazdora, pod 77, uprawiali seks w ogrodzie. Skandal, mówię pani. Widziała przez lornetkę.

Sam nie uśmiechnęła się, słysząc tę opowieść. Pożegnała się ze staruszką i jej psami, podeszła do drzwi Morgana i wsunęła kopertę do skrzynki na listy. Nie wiedziała, że dom jest niezamieszany i że agent nieruchomości zabierze rano pocztę i wrzuci do szuflady w holu, żeby nie robić bałaganu przed przyjściem klientów. Naprawdę miał zamiar wyjąć ją później, ale zapomniał. I tak piąta wersja listu Sam leżała w szufladzie między rachunkiem z pralni a wyciągiem bankowym.

Rozdział 31

Nicole wyjrzała przez okno samochodu i obserwowała starszkę, która żwawo maszerowała po zakupy. Samochody tkwiły w długim korku.

- To koszmar - mruknęła. - Trzeba było pojechać metrem.

Ollie, specjalista od public relations z Titus Records, spojrział na nią z wyrzutem.

- Gwiazdy nie jeżdżą metrem - zauważył. - Widziałaś kiedyś Celinę Dion w pociągu?

- Może nigdy się nie spieszy - burknęła Nicole.

Wybierali się na sesję fotograficzną dla tygodnika „Teen Babe”. Nie na zwykłą sesję - Nicole będzie na okładce, co Ollie powtarzał z nabożną czcią. Okładka to rzecz święta. A okładka „Teen Babe” to jak audyencja u papieża. Zdaniem Nicole jedyny mankament imprezy to fakt, że musi spędzić cały dzień w atelier i odpowiadać na kretyńskie pytania redaktorów: jej ulubiony kolor, czy się cieszy, że za dwa tygodnie ukaże się jej płyta, kto jej się podoba najbardziej na świecie i czy całowała się z kimś znanym? Takie właśnie pytania zadano poprzedniej młodej gwiazdce, która gościła na okładce „Teen Babe”. Szczerze mówiąc, Nicole trochę się denerwowała. Krótki wywiad przez telefon to jedno, a cały dzień z fotografami, dziennikarzami i stylistami to zupełnie co innego. Okazało się, że odkąd jej piosenka często pojawia się w radiu, jej kariera posunęła się naprzód. Singel będzie w sklepach za dwa tygodnie i wszyscy w Titus Records trzymali kciuki, żeby znalazł się w pierwszej piątce. Pierwsza dziesiątka to nieźle, ale żeby się naprawdę przebić, musi się znaleźć w pierwszej piątce.

Firma się starała, to pewne. Zmysłowy ochrypli głos Nicole rozbrzmiewał bardzo często z różnych radiostacji. A ona od tygodnia jeździła po całym kraju na występy, programy telewizyjne, radiowe, wywiady i sesje fotograficzne, i wcale jej się to nie podobało. Nie przyznałaby się nikomu, ale po raz pierwszy w życiu dopadła ją nieśmiałość.

Podobało jej się w trasie koncertowej, bo była z grupą. Właściwie czuła się trochę jak w Copperplate, tylko że zamiast Sinclairowej dokuczała Lorelei. A teraz została sama. Jest po prostu Nicole, gwiazdą, która powinna mieć swoje zdanie na każdy temat i życie jak z bajki.

Samochód zatrzymał się przed atelier. Wysiedli. W tym momencie zadzwoniła jej komórka.

- Halo - powiedziała miękko; poznała numer Dariusa.

- Jak się masz?

- Dopiero co przyjechaliśmy - odparła. - Straszne korki. Trzeba było iść na piechotę.

Darius się roześmiał.

- Seksowne gwiazdy nie chodzą na piechotę. Nicole westchnęła zadowolona.

- Mam dwie dobre wiadomości - mówił Darius. - Po pierwsze, rozmawiałem z agentką nieruchomości i majajeszczesz inne mieszkanie w tym kompleksie, który ci się podobał, z mniejszym balkonem, ale z dwoma sypialniami, gdybyś chciała, żeby Sharon z tobą zamieszkała.

- Super - ucieszyła się Nicole. - Kiedy możemy je obejrzeć?

- Dzisiaj wieczorem. Przyjadę po ciebie do studia. A druga wiadomość: Sam Smith wraca ze Stanów w ten weekend i jej asystentka wpisała cię na lunch we wtorek.

- Dzięki, muszę z nią coś ważnego omówić.

Posłała mu całusa i weszła do atelier, zdecydowana, że podejście do tego jak na profesjonalistkę przystało. I podeszła, póki dziennikarz nie zapytał o ulubiony kolor.

Skrzywiła się odruchowo, na co dziennikarz, niewiele starszy od niej, parsknął śmiechem.

- Przepraszam - mruknął. - To było w zeszłym tygodniu. Wywiad z Blondynką. Trzeba dobrać pytania do rozmówcy. Kiedy ktoś ma iloraz inteligencji lekko poniżej normy, to o co mam pytać? Czy rozumie teorię względności?

Nicole roześmiała się serdecznie.

- Jeśli można, daruję sobie kwestię kolorów, ale z Einsteina też rezygnuję.

- Chyba sobie poradzisz z trudniejszym zestawem - dziennikarz puścił oko. - Nicole, powiedz, jak ci się podoba bycie gwiazdą?

Pomyślała o zmianach w swoim życiu i ogromie włożonej pracy.

- Ma to swoje plusy i minusy - zaczęła.

Po upalnym Las Vegas Londyn był rozkosznie chłodny. Sam wysiadła z pociągu z lotniska i z przyjemnością wciągała rześkie powietrze. Dobrze, że już jest w domu, chociaż szkoda, że nie opaliła się nawet odrobinę.

Początkowo planowała pojechać do domu, wejść pod prysznic i dopiero potem pojechać do Jay po kocie. Lecz w taksówce do domu pomyślała, jak smutno będzie w mieszkaniu bez Spike i Tabity, i zmieniła

zdanie. Kaze taksówkarzowi poczekać, zataszczy walizę do domu i zaraz pojedzie po maluchy.

- Nie ma sprawy - zapewniła Jay, gdy do niej zadzwoniła z pytaniem, czy może zjawić się wcześniej. - Siedzimy w domu. Greg niedługo pójdzie po chińszczyznę. Zjesz z nami?

- Nie. - Sam nie chciała im przeszkadzać. - Jestem po kolacji. Postawiła walizkę w holu, zdjęła kremowy żakiet, włożyła spraną dzinsową kurtkę i pobiegła z powrotem do taksówki.

Jay zmieniła wystrój, co uświadomiło Sam, jak dawno u niej nie była. Salonik, dawniej jasnożółty, pomalowano na ciepły morelowy odcień.

- Podoba mi się - stwierdziła Sam.

- Sam, to już przeszłość. Zaczyna mi się to nudzić! - zaśmiała się Jay. Sam zrobiło się głupio. Przysiadła na kanapie. Tabita wynurzyła się spod stolika i radośnie wdrapała się jej na kolana.

- Tabby, skarbie, jak się masz? - Sam tuliła ją serdecznie. - A gdzie Spike?

- Pewnie dąsa się gdzieś w kącie - uśmiechnęła się Jay. - Bardzo za tobą tęskniła, chociaż za nic się do tego nie przyzna.

- Straciła apetyt? - zaniepokoiła się Sam.

- Na kocie żarcie - owszem. Na ludzkie - bynajmniej. Wiesz, że wsadza łapę w talerz, jeśli coś jej apetycznie wygląda? Że to nasze talerze, cóż, nasz problem.

Sam stłumiła uśmiech.

- Przepraszam. Nie przypuszczałam, że będzie próbowała tej sztuczki poza domem. Uwielbia ludzkie jedzenie i chyba uważa, że kocie żarcie jest nie dla niej.

Otworzyły się drzwi i wszedł Greg z brązową papierową torbą w rękę.

Smakowicie zapachniało chińszczyznę.

Sam poczuła, jak jej kubki smakowe budzą się do życia-tak naprawdę od dawna nic nie jadła.

- Cześć, Sam. - Greg cmoknął ją w policzek, podszedł do Jay i mocno pocałował ją w usta, jakby nie widzieli się od miesięcy. Nadal byli szaleńczo zakochani, tak że nawet krótkie rozstanie budziło tęsknotę. Sam jeszcze nie zapomniła, jak to jest.

- Przyniosłeś kurczaka? - zapytała Jay, gdy w końcu oderwali się od siebie.

- Tak, kochanie. Przecież wiesz, że zrobię wszystko, o co tylko mnie poprosisz.

Znowu się całowali. Sam starannie głaskała Tabitę. W innych okolicznościach poradziłaby, żeby weszli do sypialni, ale była u nich w domu; to ona powinna wyjść i zostawić ich samych.

- Czas na mnie - wstała.

- Nie, zostań jeszcze - poprosił Greg bez przekonania.

- Zjedz z nami - zaproponowała Jay. Cały czas obejmowała Grega za szyję, a jego dłoń wędrowała po jej plecach. Sam uśmiechnęła się do siebie.

- Mam jeszcze mnóstwo roboty - powiedziała i wcale nie kłamała. Musi się rozpakować, nastawić pranie, odkurzyć - po tygodniu mieszkanie przedstawia zapewne obraz nędzy i rozpacz.

- Cóż, skoro jesteś pewna...

- Bardzo pewna - powiedziała stanowczo.

Taksówkarz nie był zachwycony, że będzie wioził dwa koty. Sam, zmęczona po podróży i zła, posłała mu mordercze spojrzenie.

- Powiedziałam przez telefon, że będę wiozła dwa kotki - syknęła - jeśli coś się panu nie podoba, proszę mieć pretensje do centrali.

- Spokojnie, spokojnie - wycofał się.

Przed domem nie pomógł jej, tylko patrzył, jak sama wyjmuje z bagażnika ciężką torbę z kocimi akcesoriami. Z zemsty nie dała mu ani grosza napiwku. Odjechał wściekły.

Sam najpierw zaniósła do domu klatki z kociakami, resztę bagażu zostawiła na dole. Dopiero kiedy Spike i Tabita były bezpieczne w mieszkaniu, zeszła po drugą torbę i dopiero wtedy zerknęła na dom Morgana. Tablica NA SPRZEDAŻ stała nadal, tylko że teraz przyklejono na niej kartkę z napisem SPRZEDANE.

Zagłębiła się w myślach, nawet nie usłyszała, że Szalony Malcolm puścił muzykę na cały regulator.

Gdy kociaki, syte i szczęśliwie, zajęły się sobą, Sam zorientowała się, że musi iść po zakupy. Po drodze minęła ulubioną restaurację ekologiczną. Podawano tu pyszne zdrowe jedzenie, choć ogromne karafki wina, jak mawiał Morgan, psuły cały dobroczynny efekt zdrowej żywności. A Felicity, właścicielka, rumieniła się wtedy jak młoda dziewczyna

- Gdybyś w końcu nauczyła się gotować, nie musielibyśmy wcale tu przychodzić - oburzył się komicznie Morgan któregoś dnia. - Przecież musisz mi się jakoś zrewanżować za cztery domowe posiłki, które ci ugotowałem.

- Przypaliłeś, chciałeś powiedzieć.

- Dobrze wysmażyłem - poprawił.

- Warzyw nie podaje się dobrze wysmażonych.

- No, niech ci będzie.

Sam ze smutkiem zajrzała do restauracji, w której kusilo ciepłe światło świec. I znowu Morgan. Nigdy go nie zapomni.

W drodze powrotnej znowu mijała restaurację. George, mąż Felicity, stał w drzwiach, witał klientów.

- Sam! - zawołał na jej widok. - Co u ciebie?

Nie mogła udąć, że się gdzieś spieszy, więc stanęła i słuchała, jak George narzeka, że ona i Morgan nie pokazują się od dawna.

- Felicity jest przekonana, że przejadł ci się jej kurczak z bakłażanem, ale tłumaczę jej, że pewnie po prostu nie macie czasu.

- No właśnie - pokiwała głową. - A co u was? Duży ruch? George skrzywił się.

- Tak i nie. W weekendy tłok, w pozostałe dni pustki. Przepraszam, nie będę zwracał ci tym głowy.

- Przykro mi. - Sam naprawdę się przejęła. - Ale chyba nie rezygnujecie?

George wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale jest kiepsko. Gdyby nie to, że Felicity sprzedaje dzemy i przetwory do sklepu w Richmond, nie dalibyśmy sobie rady.

Pożegnali się i Sam poszła do domu. Cały czas myślała o problemach George'a. W domu powitały ją kotki. Tabita owijała się dokoła jej nóg, a Spike ciekawie wsuwała łebek do toreb z zakupami. Postanowiła łaskawie wybaczyć swojej pani długą nieobecność - przecież przyniosła zakupy i może wśród nudnych paczek znajdzie się coś smacznego.

- Przyniosłam kocie przysmaki, nie szukaj.

Wzięła prysznic i na bosaka poszła do kuchni. Pierś kurczaka, którą kupiła na kolację, była blada i nieapetyczna. Sam zamarzyło się popisowe danie Felicity: soczysty kurczak pieczony z młodymi ziemniaczkami, solonymi solą morską, z pysznym bakłażanem i młodą marchewką. Pocięła jej ślinka. Sama nie ugotuje nic równie pysznego. I wtedy wpadła na pomysł: może Felicity i George mogliby szykować dania na wynos? Małe porcje dla zamożnych mieszkańców z tej okolicy, którzy pewnie chętnie przeszliby na zdrową żywność, ale nie mieli czasu ani ochoty sami gotować. Znała wiele osób, które z chęcią ograniczyłyby przygotowanie kolacji do odgrzania smakołyków z dobrej restauracji.

Musi z nimi o tym porozmawiać. Może ich to nie zainteresuje, ale warto spróbować. Może nawet zmienią charakter firmy... I nowa złota myśl - a może ona zmieni pracę? I założy firmę doradczą dla takich ludzi jak George i Felicity? Uwielbia rozwiązywać problemy. Umie znaleźć

wyjście z każdej sytuacji. Tak, to coś dla niej. Teraz tylko musi zdobyć się na odwagę i założyć własną firmę. Uśmiechnęła się do siebie. Działała w pojedynkę prawie przez całe życie; poradzi sobie.

Rozdział 32

Matt nienawidził swojego mieszkania. W pełni umeblowana kawalerka do wynajęcia na krótko - tak brzmiało ogłoszenie. Rzeczywiście, była w pełni umeblowana - tyle że meblami jak z pierwszej serii *Star Trek*; sypialnia była fioletowa, z obrzydliwą futurystyczną lampą, w małym saloniku straszły koszmarnie niewygodne skórzane meble. Na kanarkowożółtych szafkach w kuchni nie było uchwyty i Matt przez pięć minut kombinował, jak się je otwiera.

Agent nieruchomości zapewniał, że styl lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to teraz ostatni krzyk mody. Tyle że facet miał niewiele ponad dwadzieścia lat i nie pamiętał futurystycznych mebli z własnego życia, pomyślał Matt z goryczą.

- Biorę - mruknął zrezygnowany; inne były jeszcze gorsze. Jedynym przydatnym meblem było ogromne biurko, przy którym przesiadywał wieczorami. Ale nie tworzył wiekopomnej powieści; bawił się.

Zaczął się jako rodzaj dziennika; pisał zabawne e-maile, które wysyłałby Hope, gdyby między nimi było jak dawniej. Oczywiście miał przykrą świadomość, że gdyby od początku z nią korespondował, zorientowałby się może, że uwodzi ją ten obleśny mydłek. Nie, wolał o tym nie myśleć. Za bardzo się denerwował.

A myślał o niej bez przerwy; zżerały go wyrzuty sumienia na wspomnienie tego, co się między nimi wydarzyło. Wiedział, że Hope zapewne obwinia siebie, ale on też nie był bez winy. Popęłił błąd, nie mówiąc jej od początku, że źle mu idzie pisanie, że cały ten wyjazd do Redlion był błędem. Gdyby się jej zwierzył, może nie zależałoby mu tak bardzo na powrocie do Bath. Czy raczej na ucieczce do Bath. Bo tak właśnie było, uciekł jak dziecko.

Długo trwało, zanim się z tym uporał. Musiał się wyprowadzić od Dana i Betsey, bo nie chciał ich męczyć swoimi nastrojami. Klęska, porażka - właśnie tego najbardziej się zawsze bał. Ale, jak się przekonał na własnej skórze, kiedy staniesz z koszmarem twarzą w twarz, uczysz się, jak go pokonać. Nie było łatwo, lecz udało się. Dumny, arogancki Matt

Parker należał do przeszłości. Stał się teraz mądrzejszy i pokorniejszy, bardziej świadomy swoich możliwości. Jest mężem, ojcem i copywnterem, nie kandydatem do literackiego Nobla. I jest dobry w tym, co robi, naprawdę dobry. Zawał Adama okazał się poważniejszy, niż początkowo sądzono, i Matt przejął firmę na kilka miesięcy.

Nocami pisał swój zabawny pamiętnik. Odpoczywał, opisując, jak to klienci agencji, ludzie z browaru, poszli na lunch z Danem („na krótko, mamy też inne spotkania”, zapewniali poważnie) i wrócili cztery godziny później zalani w trupa, krzycząc, że chcą iść do nocnego klubu. Albo jak specjalista od komputerów najpierw opowiadał ze zgrozaniem, że ktos przysłał mu mailem zdjęcia pornograficzne, a potem drukował je ukradkiem na najlepszej drukarce. .

Hope śmiała się w głos, myślał. Ale nie opowie jej; Hope mu to nie obchodzi. Więc opisywał wszystko w pamiętniku.

Aż pewnej nocy posunął się dalej; zamiast jak nastolatka opisywać tylko miniony dzień, puścił wodze wyobraźni. Bo recepcjonistka wcale nie uwiodła kuriera rowerowego, nie zaciągnęła go do damskiej toalety na ostry seks, zrozpaczona, że kończy trzydzieści lat i od roku nie ma randki. Zanim się zorientował, z opisów dnia w Judd's zrobiły się relacje z wymyślonej agencji Bath Ad Attack. Zakrawało na cud, że cokolwiek się udaje, zważywszy na skomplikowane relacje między pracownikami nie wspominając już o tym, że główny dyrektor rzadko bywał w firmie, bo przechodził kurację hormonalną w związku ze zmianą płci.

W Bath Ad Attack w kółko kasowano ważne pliki, naciskając niechcący klawisz na komputerze podczas orgii na biurku. W Bath Ad Attack pracownicy sumienni ludzie wylatywali na bruk za głupią pomyłkę, a idiotki z wielkim biustem, które nie umieją nawet zrobić ksero, awansowały w błyskawicznym tempie. Firma drżała w posadach od intryg, kłótni i plotek. Szkoda, że prawdziwych powieści nie pisze się tak łatwo, stwierdził pewnego wieczoru, gdy zaśmiewał się w głos, czytając, co napisał przez dwie godziny. Jego ambitne arcydzieło spoczywało w folderze TRUCIZNA - na wypadek gdyby go kusiło, żeby tam zajrzeć. Właściwie nigdy nie budziło w nim żywszych uczuć - poza bolesną świadomością, że rozpaczliwie długie zdania o rozpachy me czynią powieści wielką. .

Nigdy jej nie opublikuje, a co dopiero mówić o nagrodzie Puhtzera. Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Ma za to szansę osiągnąć coś innego - zostać jeszcze lepszym copywriterem albo, gdyby okazało się, że czytelnicy gustują w frywolnych, dowcipnych powieściach o świecie reklamy, spróbować sił w tej dziedzinie.

Wyłączył komputer i włączył telewizor. Co prawda jego szanse na wielką karierę w reklamie maleją w miarę poprawy stanu zdrowia Adama. .. Bo co zrobi, gdy szef wróci?

Następnego ranka wbiegł do firmy rześki i energiczny. Czekają go dwa ważne spotkania i lunch z potencjalnym nowym klientem; jeśli podpisze kontrakt, pracownicy agencji będą opływali w luksusy do końca życia.

- Cześć, Matt - zaszczębiotała Celeste, studentka na praktyce.

- Szaleje za tobą - zauważył Dan poprzedniego dnia. - Ciągle tylko paple: Matt powiedział to, Matt tamto...

- Daj spokój - zachnął się. - Zazdrość cię zżera, bo wygrałem w squasha.

- Akurat - zaśmiał się Dan. - Powiedz, jak ty to robisz? Co na nie tak działa? Twoja uroda czy stan konta?

Matt uśmiechnął się pod nosem. Dan wiecznie flirtował i nie pojmował, że jego nie interesują inne kobiety.

- Dzień dobry, Celeste - mruknął teraz Matt. Nie chciał być nieuprzejmy, ale dziewczyna musi zrozumieć, że są tylko znajomymi z pracy i tyle.

Wsiadł do windy, Celeste pobiegła za nim. Koniecznie chciała mu opowiedzieć, co robiła.

- Dzisiaj skończymy z Rickim tę kampanię dla fitness klubu - oznajmiła, trzepocząc długimi rękami. Jest zabójczo przystojny, taki śniady i uduchowiony, jakby nieszczęśliwy, z cieniem zarostu od samego rana. Faceci, którzy gołą się dwa razy dziennie, są super.

- Świetnie. Pokażecie to Danowi, dobrze? - Matt machinalnie wcisnął guzik. - Jestem dzisiaj bardzo zajęty.

Celeste zmarkotniała. I po co to wszystko? Ubrała się w najlepsze skórzane spodnie i przyszła wcześniej, licząc, że go spotka. Ma obsesję na punkcie pracy, jak wszyscy faceci. Jasmine Judd zjawiała się, kiedy Matt wychodził na drugie spotkanie.

- Jasmine, co za niespodzianka! - Powiedział radośnie, a w myśli zaklął. Jasmine zawsze przynosiła wieści od Adama. Szef obiecał kardiologowi, że przez dwa miesiące jego noga nie postanie w agencji, ale obchodził ten zakaz, wysyłając żonę po informacje. Stała w progu gabinetu męża, w którym teraz urzędował Matt, i z trudem powstrzymywała łzy.

- Och, Matt - rzuciła mu się na szyję.

Nad jej głową widział, jak Dan uśmiecha się triumfalnie i unosi kciuk do góry. Matt nie odpowiedział uśmiechem. Żona szefa w objęciach to nie to, o czym marzył.

- Siadaj, Jasmine - poprosił. Przemknęło mu przez głowę, że Hope jest o wiele lepszą pocieszycielką od niego. Wiedziałyby, jak uspokoić Jasmine. Jest dobra i troskliwa, tak czule opiekuje się dziećmi. Nagle bardzo za nimi, za nią zatęsknił.

- Matt, nie mogę powstrzymać Adama. Chce wracać do pracy! - Głos Jasmine wyrwał go z marzeń.

Wiedział, że kiedyś do tego dojdzie. Od pierwszego dnia, gdy przejął obowiązki szefa, powtarzał sobie, że Adam jest chory, nie martwy. Wróci, a wtedy Matt stanie się zwykłym pracownikiem. Zaufanym, cenionym, ale tylko pracownikiem. I kiedy Adam powie: „Skacz!”, zapyta potulnie: „Jak wysoko?”

- Może kawy? - zdziwił się, że zadał to pytanie normalnym głosem. Na migi pokazał asystentce, żeby przyniosła kawę, i ponownie skupił się na Jasmine. Pachniała ciężkimi, duszącymi perfumami, nie znał ich i nie podobały mu się. Hope pachniała inaczej, lekko, kwiatowo. Kobieco.

- Co powiedział lekarz? - zapytał z nadzieją, że doktor zachował się jak surowy medyk z wiktoriańskiego dramatu i orzekł, że najmniejszy wysiłek niechybnie zabije Adama.

- Mówi, że czas wracać do pracy - szlochała Jasmine - aleja wiem, że jest za wcześnie. Co zrobię, jeśli on umrze?

I znowu płakała mu w ramię. Zniszczy mi garnitur, pomyślał Matt.

- Cóż, lekarz wie najlepiej - stwierdził, a w myśli dodał, że własnoręcznie by zastrzelił cholernego doktora. - A czy Adam chce wracać? - Co za głupie pytanie. Według Adama urlopy są dla zwolnionych albo bezrobotnych.

- Tak. Zupełnie nie wiem dlaczego, myślałam, że mu dobrze w domu, że mną-chlipnęła.

Drzwi otworzyły się powoli - to jego asystentka wniosła tacę z kawą i herbatnikami. Niepotrzebnie zawracała sobie głowę, pomyślał Matt; gdyby Jasmine pozwalała sobie na czekoladowe ciasteczka, nie zmieściłaby się w obcisłej skórzanej kurteczce.

Uspokojenie Jasmine wymagało dwóch filiżanek kawy, dziesięciu minut i sporej dawki pochlebstw. Matt miał ochotę powiedzieć, że jego zdaniem Adam powinien kupić luksusowy jacht i wyruszyć w podróż po oceanach, a na ląd schodzić tylko na egzotycznych wyspach, żeby w banku podjąć pieniądze, które w jego imieniu zarabia w agencji Matt Parker. Lecz powiedział prawdę: jej mąż to pracoholik, jeszcze miesiąc przymusowej beczynności, a sama będzie nalegała, żeby wrócił do pracy.

- Ta agencja to jego życie - wyjaśnił. Jasmine przestała płakać.

- No tak, twoje niby też, ale wyjechałeś. A teraz mieszkasz sobie wygodnie w Irlandii i nie grozi ci zawał serca, prawda? Hope to szczęściara. Los się do niej uśmiechnął! Mieszka w pięknym kraju, nie ma stresów, nie pracuje... Nie tak jak ja.

Jasmine znowu zalała się łzami, a Matt, zaniepokojony losem garnituru, objął ją ostrożnie. Tylko Dan wiedział, że Parkerowie są w separacji, i dzięki Bogu. Gdyby Jasmine się dowiedziała, na pewno zaczęłyby umawiać go na randki w ciemno ze swoimi głupiutkimi przyjaciółkami.

- Adam nigdzie ze mną nie pojedzie - użalała się. - Nie chce mnie nawet zabrać na Bahamy na rocznicę ślubu.

- Pewnie teraz mu się wydaje, że urlop mu niepotrzebny, skoro tak długo był na zwolnieniu - zauważył delikatnie. - Ale poczekaj, po miesiącu sam pójdziesz do biura podróży. I nie myśl, że cię nie kocha. Wiesz, małżeństwa innych nie zawsze są takie, jak nam się wydaje - dodał cicho.

- O co ci chodzi? - otarła łzy chusteczką.

- Pokłóciliśmy się z Hope. Nie rozmawiamy ze sobą, dawno jej nie widziałem.

- Przecież się kochacie; to okropne! - jęknęła. - Musisz się z nią pogodzić! Kiedy Adam wróci, leć do Hope i powiedz, że jąkochasz. Weź kwiaty - dodała przytomnie. -1 perfumy. Kobiety uwielbiają perfumy.

Zupełnie jakby porad małżeńskich udzielała mu lalka Barbie.

W końcu Sadie z działu graficznego uwolniła go od Jasmine, zabrała ją na babski lunch. Matt usiadł za swoim, o przepraszam, za biurkiem Adama i rozejrzał się ponuro. To już koniec. Adam Judd wraca, a po zetknięciu ze śmiercią będzie zapewne jeszcze bardziej posępny niż dawniej.

Adam zawsze dawał jasno do zrozumienia, kto jest szefem agencji, kto harował w pocie czoła na jej sukces, powtarzał to wszystkim dookoła. Pewnie teraz uzna Marta za groźnego rywala; przejął firmę podczas jego choroby, może ją przejąć i później. Nieważne, że Matt nie ma natury buntownika. Adam zechce się go pozbyć, bo sam widok Matta będzie mu przypominał o chorobie i ludzkiej słabości. Pozbycie się Matta stanie się jego głównym celem.

Najgorsze, że Matt sam włożył mu broń w ręce. Ma jeszcze dwa miesiące urlopu, wystarczająco dużo czasu, by Adam znalazł nowego copywritera i uniemożliwił mu powrót. No pięknie.

- Może wyskoczmy na drinka? - zaproponował Dan o szóstej, gdy niemal cała agencja Judd s udała się do baru naprzeciwko; mieli tam promocję tequili. - Betsey jest w Londynie ze znajomymi z redakcji, wróci

przed drugą, zalana w trupa. Znowu będzie powtarzać, że wszyscy faceci to świnie.

Matt, choć w kiepskim nastroju, roześmiał się.

- Jak to, wybiera się na pikietę radykalnych feministek?

-No, prawie. W każdym razie po ich spotkaniach wszystkie mają do mężów pretensję. Jednego tylko nie rozumiem; prasuję częściej niż Betsey, ale ona trzyma książeczkę czekową, a gdyby jedno z nas musiało odejść z pracy, żeby zająć się dziećmi, z pewnością byłbym to ja.

- Biedaczysko. Powiedz, ile radykalnych feministek potrzeba, żeby zmienić żarówkę? - zapytał Matt.

- Człowieku, to kawał stary jak świat - piychnął Dan. - Dziesięć; jedna zmienia, a pozostałe prowadzą kampanię na rzecz udręczonego gniazdka. Naucz się nowych kawałów, stary. Chodźmy pić.

Przy trzecim piwie Matt opowiedział mu o powieści.

- Okazała się do kitu - wyznał smutno.

Poczuł się lekko urażony, gdy Dan go nie pocieszał, nie przekonywał, że na pewno jest świetna.

- Też kiedyś próbowałem - powiedział. - No wiesz, napisać arcydzieło. Też mi nie wyszło.

- No tak. - Matt się uspokoił. - To nie takie proste, co? Ale wiesz, ta druga jest fajniejsza.

- Jaka druga? - zdziwił się Dan, jednocześnie zamawiając kolejne piwo i obserwując dziewczynę w koszulce dla dziesięciolatki. Na dorosłej kobiecie była obcisła w bardzo interesujących miejscach.

- Cóż, wieczorami, z nudów napisałem około dwudziestu tysięcy słów... - Matt szukał odpowiedniego określenia. - Taka powieść humorystyczna. Farsa. O świecie reklamy.

- Dlatego farsa - zażartował Dan. - To farsa autobiograficzna?

- Bohater jest zabójczo przystojnym brunetem i kobiety rzucają mu się do stóp, jeśli o to ci chodzi - oznajmił Matt.

- Ach, więc to fantasy.

- Cha, cha, cha. Nie, tak poważnie, to fajna książka. Dostali piwo.

- Wyślesz ją do agenta? - Dan szukał w kieszeni drobnych.

- Daj spokój.

- Dlaczego nie? Może to odpowiedź na twoje modlitwy. Pomyśl, wszyscy zzieleniejemy z zazdrości, gdy zarobisz majątek, siedząc w domu i robiąc sobie jaja ze świata reklamy.

- Czyli z nas samych?

- Właśnie. Człowieku, co masz do stracenia?

Rozdział 33

Dinky pierwsza usłyszała dzwonek do drzwi i oczywiście zaczęła szczekać.

- Świetny z ciebie system alarmowy. - Virginia uśmiechnęła się do suczki.

Wstała z klęczek, otrzepała spodnie i ruszyła do drzwi. Po drodze ściągnęła rękawice ogrodnicze. Pielenie ma działanie terapeutyczne. Bardzo lubiła pracować w ogrodzie w bladym świetle słońca - porządkować grządki starannie i metodycznie. Za dużo golfa szkodzi roślinkom, stwierdziła, widząc, w jakim tempie rozprzestrzeniają się chwasty. Ostatnio grywała co najmniej trzy razy w tygodniu, raz z Kevinem i dwa razy z uroczyimi paniami, które nie posiadały się z radości, że znalazła się czwarta do partyjki.

Pograżona w myślach, otworzyła drzwi wejściowe i zobaczyła starsze małżeństwo z walizkami. Kobieta ciężko opierała się na lasce; była blada ze zmęczenia.

- Dzięki Bogu, że otwarte - ucieszył się mężczyzna. - Nie mogliśmy się dodzwonić i obawialiśmy się, że pani zamknęła pensjonat.

Virginia przyglądała im się w milczeniu. Mężczyzna trzymał przewodnik po Irlandii sprzed trzech lat, gdzie określono Kilnagoshell House mianem uroczego staroświeckiego pensjonatu, który słynie z pysznych śniadań pani Margaret Delahunty i smakowitych kolacji jej męża Jaspera.

- Bardzo mi przykro, ale to prywatny dom. Pensjonat zamknięto. Oboje posmutnieli. Kobieta miała taką minę, jakby miała zaraz zemdleć.

- O nie - jęknął mężczyzna. - Przepraszamy za kłopot. Moniko, jak się czujesz? - zapytał nerwowo, gdy kobieta się zachwiała.

- Proszę wejść - zdecydowała Virginia. - Walizki mogą zostać na dworze, nikt ich nie ukradnie. Może napiją się państwo herbaty, a ja zadzwonię do najbliższego pensjonatu - u pani Egan, niedaleko, i zapytam, czy ma wolne pokoje.

- Dziękujemy bardzo. - Monika uśmiechnęła się blado.

Virginia zaprowadziła ich do saloniku. Był to wysoki pokój, staroświecki i przytulny. Zapewne taki sam jak przed laty, tyle że teraz na dywanie, który leży tu chyba od lat trzydziestych, stały meble Virginii. W oknach wisiały piękne zasłony z niebieskiego aksamitu, z frędzlami niemal całkiem wytartymi przez czas.

- Tak samo. - Monika rozglądała się dokoła.

- Pewnie nie do końca - uśmiechnęła się Virginia. - Ale zmieniłam tu niewiele. Miło mi państwa poznać. Virginia Connell.

- Edmund i Monika Harrisowie - przedstawił siebie i żonę mężczyzna. - Dziękujemy bardzo. Monika ostatnio nie czuje się najlepiej i bałam się, że jeśli nie odpocznie, zasłabnie w samochodzie.

Virginia poszła zaparzyć herbatę. Wróciła dziesięć minut później, z im-brykiem herbaty i półmiskiem ciasteczek, które upiekła na imprezę dobroczynną.

Monika wyglądała już lepiej, ale teraz martwiła się, że zepsuli Virginii dzień i zajmującej czas.

- Nie ma sprawy - zapewniła szczerze. - Pieliałam ogródek, roślinki mogą poczekać.

- Monika też lubiła pracować w ogrodzie - oznajmił Edmund czule, słodząc herbatę żony. - Ale odkąd złamała sobie biodro, nie może się schylać.

- Mam taką specjalną motyczkę na długiej rączce, tylko że to za długo trwa - uśmiechnęła się Monika. - Piękny ogród, pewnie wymaga wiele pracy.

- Byli już tu państwo? - zainteresowała się Virginia.

- Tak. W podróży poślubnej.

- Czyżby pobrali się państwo niedawno?

-Nie, nie, pięćdziesiąt lat temu. Było nas stać tylko na krótki wyjazd i trafiliśmy tutaj.

-Nie do wiary - dziwiła się Virginia. - Nie wiedziałam, że Kilnagoshell House już wtedy był pensjonatem. Kiedy go kupiłam, myślałam, że pierwsi goście zjawili się tu dwadzieścia lat temu.

- Widzi pani, państwo O'Neill, ówcześni właściciele, mieli kłopoty finansowe i dlatego przyjmowali gości. Tak naprawdę to nie był pensjonat - wspominał Edmund - raczej dom otwarty dla przyjaciół, którzy płacą za pobyt. Nie było zamków w drzwiach, a wieczorami siedzieliśmy w tym saloniku wszyscy razem i sączyliśmy drinki.

- A na kolację podawano to, co akurat upolowano. Jedzenie było wyśmienite - dodała tęsknie Monika. - Później mieszkaliśmy w najlepszych hotelach świata, ale żaden nie dorównywał Kilnagoshell.

- To atmosfera - orzekł Edmund. - Atmosfery nie można kupić za żadne pieniądze.

Przez chwilę Virginii stanął przed oczami pensjonat pani Egan: posępny front, odrapana furtka i smętne wątle roślinki na ganku. Ilekroć tamtędy przechodziła, zerkiała dyskretnie w okna - nawet firanki wyglądały surowo i sztywno. W ogródku był odstraszcacz kotów, żeby jakiś

przybłąda nie śmiał przypadkiem skalać miniaturowego trawnika. Atmosfera w takim domu? Na pewno okropna. Jakiś impuls kazał jej powiedzieć:

- Zostańcie państwo u mnie, zapraszam. Nie jestem przygotowana na przyjmowanie gości, bo to już nie jest pensjonat, nie mam ubezpieczenia, ale serdecznie zapraszam. Oczywiście bez pieniędzy.

Warto było, choćby po to, by zobaczyć, jak się rozpromieniają.

- Cudownie! - Monika miała łzy w oczach.

- Mam ci coś do powiedzenia - oznajmiła Virginia następnego wieczoru, rozmawiając z Jamiem.

- Ja też - ożywił się. - Wał, mamo.

- Nie - zaniepokoiła się. - Jako matka mam pierwszeństwo. Mów, bo inaczej umrę ze strachu, że wybierasz się w podróż dookoła świata z męskim striptizerem.

- Mamo! - Jamie nie wierzył własnym uszom.

- Podobno zarobki sąowszem-owszem - zażartowała. - No, opowiadaj.

- Pewnie Laurie zadzwoni jeszcze dzisiaj, żeby ci powiedzieć, że ślubu nie będzie.

- Nie będzie? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Nie będzie. Zaręczyny zerwane. Nie powiem, żeby mnie to zmartwiło. Przed chwilą dzwoniłem do Dominica i Sally i przekazałem im dobre nowiny, ale udawaj, że o niczym nie wiesz. Dowiedziałem się przypadkiem, wpadłem oddać Lauriemu książkę i wtedy mi powiedział.

- Biedaczek! - Virginii krajało się serce na myśl o cierpieniu ukochanego syna.

- Biedaczek, też mi! Szczęściarz!

Fakt, Virginia była tego samego zdania, ale powiedziała:

- Jest na pewno nieszczęśliwy. Niełatwo się pogodzić z tym, że ktoś cię rzucił.

- Mamo, chyba czegoś nie rozumiesz - zaoponował. - Nie ona go rzuciła, tylko on ją.

Virginia wstrzymała oddech.

- Pewnie sam zechce ci powiedzieć, ale nie mogłem się powstrzymać. Poza tym niewykluczone, że Barbara zadzwoni zapłakana i będzie cię prosiła o pomoc.

- Niech tylko spróbuje - syknęła. - No, no. To chyba najlepsza decyzja, jaką Laurence podjął w całym swoim życiu.

- Mamo... - zaczął Jamie.

- Tak?

- Powiedz mu to, dobrze?

- Ale nie w tej formie. Musimy się z nim delikatnie obchodzić. Nieważne, kto zerwał, to i tak szok.

- A twoje nowiny?

- Postanowiłam, że Kilnagoshell House znowu będzie pensjonatem.

- Świetnie, mamó - stwierdził. - Będiesz cudowną gospodynią. Słuchaj, muszę lecieć. Umówiłem się z chłopakami. Do usłyszenia. Pa.

Virginia nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy odkładała słuchawkę. Cały Jamie! Nic go nie zaskoczy. Zareagowałby tak samo, gdyby oznajmiła, że otwiera burdel. Uśmiechnęła się na wspomnienie jego bez troski. I pomyśleć, że przez pół nocy nie zmrużyła oka, rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu o drugiej poszła spać, zła na siebie i przekonana, że nic z tego nie wyjdzie. Ale rano wstała pełna entuzjazmu i zmieniła zdanie.

Kilnagoshell to dom stworzony dla ludzi, musi tętnić życiem. Zawsze powinien być pełen gości.

Już miała zadzwonić do Mary-Kate i pochwalić się pomysłem, ale wolała poczekać na telefon od Laurence'a. Nie chciała dzwonić do niego pierwsza, bo bała się, że wyjdzie na nadopiekuńczą mamuszkę. Niech sam jej powie, kiedy uzna za stosowne.

Zadzwonił po dziewiątej.

- Cześć, Laurence - powitała go ciepło.

- Jamie już ci powiedział?

- Czy nie mogę mieć przed tobą żadnych tajemnic?

- W twoim głosie było tyle troski, od razu wiedziałem.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie. Powiem tylko, że doprowadzała mnie do szaleństwa. Nie wychodziła za mnie, mamó, tylko za dentystę. Wymyśliła sobie, że będzie żoną dentysty, i tyle.

Virginia wiedziała, kiedy milczeć.

- A co u ciebie, mamó? Nadal grywasz w golfa z tym przystojnym wdowcem?

- Bingo - uśmiechnęła się. - Ale nie jesteśmy już razem, o ile w ogóle kiedykolwiek byliśmy.

- Co się stało?

- Nadal kocha swoją żonę - powiedziała otwarcie.

- Przykro mi, mamó. Wydawał się idealny dla ciebie. Ale nie martw się, jeszcze poznasz superfaceta.

- Chyba nie mam na to ochoty - mruknęła.

- Skąd ten pesymizm? - zdziwił się Laurence. - Ja nie rezygnuję, nie rezygnuj i ty.

Serce Virginii na chwilę przestało bić.

- A czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym poznała jakiegoś su-perfaceta? - zapytała ostrożnie. - Nie uznalbyś, że zdradzam pamięć waszego ojca?

Laurence roześmiał się serdecznie.

- Mamo, gdyby któryś z nas choćby spróbował mieć za złe, że kogoś masz, ojciec osobiście skopałby nas z nieba!

Virginia się odprężyła.

- No tak. Był jedyny w swoim rodzaju - rozmarzyła się. - Nigdy nie spotkam kogoś takiego jak on.

- Głowa do góry, mamó. Szukajcie, a znajdziecie.

Dziesięć minut później Virginia zadzwoniła do Mary-Kate, która podeszła do pomysłu z pensjonatem tak entuzjastycznie, jakby sama to wymyśliła.

- Wiedziałam, że to zrobisz! - krzyczała radośnie. - To doskonały pomysł. I właśnie tego nam potrzeba; przytulny wiejski hotel z klasą.

- Nie chcę hotelu - przestraszyła się Virginia.

- Wiejski hotel. - Mary-Kate nie dawała za wygraną. - A to co innego. Piękny, elegancki i z klimatem. A jacuzzi niepotrzebne. Powiedz - spoważniała nagle - na kiedy planujesz otwarcie?

- Nie wiem jeszcze... a co?

- Nadal nie wiemy, gdzie urządzić wesele Delphine, i można by to zrobić w Kilnagoshell. Pomyśl tylko, Virginio, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Co ty na to?

- Jezus, Maria! - Virginia pokręciła głową. - Mary-Kate, jesteś żywiołem, nie kobietą.

W poniedziałek rano, po konferencji, Lidia poczłapała smętnie do biura i Sam od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Zazwyczaj asystentka była pogodna i radosna, paplała wesoło i wtajemniczała Sam w szczegóły swego życia erotycznego, chociaż o to akurat Sam nigdy nie prosiła. Dzisiaj Lidia szła jak na ścięcie. Może jest chora, zastanawiała się Sam, przeglądając korespondencję. Napiała się kawy, odpisała na kilka e-maili i zawołała Lidię do siebie do gabinetu.

- Słucham.

Jest błada jak ściana, zauważyła Sam.

- Wszystko w porządku? - zapytała. Lidia sztywno skinęła głową. - Tak.

Kłamała, Sam była tego pewna. Ale ma teraz inne sprawy na głowie, jak choćby Steve'a Parrisa i pytanie, jak się zachowa tu, w Londynie, na swoim terenie. W Las Vegas nigdy nie byli sami.

Ranek mijał boleśnie powoli. Zły humor Lidii spowijał biuro ciemną mgłą. W końcu Sam miała tego dosyć. Nie mogła się skupić.

- Idę na lunch do włoskiej knajpki. Idziesz ze mną? - zapytała. Lidia zrobiła zdumioną minę - wyglądała jak kaczka, którą zaproszono do piekarnika.

- Dobrze - wystękała.

W małej włoskiej knajpce Sam zamówiła makaron z pesto, chociaż wcale nie miała na to ochoty. Nie była głodna, ale lubi Lidie i jeśli lunch w cztery oczy pomoże asystentce wrócić do formy, niech i tak będzie. Jeśli będzie miła, może Lidia powie, co jej leży na sercu. Nie musiała nawet pytać. Lidia sama zaczęła rozmowę.

- Mam wyrzuty sumienia - powiedziała i zwiesiła głowę.

- Dlaczego?

- Bo prosiłam o przeniesienie do innego działu i teraz tego żałuję. Sam otworzyła usta ze zdumienia.

- Poprosiłaś o przeniesienie? Dlaczego? Lidia zwiesiła głowę.

- Bo ostatnio trudno się z tobą pracowało i nie mogłam tego wytrzymać. Mam kłopoty w domu, mój ojciec jest ciężko chory i nie chciałam stresów również w pracy. Kiedyś byłaś inna, dobrze się z tobą pracowało - dodała oskarżycielsko.

Sam milczała; nie była w stanie wykrztusić słowa.

- A ostatnio zachowujesz się jak wredna suka. - Lidia postanowiła wszystko z siebie wyrzucić. Bądź szczerą, polecał jej ulubiony poradnik psychologiczny. Więc będzie. - Wszyscy mówili, że jesteś twardą suką, ale ja nigdy tak nie uważałam - ciągnęła. - Ciężko pracowałaś, lecz to dlatego, że kobiety muszą pracować ciężiej, żeby osiągnąć sukces. Rozumiem to i podziwiam.

Kelner podał im jedzenie, ale nie zwróciły na niego uwagi.

- Tylko że ostatnio nic mi się nie udaje. Od miesiąca na mnie warczysz. Często bez powodu. A teraz jesteś dla mnie miła i zrobiło mi się głupio...

Dwie wielkie łyży wpadły w jej nietknięte spaghetti.

Tymczasem w Sam walczyły wstyd i poczucie winy. Wygrał wstyd.

Proszę bardzo, zarzuca swojemu szefowi molestowanie, a sama jak się zachowuje? W porządku, nie starała się flirtować z biedną Lidia, ale utrudniała jej życie. Jak mogła?

Poklepała ją po ręce.

- Przepraszam - powiedziała szczerze. - Nie miałam pojęcia, że tak to odbierasz i bardzo mi wstyd. Ja... - zawahała się. - Chciałabym się usprawiedliwić, bo życie mi się ostatnio bardzo skomplikowało, ale to żadne usprawiedliwienie. - Gapiała się w talerz. - Jesteś fantastyczną asystentką, bawisz mnie i zawsze jesteś uśmiechnięta, a ja się odwdzięczyłam, wyładowując na tobie złość.

Nigdy nie było jej tak bardzo wstyd.

- Bardzo, bardzo cię przepraszam. Porozmawiam z kadrami i wyjaśnię, że prosiłaś o przeniesienie z mojego powodu.

Lidia pokręciła głową.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz kłopoty? - zapytała. - Jestem po twojej stronie, jesteśmy zespołem. Może mogłabym pomóc.

- Wiem i przepraszam - mruknęła Sam. - Postąpiłam jak zwykle; podniosłam most zwodzony i zamknęłam się w przygotowaniu na długie obłożenie. Nigdy nie przyjmuję pomocy, radzę sobie sama.

' - To głupota - zachnęła się Lidia. - Wszyscy potrzebujemy przyjaciół, nikt nie da sobie rady sam.

- Naprawdę mi przykro. I naprawdę porozmawiam z działem kadr. Odchodzisz przeze mnie i muszą o tym wiedzieć.

Lidia zabrała się za jedzenie.

- Och, daj spokój. Powiem, że miałam zły dzień i wcale nie chcę się przenosić.

Sam spojrzała na makaron, ale wiedziała już, że nie przełknie ani kęsa.

-Nie, Lidio, nie rób tego. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam w tej pracy. Mam dosyć udawania twardej, mam dosyć pracy przez cały dzień i braku życia prywatnego. - No, w końcu to powiedziała. - Przez to staję się kimś, kogo nie lubię. - Roześmiała się gorzko. - Kogo nikt nie lubi.

- Bzdura - prychnęła Lidia. - Ja cię lubię i inni też. Jesteś szczerą, nie owijasz w bawełnę i nie czekasz na pochlebstwa.

- To miłe z twojej strony, Lidio, zwłaszcza że od miesiąca zachowywałam się jak suka, ale mówię poważnie. Chyba czas odejść. Tylko proszę, nikomu ani słowa.

- Skądże! Ale to szaleństwo. Robisz karierę.

- Robię karierę i tracę przyjaciół - zauważyła Sam smutno. - Pani Smith zamknięta w swoim biurze na piątym piętrze. W życiu liczy się coś więcej niż solidna pensja i spora emerytura. Co z tego, że dostanę tę emeryturę, jeśli życie przecieknie mi między palcami i nie będę miała siły, żeby ją wydawać? Nie, naprawdę muszę się wyrwać z wyścigu szczurów.

- Czyli mniej pracy, mniej kasy i więcej czasu - zamyśliła się Lidia. - Mnie obojętne to nie pociąga.

- Może dlatego, że masz dwadzieścia trzy lata. A ja czterdzieści. Odkąd pamiętam, harowałam jak niewolnica, i co z tego mam? Gabinet i asystentkę, która nie chce ze mną pracować, bo jestem nieznośna.

- Przepraszam - powiedziała Lidia.

- Nie ty powinnaś przeproszać - uspokoiła ją Sam. - To moja wina. Dziękuję, że zdobyłaś się na odwagę i mi powiedziałaś.

Lidia roześmiała się.

- Nie przyszło mi to łatwo - wyznała. Sam mruknęła coś niezrozumiale.

-No, dosyć tego. Powiedz, co z twoim ojcem. Co mu jest?

Wróciły do biura o wpół do trzeciej. Lidia była w znacznie lepszym humorze - pocieszyła ją zarówno rozmowa, jak i dwie lampki wina. Sam uśmiechała się, ale w głębi duszy czuła odciążenie.

Wyszła z pracy wcześniej i zadzwoniła do siostry. Hope akurat piekła ciasteczka, a dzieci dzielnie pomagały jej przy lukrowaniu.

- Nie, Millie, nie zjadaj wszystkiego, będzie ci niedobrze.

- Wcale że nie - oburzyła się Millie.

- Cóż, różowy lukier jest znacznie smaczniejszy niż kapusta, nie ma co - jęknęła Hope do słuchawki.

Siostry gawędziły swobodnie przez kilka minut.

- Czy mogę cię o coś zapytać, Hope? - Sam nagle spoważniała.

- Jasne.

- Jak byś siebie zdefiniowała?

- To nie pytanie, to temat wypracowania - zaśmiała się Hope. - „Ty: zastanów się i opisz”. Wyobrażam sobie, jak panna Marsh zadaje nam taki temat na angielskim.

Sam zachichotała.

- Panna Marsh nie była nauczycielką angielskiego, tylko niespełnionym psychiatrą. Pamiętasz, jakich ukrytych znaczeń doszukiwała się w *Hamlecie*? Nic dziwnego, że poszłam na ekonomię, a nie na studia humanistyczne. Nie zniosłabym więcej psychoanalizy. Nie, Hope, nie o to mi chodziło.

- A o co?

- Cóż... - Sam szukała odpowiednich słów. - Ja określałam się poprzez moją pracę. Moja praca to ja: menedżer marketingu.

Hope nie dała jej mówić dalej:

- Nie, to jest to, co robisz, nie kim jesteś. Millie, odłóż łyżkę. Będzie cię bolał brzusek.

- Ależ tak. Tym byłam. Widzisz, dla mnie to było to samo; co robię i kim jestem.

- Upodabniasz się do panny Marsh - zażartowała Hope. Czują, że rozmowa staje się bardzo poważna.

- Właśnie. Panna Marsh była nauczycielką, to było całe jej życie. Nie miałaś wrażeń, że jej życie kończy się i zaczyna w szkole? Że ten zawód był dla niej wszystkim?

-No tak. Sam, do czego zmierzasz?

- Widzisz, ty jesteś żoną i matką...

- Co do pierwszego mam pewne wątpliwości - rzuciła Hope lekko.

- Dobrze, więc jesteś matką, przyjaciółką, pracujesz w informacji turystycznej, chodzisz na spotkania Klubu Makramy, odnawiasz stare krzesła, hodujesz kury, pieczesz ciasteczka, - Umilkła. - Masz wiele różnych ról. A ja jestem tylko bizneswoman, kobietą sukcesu. Moje życie to moja praca, a to za mało. Kiedy przejdę na emeryturę, nie będę miała nic.

- Chyba nie myślisz już o emeryturze?

-Nie, ale nie mogę tak żyć dalej. Wypalę się. A wtedy co? Wypalona była pani menedżer w ekskluzywnym mieszkaniu z dwoma kotami, szafą pełną ciuchów i potężnym wrzodem żołądka?

- Głowa do góry. Chyba jeszcze nie jest tak źle? Sam nie odpowiedziała.

- Chodzi o Morgana, prawda? - domyśliła się Hope. - Myślałam, że już ci przeszło. Dawniej też się rozstawałaś z facetami.

- To co innego - przyznała Sam smutno. - Dawniej nigdy nie wyobrażałam sobie przyszłości z facetem. Nawet z Karlem. Dobrze nam było razem, ale nie planowałam dalej niż następny weekend, następna randka. A miesiąc naprzód? Ho, ho. A z Morganem to co innego. - Bolało nawet wymawianie jego imienia. - Nigdy nie sądziłam, że zapragnę z kimś być, ale teraz już wiem, że tak. I wszystko schrzaniłam. No, dalej, powiedz, że to moja wina - zachęcała ponuro.

Hope westchnęła.

-Nie jestem odpowiednią osobą do takich uwag. Ja, z dwojgiem dzieci, sześcioma kurami, stadkiem szczurów i... - Zawahała się. Może teraz powiedzieć, że jest w ciąży?

- Co, nadal masz szczury? - zmartwiła się Sam.

-Albo szczury, albo kosmici lądują przy bukach i co noc straszą kury. Wiesz, one chyba lubią trutkę. Jeszcze trochę, a sprawię sobie broń i je powystrzelam.

- A jak już z nimi skończysz, pożyczę ją i palnę sobie w łeb - zażartowała Sam wisielcze

- Sam! - ostrzegła Hope.
- No dobrze, dobrze. Pewnie i tak nie trafię.
- Skąd u ciebie taki pesymizm? To niepodobne do ciebie.
- Pewnie mam zły dzień - mruknęła Sam. - Chyba odejdę z pracy.
- To dobrze - powiedziała Hope.
- Dobrze? Myślałam, że będziesz w szoku!
- A niby dlaczego? Może gdybyś mniej pracowała, widywałybyśmy się częściej.

Ta robota cię wykańcza.

Sam nie wiedziała, co o tym myśleć. Zawsze jej się zdawało, że Hope jest dumna z jej osiągnięć. A tymczasem okazuje się, że dumna z pracy jest tylko ona. Hope zdawała się czytać w jej myślach:

- Sam, będę z ciebie dumna bez względu na to, co robisz. Nie musisz mi niczego udowadniać. Wiem, że jesteś mądra i zdolna, i w ogóle super. Udowodniłaś już, teraz zajmij się czym innym.

Sam po omacku szukała chusteczki.

- Chcę czegoś innego - chlipnęła. - Ale nie mogłam się do tego przyznać.

- Wiem. - Hope westchnęła głęboko. - To tak jakbyś jechała krętą szosą i w końcu prawie wyprzedzasz samochód, który ciągnął się trzydziestką na godzinę, ale nagle brakuje ci benzyny. Trudno jest oddać zdobyty teren.

- Jesteś bardzo mądra, wiesz o tym? Hope roześmiała się głośno.

- Dziękuję. Przez wiele lat uważałam się za idiotkę, która niczego sama nie osiągnie, ale ostatnio zrozumiałam, że wcale tak nie jest. Nie jestem głupia, tylko brak mi pewności siebie.

- A co z Mattem? - Sam zmieniła temat. - Kochacie się; powiedz mu to i baw się w Królową Śniegu, kiedy dzwoni.

- Nie bawię się w Królową Śniegu - zauważyła Hope. - To on gra Dziadka Mroza. Próbowałam z nim porozmawiać, ale mnie nie słucha.

- Wtedy przemawiała przez niego duma. Był dotknięty - tłumaczyła Sam. - Przepraszam - mruknęła. - Przyganiał kociół garnkowi.

- Niezła z nas para, co? - westchnęła Hope. - W każdym razie przyjedzie za dwa tygodnie, zabiera dzieci do Bath na tydzień. Przywiezie je na ślub Delphine. Millie będzie sypała kwiatki. Obawiam się, że stłucze drugą dziewczynkę na kwaśne jabłko.

- Delphine jest kochana, że mnie zaprosiła - wzruszyła się Sam. - Mam przyjechać?

- Oczywiście, chciałabym się z tobą zobaczyć. Bo... - Hope urwała. Teraz albo nigdy. - Sam, zamordujesz mnie, ale muszę ci coś powiedzieć.

-Tak?

- Jestem w ciąży. Długa cisza.

- Z Mattem - dodała Hope nerwowo. - Uwierz mi, z Christym do niczego nie doszło.

- Przepraszam. To cudownie. Matt wie? -Nie.

- Hope, musisz mu powiedzieć. Ma prawo wiedzieć.

- Powiem - zapewniła. - W odpowiednim czasie.

Nicole rozglądała się po recepcji w Titus Records i dziwiła się zmianom; nie w budynku, tylko w niej. Kiedy przyszła tu po raz pierwszy, kilka miesięcy temu, była zdenerwowana i niepewna, czuła się nie na miejscu wśród gwiazd i sław. A teraz jest jedną z nich. Jest Nicole, artystką, której singel ukaże się lada dzień, która zebrała rewelacyjne recenzje z trasy koncertowej.

- Cześć, Nicole - przywitała ją Lidia, asystentka Sam Smith, gdy zeszła po nią do recepcji.

- Cześć. - Nicole się uśmiechnęła.

Kiedy szły do windy, Nicole poczuła zazdrosny wzrok recepcjonistki, która nie patrzyła na Lidie, tylko na nią. Ubrana w ciuchy od znanych projektantów, z oryginalną miedzianą fryzurką, rzeczywiście mogła budzić zazdrość, zwłaszcza że jej kocia twarz spoglądała na londyńczyków z wielu billboardów w całym mieście.

- Teraz jesteś naprawdę sławna - westchnęła wczoraj Sharon, gdy nieoczekiwanie stanęły twarzą w twarz z olbrzymią podobizną Nicole. Oglądały mieszkania.

- To znaczy, że nie chcesz ze mną mieszkać? - zapytała Nicole. Sharon otworzyła usta ze zdumienia, a potem zalała się łzami.

- Wydawało mi się, że masz dosyć mieszkania z rodzicami - mruknęła Nicole.

- Mam - szlochała Sharon. - Ale nie sądziłam, że naprawdę zamieszkamy razem, przecież teraz jesteś sławna i w ogóle.

Nicole uściskała ją serdecznie.

- Po pierwsze, jeszcze nie jestem gwiazdą. Po drugie, odkąd jednocześnie przyszliśmy do Copperplate, marzyliśmy, że razem zamieszkamy. I wreszcie możemy to zrobić.

- A co z Dariusem? - zainteresowała się Sharon.

- Czasami będzie nocował. - Nicole uśmiechnęła się pod nosem. -Jeśli mu na to pozwolimy.

Teraz, w siedzibie firmy zastanawiała się, czy go spotka. Nie wybierał się z nimi na lunch, szły tylko we dwie, Sam i Nicole, bo Nicole chciała z nią o czymś porozmawiać.

- Sam zaraz przyjdzie - powiedziała Lidia i zostawiła Nicole w gabinecie szefowej.

Sam rzeczywiście zjawiała się wkrótce, jak zwykle elegancka i opanowana.

- Cześć, Nicole - pocałowała ją w policzek. - Gotowa?

Poszły do małej knajpki w pobliżu. Nicole bardzo się ucieszyła, gdy Sam zamówiła rybę z frytkami.

- Dla mnie to samo! - zawołała za kelnerem. - Cieszę się, że zjem coś normalnego - wyznała. - W tych drogich restauracjach wszyscy w kółko zamawiają dziwaczne dania, o których w życiu nie słyszałam.

Sam uśmiechnęła się lekko.

-To taki restauracyjny snobizm. Im dziwniejsze rzeczy zamawiasz i im bardziej szczegółowe pytania zadajesz, na przykład, z której części morza pochodzi ryba albo z jakiego gaju oliwnego są oliwki w sałatce, tym bardziej jesteś na czasie i *cool*.

- No tak, ryba z frytkami jest taka pospolita - zaśmiała się Nicole.

- Ale my i tak jesteśmy super, nie musimy niczego udowadniać -zażartowała Sam. - Znam jedną piosenkarkę, supergwiazdę, która zawsze zamawia to samo: koktajl z krewetek, stek, frytki i krwawą Mary. Lubi to i ma w nosie, co inni sobie pomyślą.

Jadły z apetytem. W końcu Nicole przeszła do rzeczy.

- Pamiętasz, jak poznałaś mojąbabcię, Reenie? Rozmawialiśmy o tym miasteczku w Irlandii, gdzie mieszka twoja siostra...

Sam skinęła głową.

- Widzisz, babcia wyjechała stamtąd przed laty i nigdy nie wróciła, z różnych powodów - dodała dyplomatycznie. - Chyba chciałyby tam pojechać. Niech to będzie niespodzianka dla niej i dla mamy. Ja nie dam rady, nie teraz, kiedy płyta ma się ukazać, ale one - tak. Podróż na mój koszt. Pomożesz mi to załatwić?

Hope starała się okazać zdziwienie, kiedy Ronan powiedział, że rzuca pracę w informacji turystycznej i wyjeżdża z Redlion.

- Co za szkoda - powiedziała i ucieszyła się, że wreszcie będzie mogła przesłać do gminy swój życiorys. Eugene napisał go w taki sposób, że radni musieliby upaść na głowę, żeby jej nie zatrudnić. Niech tylko pozwolą jej wziąć kilka dni wolnego na poród, potem może dalej pracować.

- Polecę cię na moje stanowisko - oznajmił Ronan z miną smutniejszą niż zwykle.

- Bardzo dziękuję. To miło z mojej strony.

- Jesteś stworzona do tej pracy.

Delphine żyła tylko przygotowaniami do ślubu i rozważała wyższość stołu szwedzkiego nad gotowym menu, ale i tak ucieszyła się szczerze, gdy Hope przekazała jej tę nowinę.

- Poradzisz sobie, co do tego nie mam wątpliwości - stwierdziła. - Ani się obejrzysz, a nie będziemy mogli opędzić się od turystów.

-No cóż - mruknęła Hope. Jeszcze tylko kwestia dziecka i rzeczywiście, może zabrać się do pracy. W podaniu zaznaczyła, że wolałaby pracować na pół etatu. Ciekawe, jak się do tego ustosunkują.

- Jak dzieciaki? - zapytała Delphine. - Millie nadal chce być druzną?

- Pytanie! Jak wariatka trenuje chodzenie w wianku. Biedny Toby musi udawać pannę młodą, a ona kroczy za nim i niesie tren, czyli poły mojego szlafroka. Obawiam się jednego - że samolot Marta się spóźni i nie zdąży.

- Nie ma sprawy - zapewniła Delphine. - To nie ślub Brada Pitta i Jennifer Aniston, tylko nasz, możemy poczekać. Podejźmy do tego na luzie.

- Powiedz to Virginii - prychnęła Hope.

Virginia z zapalem doglądała remontu Kilnagoshell House; śpieszyła się, żeby zdążyć na wesele Delphine i na przyjazd autorów przewodnika, którzy koniecznie chcieli umieścić jej pensjonat w nowym wydaniu. Generalny remont objął dwie sypialnie na górze, kuchnię i łazienkę; w kilku sypialniach instalowała dodatkowe prysznice.

Delphine parsknęła śmiechem.

- Biedny P.J., wiesz, pracował też u ciebie. Jest w szoku. Biedaczek nie może się otrząsnąć. W kółko powtarza, że nigdy nie remontował u takiej perfekcjonistki.

- I dobrze mu tak - mruknęła Hope. - U mnie ciągle nie skończył hydrauliki.

- Poproś Virginie, niech mu przypomni - poradziła Delphine - ani się obejrzysz, a wszystko naprawi.

- Cudowne! - Sandra miała łzy w oczach, gdy rozglądała się po nowym mieszkaniu Nicole. Salon, z oknem na Tower Bridge, był przestronny i jasny.

- Z meblami będzie ładniej - zapewniała Nicole nerwowo. Bardzo jej zależało na aprobacie matki i babki.

Reenie Turner milczała. Przechadzała się po mieszkanku z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, zajrzała do kuchni i łazienki przy głównej sypialni.

Tylko Pammy zachowywała się normalnie. Bawiła się domofonem, udawała, że dzwoni do koleżanki.

- Zostaw, Pammy - upomniała Nicole automatycznie. - To nie jest do zabawy. Pammy ścisnęła Barbie w rączce i podała drugą rękę Nicole.

- Kiedy będziesz u mnie nocowała, będziemy tutaj spały. - Nicole zaprowadziła ją do głównej sypialni.

- A gdzie łóżko? - zdziwiła się Pammy.

- Jeszcze nie kupiłam.

- A będzie takie duże jak mamusi? Nicole uśmiechnęła się szeroko.

- Większe - szepnęła.

Wrócili do saloniku. Reenie przysiadła na jednym z nielicznych mebli - starej, sfatygowanej kanapie. Mieszkanie było wynajmowane przez dwa lata i poprzedni lokatorzy zostawili tę kanapę, kiedy się wyprowadzali.

- Musisz to odnowić - zauważyła Reenie.

- Wiem. Ale powiedz, babciu, podoba ci się? Wyobraź sobie, jak będzie wyglądało po remoncie, z meblami. Poza tym to dobra inwestycja - denerwowała się coraz bardziej, chciała, żeby babka pochwaliła jej decyzję. - Co ty na to?

Reenie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Jest cudowne, kochanie. Jestem z ciebie bardzo dumna. Chyba nie muszę ci tego mówić?

Nicole uśmiechała się od ucha do ucha.

- Ale trzeba włożyć w to mieszkanko trochę pracy. Poproszę Geor-ge'a z naprzeciwka, żeby znalazł ci dobrą ekipę. - Reenie pomaszzerowała do kuchni. - Ta kuchenka jest do niczego - orzekła. - Możesz ją wyrzucić.

Nicole i Sandra parsknęły śmiechem.

- O co ci chodzi, mamó? - dziwiła się Sandra. - W życiu nie byłam w ładniejszym mieszkaniu, a ty wyszukujesz tu drobne wady.

- Bo należę do rodziny - napuszyła się Reenie. - Mogę sobie pozwolić na szczerość. Ale niech no tylko kto inny spróbuje krytykować moją Nicole. Nie daruję!

Nicole zrobiło się żal potencjalnych krytyków. Nie będą wiedzieli, z kim zadzierają.

- Jesteś cudowna, babciu - mruknęła. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Straciła majątek na kiepskich robotników - burknęła Reenie.

Przez godzinę dyskutowały o farbach, tapetach i wykładzinach. Potem trzeba było wracać na kolację. Po drodze Nicole jeszcze zabrała Pam-my do parku, na huśtawki.

Wróciły godzinę później, obie zmęczone. Nicole cichutko otworzyła drzwi. Pammy zaraz pobiegła do pokoju gościnnego, gdzie trzymała kolekcję zabawek. Nicole odwiesiła kurtki w przedpokoju. Niechcący podsłuchiwała rozmowę matki z babką. Siedziały w kuchni.

- Nie płacz, Sandra - prosiła babka. - Wiesz, że tak trzeba.

- Wiem - szlochała Sandra. - I staram się. Mówiłam, że chcę, żeby się wyprowadziła, ale jeśli pomyśli, że ją wyrzucam? Będę za nią tęskniła...

Nicole wpadła do kuchni z podejrzenie błyszczącymi oczami.

- Mamo - chlipnęła i rzuciła się Sandrze na szyję.

Płakały razem, aż Reenie podała specjalną uspokajającą herbatkę, bardzo mocną.

- Popłakałyście sobie, i dobrze. A teraz świętujemy. W końcu mamy co.

- Wiem. - Sandra otarła oczy. - Przepraszam, Nicole, nie chciałam, żebyś to słyszała.

Nicole podała matce papierowy ręcznik. Po chwili urwała też kawałek dla siebie.

- Nie wyrzuciłaś mnie, mamo - zapewniła. - Nie wyprowadzę się...

- Ależ owszem - orzekły jednocześnie i matka, i babka.

- Twoja matka nie jest idiotką, która sama nie da sobie rady - dodała Reenie. - To moja wina, że na taką wygląda. Nie mogłam się powstrzymać - przyznała ze smutkiem. - Chciałam ją chronić i koniec końców byłam nadopiekuńcza. Ty też.

Nicole wzięła matkę za rękę.

- Widzisz, Nicole, ty i ja zachowywałyśmy się, jakby twoja mama miała bez nas zginąć - ciągnęła Reenie. - Obie chciałyśmy być niezastąpione. Ale nie miałyśmy racji.

Poważnie spojrzała na wnuczkę.

- Musisz rozwinąć skrzydła, kochanie. Twoja mama też. Na pewno będziemy tęskniły, ale masz własne życie i musisz iść własną drogą.

- Nadal masz klucze do domu - przypomniała Sandra drżącym głosem. - Co najmniej raz w tygodniu masz przychodzić na herbatę, rozumiemy się?

Miały łzy w oczach, gdy Pammy zbiegła na dół, taszcząc wielką pluszową pandę.

- Cześć, maleńka. - Nicole wzięła ją na kolana. - Pewnie jesteś głodna?

Pammy skinęła głową.

- Panda też - oznajmiła. - Powiedziałam, że napijemy się mleczka. Napięcie znikło bez śladu. Przekomarzały się i żartowały przy kolacji. Reenie ciągle dokuczała Nicole w związku z Dariusem.

- Pożyczę ci kapelusz, kiedy będziesz szła do jego rodziców - żartowała.

Nicole spoważniała.

- A propos rodziców. Mamo, chciałam z tobą porozmawiać - zaczęła. - Nie o ojcu Dariusa, tylko o moim. Widzisz, chodzi o prasę. Wiesz, że już udzielałam wywiadów, ale jeśli singel będzie się dobrze sprzedawał, rozpęta się piekło. Zaczną mnie pytać o ojca, a ja nic nie wiem. Na razie unikałam takich tematów, ale wiesz, dziennikarze chcą wiedzieć wszystko... - denerwowała się coraz bardziej.

Ostatnio dużo na ten temat myślała. Odkąd Shirin powiedziała kiedyś, że Nicole nic nie wie o dziedzictwie ojca, sporo się nad tym zastanawiała. Sandra nigdy nie robiła tajemnicy z okoliczności jej urodzin. Miała siedemnaście lat, była naiwna i zakochała się w Nikhilu, przystojnym Hindusie, koledze ze szkoły. A on oszalał na punkcie filigranowej blondynki. Nie był to jednak romans stulecia i gdy Sandra zaszła w ciążę, nie powiedziała mu. Nicole nigdy nie mogła pojąć dlaczego. Teraz wreszcie miała okazję dowiedzieć się prawdy. Rodzice Nikhila zaplanowali już przyszłość syna

- tradycyjny ślub. Sandra nie chciała komplikować mu życia przez młodzieńczy flirt, który posunął się za daleko. I dlatego milczała.

- Nie chciałam, żeby wiedział, bo wtedy chciałby postąpić jak należy

- tłumaczyła teraz. - Zmarnowałyby sobie życie. Nie zasłużył na to.

- Jest moim ojcem - warknęła Nicole. Była zła na niego. Mógł się domyślić. - Powinien był ponieść konsekwencje.

- Nicole, teraz już nie ma o czym mówić - mruknęła Sandra.

- A jeśli dziennikarze złączą o niego pytać? - westchnęła Nicole. - Porozmawiam z Dariusem. Będzie wiedział, co z tym zrobić.

Reenie zarechotała.

- Ach, ta miłość... Nicole zarumieniła się.

- Jeśli nie przestaniesz, nie dam ci prezentu na urodziny.

- Nie przypominaj mi - jęknęła babka. - Ale to dopiero za dwa tygodnie.

- Cóż, o moim prezencie dowiesz się już dzisiaj - uśmiechnęła się Nicole. Podała babce grubą kopertę.

Reenie otworzyła ją, wyjęła pierwszą kartkę - plan podróży, i jęknęła głośno.

- Podróż do Irlandii. Lot do Dublina, potem do Kerry, siedem dni w hotelu Manoir Rouge Leon w... - Reenie nie mogła mówić dalej.

- W Redlion - dokończyła Nicole. - Wydawało mi się, że chętnie tam wrócisz. Twój krewny pewnie już nie żyje, ale...

Umilkła. A Reenie milczała przez długi, długi czas. Pustym wzrokiem wpatrywała się w kartkę.

- Przepraszam, nie chciałam sprawić ci przykrości. - Nicole była załamana, że jej niespodzianka nie wypaliła i zamiast babkę ucieszyć, tylko ją zmartwiła. - Oddam to. - Chciała wyjąć kopertę z jej dłoni.

Ale babka nie puszczała.

- Och, Nicole - powiedziała w końcu. - Czy ty czytasz w myślach? Wiesz, twoja praprababka miała ten dar. Widziała różne rzeczy, ale nie przyznawała się, bo ksiądz nie byłby zachwycony. Czy ty też masz ten dar? Marzyłam o tym od lat.

Nicole odetchnęła z ulgą.

- Nie babciu, to nie dar; po prostu pomyślałam, że gdybym była na twoim miejscu, chciałabym tam wrócić.

- Bilety są dla mnie, Sandry i Pammy. - Reenie studiowała je uważnie. - A ty? Nie polecisz?

- Nie mogę. - Nicole pokręciła głową. - Za dwa tygodnie ukaze się mój singel i czeka mnie intensywna promocja. - Pamiętała, że gdy zobaczyła plan trasy, pobladła ze strachu.

- Ale powinnaś z nami pojechać - upierała się Sandra. - Bez ciebie to nie to samo.

- Pojadę następnym razem - obiecała. - Nie martwcie się, polecą z wami Sam Smith, wybiera się do Redlion na ślub. Pomogła mi wszystko załatwić.

- Naprawdę chcesz tam pojechać, mamó? - zapytała Sandra.

W tej chwili stał się cud; z twarzy Reenie znikły wszystkie zmarszczki i bruzdy, które wyrzeźbiło ciężkie życie.

- Bardzo chcę wrócić do domu - powiedziała.

Nikt nie musiał mówić Sam, że album Density sprzedaje się fatalnie. Pewnego słonecznego ranka siedziała przy biurku i zbierała się na odwagę, by złożyć rezygnację. Nawet nie musiała zaglądać do sprawozdania, wiedziała, że zespół przynosi tylko straty.

Osiemdziesiąte siódme miejsce na liście najlepiej sprzedających się płyt to niezły wynik dla albumu, który przez długi czas był w pierwszej dwudziestce, a teraz powoli i statecznie schodzi w dół. Ale płyta Density była na liście od ośmiu tygodni i nie weszła wyżej niż na siedemdziesiąte pierwsze miejsce. Także dwa single przeszły prawie bez echa.

- Gdyby nie byli tak strasznie głupi i zarozumiali, może dałoby się jeszcze coś zrobić - narzekała Karen Storin tydzień wcześniej, gdy zespół odmówił występu w telewizji, urażony, że nie byłby głównym gościem programu.

- Mająmaniery supergwiazd, chociaż niczego nie osiągnęli - zauważyła Sam.

- Święte słowa. Dziennikarze ich nienawidzą. Ja też - przyznała Karen - chociaż tylko ty o tym wiesz. A menedżer jest najgorszy z nich wszystkich.

- Już niedługo - mruknęła Sam ponuro. - Zmieni zdanie, kiedy się okaże, że nie nagramy im drugiej płyty. Ciekawe, czy spokojnie, kiedy zagrozimy zerwaniem kontraktu.

- Aż tak źle?

- Aż tak - potwierdziła.

A teraz przeglądała dane i wiedziała, że wkrótce trzeba będzie podjąć decyzję. Jeśli zrezygnuje z Density, nikt nie będzie pamiętał, że nie ona podpisała z nimi kontrakt, i na nią spadnie cała odpowiedzialność. Może powinna porozmawiać o tym z Julianem Rubenem, prezydentem firmy?

- Chyba dobrze ci robi filiżanka kawy - zauważyła Lidia, wnosząc plik kopert.

- A masz kawę z valium? - mruknęła Sam.

-Niestety nie. Ale mam lepszą propozycję: wybieramy się dzisiaj do knajpy, ja i kilka osób z firmy. Chodź z nami.

- Dzięki. - Sam była wzruszona. - Dzisiaj nie mogę.

- Innym razem, tak? - dopytywała się Lidia.

-Tak. - Sam była na siebie zła, że kłamie. Nie miała na dzisiaj żadnych planów, bo wieczór przed telewizorem to żadna atrakcja. Ale dyrektorzy nie chodzą do knajpy z pracownikami. Właściwie dlaczego nie, pomyślała. Bo nie powinni zniżać się do poziomu zwykłych śmiertelników?

I nagle miała tego dosyć. Miała dosyć stanowiska w wieży z kości słoniowej, sama, bez przyjaciół, tylko z podwładnymi. Przez cały ten czas w Titus Records zaprzyjaźniła się tylko z Karen Storin. W jej życiu właściwie nic się nie zmieniło, mimo wysiłków.

Nie, nigdy się nie zmieni, jeśli tu zostanie. Musi odejść, i to już. Zadzwoiła do Lidii.

- Lidio, połącz mnie z Julianem Rubenem. Chciałabym się z nim spotkać. I jeśli jeszcze mogę, chętnie do was dołączę dzisiaj wieczorem.

- Super. - Lidia była bardzo zadowolona.

Hope pakowała bagaże dzieci, gdy Sam zadzwoniła późnym wieczorem.

- Chyba cię nie obudziłam? - była lekko podcięta po kilku kieliszkach wina.

-Nie, dziecko przechodzi fazę piłkarską. Millie i Toby tak nie kopali. Jak się masz?

- Świetnie - oznajmiła Sam. - Zrobiłam to.

- Co?

- Zrezygnowałam z pracy. Dzisiaj. Rozmawiałam z Julianem Rubenem i powiedziałam, że dłużej tego nie wytrzymam.

- Rany!

- Był przemiły, prosił, żebym to jeszcze przemyślała, ale wytłumaczyłam mu, że potrzebuję odmiany. Sam, wiążemy z tobą wielkie plany, powiedział. Przemyśl to, ze względu na nas wszystkich. Zdaję sobie sprawę, że z Parrisem ciężko się pracuje, ale to się wkrótce skończy, dodał złowieszczco. A ja powiedziałam, że nic mnie to nie obchodzi - opowiadała. -1 wiesz co, Hope? Mam pomysł na własną firmę. Wpadłam na to przez przypadek, ale chyba się uda. Chcę służyć radą małym przedsiębiorstwom. Wygląda na to, że znalazłam niszę na rynku. Zdaje się, że prawie nikt tego nie robi.

- Rozwiązywanie problemów? To twoja mocna strona - uśmiechnęła się Hope.

- No właśnie. - Sam dawno nie była równie podekscytowana. - Ryzykowne, ale ryzyko to moja specjalność. Czuję, że zdjęto mi z pleców wielki ciężar - zachwyciła się. - Wiesz, Hope, póki tego nie zrobiłam, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję odmiany.

- A co z pieniędzmi? - zapytała Hope, jak zawsze praktyczna.

- Spokojnie, mam oszczędności. Może będę musiała sprzedać mieszkanie w Holland Park i kupić coś mniejszego, ale to żaden problem. Nie o to chodzi. Nie chodzi o pieniądze.

- A co z Morganem? - zapytała Hope nieoczekiwanie. - Myślałam, że jest ci potrzebny do szczęścia.

Sam spochmurniała. Hope trafiła w dziesiątkę. Nie wiedziała, czy bez Morgana będzie naprawdę szczęśliwa, ale trudno. Nie odezwał się od tamtej awantury. Podjął decyzję i ona tego nie zmieni.

- Morgan to przeszłość - powiedziała. - I dobrze ci z tym?

- Nie, ale nie mam wyboru. To on zdecydował, nie ja. Zresztą kto to mówi? Co z Mattem?

- To co innego.

- Dlaczego?

- Bo tak.

- Jak to? Nadal nie powiedziałaś mu o ciąży? Dlaczego? I tak się kiedyś dowie. Schowasz się za kanapą, kiedy w sobotę przyjedzie po dzieci?

- Nie, nie zobaczę się z nim. Delphine zawiezie je na lotnisko. Nie chcę z nim rozmawiać, jeszcze nie.

- Bo już widać ciążę, a ty jeszcze nie chcesz mu powiedzieć, czy dlatego, że nie chcesz, żeby wrócił?

- Wiem, że twoją mocną stroną jest rozwiązywanie problemów, ale nie zaczynaj ode mnie - zachnęła się Hope. - No dobrze, chcę, żeby wrócił, ale nie jestem gotowa mu wybaczyć.

Jest w ciąży, hormony szaleją, potrzebuje troski i opieki, a nie dąsów Marta.

- Przepraszam, nie chciałam cię poganiać - wycofała się Sam.

- To hormony - mruknęła Hope.

- Poprzednio taka nie byłaś.

- Byłam, byłam, tylko tego nie okazywałam. Ale teraz niech wszyscy wiedzą, kiedy jestem zła.

- Czy mam porozmawiać z Mattem? - zaproponowała Sam. Zaskoczyła ją gwałtowna reakcja Hope.

- O nie! Ani się waż! To moje życie.

- Chciałam tylko pomóc.

- Lepiej zadzwoń do Morgana. Nie mogę.

- Owszem, możesz. Nie martw się o mnie i rozwiąż swoje sprawy - zakończyła Hope stanowczo.

Virginia była z siebie bardzo zadowolona, gdy wychodziła ze sklepu z meblami w Killarney. Żółte sznury do zasłon dopełnią wystroju saloniku. Pensjonat Kilnagoshell House jest właściwie gotowy. Miała za sobą bardzo pracowite tygodnie, ale warto było. Wszystko jest przygotowane do przyjęcia weselnego Delphine. Virginia planowała popracować jeszcze w ogrodzie, ale Mary-Kate odradzała.

- Ogród różany jest piękny, trawnik - jak z obrazka. Czegóż jeszcze można chcieć? - dziwiła się.

To prawdziwa przyjaciółka, myślała Virginia, idąc powoli główną ulicą. Gdyby rozglądała się uważniej, zamiast bujać w obłokach, może zobaczyłaby Richarda i Glenys Smartów, a tak niemal na nich wpadła przed księgarnią.

- Przepraszam... o, dzień dobry - powiedziała.

- Proszę, proszę! - Oczka Glenys błysnęły złośliwie. - Czy to nie przyjaciółka Kevina?

- Co za przyjemne spotkanie - starała się zdławić ironię w głosie.

- Ja na chwilę do księgarni... - mruknął Richard.

- Tylko zaraz wracaj - warknęła Glenys. - Widziała pani ostatnio Kevina? - Taksowała Virginie wzrokiem. Dostrzegła wszystko: szczupłą figurę i elegancki lniany kostium, jak z *Pożegnania z Afryką*.

A Glenys pociała się w przyciasnym czerwonym zakiecie.

- Owszem, w zeszłym tygodniu graliśmy w golfa - odparła Virginia. Właściwie cała sytuacja ją bawiła. Widać, że Glenys chce urządzić jej awanturę z powodu Kevina, a Virginia nie miała nic przeciwko temu, bo od dawna uważała go jedynie za przyjaciela.

- Jak może pani tu stać i tak bezczelnie się uśmiechać? - sapnęła Glenys.

Virginia nic nie powiedziała, uśmiechała się dalej. Dawała Glenys minutę do wybuchu; pomyliła się o trzydzieści sekund.

- Biedna Ursula jest w grobie od zaledwie kilku lat, a pani, pani Con-nell, nie ma wstydu za grosz, żeby tak bezczelnie uganiać się za jej mężem. I pani uważa się za zrozpaczoną wdowę? To kpina w żywe oczy. -Mało brakowało, a splunęłaby jej pod nogi.

Może Virginia wytrzymałaby to jakoś, gdyby Glenys nie dodała:

-Niemożliwe, żeby pani kochała swojego męża! Biedak jeszcze nie ostygł, a pani już pcha się do łóżka innemu! I to był błąd. Z oczu Virginii poleciały iskry.

- Słyszała pani kiedyś taką radę: nie sądź innego, póki nie będziesz w jego sytuacji? - zapytała spokojnie. - Pani nie jest wdową, Glenys. I pani szczęście! Nie wie pani, o czym mówi. Odnosi się pani do Richarda z pogardą... - Glenys chciała jej przerwać, ale Virginia nie dopuściła jej do głosu. - Nie, nie, teraz moja kolej. Bardzo kochałam męża i doceniałam go za życia, czego o pani nie można powiedzieć. Ale on odszedł i to, że chcę żyć dalej, nie znaczy, że przestałam go kochać. Źli, małostkowi ludzie, jak pani, bardzo utrudniają życie wdowom i wdowcom, nie pozwalając im żyć dalej. Wie pani dlaczego? Woli pani, żeby Kevin cier-

ział, bo pani także nie jest szczęśliwa. Kevin Burton jest moim przyjacielem, niczym więcej. I niech Bóg ma panią w opiece, gdyby coś się stało biednemu Richardowi!

Glenys zaniemówiła z oburzenia, a Virginia spokojnie poszła do kawiarni, gdzie czekała na nią Mary-Kate.

- Nie uwierzysz, kogo spotkałam - poinformowała przyjaciółkę. -Glenys i Richarda Smartów.

- I co, nie zamordowała cię gołymi rękami? - zażartowała Mary-Kate.

- Starła się. Nie posunęła się do rękoczynów, ale i tak było ostro. Mary-Kate szeroko otworzyła oczy.

- Żartowałam. Wszystko w porządku? Była okropna? Co ci powiedziała?

-Uspokój się-mruknęła Virginia.-W skrócie? Że jestem bezwstydnicą i że na pewno nie kochałam Billa.

Mary-Kate jęknęła tak głośno, że wszystkie głowy w kawiarni zwróciły się w ich stronę.

- Nie przejmuj się - uspokajała ją Virginia. - Powiedziałam jej co nieco do słuchu i uciekła z podkulonym ogonem. Nie ukrywam, że od dawna chciałam jej wygarnąć.

- Jesteś niewiarygodna - stwierdziła Mary-Kate z podziwem. - Ja byłabym załamana, gdyby ktoś zaatakował mnie na środku ulicy, a ty zachowujesz się jak gdyby nigdy nic. Silna jesteś.

- Zawsze taka byłam. - Sama Virginia była zdziwiona tym, co mówi. - Razem z Billem straciłam siłę, ale przez miniony rok, dzięki ludziom takim jak ty, Mary-Kate, odzyskałam ją. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Uratowałaś mnie.

- Nieprawda, sama się uratowałaś - nagle Mary-Kate roześmiała się głośno. - Czy mogę cię nasłać na Pauline? Dostała zaproszenie na ślub Delphine i wczoraj dzwoniła, nagrała się na sekretarkę, jaka jest tym oburzona.

- Zakładam, że zadzwoniła, kiedy wiedziała, że cię nie ma, żeby nie słuchać twoich argumentów?

- Oczywiście. Jeśli nie przyjdzie, Delphine będzie zrozpaczona. Co prawda w kółko powtarza, że trudno, że ona i tak będzie szczęśliwa, ale jająznam. Jest bardzo wrażliwa. Dobrze chociaż, że jej ojciec jest w miarę normalny. Bardzo lubi Eugene'a, chociaż przed żoną się do tego nie przyzna.

Podano herbatę. Virginia piła, pogrążona w myślach. Po chwili odezwała się powoli.

- Mam pomysł. Mówisz, że Pauline jest bardzo religijna?

- Pierwsza do komunii co niedziela.

- Więc zaprosimy wszystkie dbwotki, jak choćby pannę Murphy, tę od kwiatów.

I Pauline nie będzie miała wyjścia, też przyjdzie. Wiem! -Virginia pstryknęła palcami. - Zaprosimy ojca McTeague'a. On jest taki kochany i smutno mu, że Delphine nie może wziąć ślubu w kościele.

- Jesteś podstępna, wiesz? Zaśmiały się obie.

- Pauline nawet nie podejrzewa, co się święci.

Nicole, Darius, Sam, Reenie, Sandra i Pammy stali na lotnisku Heathrow i żegnali się serdecznie. Mała Pammy bardzo polubiła Dariusza i szlochała, że chce zostać z nim i z Nicole.

- W Irlandii będzie bardzo fajnie - przekonywał, kucając przy niej. - I przeżyjesz tam różne przygody - dodała tajemniczo Sam. Dzięki

Millie wiedziała, jak wzbudzić ciekawość młodej dziewczynki. Pammy w skupieniu ssła cukierka.

- Jakie przygody? - zapytała w końcu.

- Szkoda, że odchodzisz z firmy. - Nicole zwróciła się do Sam.

- Trudno - wzruszyła ramionami. - Musiałam to zrobić, ale nie martw się, będziesz w dobrych rękach. Masz świetnego menedżera, wspaniały głos i zapał do pracy.

Nicole się uśmiechnęła.

- I Dariusza - dodała, obejmując go w pasie.

- To oczywiste - mruknęła Sam. - Zajmie się wszystkim. Ten singel ma trafić na pierwsze miejsce, panie Good - rozkazała żartobliwie.

- I trafi, nie ma zmartwienia - uściśnął drobną dłoń Nicole.

- Opiekuj się nią, dobrze? - poprosiła Reenie. - Szkoda, że nie jedzie z nami.

- Nic mi nie będzie, babciu - uspokoiła ją Nicole. - Baw się dobrze.

- Czas już na nas. - Sam nie chciała łez. - Żegnamy się szybko i idziemy.

Darius i Nicole machali im, póki nie przeszły przez odprawę.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. - Nicole miała łzy w oczach.

Darius w odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i pocałował tak namiętnie, że grupa golfistów wracających z Portugalii zaczęła bić im brawo.

Kiedy wylądowały w Kerry, padały z nóg. Sandra i Reenie zdążyły się pokłócić - Reenie podała w wątpliwość sens ubierania się na drogę w sukienkę z różowego szyfonu. Pammy była w rozpacz - zgubiła ukochaną Barbie.

Sandra i Reenie milczały obrażone, więc to Sam pocieszała Pammy.

- Czy Barbie jest smutno, że się zgubiła? - wypytywała mała.

- Barbie mieszkają w tajemniczej krainie Barbie - wyjaśniła poważnie. -Mają tam kucyki, fryzjera i specjalny basen. Czasami wyjeżdżają tam na wakacje. Ale nie martw się, twoja Barbie na pewno przyśle zastępczynię.

Pammy zamieniła się w słuch, a Sam, patrząc w jej błękitne oczka, pomyślała, że to chyba najpiękniejsze dziecko na świecie. Jeśli za piętnaście lat okaże się, że ma głos jak Nicole, na pewno zrobi karierę.

- Oczywiście - powiedziała głośno. - Chcesz posłuchać dalej? Pammy skinęła głową.

Nawet kierowca minibusa słuchał opowieści o krainie Barbie. Sandra i Reenie nie dąsały się już, tylko ciekawie wyglądały przez okno. Zbliżali się do Redlion.

- Nie wiedziałam, że tu tak ładnie - mruknęła Sandra, gdy mijali wąskie kręte uliczki pełne pastelowych domków z doniczkami przy drzwiach.

- Nie poznałabym tego miasteczka - powiedziała w końcu Reenie. -Za moich czasów to była biedna dziura na końcu świata, a teraz... - Urwała. Oczami pełnymi łez chłonęła widoki, znane, a jednak nowe. Choćby budynek sądu - za jej czasów był na wpół zrujnowany, a dzisiaj mieści się w nim ekskluzywna restauracja. Albo poczta - teraz to agencja handlu nieruchomościami i chyba nieźle prosperuje, skoro stoją przed nią dwa luksusowe samochody.

Stare zagrody nad rzeką zmieniły się nie do poznania. Za czasów jej młodości mieszkała tu hołota, pijacy i nędzarze, stare rudery straszyły wybitymi oknami i przegniłymi dachami. A dzisiaj to uroczę, wyremontowane małe domki, zadbane i kolorowe.

- O, apteka Mary-Kate. - Sam wskazała elegancką witrynę z reklamą kosmetyków. - Polubicie ją, jest fantastyczna. I koniecznie musimy wybrać się do Wdowy Maguire. Podobno odkąd Belle Maguire sprowadziła przystojnego barmana z Kalifornii, kobiety wałęsają do Redlion drzwiami i oknami, byle tylko na niego popatrzeć.

- Zarezerwuj Sandrze stolik blisko baru - mruknęła Reenie.

Sam wstrzymała oddech - zaraz znowu zaczyna się kłócić, ale Sandra tylko zachichotała i pokazała matce język.

- Nie gapię się na młodzików, tylko na rówieśników - prychnęła.

- Więc zarezerwuj stolik dla mnie - zażartowała Reenie. - W starym piecu diabeł pali.

Sam uniosła wzrok do nieba. Nigdy ich nie zrozumie. Ale może właśnie tak jest między matką a córką?

Dojechali do hotelu i oczywiście Reenie nie mogła się nadziwić, że wyrósł tu taki ekskluzywny ośrodek. Sam tylko kiwała głową. Miała nadzieję, że uda jej się poznać niesławnego pana de Lacy. Nie będzie to dla niego przyjemne spotkanie, pomyślała.

- Czy jest pan de Lacy? - zapytała w recepcji. Recepcjonista poruszył się niespokojnie.

- Ee... nie... dzisiaj nie - wykrztusił w końcu.

Sam starała się niczego po sobie nie okazywać, ale coś tu jest nie tak, wyczuła to.

Zostawiła bagaże w pokoju, upewniła się, że paniom Turner niczego nie brakuje, i pojechała do Hope. Poprzedniego dnia bezmyślnie zaproponowała kolację w hotelu, ale Hope powiedziała, że jej noga tam nie postanie.

- Przepraszam - skrzywiła się Sam. - To co, Wdowa Maguire?

- Chętnie. Wszystkie tam będą. - Hope ucieszyła się. Bardzo tęskniła za dziećmi.

Siostry trochę się spóźniły. Obie się popłakały przy powitaniu - Sam na widok zaokrąglonego brzucha Hope.

- Musisz powiedzieć Mattowi. Kocha cię, wszystko będzie dobrze. Musisz, ze względu na dziecko.

- Małżeństwa nie uratuje się dzieckiem. - Hope otarła łzy.

- Dobrze, dobrze, poddaję się - jęknęła Sam. - Chodźmy już, biedny taksówkarz zwątpi, że go kiedyś zwolnię.

- Zwolnij go teraz - podsunęła Hope. - Ja nas zawiozę. Przynajmniej będę miała wymówkę, dlaczego nie piję.

- Jakby dziewczyny nie wiedziały, że jesteś w ciąży - mruknęła Sam z przekąsem.

- Nie wiedzą - upierała się Hope. - Maskuję się ubraniem. Sam dała za wygraną.

-1 to ja jestem uparta?

- Sam, zdążyłaś! - wrzasnęła Delphine na całe gardło, gdy Sam i Hope weszły do pubu.

Virginia, Mary-Kate, Delphine, Giselle i Mai zajęły duży stół blisko baru.

- Czy to twój wieczór panieński? - zapytała Sam, gdy już ze wszystkimi się przywitała.

- Tak. - Delphine westchnęła z rozmarzeniem. - Już się nie mogę doczekać.

- Jeszcze tylko półtora dnia - pocieszyła Mai i otworzyła szampana, prezent od Belle.

Na szampanie się nie skończyło. Piły sporo, zwłaszcza Delphine, która pod koniec imprezy przekonywała włoskich turystów, że Eugene jest najwspanialszym mężczyzną na świecie i absolutnie nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli przenocują u nich.

Hope odwiozła Sam do hotelu już po północy. Sam, zmęczona, ale trzeźwa, była w świetnym humorze.

- Jutro przywiozę do ciebie moje towarzyszkę - obiecała. Hope skinęła głową.

- Zjemy lunch w ogrodzie. Kury mają własny kącik, więc nie trzeba się obawiać, że się w coś wdepcie.

Sam parsknęła śmiechem.

-Nigdy bym nie podejrzewała, że będziesz mówiła o kurzych odchodach z taką nonszalancją.

- Cóż, jestem teraz wieśniaczką. - Hope uśmiechnęła się szeroko. -Niestety nie udało mi się bazyli. Moja sałata jest konkursowa, kapusta rośnie jak na drożdżach, ale przy ziołach jestem beznadziejna.

Sam pocałowała ją w policzek.

- Nie waz się mówić, że w czymkolwiek jesteś beznadziejna - powiedziała surowo. - Przetrwiałś, ba, zwyciężyłaś. My, panny Smith, nie dajemy się losowi.

- Święte słowa - mruknęła Hope.

Matt nie zdawał sobie sprawy, ile trudu i energii pochłania opieka nad małymi dziećmi, póki Toby i Millie nie zamieszkali z nim na tydzień. Co innego zajmować się nimi przez kilka godzin, z bezpieczną świadomością, że Hope niedługo wróci i przejmie obowiązki rodzicielskie, a co innego mieć ich na głowie cały czas, karmić, myć, ubierać i zabawiać. Po raz pierwszy pomyślał o żonie z szacunkiem. Nic dziwnego, że na początku tak bardzo chciała się wyrwać z domu. Po latach łączenia obowiązków macierzyńskich z zawodowymi znalazła się na końcu świata, sama z dziećmi i mężem, który, przyznawał to ze wstydem, walczył z własnymi problemami i nie widział, co się dokoła niego dzieje. Dzieciaki są kochane, ale opieka nad nimi to bardzo ciężka praca.

Najgorsze, że Millie krytykowała wszystko, co robił. Jeszcze bardziej bolały ciągle komentarze, że mamusia robi to inaczej.

Jak na razie dowiedział się, że źle wkłada Millie skarpetki, źle nalewa mleko, a o myciu głowy nie ma zielonego pojęcia.

Po czterech dniach nie posiadał się z radości, kiedy Betsey zaprosiła dzieci do siebie, żeby pobawiły się z Ruby i Opal.

- Żebyś mógł podgonić pracę - wyjaśniła.

- Żebym mógł odsapnąć - poprawił.

Tego ranka dzieci były jeszcze żywsze niż zwykle. Millie udawała, że jej niedobrze. Co pięć minut biegła do toalety, pochylała się nad klozetem i udawała, że wymiotuje. Matt umierał ze strachu, że naprawdę coś jej jest.

Z wymiotów jakoś nic nie wyszło; Matt się cieszył, Millie bynajmniej. Wyjęła z lodówki słoik ogórków kiszonych, otworzyła go, przy czym połowa zawartości wylądowała na jej ubranku. Druga połowa znalazła się w toalecie. Bardzo z siebie zadowolona, Millie wpatrywała się w resztki ogórków w sedesie, gdy Matt podszedł zrezygnowany.

- Zobacz, tatusiu - dumnie wskazała toaletę. - Jestem już duża, jak mamusia.

Matt złapał się framugi. Zrozumiał.

Sam wiedziała, że Hope obedrze ją ze skóry.

„Nie wtrącaj się” - sama to powtarzała przy wielu okazjach, ale czasami trzeba zdać się na instynkt. Hope kocha Marta i potrzebuje go. A Matt, tego była pewna, kocha Hope.

W dzień przed ślubem Sam uznała, że najwyższy czas wkroczyć do akcji.

Najpierw zadzwoniła do Dana, do agencji. Ochoczo podał jej telefon do Matta.

- Mówiłem mu, żeby się nie wygłupiał, tylko z nią pogodził, bez niej nie jest sobą - powiedział. - Ale czy Matta można do czegoś przekonać?

- Zawsze jest ten pierwszy raz - mruknęła Sam. Długo czekała, zanim podniósł słuchawkę.

- Halo? - sapnął.

- Myślałam, że cię nie ma - zaczęła.

- Ubierałem Toby'ego i Millie dorwała się do pasty do butów - wyjaśnił. - Z niebieskich bucików zrobiły się niebiesko-czarne, o podłodze w kuchni nie wspomnę.

- Jest bardzo absorbująca - przyznała i zaraz przeszła do rzeczy. -Matt, to trwa już za długo, zresztajest coś, o czym powinieneś wiedzieć...

- Hope jest w ciąży - wpadł jej w słowo. Sam oniemiała.
- Skąd wiesz? - wykrztusiła w końcu. - Nikomu nie mówiła.
- Millie ma nową zabawę. Udaje, że ma poranne mdłości - wyjaśnił.
- Aha. I co teraz?
- Nie pouczaj mnie - zaczął ostro. - Nie musisz mi mówić... - Urwał nagle. -
Przepraszam. Ty i ja jesteśmy jak zdarta płyta, co? Umiemy się tylko kłócić.
- Masz rację - przyznała. Właściwie po co się z nim kłóci? Najważniejsze, żeby pomóc Hope.
- Kocham ją.
Wyznanie Matta wzruszyło Sam do łez.
- Wiem - powiedziała. - Ja też i pewnie dlatego się kłócimy. Nie chcemy się nią dzielić. - Umilkła na chwilę. - Z Christym do niczego nie doszło. Flirtował z nią i to jej pochlebiali, ale to wszystko. Gdyby nie była taka naiwna, splawiłaby go na początku.
- Wiem.
- To także twoja wina - ciągnęła Sam. - Zostawiłaś ją w Kerry własnemu losowi. Poradziła sobie, ale nie dzięki tobie.
- To też wiem. Zająłem się własnymi problemami i zaniedbałem ją. Myślałem, że zawsze będzie na mnie czekała, przyjmowałem jej miłość jak coś oczywistego. To żadna wymówka, wiem, ale przechodziłem trudny okres.
- A teraz?
- Wracam - powiedział. - Potrzebuję jej. Sam miała łzy w oczach.
- A co z pracą? Hope pokochała Kerry, nie chciałyby wyjeżdżać. I wtedy Matt zdradził jej swój plan.
- Dlaczego wybrałaś sukienkę z trzydziestoma guziczkami? - zażartowała Hope w dzień ślubu. Pomagała Delphine zapinać suknię ślubną.
- Żeby Eugene musiał się napracować dzisiaj w nocy - odparła Delphine. Rude loki opadały jej na plecy, co jeszcze bardziej utrudniało zadanie.
- Biedak zaśnie, zanim dojdzie do połowy - zauważyła Mary-Kate, wchodząc do różowej sypialni w Kilnagoshell House. - Virginia zaraz przyniesie przekąski, jeszcze długo potrwa, zanim dostaniemy coś do jedzenia.

- Ja nie mogę, bo mi gorset pięknie - poskarżyła się Delphine. - Chcę wyglądać dziewiczo i zwiewnie, gdy Eddie powie: Ogłaszam Delphine Eustacię Lavinie Margaret Ryan i Eugene'a O'Neilla mężem...

- Delphine Eustacia Lavinia Margaret - powtórzyła Hope.

- Moja siostra czytała romanse, będąc w ciąży z Delphine - wyjaśniła Mary-Kate. - Delphine i tak ma szczęście, gdyby nie ja, nazywałyby się Marylin Scarlett.

Hope śmiała się tak bardzo, że musiała zostawić jedwabne guziczki.

- Delphine też jest okropne - poskarżyła się panna młoda. - Nawet wczoraj urzędnik stanu cywilnego uśmiechał się pod nosem, a pomyślcie, jak cierpiałam w szkole. Nasze dzieci będą miały zwykłe, proste imiona: Tom, Mary.

- Sama nie wiem. - Hope rozmarzyła się. - Ostatnio podoba mi się Rosalie. Albo Rory. W każdym razie na „r”.

Delphine i Virginia spojrzały na siebie porozumiewawczo.

- Dla dziecka? - zapytała Delphine.

Hope spojrzała na nie i zrozumiała, że wiedzą.

- Jezu, czy tutaj nic się nie ukryje? - syknęła.

- Wiesz, podlewanie fikusa alkoholem nie jest najlepszym sposobem zachowania tajemnicy - zauważyła Delphine.

- Ani to, że na wieczorze panieńskim nie wypijaś nawet kropli szampana - dodała Mary-Kate. - Że już nie wspomnę o tym, że choć masz słabość do czekolady, nie utyłabyś tak szybko od słodczy.

Hope nie wiedziała, śmiać się czy płakać z ulgi.

- Od dawna wiecie?

- Ho-ho! - Delphine pokiwała głową. - Nie płacz teraz, nie po to malowałam ci oczy, żebyś wszystko rozmazała.

- Matt wie? - zapytała delikatnie Mary-Kate.

- Jesteś jak Sam - prychnęła Hope. - Ona też w kółko tylko o tym.

- Będziesz musiała mu powiedzieć. Przywozi dzisiaj dzieci. Powiesz mu na lotnisku? - dopytywała się Delphine.

- Sam je odbierze. - Hope unikała ich wzroku.

- I dobrze - ucięła Mary-Kate. - Delphine, nie znosisz, kiedy ktoś się wtrąca w twoje życie. Więc się nie wtrącaj.

- Ale to nie to samo! - zaprotestowała.

- Przytrzymaj ją- poleciała Sally i wcisnęła Alison w ramiona Jamie-go. - W końcu jesteś ojcem chrzestnym.

- Ejże, myślałem, że to oznacza, że muszę dawać jej pieniądze na urodziny, a nie dźwigać! - mruzczał i niezdarnie przytulił bratanicę, która rozpromieniła się natychmiast, zadowolona, że jest w centrum uwagi. Radośnie pociągnęła go za włosy, aż krzyknął.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, obserwowali taśmę z bagażami.

- Twoja walizka, Dom? - Laurence obserwował sfatygowaną walizę. -Nie... tak, tak, łap!

Dziesięć minut później wpakowali się do taksówki i ruszyli do Redlion.

- Kilnagoshell House - powiedziała Sally. Wiedziała już, że kiedy trzej Connellowie są razem, cofają się do dzieciństwa i trzeba się nimi opiekować. Nic dziwnego, że Virginia jest taka zorganizowana. - Nie wiem dokładnie, jak tam dojechać, ale...

- Nie ma sprawy - kierowca machnął ręką. - Wiem mniej więcej, gdzie to jest.

- Skoro tak... - Sally przywykła do taksówkarzy, którzy dopominają się o kod pocztowy, zanim w ogóle raczą zapalić silnik.

Sam najpierw zobaczyła Millie, dopiero potem szwagra. Millie biegła, aż fruwały warkoczyki, i rozglądała się za matką.

- Millie, cześć! - zawołała Sam.

Millie rzuciła się na nią jak mała trąba powietrzna.

- A gdzie mamusia? - zapytała.

- Czeka na ciebie - szepnęła Sam. - Pomaga cioci Delphine.

- Będę druhną - pochwaliła się Millie. - W ładnej sukience. Tatuś ma ją w walizce.

- Cześć, Sam.

Tatuś we własnej osobie.

Sam wzięła Millie na ręce i przywitała się z Mattem. Dawniej uśmiechali się do siebie chłodno, jak dwaj nieufni przeciwnicy. Dzisiaj pocałowali się serdecznie.

- Nowy garnitur? - zapytała żartobliwie. Matt się uśmiechnął.

- To wyjątkowy dzień, musiałem się dobrze ubrać.

- Ciocia Ham - powiedział Toby z dołu.

Matt wziął go na ręce i Sam pocałowała malca serdecznie.

- Pospieszmy się. Toby, chcesz prowadzić?

- Nie, ja, ja, ja chcę prowadzić! - wrzasnęła Millie.

- Sam coś długo jedzie z lotniska. - Hope spojrzała na zegarek.

- Nie denerwuj się - uspokajała Virginia. - Uroczystość zaczyna się o drugiej, ma jeszcze kwadrans.

- Wiem, ale Millie się zapłacze, jeśli nie będzie druhną. - Hope nerwowo wyjrzała przez okno, licząc, że zobaczy swój samochód, którym Sam pojechała na lotnisko. - Zdaje się, że jadą nowi goście - mruknęła, widząc, jak z taksówki wysiada kilka osób z bagażami. Trzej wysocy mężczyźni o kasztanowych włosach, szatynka i małe dziecko z rudymi lokami. - Nie wiedziałam, że ktoś będzie tu nocował - dodała.

Virginia wyjrzała ciekawie przez okno.

- O Boże! - krzyknęła. - To moja rodzina! Nie do wiary! Nie mówili, że się wybierają!

Już była przy drzwiach, pędziła powitać Sally, Dominica, Jamiego, Laurence'a i małą Alison.

-Nie mówiliście, że przyjeżdżacie!

- To niespodzianka na otwarcie nowego pięciogwiazdkowego pensjonatu - powiedziała Sally.

- Jeszcze nie przyznano mi żadnej kategorii - zauważyła Virginia, serdecznie ściskając synów.

- Ale dostaniesz maksimum punktów - powiedział Dominie.

- Co tu się dzieje? - Laurence przyglądał się podekscytowanym gościom w eleganckich strojach.

- Ślub - wyjaśniła Virginia. - Moja przyjaciółka Delphine wychodzi za mąż. Tak się cieszę, że jesteście. O, są Eugene i Eddie. Szkoda, że nie ma Sam, Millie miała być druhną i zamorduje nas, jeśli nie uda jej się zdażyć.

- Może zastąpi ją ta ślicznotka? - Mary-Kate pojawiła się z tacą zastawioną kieliszkami szampana.

Alison rozpromieniła się w uśmiechu i chwilowo przestała ciągnąć wujka Jamiego za włosy.

- Nie chcieliśmy przeszkadzać - tłumaczyła Sally. - Myślałam, że ślub był wczoraj.

- Tylko cywilny! - krzyknęła Delphine, wychylając się z okna na piętrze.

- Witajcie, im więcej ludzi, tym lepiej. Jestem panną młodą-dodała zupełnie niepotrzebnie, bo któż inny miałby biały wianek na głowie?

Pauline Ryan zerknęła do lusterka. Dobrze, szminka się nie rozmazała, więc skąd ten niepokój? I nagle zrozumiała - ubranie.

Miała na sobie stary niebieski komplet, bardzo elegancki, ale kupiła go kilka lat temu na ślub kuzynki z drugiej linii. Jeszcze do zeszłego tygodnia uważała, że w zupełności wystarczy i na bezbożny ślub Delphine, ale potem się zaczęło. Ludzie na ulicy podchodzili do niej i mówili, jak się cieszą, że dostali zaproszenie na ślub Delphine, i czyż Eugene nie jest przemiły, i jak to dobrze, że przyjęcie odbędzie się w Kilnagoshell House. Pauline, która i bez tego planowała zaszczycić uroczystość swoją obecnością, nie posiadała się ze zdumienia. Jej zdaniem cały świat powinien się odwrócić od pary bezbożników. Tymczasem wszyscy, od panny Murphy poczynając, na Belle Maguire kończąc, mówią, że pewnie jest dumna z Delphine.

I nagle się okazało, że stary kostium to nieodpowiedni strój, ale nie było już czasu na zakupy, a przecież nie zhańbi się, idąc do Lucille; wszyscy zaraz domyśliliby się, że matka panny młodej nie ma gotowego stroju.

Fonsie, jej mąż, zatrzymał samochód przed Kilnagoshell House. Zaraz pójdzie do Delphine. Kocha ją do szaleństwa, a Eugene'a porządnego faceta. Pauline nie wiedziała, że już poznał zięcia, chyba padłaby trupem. Zatrzasnął drzwiczki.

- Idę do Delphine - oznajmił.

Pauline byłaby chyba mniej zdziwiona, gdyby przemówił do niej samochód. Fonsie zawsze robił to, co chciała, a teraz wszedł do środka, nie oglądając się nawet.

Pauline poszła na tył budynku, do ogrodu różanego. Nie wierzyła własnym oczom. Siedziała tam chyba połowa Redlion.

A wśród nich, o dziwo, sam ojciec McTeague. Pauline nadeła się jak ropucha i zaraz spokorniała. Co ona może powiedzieć? To sługa boży, wie, co jest dobre, a co złe, chyba nie byłoby go tutaj, gdyby sądził, że Delphine skazuje się na męki piekielnie?

- Pauline! - zawołał na jej widok. - Chodź tutaj! Obawialiśmy się, że matka panny młodej będzie zbyt zajęta, by zajrzeć do zwykłych gości!

Pauline uśmiechała się sztucznie i słuchała gratulacji dla córki.

- Nie mogę się doczekać - rozmarzyła się panna Murphy. - Pani Con-nell mówi, że wyglądasz jak królowa. To prawda?

Oczy wszystkich zwróciły się na Pauline i przez chwilę zastanawiała się, czy wiedzą, że była przeciwna temu związkowi. Nie, niemożliwe. Machnęła ręką, podpatrzyła ten gest u królowej Elżbiety w telewizji, i westchnęła:

- Jak królowa? To mało powiedziane. Zobaczycie sami. Ojciec McTeague uśmiechnął się pod nosem.

- Wiedziałem, że będziesz szczęśliwa - powiedział ze śmiertelną powagą. - A teraz przedstawiam ci naszych gości z Londynu: Reenie, Sandra i Pammy Turner.

- Wyglądasz prześlicznie, Delphine - powiedział Fonsie, wpatrzony w cudowne zjawisko w bieli, swoją ukochaną córeczkę. Suknia, obcisła na górze, spływała miękko do ziemi. Jasnokremowa, z delikatnym złotym haftem, była piękna i Delphine naprawdę wyglądała jak księżniczka z bajki.

- Mama przyszła. Przepraszam, że do tej pory się jej nie postawiłem - mruknął ze skruchą.

- Coś ty, tato. - Delphine delikatnie pocałowała go w policzek. - Jesteś tu i tylko to się liczy. Poprowadzisz mnie?

- Mamusi! - Millie biegła przez hol Kilnagoshell House w zapiętej do połowy sukience druhny. Ciocia Sam nie zdążyła jej zapiąć, bo droga była bardzo wyboista.

- Millie, skarbie! - Hope porwała córkę na ręce. - Bałam się, że nie zdążysz. Ciocia Delphine już czeka.

Szybko zapięła sukienkę do końca, zręcznie umocowała na główce córeczki wianek kremowych róż i podała bukietek.

- Gotowa? - zapytała. Millie skinęła głową.

Hope zerknęła do lustra. Czy naprawdę wygląda okropnie w ametystowych spodniach i zakiecie? Spodnie były za ciasne, musiała rozpiąć guzik. Oby nie spadły w kluczowym momencie.

- Gdzie Toby? - zapytała.

- Z tatusiem.

- Z tatusiem? A co tatuś tu robi?

- Przyjechał na ślub. Przecież byłem zaproszony, prawda? - odezwał się Mart. Stał w drzwiach, wysoki i ciemny na tle słońca. Miał krótsze niż zwykle włosy, wydawał się zmęczony, ale i tak porażał urodą, zwłaszcza że włożył najlepszy garnitur i krawat, który Hope kupiła mu na czterdzieste urodziny. To jej Matt; miała ochotę rzucić mu się w ramiona i już nigdy nie puszczać.

- Matt! - zapiszczała radośnie Delphine. Schodziła właśnie na dół wsparta na ramieniu ojca.

- No dobra. Wszyscy gotowi?

Nie było czasu na rozmowy. Millie ustawiła się za ciocią Delphine, a Hope, Matt i Mary-Kate poszli do ogrodu różanego.

Kapela ludowa, która na co dzień umiała gościom czas w pubie U Wdowy Maguire, zagrała marsza weselnego. Brzmiał nieco dziwnie na akordeonie, skrzypkach i tradycyjnych irlandzkich instrumentach, ale ani Delphine, ani Hope nie słyszały w życiu piękniejszej muzyki.

Delphine nie odrywała oczu od swojego Eugene's; czekał na nią, nawet teraz w pogniecionym garniturze.

Hope stała obok Matta. Kurczowo ścisnął ją rękę. Obok nich Toby, zmęczony, ciężko opierał się o ciocię Ham.

Matt pochylił się do żony.

- Kocham cię - szepnął.

Hope odwzajemniła uścisk. Wszystkie zmartwienia, wszystkie troski zdawały się niknąć.

- Ciii... - powiedziała tylko z obawy, że zaleje się łzami. Virginia trzymała małą Alison w ramionach.

- Jak ty to robisz? - dziwił się Jamie. - Innych terroryzuje.

- Wie, że jest u babci. - Virginia uśmiechnęła się do maleństwa o rudych lokach.

Nie było osoby, która nie uroniłaby paru łez, gdy Eugene w końcu pocałował pannę młodą. Widziano nawet, jak Pauline gorączkowo szuka chusteczki w torebce.

- Proszę. - Mary-Kate podsunęła jej paczkę jednorazowych. - Cieszysz się, że przyszłaś?

Pauline chlipnęła twierdząco.

- I nie będzie więcej kłótni? Pauline zaprzeczyła.

- Świetnie. A teraz chodź do domu, jako matka panny młodej dopilnujesz kelnerów. Nie możemy popsuć ci reputacji, prawda?

- Szkoda, że nie ma tu Nicole. - Reenie otarła łzy. - Spodobałoby się jej.

- Owszem. - Sandra wachlowała się chusteczką. - Mamo, dobrze się bawisz? .

- Dobrze? - powtórzyła Reenie. - To za mało powiedziane. Bawię się doskonale. A przy okazji, wyobraź sobie, rozmawiałam z tym miłym księdzem i powiedziałam mu, że stąd pochodzę. Obiecał, że pomoże mi poszukać moich krewnych. Nigdy nie wiadomo, może kogoś znajdziemy.

- Nicole byłaby zachwycona - westchnęła Sandra. - Chociaż najbardziej chciałyby poznać ojca.

Reenie poklepała córkę po dłoni.

- Przyjdzie i na to czas. Wszystko się ułoży, mówię ci. A ty wychowałeś ją na dobrego człowieka.

-Naprawdę? - Sandra nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę.

Delphine i Eugene przyjmowali gratulacje, gdy Mart zaciągnął Hope w odludny skraj ogrodu. Sam, widząc, co się dzieje, zabrała dzieci i zaproponowała zabawę z Dinky.

- Dlaczego przyjechałeś? - zapytała Hope. Nadal trzymała go za rękę.

- Bo zmądrzałem - powiedział. - Bardzo za tobą tęskniłem. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Pomyślała o bezsennych nocach, gdy straciła już nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie szczęśliwa.

- Owszem, wiem. Ja też tęskniłam. Myślałam, że nigdy nie wrócisz. A nie mogłam prosić, rozumiesz?

- Długo nie rozumiałem - przyznał powoli. - Pamiętałem dawną Hope, która nawet nie zaczynała kłótni, zawsze pierwsza wyciągała rękę na zgodę i przepraszała za wszystko, nawet jeśli nie była winna. Szczerze mówiąc, naprawdę myślałem, że go kochasz. Uważałem, że dlatego nie wydzwaniasz bez przerwy, błagając, żebym wrócił.

- Och, Mart, między mną a Christym nic nie było. Flirtowałam z nim i tyle. Nie kochałam go, ani odrobinę mi na nim nie zależy.

- Wiem. - Czule pogładził ją po twarzy i przysiadł na omszałej kamiennej ławeczce. - Gdzieś w głębi ducha wiedziałem od początku, ale byłem urażony, moja duma ucierpiała. Nie pojmowałem, jak mogłaś mi to zrobić, jak mogłaś nie błagać, żebym wrócił.

- Zmieniłam się - przerwała mu. - Gdybym cię błagała, miałabym o to do siebie pretensje, a ty byłbyś zły o coś, co się nie wydarzyło. Musiałeś sam zrozumieć, że nic się nie stało - zakończyła poważnie.

- Kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, co nieco zrozumiałem - odparł. - Byłem wredny. Zostawiłem cię tutaj samą ze wszystkimi problemami, a potem się dziwiłem, że to cię odmieniło.

- Na lepsze, mam nadzieję - mruknęła. - Za bardzo na tobie polegałam. Teraz polegam na sobie. O, jeszcze jedno; nigdy nie mówiłeś, że powieść ci nie idzie. Gdybyś to zrobił, zrozumiałabym, czemu byłeś taki...

- Okropny? - podsunął. - Nie chciałem nikomu tego powiedzieć. Po tylu latach przekonania, że osiągnę, co tylko zechcę, czekała mnie gorzka

pigułka. Przykro mi, przez to wyszedł ze mnie kawał sukinsyna. Zachowałem się wobec ciebie nie fair. Zaniedbałem ciebie i dzieci - Posmutniał. - Nie dawała mi spokoju świadomość, że zawiodłem. Obawiałem się, że wkrótce to odkryjesz, a tego bym nie zniósł. Wywiozłem cię na koniec świata, zostawiłem samą i zawiodłem na całej linii.

- Nie zawiodłeś. - Jej oczy rozbłyły. - Kocham cię, dla mnie nie musisz być idealny. Ja też mam pewne wady - zaśmiała się.

- Wiem. Ale i tak cię zaniedbałem. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Zwłaszcza teraz - delikatnie położył dłoń na jej brzuchu.

- To twoje dziecko - zapewniła.

- Wiem. Wiem, że byś mnie nie zdradziła, powinienem był wierzyć ci od początku. Ale kiedy zobaczyłem was razem, coś we mnie pękło i poczułem się jeszcze gorzej. Chciałem się złościć, chciałem uciec. Uciekałem od porażki, od tej nieudanej powieści w takim samym stopniu jak od ciebie. - Pochylił głowę. - Gdybym postąpił rozsądnie, nie doszłoby do tego wszystkiego.

- Ale... - coś nie dawało Hope spokoju. - Skąd wiedziałeś, że jestem w ciąży?

- Pierwsze podejrzenia podsunęła mi Millie. Bawiła się w dorosłą i udawała poranne mdłości. Poza tym - dodał - nie złość się, ale wczoraj dzwoniła Sam i rozmawialiśmy o tobie.

Hope przewróciła oczami.

- Tyle czasu jej powtarzałam, żeby się nie wtrącała - mruknęła. - Nie mieści mi się to w głowie.

- Kocha cię.

- To wiem. Nie mieści mi się co innego: jakim cudem udało wam się zakopać topór wojenny na tak długo, że zdążyliście porozmawiać?

- Jakoś nam się udało. Dzieciaki ją uwielbiają, co? Opieka nad nimi to ciężka praca. Nie wiem, jak sobie radzisz. Chyba będziemy musieli zatrudnić nianię.

Hope spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jak to: nianię? Matt, nie mamy pieniędzy. Wracasz do agencji?

- To długa historia - mruknął. - Adam już wyzdrowiał i szczerze mówiąc, nie wiem, czy dałbym radę pracować na dawnym stanowisku po tym, jak byłem szefem. Więc nie wracam. W normalnych okolicznościach jedynym wyjściem byłoby otworzyć własną agencję.

Hope puściła mimo uszu zwrot „w normalnych okolicznościach”. Własną agencję? Przecież to majątek. Skąd wezmą pieniądze?

- Co chcesz zrobić? Matt nie ukrywał dumy.

- Co prawda wielka powieść okazała się do kitu, ale w Bath zacząłem pisać coś innego. Lekkiego. Żadne arcydzieło, lecz świetnie się przy tym bawiłem.

Hope nie bardzo wiedziała, do czego zmierza.

- Dan namówił mnie, żebym to wysłał do agenta - ciągnął. - Myślałem, że oszalał, ale wysłałem. Tego dnia, gdy Millie udawała poranne mdłości, zawiozłem dzieci do Betsey, wróciłem do domu, przejrzałem pocztę i... dostałem list od mojego agenta. - Uśmiechnął się. - Jaka to frajda mówić: „mój agent”. No więc mój agent prosił o szybki kontakt, bo w liście nie podałem numeru telefonu. Zadzwoń i... nie uwierzysz: przeczytał książkę, był zachwycony i dał ją wydawcy.

Matt wziął Hope za rękę.

- Zaproponowali mi ćwierć miliona funtów za trzy książki - powiedział. - Udało się, Hope. Jestem pisarzem!

- Matt! - rozpląkała się. - To wspaniale, jestem z ciebie dumna. Pocałowała go mocno.

- Jeszcze tylko jedno - spowaźniała nagle. To ważna sprawa, muszą ją ustalić od razu. - Chcę zostać w Redlion. To dla mnie bardzo ważne. Myślisz, że to możliwe?

- Co? Miałabym opuścić tę wylegarnię talentów? - zapytał żartobliwie. - Za żadne skarby świata.

Po raz pierwszy Nicole uświadomiła sobie, że jej życie zmieniło się nieodwracalnie, gdy w środę po południu wyszła z domu i stanęła twarzą w twarz z tłumem dziennikarzy i fotoreporterów. Rozmawiała z matką przez komórkę i odruchowo rozejrzała się, ciekawa, kogo tak fotografują. Za nią nie było nikogo, żadnego gwiazdora w ciemnych okularach. Chodziło o nią, o Nicole Turner.

- Nicole, jakie to uczucie, gdy wszyscy sądzą, że twój pierwszy singel trafi od razu na pierwsze miejsce? - pytała dziennikarka z wielkim mikrofonem w garści. - Zadzwoń do Lorelei czy nadal się kłócicie?

Zaraz podsunęto jej pod nos więcej magnetofonów. Nicole z ulgą poczuła na ramieniu dłoń Isyi, asystentki Boba Fellowesa. Wciągnęła ją z powrotem do domu na krótką rozmowę.

- Nicole zaraz wróci - oznajmiła Talia z działu public relations w Titus Records. Przez ostatnie dwa tygodnie towarzyszyła Nicole jak cień. -Od rana próbujemy cię złapać - powiedziała, gdy już się ukryły.

- Nagrywamy się w kółko na pocztę głosową - zawtórowała Isya.

- Dopiero niedawno włączyłam telefon - przyznała Nicole. Pierwszy wolny ranek od dwóch tygodni spędziła w łóżku, odsypiała szalone czternaście dni w podróży. - Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy wyszłam z domu i zobaczyłam tyle ludzi...

- Nie przypuszczaliśmy, że coś się będzie działo - przyznała laha. - Nie wiem, skąd wzięli twój adres. Jutro rano występujesz w telewizji śniadaniowej, a później jest konferencja prasowa.

- Ale czemu są tutaj? - Nicole ciągle tego nie rozumiała. - Przecież singel ukazał się zaledwie w poniedziałek. Jeszcze nawet nie jest na liście przebojów.

Talia uśmiechnęła się dumnie; ciężka praca jednak przynosi efekty.

- Mamy pierwsze dane - powiedziała. - Twoja płyta sprzedała się już w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Jeśli tak dalej pójdzie, pierwsze miejsce murowane, i to pierwsze miejsce z rekordową liczbą sprzedanych płyt.

Nicole nie mieściło się to w głowie.

- A teraz... - Talia wyrzała przed budynek - wyjdiesz do nich, uśmiechniesz się i powiesz, jak bardzo się cieszysz.

- Ani słowa o Lorelei - poprosiła Isya. - Jesteście w tej samej firmie.

Nicole pozowała, a Talia oznajmiła, że mają czas na kilka pytań. Nicole uśmiechnęła się i powiedziała, jak bardzo się cieszy z sukcesu płyty, gdy padło najgorsze z możliwych pytań.

- Jesteś półkrwi Hinduską, ale nigdy o tym nie mówisz. Chcesz uchodzić za białą, wypierając się ojca? - zapytał ktoś.

Talia i Isya znieruchomiały, ale Nicole była gotowa.

- Nie znam mojego ojca - powiedziała szczerze - i dlatego niczego nie wiem o kulturze Indii, chociaż chciałabym, żeby było inaczej. Jestem dumna z tego, kim jestem, mieszanką ras i kultur. - Posłała im swój firmowy uśmiech.

- Koniec wywiadu - warknęła Talia i zaciągnęła Nicole do czekającej limuzyny. - Świetnie sobie poradziłaś - pochwaliła.

Nicole wzruszyła ramionami.

- Wiedziałam, że ten temat się pojawi wcześniej czy później. Omówiłam to z Dariusem, matką i babką. Nie ma się czego wstydzić, a kto wie, może odnajdę ojca. Chciałabym.

Talia przyglądała się jej uważnie. Nie ma wątpliwości, Nicole to ktoś więcej niż kolejna dziewczyna z pięknym głosem.

- Dobra - zerknęła na listę. - Teraz dwa wywiady radiowe, a wieczorem premiera filmowa. Stylista już czeka. Ruszamy?

-Jasne. - Nicole uśmiechnęła się szeroko. No proszę, jej singiel sprzedaje się jak gorące bułeczki. Bomba. Nawet jeśli nie trafi na pierwsze miejsce, i tak nigdy nie zapomni tego dnia.

Nie do wiary, ile rupieci można nazbierać przez kilka miesięcy, dziwiła się Sam, taszcząc kartonowe pudła do domu. Tego popołudnia uprzątnęła swoje biurko w Titus Records i teraz była przekonana, że uszkodzi sobie kręgosłup, taszcząc takie ciężary.

- Ach, więc takie minimalistyczne biurka mają jednak wady! - zaśmiała się Lidia, widząc, jak Sam przegląda zawartość przepelnionych szuflad.

-No właśnie -jęknęła. -Zamiast zostawić papiery na wierzchu, wpychasz je do szuflad.

- Do jutra! - zawołała Lidia przez ramię. - I pamiętaj, ładnie się ubierz.

Lidia organizowała dla niej przyjęcie pożegnalne. Sam nie pamiętała, kiedy ostatnio pracownicy ją zegnali.

W domu sprawdziła pocztę. Ucieszył ją e-mail od Hope.

Cześć, Sam, mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. U nas tak, Matt jest w świetnej formie, w przyszłym tygodniu będzie w Londynie, żeby podpisać kontrakt. Spotkacie się? Virginia i Mary-Kate jadą z nim do Dublina, a stamtąd lecą do Niemiec. Chcą tam obejrzeć kilka pensjonatów, żeby mieć pojęcie, o jaką kategorię Virginia ma się ubiegać. Mary-Kate nie może się doczekać, od lat nie była na urlopie. Wszyscy się obawiamy, że bez niej Redlion zawali się z hukiem!

Podczas nieobecności Virginii zajmiemy się Dinky. Millie szaleje ze szczęścia. Namawia nas na psa, ale nie wiem, czy to dobry pomysł, póki dziecko się nie urodzi. Ale Matt też chce psa. Twierdzi, że musimy mieć psa, żeby wyrównała się liczba kobiet i mężczyzn w naszym domu. USG wykazało, że spodziewamy się dziewczynki (chcemy ją nazwać Rosalie - co ty na to?), i Matt przekazuje, że będzie trzy kobiety na dwóch mężczyzn, więc pies jest niezbędny! Co on sobie myśli?

Dzisiaj idziemy na kolację z Eugene'em i Delphine. Wrócili z podróży poślubnej i Delphine koniecznie chce się pochwalić opalenizną. Mam jeszcze jedną nowinę, od Delphine właśnie. Oblesny Christy wyjechał na dobre, zdaje się, że zwolnił go właściciel hotelu, i to za romans z klientką. Mówi się o procesie cywilnym! Wcale się nie dziwię. Muszę ją zaciągnąć do restauracji któregoś dnia i o wszystko wypytać.

Co u Reenie, Sandry i Pammy? Wszyscy je polubili i serdecznie zapraszają ponownie. I chcemy poznać Nicole. Bardzo się cieszymy, że jej piosenka tak długo jest na pierwszym miejscu. Ciągłe puszczają radio, fani pewnie nie daliby jej przejść ulicą. Zadzwoń. Tęsknię. Kocham cię Hope

Sam z uśmiechem wyłączyła komputer. Jak to dobrze, że u Hope w końcu wszystko się ułożyło. U niej niestety nie. Trudno, pomyślała, biorąc Tabitę na kolana, dobrze chociaż, że ma koty. Musi się zająć pracą, to pomaga. Nakarmiła zwierzaki i postanowiła, że zajrzy do George'a i Felicity. Spodobał im się jej pomysł z daniami na wynos, i tak zostali pierwszymi klientami Spike Solutions. Długo się głowiła, jak nazwać swoją firmę, aż Spike rozwiązała za nią ten problem - położyła się na dokumentach i zainspirowała Sam.

Zebrała notatki, wsadziła je do teczki i wyszła. Był ciepły wieczór. Otwierając furtkę, odruchowo zerknęła na dom Morgana. Nie było już szyldu. Dom sprzedany. Ciekawe, gdzie podziewa się Morgan.

George i Felicity mieli pełne ręce roboty - był czwartek. Po krótkiej rozmowie zajęli się pracą.

- Zjedz coś - namawiał George.

- Nie - uparła się Sam. - Przestanie się wam opłacać zatrudnianie mnie, jeśli będę jadła za darmo.

- Siedź cicho - mruknął. - Czerwone wino?

Sam zjadała sałatkę i kartkowała swoje notatki. Wolała nie rozglądać się po sali - większość klientów stanowiły zakochane pary. George i Felicity machali jej, ilekroć ją mijali, co tylko pogłębiało jej osamotnienie.

Zamyśliła się, zapomniała o notatkach. Tyle się zmieniło w jej życiu zawodowym. Istna rewolucja, tylko w życiu prywatnym wszystko zostało po staremu. Nie wiedziała, jak dałaby sobie radę bez Spike i Tabity. Kiedy było jej bardzo źle, brała Tabitę na kolana i głaskała ją, aż zjawiała się Spike, też domagając się pieśczęt.

- O Boże! - jęknęła Felicity, mijając ją z butelką wina w ręku. Sam podniosła oczy i zobaczyła, że Felicity jest równie czerwona, jak wino. Tylko jeden człowiek tak na nią działał.

Morgan stał przy niej. Zwrócił uwagę całej restauracji.

Sam rozlała wino. Czerwona plama na obrusie wyglądała jak krew w kiepskim filmie. Sam gapiła się na nią, czując, że serce wali jej coraz szybciej.

- Przyniosę ścierkę - mruknęła Felicity i już jej nie było. Morgan był opalony i wypoczęty, jakby dopiero co wrócił z egzotycznego urlopu. Miał na sobie sprane dżinsy i szarą bluzę.

- Mogę się dosiąść?

Skinęła głową. Nie dlatego, że nie chciała mówić; nie była w stanie. W końcu odzyskała głos.

- Jak się masz? - zapytała.

- Fatalnie - oznajmił. -1 to przez ciebie. Sam znowu zaniemówiła.

-1 dlatego tu jestem; żeby to pani powiedzieć, pani Smith. - Wstał tylko po to, żeby przed nią uklęknąć. Wszyscy na nich patrzyli. W dzisiejszych czasach rzadko kto pada na kolana, co dopiero w restauracji.

Sam gapiła się w szoku.

- To jej wina, proszę państwa - oznajmił Morgan na cały głos. Ludzie już nawet nie udawali, że jedzą, obserwowali ich otwarcie. - Jesteś złośliwa, rozkazujesz, uważasz, że nie mam gustu.

Sam rumieniła się z każdym słowem bardziej.

- Ale mimo to i chociaż uważasz mnie za najmniej wybrednego mężczyznę od czasów Casanovy, szaleję za tobą.

Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Słyszeli państwo? - zapytał parę, która przysunęła sobie krzesła bliżej, żeby nie stracić ani słowa.

- O tak - westchnęła kobieta. - Rozkazuje panu, a pan to lubi? -Nie lubię. Ale ją kocham, więc to zniosę.

- Byle nie za dużo tego rozkazywania - rozległ się męski głos.

- Nie za dużo - przyznał Morgan. - Tylko troszeczkę, bo wtedy możemy się kłócić. Udowodnię jej, że to ja jestem mężczyzną, a później -posłał jej spojrzenie tak gorące, że niemal parzyło - możemy się pogodzić. A to najprzyjemniejsze.

Sam zabrakło tchu.

-Nie mam racji? - szepnął i przysunął się bliżej. - Za stary jestem na takie numery - jęknął, gdy strzyknęło mu w kolanie. - Nie te stawy.

- Tran pomaga - poradziła kobieta przy sąsiednim stoliku.

- Chcesz się pogodzić? - zapytał Morgan. Był tak blisko, że poczuła jego miętowy oddech; przypomniało jej się ich pierwsze spotkanie.

- Przykro mi, że wyciągnęłam fałszywe wnioski o Maggie - szepnęła.

- Maggie jest cudowna, ale to jej problem, że durzy się w ojczymie -odparł. - W ten sposób chce mnie skłócić z Val.

- Przykro mi - powtórzyła.

- Przestań. Nigdy tego od ciebie nie słyszałem. Roześmiała się i zartobliwie klepnęła go w ramię.

- Jeszcze raz - mruknął gardłowo.

Potem pocałował ją mocno, a widownia zaniemówiła z wrażenia. Oderwali się od siebie, gdy rozległy się głośnie brawa.

- Koniec przedstawienia - oznajmił i wstał. Wziął Sam za rękę. -Idziemy do domu pogodzić się.

- George, Felicity, jestem wam winna... - zaczęła Sam.

- Nie masz sprawy. - George uśmiechał się jak kot do śmietanki. -Ale chciałabym...

- Sio! - wygnała ich Felicity.

-Nie wracajcie bez ślubu! - zawołał za nimi starszy pan. Morgan przytrzymał jej drzwi i znaleźli się na dworze.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, gdy jej puls wrócił do normalnego tempa.

Wziął ją za rękę.

- Żeby ci uświadomić, co do ciebie czuję. Gdybym podszedł na ulicy, byłabyś sztywna i oficjalna.

-Nieprawda. .

- Owszem. - Głęboko zaczerpnął tchu. - Długo trwało, zanim zdecydowałem się ci to powiedzieć, ale podobałaś mi się od pierwszego wejrzenia. Wpadłaś w moje życie jak furia, małe blond tornado, które wyrwało kabel ze ściany i uszczęśliwiło siniakiem na łydce.

- Mięczak - prychnęła. - Miałam na nogach espadryle, mnie chyba bolało bardziej niż ciebie.

- Możliwe.

Objął ją ramieniem. Nie protestowała, objęła go w pasie.

- Jesteś zupełnie inna niż wszystkie kobiety, które znałem - zauważył.

- To dobrze czy źle?

-Dobrze.

Zatrzymali się przed blokiem Sam, naprzeciwko starego domu Morgana.

- Nie mogłam uwierzyć, że go sprzedałeś - stwierdziła, patrząc na pięknie wyremontowany budynek.

-Nie sprzedałem. Wycofałem się. Chcę tu zamieszkać. Pod warunkiem że znajdę kogoś, kto zamieszka ze mną.

Sam poczuła dreszcz emocji.

- Znalazłem twój liścik - dodał. - Agent nieruchomości wrzucił go do szuflady. Chyba każę go oprawić. I powiększyć.

Sam się roześmiała.

- Wiesz, jak na kobietę, która podejmuje ważne decyzje, jesteś w gorącej wodzie kąpana - ciągnął. - Wyciągasz pochopne wnioski. Myślałaś, że podrywam małolaty, a ja tylko użyczyłem Maggie domu na przyjęcie.

- Nie powiedziałeś mi prawdy - zauważyła. - Gdybyś był ze mną szczerzy...

- Na początku byłem tuż po rozwodzie i chciałem spokoju - wzruszył ramionami. - Chciałem być anonimowy i omijać kobiety szerokim łukiem.

Oczywiście dopóki nie poznałem pewnej sąsiadki.

Sam uśmiechała się od ucha do ucha.

- Ale Maggie... jak mogłaś tak pomyśleć, Sam? Nie mieści mi się w głowie, że uznałaś, że się z nią spotykam.

-No tak - zawstydziała się. - Ale już myślałam, że nigdy nie zrobisz pierwszego kroku, miałam depresję, bo stuknęła mi czterdziestka i... -urwała. Nikomu innemu nigdy by tego nie powiedziała, ale Morganowi mogła.

Podeszli do jego domu.

- Ośmielam się twierdzić, że jako jedyny na całym świecie wiem, że za żelazną fasadą ukrywa się mięciutki kotek.

-Nie jestem kotkiem! - obruszyła się. Z uśmiechem otworzył drzwi.

-No dobrze, dziki kot, mięciutki i słodki, ale z ostrymi pazurami.

- Jeszcze raz powiesz, że jestem mięciutka, i tego pożałujesz - zagroziła z poważną miną.

Zrezygnowany uniósł ręce.

-To jak mam mówić? Kochanie?

Stali obok siebie. Sam spojrzała na niego znacząco.

- Nie - stwierdził nagle. - Coś tu nie gra.

- Co? - zdziwiła się.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do salonu, pustego, jeśli nie liczyć wieży w rogu. Sam parsknęła śmiechem.

- O właśnie! - ucieszył się Morgan. - Od tego się wszystko zaczęło. Pochylił się nad nią i pocałował, mocno i głęboko. I było dokładnie

tak, jak sobie wyobrażała. Przywarła do niego, wplotła palce w ciemne włosy.

- Przepraszam - westchnął, gdy się od niej oderwał. - Przepraszam, że to tyle trwało. Oboje byliśmy głupi. Powinienem być z tobą szcze-

ry od początku. Byłem zły, że mi nie ufasz, i chciałem o tobie zapomnieć, ale nie mogłem.

- Cicho. - Sam przytknęła palec do jego ust. - Nie patrzmy za siebie, tylko w przód - powiedziała i tym razem to ona go pocałowała, obsypała jego twarz pocałunkami, aż przyciągnął ją do siebie tak mocno, że musiała wspierać się na palce.

- Obiecuj mi jedno - szepnął z ustami w jej włosach. -Tak?

- Nie kop mnie więcej.